



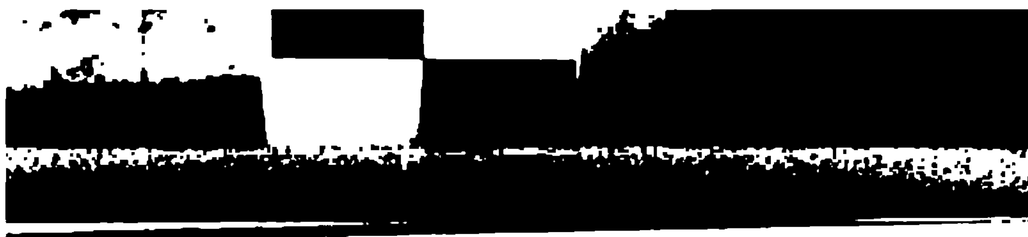
[redacted]







LISTY Z PODRÓŻY.



[redacted]

LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z WARSZAWY DO RZYMU).

TOM I.



WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1875.

Дозволено Цензурою
Варшава 18 Сентября 1874.

Druk J. Bergera,
Warszawa, ul. Daniłowiczowska Nr 619.

PANI

Alexandrze z Chomętowskich

BORKOWSKIÉJ.

Pani byłaś piérwszą pobudką do ogłoszenia tych listów, w piśmie wydawaném przez Panią. Poświęcając je Pani w tém osobném wydaniu, chciałbym tylko połączyć Jéj imię z imionami tych najbliższych przyjaciół mojéj młodości, do których je i o których pisałem; a razem złożyć Pani hołd wdzięczności za przyjaźń, która mi zachód dni moich osładza.

Z USZANOWANIEM I PRZYJAŹNIĄ

A. E. Odyniec.

1875. Lutego 26.
WARSZAWA.



[redacted]

SŁÓWKO PRZEDWSTĘPNE.

Ja ztąd oczu nie stracę, i w tém będę stały,
Że chwalić nie omieszkam, co jest godno chwały.

J. Kochanowski.

Zabierając się do ogłoszenia w osobnéj książce *Listów z podróży*, odbywanéj przed czterdziestu pięciu laty przez Adama Mickiewicza i Antoniego Edwarda Odyńca, wydawca zwrócił uwagę, iż autor wprost przystępując do opowiadania wypadków, nie przygotowuje do nich czytelnika obrazem uczuć i stosunków, z których się owa podróż wywiązała i któremi od początku do końca była karmiona. Wskazuje się nam od razu mnóstwo klejnotów z uroczéj świątyni serc młodocianych, któréj przedtém nie mogliśmy poznać w całości; któréj ołtarze nieubłagana ręka czasu następnie pokruszyła; któréj bogowie, uniesieni przy sercu czcicieli swoich, z nimi do grobu się pokładli; na któréj sklepieniach bluszcz już lub trawa porasta, a i ściany coraz głębiéj osuwają się w ziemie. W po-

śród dostojnych zwalisk świątyni żywota wybrańców naszego społeczeństwa przed pięćdziesięciu i czterdziestu laty, snadno już zbłądzić nieświadomemu, a jeszcze snadniéj zbłądzi późniejszy przychodzień, jak pośród gruzów i odłamków kolumn na milczącym cmentarzu wielkości świata greckiego. Zdało się tedy wydawcy książki i piszącemu te słowa, iż byłoby rzeczą w niejakim względzie pożyteczną, dać chociażby najogólniejszy rzut oka na stosunki i uczucia, z których się podróż dwóch poetów po Europie wywinęła. Trochę téż znajomości miejsca, na którém roztaczała się istnie Teokrytowa sielanka miłości nauki i cnoty— trochę wieści serdecznéj z owych czasów, dotąd niezagłuszonéj wśród uroczych pagórków i dolin pochylonych ku zbiegowi Wilenki i Wilii—trochę wieczornéj rozmowy z ludźmi, którzy na owe stosunki z blizka patrzali, albo i sami uczestnikami ich byli,—składało się w myśli na zarys wizerunku i przemocą napraszało się pod pióro. Mniemaliśmy zaś, że skoro na starych obrazach, malowanych przez braciszków klasztornych, podziw, cześć i miłość przejmująca kierującego pędzlem, może do pewnego stopnia odblaskami uczucia nagrodzić niedokładność rysunku i kolorytu, tedy i mającemu pisać o czasach Mickiewiczowskich uniwersytetu wileńskiego, wolno się łudzić nadzieją niejakiego powodzenia...

Przedewszystkiem uderza nas w tych czasach górność piastowanéj idei. Co w sposób nieodpowiadający istocie rzeczy zwano wtedy „Romantycznością,” pewnym niby kierunkiem literackim, z romansu średnio-

[redacted]

wiecznego zrodzonym, a sprzecznym z istnie magdeburskiemi *Ortylami* klassycyzmu francuzkiego i warszawskiego, to było nie samém tylko umiłowaniem pewnéj formy poetyckiéj, ściśle spokrewnionéj z cudownością duchową, albo jak się ironicznie mówiło, z duchami i upiorami. Była to owszem i wiara religijna, i zobowiązanie względem przeszłości, i obyczaj w stosunkach ze współczesnymi, i hasło w szukaniu dróg przyszłości. Nie chodziło jedynie o to, żeby zamiast opiewać „Dafnę w drzewo bobkowe przemienioną," pisać raczéj o zakochanych w sobie bracie i siostrze, przemienionych w „bratki"; lecz szło od razu o całkowite odrodzenie się na duchu, którego jednym tylko i to podrzędniejszym przejawem miało być odnowienie formy poetyckiéj. Jak w symbolicznym *Tukaju*, poczętym przez Mickiewicza, a prowadzonym daléj przez Odyńca, należało dla odmłodzenia pociąć na części starego człowieka i tajemniczym lekiem namaszczać jego członki: tak i w tém odmłodzeniu moralném, kuszono się poddać całego człowieka duchowego przeobrażeniu na lepsze—i rzeczywiście przeobrażenie się odbywało. Na miejsce lekceważenia albo nawet szyderstwa z wiary ojców, z przeszłości rodzinnéj, ze staroświeckiego obyczaju i miłości duchowéj, na miejsce wszystkich owych czynników rozkładu, zasianych przez pisarzy materyalistycznych XVIII stulecia, a lekkomyślnie przez nas z uwielbieniem przejętych, starano się postawić umocnienie w wierze, umiłowanie pamiątek rodzinnych, czystość i serdeczność stosunków, szlachetność i duchowość uczuć.

Już to jedno, że lud wiejski nie z krain auzońskich, ale z nad Niemna, Wilii i Bugu, uznano za przedmiot godny wystawiania w blasku postaci idealnych, kiedy do owéj pory zwykle w dziełach sztuki krajowéj występował w poczwarze opoja lub srogiego sołtysa, jak niewolnik lub wyzwoleniec w komedyi starożytnéj, było ogromnym krokiem naprzód w zapatrywaniu się na stosunki społeczne. Już samo wyrzeczenie się przez poetów naszych owego klassycznego bezwstydu, któremu jeszcze tyle hołdował w najlepszych swoich utworach Trembecki, w którym plugawie i bezczelnie brodził Węgierski, ba! i sam biskup Naruszewicz,—zamiast tego zaś uwielbienie czystości i niewinności uczuć w duchu rodzinnéj klechdy i pieśni ludowéj, stanowiło wymowny dowód znakomitéj naprawy obyczaju. O rodzinnym pierwiastku żyjącym i historycznym w poezyi, o kolorycie miejscowym, a nawet formie wiersza zbliżonéj do pieśni ludu, już nie mówimy, jako o rzeczy znanéj powszechnie. Myśl odrodzenia pulsowała we wszystkich arteryach organizmu umysłowego.

Nie wszędzie atoli, gdzie się poezya polska odzywała, tak pojmowano ruch umysłowy, mianowany podówczas „Romantycznością,“ jak pojmowano go w Wilnie i jak powyżéj określono. W Krzemieńcu przebłyskiwało ledwo słabe księżycowe światełko, pochodzące z odbicia „promieni” tryskających z Wilna; pomimo wielu przymiotów rzeczywistych téj szkoły, czuć było, iż rozlewającemu się z niéj światłu brak

[redacted]

ożywczego ciepła. W naukach ścisłych i historycznych, było tam kilku ludzi nielada; ale w w sferze gorętszéj działalności duchowéj, muskane wiersze Felińskiego, to może najwybitniejszy wyraz nie uczuć wewnątrz piastowanych, lecz zewnętrznego objawu bicia serca Krzemieńca. We Lwowie zapasy z klassycyzmem wyraziły się przedewszystkiém w wierszowanych łamigłówkach filologicznych Kamińskiego i w zawziętém propagowaniu filozofii Kanta, pono nie całkiem zrozumiałéj dla samych jéj owoczesnych szerzycieli. Rozumiano tam jednak przynajmniéj jedną stronę ważniejszą ruchu, a czego w walce z Niemcami nie domówił autor *Nowych Krakowiaków i Górali*, to sobie dopowiadano przedrukami dzieł gdzieindziéj wydanych, nie pytając o pozwolenie autora. W Krakowie zdrowo pojmowane starożytnictwo klassyczne, tudzież chodzenie ze czcią po skarbnicach przeszłości krajowéj, wydało Przybylskiego, Sołtykowicza, Bandtkego; lecz płynąć z prądem życia teraźniejszości nie rwano się wcale. W Poznaniu, który po kilkunastu latach stał się był jedném z najważniejszych zbiorowisk różnostronnéj działalności umysłowéj i obywatelskiéj, w początkach epoki romantycznéj głuche panowało milczenie. Późniéj krzątał się tam nieco Józef Muczkowski, lecz sam jeden niewiele mógł zdziałać, zwłaszcza że chęciom szlachetnym nie pomagało natchnienie. Wreszcie co do Warszawy, ta lubo miała gościem zkądinąd przybyłego, głęboko sercem i umysłem sięgającego ro-

mantyka Brodzińskiego, lubo stała się wypadkowo przytułkiem do pracy i łożem Łazarza dla autora *Maryi*, lubo słyszała piosnkę o zmykającym z jéj murów Mazepie, wygrywaną na kozaczym teorbanie przez Bohdana Zaleskiego, lubo słyszała zgrzytliwy wiersz o zamku kaniowskim,—wszakże ogólnie rzecz biorąc, była obozem oszańcowanym, w którym cały kościół wojujący klassycyzmu i obyczaju francuzkiego w naszym kraju, zaopatrywał się w proce i tarany na przeciwnika. Uprzedzenie tak daleko tu sięgało, że naczelny wódz „Klassyczności," Stanisław Potocki, publicznie się przechwalał, iż nawet słowa języka ojczystego wtłacza w łoże Prokustowe form właściwych jedynie francuzczyźnie. Nie sam Mickiewicz w swojéj rozprawie: *O krytykach i recenzentach warszawskich* odmalował to zasklepienie się ducha twórczości narodowéj w kokonie obczyzny; nierównie wcześniéj, a z równą, jeżeli nie większą dosadnością, wypowiedział to samo ówczesny żołnierz, późniejszy biskup Ludwik Łętowski. Ten najpierwszy może z piszących u nas teoretyków romantycznych, już w roku 1816, zatém nawet przed Brodzińskim, dowodząc, że „myśl robi poetę, rym zaś tylko wierszopisa," jak gdyby już wtedy przepowiadał *Irydiona*,—jednocześnie taką daje charakterystykę działalności literackiéj w Warszawie, w broszurze zatytułowanéj imieniem *Podróży do Rzeczypospolitéj Uczonych*: „Miasto Aencyklopedya jest stolicą Rzeczypospolitéj Uczonych. Leży w błotnistéj dolinie, a rzeka uprzedzenia zdaje się niemal całe do-

[redacted]

koła oblewać. Dwadzieścia cztery bramy ułatwiają wejście, lecz mimo takową dogodność, mieszkańcy ścieżkami na wyłom ochoczéj przechodzą. Pałac poezyi z wierzchu przepysznie przyozdobiony, lecz mimo zbytek sztuki, nosi cechę przymusu a wysadności. Po pod mury przechodzą się uprzywilejowani nowiniarze, chroniąc się od słonecznego prawdy światła..." Cóżby do tego wizerunku mógł dodać najżarliwszy późniejszy romantyk ze szkoły Mickiewicza?

Wilno tedy pierwiastkowo było jedyném w całém znaczeniu siedliskiem „Romantyczności," pojmowanéj nietylko jako dążenie ku reformie przepisów artystycznych, lecz zarazem jako kodeks kierowania uczuciami i jako układ stosunków społecznych. Nic więc dziwnego, że ludzie obojętni patrzali z daleka na to miasto z niejakiém niedowierzaniem, przeciwnicy zaś gnieżdżący się w Warszawie nie skąpili mu lekkomyślnych wyrzutów za rzekomą pogardę odwiecznych tradycyj sztuki. Nie tu zaiste miejsce rozpatrywać się w drobnostkowych zapasach o nieistniejące w Krymie nadbrzeżne „płaszczyzny," któremi radzono Mickiewiczowi zastąpić znajdujące się tam istotnie widziane przezeń urwiste „krawędzie" skał, lub o inne podobne przedmioty, zaledwo potrącone przez Siemieńskiego, a nietknięte przez historyków literatury. Wątek to do osobnéj, wyczerpującéj a zajmującéj pracy. Jednego wszakże pominąć tutaj nie można, jako rysu nadzwyczaj charakterystycznego i ważnego w ruchu romantycznym wileńskim. Owocześni klassycy war-

szawscy twierdzili, jakoby tak zwane przez nich „zamiłowanie w upiorach i słabych rymach,“ wyszło z pośrodka niedojrzałéj młodzieży akademickiéj wileńskiéj, powodującéj się myślą zkądinąd zresztą dowcipną, że „gdzie nie znaleźć sensu, tam i rymu nie trzeba.“ Owoż był to błąd najwierutniejszy, bo właśnie szerzycielką odrodzenia duchowego między młodzieżą wileńską była starszyzna szkoły głównéj w „podwójnych wieńcach lauru i siwizny, obywatelskiéj i śpiewaczéj chwały.“ Młódź zaś owa uniwersytecka, która późniéj jak gwiazdy rozsypała się po firmamencie nauki i sztuki, była rolą rozwijającą ziarna, rzucone uprzejmą dłonią mistrzów.

Najpierwszym reformatorem zapatrywania się na sztukę w ogóle, a na poezyę w szczególności, był nie wierszyk z nad Ilmu lub Sprewy, stanowiący iskierkę rzuconą w nagromadzone prochy, ale professor literatury greckiéj i rzymskiéj, Ernest Groddeck, największy pono swojego czasu erudyta i estetyk w jednéj osobie. Ciekawy może się o tém przekonać, nie sięgając nawet do jego dzieł naukowych, lecz poprzestając na odczytaniu rozpraw dorywczych, ogłaszanych w czasopismach wileńskich. Jego objaśnianie właściwości literatury starożytnéj przez odrębne cechy narodowościowe, przez kojarzenie się wieszczów ze swoim ludem, dało podstawę i szkole romantycznéj, i owemu streszczonemu przez Mickiewicza, niedościgłemu, zachwycającemu określeniu pieśni, jako „arki przymierza między dawnemi a młodszemi laty, w któréj lud skła-

[redacted]

da i broń swego wojownika, i kwiaty swoich uczuć, i myśli swoich przędzę". Jego zapatrywanie się na ton dobroduszny epopei Homera, odezwało się w cudnym tonie *Pana Tadeusza*, a teraz dalėj odbija się w przekładzie *Odyssei* przez Siemieńskiego. Zresztą komuż nie wiadomo, że Mickiewicz z fałszywymi klassykami walczył przedewszystkiém bronią znajomości literatury klassycznéj? albo że właśnie romantycy, kształcąc swój wiersz na wzorach starożytnych, wyrwali go z nudnéj kolei aleksandrynów francuzkich, nadali mu tyle rozmaitości, giętkości i wdzięku? Wiernym w uniwersytecie towarzyszem Groddcka był kierownik Mickiewicza, Odyńca, Chodźków, Malinowskiego, Balińskiego i innych, namiętny miłośnik literatury klassycznéj, tłómacz Lukrecyusza, Moliera, Cerwantesa, Miltona i Byrona, znakomity znawca piękna, Leon Borowski. Jemu to nadewszystko młódź uniwersytecka zawdzięczała rozmiłowanie się w starych autorach polskich, zwłaszcza w Janie i Piotrze Kochanowskich, a z późniejszych w Trembeckim i Woroniczu, w ich wielkiém skupieniu myśli, w ich prawdziwie narodowych zwrotach mowy i dosadności wyrażeń, co następnie było cechą całéj szkoły pisarzy wileńskich. Tym sposobem, co kształceni na wzorach francuzkich nazywali odszczepieństwem, to było w pewnym względzie odrodzeniem prawdziwéj klassyczności, tak bezpośrednio przez zapatrywanie się na wzory starożytne, jak pośrednio przez zgłębianie pisarzy polskich wieku XVI, którzy tym wzorom

hołdowali. Ale myśl młoda i młode uczucie nie pozwalały zgubić się w jałowém naśladownictwie: pod klassyczną nawet formą wiersza *Do Joachima Lelewela*, tętniły te same myśli i uczucia, co „bryłę świata z posad wyrzucać chciały." Bo téż jak Groddeck i Borowski w zakresie teoryj artystycznych, tak Lelewel był reformatorem „romantycznym" zapatrywania się na dzieje powszechne w ogóle i na krajowe w szczególności; on pierwszy u nas na miejsce roczników dynastyj, rozwijać począł z katedry dzieje ludów, co zaiste było niemałym przewrotem wyobrażeń. Całkiem tak samo professorowie i poprzedni wychowańcy uniwersytetu, zasiadający pod prezydencyą uczonego Jędrzeja Śniadeckiego przy „szubrawskim" stole redakcyjnym *Wiadomości Brukowych*, założonych przez Kazimierza Kontryma, byli pierwszymi „romantycznymi" reformatorami obyczaju, nieubłaganymi karcicielami wszelkiego złego, nie z goryczą nienawiści, nie z paszkwilarném szyderstwem, lecz w duchu miłości społeczeństwa. Ich kilkoletnie wydawnictwo, jako zdrój szczeropolskiego dowcipu, jako skład zdrowych obywatelskich myśli, dziś jeszcze z pożytkiem się czyta, a podówczas niesłychane wywierało wrażenie. Szczególniéj prawdziwie obywatelskie zapatrywanie się tego pisma na położenie ludu wiejskiego, nietylko znalazło rozgłośne echo w pisarzach romantycznych, lecz niemało się nawet przyłożyło do uchwały orzekającéj wyzwolenie włościan, zapadłéj na sejmiku szlacheckim w Wilnie w r. 1818. Co do kierunku religijnego, którym tak wybitnie na-

cechowała się praca literacka romantyków, starzyzna szkoły głównéj litewskiéj, jedna z najpierwszych, a może i najpierwsza podówczas w Europie z doboru potęg umysłowych, jeśli nie cała, to przynajmniéj w najznakomitszych swych członkach, nie wyjmując i obu Śniadeckich, których ze zdumiewającą odwagą materyaliści tegocześni kładą za swoich protoplastów— przyświecała młodzieży pięknym przykładem bogobojności i chodzenia w zakonie Pańskim. Nakoniec i owe znane kółka młodzieży, mające na głównym celu dzielenie się z uboższymi kolegami zasobem grosza, nauki i moralności, wzięły początek od towarzystwa pomocy naukowéj, zawiązanego i zasilanego przez starszych, tak professorów, jak byłych wychowańców uniwersytetu. Jedném słowem, wszystkie pierwiastki składowe, których cząstka odbijała się w literaturze romantycznéj, a więcéj daleko pulsowało w praktyce życia młodzieży, były błogosławionym szczepem ducha uniwersytetu wileńskiego. Młodzież jeno była gruntem urodzajnym i dobrze uprawnym, na którym szczep rozrósł się w drzewo, zajaśniał kwiatem rumianym i owoc wydał stokrotny. Gdyby rodowód reformy był inny, nigdyby nie wydała tak doniosłych i tak pożytecznych wypadków.

Trudno tu się rozwodzić nad charakterystyką rozwijających się na takiéj podstawie owoczesnych stosunków młodzieży uniwersyteckiéj, „promieniejących" dziwną czystością i powagą uczuć i myśli w formie koleżeństwa szkolnego, nacechowanych „miłością cnoty" daleką od klasztornego przymusu, ale niewyczerpa-

ną w wynajdowaniu okrasy i ponęty dobrego. Trzeba posłuchać czytania dotąd niedrukowanych, niestety! wspomnień dziekana Józefa Kowalewskiego, jak ów „Arcy", ów „największy szczupak" Tomasz Zan, autor pierwszéj ballady na bruku wileńskim, jak za nim „Mentor" Jan Czeczot, późniejszy zbieracz pieśni ludowych nad Niemnem i Dźwiną, jak „krzywousty i kudrawy" Maryan Piasecki i inni „prowodyrowie stada" wysilali dowcipy na robienie zasieków i przekopów, powstrzymujących kipiącą młodzież uniwersytecką od przekraczania granic właściwych. I tłumne zgromadzenia wieczorne w mieszkaniu jednego z kolegów, i tłumniejsze jeszcze wyprawy świąteczne za miasto, połączone z obozowaniem przy mleku i chlebie razowym, i samotne a tęskne zbijanie bruków po pod oknami upatrzonéj bogdanki, do któréj rzadko przelotne wejrzenia, najczęściéj same tylko wzdychania dolatywały, a wreszcie i zręcznie podżegane współzawodnictwo w elukubracyach wierszem i prozą, po polsku i po łacinie:—wszystko było z przebiegłością rzec można macierzyńską obmyśliwane, żeby odciągnąć od nieprzystojnéj zabawy, od kieliszka i wysoce podówczas wziętego faraona. Gdy się ów król kosterstwa rozpierał na „złotych" i na „srebrnych" salach w Wilnie, okładały go *Wiadomości Brukowe* biczem satyry; na zgromadzeniach młodzieży biczem nań były „jamby," tudzież rozprawy naukowe i moralne. Największą sztuką przewodniczących było dokazać, żeby nie domyślano się przewodnictwa; żeby ugruntowanie w cnocie, zamiłowanie nauki i gotowość do poświęceń

[redacted]

niby same od niechcenia przychodziły; żeby buta młodzieńcza nie widziała i nie czuła pajęczych więzów, któremi ją bratnie dłonie krępowały; żeby owszem niewolnik rad był ze swojéj niewoli. Pod tym względem zdarzały się pomysły strategiczne i psychologiczne, mogące się nie powstydzić porównania z pomysłami najzręczniejszych strategów klasztornych, celujących, jak wiadomo, w knowaniu planów zapobiegania złemu pomiędzy bracią.

A jeżeli wszelkie zabiegi nie poskutkowały, jeżeli zwłaszcza właściwa młodemu wiekowi chętka bujania samopas po stepaach i lasach wyobraźni, odprowadziła któregokolwiek od warsztatu powszedniéj pracy: warto posłuchać, jak umiano wtedy karcić zbytnika. Jedno ze świadectw takiéj wysokiéj umiejętności, przytoczone przez samego Odyńca w liście z Rzymu, podanym w *Kronice Rodzinnéj*, mamy w téj chwili przed oczyma. „Edwardzie!"—pisze Czeczot do swojego „Telemaka,"—„nie mogę cię nazwać *kochanym*, bo nic jeszcze nie zrobiłeś *kochanego*; a jak słuchy dochodzą, historyi, prawa, łaciny nie umiesz, nie uczysz się i cały romantycznością romantyczną odurzony, klassyków prawdziwych nie znasz, a przeciw klassyczności powstajesz; piszesz wierszyki niepomyślane, niewyważone i niemi kolumny dzienników zapełniasz. A zatém jeszcze Edward nie *kochany*, póki historyi, prawa i łaciny nie umie, póki czego kochanego nie zrobi, a skromniejszym się jeszcze nie stanie... Ach Telemaku! nie wiem, czy tylko piszesz, czy i sądzisz? Jeżeli

tylko piszesz, to jeszcze pół biedy, bo źle napiszesz, to choć komu czas darmo zabijesz, ale wolniejszy jesteś na sumieniu. Lecz jeżeli źle osądzisz, to choćbyś za swém nie pociągnął zdaniem, nie jesteś wolny od grzechu. Sędziego ciężki jest urząd. Długo się trzeba sposobić, wiele znać, wiele umieć; mieć zdanie zdrowe, czyste, wysokie, mieć rozum wielki i siły olbrzymie... Nie sądź bardzo drugiego, nie sądź bardzo ogółu; sądź najprzód siebie samego, a jak siebie się nauczysz, to będziesz może mógł coś prawdziwszego wyrzec o podobnym sobie. Nie eryguj się nigdy na sędziego! Bóg zda się ani ciebie, ani twego Mentora na to nie przeznaczył. Skromny im pracy jest wydział, może wątpliwa jéj wartość, ale o tém niech inni sądzą! Oni, chociaż jak drudzy sądzić mogą w kącie, publicznie powinni tylko występować z pracą, a nie z sądami... Jedna niech będzie książeczka, ale dobra; jedno zdanie, ale zdrowe! Lepsze jedno ziarnko pożywne od korca plew nieużytecznych. Poczciwych ludzi zadaniem być powinno uczyć się i myśleć co najwięcéj, a mówić i pisać jak najmniéj... Zmiłujcie się, wzmagajcie chwałę narodową! ale niechaj nic gwałtem nie kwitnie; bo pisać tylko wiersze dla tego, żeby je potém drukować, dalipan, czyby nie lepiéj pójść glinę wozić taczkami? A więc Telemaku *szanowny!* nie kończ i nie sztukuj swych kusych do mnie listów wierszami, bo ja chcę listów a nie żurnałów; a listów, jeśli można, chcę częstszych. Boję się, żeby się nie rozpuścił Telemak, a ja żebym nie stracił tytułu i władzy Mentora..."

[redacted]

Takiemi to słowy—zamiast pochlebiania „*świa-tłej młodzieży uniwersyteckiéj*”, jak dziś czynią po niektórych czasopismach—przemawiali do młodszych przewodnicy lub starsi towarzysze ławy uniwersyteckiéj, a słowa ich nie były pisaniem na wodzie i wietrze, bo uczynki stały za niemi. Nie rozprawiano wówczas na ulicach i przecznicach miasta o „powstawaniu” świata, choć lepiéj od nas umiano i rozumiano Laplasa; ale za to pierwsza w języku polskim geografia matematyczna, pierwsza fizyologia, pierwsza chemia, pierwsza astronomia, pierwsza historya powszechna, pierwsza ekonomia polityczna były napisane i ogłoszone w Wilnie przez professorów lub wychowańców tamecznéj wszechnicy. Patrząc na nich wzmagało się sercem i umysłem owo świetne pokolenie Chodźków, Czeczotów, Daniłowiczów, Ignacych Domejków, Jeżowskich, Kontrymów, Kowalewskich, Malewskich, Malinowskich, Mianowskich, Mickiewiczów, Odyńców, Wiernikowskich i Zanów, w których gorące uczucie nie zawadzało rozważnéj myśli, a dodawało jéj szlachetności, w których wyrozumiałość dla innych rosła na gruncie surowości dla siebie samego. W okresie czasu, o którym mowa, w tłumnéj plejadzie tylu przyszłych znakomitości literackich, raz tylko *jeden* zaostrzyło się młode pióro na artykuł krytyczny: Mickiewicz napisał poważny zresztą i łagodny rozbiór *Jagiellonidy* Tomaszewskiego. Ale za to kto ciekaw, niech porówna np. pierwsze wydanie *Konrada Wallenroda* z późniejszemi, a przekona się z drobiazgowych poprawek, jak nawet powszechny poklask dawany temu poematowi, nie roz-

broił surowości autora względem własnego dzieła. Co Czeczot w imię „kochania” z dziwną prostotą i słodyczą przypominał Odyńcowi, to stanowiło zbiór zasad z praktyki codziennéj wyczerpanych i szanowanych jak przykazanie. Święta potęga miłości wzajemnéj była tylko ich krzewicielką i piastunką między młodzieżą.

Ktoś gotów zapewne powiedzieć, że stosunki przywiązania, serdeczności i zachęty wzajemnéj, jak owe malujące się w słowach Czeczota do Odyńca, są i dzisiaj nierzadkie, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, zawsze głębiéj i rzewniéj czującą od ludzi posuniętych już w lata i wystudzonych rozczarowaniem. Bez wątpienia, przykłady takich stosunków nie są rzadkością, i smutna przyszłość czekałaby społeczeństwo, gdyby się stało inaczéj, gdyby młodzież nieroztropnie uwierzyła, że święty ogień Westy jest znamieniem słabości charakteru. Ale to niezawodna, że tak uorganizowanéj jak w Wilnie, tak wyćwiczonéj i tak jednolitéj falangi, mającéj za regulamin cześć w uczuciu i w czynie dla wszystkiego co zacne i piękne, nigdzie ani przedtém ani potém nie było między młodzieżą uniwersytecką. Jakoż więzy koleżeństwa, które najczęściéj rozluźniają się i zrywają po opuszczeniu murów szkolnych, tam krępowały na zawsze, na całe życie doczesne, a może i na życie po zgonie w jedności wiary i cnoty. Butwiejące archiwa uniwersytetu wileńskiego, szczególniéj z czasów po roku 1820, mogłyby na to siła dostarczyć dowodów; niemało też ich dostarcza korrespondencya prywatna, któréj cząstkę zaledwie odnoszącą się do Mickiewicza i Lelewela ogłoszono, gdy część nierównie

[redacted]

większa dotąd spoczywa w ukryciu. Ale po co już dzisiaj przywoływać martwe karty na świadki życia? Dość spojrzeć na pozostałych z owéj doby, kiedy się z sobą spotkają: co tam bywa radości, gwaru, wycieczek w przeszłość i przyszłość, rozpraw naukowych, filozoficznych i estetycznych, potakiwań i sprzeczek, upadków i tryumfów, jak gdyby ciężar lat pięćdziesięciu przebytych w doli i niedoli, bark nie uchylał ku ziemi! Przypatrując się i przysłuchując tym rozprawom, nieraz czujesz się przeniesionym wstecz o pół wieku, na zgromadzenia owych „miłośników cnoty”,—tylko że widzisz mniéj trochę rumieńców, a więcéj zmarszczków na licach, słyszysz mniéj mowy o sentymentalnéj miłości, a więcéj o twardych życia zagadkach. Zresztą—„moc nałogu!”—takiéj subtelności w obejściu, takiego zgadywania woli piękności, takiego skwapliwego wykonywania jéj rozkazów i takiéj za to wszystko nagrody w życzliwości wzajemnéj, dziś jeszcze im starym pozazdrościć można. I tak też wszystko do nich na zawsze przylegało, co wynosili z Wilna na drogę życia. Od Połągi, gdzie Mickiewicz w piaskach zasuwających zioła kwitnące upatrywał porównanie do postępów germanizacyi, aż za Kaukaz, gdzie jeden z Chodźków pierwszy wymierzył szczyt Araratu—od Wołgi, nad którą Kowalewski układał pierwszy słownik języka tatarskiego, aż do Brukselli, w któréj Lelewel tłómaczył cudzoziemcom zagadkę ich własnéj geografii i numizmatyki średniowiecznéj—od Teheranu, gdzie Pietraszewski w grobowych napisach i w umarłym języku Zenda-Vesty dobadywał się pokre-

wieństwa między starymi Persami a Słowianami, do Chili, gdzie Domejko czarodziejską laseczką nau wskazywał skarby ukryte w ziemi:—wszędzie za nii i z nimi szły obozem ich nabytki duchowe. „Rozci ga się ten łańcuch, ale nie pęka," dobrze jeden z ni powiedział o przywiązaniu.

To uczucie braterskiego przywiązania, we wszys kich swoich objawach, nie było kwiatem bez owoc lub martwą wiarą bez uczynków, lecz pomoc wzajei na między najbliższymi i najdalszymi kolegami, sta u nich na pierwszym względzie. Dość zajrzeć do świ żo wydanéj, niewymownie szacownéj *Korrespondenc Adama Mickiewicza*, aby się zaraz od pierwszych ka przekonać, jakie pomiędzy tymi ludźmi było baczen na potrzeby każdego, jaka skwapliwość w niesien pomocy materyalnéj i moralnéj, tém upartsza, im wi ksze były przeszkody a środki szczuplejsze. Rzecl można, iż jasnowidzenie współczucia, zkądinąd zres tą naukowo stwierdzone, o mil sto ostrzegało o tę knicy albo przygodzie towarzysza, potrzebującego ja Konrad bratniego słowa lub ręki bratniéj ku podźw gnieniu. I pomoc koleżeńska, czy to moralna, c materyalna, nie zawodziła, a była tém snadniejsza (przyjęcia, że stanowiła albo odpłatę za wyświadczoı już innemu usługę, albo zadatek takiegoż wywzaj mnienia się względem któregokolwiek z braci w prz szłości. Co zaś najmilsza w towarzyskiém obcowani wszystko to się robiło jako rzecz najpowszedniejsz i jakoby nie warta uwagi. Jak nie było pedantyzn w nauce, tak nie było też wymuszenia w postępowani

prostota i ton żartobliwy stanowiły atmosferę moralną stosunków; najsurowszéj powinności po *frejentowsku* nadawano dowcipne pozory. Piastowano kapłaństwo sztuki, ale poecie kazano za pomocą czytania swych utworów wynudzać ze zwalisk upiora, którego modły i zaklęcia wystraszyć nie mogły,—i ballada dodaje, że skutek nie zawiódł oczekiwania. Wzajemnie zachęcano się w pracy, ale mówiono, „oryentalnie a razem z litewska", że jest to „w szkapę lenistwa próć ostrym kijem przymuszania." Wspierano się kęsem chleba, najczęściéj od własnych złaknionych ust odjętym, lecz powiadano z uśmiechem: „Prawda, że czasem źle marnuję pieniądze; ale kiedy mam grosz, każdy z przyjaciół może wziąć z niego trzy czwarte." Albo też krótko i węzłowato pisano: „Odbierzesz tu rubli assygnacyjnych sto, połowę dla ciebie, połowę dla Janka. Może Janek przyjąć bez skrupułu: to są pieniądze uzyskane z *Wallenroda*." Albo z innego tonu: „Ja i Adam mamy po jednéj izbie, już jesteśmy bez naszego (skarbowego) stołu; na teraz jeszcze objadamy Zaleskich. Adama poezya dzwoni zębami i moja proza nie lepiéj... Ta pani Wołkońska jest dziwnéj dobroci osoba. A jak tam ciepło! na schodach ciepléj, niż u mnie przy piecu." Albo jeszcze z Orenburga: „Adama i wszystkich wiernych Bogu poleca Abdragan Mołła... Chodzę z siekierką, już to aby w przypadku bronić się od Kirgiza, już aby w zaroślach czynić sobie łatwiejsze przechadzki. Część dnia gorętszą, jednostajniejszą i większą przepędzam na uczeniu Piotrusia, na czyta-

niu książek, na pisaniu dziełka o poznaniu siebie. Jeśli Bóg nie udzielił mi zdolności, darów i zręczności do czynienia rozleglejszych posług, uczenie, kształcenie choć jednego człowieka godnie wchodzi do celu życia... Przez trzy lata dochód mój nie przechodził ogółem 400 rubli assygnacyjnych; od was przysłanych dostało się mnie rub. 60 assygnacyjnych..." i przytém ani słowa skargi na ludzi lub losy!... Albo wreszcie taki opis żałoby po rozstaniu się z Mickiewiczem na długie lata: „Teraz byłem u Szymanowskiéj, gdzie przypominam, żem nic nie jadł. Wszędzie łzy, u jednych zasychają, u drugich jeszcze płyną. Z Odyńcem chociéśmy się uzbrajali w wino i porter, mimo to Odyniec beczy, a ja jak na licho, patrząc na panny płaczące, nie mogę się od łez wstrzymać... Wszystko było łzawe, poświadczam..." Czy my dzisiejsi lepiéj postępujemy, ciągle się własném przechwalając posłannictwem, najmniejszy drobiazg podnosząc do godności czynu społecznego? Czas, biegły chemik, należycie to kiedyś wyświeci rozbiorem ilościowym i jakościowym...

Jednym z przedmiotów dopiero co scharakteryzowanéj koleżeńskiéj troskliwości między wychowańcami wszechnicy wileńskiéj, była podróż Mickiewicza za granicę. Troskano się o nią już na długo przed spełnieniem zamysłu; owszem nawet znalezienie dla poety towarzysza podróży, z dawna na pilnym miano względzie. Pierwszy ślad zamiaru wyprawienia autora *Grażyny* za granicę, spotykamy w liście Józefa Jeżowskiego do Franciszka Malewskiego, pisanym

[redacted]

6 maja 1822 roku, zatém na lat siedm przed spełnieniem zamysłu. Mowa naówczas była o wysłaniu Mickiewicza i Jeżowskiego w podróż zagraniczną kosztem uniwersytetu, dla uzupełnienia wiadomości potrzebnych professorom. Podawał ich jako kandydatów książę kurator, a koledzy tém bardziéj tego życzyli, że spodziewali się poprawy zdrowia Mickiewicza we Włoszech i Francyi południowéj. Ponieważ jednak poeta nie spełnił był wszystkich formalności naukowych, wymaganych po takich kandydatach do podróży, a mianowicie nie przybrał się do zdania egzaminu na stopień magistra, więc rada uniwersytecka jeszcze zwłóczyła. Tymczasem w roku następnym, znalazły się po za granicą kufrów kassy uniwersyteckiéj pieniądze, o które się postarali przyjaciele, by cierpiącemu na rozdrażnienie nerwów od pracy, a dotkniętemu boleśnie fatalnym obrotem serdecznych stosunków z Maryllą, nastręczyć sposobność wytchnienia i rozerwania myśli. Wówczas to najtroskliwszy ze wszystkich mentorów Jan Czeczot, wypowiadał już troskę o towarzysza niezbędnego poecie w podróży.

„Staraj się dłużéj utrzymać za granicą—pisał Czeczot do Malewskiego dnia 21 stycznia 1823 roku,— bo z Adamem nie wiadomo co zrobić. Uczyć daléj żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi, że go lekcye na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje. Każdy widzi, sam pragnie, doktorowie radzą, że mu potrzebny koniecznie wojaż;

ale jakiż ma być jego wojaż? jakiegoż on pragnie? *Czy się uczyć? Broń Boże! chodzić a chodzić.* Ze wszystkich twoich opisów Riesen-Gebirge (góry Olbrzymie na granicy czeskiéj od Szlązka) najbardziéj go zajęły. Może ta mania ustać, jak się ujdzie mil sto, a chodzenie nie będzie nowością, może i posiedzi gdzie przez zimę; lecz czy tak czy owak, zawsze potrzebny za granicą punkt jakiś bliższy, do któregoby i na zimowe leże powrócił, i w każdém zdarzeniu mógł się zgłosić. Dziwna to jego będzie pielgrzymka! *Ni to jemu razem pieniędzy dać można, ni pewnym być, że gdzieś nie okradną, albo sam od razu nie straci,* a potém zostanie w ciężkiéj potrzebie. A gdzież się wówczas uciékać? Nie wiem też, jak mu w jego humorze przypadnie być między obcymi, a na zyski czyhającymi ludźmi; najczęściéj zapewne będzie samotny: nie pójdzie on bowiem poznawać ludzi, ale Riesen-Gebirge; doliny, łąki, te go zajmą, a to wszystko wątpię, czy nie będzie miało szkodliwego na jego imaginacyę wpływu. *On zdaje się potrzebować ciągle nad nim czuwającego anioła stróża,* a tam same tylko będą dla niego głazy. Z tych przyczyn im bliższy będzie punkt jego kommunikacyi, tém mu będzie lepiéj i weseléj. Że go wyprawić trzeba, to rzecz konieczna, bo do reszty się zdrowie jego zrujnuje. Staraj się więc Franciszku pozostać dłużéj za granicą, *bo inaczéj boję się go wyprawić* i t. d."

Podróż ta pod opieką Malewskiego nie przyszła wówczas do skutku. Przerwana zbiegiem wypadków

[redacted]

w r. 1823, a następnie odwrócona w inną stronę, bo do Odessy, Krymu, Moskwy i Petersburga, w lat sześć dopiero na nowo się nawiązać i urzeczywistnić dała. Atoli plan wyprawy za prozaiczne rogatki celne pruskie i poetyczne słupy żelazne spoczywające na dnie Sali, skreślony w liście poczciwego „Janka" do Malewskiego, nie zmarniał bezpożytecznie, choć się odłożył. Spełnił się z małemi zmianami w roku 1829. Czeczot w swym liście kładł za warunek, że celem podróży nie miała być „broń Boże" nauka, ale odpoczynek i rozrywka; tak się też odbywała po sześciu latach, jak to widzimy w obecnych i dalszych *Listach* Odyńca, oraz w skąpych kilku biletach samego Mickiewicza. Nad Renem lub w Alpach, zamiast studyów geologicznych, mamy lubowanie się widokiem malowniczych zamczysk średniowiecznych i „wschodem słońca na Righi," albo też tęskny zwrot myśli ku téj, z którą poeta „nigdy, nigdy się rozstać nie może." W wielkich i małych zbiorowiskach ludzi, zamiast badań etnograficznych, ekonomicznych, lub co gorsza, „okurzania pyłów po bibliotekach," jak się wyraża o swych poszukiwaniach naukowych we Włoszech uczony nasz optyk Ciołek, widzimy same tylko uroczystości i zabawy salonowe, nieustanny gwar życia pod przewodem ludzi znakomitych stanowiskiem towarzyskiém, lub jeszcze znakomitszych zasługą. Nawet oglądanie słynnych po wszystkie wieki wirydarzów sztuki ludzkiéj, odbywało się nie z książką słynnego nieboszczyka Winkelmana w ręku, ani w żywém to-

warzystwie równie słynnego Viscontego, lecz w gronie najpiękniejszych dzieł ręki bożéj, ku którym uczucie szacunku, a pono i tkliwszego przywiązania, ozłacało te miejsca, „gdzie kolumn rząd i tłum posągów stoi.” Świadectwo takiego charakteru wycieczek archeologicznych, zapisał Mickiewicz w cudnym wierszyku, ogłoszonym dopiero w r. 1871:

... Mój Ciceronie! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu,
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadnąć przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Młodość i poezya, dwie nadobne siostrzyce, nie odstępowały naszych podróżnych. Samo nawet czytanie Liwiusza w zwaliskach Kolosseum nie było Mommsenowskiém syllabizowaniem i nicowaniem autora, choć ku temu wychowańcy „oddziału literatury i nauk wyzwolonych” w Wilnie wyostrzone posiadali narzędzia,—lecz było wynikłością poetycznéj potrzeby bezpośredniego wrażenia, jakie wśród zwalisk Rzymu wywierać może dziejopis sławiący jego potęgę. Nauka z tego wszystkiego sama się czepiała umysłu i sama się odbijała w *Listach* Odyńca; lecz uganiać się z nią nie było w zamiarach podróżników.

Podobnież się stało co do wyboru przez Mickiewicza i Odyńca punktu „na zimowe leże,” wzmian'

wanego dawniéj w liście Czeczota: za taki punkt, nieco odleglejszy, niż marzył Czeczot, obrali byli nasi wędrownicy wieczne miasto, do którego od czasów Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego, poeci polscy ubitym szlakiem ciągnęli. Podobnież było wreszcie z uczynieniem zadość „potrzebie ciągle czuwającego anioła stróża;” różnica zaszła tylko co do osoby. Zamiast starszego wiekiem opiekuna, jakim byłby Franciszek Malewski, Mickiewicz dostał młodego, poświęconego, po trochu jak on sam egzaltowanego, ale czujniejszego odeń towarzysza w Odyńcu, o którym sam autor *Grażyny* powiadał, „że gdyby znalazł podobną do niego kobietę (ma się rozumieć nie z wdzięków), gotówby się zaraz ożenić, pod jednym wszakże warunkiem, aby nie tak była ochoczą do szukania nowych przyjaciół.” Cóżkolwiekbądź, obowiązki Odyńca przy Mickiewiczu były właśnie takie, jakie Czeczot zamierzał był zlać na Malewskiego. Jak je spełniał Telemak nagle przeobrażony w Mentora, jak pilnował, iżby wieszcza nie okradli lub sam nie stracił pieniędzy, o tém już się czytelnik z *Listów* dowiedzieć potrafi. Wszakże nie darmo były one poniekąd raportami, składanemi niby delegowanym owego szerokiego koła, które myślą i sercem, od ławy uniwersyteckiéj, wszędzie towarzyszyło poecie...

Tak się ta podróż wywijała i przygotowywała ze stosunków koleżeńskich, jedynych w swoim rodzaju, które podówczas opromieniały miłość cnoty i nauki między młodzieżą, a potém dojrzalszych wiekiem

bratnią przyjaźnią wiązały nawzajem. Szacowne szczegóły téj podróży stanowią osnowę saméj książki, a są tak naocznie i niemal dotykalnie wystawione, że uwalniają od niepotrzebnych kommentarzy, które ich przezroczystość tylko zaćmićby mogły. Co najwięcéj, tu lub owdzie króciutkie objaśnienie mniéj znanego, podrzędnego szczególiku lub imienia zamierzchłéj gwiazdy dziesiątéj wielkości, może okazać się potrzebném, i to się poda w przypiskach. Lecz pozostaje napomknąć jeszcze o bliższym stosunku osób, między któremi toczyła się z oddala rozmowa o téj podróży, obecnie po wielu latach odzywająca się żywym głosem, jak owe słowa zamarzłe w powietrzu zimowém pod biegunem, a roztajałe i przemawiające na nowo z nastaniem ciepła wiosennego, o których przed zdumionym cesarzem niemieckim miał według legendy rozpowiadać Aleksander Lisowski, sławny wódz nazwanych jego imieniem lisowczyków. To nam wyjaśni powód braterskiéj poufałości *Listów* i zajmowanie się w nich najdrobniejszemi nawet szczegółami, ściągającemi się do Mickiewicza.

Któż z nas nie zna autora *Obrazów Litewskich*, Ignacego Chodźki? albo tłómacza *Bozkiéj Komedyi* Juliana Korsaka? albo autora *Felicyty* i *Barbary Radziwiłłówny* Antoniego Edwarda Odyńca? Było to z różnych względów jakoby „Trzech Budrysów" litewskich. Dwaj z nich, mianowicie Chodźko i Odyniec, byli z tych samych okolic, do ówczas znanych i słynnych tylko z nauk i wychowańców akademii smorgońskiéj; obaj też, lubo nie jednocześnie, kształcili się

[redacted]

w szkołach bazyliańskich w Borunach. Korsak, urodzony w Słonimszczyźnie i kształcony początkowo w Szczuczynie u pijarów, niewiele odbiegł od dwóch poprzednich miejscem urodzenia, a bardzo już był zbliżony jednostajnością wychowania kierowanego przez zakonników, nim wszyscy trzéj w późniejszym czasie połączyli się ściślejszemi węzłami powinowactwa. I. Chodźko i A. E. Odyniec zaślubili rodzone siostry Mackiewiczówny, z których jedną, Ludwikę Chodźkową, jako „nieznajomą daleką" znajdujemy wspomnianą w poezyach „nieznanego dalekiego" Mickiewicza; o drugiéj zaś, Zofii Odyńcowéj, wśród licznych wzmianek w jego listach, napotykamy i tę, że gdy pisał *Pana Tadeusza*, „miał ją często w myśli, malując heroinę poematu swego Zosię." Nareszcie małżonka J. Korsaka była synowicą Chodźkowéj i Odyńcowéj; nie znajdujemy o niéj napomknień w Mickiewiczu, ale zapewne tylko dla tego, że dotychczas nie ogłoszono żadnego jego listu do Korsaka. Przypuszczenie to z tém większą godzi się stawić pewnością, im wyraźniéj w korrespondencyi poety przegląda jego serdeczne zajmowanie się nawet drobiazgami, sprawiającemi radość przyjaciołom. Nie przepominał przecież doradzać swym zaufanym nawet imion chrzestnych dla dzieci, mających się dopiero narodzić! Dla wszystkich rówienników, z którymi łączyła go zażyłość, autor *Grażyny* był w stosunkach domowych niby Krywe-Krywejtą, niemal bożkiem rodzinnego ogniska, z którém w dziwnie ujmujący sposób zawsze się umiał

jednoczyć. Cóż dziwnego, że płacąc mu za to pı wiązaniem niemal rodzinném, zajmowano się j osobą jakby bratem lub siostrą?

Atoli największą i dla późniejszych pokoleń : zrozumialszą spójnią tak między samymi listujący jak między nimi a Mickiewiczem, stanowił ów d życia uniwersyteckiego, o którym rozpisaliśmy się wyżéj, a który jeżeli nie najdonośniéj, to w każ razie najwyraźniéj ujawnił się w kierunku literac wszystkich czterech towarzyszy. „Nasz stosu samotrzeci”—pisze Chodźko do Korsaka, zwrac zarazem myśl do Odyńca—„zawiązała przyjaźń n dzieńcza, podtrzymywało jedno dążenie i jeden życia: naukowa praca i kształcenie się religijno-ralne, nakoniec utwierdziło powinowactwo famil po naszych żonach. Sam przyznasz, że to jest je z arcy rzadkich zdarzeń, które troje ludzi oplata rzeczywistemi węzłami.” W innéni zaś miejscu, p nosząc się w czasy młodości, tak opisuje tę wła epokę, w któréj się prowadziło listowanie z podr „Nowe gwiazdy jawić się poczęły na firmamencie rackim i gasić dawniejszych luminarzy. Pan Igı niewiele odbiegły wiekiem od akademickiéj młodzi wśród któréj się te fenomena reformy odbywały, ı ich prawie wszystkich, a kochał i był kochany tych szczególniéj, z którymi go wzajemna poety zbliżała sympatya. Pan Edward i pan Julian ı bliżéj złączeni z sobą, chętnie i ochoczo zawią miłe wzajem z panem Ignacym stosunki. On w

[redacted]

towarzystwie przedłużał swą młodość i wszystkie jéj ułudy; oni w jego większém ze światem otarciu się jako starszego, niewyczerpane mieli źródło dowcipnych spostrzeżeń, podniecających młodzieńczą ich wesołość; a wszyscy trzéj w poetycznych projektach, poufnych powierzaniach się i zachętach, coraz to nowe rozkosze serca, coraz to większe powody wzajemnéj przyjaźni znajdowali..." „Byli to"—dodaje—nowi *renegaci klassycyzmu...*" Otoż i węzeł zjednoczenia wszystkich z czwartą postacią działającą w *Listach.* Adam Mickiewicz był nawrócicielem, kierownikiem myśli, rozkoszą serca, przedmiotem czci bałwochwalczéj nietylko jako człowiek, lecz i jako chorąży, trzymający wysoko sztandar nowego kierunku literackiego i społecznego. On, jak ów Halban, poeta romantyczny dla Wallenroda, „był i duszy ich spowiednikiem, i powiernikiem ich serca." Słowa jego, jak powiada Odyniec, „miały dla nich wpływ i własność wiosennego grzmotu; myśli po nich występowały, jak trawa z ziemi." Po trzydziestu latach od nawrócenia na romantyzm, wszyscy trzéj razem po raz ostatni w tém życiu zebrani, jeszcze, jak świadczy Chodźko, „słuchali słów mistrza." Kto się chce więcéj dowiedzieć, niżeli w ciasnych ramach przedmowy zawrzeć można, ten niech przeczyta w pismach Ignacego Chodźki jego *Dwie Konwersacye z Przeszłości* (pierwsze wydanie 1857, drugie 1872 w Wilnie u Zawadzkiego). Tak pewną ręką kreślonego rysunku, tak barwnego malowidła przeszłości, takiego ciepła uczuć ożywiających pisarza, po trzydziestu kilku latach rozpamiętywającego wypadki,

nawet w bogatéj pamiętnikowéj literaturze zagranicznéj spotkać niełatwo. Ileż to być musiało serca w saméj dobie wydarzeń, kiedy „pieśń nową, drżącą przed dawnéj mistrzami, ośmielał huf braci rówieśnéj," kiedy „geniusz w wodzu szedł gwiazdą przed nimi," gdy „byli silni wspólnemi siłami, wierzyli w tryumf swéj myśli plemiennéj?..."

Jest zwyczaj dość pospolity za granicą, że przedmowy do dzieł cudzych piszą się dla pochwalenia lub zachwalenia autora: wypadałoby przeto utartym gdzieindziéj torem, choć bez potrzeby, i choć na końcu powiedzieć coś miodowego o podróżniku i jego książce. U nas jednak wysławianie autora pod okładką jego dzieła, na pokaz przed jego czytelnikami, równie jak wysławianie gospodarza w jego domu, na głos przed jego gośćmi, jeżeli się może dawniéj zdarzało, dziś Bogu dzięki nie poczytuje się za rzecz godną naśladowania. Lecz jeżeli piszący te słowa sam na swe usta z obowiązku pieczęć kładzie i własnemu każe milczeć sądowi, nikt mu za złe nie policzy, gdy wspomni o pochwałach dawanych przez innych, a zwłaszcza takich, których nie wolno posądzać o marne przypochlebianie się ludziom. Otóż świadectwo dobrze spełnionego przy Mickiewiczu towarzystwa, mamy zapisane w jego *Korrespondencyi*. „Wracałem przez Simplon—pisze z Rzymu do Odyńca 19 listopada 1830,—„i smutno mi było w tych miejscach i pokojach stawać, gdzieśmy niegdyś piechotne, wesołe miewali noclegi. Bo niezawodnie tamta podróż była ze wszystkich najprzyjemniejszą." W innym

liście pisanym z Bexu 9 lipca 1833, jeszcze tęskniéj się odzywa o wspólnym pobycie w Dreźnie: „Jeśli chodzisz do Plauen, przypominaj tam miłe czasy naszego pobytu! Już potém równych nie było dla mnie!”... Serdeczność tryskająca z tych wyrazów pełnych prostoty, dowodzi serdeczności ożywiającéj samą podróż, i ona to nie co innego tak ozłociła *Listy*, tak uczyniła je powszechnie miłemi. Wybrane grono najcelniejszych w Warszawie umysłów, po przeczytaniu ich udawało się do Odyńca z przełożeniem, by koniecznie wziął na siebie pisanie życiorysu Mickiewicza. Tłómacząc ich myśli, Deotyma ze znaną sobie trafnością definicyi mówiła o jego *Listach* w wierszu zamieszczonym w *Bibliotece Warszawskiéj*, że „zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela, że „dowcip z nich puszcza nie zatrute strzały”, że jest w nich „owa staropolska prostota, co to jak kotek mruga filuternie”, że „na dnie ich serce ze szczerego złota”, że ich autor jest w nich „dwakroć poeta, pieśnią i przyjaźnią”. Dla tego to owe *Listy*, że jeszcze powiemy słowami autorki odezwy, „obiegły kraj cały, wszędzie witane jak list przyjaciela.” Wybiegły nawet za granice kraju. Daleko we Florencyi czytał je Teofil Lenartowicz, i oto co napisał 6 lutego 1871 r. w liście poufnym do przyjaciółki, ogłoszonym w *Kuryérze Codziennym*: „Część *Listów z podróży* czytałem w *Kronice Rodzinnéj*, pożyczonéj mi od kogoś z przejezdnych, i nacieszyć się nie mogłem dowcipem i fantazyą polską. Listy Heinego przy téj swobodzie niewymuszonéj, jakże się wydają pretensyonalne! Listy Betiny Arnim za poetyczne, pani de

Sevigné za dworskie i drobiazgowe. Jest to w swoim rodzaju arcydzieło, jakiemu równego nie posiada nasza ani żadna literatura; pisząc je p. Edward Antoni nie wiedział, że był prawdziwie inspirowanym, ale też tylko tak powstają pieśni ludu, epopeje i wszystko co ma pozostać." Takiéj pochwały z pod pióra co napisało *Zachwycenie* i *Złoty Kubek*, zapewne żaden poemat nie doczekał. A to tylko zwyczajne listy, pisane od niechcenia do przyjaciół...

Wypadek—bynajmniéj zresztą nie ślepy—zrządził, że *Listy z podróży* doczekały się trudnego w naszém położeniu uznania zagranicy, i to pośród narodu najnieprzychylniejszego dziś Polakom z pobudek plemiennych i innych. Professor Bratranek w Krakowie przetłómaczył na język niemiecki część tych *Listów*, odnoszącą się do pobytu naszych podróżników u rodziny Göthego w Wejmarze, i ogłosił pod tytułem: *Zwei Polen in Weimar*. Dziennikarstwo niemieckie nad Sprewą, nad Renem i Dunajem, zawrzało na ten raz jednomyślnym poklaskiem i rzuciło się do przedrukowywania wyjątków. Sprawozdawcy wołali, że znaleziono „skarb ukryty" (ein ungehobener Schatz). Tłómacz dedykował swój przekład synowéj wielkiego Göthego pani Ottylii, któréj wizerunek blizko przedpółwiekowy narysował Odyniec w VI-m i VII-m swym liście. Dostojna matrona w piśmie dziękującém prof. Bratrankowi za dedykacyę, ogłoszoném w *Bibiotece Warszawskiéj*, napisała następne słowa: „Szczerze mogę panu powiedzieć, że pomimo tylokrotnych opisów naszego domu i kółka, żaden inny nie daje tak

[redacted]

wiernego wyobrażenia o rodzaju ich towarzyskości, która stanowiąc sama najprostszą, ale też zarazem (że się śmiem tak wyrazić) i najdelikatniejszą gościnność, starała się dla każdéj znamienitszéj indywidualności dostarczać najstosowniejszego materyału; przez co i samo to kółko, acz szczupłe, było wszakże tak pełne interesu, i ojciec (Göthe) jako przewodnik chóru, sam zawsze tworząc szczyt jego, widział się otoczony gronem, stanowiącém niezbędne ogniwo wszelkiéj towarzyskości—gronem wykształconych kobiet" i t. d. Okres to może nawet w języku niemieckim za długi, ale trudno o pochlebniejszą dla malarza pochwałę wykonanego przezeń portretu. Po tych słowach, nie wiem czy jest po co jeszcze dodawać, co drukowano po niemieckich dziennikach, że wielki książę wejmarski otrzymał przekład Bratranka na gwiazdkę 1870 r. od swéj najjaśniejszéj połowicy, która w natłoku tegoczesnych wyrobów muzy niemieckiéj, nie mogła znaleźć nic lepszego i powabniejszego na upominek w dniu uroczystym dla męża.

Zresztą uznanie przez Niemców pracy Polaka, jest dla nas rzeczą podrzędniejszego znaczenia. Niemców nadewszystko obchodziła w książeczce Dra. Bratranka jedna olbrzymia figura Göthego: nas zaś w *Listach* Odyńca obchodzi każdy rys obrazu promiennej doby, któréj światło i ciepło dotąd, jak wieczorem dzień letni, czujemy w sercach i piśmiennictwie krajowém. Kilkakrotnie już się kuszono odtwarzać tę piękną chwilę w rozwoju naszéj literatury i oświaty: nikt nie umiał sprostać założeniu, i rzec można, nie zbliżył się

ku sprostaniu. Dopiero Odyniec po prostu, bez wysilenia i zabiegów, odsłania przed młodém pokoleniem stubarwne malowidło téj przeszłości, jak tajemniczy Twardowski przed Zygmuntem Augustem postać ukochanéj Barbary. Im pilniéj wpatrujemy się w malowidło, tém głębiéj toniemy w zadumie, a z obrazu coraz jaśniéj występuje postać znajoma, ogarniająca wielkiém sercem radości i cierpienia epoki. Znamy tę postać wspartą na Judahu skale, jak wyszła z pod pędzla Wańkowicza; znamy i to oblicze Antinousa, jak je dla potomności odwzorowała w Wejmarze ręka Davida. Zdaje się, że ta postać ożyła i z ram występuje w pełni „młodości górnéj i chmurnéj”, z odbiciem jeszcze „dzieciństwa sielskiego anielskiego” w prostocie i niekiedy wesołości dziecinnéj. A widok ten pociąga nas i rozrzewnia tém więcéj, że nosimy w pamięci i koniec owych kilku wierszy, w których poeta, w ostatnim już roku przed zgonem, zamknął dzieje własnego żywota...

„Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moję młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męzki, wiek klęski;
Polały się łzy me czyste, rzęsiste...”

Wincenty Korotyński.

Czerwiec 1874. Warszawa.

[redacted]

LIST

DO

REDAKTORKI „KRONIKI RODZINNÉJ".

Znałem za młodu światłego i uczonego człowieka, p. półkownika P., wychowańca niegdyś szkoły kadetów, kolegę i przyjaciela Niemcewicza, który całą swą młodość przepędził w wielkim świecie warszawskim, w najwyższych towarzyskich i literackich kołach. Lubił on i umiał z niepospolitym talentem i dowcipem opowiadać mnóstwo ciekawych i zabawnych anegdot o dworze Stanisława Augusta, i o ówczesném społeczeństwie warszawskiém; ale zauważałem z wielkiém podziwieniem, że nie tylko unikał starannie wszelkich poważnych wspomnień o znakomitych wypadkach i ludziach, lecz nawet zapytywany o to odpowiadał zazwyczaj krótko, sucho i z widoczną niechęcią. Nie umiałem odgadnąć przyczyny, aż on mi sam dopiéro, za bliższém poznaniem się na wsi, wytłómaczył ją mówiąc: „Wspomnienia są ostatnim skarbem i świętościami starości, tém droższe, im się dotyczą rzeczy i ludzi bliższych sercu naszemu. Poniewierać się niemi nie godzi. Gdy opo-

wiadam rzeczy błahe i obce dla mnie, mniejsza o to, czy mnie kto słucha. Ale właśnie wtedy słuchają. Jedni dla tego, że im błahość najlepiéj do smaku; drudzy, że posłyszawszy jakąś anegdotę, mogą ją sami potém przed innymi powtarzać. Ale sprobuj mówić o sobie—poczujesz zaraz, że to nikogo nie obchodzi, lub że ci robią łaskę słuchając. Zacznij mówić dobrze o drugich—a bądź pewny, że znudzisz słuchaczy. Jeżeli zaś ci drudzy byli twoimi przyjaciółmi, towarzyszami twojéj młodości, a potém, skutkiem cnót swych i zasług, stali się ludźmi sławnymi, i po śmierci, dla następnych pokoleń, są już tylko jakby typami cnoty, zasługi i sławy:—o! wtedy, mój przyjacielu, milcz o nich przed drugimi jak ściana, jeśli się nie chcesz narazić na najdotkliwsze upokorzenie wewnętrzne, lub na najobraźliwsze posądzenie moralne. Jedni bowiem, aby ci odjąć co im się być zdaje zaletą, okrzykną cię natychmiast że się przechwalasz i kłamiesz; drugim naprawdę nie może się w głowie pomieścić, jakbym ja mógł naprzykład obiadować i śmiać się z Krasickim, grać w warcaby z Naruszewiczem albo w faraona z Trembeckim, pić wino i tańcować z Węgierskim, lub ze sławnymi dziś współuczniami moimi koleżeńskie figle wyprawiać. A cóż dopiéro, gdyby z tych opowiadań moich można było wyciągnąć ten wniosek, że mnie ci ludzie lubili, albo byli przyjaciółmi moimi! Dość już tego, abym dla młodych zwłaszcza słuchaczów, stał się przedmiotem zaocznych przynajmniéj żartów, albo sarkastycznych przycinków, na które

choćbym nie zważał, ale narażać się na nie nie lubię, i nie widzę żadnéj potrzeby."—

Wyznaję, że słysząc kiedyś te słowa, kładłem je, jak zwykle młodzi, na karb uprzedzeń i gderactwa siedmdziesięcioletniego już naówczas staruszka; a lubo sam starzejąc, przekonałem się nieraz (jak to także zwykle się zdarza), że staruszek miał słuszność: nie mniéj przeto często żałuję, że go nie zdołałem nakłonić, aby to, co mi o tych i tym podobnych ludziach nieraz po całych godzinach na cztery oczy opowiadał, zostawił przynajmniéj na piśmie dla tych, coby go z równém zajęciem i uczuciem czytali, jak ja opowiadającego słuchałem. „Jeżeli spotkasz takich— odpowiadał mi na to—to sam sobie powtarzaj albo pisz dla nich coś słyszał; ja ani już ich szukać, ani palców dla nich czernić nie będę".—

Gorzko nieraz wyrzucam sam sobie, żem tego w swoim czasie nie uczynił, nim słyszane szczegóły tak się w pamięci mojéj pomąciły albo zatarły, że już pozostałych w niéj nawet w żadną całość związać nie mogłem. Ale właśnie ta okoliczność dała mi poczuć żywiéj brak, a oraz i przyczynę braku podobnych szczegółów w literaturze naszéj; to jest brak wiadomości o osobistém i towarzyskiém życiu najsławniejszych pisarzy naszych z epok przeszłych, których spółcześni czy przez lenistwo, czy przez obawę sądów ludzkich, spisać nie chcieli; podczas kiedy we wszystkich literaturach innych, anegdotyczna historya autorów tak obszerne i ważne zajmuje miejsce,

a dla cenіących ich dzieła, w obcych nawet kraj
tak wiele ma zwykle powabu.

Jakoż utyskiwania na to stają się coraz powsze-
niejsze; i już przed laty ś. p. Michał Grabow
wzywał usilnie wszystkich literatów, ażeby, jeśli
chcą użyć ich sami, udzielali mu materyałów „do
storyi anegdotycznéj naszéj literatury, to jest do obı
zu nie samych tylko dzieł, lecz ogólnego życia nasze
umysłowego, a więc koteryi literackich lub pojedy
czych ludzi, którzy, w różnych czasach i w różny
miejscach, pomagali do ruchu literackiego, wpływ
nań, lub tylko wystawieni nań byli".—On sam,
pierwszy początek, skreślił i przysłał mi kiedyś kr
ką auto-biografią własną, aby mię do wywzajemni
nia się zachęcić. Po zgonie jego, przed parą laty, p
dałem ją do druku właśnie przez ręce Pani; i gdy Pa
w nowém swém piśmie, otwierasz miejsce dla pod
bnych wspomnień, a wezwanie ś. p. Grabowskiego p
nawiasz: starać się będę z méj strony, aby, o ile m
żności, zadość temu uczynić.

Tymczasem oddaję do rozporządzenia Pani lis
moje z podróży niegdyś odbytéj, pisane do dwó
moich przyjaciół: Juljana Korsaka i Ignacego Chodźl
które po zgonie ich obu do rąk moich wróciły, a kt
rych ogłoszenie jużem był niegdyś przedtém zap
wiedział. List zaś niniejszy racz Pani umieścić, jal
wstęp i przedmowę do nich.

A. E. Odyniec.

1 Grudnia 1867 r. Warszawa.

LISTY Z PODRÓŻY.



I.

Do Juljana Korsaka.

Brześć Litewski, 22 Kwietnia (4 Maja) 1829.

Zdziwisz się odbierając list odemnie z Brześcia. Ja sam dziwię się, że tu jestem. A jestem tylko przejazdem; a jadę do Petersburga! Wczoraj rano ani mi śniło się o tém. Czytałem sobie najspokojniéj Sismondego „*La Littérature du Midi*", kiedy wszedł nasz kochany Eustacy [1]), gość równie miły jak niespodziewany. „Zkąd? dokąd?" — ma się rozumieć piérwsze zapytanie.—„Przyjechałem wczoraj z Berlina, a dziś do Petersburga wyjeżdżam!" — „Szczęśliwy! obaczysz się z Adamem."—„A no! to siadaj ze mną! Jadę w interesie xiążąt Radziwiłłów; mam powóz obszerny; zawiozę cię bez kosztu i odwiozę do Wilna."—

---

[1]) Eustachy Januszkiewicz.

Jak w „Jerozolimie Wyzwolonéj" Eustacy Tassa na widok Armidy:

„Zachwycił zaraz ognia, jako chwyta
Płomienia słoma blizko położona;"

tak na te słowa Eustacego naszego zapaliło mi się w głowie i w sercu, i tak się gracko uwinąłem z paszportem i innemi przyborami do drogi, że już o dziesiątéj wieczorem:

Zagrzmiała trąbka—jak echem grzmotu
Domy się trzęsą od kół łoskotu;
Tętni most głucho—my pędzim śmiało,
Aż niebo w nurtach Wiślanych drżało.
Skrzypi żwir szosse—i mil dwadzieścia
Przemkły jak jedna—i piszę z Brześcia.

Jeśli zaś w Petersburgu odbiorę odpowiedź twą *poste restante*, to obiecuję ci zaraz z nad Newy zacząć uiszczać obietnicę, daną ci w obec Wisły na wyżynach Parchatki (w Puławach), pisania w listach do ciebie dyaryuszu wszelkiéj mojéj podróży, którą wiész, że mi przepowiednia rokuje. Stefan [1]) wierzy jéj równie ze mną; Pan Joachim [2]) śmieje się z niéj i ze mnie; a ja ufam w nią więcéj niż kiedy, widząc jak się podróż dzisiejsza niespodzianie złożyła. Ale będzie, jak będzie!—Tymczasem słyszę już dzwonek zamiast trąbki, i Eustacyusz woła aby kończyć. Bądź więc zdrów! pisz *poste restante*, a będziesz miał odpowiedź i dyaryusz. Czy ciekawy?—obaczymy.

---

[1]) Witwicki.
[2]) Lelewel.

II.

Do tegóż.

St. Petersburg, 5 (17) Maja 1829.

Listu twojego *poste restante* nie ma; ale że jeszcze być nie mógł, a pewny jestem że będzie, zaczynam zatém swoje, nie czekając na niego.

Zaledwie d. 1 (13) Maja, (bośmy się zatrzymywali po drodze u matki Eustachego), o godz. 9 wieczorem stanęliśmy w grodzie Piotra, przed pałacem xięcia Wittgensteina, i piérwszą osobą, którąśmy wchodząc na próg sieni spotkali, była sama xiężna Stefania [1]), schodząca właśnie ze wschodów, w całym blasku balowego stroju i wdzięków, mająca gdzieś jechać na wieczór. Jeżeli taką była Barbara Radziwiłłówna, to nie dziw, że się w niéj królewic zakochał.—Na towarzysza mojego czekało już mieszkanie przygotowane dla niego w pałacu; ja, zabrawszy moje manatki, pojechałem do mieszkania Adama. Nie zastałem ani jego, ani pana Franciszka [2]); ale poczciwy Nikifor uwierzył mi na słowo, że będę pożądanym gościem; otworzył drzwi i uczęstował herbatą.—Nie spodziewaj się abym ci opisywał wrażenia i uczucia moje; jeśli współ-

---

[1]) Córka xięcia Dominika Radziwiłła, wydana za x. Wittgensteina, w którego dom wniosła wszystkie dobra nieordynackie Radziwiłłów nieświezkich.

[2]). Malewskiego.

czujesz, to je sam odgadniesz; sentymentalizować nie będę.

Przed tygodniem ubiegło właśnie pół pięta roku, jak go po raz ostatni, wraz z tobą, wyjeżdżającego z Wilna widziałem. Myśl, że go lada chwila wchodzącego obaczę, trzymała mnie w obudzeniu pomimo bezsennéj nocy poprzedniéj i znużenia podróży. Przejrzałem wszystkie sprzęty i sprzęciki; ale oprócz krzesiwka fabryki wileńskiéj, które mu dałem na pamiątkę, na samym już z Wilna wyjeździe, nic znajomego dawniéj nie znalazłem. Nakoniec, jak ów Dafnis w sielance, „przyległem" na łóżku jego, i „znużenia w śnie swobodnym zabyłem".—Obudziłem się pod pocałowaniami, i pierwszy widok, który oczy moje uderzył, był to jaskrawo-czerwonawy kolor hiszpańskiego płaszcza, w którym On stał pochylony nademną, odbijający blask świécy, którą Nikifor trzymał nad moją głową, dla pokazania, „*kakoj to baryn*" tak poufale rozgościł się w domu.—Adam wygląda prześlicznie; wesoły i ożywiony. Wzrok niegdyś posępny i mgławy, błyszczy i promienieje jak brylant. Pan Franciszek téż zdrów i wesół.—Słońce wschodziło, kiedyśmy po raz ostatni powiedzieli wzajem „dobranoc"; ja z dodatkiem cytacyi sonetu, za co Adam pogroził mi palcem. Wkrótce znowu obudził nas Oleś [1]), do którego Adam słów parę przed położeniem się napisał, a Nikifor odniósł je wyszedłszy do miasta.

[1]) Alexander Chodźko.

Na Olesiu znać także, że mu klimat północny nie szkodzi.—Po herbacie, pan Franciszek poszedł do biura, my zaś zostaliśmy gawędząc i paląc cygaro. Notabene, Adam nie broni już go nam palić, jak dawniéj, uznając przecież, żeśmy już nie „imberby”.

Ale tu muszę cofnąć się do Mińska, abyś zrozumiał co daléj nastąpi. Otoż w Mińsku spotkaliśmy się w traktyerni z jadącym także do Petersburga Włochem, hrabią *Camillo Gritti*, z Wenecyi, którego obroniwszy od niesprawiedliwego zdzierstwa gospodarza, zjednaliśmy przez to sobie bliższą jego znajomość i wdzięczność, tak, że pod względem rozpłat na stacyach i w oberżach, zdał się całkiem na naszą opiekę. W podróży, między innemi, opowiadał nam mnóstwo szczegółów o świetném niegdyś przyjęciu i owacyach, które najznakomitsza młodzież w Medyolanie i Wenecyi wyprawiała dla podróżującéj po Włoszech pani Maryi Szymanowskiéj, tak na cześć jéj talentu, jak wdzięków. Szczegóły te opowiadałem właśnie Adamowi, kiedy mu przyszła myśl pusta zmistyfikowania pani Szymanowskiéj, któréj naprzód chciał mię przedstawić. Pisze więc i posyła przez Olesia kartkę, że przyjechał do Petersburga polecony mu z Warszawy przez Waleryana Krasińskiego i przezemnie, Hiszpan, Don Alonzo Truchillo y Astorgas y Bubantes, który jest przyjacielem pana hr. Camillo Gritti, ma dla niéj od niego ukłony, i przeto życzy ją poznać. Oleś miał zapowiedzieć, że go Adam przyprowadzi niezwłocznie; a była to już godzina jedenasta. Nie przewidzieliśmy, że p. Franciszek idąc do

bióra, chociaż to wcale nie było po drodze, wstąpi jednakże do pani Szymanowskiéj, niby dla powiedzenia o mojém przybyciu, a w rzeczy saméj zapewne dla oddania przy téj zręczności dzień dobry pannie Helenie. Zamierzona więc przez nas mistyfikacya chybiła swojego celu; ale natomiast pani Szymanowska postanowiła zażartować nawzajem, przyjmując mię jak rzeczywistego Hiszpana. Oleś, czy dał się wciągnąć do kompletu, czy, jak powiada, zatrzymany gwałtem przez panienki, na spotkanie nasze wyjść nie mógł; dosyć, żeśmy nic wiedzieli o niczém. Adam tymczasem, zawiązawszy mi sam chustkę, jak mówił, *po europejsku*, (bo ją dotąd po wileńsku nosiłem), dawał mi w drodze rozmaite przestrogi, i uczył jak mam z hiszpańska po francuzku wymawiać. Pani Szymanowska przyjęła nas z jak największą powagą; Adam też niemniéj poważnie i seryo wydeklamował całe moje hiszpańskie nazwisko. Panienki tylko z Olesiem, powitawszy nas bardzo grzecznie zdaleka, szeptały i chychotały pod oknem. Zacząłem opowiadać o panu Gritti, i tyle różnych przytoczyłem szczegółów, że była chwila, w któréj pani S., jak sama potém wyznała, uwierzyła rzeczywiście w Hiszpana, a oznajmienie p. Franciszka wzięła za mistyfikacyą z jego strony. Nie długo jednak to trwało; bo wnet przechodząc do Warszawy, zaczęła mię pytać o mnie samym, i z tak widoczną przesadą szerzyć się z pochwałami mojemi, że mię tém skonfundowała zupełnie. Na zapytanie więc: czy ani słowa nie nauczyłem się w Warszawie po polsku? odpowiedziałem przeproszeniem za żart,

[redacted]

którego, ma się rozumieć, całą odpowiedzialność na Adama złożyłem. Pojmiesz więc łatwo ton nowego powitania i dalszéj rozmowy. Panienki mówiły ze mną jak z Hiszpanem. Panna Celina prześliczna; z oczu i z cery prawdziwie do Hiszpanki podobna. Panna Helena mniéj piękna, ale pełna życia, dobroci i wesołego dowcipu. Po kilkunastu minutach rozmowy, Oleś zaproponował panienkom zwykłą widać między niemi grę w piłkę, do któréj i ja się *wkupiłem*. Adam został w salonie z panią S. i z jéj siostrą, panną Julią Wołowską, ociemniałą na wzroku, ale światłą i miłą osobą. My graliśmy *w kaszkę* w drugim przyległym pokoju; lecz że piłka była nazbyt *koźlista*, a ktoś ją łowiąc niezbyt zgrabnie potrącił, (bo kto? nikt się nie przyznał), trafił się fatalny przypadek: to jest, że uderzyła w okno, i z brzękiem wybiwszy szybę, wyleciała precz na ulicę. Panna Helena uderzyła w dłonie; panna Celina zaszła się od śmiechu i rzuciła się na kanapę. Ale wtém zmieniła się scena. Pani S. na brzęk szyby wybiegła szybko z salonu, a obaczywszy co się stało, daléjże z powagą matczyną upominać skonfundowane panienki. Panna Celina porwała się z kanapy, i stała nieruchomie ze spuszczonemi oczyma; panna Helena oblała się rumieńcem. Wtenczas ja, pociągnąwszy Olesia za rękę, przykląkłem razem z nim i zawołałem: „Pozwól nam pani za te panie odklęczeć!”—Przybrana surowość matki pierzchnęła przed wesołym uśmiechem, a uśmiech ten był hasłem dla obu panienek, że znowu śmiejąc się głośno, jedna rzuciła się na szyję matce, druga ręce jéj całowała.

[illegible] my, jako współwinowajcy, przystąpiliśmy též [illegible] i pomimo instygowania na nas stojącego w progu Adama, amnestya była powszechną. [illegible] uścisk pani Szymanowskiéj, przyłożył [illegible] do téj szczególnéj piérwszéj znajomości, po [illegible] jesteśmy już dzisiaj, jakbyśmy się od dzie[illegible] znali.

[illegible] po pani Szymanowskiéj osobą, z którą [illegible] mię zaraz zapoznać, i tegóż dnia po po[illegible] jest pan Józef Oleszkiewicz, malarz. [illegible] że ten człowiek ma wielki wpływ [illegible] który opowiadał mi o nim mnóstwo szcze[illegible] żartobliwie, jako o oryginale, ale [illegible] opowiadań widać, jak go głęboko sza[illegible] i jak pewny jest uczuć wzajemnych. [illegible] to, co o nim słyszałem: pan Józef [illegible] znakomity artysta, rodem z prowincyi [illegible] od wielu lat stale w Petersburgu osiadły, jest [illegible] najbogobojniejszy człowiek, i jak go [illegible] „Mistyk”, to jest, wierzący nie tylko [illegible] ale w żywą zawsze i wszędzie obecność [illegible] wolę i rozrządzenie we wszystkiém; [illegible] wszystkimi czuwającą Opatrzność, i na[illegible] świat ducha, przeważnie choć [illegible] wpływający na ludzi. Ustawiczne przy[illegible] Biblii nadaje myślom i wyobraźni jego [illegible] jak mówi Adam, nastrój i kierunek, [illegible] jak Swedenborg przewidnje niekiedy [illegible] trafnie przepowiedział. [illegible] się jednak nie wdaje, i owszem pod

[redacted]

tym względem jest niezmiernie ostrożnym. Najwydatniejszą atoli cechą jego jest miłość, w najrozleglejszém tego wyrazu znaczeniu, ogarniająca nie tylko wszystkich bez wyjątku bliźnich, ale wszystkie żyjące stworzenia, a nawet i świat roślinny. Nad tém uczuciem dla całego stworzenia, góruje w nim tylko cześć i uwielbienie dla Stworzyciela i Zbawcy, i żarliwość o chwałę Jego. Uczuć tych i łatwowiernéj jego dobroci nadużywają czasem niektórzy; ale on sam nie tylko tego nie widzi i nie przypuszcza, ale owszem oburza się na tych, którzy tak sądzą i chcieliby go o tém przekonać; posądzenie albowiem, i w ogólności sąd o bliźnich na złe, w oczach jego największym jest grzechem. Na tém to tle mianowicie, Adam opowiada o nim mnóstwo pociesznych, a jednak wzruszających szczegółów, które szanować i kochać go każą. Muszę .ci powtórzyć niektóre, abyś podług nich sam sobie dalsze o nim wyobrażenie utworzył.

Jeden z hulaków i utracyuszów, przez pół filozof i literat, p. B., nasz ziomek, znający najdotkliwszą strunę sercá Oleszkiewicza, to jest, troskliwość jego o cześć Pana Boga, wpadł raz do niego wyrzekając i bluźniąc na Opatrzność, która nie dozwala mu nigdzie dostać 300 rubli assygnacyjnych, choć tak mu są w téj chwili potrzebne, że bez nich w łeb sobie strzeli. Nie ma człowieka w Petersburgu, któryby znając panạ B., nie poznał się na tak wyraźnéj komedyi; ale dobroduszny Oleszkiewicz wziął rzecz na seryo, i wierząc w prostocie serca, że mu się udało nakoniec skruszyć upomnieniami swojemi zrozpaczonego

niby bluźniercę; dla tém lepszego utrwalenia ich skutku, dobył z kantorka żądane 300 rubli, ostatnie może które sam posiadał, (bo zwykle wszystko, co zapracuje, rozdaje proszącym o wsparcie), i oddając je panu B. rzekł: „Widzisz, jak nierozsądnie bluźnisz na Opatrzność. Ja mam właśnie zbywającą tę summę, i Opatrzność przywiodła cię do mnie. Weź więc, a daj mi słowo uczciwe, że już więcéj tym sposobem nie zgrzeszysz. Oddasz, jak będziesz mógł; czy mnie samemu, czy, kiedy ja umrę, komuś równie potrzebującemu, jak sam jesteś w téj chwili."—Adam, opowiadając to dodawał, że pan B., pomimo swego cynizmu, lubo wziął pieniądze, i ma się rozumieć nie oddał, tak przecież był przejęty i upokorzony dobrą wiarą Oleszkiewicza, że o nim odtąd z największą tylko życzliwością i uszanowaniem wspominał.

Drugie zdarzenie podobnego nieco rodzaju, przypomina fakt z życia ś. Jana Kantego. Razu jednego wieczorem, Oleszkiewicz napastowany został przez złoczyńcę, który mu wyrwał z rąk pugilares, podczas gdy go pod latarnią przeglądał; ale że był silniejszy od niego, nie tylko że mu zdobycz odebrał, ale ujętego mocno za ręce zmusił do błagania o miłosierdzie, aby go nie oddawał w ręce sprawiedliwości. Naówczas Oleszkiewicz, zaprowadziwszy go do piérwszéj bramy, w któréj paliła się lampa, otworzył przed nim naprzód swój pugilares, dla pokazania, że w nim zgoła nie było pieniędzy; następnie zaś, przypuszczając, że go ostatnia chyba nędza do podobnéj zbrodni zmusiła, dobył z innéj kieszeni kilkanaście rubli, i dał mu je

pod przysięgą, że nadal złodziejskiego rzemiosła zaniecha. Skruszony łotr padł przed nim na kolana, i prosił o powiedzenie nazwiska, a w parę lat potém, stawił się sam u niego, jako sługa w sklepie kupieckim, i oddał mu wzięte pieniądze.

Ale nie skończyłbym dzisiaj, gdybym ci chciał opisywać różne inne podobne anegdoty, które o nim od Adama słyszałem. Nie mogę wszakże pominąć jeszcze jednéj, w któréj Adam sam był aktorem; że zaś ta łączy się ściśle z niemniéj szczególną miłością Oleszkiewicza dla zwierząt, muszę jeszcze i na tym punkcie kilka słów o nim powiedzieć. Wszystko co żyje, jako obdarzone życiem przez Boga, ma już dlań pewien charakter świętości; ztąd nie tylko żadnego nigdy mięsa nie jada, przypisując właśnie jedzeniu jego wszystkie zwierzęce popędy i namiętności w ludziach, i z nich, jako kara krwiożerstwa, wynikające między nimi wojny; ale i najdokuczliwsze nawet żyjątka znajdują w nim opiekuna i obrońcę. Tak np. zabijanie lub trucie much, Oleszkiewicz uważa za grzech, z egoizmu tylko naszego wynikający; sam zaś broni się od nich następującym sposobem. Codzień rano namacza w piwie kilkanaście arkuszy grubéj bibuły i rozwiesza ją w kącie na poręczach krzeseł. Jakoż muchy, napiwszy się piwa, siedzą potém wpół senne dzień cały na suficie albo po ścianach, nie naprzykrzając się nikomu, ani pstrząc nawet rozwieszonych obrazów. Ale jakkolwiek Oleszkiewicz wszystkie bez wyjątku żyjące istoty równą troskliwością ogarnia, najpierwszym wszakże przedmiotem upodo-

bania jego są—koty. Dom jego napełniony jest niemi; chodzą i łażą wszędzie, gdzie im się podoba, a żywność ich dzienna kosztuje go bez porównania więcéj, niż jego własna. Prócz tego jest osobny pokoik, zwany „infirmeryą," gdzie pod osobnym dozorem staréj Fiokły, rodzą się i hodują młode, a pielęgnują się chore. Skoro jednak młode dorosną; Oleszkiewicz rozdaje je każdemu kto zechce, dając przytém, jak powiada, w posagu, po samcu 5, a po samicy 10 rubli assygnacyjnych, na dzieci; za co nawzajem biorący obowiązują się pod sumieniem, żywić je i utrzymywać starannie, i muszą mu dać swój adres, aby od czasu do czasu mógł się przekonać naocznie, czy zobowiązania biorą swój skutek.—Jednego tedy razu Adam, śród największego upału, spotkał go na jednéj z oddaleńszych ulic, chodzącego od domu do domu z kartką w ręku, i czytającego numera nad bramami. Zapytany co tu robi, odpowiedział, że szuka numeru, wskazanego mu na téj ulicy, lecz którego znaleźć nie może; kiedy zaś opowiedział daléj, że adres ten dał mu jeden z tych, co wzięli u niego kociątko i posag po niém: Adam śmiejąc się, zaczął mu dowodzić, że ten co je wziął, dał mu umyślnie numer fałszywy, a utopiwszy kota, posag tylko sobie zatrzymał. Posądzenie to tak obruszyło Oleszkiewicza, że przypisując tylko sobie samemu omyłkę w zapisaniu numeru, bez pożegnania nawet rozstał się z Adamem, i za obaczeniem się znowu, nie pierwéj przestał go gderać o brak miłości bliźniego, aż ten, dla świętego pokoju, posądzenie swoje odwołał.

[redacted]

Otóż do tego zacnègo człowieka zaprowadził mię Adam. Jest on wysokiego wzrostu, dziwnie słodkiéj, spokojnéj i szlachetnéj twarzy. Przyjął mię jak można najuprzejmiéj; kiedy zaś mu powiedziałem, że wiele o nim słyszałem od Adama: „A, a!—zawołał z uśmiechem—to pewnie opowiadał dziwosy. On to zawsze ze mnie podedrwiwa. Ale to nic nie szkodzi! Ja wiem, że on mnie kocha, bo on wie, że ja go kocham.”—I kiedy Adam odpowiedział na to, że na nich właśnie sprawdza się przysłowie: że kto się kocha, ten się kłóci; Oleszkiewicz, machając ręką i kiwając głową, rzekł zawsze z uśmiechem: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny, i że nie ma światła nad rozum. Ale to nic nie szkodzi! Jak Pan Bóg chce, tak będzie.”—I obracając się ku mnie, dodał: „On broni się przeciw duchowi, jak Jakób; ale to nic nie pomoże. Jest on naczyniem wybranèm, i prędzéj późniéj Łaska go napełni, i przez niego spłynie na drugich.”—

Adam śmiejąc się odpowiedział na to, cytując z baśni ludowéj, co w niéj, niesiony w zawiązanym worze, woła, jak wiesz, ciągle po drodze, aby kogoś z przechodniów do zajęcia miejsca swego pokusić: „Ani czytać, ani pisać (nie umiem), a na urząd mię wiozą!”—Oleszkiewicz zaśmiał się także; ale po kilku chwilach dalszéj w tymże tonie rozmowy, zwrócił się do mnie, i wpół z uśmiechem, wpół z żywością rzekł: „Zróbże tu co z ludźmi? Szczepisz w dąb, nie przyjmuje; szczepisz w kapustę, rozłazi się.”—W ogólności sposób jego wyrażania się jest dosadny i figuryczny.

4*

Dalszą rozmowę naprowadziłem na sąd o ludziach, gdyż teorya bezwarunkowego wyrzeczenia się wszelkiego sądu jednych o drugich, wyznaję, iż mi się i niepojętą i dziką zdawała. Ale Oleszkiewicz rozróżnia wrażenia od sądu, a cóż dopiéro od wyrokowania o drugich; a tak pięknie, tak głęboko, a przytém tak wymownie rozwinął teoryą chrześcijańskiéj miłości bliźniego, iż poczułem najdoskonaléj, że wszystkie nasze sądy o drugich pochodzą tylko raczéj z braku miłości dla nich, niż ze zbytku zamiłowania prawdy, jak to sami sędziowie zwykle ogłaszają. Bo rzeczywiście, póki kogo kochamy, wad w nim albo zgoła nie widzim, albo widząc nie czujem; a nawet im więcéj sami moglibyśmy boleć nad niemi, tém mniéj pewno głosilibyśmy o nich.—Wyszedłem wzruszony i zbudowany, jak rzadko z którego kazania; a teorya miłości, którą słyszałem, sama przez się zastosowała się w sercu do mistrza [1]).

[1]) Oleszkiewicz umarł w jesieni 1830 r. Wiadomość, że jest umierający, doszła Mickiewicza w Genewie w liście pana Franciszka M.—Nie byłem w domu kiedy list ten odebrał. Za powrotem znalazłem go dziwnie zmienionym i z zaczerwienionemi oczyma. Na zapytanie, co mu jest? widoczném było, że odpowiedzieć nie może, aby znów w sobie nie obudzić wzruszenia. Domyśliłem się jakiegoś nieszczęścia i zląkłem się o najbliższych. Wtenczas on powstał szybko z kanapy, i idąc niby zapalić fajkę u komina, w przechodzie wziął mię za rękę i jak przez gwałt wymówił tylko: „Oleszkiewicz,"—poczém wyszedł do drugiego pokoju. Wieczorem dopiéro dał mi do

III.

Do tegoż.

St. Petersburg 9 (21) Maja 1829.

Wczoraj Adam zawiózł mię do poety Kozłowa [1]), któremu, jak wiész, dedykował swojego „Farysa". Trzech, których nadewszystko pragnąłbym poznać: Puszkina, Żukowskiego i xięcia Wiaziemskiego, w téj chwili na nieszczęście nie ma w Petersburgu. Wszyscy oni należą do najbliższych przyjaciół Adama, którym on téż serdeczną wzajemnością odpłaca.

W listach jego do mnie czytałeś wiele szczegółów o spotykającéj go tu ogólnie uprzejmości i życzliwości; ale on sam nie pisał nigdy o swoich literackich tryumfach, o których tutaj dopiero dowiaduję się od drugich.

---

przeczytania ów list, ale mowy o nim nie było. Nazajutrz obudził mię wcześniéj niż zwykle, mówiąc abym się śpieszył z ubraniem i razem z nim szedł do kościoła. Jakoż trafiliśmy w sam czas na mszę, którą był wczoraj na intencyą chorego zamówił.—Odtąd już ani razu nie wspomniał o Oleszkiewiczu, jak zwykł był dawniéj, w żartobliwy sposób; a mówiąc o nim, mówił już tylko zawsze jako o najcnotliwszym i najświątobliwszym jakiego znał, człowieku. Pamięć jego miała największy wpływ na przyszły religijny kierunek myśli i uczuć poety. Brat Piotr, ratujący od ostatecznego upadku rozumową pychę bluźniercy, jest to uosobienie idei i wpływu Oleszkiewicza.

(P. A.)

[1]) Jan Kozłow przełożył między innemi „Sonety Krymskie" Mickiewicza na język rossyjski; † 1838.

Oprócz sławy z dzieł pisanych, z których, jak wiész, wyjątki tłómaczyli wszyscy najznakomitsi poeci tutejsi, improwizacye jego, których miał kilka tu i w Moskwie, choć były tylko prozą i to po francuzku, wzbudziły podziw i zapał słuchaczy. Ach! bo pamiętasz jego improwizacye w Wilnie! Pamiętasz to prawdziwe *przemienienie* twarzy; ten blask oczu, ten głos przenikający, że cię aż strach ogarnia, jakby duch przez niego przemawiał! Wiérsz, rym, forma, nic tu nie znaczą. Mówiącym z natchnienia ducha, dany był dar wszystkich języków, a raczéj ten tajemniczy język, który każdy człowiek zrozumie. Przy jednéj z tych improwizacyi w Moskwie, Puszkin, na cześć którego dany był ów wieczór, porwał się z miejsca, a zagarniając w górę włosy i prawie biegając po sali, wołał: *Quel génie! quel feu sacré! que suis-je auprès de lui?*—i rzuciwszy się na szyję Adama, ściskał go i całował jak brata. Wiém to od naocznego świadka, i wieczór ten był początkiem wzajemnéj między nimi przyjaźni [1]. Niedawno, kiedy już Adam otrzymał paszport za granicę, literaci tutejsi wyprawili dlań pożegnalną ucztę, na któréj ofiarowali mu puhar srebrny, bardzo pięknéj roboty, wyzłacany wewnątrz, z wyrytemi imionami ich wszystkich, tudzież Moskiewskich kolegów, którzy choć nieobecni, należeli

[1] W późniejszych już latach Puszkin, kiedy mu przyjaciele zarzucali obojętność i brak ciekawości, iż nie chce zwiedzić zagranicznych krajów, odpowiedział: „Piękności

do składki. Adam podziękował im przecudną, jak mówią, improwizacyą, także prozą w języku francuzkim, która wszystkich, i w końcu jego samego, do rzewnych łez poruszyła. Piliśmy z tego puharu przy obiedzie, którym kochany pan Franciszek uraczył u siebie w domu kilkunastu bliższych przyjaciół i wspólnych naszych kolegów. Nie mogliśmy uprosić Adama, aby improwizował; ale za to tak był ożywiony w rozmowie, że ani spostrzegł, jak zamiast piwa, wypił całą szklankę madery, i dopiéro gdy już nalewał drugą, przestroga pana Franciszka: „Czy to nie będzie za wiele?" zwróciła jego uwagę i wykryła poprzednią omyłkę. To dało powód do śmiechu i żartów, i do nieskończonych anegdot o czcicielach Bachusa za dawnych czasów u nas, przyczém Adam w opowiadaniu prym trzymał. Nie widziałem w nim przedtém nigdy takiéj wesołości, ani takiego daru opowiadania.

Ale wracając do Kozłowa. Jest on oddawna już ociemniały, a sławny w literaturze rossyjskiéj z pięknego poematu p. t. „Czerniec" (Mnich), z wielu udatnych poezyi lirycznych i przekładów z Lorda Byrona, którego jest najzapaleńszym czcicielem. To téż, gdy mu Adam powiedział, że ja téż nieco po angielsku rozumiem i tłómaczyłem kilka urywków z jego ulubio-

natury potrafię wyobrazić sobie piękniéj nawet, niż są w istocie; pojechałbym chyba dla poznania wielkich ludzi; ale znam Mickiewicza, i wiém, że większego nadeń nie znajdę."—Słowa te mam powtórzone sobie przez tego, który je słyszał z ust samego Puszkina. (P. A.)

nego poety, zapalił się jak proch i zaczął z największém uczuciem, ale bez żadnéj przesady, deklamować na pamięć naprzód oryginał, a potém swoje tłómaczenie początku „Narzeczonéj z Abydos,” które mi się bardzo podobało. Ale podobały mi się w nim najwięcéj: uprzejmość, szczerość, prostota, nadewszystko zaś egzaltowane przywiązanie i prawie cześć dla Adama. Nie mogę ci powtórzyć wszystkiego, co mówił o nim; ale mówił tak poetycko, z takiém wzruszeniem i zapałem, że nie mogłem się wstrzymać od łez; a i on sam szlochał jak dziecko, uściskając mię wzajem. Adam stał na uboczu i milczał, ale widziałem, że był poruszony.

Ależ bo Kozłow nie prawił komplementów! Mówił co czuł głęboko, a wszystko co powiedział, to prawda. „*Vous nous l'avez donné fort, et nous vous le rendons puissant,*” wyraził się między innemi. I tak jest najrzeczywiściéj. Jak w jego oczach i twarzy, tak i w jego rozmowie, jest całkiem co innego, niż było. We wszystkiém dawniéj był nastrój głównie uczuciowy, który cię urzekał i pociągał ku niemu, ale sam na ciebie nie wpływał. Był on jak xiężyc omglony, a teraz, rzecby można, promienieje jak słońce. Teraz, kiedy co ważniejszego mówi, to jakby światło biło z tych słów jego, tak się od nich widomie w myślach twoich rozwidnia. A przytém ma widocznie ducha wieszczego, który wprawdzie i przedtém nieraz już się w nim w wielu razach objawiał. Sam mi powiadał, że wygrał parę tysięcy rubli assygnacyjnych w zakłady od różnych osób, które z nim różniły się w zdaniu,

co do mających nastąpić wypadków, podczas byłéj kampanii tureckiéj, i miały wszelką racyonalność za sobą; on zaś polegał tylko na wewnętrznem poczuciu.

W tych czasach zajęty był pisaniem osobliwszego dzieła, p. t. „Historya Przyszłości.” Pisze je zaś po francuzku i ma już napisanych przeszło 30 arkuszy. Przejrzałem je tylko przelotem, a on sam odczytał mi niektóre patetyczne ustępy, to jest mowy na wzór Liwiusza. Ale to przecudowna rzecz, powiadam tobie! i jeżeli dokończy jak zaczął, będzie to może kiedyś „Don Kiszot” swojego czasu. Bo jak Cerwantes w tym swoim romansie przedstawił, w sposób komiczny, skutki rozbujałéj uczuciowości i wyobraźni wieków przeszłych; tak Adam, w poważnym tonie historyi, chce przedstawić przewidywane skutki materyalnego egoizmu i egoistycznego racyonalizmu, którym świat obecny hołduje. Ale Cerwantes skupiał to wszystko w jednéj osobie swego bohatera; Adam zaś chce okazać w losach całych narodów, zestawiając obok siebie: najwyższy szczyt cywilizacyi materyalnéj i najniższy upadek uczucia, ducha i wiary—notabene, tylko w mężczyznach. Kobiéty albowiem, jakkolwiek emancypowane już całkiem i porównane we wszystkich prawach z mężczyznami, nie mogą jeszcze się pozbyć owych „starych przesądów,” i stanowiąc „Izbę niższą” w obradach sejmowych, stanowią téż jedyną opozycyą i tamę przeciw absolutnemu panowaniu tego, co Izba wyższa, to jest męzka, zowie „czystym rozumem”, potępiając wszelkie uczucie.

Opowiadanie zaczyna się od r. 2,000 i ma obejmować dwa wieki. Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następuje opis jéj przygotowań i narad sejmowych, w obec grożącéj napaści Chińczyków, która w końcu przychodzi do skutku. Bitwa stoczona przez same kobiéty i nieco dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą bohaterki z nad Wisły, kończy okres już napisany. Cała zaś ta historya, jak mi mówił Adam, kończyć się ma na wejściu ziemi w stosunki z planetami, a to za pomocą balonów, które naówczas tak mają żeglować po powietrzu, jak dziś okręty po morzu; cała zaś ziemia ma być pokryta siecią kolei żelaznych, które, jak wiész, budują już w Ameryce i zaczynają na próbę budować w Anglii, a którym Adam ogromną przepowiada przyszłość, twierdząc, że postać świata przemienią. A cóż dopiéro mówić o cudach przemysłu, wynalazkach i odkryciach, które już są opisane w Poglądzie! Jest to świat z Tysiąca Nocy i Jednéj; a wszystko tak poetyckie, tak cudowne, a przytém tak na pozór prawdopodobne, że i pragniesz, żeby tak było, i wierzysz, że tak być może. Boję się dotykać szczegółów, bo czuję, iżbym dzisiaj nie skończył. Ale jak nie powiedzieć choć słówka o całych flotach skrzydlatych balonów, latających w powietrzu, jak żórawie lub gęsi? O całych miastach domów i sklepów, budowanych z żelaza na kołach, a pędzących po kolejach żelaznych, ze wszech stron lądu, na wielki jarmark pod Lizboną, dokąd znowu ocean, w olbrzymich okrętach, przynosi płody innych części świata? Jak nie wspomnieć

o Archimedesowych zwierciadłach, ustawionych na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszém, w oka mgnieniu odbijają w ostatniém? O teleskopach, przez które z balonu można całą ziemię obejrzeć, a z ziemi widzieć, co się dzieje na jéj satellitach? O akustycznych przyrządach, za pomocą których, siedząc spokojnie przy kominku w hotelach; można słuchać dawanych w mieście koncertów, lub wykładów lekcyi publicznych? i t. d. A wszystko to opisano tak prosto, tak naturalnie, jakby w tém nic nadzwyczajnego nie było. I Adam téż na seryo utrzymuje, że to wszystko być kiedyś może i musi. A i czemuż byćby nie miało? Wieszcz a prorok to jedno; a on jest wieszcz nad wieszcze! Ale dość, dość już o nim! bo i musimy iść zaraz na wieczór, gdzie panna Celina ma śpiewać; i muszę ci jeszcze koniecznie opowiedzieć pocieszną anegdotę, która nas dzisiaj rano do łez rozśmieszyła.

Spaliśmy jeszcze w najlepsze, kiedy nas obudziło głośne „Salve Domine!” wyrzeczone nad łóżkiem mojém, a raczéj nad kanapą, gdzie sypiam. Był to nasz sławny poeta, Wincenty z Ciechanowca Hrabia Kiszka Zgierski, *Ex libera parte* [1]), w szerokim, gra-

[1]) Słynny w swoim czasie z pretensyjności i bezsensowności autor wielu dramatów i tragedyi wierszem i prozą, wydawanych przezeń bardzo ozdobnie, i na których tak się podpisywał. Był naprzód sekretarzem konsystorza rzymsko-katolickiego w Wilnie, a następnie urzędnikiem w ministeryum skarbu. Umarł po roku 1836.

natowym, hiszpańskim płaszczu, z karmazynową, axamitną podszewką, ze złotym sznurem i kutasami złotemi, w kapeluszu nademną stojący. Wiész, że pomimo alluzyi w „Strachach,” którój on zresztą wcale nie stosował do siebie, w dobrych z nim w Wilnie byliśmy stosunkach. Adama téż tu czasem odwiedzał; a teraz przyszedł obaczyć się ze mną. Rozmowa, z przedmiotu na przedmiot, zeszła wkrótce do poezyi. Zapytałem, czy nie napisał jakiego nowego dramatu? Odpowiedział, że jest zajęty przygotowaniami do wydawania handlowego dziennika, we czterech językach, a dla rozrywki pisze tylko same akrostychy. „Ale czemu to nasz pan Adam nie obdarzy nas jakim dramatem?” dodał, zwracając się do Adama.—„Gdzie mi tam do dramatu!”—odpowiedział śmiejąc się Adam. „Łatwiéj to panu, co masz już tyle doświadczenia i wprawy.”—Komplement ten, chociaż wymówiony wpół żartem, tak widocznie ujął naszego gościa, że porwawszy się z krzesła, na którém siedział przy mnie, przesiadł się na stojące przy łóżku Adama, i biorąc go za rękę, rzekł z największą dobrodusznością: „Nie trzeba rozpaczać, nie trzeba; przyjdzie i to, przyjdzie i to!”—Śmiech głośny pana Franciszka, który z drugiego pokoju słyszał i widział wszystko przez drzwi otwarte, przerwał dalsze słowa zachęty, i jakby mistrzowskiego ośmielania, które w ich tonie wyraźnie czuć się dawało. Adam bardzo pokornie dziękował mu za to, co on téż wziął za dobrą monetę. Nakoniec, na prośbę moję, aby nam przedeklamował jaki nowy akrostych,

powstał z krzesła, i zawsze w płaszczu, z kapeluszem w ręku, stanąwszy na środku pokoju, rzekł bardzo poważnym tonem: „Wyobrażam sobie, że miałem kochankę, i że ta kochanka umarła; a imię jéj było Adela. Wyobrażam sobie, że jestem na tém polu, gdzie ją pochowano, i mówię.” Tu zaczął deklamować z największym entuzyazmem, zatrzymując się za każdym wierszem i potrząsając w takt kapeluszem. Pamiętaj tylko, że każde *ó* kreskowane pisze i wymawia jak *o* otwarte; i oto masz ten wzorowy akrostych, który nam po trzy razy na żądanie nasze powtórzył, i któregośmy oba, na wielką jego pociechę, nauczyli się i po kolei wyrecytowali przed nim napamięć:

„Adelę błonie to pieści
Dobroczynne bostwo cnoty.
Echo wod z wiatrem szeleści,
Losow jéj wrożąc ciąg złoty.
Adelę błonie to pieści.”—

Żeby ci nie mącić wrażenia tak rzewnego trenu, kończę na dzisiaj—i bądź zdrów.

IV.

Do tegoż.

St. Petersburg 14 (26) Maja 1829.

List twój otrzymałem przed chwilą; przyszedł w sam czas ku mojéj pociesze. Adam wyjechał wczoraj rano. Odpłynął parostatkiem do Lubeki, który dopiéro za dni dziesięć miał odejść, odszedł zaś wczoraj najniespodziewaniéj z powodu jakichś okoliczności handlowych. Tęskno mi, ale nie powiem, żebym był bardzo smutny; albowiem wiedz, że przepowiednia się ziszcza, i że razem z nim jadę do Rzymu! Ale wprzód będę w domu i u ciebie. Miejscem spotkania ma być Drezno. A teraz chcę ci opisać ten wyjazd, który był dość osobliwy. Będziesz go mógł pomieścić w wyobraźni swojéj, obok wyjazdu jego z Wilna, przy którym byliśmy razem.

Pisałem ci w ostatnim liście, że się wybieramy na wieczór. Był to muzykalny wieczór u P. Ministra Oświecenia, Szyszkowa. Żona jego, Narbutówna z domu, jest przyjaciółką pani Szymanowskiéj, a cioteczną siostrą szkolnego mego kolegi i przyjaciela, Karola Laskowicza, który służy w kancelaryi ministra i jest codziennym gościem w ich domu. Ztąd ten wieczór. Panienki, tojest panna Celina i Helena, śpiewały to razem, to *solo*; między innemi „Wilię.” Muzyka prześliczna; płynie jak rzeka. Ale jak czerpająca jéj wody, ma od lic jéj „śliczniejsze jagody,” tak głos obu śpie-

waczek od muzyki nawet śliczniejszy, a panna Celina od głosu. Słuchałem więc póki śpiewały, albo gdy pani Szymanowska grała; ale jak drudzy z kolei do fortepianu zasiedli, wolałem choć pocichu z panienkami rozmawiać. Oleś podzielał toż zdanie i także do konwersacyi należał. Adam więc aż z drugiego końca salonu, przyszedł do nas z surową miną i reprymandą. Odpowiedziałem, że on sam przecież nie zawsze chce tylko „*słuchać*, *słuchać*, *słuchać*.” Panienki się zaśmiały; on pogroził mi palcem, mówiąc, że tylko obecność cudzych ludzi broni mię od pokręcenia za ucho. Apellowałem do panny Heleny, która téż wydała wyrok, że nie godzi się karać drugich za grzechy własne.

Onegdaj, po raz czwarty, jak mi się zdaje, obiadowaliśmy u pana Kaspra Żelwietra, który jest Lukullusem tutejszym dla ziomków, jeżeli nie pod względem wykwintu, to przynajmniéj pod względem gościnności i hojności, z jaką swych gości przyjmuje i uracza. Jest on plenipotentem wszystkich prawie możniejszych domów z gubernii zachodnich; dla zdolności swych i prawości charakteru, szacowany powszechnie i wzięty, a dla swéj uprzejmości i jowialnego dowcipu, niemniéj także powszechnie lubiony. Stół u niego codzień otwarty; a najlepsze przysmaki krajowe, które sam sobie z różnych stron sprowadza, lub które mu ugoszczeni przezeń przysyłają, czynią obiady jego prawdziwemi typami dawnych, szlacheckich biesiad naszych, tak z powodu gatunku potraw, dobrych win, a zwłaszcza porteru, jak i swobodnéj, gwarnéj weso-

łości. Wszyscy mieszkający w Petersburgu ziomkowie, są u niego częstymi gośćmi, ale nikt częstszym, jak malarz Orłowski, który też niepospolitym, choć może nieco za rubasznym dowcipem, wiele się do uprzyjemnienia tych biesiad przyczynia. Dowcip ten jest w doskonałéj harmonii z całą jego postacią, a nawet z ubiorem. Olbrzymiego wzrostu i kształtów; twarz, oczy, ruchy, równie wyraziste i śmiałe, jak zarysy jego rysunków; choć o nie tak dba mało, jak o własny swój ubiór. W pracy, jak mówią, ma być bardzo leniwy, chociaż za jego rysunki płaconoby mu hojnie; ale on właśnie dla tego za pieniądze pracować nie lubi, że czułby się w obowiązku roboty swe naówczas wykończać. Za to téż, kiedy jest w towarzystwie i w dobrym humorze, gotów na lada świstku papieru, który mu podsuną pod rękę, kreślić jak od niechcenia najrozmaitsze, a zawsze prawie genialne szkice, czy piórem, czy ołówkiem, czy nawet palcem w atramencie maczanym. Dom zwłaszcza pana Żelwietra jest dlań najulubieńszą w tym rodzaju pracownią; to téż nikt pewnie nad pana Kaspra nie posiada obfitszego zbioru tych szkiców. Otoż i na tym, a raczéj po tym onegdajszym obiedzie, Orłowski był w najlepszym, artystycznym humorze. Język i ręka były w ciągłym ruchu; śmiał się, prawił koncepta, a każdemu, kto go poprosił i podał arkusz papieru, *ex promptu* wnet coś narysował. Między innemi, panu Franciszkowi i mnie powiedział, abyśmy każdy na półarkuszu papieru oznaczyli grubo ołówkiem pięć punktów, w dowolnéj odległości i kierunku, a w kwadrans, między temi

pięciu punktami, na półarkuszu pana Franciszka zjawił się przecudny orzeł z rozpuszczonemi skrzydłami i szponami, a na moim kozak w prysiudach, z teorbanem w ręku. Nakoniec, umoczywszy sam pióro w atramencie, posadził ogromnego żyda na ćwiartce, i w parę minut utworzył się z tego żyd prawdziwy, którego lisią czapką była owa pierwotna plama.

Wszystko to zatrzymało nas prawie do siódméj, i prosto ztamtąd spieszyliśmy do pani Szymanowskiéj, mając razem jechać na teatr. Projekt ten bardzo mi się uśmiechał; ale na piérwszym zaraz wstępie do salonu, zmitrężył mię smutny humor panny Celiny. Usta, jak zrosłe z sobą dwie gałązki korali, nie poruszyły się nawet uśmiechem na powitanie nasze, a żywszy niż zwykle rumieniec świadczył o świeżém jakiémś i niemiłém wzruszeniu. Domyśliłem się, że musiała być jakaś reprymanda, tém bardziéj, że i wyraz twarzy obecnych, to jest panny Heleny, saméj pani Szymanowskiéj i panny Julii, nosił widoczną cechę seryoznego nastroju. Udałem przeto, że tego nie widzę, a wszcząwszy rozmowę o Orłowskim i powtarzając różne anegdoty, które tylko co od niego słyszałem, usiłowałem jak mogłem rozerwać moje słuchaczki. Ale nic nie pomagało. Adam siadł na kanapie przy pani Szymanowskiéj, ja z tyłu po za krzesłami panienek, a Oleś obok panny Heleny. Alić na piérwszą wzmiankę o teatrze, panna Celina oświadczyła sucho, że nie pojedzie, bo ją „strasznie głowa boli." Struchlałem i użyłem całéj elokwencyi, aby odwrócić ten fatalny zamiar. Oleś téż dopomagał wymownie; ale

niestety, był to groch na ścianę. A tymczasem i chwila wyjazdu zbliżała się. Certamen nasz stawał się coraz żywszym, i sądzę, że ból głowy ustałby powoli, gdyby Adam, ni w pięć ni w dziewięć, nie wyrwał się jak Filip z konopi, i słysząc po raz może dwudziesty powtórzone: „Kiedyż ja nie mogę jechać," powstał nagle z kanapy, i nachmurzywszy czoło, ni proszony, ni dziękowany, przystąpił ku nam i rzekł: „A pewno, lepiéj nie jechać, niż tak daléj grymasić."—„A pewno, że nie pojadę"—była prędka odpowiedź; i zrozumiałem, niestety, tą razą, że postanowienie było stanowcze. Dla formy tylko jeszcze probowałem je zmienić; ale już sam nie byłem w humorze, będąc zwłaszcza zły na Adama. On sam widać żałował tego, co najpewniéj z natchnienia matki powiedział; ale już nie czas było naprawić. Przepraszać nie wypadało, a i trudno téż było tak prędko wyzdrowieć. Liczyłem jeszcze nieco na ostatnią minutę, i gdyśmy już wyszli na wschody, za pozwoleniem pani Szymanowskiéj, wróciłem raz jeszcze do salonu, ażeby szczęścia sprobować. Ale tu co za widok! Biedna panna Celina siedziała wsparta łokciami przy stole, i zakrywszy twarz dłońmi płakała, łkając jak dziecko. Na skrzyp drzwi i na mój widok, zerwała się, i nic nie mówiąc, pobiegła do drugiego pokoju. Tak mi się żal jéj zrobiło, że omal sam nie płakałem. Lecz koniec końców, pojechaliśmy bez niéj, a wszyscy w najgorszym humorze. Adam nadrabiał rezonem; widać jednakże było, że był niespokojny; choć wtedy jeszcze nie przeczuwał bynajmniéj, że to było ostatnie rozstanie.

Teatr ciągnął się nadzwyczajnie długo, a nim odprowadziliśmy damy, północ już była, gdyśmy wrócili do domu. Ale tu znowu niespodziana scena! Po wszystkich kątach zapalone świéce; w środku pokoju na stole podróżny tłómok Adama, otoczony stosem odzienia i bielizny, które pan Franciszek przynosi, a Maryan *Kudrawy* [1]) pakuje. On to przed dwiema godzinami przyniósł właśnie wiadomość o zmienionym nagle terminie wyjścia parostatku, a że u niego wszystko idzie czwałem, nie czekając więc na przyjście Adama, sam zajął się pakowaniem rzeczy. Adam ani się mięszał do tego, rozmawiając z panem Franciszkiem, którego ja zastąpiłem w pomaganiu do pakowania i w pisaniu rejestru rzeczy. Pośpiech ten nie był nikomu po myśli; ale trzeba było pośpieszać, bo statek punkt o ósméj miał odejść, a wprzód jeszcze potrzeba było wiele formalności załatwić. Nie spaliśmy więc noc całą, i wtenczas to stanął na pewne projekt wspólnéj podróży. Nikifor poszedł po Olesia; ja zaś miałem biedz do pani Szymanowskiéj, z prośbą, aby była na brzegu, bo już Adam sam u niéj z pożegnaniem być nie mógł. Ale gdzie krótko, tam się rwie. Było już około szóstéj, a odległość przynajmniéj z wiorstę. Szczęściem spotkałem *zwoszczyka;* proszę, żeby jechał co prędzéj; aż wtém w połowie drogi, na placu, gdzie mnóstwo drążek, pęka oś przednia u moich. Zeskoczyłem

---

[1]) Piasecki.

i skinąłem na drugie. Wybiegło ich z linii z dziesiątek; wskoczyłem na piérwsze i daléj. Ale nie ujechałem stu kroków—traf!—szyna pękła u koła. Wołam na nowe drążki—było ich ze sto—ani ruszyły się żadne. Musiano mię wziąć za czarownika; a ja drugą połowę drogi musiałem za to biedz czwałem.

Zbudzona nagle pani Szymanowska, nie budząc nawet panienek, ubrała się jak można najprędzéj, i wnet po siódméj byliśmy nad Newą, na środku któréj stał dymiący już okręt, piérwszy, który w życiu mojém widziałem. Grono bliższych przyjaciół, zawiadomionych o odjeździe, we łzach otaczało Adama. O trzy kwadranse na ósmą, już go łódka niosła na statek; o saméj ósméj głos dzwonka—świst pary—szum wody—i okręt ruszył poważnie wzdłuż rzeki!—Adam stał na pokładzie, odkrył głowę i chustką ku nam powiewał. Blask słońca jakoś ogniście odbijał od barwy jego płaszcza, i po tém tylko najdłużéj można go było rozróżnić. Pan Franciszek, Oleszkiewicz, Oleś i ja, odprowadziliśmy panią Szymanowską do domu. Panienek dotąd nie widziałem jeszcze. Ale za chwilę tam idę. Jutro z Olesiem płyniemy do Kronsztadu, a pojutrze z Eustachym w drogę.

V.
Do tegoż.

Wilno, 21 Maja (2 Czerwca) 1829 r.

Dulcis est fumus patriae, a cóż dopiero ciepły, wonny, balsamiczny powiew, który w téj chwili przez otwarte okno tchnie ku mnie z sosen Trzech-Krzyzkiego boru i z kwiatów Botanicznego Ogrodu, złączony ze śpiewem słowików i z szumem naszéj swawolnicy Wilejki, co jak skacząca wiewiórka obraca koła Królewskiego Młynu i srebrzy się od blasku xiężyca. Ach! a samże ten xiężyc! Świeci w pełni jak aureola nad ruiną zamku Jagiełłów, i u stóp jéj odbija od ścian grobowca Ś-go Kazimierza, i migoce w złocistym krzyżu, co jak ów krzyż Konstantyna na niebie, w powietrzu zda się nad katedrą jaśnieje. Wszystko to czuję, słyszę i widzę z otwartych okien domu państwa Spitznaglów [1]), gdzie mieszkam, i przy których to piszę. A noc tak spokojna i cicha, że się płomyk świéc nawet nie chwieje.—Tysiąc miast może być większych i piękniejszych od Wilna, ale nie wiém, czy poetyczniejsze być może. I jeżeli Warszawa, jak mówią, ma być żywém uosobieniem herbu swego i symbolu—Syreny; to za herb i symbol dla Wilna uszłaby prosta, skromna, pobożna dzieweczka, co się modli u Ostréj Bramy, albo duma pod Górą Zamkową.

---

[1]) Ferdynand Spitznagel, professor uniwersytetu Wileńskiego, wykładał Materyą medyczną i Terapią.—Dom stał tuż obok dawnéj Bramy Zamkowéj, razem z nią następnie zrzucony.

Nie zakochasz się w niéj może od razu, ale kiedy pokochasz, to już raz na zawsze. Ja w téj chwili czuję się rozkochanym w Wilnie, chociaż myślę właściwie o Petersburgu, to jest o pannie Celinie i jéj siostrze, i o żegludze do Kronsztadu z Olesiem, o czém wszystkiém chcę ci słówko powiedzieć, ażeby opis mego tam pobytu uzupełnić i zaokrąglić niejako.

Zaniósłszy sam na pocztę ostatni mój list do ciebie, poszedłem wprost do pani Szymanowskiéj, piérwszy raz po wyjeździe Adama. Zastałem wszystkich z czerwonemi oczyma, i łzy znów na mój widok popłynęły na nowo. Biedna Celinka! łkała głośno jak małe dziecko. Ale i ja byłem nie mędrszy—choć w porównaniu z niemi, powinienbym był być raczéj jak dobry chrześcijanin, który wierzy i spodziewa się na pewno, że się spotka na drugim świecie, z kim się tutaj płacząc pożegnał. Oni w to ufać nie mogą, i przeto żal mi było więcéj ich, niż siebie. Przyszli wkrótce pan Franciszek i Oleś, i całą już resztę dnia przepędziliśmy razem. Celinie żal, jak widzę, najbardziéj, że się z Nim kaprysząc rozstała. Bo gdy matka powiedziała do niéj w rozmowie: „Nie ma już, ktoby ci prawdę powiedział;" zaniosła się nieboraczka od płaczu, aż musiała wybiedz z pokoju. Przed rozejściem się, pisaliśmy wszyscy razem wspólny list do Adama, który pani Szymanowska, przez jakąś okazyą, miała mu przesłać do Drezna.

Nazajutrz raniuteńko z Olesiem popłynęliśmy do Kronsztadu na codziennym parostatku pocztowym, który w wieczór ztamtąd powraca. Piérwszy raz byłem na

morzu. A ranek był przecudowny; a niebo złoto-różowe; a morze gładkie, jak kryształ zwierciadła! Myśli nasze, jak mewy koło nas, ulatywały i bujały w przestrzeni—najczęściéj w ślad za okrętem, na którym Adam w téj chwili może prądy Bełtu przepływał. Ale nie zapomnieliśmy i o was: to jest o tobie zwłaszcza i o kochanym Żegocie [1]), co sobie, jak gołąbki w koszykach, w swoich wiejskich zaciszach siedzicie, ścieląc gniazdka dla przyszłych swych parek; podczas kiedy my z nim, jak bociany z jednego gniazda, rozlecim się wnet, i może na zawsze—on na wschód, ja na zachód; on w świat bajek z *Tysiąca Nocy*, ja w kraje cudów i pamiątek Romy! Ale musiałem wkrótce o tém wszystkiém zapomnieć, mając właśnie na głowie wiersz do panny Celiny, który jéj obiecałem wpisać do sztambucha. Napisałem już był jeden, ale cóż, kiedy nań matka położyła *veto*. Trzeba więc było koniecznie sklecić drugi, a tu, jak na złość, weny ani słychu! Wołam o nię i krzyczę *in petto*, jak czajka o bajkę w Krasickim, a myśli, jak mewy na ryby, polują na treść i koncepta. Wszystko próżno!—Schodzimy więc do kajuty na frysztyk, i skrapiamy go szklanką madery. Dopiéro kiedy wino zaszumiało w głowie,

---

[1]) Ignacy Domejko, dziś rektor uniwersytetu w Chili, urodzony 22 sierpnia 1802 r. w powiecie Nowogrodzkim, we wsi ojczystéj *Niedźwiadce*. Do niéj to w *Panu Tadeuszu* Wojski robi alluzyą, mówiąc o szczęsném pogodzeniu Domejki z Dowejką. W chwili, o któréj tu mowa, Domejko mieszkał i gospodarował we wsi swojéj *Zapole*, o milę od Lidy.

przy szumie kół parostatku, zacząłem wprost *ex promptu* i w powrócie dokończyłem ramotę, która przeszła nareście matczyną cenzurę i zjednała mi rzewne pożegnanie panny Celiny. Wpisanie bowiem do sztambucha tych wierszy, było ostatnim aktem ostatniéj mojéj wizyty u nich po powrócie z żeglugi; i musiała siedzieć tuż przy mnie, podczas kiedy je wpisywałem. Śliczna, miła dziewczynka, niech ją Bóg błogosławi! Ale i siostra jéj, choć mniéj piękna, niemniéj żywe i miłe zrobiła na mnie wrażenie, wesołością, dowcipem i dobrocią anielską. Rozstaliśmy się o wschodzie słońca—bo tu wschód w téj porze roku zaraz po północy—a w godzinę już potém dygotaliśmy z Eustachym w kibitce, zamiast kocza, w którym przyparadowaliśmy z Warszawy. I trzebaż, że przed wieczorem jeszcze dla gaszenia osi, która się w niéj zapaliła od jazdy, musieliśmy zużyć aż trzy butelki najwyborniejszego Lafitta, w które xiąże Wittgenstein zaopatrzył na drogę ulubieńca swego, Eustachego. Resztę przygód, niezbyt ciekawych, odkładam do osobistéj rozmowy, a tu chcę ci jeszcze przepisać oba te wiersze do panny Celiny, choćby tylko na poetyczny finał téj najpoetyczniejszéj, jak dotąd, w życiu mojém podróży.

Jutro wyjeżdżam do domu. Ztamtąd na kilka dni do Dziewiętni. Ale przed 13 tutejszego czerwca, proszę i czekam ciebie w Giejstunach [1]), na ten dzień moich imienin... Bądź zdrów!

---

[1]) Dziewiętnie, wieś Ignacego Chodźki, w pow. Zawilejskim, dziś Święciańskim; Giejstuny, wieś rodzinna A. E. Odyńca w pow. Oszmiańskim.

Wiersz zbrakowany.

Gdybym ja miał, gdybym ja miał piękne twe oczy,
Z których, jak przez gwiazdeczkę,
Gdy mrugając jaśnieje,
Jak aniołek duszeczka
Patrzy się i śmieje—
Ach! twoje piękne oczy!

Gdybym ja miał, gdybym ja miał uśmiech uroczy,
Co wszystkim słowom twoim,
Nakształt raju strażnika,
Razem jak usta twoje,
Wszystkich serca odmyka:—
Ach! twój uśmiech uroczy!

Nie trwoniłbym chwil drogich daleko od ciebie,
By tém pismem twą pamięć zapewnić dla siebie,
Tylko patrząc na ciebie wciążbym się uśmiechał.
A wtenczas, wiém, że choćbym za kraj świat pojechał,
Poszłyby za mną wszędzie tęskne twe wspomnienia,
Żal takiego uśmiechu, takiego spójrzenia!

Wiersz na parostatku.

Wre, szumi, huczy—para wybucha,
Dzwonek zadzwonił—parochód płynie.
Chciwie na morskie patrząc głębinie,
Myślę o pięknéj pannie Celinie—
To jest o wierszach do jéj sztambucha.

O! wszystkie Muzy! o! Apollinie!
Dziś, dziś wieszczego dajcie mi ducha!
Niech jak z wód perła, z myśli wypłynie
Rym, coby pięknéj pannie Celinie
Lśnił jako perła z kart jéj sztambucha!

Lecz się kapryszą piękne boginie,
I dumny Febus prośb mych nie słucha.—
A tyż tu po co?—Znam cię po minie!
Tak patrzysz z oczu pannie Celinie,
Tak mierzysz z piérwszéj kartki sztambucha! [1])

Stój, stój, nie strzelaj! Grot twój nie minie,
A wiész, że ranny gołąb nie grucha.
Precz!—Ja dziś muszę myśleć jedynie,
O! nie o pięknéj pannie Celinie,
Ale o wierszach do jéj sztambucha.

Bo jutro w drogę!—w świat, nie w pustynio...
Zkąd więc ta w sercu tęsknota głucha?—
Tam się duch wzniesie, tam myśl rozwinie!..
Tak! a myśl o mnie w pannie Celinie
Zniknie, jak wiersz mój na dnie sztambucha!

Lecz ja!... czy pójdę, gdzie Dunaj płynie
Gdzie Montblanc krzepnie, lub Wezuw bucha:
Ilekroć serce na Północ skinie,
Pamięć o pięknéj pannie Celinic
Polarną Zorzą zalśni dla ducha.

---

[1]) Rysunek Orłowskiego: Amorek strzelający z łuku.

[redacted]

VI.

Do Ignacego Chodźki.

Giejstuny, 17 (29) Czerwca 1829 r.

Słońce wschodzi—ale nim zajdzie, już ja będę daleko od domu. A czy, i kiedy powrócę? Czy znajdę wszystkich tych, których zostawiam?—Smutno mi jakoś i straszno. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem, i kiedy wszyscy śpią jeszcze, korzystam z chwili, aby od was dzisiejsze, ostatnie pożegnania rozpocząć. Bo od powrótu od was, cały mój teraźniejszy pobyt w domu był jak jednym ciągiem pożegnań, chociaż go od powitania zacząłem. Ledwo bowiem wysiadłem z bryczki, słyszę turkot i widzę w bramie jakiś rydwan zaprzężony *kwadrygą*. Kto? Poczciwy, kochany Juljan!! Nie umiem dość wypowiedzieć, jak on mi swoją bytnością cały ten tydzień osłodził. Mówię *osłodził*—bo choć ja, prócz tęsknoty po was, nie doznałem w tym czasie żadnéj innéj goryczy: ale właśnie dano mi w nim tyle nowych dowodów życzliwości, dobroci, przyjaźni, że gdybym był sam jeden, myśl o wyjeździe gdzieś tam w cudze kraje, takby mi mogła być boleśną i straszną, jak śmierć konającemu bez xiędza, z którymby mógł o tamtym świecie pomówić. A i tak, gdyby nie pewność złączenia się i podróżowania z Adamem, to kto wié, czyby

mi w końcu nie zabrakło odwagi i siły na to właśnie, o czém przez długie lata, jako o ideale szczęścia, marzyłem. Wprawdzie czerpię otuchę w doświadczeniu własném, że jak mi zawsze było żal zewsząd wyjeżdżać, tak znowu wszędzie, dokąd przyjechałem, znalazłem zawsze tylu dobrych ludzi i tyle nowych, nieprzewidzianych przyjemności, że i sam ów żal za przeszłością zamieniał mi się powoli w miłe tylko i wdzięczne wspomnienie, pomnażające skarb uczuć obecnych. Możeż da Bóg, że i z wojażem tak będzie. Ale tymczasem trzebaż biedy, że właśnie wracając od was spotkałem się z wrażeniem, które jakby złowrogi cień chmury na myśli moje rzuciło. Podczas popasu w Sućkowie [1]), wszedł do karczmy podróżny żołnierz, zdany ztamtąd przed 15 laty w rekruty i wracający raz piérwszy za urlopem do domu. Nikt go nie znał i on nikogo. Sam wyraz jakby jakiéjś ciekawości i trwogi, z jaką się rozglądał po kątach, zwrócił nań moję uwagę. Dowiedziałém się więc kto jest i po co przybywa. Siadł przy mnie na ławie za stołem, i jakby dla nabrania odwagi, wychyliwszy kwaterkę wódki, zaczął się rozpytywać karczmarki o różnych swoich krewnych i znajomych. Na każde zapytanie była jedna i ta sama odpowiedź: „umarł,” albo „umarła.” On za każdym razem pocierał tylko czoło i milczał. Nakoniec, z wyraźném wahaniem się, za-

---

[1]) Mała mieścina między Smorgoniami a Krewem, z kościołem i klasztorem niegdyś XX. Bazylianów.

pytał o jakąś Krystynę. Karczmarka nie wiedziała z razu o kim mowa, ale gdy jéj wymienił nazwisko ojca, kowala, który mieszkał tuż obok kuźni: „Nie znałam jéj—odpowiedziała—ale wiém, że poszła za mąż za garncarza do Krewa, i że już dawno nie żyje, zostawiwszy kilkoro dziatek.”—Biedny żołnierz zalał się łzami; a i mnie taki smutek i przestrach ogarnął, że przez całą już resztę drogi rady dać sobie nie mogłem, i aż dopiéro przyjazd Juljana przerwał pasmo czarnych myśli i marzeń. Zawsze jednak obraz tego żołnierza stoi mi ciągle w oczach przy każdém pożegnaniu.—W przeszły piątek, po wyjeździe już Juljana, wieczorem, przy najpiękniejszém świetle xiężyca, w altanie naszego ogrodu, pod cieniem tych lip odwiecznych, piérwszy raz od lat wielu zebrana była cała nasza rodzina. Młodszym braciom pozwolono przyjechać ze szkół na moje imieniny i dla pożegnania się ze mną. Ojciec siedział w pośrodku na darniowéj kanapce, i ze zwykłym swoim łagodnym, serdecznym rozumem, który w każdym nawet obcym dla niego sympatyą i uszanowanie obudza, rozmawiał z nami na pozór o rzeczach zwyczajnych, obojętnych, ale nietrudno było odgadnąć, że to wszystko, co mówił, pochodziło z jednéj głębokiéj myśli i uczucia: że już drugiéj podobnéj chwili nigdy może dla niego i dla nas nie będzie, i że korzystając z niéj, chce każdemu z nas wypowiedzieć niejako swoję wolę i zostawić prawidło postępowania na przyszłość. Nie mówił on tego wyraźnie, żeby siebie i nas nie rozrzewniać; a jednak skutek téj rozmowy był taki, że

musiał w końcu uspakajać i pocieszać nas wszystkich, on, który sam może w téj chwili najbardziéj potrzebował pociechy. W życiu mojém nie czułem dotąd tak rzewnego i tak głębokiego wzruszenia, a jednak téj to właśnie chwili i tym słowom ojca winienem, że z dziecinnego jakiegoś rozdrażnienia wyobraźni i serca, które mię coraz bardziéj osłabiało, przeszedłem do męzkiego poczucia na seryo, dla czego przedsiębiorę tę podróż, i jak z niéj powinienem korzystać, ażeby i sobie, i drugim wynagrodzić boleść rozstania. „Bądź cnotliwym i spełniaj ściśle obowiązki każdego stanu, w jakim będziesz, a resztę zdaj na Opatrzność!"— To były ostatnie słowa ojca, które mnie, klęczącemu przed sobą, powiedział. I dałby Bóg, abym kiedyś przy końcu życia powtórzyć mógł z Karpińskim: „Słuchałem cię, mój ojcze!"—Bo co dotąd, to Bogiem a prawdą, w jedném chyba zdaniu się na Opatrzność stosuję się ściśle do rady ojcowskiéj. Ale bo téż, mój drogi! byłbym chyba najgłupszym i najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym nie czuł na każdym kroku cudownych prawie wpływów i łask Opatrzności, bez żadnéj z mojéj strony zasługi i pracy. Przeraża to mię nawet niekiedy, jak ów pierścień Polykratesa, od którego Solon uciekał, widząc, że mu się wszystko nazbyt dobrze wiedzie. Bo cóż ja jestem rzeczywiście w sobie? Zero jeszcze—czekające chyba na numer, jaki przed niém kiedyś ma stanąć; a przecież nie spotkałem dotychczas szczęśliwszego od siebie. Cała moja np. teraźniejsza podróż, czyż nie jest jakby jednym ciągiem najszczęśliwszych i najpoetyczniej-

szych zdarzeń i wrażeń? a czyż ja sam nawet pomyślałem o niéj, wprzód niż do mnie w Warszawie wszedł niespodziany gość, kochany Eustachy? Czyż się mogłem spodziewać na seryo, abym miał podróżować z Adamem, choć mi to przepowiednia wróżyła, ale co się tak samo jakoś bez projektu nawet złożyło? Czyż marząc przez lat tyle o twoim *Helikoniku* [1]), od piérwszéj na nim bytności, śmiałem nawet w marzeniu roić taką chwilę, jaka mi, dzięki tobie, rzeczywiście na nim zabłysła? Ta podróż i ta chwila, są to dwie nowe przewodnicze gwiazdy, które mi wzeszły na horyzont przyszłości; teraźniejszy zaś pobyt mój w domu mam za ostatni odblask szczęśliwéj epoki dzieciństwa i młodzieńczości studenckiéj. To nic, że mię rozrzewnia; rozrzewnienie to nie jest gorzkie. Kto nie zapłakał, kończąc szkoły, gdy się z kolegami rozstawał? Kochankowie nieraz płaczą przy ślubie, i łzy te, jak powiadają, są owszem dobrą wróżbą szczęśliwego małżeństwa, jak deszcz padający w dzień ślubu. Jest to pożegnanie przeszłości—dowód tylko, że była szczęśliwa. A czyż lepiéj mówić z Byronem:

„Czegoż mam płakać? za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?”

Moje całe szczęście jest w tém, że mam tylu, których z żalem porzucam, i że widzę, że mię oni ża-

---

[1]) Ob. *Dwie Konwersacye z Przeszłości*, przez Ignacego Chodźkę.

tują. Poczciwi nasi sąsiedzi, którzy mię dzieckiem pieścili, jak każdy chce mi teraz uprzyjemnić te ostatnie chwile pobytu między nimi! Fetowali mię po kolei u siebie, a na dzień moich imienin wszyscy zjechali się do nas. Dzień ten był punktem kulminacyjnym i mojego szczęścia, i żalu. W wigilią mój ojciec zaprosił wszystkich gospodarzy ze wsi na obiad; a siostra na siurpryzę dla mnie, wyprawiła wieczorynkę dla dziewcząt i matek. A wiész może, że dziewczęta Giejstuńskie słynne są w okolicy jak Saxonki w Niemczech. Juljan był zachwycony, i tańcowaliśmy téż z niemi do upadłego. Tymczasem dowiedziałem się, że dawna moja mamka i piastunka, nic mi o tém nie mówiąc, urządziły nazajutrz na moję intencyą pielgrzymkę do św. Antoniego, do Holszan [1]). A więc i ja téż, nic im nie mówiąc, stawiłem się wraz z siostrą we wsi o wschodzie słońca. Wszystkie tancerki z wczorajszego balu, same z własnéj ochoty, w świątecznych gorsecikach i w kwiatach na głowie, przyłączyły się téż do orszaku, który miał tylko składać się ze starszych. Juljan, który o tém nie wiedział, żałował potém nieborak, że się polenił iść milę piechotą, i wolał z ojcem moim jechać na mszę powozem. Dla mnie cała ta droga była prawdziwie roz-

---

[1]) Holszany lub Olszany, gniazdo xiążąt Holszańskich, dziś liche miasteczko, a raczéj wieś licząca około 80 domów i 600 mieszkańców. Wspaniały i niegdyś bogaty, tameczny kościół i klasztor Franciszkanów, do którego wzmianka w texcie się odnosi, fundował Paweł Sapieha w r. 1618.

koszna. Szedłem między mamką i niańką, w pośród grona kilkunastu gospodyń. Siostra przewodniczyła dziewczętom. Najstarszy z całéj wsi, 80-cio letni gospodarz, był promotorem różańca i nowenny do św. Antoniego, które z xiążki przez całą drogę odmawiał. A i wszystkie dziewczęta czytają na xiążkach, które im kiedyś jeszcze przed wyjazdem do Warszawy rozdałem. Słowem, oprócz nabożeństwa, cała ta nasza pielgrzymka miała dla mnie szczególny poetyczny urok. W Holszanach poleciwszy mamce i niańce uczęstowanie po mszy moich kompanów, sam już z ojcem powróciłem do domu. Niektórzy goście przyjechali wraz z nami z kościoła, inni już nas w domu czekali. Późno w noc pożegnałem się z nimi po raz ostatni, a skutkiem całodziennych wrażeń, resztę już nocy bezsennie przechodziliśmy z Juljanem w ogrodzie.

Ale zapomniałem ci jeszcze powiedzieć o jednéj także miłéj niespodziance. Zaraz nazajutrz po powrócie od was, pojechałem do Borun na mszę studencką i na cmentarz, a także i dla pożegnania się z kilku jeszcze dawnymi professorami. Jeden z nich, xiądz Maxymilian Lebel, który jeszcze i ciebie pamięta, jest dzisiaj prefektem szkoły. Mówiąc z nim, żałowałem, że nie mogłem przyjechać w Maju, aby być na studenckiéj majówce. Ale on oświadczył gotowość wyprawienia dla mnie extraordynaryjnéj *czerwcówki*, i przyjścia na nią do Giejstun. Przygotowaliśmy się więc na przyjęcie, i spotkawszy z Juljanem w pół drogi uroczystą falangę malców, z chorągwiami, bębnami i muzyką jak zwykle, przypomnieliśmy sobie

z nimi, pewno po raz ostatni w życiu, wszystkie dawne gry i zabawy szkolne. Wieczorem odprowadziliśmy naszych gości, idąc razem z nimi piechotą, aż na sam rynek Boruński, gdzie jeszcze na waletę zagrałem w *ściankę* przy murze, przy którym i ty kiedyś musiałeś *łapę nadstawiać.* To było niejako pożegnanie z czasami i wspomnieniami szkolnemi.

Jak zaś te wszystkie wrażenia wpłynąć widać musiały na zmiękczenie mojego serca, to muszę ci, nie chwaląc się, opowiedzieć fakt mojéj dobroci. Kochani moi sąsiedzi, pan Dawid i Mateusz Zawadzcy, przyszli do mnie ze swemi psami o świcie, aby raz jeszcze popolować ze mną. Ledwośmy weszli do kniei, psy zaraz ruszyły szaraka. Ranek był prześliczny i cichy, powietrze tchnęło balsamem, granie psów zagłuszało skowronki. Czułem powab i rozkosz życia. A wtém szarak z nastawionemi uszami wpadł na drogę, przy któréj stałem za krzakiem, i przysiadłszy *słupka* na chwilę, puścił się wprost na sztych ku mnie—a więc juźciż na śmierć niechybną. Już, już miałem wziąć na cel — gdy wtém nagle tak mi się żal go zrobiło, że nie ufając sam sobie, spuściłem odwiedziony już kurek, i dozwoliłem mu przebiedz o pięć kroków odemnie. Spostrzegł mię i czmychnął do lasu. Chciałem wystrzelić na wiatr dla zabawy, ale i tego nawet nie zrobiłem, żeby nie przestraszać biedaka. Myśliwi śmieli się ze mnie; ale wszakże obiecali solennie, nie polować już bezemnie w téj kniei.

Juljan wyjechał w piątek po obiedzie;—a wtém nazajutrz rano, kiedy mi było najsmutniéj, spadł mi znowu jak z nieba gość nowy—gość, nad którego milszego wymarzyć nawetbym nie mógł — najlepszy, najukochańszy Żegota. Przyjechał na całą noc ze swego Zapola, żeby się ze mną pożegnać, i zatrzymał się przez wczorajszą niedzielę, aby dzisiaj wyjechać wraz ze mną. To mi bardzo osłodzi ten wyjazd. Będziemy jechali noc całą; przez jutro zabawię u niego, a potém on mię jeszcze przeprowadzi do Strzały [1], mając tam właśnie być w sąsiedztwie u stryja. Ja za chwilę jadę jeszcze sam konno do Borun, do kościoła i na grób matki; a ten list przez konnego posłańca wyprawię. Odbierzecie go przed zachodem—a więc może właśnie w téj chwili, gdy ja będę wyjeżdżał z domu. Pobłogosławcież mnie myślą i sercem, i nie zapominajcie o mnie! A teraz — bywajcie zdrowi! a Boże daj, do zobaczenia!

---

[1]) Strzała, wieś rodzinna Juljana Korsaka.

VII.

Do Juljana Korsaka.

Drezno, 3 Sierpnia 1829 r.

Znasz ty ten kraj—grusz, wiśni i jabłoni,
Co jak raj-gaj, wzdłuż dróg rosną na błoni,
A pokus wąż, choć mizdrzy się w owocach,
Nie zwabia rąk, by je tu kraść po nocach?
Tu jestem ja—o! i jak byłbym rad,
Gdybyś i ty wspólnie je ze mną jadł!

Znasz ty ten kraj—przysłowiem słynny głośno,
Że w nim jak mak, piękne dziewczęta rosną?
I pełno ich, jak wiśni tam na drzewie,
Lecz i tu wąż, przy każdéj, jak przy Ewie!
Ztąd znów jam rad, żeś i ty tu nie gość,
Bo strzedz się sam, mam już kłopotu dość.
Znasz ty ten kraj? —

Z daty listu, jeśli z wierszy nie zgadłeś, widzisz co zacz on, i że jestem w jego stolicy; a ta parafraza piosnki Minjony, niech ci tylko służy za dowód, że myślałem o tobie jadąc, i myślę tutaj chodząc; tam z rzeczy wspomnień o owych czasach w Giejstunach lub w Strzale, gdyśmy musieli uprzedzać wschód słońca, aby uprzedzić pastuszków w podbieraniu dojrzałych i opadłych gruszek: a tu z powodu żywych Minjonek, które wiém, iżbyś wolał nad złote nawet jabłuszka; chociaż one same, od czasów Atalanty,

tak tu, jak bodaj i wszędzie, najbardziéj gonią za niemi.

Jestem tu od dni czterech. Adama już nie zastałem; pojechał do Karlsbadu pić wody i tam czeka na mnie. Wyjechałem z Warszawy 22 lipca. Do rogatek, jak ty z Żegotą do granicy w Brześciu, przeprowadziło mię nie lada gronko: pan Joachim, Brodziński, Mochnacki Maurycy i Stefan, których kochany Waleryan [1]) na pożegnalne śniadanie u siebie zgromadził. Swoją drogą przyszli tamże Tadeulo i Julek, [2]) którzy mi obiecali tegoż dnia jeszcze napisać do ciebie i przesłać ci ostatnie pożegnanie moje. Towarzysza téż mojéj podróży, którego mi także Waleryan narail, uważam za bardzo pomyślny zadatek jéj i wróżbę; gdyż był nim, aż tu do Drezna, p. Stanisław hr. Rzewuski (starszy syn pani Rozalii), o którego rozumie i zacności wiele już przedtém słyszałem, a teraz je sam przez siebie nauczyłem się czuć i oceniać. Starszy o lat kilka odemnie, a co się tycze nauki, to ma jéj sto razy więcéj. Był on kiedyś najpiérwszym uczniem, bo wziął najpiérwszy złoty medal w uniwersytecie Paryzkim, a że już przedtém dużo podróżował, prawdziwa łaska Boska, że mi się taki Mentor na piérwszego towarzysza na-

---

[1]) Waleryan Krasiński, późniejszy autor dzieła w języku angielskim o „*Reformacyi w Polsce*“ i tłómacz na język angielski wielu powieści Bronikowskiego.

[2]) Tadeusz Hrehorowicz, b. uczeń uniwersytetu wileńskiego, i Juljusz Słowacki.

darzył. Skorzystałem téż ztąd nie mało, zwłaszcza co do sposobu korzystania z podróży; bo i on podróżował nie po pańsku, lecz po studencku.—Jechaliśmy najętym furmanem z Kalisza, małą budką krakowską, białém płótnem pokrytą, i dwiema chudemi szkapami, które jednak po szossie jako tako ciągnęły. Wprawdzie i pakunek niewielki; dwa malutkie tłómoczki, dwa parasole, dwa kijki, i nic więcéj. Ale z Kalisza do Wrocławia, gdzie już szossy nie było, wlekliśmy się, brnąc w piaskach, prawie noga za nogą, tak, że pewnie trzecią część drogi odbyliśmy piechotą. Z Wrocławia mieliśmy już nowy ekwipaż niemiecki, nie bardzo paradniejszy niż piérwszy. Wyobraź sobie długą, wyplataną skrzynkę na kołach, pokrytą na całéj długości wypukłym daszkiem z ceraty, na obręczach rozpiętéj, a zwisającéj jak firanki po bokach, z klapą podnoszącą się zamiast drzwiczek. W środku dwie ławki, zawieszone na pasach, tworzą siedzenia na cztery osoby. My jechaliśmy we trzech; a trzecim był p. Zaborowski z Warszawy, któregośmy we Wrocławiu spotkali. Cały zaś ten ekwipaż ciągnął tylko koń jeden, ale silny i tłusty, z jednéj strony przyprzężony do dyszla.

W podróży nic takiego nie zaszło, coby warte było opisu; opisywać zaś wszystko, co się widzi nowego, na toby ani wołowéj skóry, ani siły wołowéj nie stało; a oprócz tego towarzysz mój mnie nauczył, aby nawet na pisanie dziennika wiele czasu nie tracić, a tylko patrzeć i myśleć. Patrzę téż na wszystkie strony, ile oczy wystarczą, a medytuję jak mogę

umniem. Na każdym popasie i noclegu, gdzie tylko był kościół z wieżyczką, wdrapywałem się na nią, aby kraj dokoła obejrzeć. Ależ bo w Prusiech, a bardziéj jeszcze w Saxonii, to wszystko inaczéj niż u nas. Pola uprawne jak dworskie ogrody; wsie i miasteczka, w porównaniu z naszemi, wyglądają jakby dziewczęta wystrojone na odpust, obok bab pielgrzymujących w łachmanach. Z jednéj wieży w Lignicy naliczyłem 10 kościołów i 16 murowanych wiosek, bielejących śród zieleni drzew; i tu także zaczęła się znów szossa, wysadzana owocowemi drzewami—a na wiśniach tyle prawie jagód, co liści.

We Wrocławiu bawiliśmy dzień cały, oglądając miasto i kościoły. Rzewuski mówi, że po Norymberdze, żadne miasto w Niemczech nie ma ich tylu i tak pięknych, w stylu gotyckim, jak Wrocław. Byłem u pana Korna xięgarza, a z nim potém u dwóch sławnych professorów tamecznych, pp. *Passow'a* i *Wachler'a*. Wszyscy niezmiernie uprzejmi i wyraźnie radzi z odwiedzin, a przytém bardzo ciekawi szczegółów o uniwersytetach naszych i o niektórych professorach, mianowicie Niemcach, lub o wykładających też przedmioty, co oni. „Nauka jest już pewnym rodzajem powinowactwa;"—powiedział p. Passow. Co do mnie, poznanie ludzi znakomitych i sławnych nęci mię sto razy więcéj, niż wszystkie osobliwości, które „*Guide du Voyageur*" wskazuje. To téż nie tracę czasu w Dreznie, i w ciągu tych czterech dni, co tu jestem, oprócz oglądania galeryi, skarbca, zbrojowni, etc. etc., poznałem już Ludwika *Tieck'a*; Fryde-

ryka *Kind'a*, autora libretta do opery „*Freyschütz*" i wielu tomów poezyi i powieści; *Tiedge'go*, autora „*Uranii*," 80-letniego staruszka; *Falkensteina*, bibliotekarza biblioteki królewskiéj i autora „Życia Kościuszki;" muzyka *Hummla*, rysownika *Retsch'a*, i sławnego Bronikowskiego. Ten ostatni, który już wiedział o mnie od Adama, przy piérwszéj zaraz znajomości, wyszedłszy wraz ze mną z domu, zaprosił mię do piérwszéj restauracyi tutejszéj, wcale nie wspaniałéj z pozoru, i uraczył starym węgrzynem. Ostrzeżono mię jednak, żebym się z nim w ściślejsze stosunki nie wdawał, bo skończy na proszeniu o pożyczenie pieniędzy. Nie boję się ja wprawdzie tego, bo wiész, że „*Cantabit vacuus coram latrone viator*," i że „mądry Salomon nie zaczerpnie z próżnego naczynia." Ale z tego powodu dowiedziałem się, że Bronikowski, jakkolwiek spokrewniony przez matkę z najpiérwszemi rodzinami saskiemi, nie używa tu wielkiéj renomy, a słynie jako utracyusz i *bon-vivant*, niekoniecznie w estetycznóm tego słowa znaczeniu. Ale co mi do tego! Ja w nim widzę autora: „Boratyńskiego," „Moiny," „Zawieprzyc," które, pamiętasz, jak nas zachwycały i przenosiły w przeszłość. W rozmowie téż pełen werwy i ognia, zwłaszcza gdy się rozgada, jak przy owéj butelce węgrzyna, i potém na przechadzce po Brühlowskim tarasie. A jak pojmuje i czuje głęboko poetyczność dziejów i obyczajów naszych!—to, co właśnie w opinii klassyków warszawskich za najmniéj, a raczéj za całkiem niepoetyczne uchodzi. To téż gdy go pytałem, dla czego nie pisze po polsku? odpowiedział

naprzód, że pobierając piérwsze nauki w języku niemieckim, lepiéj nim włada niż polskim, a powtóre, że dla publiczności naszéj, chcąc pisać o rzeczach własnych, a być od niéj czytanym i cenionym, najlepiéj jest pisać w języku obcym i zyskać naprzód zdanie pochwalne u obcych. Twierdził téż, że w jednym tylko Adamie znalazł prawdziwe rozumienie i poczucie historyi naszéj, któréj zresztą, jak się wyraził, nikt u nas dotąd rzeczywiście nie umie. Ja przynajmniéj nauczyłem się wiele nowego z jego rozmowy, o czém wprzód od nikogo nigdy nie słyszałem.—Musi mieć lat około 50; figura niepozorna, ale twarz rozumna. Wié wszystko, co się dzieje w literackim świecie warszawskim, i widzę, że go to interesuje. Na jutro mam z nim znowu *rendez-vous* w „Grosse Garten," gdyż ma w blizkiéj wioseczce najęte mieszkanie na lato, gdzie nie ciągle, ale często po całych dniach przebywa, i tam właśnie najwięcéj pracuje.

Ludwik Tieck, u którego byłem z Falkensteinem — któremu znowu polecił mię przed wyjazdem ztąd Adam, i w liście zostawionym tu do mnie wskazał mi go za przewodnika po Dreznie: — Ludwik Tieck, trochę ułomny, z postacią i twarzą ruchliwą i powiedziałbym prawie figlarną—tyle w niéj przebiegłości zda się i rozumu—z dziwnie bystremi i przenikliwemi oczyma, nie odpowiada na pozór ideałowi poważnego literata-Niemca, którego za to Fryderyk Kind zdaje się być najdoskonalszém uosobieniem. Musi mieć lat około 60; niższy wzrostem od ciebie, i choć ani z postaci, ani z rysów, a więc sam nie wiém z czego,

ale zda mi się jakoś podobny do ciebie; tyle prostoty, szczerości i dobroduszności w téj twarzy! A i fajki z ust nie wypuszcza. Jak postarzejesz, będziesz pewnie taki, i tak siedzący ciągle przy stoliku, i tak leniący się chodzić, że, jak mi sam powiadał, od lat kilku nie był ani razu za miastem. A i żona téż jego, i córka, to istne ideały Niemek, w najlepszém tego wyrazu znaczeniu. Wizyta, którą im wczoraj nad wieczorem oddałem, stoi mi przed oczyma, jak Flamandzki obraz. Zastałem ich wszystkich w ogródku, w altanie ocienionéj liśćmi winogradu. On sam, w letnim szlafroku, w pantoflach, bez chustki na szyi, w małéj czerwonéj czapeczce na głowie, z porcelanową dużą fajką w ręku, czytał głośno jakąś nowellę. Przy drugim mniejszym stoliczku, na którym warzyła się kawa, na spirytusowéj machince, siedziała żona z pończoszką w ręku, skromniutko, ale téż czyściutko ubrana, i czuwając nad kawą słuchała czytania. Między niemi, na nizkim tabureciku, siedziała piękna panna Rozawita, (Róża biała), tak nazwana od tytułu najsławniejszéj powieści swego ojca: tylko że na okrągłéj, pulchnéj i uśmiechnionéj twarzyczce, obu róż łączyły się barwy, ocienione bujnemi pierścieniami włosów, spływających na szyję. Ubrana była cała w bieli, oprócz czarnego fartuszka, zasypanego kwiatami, z których wiązała bukiet dla posłania siostrze, któréj trzyletnia córeczka, ze starą niańką, bawiła się w ogródku. Pan Kind, którego już dniem przedtém w bibliotece królewskiéj, za pośrednictwem Falkensteina poznałem, przedstawił mię

żonie i córce, jako téż składającego rymy, co mi zjednało natychmiast bystre, ciekawe spójrzenie panny Rozawity, które że się spotkało z podobnémże mojém, w twarzy jéj róża rumiana stanowczo przemogła nad białą. Przypomniałem na szczęście kilka wierszy z „Pięknéj Kwiatarki” Göthego, a ich zacytowanie posłużyło mi za piérwszy wątek rozmowy.

Rozmowa z ojcem była naprzód o przedstawieniach *Freyschütza* w Warszawie; a że na żądanie panny Rozawity powiedziałem po polsku parę strof z „chóru strzelców” i z aryi Agaty: miałem prawo prosić nawzajem o przeczytanie mi przez autora, na pamiątkę miłéj znajomości, jakiéjkolwiek poezyi swojéj. Prośba, jak widać było, nie zdała się natrętną, bo ojciec z uśmiechem zapytał córki, coby radziła przeczytać? Bez wahania się i namysłu odpowiedziała: „*Heilige Christ*;” i zaraz odwiązawszy fartuszek i zawinąwszy w nim kwiaty, pobiegła do mieszkania po xiążkę; ja zaś tymczasem z matką mówiłem o pięknym ogródku i o białéj *królowéj kwiatów*, niby to z rzeczy poematu Schultza „*Die Weisse Rose*,” ale juźciż myśląc *in petto*, że słowa moje dojdą swego celu. — Owo „*Heilige Christ*,” jest to rzewna legendka o biednéj małéj sierotce, która w wigilią Bożego Narodzenia błądzi wieczorem po ulicy, wpatrując się w oświecone okna, wspominając rodziców i drzewko, które i oni kiedyś ustawiali dla niéj. W jednym domu blask większy niż w innych; a że ludzie wchodzą do niego, więc i ona wchodzi za nimi. Ale tu zamiast drzewka spostrzega katafalk, a na nim dziewczynkę w jéj wieku. Żal jéj nad

sobą zamienia się w żal nad umarłą, która widać ta była szczęśliwą; a żal ten tak wzrusza matkę, ż sierotę przybiera za córkę. Wszystko to opowiedzia ne tak prosto i tkliwie, że prawdziwie ze wzruszeniem słuchałem. Wrażenie to zjednało mi podwojon uprzejmość całéj téj zacnéj rodziny, i rozstaliśmy si bardzo serdecznie, ja obdarowany trójkolorowym bukiecikiem, z róż białych, czerwonych i bratków który „*die schöne Blumerinn*,” nie bez myśli dla mni związała. Byłbym pozostał dłużéj, o co mię prosz no, gdybym nie śpieszył na wieczór do Tiecka.

Tieck, od lat wielu stale zamieszkały w Drezni zwykle w zimie, dwa razy w tydzień, miewa u sieb literackie wieczory, na których czyta swym gościom i dla własnéj swojéj zabawy, raz tragedyą, drugi ra komedyą, i to w koléj oryginalne niemieckie, lub tł maczone przez siebie, lub przez innych, z angielskieg i z hiszpańskiego. W lecie to rzadko się zdarz i to chyba wyjątkowym sposobem, gdy chce uraczy jakich miłych gości. Tym razem zaszczyt ten b nie dla mnie; ja tylko skorzystałem ze szczęśliweg zdarzenia; a winien to byłem zapewne temu, iż m przy piérwszém poznaniu cytacyami dowiodłem, jego „*Ś, Genowefę*” nie tylko czytałem, ale studyow łem. Przedmiotem bowiem rozmowy były właśn poemata dramatyczne, i Tieck utwierdził mię st nowczo w przekonaniu, że jest to może najwłaściws forma dla przedmiotów historycznych lub legen darnych, jak np. jego „Genowefa,” gdzie rzecz idz nie tylko o los téj lub owéj osobistości, lecz głów

o wydanie idei lub ducha narodu i czasu. Stosowanie się do warunków reprezentacyi teatralnéj, musi koniecznie ścieśniać imaginacyą poety, lub zmusza go, dla efektów scenicznych, do przekształcania prawdy historycznéj, jak np. w „*Dziewicy Orleańskiéj*” Szyllera, lub w „*Egmoncie*” Göthego; a przecież piérwszém zadaniem poezyi jest nie przetwarzać, lecz uwydatniać prawdę, tak psychiczną, jak i historyczną. Podług Tiecka, wszystkie prawie najsławniejsze dramata hiszpańskie są właściwie poematami. i tylko żywszéj od naszéj wyobraźni południowych widzów, winne są powodzenie na scenie.—W rozmowie téj Tieck był bardzo ożywiony i mówny, i przy rozstaniu zaprosił mię na wczorajszy wieczór. Dany on zaś był na uczczenie jakiéjś możnéj angielskiéj rodziny, złożonéj z bardzo poważnego ojca, matki, dwóch córek, ślicznych, jasnych blondynek, i dwóch arcy-niezgrabnych młokosów, podobnych z ruchu do bocianów, na cienkich wysokich nogach. Piérwszy to raz widziałem całe stado *dzikich* Anglików, a chociaż przysłuchiwałem się, jak mogąc, świegotaniu ich między sobą, nic a nic zrozumieć nie mogłem. Karol V. trafnie ten język nazwał „językiem dla ptaków,” bo trzeba mieć chyba język, a raczéj gardziel ptasi, aby módz naśladować ten świegot. Istna *tyrolka* między językami. Nasz szanowny nauczyciel warszawski gadał przecież po ludzku, chociaż za Anglika uchodził. Teraz więc widzę, że musi być prawda, co mówił o nim jego współzawodnik, że był tylko żydem z Hamburga. Nie wiém czy jego samego *melodya*

Irlandzka posłużyłaby mi lepiéj: ale przekonałem się, niestety, z doświadczenia, że ta *hamburska*, któréjśmy się w dobréj wierze uczyli, próżno tylko łamała nam język. Na piérwszym zaraz obiedzie w hotelu, siedząc przy dwóch jakichś Anglikach, chciałem sprobować, a może się trochę i popisać z mniemaną umiejętnością moją, i korzystając z przywileju sąsiada, wypaliłem do nich dobrze wprzód w myśli ułożony frazes. Obaj zwrócili się ku mnie, a sąsiad mój z grzecznym uśmiechem zapytał: „*What?*" (Co?) Powtórzyłem. Spójrzeli wzajem po sobie, i widać było, że żaden nie zrozumiał. Zarumieniłem się po uszy;—nadewszystko wstyd mi było Rzewuskiego, aby mię nie posądził o samochwalstwo. Dobyłem więc co żywo pugilares i napisałem ołówkiem, co chciałem był powiedzieć. Odpowiedzieli uprzejmie jeden przed drugim, ale i ja ich nie zrozumiałem nawzajem. Śmiejąc się więc i mówiąc już daléj po francuzku, wyjaśniłem im to *qui pro quo*, i pokazało się nakoniec, że kiedy oni bacznie nastawili ucha, domyślili się przecież, co im niby po angielsku mówiłem, i nawzajem, gdy do mnie mówili powoli, ja téż prawie wszystko pojąłem. Ale na wieczorze u Tiecka byłem już bardzo ostrożny, i trzymając język za zębami, ucha tylko nastawiałem ciekawie. Ale i ucho nie służyło mi lepiéj.

Tieck czytał „*Kupca Weneckiego*," Szekspira, we własném swojém tłómaczeniu niemieckiém. Ale cóż to za mistrzowskie czytanie! Nie dziw, że się z niém popisywać lubi. Siedział przy małym stoliczku, na

jednostopniowéj estradzie. Szybki ruch tylko palców ręki prawéj, wspartéj na stole i podnoszącéj się często do góry, zdawał się dopomagać modulacyi głosu, do wydania wszystkich najdelikatniejszych odcieni uczuć i myśli. A jakież to umiarkowanie w głosie! Samo np. wołanie Jessyki:—czujesz, że woła głośno, a ton się głosu przecież nie podnosi; obudza uwagę i wyobraźnię, chociaż wcale na ucho nie działa. Słyszeć tak czytaną poezyę, jest to uczyć się poczuć wartość i właściwość każdego wyrazu; harmonię każdego wiersza; ton, kontur i cieniowanie każdéj myśli; jednem słowem to wszystko, na czém zewnętrzny urok poezyi zależy. To téż Tieck czyta tylko same arcydzieła. Żadna reprezentacya na scenie nie mogłaby, jak sądzę, sprawić takiéj rozkoszy dla prawdziwego lubownika i znawcy poezyi; chyba gdyby każdy z aktorów, wyzuwszy się ze swéj osobistości odrębnéj, tak rolę i grę swoję zlać umiał z całością, jak je Tieck wszystkie zlewał w czytaniu. Słynny nasz skrzypek Lipiński mówił mi niegdyś, że samo czytanie nut wielkich kompozycyi muzycznych, sprawia mu większą przyjemność, niż słuchanie ich grania; bo on czytając, harmonię ich czuje sam w sobie, a nic mu jéj zewnątrz nie mąci. A na cóż mi psuć oczy patrzaniem na różne figury, kiedy sam głos czytającego lepiéj może je nawet wyobraźni mojéj przedstawia; głos zawsze jednostajny i pełen naturalności, ale tak nieskończenie w intonacyach odmienny, że już z nich bez wymieniania osób, wiész od razu która co mówi. To téż sam Tieck, w miejscach ważniejszych, zdaje się probować

słuchaczy, i bystrym rzutem oka dokoła śledzi w ich twarzach wrażenia, jakie czuje że powinien obudzić. Próba widać wypadała pomyślnie; bo się coraz w czytaniu ożywiał. Niektóre wszakże sceny, ile mogłem przypomnieć, zdawało mi się że skracał, albo nawet całkiem opuszczał. Po każdym akcie następowała przerwa; po drugim podano herbatę. Nalewała ją jedna z córek; druga w ślad za lokajem, niosącym filiżanki, szła z dwóma koszykami ciasta. Obie smukłe i kształtne, ubrane jednostajnie i skromnie, i nawet dosyć przystojne; obok jednak Angielek, z którémi się wyłącznie bawiły, wyglądały mi jakoś prozaicznie—nie tak jak panna Rozawita; może dla tego, że były gładko uczesane; a zaś bujne pukle włosów, wijących się w pierścienie i spadających aż na szyję, dziwnie pięknie obramowywały niejako białe lica „cór Albionu.” Po akcie czwartym roznoszono lody; po skończeniu zaś czytania, co już było około północy, skromna stojąca przekąska na zimno, zastawiona w drugim pokoju, z owocami i winem reńskiém, zakończyła biesiadę. Osób było wszystkiego szesnaście. Gospodarz był bardzo uprzejmy i sam wino gościom nalewał. Wdzięcznie przyjął, nie już komplement, ale szczery wyraz mojego uwielbienia i wdzięczności, i prosił, abym wracając przez Drezno, domu jego nie mijał. Z damami nie było czasu słowa prawie przemówić. Podczas czytania siedziałem między Falkensteinem i Hummlem, zamieszkałym stale w Wejmarze, a którego już przedtém u damy dworu, panny Salomei Dobrzyckiéj spotkałem. Skromniuteńki czło-

wieczek, i nawet prawie nieśmiały, w rodzaju naszego Lipińskiego lub Brodzińskiego. W każdym widać zawodzie, kto prawdziwie wart chwały, ten skromny. Pigmejczyk tylko wspina się na szczudła. Przypomniałem co mi opowiadała pani Szymanowska, że Hummel kiedyś przyjechawszy do Moskwy, udał się naprzód do Fielda, który ma być pyszny i hardy jak Anglik, i nie mówiąc swego nazwiska, prosił go tylko o protekcyą, jako przejeżdżający artysta. Łatwo pojąć, patrząc na Hummla, jak Field musiał traktować go z góry; ale trudnoby się było domyślić, że Hummel mógł być takim figlarzem. Kłaniając się bowiem pokornie, prosił tylko o pozwolenie, aby się mógł popisać przed mistrzem. Ale zaledwie grać zaczął, Field zerwał się jak oparzony, wołając: „*Sie sind Hummel, oder der Teufel!*" (Pan jesteś Hummel, albo djabeł).—„Hummel, do usług," odpowiedział przybyły, i odtąd podobno przyjaźń zawiązała się pomiędzy nimi.—No! Bogu dzięki i za to! Adam u nas i tym sposobem nie zdołał przekonać klassyków— dodąć tylko trzeba: warszawskich. Bronikowski dobrze powiedział o nich, że są to klassycy klassy piérwszéj, bo deklinują ciągle formę piérwszą—*terra*; do *spiritus* im jeszcze daleko.—Ale masz tobie! Wyjeżdżając z Warszawy cieszyłem się nadzieją, że raz przecie pozbędę ich z myśli; a trzebaż, żeby w piérwszym liście z zagranicy, myśl nie chcąc, na sam koniec znowu na nich nabiegła. Ale stało się! Papier się kończy—bądź więc zdrów!

VIII.

Do Ignacego Chodźki.

Drezno, 5 Sierpnia 1829 r.

Pozdrawiam cię z nad brzegów Elby. Jestem zatém u celu najgorętszych życzeń—podróżuję.

„Podróżuję—bom mądrych nauczony radą.
„Bursztyn w ziemi rodzinnéj wala się po piasku,
„Lecz nowego w podróżach gdy nabędzie blasku,
„Za powrotem dziewczęta na piersi go kładą.”

Tak mówił kiedyś sławny perski poeta Hafiz, i miła to zaprawdę perspektywa podróży! Co będzie w końcu z mojéj, ja nie wiém; ale to już wiém z doświadczenia, że piérwszém jéj tu wrażeniem była i jest jeszcze tęsknota. Nie czułem jéj wyjeżdżając z Warszawy ani jadąc, ale za piérwszém wyjściem na ulicę obcego miasta, spotkała mię jak dawna znajoma, i przypomniała naprzód pożegnanie z wami. Ale się nie bój! nie będę ciebie nudził analizą sentymentów moich. Czuję tylko potrzebę mówić z wami o tém co widzę, aby je z wami niejako połączyć, i zatrzeć w niém tę cechę obczyzny, z któréj właśnie wieje tęsknota. Ale tu znowu taki natłok przedmiotów, że nie wiém od czego zacząć. Do Juljana pisałem już o sławnych ludziach, których tu poznałem. Po nich najwięcéj zajmuje mię natura kraju i obyczaj narodu

bo co do dzieł i arcydzieł ludzkich, których tu pełno wszędzie, gdzie stąpisz lub spójrzysz, pisać o tém nie stałoby papieru i czasu. Zresztą dla mnie samego jest to jeszcze jak nowe jakieś abecadło, na którém zaczynam uczyć się czytać, ale liter w syllaby składać jeszcze nie umiem. I tak np.: Galerya obrazów, jest to dla mnie jak jakieś Elyseum, i to raczéj cieniów niż duchów; jakby raj chrześcijański i muzułmański zarazem. W piérwszym króluje *Madonna* Rafaela, w drugim *Panae* Van-Dycka.—Zbrojownia, czyli muzeum rynsztunków, *(Rüstkammer)*, to znów jak katakomba przeszłości wieków średnich, w któréj pamiątki ich i obyczaje stoją wkoło w żywéj postaci, jak mumije, we zbrojach, lub z ogromnemi puharami w ręku.—Skarbiec nakoniec, zwany „sklepem zielonym" *(Grüne Gewölbe)*—bo to są trzy najgłówniejsze osobliwości Drezdeńskie—zdaje mi się jak podziemny jakiś kraj Gnomów; i to nie tylko z bogactwa kruszców i drogich kamieni, ale i z wielu zadziwiających robót i wyrobów, niby to artystycznych, a rzeczywiście tylko trudnych i sztucznych, na których wykonanie potrzeba chyba było cierpliwości i wytrwałości Gnomów, nie mających co lepszego robić z nudy pod ziemią. Zastąpili téż ich w tém tylko Chińczycy i Niemcy.

Ale i na powierzchni ziemi znać tu wszędzie pracę niemiecką. Kraj całkiem od naszego odmienny. Nie żeby był piękniejszy—broń Boże! Oprócz skał, nic widziałem dotąd nic piękniejszego nad brzegi Niewiaży i Niemna. Ale natura sama nie orze i nie

układa zagonów; nie bieli domów, nie łata dachów, nie grodzi i nie zamiata dziedzińców; a widać z tego wszystkiego, że tu natura w ludziach nie musi być ta sama co u nas. I nié ma w tém nic dziwnego. Toć np. konik polny i mrówka, choć i jeden i druga— owady, a przecież tak różne od siebie! Skakać tylko i śpiewać, kiedy trzeba pracować, a potém skwierczeć na biedę—ja wiém, że to nie dobrze; a jednak czuję, niestety, że gdybym miał do wyboru, nie chciałbym i nie mógłbym być mrówką; choć Bóg wié, ile to razy, po całych nieraz godzinach, sam nic nie robiąc, admirowałem mrówiska, jak teraz admiruję niemieckie pola, wioski i miasteczka, które widziałem w przejeździe i widzę około Drezna. Ono samo, nie wiém dla czego, ma dla mnie jakieś podobieństwo z Wilnem. Może dla tego, że w niém zewsząd wieś widać; że piękne okolice składają z niém jakby jedną całość; że jest to jakoś jakby *miasto wiejskie.* A i wewnętrzna fizyognomia ulic przypomina coś niby Wilno. Nie widzisz tu wprawdzie tych grupp, w kółko zebranych, stojących i gawędzących spokojnie, jak gdyby po to tylko wyszły na ulicę; ale téż nié ma zgoła tego ciągłego ruchu, jakby w tańcu Św. Wita; tego ustawicznego turkotu powozów; a nadewszystko tych pań, paniąt, paniątek, z pozoru i z miny, którym musisz co chwila umykać się z drogi, ażeby nie zmiąć ich stroju, albo nie być sam przez nich potrąconym w rynsztok—jak to co krok spotykasz gdzieindziéj. Wszyscy tu są ubrani i chodzą po powszedniemu, jak w naszém cichém Wilenku; a chociaż widać po każdym,

że idzie dokądś i za czémś, czujesz przecież że widzi drugich przed sobą i że z nim się bezpiecznie rozminiesz.

Ale najobszerniejsze pole do tego rodzaju obserwacyi, miałem tu codzień na dorocznéj zabawie ludowéj, na którą właśnie szczęśliwie trafiłem. Jest to tak zwane strzelanie do ptaka, „*Vogelschiessen.*"—A cóż to jest takiego? zapytasz. Otoż masz naprzód wiedzieć, że we wszystkich tutejszych miastach i miasteczkach, a podobno i we wszystkich niemieckich, są towarzystwa strzeleckie, od wieków już istniejące, a bawiące się peryodycznie co roku strzelaniem z ruszniс lub z łuków do ptaka, czyli jak u nas niegdyś mówiono: „do kurka". A nie jest to żaden ptak ani kogut żywy, ale jakiś ptak fantastyczny, zbity z deseк, pomalowanych jaskrawo, z rozpuszczonemi skrzydłami, z berłem i jabłkiem w szponach, ze złoconą koroną na głowie, i z ogromnym czubem piór na jéj wierzchu, przymocowany na wysokiéj żerdzi. Tu strzelają do niego z łuków, a raczéj z arbaletów, naciąganych za pomocą korby; strzałami, nie cienkiemi i ostremi, jak kałmuckie lub Kupidynowe, lecz krótkiemi a grubemi jak kije, z również grubém żelazném okuciem na tępo, przeznaczoném nie do utkwienia, ale do rozbijania ptaka. Każda część jego ma swój numer, i za utrącenie każdéj wyznaczona jest mniejsza lub większa nagroda. Kto zbije ostatni szczątek, ten zostaje „królem kurkowym" na cały rok następny, i otrzymuje srebrny puhar i około stu talarów, na wyprawienie uczty dla członków towarzystwa.

Członkami jego tutaj są, lub być mogą, wszyscy, zacząwszy od króla, xiążąt i piérwszych dygnitarzy kraju, aż do najuboższego z obywateli miejskich, byleby nieposzlakowaną uczciwością zasłużył na przyjęcie, i wnosił co rok oznaczoną opłatę, z czego się składa fundusz towarzystwa. Strzelanie rozpoczyna zawsze sam król, albo w jego imieniu wydelegowany szambelan.

No! a teraz wyobraźże sobie łąkę szerszą i dłuższą niż twoja za młynem, zapełnioną wzdłuż i wszerz, jak miasteczkowy rynek podczas kiermaszu, budami, szałasami, namiotami i pawilonami, budowanemi tuż przy sobie w ulice, a mieszczącemi we środku: kramy, szynki, garkuchnie, kawiarnie, cukiernie, traktyernie, nakoniec salę balową do tańca, i różne a przeróżne zabawy lub widowiska, na które wstęp najdroższy nie kosztuje więcéj nad złoty. Szereg zabaw rozpoczynają huśtawki i karuzele, w ciągłym ruchu jak młyny wietrzne, na których setki chłopiąt na koniach, a dziewczątek w krzesełkach, kręcą się wkoło, lub z dołu do góry, krzycząc z radości lub strachu. I tu téż to jest właśnie najhałaśliwsza część całéj zabawy. Daléj ulice jak nabite ludem; pod wszystkiemi dachami wszystkie miejsca zajęte; wszędzie przecież muszą coś gadać; a jednak tak mało wrzawy—gwar tylko jakiś stłumiony, podobny do szelestu pszczół w ulu—że wszędzie góruje nad nim skrzek smażących się kiełbas lub pączków, ulubionych, jak widać, specyałów tutejszych. Przy takiém także zgromadzeniu ludzi, nigdzie natłoku, nigdzie zamieszania! Wszędzie taki

ład i porządek, że policya nawet zgoła tu nie wchodzi, i tylko po drodze czuwa nad tém, aby powozy nazbyt prędką jazdą nie wzruszały zanadto kurzawy, albo nie zagrażały idącym. Czujesz, że to nie widowisko dla możnych, ale wspólna zabawa dla wszystkich. Nikt się téż tu nie popisuje przed nikim, ani się nikt nikogo i niczego nie boi—ani upokorzenia, ani pośmiewiska. Każdy wié, że jak on sam na drugich, tak drudzy na niego nie patrzą; każdy przeto jest śmiało sam sobą, i używa po swojemu, sam w sobie lub dla siebie, co chce, jak chce, i jak może. Nie jest to może właściwie towarzyskość, ale za to jaka towarzyska swoboda! Jest téż to najwybitniejsza cecha całéj téj ludowéj zabawy; a jak mi powiadają ci, co znają Niemcy, że i ogólna cecha charakteru i sposobu życia ich mieszkańców. Życie to nie jest ani tak publiczne, ani tak społeczne jak u nas, lecz rozwija się więcéj w domu i rodzinie, a ma niemniéj prześliczne kwiaty, i może większą nawet obfitość owocu. A jednak!... Pięciu nas było, cośmy długo rozmawiali o tém; i każdy w końcu, położywszy rękę na sercu, wyznał: iż nie wiedziałby co począć z sobą przez dzień cały, mając tę pewność z góry, że nikt do niego nie przyjdzie, i że on sam nieproszony pójść do nikogo nie może. Ale czyż i w tém nié ma czegoś dobrego? Pan Bóg stworzył zarówno koniki i mrówki; a że stworzył jedne i drugie, oboje więc zarówno muszą być w stworzeniu potrzebne. I rozmyślając sobie nad tém, dorobiłem zakończenie do bajki Lafontena „o koniku i mrówce,” to jest odpowiedź piérwszego, na

ostatnie słowo ostatniéj, którém, jak wiész, odprawiła go z niczém, głodnego i proszącego o źdźbło pożywienia. Otoż konik odzywa się do niéj:

„Bóg ci nie płać, siostro mrówko,
Za twe ostre, gorzkie słówko!
Cóż ja winien, że co ruszę,
To chcąc nie chcąc skoknąć muszę?
Że co pisnę, to choć kiedy
Chciałbym jęknąć — spiewam z biedy?
Ot i teraz — czyż mnie miło,
Jak fukałaś, słuchać było? —
A jednakże — choć żal czuję,
Jeszcze Bogu podziękuję,
Że nigdybym ci, jak ty mnie,
Nie dał z głodu mrzeć na zimnie."

Ale wracam na *Vogelwiese*, jak rzeczywiście regularnie codzień przed zachodem słońca wracałem, i gdzie na trzeci dzień po otwarciu igrzysk, miał przybyć na nie król, z całą rodziną, z letniego zamku Pilnitz, o milę od Drezna, gdzie dwór zwykle przez lato przebywa.

Król dzisiejszy (Antoni), jak słyszę o nim, ma to być wzór dobroci i bogobojności, którą się zresztą i cała rodzina odznacza. Gdy wyjeżdża lub wraca do zamku, a straż przed nim broń prezentuje i bębnią mu werbel: on wtedy bije się w piersi i odmawia akty pokory, aby te ziemskie zaszczyty od siebie ku Panu Bogu odwrócić. Co sobotę, lub w wigilią święta, jedzie ze spowiednikiem swoim, Ojcem Gracchi, do ulubionego zamku swego

Wesenstein, położonego w górach, i tam obydwa razem, przez cały dzień następny, odbywają ślubowaną pielgrzymkę do Ziemi Świętéj, obliczoną już w wiekach średnich na godziny i kroki. Trwa ona od lat kilku, i podobno już weszli w granice Judei [1]).

Ale nie same tylko praktyki zewnętrzne oznaczają pobożność króla Antoniego. Wszystkie jego myśli i uczucia zwrócone są ku Królestwu Niebieskiemu, i sprawy saskiego o tyle go tylko zajmują, o ile przez nie na tamto zasłużyć może. To téż największą jego jest troską, aby komu, broń Boże, jakiéj krzywdy nie zrobić; a największą pociechą, jeśli może łaskę jaką wyświadczyć. Ztąd i cały teraźniejszy dwór saski, jak słyszę, podobniejszy jest do skromnego klasztoru, niżli do wspaniałego dworu królewskiego, i pod tym względem stanowi najzupełniejszą sprzeczność z dworem poprzedniego króla, Fryderyka Augusta, który jako potomek najdawniejszéj w Europie rodziny monarszéj, (bo pochodzącéj wprost od Witykinda), zachowywał téż ściśle i święcie wszystkie zwyczaje i całą

---

[1]) W parę lat potém, za bytności znów mojéj w Dreznie, opowiadano powszechnie, że doszli nakoniec szczęśliwie do Jerozolimy w Wesensztein, i uczyniwszy krok ostatni, upadli na kolana i zaczęli spiewać *Te Deum*. Lecz że to było na środku salonu, służba zdziwiona tym niespodziewanym odgłosem, wbiegła z przestrachem, czy się co złego nie stało. Król postrzegł i zgadł przyczynę; ale nie przerywając śpiewania, dał tylko znak ręką przybyłym, aby uklękli i śpiewali razem. (P. A.).

średniowieczną etykietę dworu Augustów, poprzedników swoich. I tak między innemi np. codzień na stole królewskim, a raczéj na karcie kuchmistrza, musiało być na obiad potraw 50, a na wieczerzę 25. Ma się rozumieć, że większa ich część pozostawała nietkniętą, a kuchmistrz na własną korzyść rozprzedawał je potém na miasto. Teraz tak w tém, jak i we wszystkiém innėm, zaprowadzono jak największą oszczędność i skromność.

Owoż to wszystko, co słyszałem o królu i o dworze jego, wzbudzało moję ciekawość, aby go widzieć na zabawie ludowéj. Jakoż punkt o naznaczonéj godzinie—bo od czasu nieboszczyka króla, który mawiał: „że punktualność jest grzecznością królów," najwyższym mistrzem ceremonii dworu saskiego jest zegar;—ukazał się na drodze od Pilnitz szereg czterokonnych powozów, które koleją i zwolna zajeżdżały przed namiot, przygotowany na przyjęcie dostojnych gości, a ustrojony suto w zielone wieńce i kwiaty. Przedniejsi członkowie Towarzystwa, z bukietami u fraków i w ręku, czekali jak drużbowie weselni u wnijścia, a trzykrotne: „*Es lebe hoch!*" którém powitali wysiadającego z powozu króla, trzykrotném także echem rozległo się po łące. Sam król, słodki staruszek, w staroświeckim szerokim fraku i okrągłym kapeluszu na głowie, i brat jego, xiąże Max (Maxymilian), w takimże fraku, w pudrowanéj peruce z harcapem, w trzewikach i długich pończochach, z kapeluszem składanym pod pachą, przypomnieli mi braci Śniadeckich—bo i równie nizkiego wzrostu,

i siwi jak gołąbki, i kochają się z sobą jak oni. W ślad za nimi szła młoda żona xięcia Maxa, z domu xiężniczka Lukieska, z płomiennemi włoskiemi oczyma, i xiężniczka Augusta, córka nieboszczyka króla, wysoka, majestatyczna i zimna jak Juno. Daléj synowie xięcia Maxa, z piérwszego małżeństwa, xiążęta Fryderyk i Jan z żonami; obie niepospolicie piękne i wysokie, rodzone siostry, królewny bawarskie. Obok nich xiężniczka Amelia, rodzona siostra obu xiążąt, znakomita, jak mówią, poetka i autorka kilku komedyi, z powodzeniem grywanych na teatrze Drezdeńskim. A i xiąże Jan zajmuje się téż literaturą i pracuje podobno nad przekładem Danta. Orszak kończyło kilka dam i urzędników dworskich, a między nimi: pani Błeszyńska (Prozorówna z domu), panna Salomea Dobrzycka, i szambelan Tadeusz Tödwen [1]), nasz ziomek, wszyscy umieszczeni przy dworze za czasów jeszcze nieboszczyka króla. Żołnierza ani jednego nie było; a ci, co swoją drogą byli na zabawie, w furażerkach i z fajkami w ręku, zdjęli je tylko z głowy i z ust wyjęli dopóty, dopóki orszak królewski mimo nich nie przeszedł.

Po chwilowym odpoczynku w namiocie, całe dostojne grono, parami, udało się naprzód do ptaka, a potém na obejrzenie zabawy. Xiążęta i wszystkie

---

[1]) Wspomniany „w Panu Tadeuszu;" służył przedtém wojskowo w Legionach i odbył kampanią hiszpańską jako oficer półku lekkiéj jazdy pod dowództwem hr. Wincentego Krasińskiego.

xiężniczki, jako wpisane także w poczet człon
Towarzystwa, po trzy razy z kolei strzelali do pta
i xiężniczka Amelia zbiła mu czub pierzasty z
korony, co wnet tryumfalne dźwięki muzyki i
sołe okrzyki widzów ogłosiły po całéj łące. Następ
orszak królewski, śród rozstępującego się tłumu,
szedł ją do okoła, idąc przez główne ulice i wstęp
do kilku namiotów, w których się znajdowały celn
sze widowiska. Szambelan idący z tyłu, skła
opłatę za wejście. Pomiędzy karuzelami, wszys
dziatki, które się na nich kręciły, stały uszykow
rzędami po obu stronach drogi, z jednéj chłopcz
z drugiéj dziewczynki. Król uprzejmie pozdra
je wszystkie, przemawiając i głaszcząc niektóre; xię
rozdawały cukierki, które już widać w tym
miały przygotowane i obwinięte w chustkach.
potrafię ci wypowiedzieć, ile ten widok miał w s
coś wzruszającego głęboko, i jak miłe, ale ra
i rzewne, myśli we mnie i uczucia obudzał. Szedł
zaś ślad w ślad za orszakiem, aż do chwili jego
jazdu, upoważniony ku temu przez znajome mi
owe dwie damy dworu i szambelana Tödwena, któ
postrzegli mię w tłumie przy namiocie, i umyślnie p
zostając nieco, przez całą drogę rozmawiali ze m

I tu muszę wam opowiedzieć o piérwszym, a
milszym stosunku, jaki tutaj zabrałem, a który
jest dla serca, czém wszystko, co widziałem, dla
mięci lub wyobraźni mojéj. Jest to prawdziwie
nowski i braterski stosunek z matką téj damy dw
panny Dobrzyckiéj, i z nią samą. Rodzina ta

dawno jeszcze była jedną z możniejszych w W. X. Poznańskiém, ale ostatni jéj dziedzic, słynny z nader uprzejméj i hojnéj gościnności, znacznie zamożność tę nadwerężył. Starsza córka jego Salomea, w r. 1808 została mianowana frejliną dworu przy królowéj saskiéj, ówczesnéj w. xiężnéj warszawskiéj, a po jéj śmierci damą dworu przy córce jéj, xiężniczce Auguście. Matka jéj Ewa, z domu Koszutska, po śmierci męża, stale téż przy niéj zamieszkała w Dreznie, gdzie dom jéj, od lat już wielu, jest jakby główném ogniskiem, a ona sama, jakby matroną-opiekunką polskiego towarzystwa, a mianowicie młodzieży, która się bardzo licznie wychowuje w pensyonach tutejszych, męzkich i żeńskich. Co niedziela i w uroczyste święta, całe to grono uczniów i uczennic zbiera się regularnie w jéj domu, aby nie zapominać języka i obyczajów rodzinnych; gra w gry, tańcuje i bawi się swobodnie, pod jéj baczném, macierzyńskiém okiem. Wiele późniejszych małżeństw, jak mi powiadano, zawiązało się naprzód na tych dziecinnych zabawach, na których obok czcigodnéj gospodyni, przewodniczy téż zwykle przyjaciel jéj, sędziwy Jenerał Kniaziewicz, a wstęp na nie dla innych, uważany jest za niemały zaszczyt. Bo nie przesadzę wcale, gdy ci powiém, że jest to, moralnie biorąc, prawdziwie typowa postać starodawnych matron polskich: w myślach i sądach rozumna i zimna, w zasadach i ich stosowaniu surowa, a obok tego w sercu wyrozumiała, pobłażliwa i czuła. Pojmując głęboko to wszystko i interesując się żywo tém wszystkiém, co

ludzkości i człowieczeństwa dotycze, na świat i na przemijające jego błyskotki spogląda z najzupełniejszym spokojem, ani ich pragnąc, ani gardząc niemi, a mając za jedyny cel życia, czynić o tyle dobra, ile może, a za najdroższy skarb jego, szacunek i przyjaźń tych ludzi, których sama poważa i kocha. Wszystko to, stwierdzone praktyką całego jéj życia, wyciągnąłem z własnych jéj rozmów, które mię aż dziwiły niekiedy trafnością i głębokością poglądów, na duchowe życie wewnętrzne i na towarzyskie stosunki ludzkie, a nawet i na literaturę, którą zna tylko, ale zna gruntownie, w jednym języku ojczystym, gdyż ani po francuzku, ani po niemiecku nie umié. Córka jéj, panna Salomea, to znowu typ w swoim rodzaju, ale całkiem od piérwszego odmienny. Przy najwyższém wykształceniu umysłowém i estetyczném, a nawet, jak w muzyce, i artystyczném, odznaczające ją najwybitniéj rysy charakteru są: imaginacya poetycka i anielska dobroć, z któréj téż tu słynie powszechnie. Król nieboszczyk, wielki znawca ludzi i doskonale umiejący po polsku, nazywał ją nie inaczéj, jak „*Dobrą*,” i ta nazwa została jéj dotąd u dworu, nawet pomiędzy Niemcami. W młodości—bo ma już dzisiaj lat około 50—odrzuciła kilka świetnych partyi dlatego tylko, że zajęta wyłącznie uwielbieniem geniuszu i powodzeniem cesarza Napoleona, nie miała czasu myśleć o osobistym swym losie, a bez uczucia iść za mąż nie chciała. Obecnie, obok niewyczerpanéj dobroci dla wszystkich, głównym przedmiotem jéj serca i poświęcenia bez granic, jest matka i rodzina, to jest

młodsza jéj siostra, pani kasztelanowa Bielińska, bardzo miła i piękna osoba, oraz dwoje ślicznych jéj dziatek, z któremi ona także na czas jakiś przybyła na mieszkanie do Drezna. Do niéj to właśnie miałem z Warszawy rekomendacyjny list od jéj męża; Adam zaś, poznawszy się tu z niemi, polecił mię téż przed wyjazdem ich uprzejmemu przyjęciu. Nie temu tylko wszakże winien jestem ów bliższy z niemi stosunek; a jest on dla mnie tak miły, a zjednała mi go tak drobna na pozór okoliczność, że nie mogę nie widzieć w tém jakby Opatrznego zrządzenia.

Od piérwszéj chwili poznania podobałem serdecznie w towarzystwie ich wszystkich; ale była to tylko miła nowa znajomość, i nic więcéj. Na trzeci dzień dopiéro, idąc na *Vogelwiese*, wzięła mię chęć zajść do szanownéj staruszki, i właśnie w bramie jéj domu spotkałem przekupnia z jabłkami. Kupiłem dwa i schowałem do kieszeni, myśląc je zjeść po wyjściu. Tymczasem zastałem u niéj obie córki, i rozmowa tak mię zajęła, że chętnie zgodziłem się na projekt, aby już tam cały wieczór pozostać. Ale równo z tém postanowieniem przyszły mi na myśl owe moje jabłka, a wpływ ich tak jakoś sympatycznie zaczął działać na podniebienie, że aż mnie złość brała na siebie, że tego pokonać nie mogłem. Była to istotna pokusa; a im bardziéj usiłowałem ją zwalczyć, tém ona natarczywiéj wracała. Przeżegnałbym się, gdybym się nie wstydził; ale ten wstyd i gniew wewnętrzny tak mi jakoś mięszały w rozmowie, że aż staruszka zapytała troskliwie: „Co to panu? może

niedobrze?"—Zaczerwieniłem się jak rak; ale nie było rady: trzeba było albo wyjść, albo wyznać prawdę; a że mi się nie chciało wychodzić, zdecydowałem się więc na ostatnie. Wyznanie to, ma się rozumieć, wywołało śmiech—ale nie był to śmiech szyderczy. Staruszka z uprzejmym pośpiechem dobyła ze stolika nożyk do owoców; dama dworu wybiegła sama do kredensu po talerz, i wszystkie panie były tak łaskawe, że raczyły wziąć udział w traktamencie moim. Rozmowa zaś tak się ożywiła i tak stała się w końcu poufną i serdeczną, że aniśmy spostrzegli, jak nadeszła północ. Wtedy staruszka, objąwszy twarz moję rękami i całując mię w czoło, rzekła: „Przyjdź robaczku jutro na obiad!"—Uścisk ten i to słowo *robaczku*, tak jakoś dziwnie miło odbiło się w mém sercu, jak gdybym głos matki posłyszał. Odtąd już wszystkie wolne chwile przepędzałem u niéj, gdzie téż codzień cała rodzina zbierała się razem na obiad. Koniec końców—po pani Becu, (mającéj, jak wiész, także imię Salomea), téj najłaskawszéj przyjaciółce, a nawet przewodniczce piérwszéj młodości mojéj, (a z którą mam się spotkać w Marienbadzie) [1]), nikogo dotąd nie uszanowałem tak głęboko, ani pokochałem tak serdecznie, jak obie te panie, i na niczyjéj może życzliwości tak śmiało nie liczę nawzajem. Przed

[1]) Wdowa po professorze uniwersytetu wileńskiego Euzebiuszu Słowackim, matka Juljusza Słowackiego, z domu Januszewska, była w powtórnych związkach małżeńskich z professorem wydziału lekarskiego w Wilnie, Augustem Becu.

godziną pożegnałem się z niemi, dawszy najuroczystsze słowo im i sobie, że będę powracał na Drezno, ażeby się z niemi zobaczyć. Jutro raniutko wyjeżdżamy— to jest ja z p. Antonim Kraszewskim, bardzo miłym i uczonym człowiekiem, doktorem prawa, z Poznańskiego, i z młodym hr. Bnińskim, którego on jest mentorem, a u których tu od dni czterech już mieszkam. Mamy zwiedzić piechotą Szwajcaryę Saską, a potém razem jechać do Karlsbadu, zkąd miałem dziś list od Adama, abym przybywał co prędzéj, uwolnić go, jak pisze, „od udręczeń sławy, która mu wody w Karlsbadzie emetykiem zaprawia.” Domyślam się, że musi być znudzony komplementami nowych znajomości, których wiém, że specyalnie niecierpi.—Bądź zdrów! a raczéj bądźcie zdrowi wy wszyscy, których mi pamięć towarzyszy wszędzie!—

———

IX.

Do Juljana Korsaka.

Tęczen, 8 Sierpnia 1829 r.

Gdybym miał czas i wenę po temu, w „języku bogów" chyba mógłbym się kusić o zdanie ci sprawy z wrażeń, jakie świeżo jeszcze tchną we mnie, po dwudniowém zwiedzaniu Szwajcaryi Saskiéj —istnéj oazy skał i dzikiéj natury, śród pól tak po niemiecku uprawnych, że żaden polny kwiatek nié ma gdzie sam dla siebie wyrosnąć. Ale chcieć opisywać to prozą, byłoby prawie to samo, co zasypywać piaskiem malowidło, albo opowiadać muzykę. A czuję w sobie jakby jedno i drugie: malownicze obrazy nagich skał, gór skalistych i lesistych wąwozów; a muzykę szumu drzew, strumieni i kaskad, która te skały i wąwozy ożywia. Ale przeczytaj te parę strof z piérwszéj pieśni „Pani Jeziora" Walter-Skotta, w których jego bohater, zajeździwszy konia, drapie się pieszo przez jakiś tam wąwóz, nim się spotkał z Nimfą jeziora: a pewnie lepiéj wyobrazisz sam sobie to właśnie, co ja widziałem, niż gdybym ci jak najtopograficzniéj opisał i nazwał po imieniu wszystkie te *bergi*, *sztejny* i *grundy*, których zwiedzenie, widoki i przejścia, stanowią treść podróży po Szwajcaryi Saskiéj. Nié ma w niéj wprawdzie jeziór—a i nimf, niestety, nie było;

ale choćbym i spotkał jaką, to kto wié, czy nawetbym dla niéj wzrok i myśl od *nieczułych głazów* oderwał. Ze wszystkich ziemskich wrażeń i uczuć, te, które w nas odudza widok piękności natury, bodaj czy nie są najduchowniejsze, a więc tém samém i wyższe od wszystkich:

Piękność, urok dla oka; muzyka. dla ucha;
Poezya, dla sercá; — natura, dla ducha.
Ona jest tą Madonną, co tuląc do siebie,
Syna wznosi nad siebie, ku Ojcu na niebie.
I kto wié, czy dusz świętych nie w tém dola błoga,
Czuć całą piękność świata, a kochać w niéj Boga.

A wiész ty, że mnie samego ta myśl ostatnia uderza! Bo nie ja téż ją wymyśliłem. Przyszła mi sama z gotowym już wierszem. Ludzie myślą, że wiersze wyłażą tylko zawsze z głowy i z pod pióra, jak robaki z ziemi, z pod kłody; a one często same przylatują Bóg wié zkąd, jak motyle, że je tylko chwytaj na pióro, jak naturalista na szpilkę. Bieda tylko, że i pod piórem nieraz, jak pod szpilką, myśl i motyl zarówno trupieją.

Czechy—bo jestem już w Czechach, (w piątym kraju od kwietnia)—o ile mogłem widzieć z gór Szwajcaryi Saskiéj, a potém dopływając Elbą do Teczen, kraj nie tylko równie żyzny i piękny jak Saxonia, ale bodaj nawet czy nie piękniejszy: a przynajmniéj tu, w tym punkcie, gdzie cudna dzikość gór i kamieni zlewa się i harmoniuje niejako z niemniéj cudną bujnością zielonych nadelbiańskich dolin—jak np. fagoty i bębny ze skrzypcami i fletami w orkiestrze.

Ale na tém tle podobieństwa krajów, tém bardziéj występuje różność ich mieszkańców. W twarzy, oczach i ruchach Niemca, widzisz zawsze bierną spokojność, jak stojącą, choć czystą wodę, którą trzeba chyba potrącić, ażeby się ruszyła. U Czecha wszystko przeciwnie. Życie samo bieży jak strumień—przepływ jego widzisz na twarzy; z ruchów ciała znać siłę, a z oczu jakby patrzał Hussyta. Czarny, nizki, krągły kapelusz, z szerokiemi brzegami, z szeroką, fałdowaną taśmą, i płaszcz krótki z hiszpańska, albo raczéj z węgierska, (bo w takich chodzą u nas Węgrzyni z olejkami), bardziéj jeszcze to podobieństwo nasuwa. Obserwacye te robiłem tu dziś na targu, dość licznym jak na małe miasteczko, a którego gwar też i hałas przypominał mi nasze kiermasze. Że zaś byłem zwłaszcza ciekawy zajrzeć w oczy płci pięknéj, obszedłem przedewszystkiém stragany, gdzie się sprzedają jarzyny i owoce, a między temi sławne jabłka czeskie, i myśląc przytém o tobie i o tym liście do ciebie, ułożyłem do niego rym taki:

Rajskie jabłko raj zgubiło,
Złote bogów poważniło
  I zburzyło Troję.
A ja—patrz! w jabłkach bohemskich
Sam pokus rajskich i ziemskich
  Szukam—ni się boję.

I nie było się téż czego obawiać. Ani jednéj ładnéj twarzyczki, ani jednéj zgrabnéj figurki! Uderzył mnie tylko strój kobiét: płaszcz jasnego koloru z galonowym kołnierzem; na głowie jakieś czółko; u każdéj

prawie krzyżyk albo szkaplerz na szyi—tak jak nad każdym tu domem obrazek jakiegoś świętego. A domy wszystkie czyste, schludne, białe, tu i ówdzie oplecione zielenią, albo otoczone ogródkiem, i po większéj części murowane. Wstępowałem do kilku, niby dla zapalenia cygara, ale aby zobaczyć, co téż jest we środku. Sprzęt skromny, ale czystość i porządek wszędzie. Z niewymówném zaś podziwieniem dowiedziałem się, że nie ucząc się, umiem—to jest rozumiem po czesku i oni mię rozumieją nawzajem. Mam więc jakby wynagrodzenie za dekonfiturę z angielszczyzną w Dreznie. Jutro raniutko wyjeżdżamy do Töplitz, gdzie już chyba list ten dokończę, i ztamtąd go zapewne wyprawię.

Töplitz, 9 Sierpnia—północ.

O świcie wyjechawszy dziś z Teczen i zwiedziwszy w przejeździe pole bitwy pod Kulmem, z wystawionemi na niém pomnikami, ku czci feldmarszałka Colloredo i poległych w téj bitwie, a które—mówiąc z Walter-Skotem:

„Obrosłe zielskiem, w pleśni i kurzawie,
„Uczą przechodnia, co myśleć o sławie:—

o piérwszéj po południu stanęliśmy w Töplitz. Są to piérwsze kąpiele, które widziałem; a ujrzałem je naprzód z najpiękniejszéj strony. Bo właśnie o téj godzinie odbywa się tu zwykła ogólna przechadzka, w dużym, pięknym parku zamkowym, należącym do

xiążąt Clary; a więc i my wprost z wozu udaliśmy się tamże. Za piérwszym rzutem oka na skład towarzystwa, przyszło mi samo na myśl małżeństwo Wulkana z Wenerą. Bo wyobraź sobie tłum nieruchomych paralityków, w krzesłach lub w wózkach na kołach; tłum chromych wszelkiego rodzaju, o kulach, szczudłach, lub kijach; a między nimi, jak różnobarwna wstęga kwiatów, przewijają się po krętych uliczkach ogrodu, strojne szeregi pań, panien, panienek i panieneczek, otoczone rojem młodzieży, a szczebioczące różnemi językami, których twarz, ruchy i śmiechy dowodzą, że dla użycia chyba, nie dla nabycia sił i zdrowia tutaj przybyły. Są to jak złote rybki, albo może jak robaczki na wędkach, pływające po wszystkich kąpielach i wodach mineralnych. A przypatrzyłem się im jeszcze lepiéj na balu, to jest publicznym wieczorze, który się tu trzy razy w tygodniu o godzinie 8 zaczyna, a z którego właśnie powracam, aby znów siadać na wóz i jechać noc całą—jeśli po takich drogach jak z Teczen do Töplitz—to bodaj czy nie na złamanie karku. Ale jutro koniecznie muszę być w Karlsbadzie, aby nie nadużywać cierpliwości Adama, który już kurs wód swoich skończył i na mnie tylko tam czeka. Z dam ani jednéj znajoméj nie spotkałem na balu, ani żadnéj téż nie poznałem. Patrzałem tylko jak Tantal na wodę. Za toż mężczyzn było aż nadto i znajomych z Warszawy i nowo poznanych, najwięcéj z Poznańskiego. Między tymi dwaj akademicy berlińscy opowiadali mi szczegółowo o pobycie i przyjęciu Adama w tém mieście.

Przyjęcie to było bardzo serdeczne ze strony polskiéj młodzieży uniwersyteckiéj i bawiących tam obywateli z xięztwa. Adam miał być w doskonałym humorze, i parę razy improwizował. W ogólności wrażenie, które sprawił, było takie, że wszyscy, powitawszy go tylko jako poetę, uczcili i pożegnali z żalem, jako wielkiego człowieka. Pokochałem ich za to serdecznie; i w ogólności wszyscy Poznańczycy, których dotąd poznałem,—zaczynając od towarzyszy podróży mojéj z Drezna, Antoniego Kraszewskiego i młodego Bnińskiego, o których w liście do Ignacego pisałem—wszyscy mi jakoś od razu przypadają do serca. Czuć w nich jakby jakąś chropawość, o którą, instynkt ci mówi, że i oprzeć się i zahaczyć możesz; nie tak jak te lakierowane słupki, co choć gładko błyszczą z daleka, ale dość chcieć który uścisnąć, aby wnet osunąć się na dół.

Na balu przypatrując się tańcom, a skazany na milczenie z damami, miałem czas i obszerne pole do ulubionych moich obserwacyi humanitarnych, w zestawianiu obok różnych narodowości; a przypomniawszy z mazurka artykuł Brodzińskiego „o Tańcach", w mojéj *Meliteli*, myślałem i dotąd myślę, że gdyby ci zręczni tancerze byli tacy w duchu, jak w ruchu; do roboty jak do ochoty, a do różańca jak do tańca; czegoby to nie mogli u Pana Boga uprosić, i jąkby wysoko nie zaszli! Ale—ale konie już zaprzężone. Zegar, słyszę, bije dwunastą. A więc dobranoc i dzieńdobry razem—i bądź zdrów!

X.

Do tegoż.

Karlsbad, 12 Sierpnia 1829 r. (Zum Pfeil. Nr, 4).

Od dwóch dni jestem z Adamem i dotąd jeszcze w Karlsbadzie. O ósméj ledwo wieczorem dowlekliśmy się tutaj onegdaj, dzięki nieporuszonéj niczém flegmie furmana Niemca, który ani sekundy nie pojechał prędzéj, a trzy razy po trzy prawie godziny popasał. Adam blizko o milę wychodził na spotkanie, i wracając, jak mówił, po raz piérwszy zły był na mnie. Fatalny to byłby prognostyk, gdyby się na mój widok nie udobruchał natychmiast. Ja téż raz piérwszy w życiu miałem przecież sposobność odwdzięczyć mu *de facto* otrzymaną od niego naukę. Zastałem go strojącego się na tak zwane *Réunion*, to jest wieczorne zebranie kąpielowych gości, które w Töplitz nazywa się balem. Dwie chustki był już odrzucił, których gładko zawiązać nie mógł. Ja więc zawiązałem mu trzecią i to tym samym fontaziem, którego mię w Petersburgu nauczył. Za toż wziąłem dla siebie jedną z dwóch odrzuconych, i o godzinie dziewiątéj byliśmy już w sali balowéj. Piérwsze osoby, któreśmy—a raczéj które nas u wejścia spotkały, były dwie prześliczne panny Łabędzkie: Zofia i Helena, które pewnie kiedyś widziałeś, a więc musisz pamiętać z Warszawy. Adam przedstawił mię im z żartobliwym konceptem, świad-

cącym o przyjacielskim między nimi stosunku, a który i mnie od razu przystęp do niego ułatwił. Żart, ma się rozumieć, był ze mnie; ale że przedstawiał mię tylko jako zdobycz nie tak dziką i trudną do wzięcia, jakby się zdawało z nazwiska, czułem, że mi to nie wiele zaszkodzi. Jakoż śmiejące się panienki powitały mię zaraz imieniem Don Alonza, mówiąc, że już mię znają z listów swoich kuzynek, to jest panny Heleny i Celiny Szymanowskich. Ja téż odpowiedziałem nawzajem, że je znam z miary ich stopek, którą ich admiratorowie warszawscy zdejmowali z ich śladów po Ogrodzie Saskim. Tym sposobem od piérwszéj chwili byliśmy już dobrze znajomi.

Adam miał wielką racyą niecierpliwić się w Karlsbadzie. Od wejścia aż do wyjścia z sali, nie było ani jednéj minuty żeby nie miał jakiego interlokutora, a nie widziałem po nim, iżby go który zbyt bawił. Zastawiał się więc mną jak puklerzem, rekomendując mię na prawo i na lewo. Ale i to nie pomagało. Co jeden zwrócił się do mnie, drugi wnet przystępował ku niemu. Dla mnie już nawet było to za nadto— chociaż może tylko dla tego, że te ustawne nowe znajomości nie dawały mi, jakbym pragnął, korzystać z najpiérwszéj. Ale wynagrodziłem to sobie wczoraj, asystując im, wraz z Adamem, prawie przez dzień cały: rano u źródeł, w południe na *Alte Wiese*, (miejsce ogólnéj przechadzki), a wieczorem we własnym ich domu. Wyszedłszy dopiéro ztamtąd, około godziny 10, puściliśmy się sam na sam ku *Post-hof*. Jest to najpiękniejsza tutejsza przechadzka, a była dla

mnie i jedną z najmilszych, jakie sobie przypomnieć mogę. Droga samotna, cisza, noc ciepła, pogodna, miesięczna, przypomniały mi nocne niegdyś przechadzki nasze po dolinie Kowieńskiéj. Adam kazał mi opowiadać z największemi szczegółami ostatnią bytność moję w Kownie, w rok po jego wyjeździe, zapytując przytém co chwila o tych i owych znajomych. W każdém prawie tém zapytaniu był już jakby charakterystyczny rys osoby, o którą pytał; niekiedy z lekkim, satyrycznym odcieniem, z przypomnieniem różnych drobnych śmiesznostek, ale zawsze bez cienia goryczy. Wspomnienia te obudziły w nim szereg innych. Ożywił się i zaczął sam opowiadać—ale same tylko dawne i wesołe zdarzenia. Wilno i Kowno jakby stały przed nami. Nie tylko przyjaciele i bliżsi znajomi, lecz nawet wydatniejsze figury uliczne przychodziły mu koleją na pamięć. O jednéj tylko Marylli, jak dawniéj zawsze tak i teraz, ani nawet wzmianki nie było. Pytał mię o stu obcych, którzy dlań całkiem byli obojętni; o niéj tylko i o jéj rodzinie nie tylko wprost, ale nawet ani ubocznie nie wspomniał. Wiedział przecież w jak blizkich i przyjacielskich byłem z nimi stosunkach. Uderzyło mię to i przypomniało, co słyszałem od pani Kowalskiéj, najbliższéj jego przyjaciółki w Kownie, że przez lat tyle, będąc codziennym gościem w ich domu i mówiąc najotwarciéj o wszystkiém, nigdy o tym przedmiocie słowa przed nią nie wyrzekł. I ja téż niepytany wszczynać go nie śmiałem, chociaż często miałem na myśli. Ale ze czcią prawdziwą podziwia-

łem w nim tę pamięć kochającego serca, która tak wszystkich i wszystko ogarnia, co się łączy z obrazem jego stron rodzinnych, nic zgoła nie odnosząc do siebie. Nie tylko bowiem ludzie, ale nawet zwierzęta miały udział w jego wspomnieniach. Pytał mię co się stało z szalonemi końmi pana Kowalskiego, na których kiedyś, polecając się Panu Bogu, odbywaliśmy przecież konno romantyczne wycieczki do Romań? Co z gadatliwą papugą jéj samćj? Co z ich ogromnym brytanem, stróżem i ulubieńcem ich dziatwy? Co z tłustym a złym mopsem panien marszałkówien Siwickich, który tak niecierpiał Adama, że go ciągle z pod krzesła chciał kąsać za nogi, ambarasując tém niepomału swe panie, które się zarówno lękały obrazić faworyta jak gościa. Mówiąc ztąd o psach innych, że go zwykle lubiły, opowiedział mi wzruszające zdarzenie z *Krukiem*, wielkim, czarnym psem jego rodziców, z którym w dzieciństwie żył w wielkiéj przyjaźni. Raz dano mu na podwieczorek porcyą chleba z masłem. Cząstkę jéj chciał dać Krukowi, ale Kruk porwał ją całkiem. Malec rozpłakał się głośno; czém widać poruszony czworonogi przyjaciel, chleb, który już miał w paszczęce, złożył na jego kolanach— i podzielili się nim po połowie.—W wiele lat potém w Kownie, gdy raz wedle zwyczaju spacerował sam w nocy w dolinie, zjawił się nagle, nie wiedzieć zkąd, pies jakiś, i zaczął się łasić do niego; ale tak był podobny do Kruka, że go to przeraziło nie żartem. Przyszła mu na myśl scena z Fausta Göthego, w któ-

réj djabeł, w postaci czarnego pudla, przyplątał się na przechadzce do Fausta, nim się w domu nakoniec w Mefistofelesa przemienił. A wrażenie to tak było mocne, że ledwo szybkim krokiem doszedłszy do miasta, i nie oglądając się po za siebie, ochłonął powoli z téj myśli, że bies, nie pies prosty biegł za nim. A i drugi raz także miał spotkanie ze *strachem* w dolinie. Było już około północy, gdy nagle brzęk łańcuchów wyrwał go z zamyślenia. Wzniósł oczy i tuż przed sobą, przy słabém świetle xiężyca, ujrzał postać ogromną w bieli. Brzęk łańcuchów znów się ponowił; widmo ruszyło się ku niemu. Nie z odwagi więc, jak sam wyznawał, ale z gorączkowego popędu, on téż prosto rzucił się na nie, i spotkał się oko w oko z białym koniem młynarza, który, spętany pętem żelaznem, harcował sobie spokojnie, a zwrócony przodem ku niemu, wydał mu się białym olbrzymem.

Na takich to i tym podobnych wspomnieniach przeszła nam piérwsza nasza przechadzka *za granicą*, z któréj dobrze już po północy wróciliśmy do domu. Tu dopiéro zapytałem go przecież o relacyą podróży morskiéj i lądowéj, z Petersburga do Lubeki i z Lubeki do Berlina; bo o pobycie w Berlinie i Dreznie wiedziałem już wszystko zkądinąd. Otoż z lądowéj, podług własnych słów jego, został mu tylko w pamięci doskonały bifsztyk w Hamburgu; a z morskiéj — muszę ci opowiedzieć jeden szczegół, który tak doskonale maluje pewną stronę, nie powiem charakteru, ale humoru i usposobienia Adama, że mu zacytowa-

łem, stosując do niego, ów wiersz Krysztalewicza [1]), który on sam pod portretem swoim napisał:

„W całéj postaci, wedle przyrodzenia,
Jawnie, oczywiście, wcale, bezwątpienia."

Otoż opowiadał mi Adam, że piérwszém uczuciem, którego doznał na statku parowym, była niewypowiedziana tęsknota, gdy żegnający go nad brzegiem Newy z przed oczu jego zniknęli. Była ona, jak mówił, całkiem odmienna od téj, którą czuł kiedyś przy wyjeździe z Wilna. Tam się uzbrajał w męztwo, tu go rzewność całkiem owładła. Ale wypłynąwszy już na pełne morze, chciał przecież zreassumować położenie swoje i użyć chwili stanowczéj i uroczystéj w swém życiu, w któréj czuł, że nową jego epokę zaczyna. Ale tu naprzód „przed oczyma duszy," jak duch Banka na uczcie Makbeta—jak szczur w czyimś tam teleskopie, wymierzonym na słońce—stanął—nie kto, ale co? Zgadnij! Nie zgadniesz, choćbyś cały rok myślał. Stanął ów podróżny tłómok czarny, któryśmy z Maryanem upakowali w Petersburgu; do którego on sam przy pakowaniu ani razu prawie nie zajrzał—ale który przecież, prędzéj później, będzie musiał sam rozpakować i układać na nowo. I ta myśl tak uporczywie zajęła jego wyobraźnię, tak mą-

1) Krysztalewicz, uliczny niegdyś wierszokleta Wileński, w pół frant, w pół warjat, który się sam mianował „poetą akademickim," a był w istocie celem żartów i figlów studentów, którzy przytém wspierali go hojnie.

ciła wszystkie uczucia, jakich mógł, chciał i spodziewał się w téj chwili doświadczyć: że przywiedziony nakoniec do rozpacznéj niecierpliwości, postanowił najmocniéj rzucić w morze przygniatający go do tyła ciężar, i byłby może w istocie spełnił ten excentryczny zamiar, gdyby szczęściem kapitan statku, na zasadzie ogólnych prawideł, nie odmówił mu wręcz i szorstko wydania pakunku, przed przybyciem na miejsce przeznaczenia. Uśmiawszy się, ale téż i przeląkłszy się zarazem, biorę odtąd całkiem na siebie ładowanie i wyładowywanie owego nieszczęsnego tłómoka, w którym zresztą dość jeszcze jest miejsca, ażeby w nim i moje rupiecie pomieścić.

Jutro raniutko wyjeżdżamy z Karlsbadu. Adam chciał już koniecznie dzisiaj, i ledwie instancye panienek wyjednały mi ten dzień jeszcze, abym przecież Karlsbad obejrzał. Opisywać ci go wszakże nie myślę. Masz pod bokiem kilku sąsiadów, co się tu na boki leczyli, a którym wiém, że jak na czasie tak i na ochocie nie zbywa, ażeby choć najdłużéj opowiadać o tém. Niepodobna mi jednak nie wspomnieć o *Sprudlu*—o tym, jeśli nie ósmym, to zawsze przecież jednym z cudów świata. Wyobraź sobie strumień, potok, rzekę wrzącéj wody, wybuchającą z ziemi jak wulkan, a bijącą do góry i rozpryskującą się w powietrzu, jak najpiękniejsza olbrzymia fontanna, i to jeszcze w obłokach pary, na których się blask słońca w ciągłych tęczach odbija. Kiedy więc stałem przed nią z Czatyrdahowém „A!!!” na ustach, to jest, mówiąc po prostu, z roździawioną gębą: panna Zofia kazała

mi dobrać poetyczne przyrównanie do Sprudla. Przyszedł mi na myśl „Graf Habsburg" Szyllera, gdzie natchnienie jest przyrównane do wytrysku wody z pod ziemi, a patrząc przytém na Adama, przyrównałem go—to jest Sprudel—do geniuszu, który gorąco i wysoko z tajemniczych gdzieś głębi wytryska, a na powierzchni ziemi zadziwia, zachwyca i leczy. Adam zaś dodał, jakby kończąc mój patetyczny frazes: „w którym kucharki oparzają kury, a panienki zanurzają niepotrzebne im samym graty, na pamiątki dla przyjaciółek."—To ostatnie było widoczną alluzyą do panienek naszych, bo się wnet o to dysputa między nim a niemi zaczęła. Ty zaś musisz, spodziewam się, wiedzieć, że Sprudel między innemi ma jeszcze i tę własność, że zanurzone w nim przedmioty oblewają się jakąś massą kamienną, która się zowie „kamieniem karlsbadzkim."

O północy.

Przed kwadransem skończyłem pakowanie tłómoka. Adam leżał na łóżku, palił fajkę i milczał. Gdy skończyłem, zapytał wesoło: która to z przyjaciółek moich nauczyła mię tego talentu pakowania? Odpowiedziałem, że miłość dla niego. Zaśmiał się, i opowiedział zaraz anegdotę o plackach i cwejbakach, nauczonych przez miłość, a najsmaczniejszych, jakie kiedy jadł w życiu. Były one roboty jakiéjś pani Zaleskiéj, która będąc jeszcze panienką, a wiedząc o sąsiada guście do ciastek, tak zawsze, za każdym jego przyjazdem, starała się wymyślać coraz nowe

i coraz smaczniejsze, że nie tylko z nią się ożenił, ale było to jedno z najszczęśliwszych małżeństw. Kończąc to, dodał osobliwszy komplement, że gdyby znalazł podobną do mnie kobiétę, (ma się rozumieć nie z wdzięków), gotówby się zaraz ożenić; pod tym jedynym wszakże warunkiem, aby nie była tak ochoczą do szukania nowych przyjaciół. „I cóżby ci to szkodziło, rzekłem, bylebyś zawsze był pewnym, że ciebie kocha najwięcéj?" Zaśmiał się, powstał, i przystąpiwszy do mnie, zaczął, jak dawniéj kiedyś, rozgarniać mi włosy.—Mój Boże! jak ja go kocham! A jak przytém lubię całować! to już pewnie nikogo więcéj.

Dziś chciano go tu fetować pożegnalnym obiadem, ale się wymówił stanowczo; bo już od wczoraj był projekt, aby ostatni obiad jeść *à table d'hote*, z panienkami razem. A było ze dwadzieścia i innych znajomych osób, których potém większa połowa udała się wraz z nami do Posthof, gdzieśmy już resztę wieczoru przepędzili bardzo wesoło. Deklamowałem dużo z Wallenroda: *Alpuharę*, *Pieśń Wajdeloty*, i jeszcze parę wyjątków. Adam chciał protestować, ale musiał słuchać. Z listów jego i rozmów w Petersburgu wiém, że on sam nie tak bardzo lubi Wallenroda a przynajmniéj jako całości; ale choć siedział nadęty, były jednakże miejsca, które, widziałem wyraźnie, że czuł równie z nami wszystkimi.—Późno już dosyć, przy świetle xiężyca, odprowadziliśmy do domu nasze piękne Sylfidy i pożegnaliśmy je u progu: ja cytacyą strofki z pieśni Gellerta „*Gute Nacht*," za co mi obiecały nawzajem napisać o tém wszystkiém do swoich

kuzynek i przypomnieć mnie ich pamięci. Mężczyzni odprowadzili jeszcze Adama. Mili moi towarzysze podróży z Drezna, i pan Kalixt Morozewicz z Warszawy, który tu był najbliżéj z Adamem, rozstali się z nami ostatni. My nawet nie rozbieramy się wcale, tak raniutko mamy wyjechać. *Leb denn wohl, und gute Nacht!*

XI.

Marienbad, 14 Sierpnia 1829 r.

Czerwonym nie czarnym atramentem chciałbym dzisiaj pisać do ciebie—bo dzień to uroczysty w kalendarzu mojego życia. Przyjechałem z Adamem, znalazłem tu panią Becu! Ty wiész najlepiéj, ilem ja jéj winien, i jak za to wdzięcznym być umiem. A i teraz—trzy lata niewidzenia, bez przerwy prawie codziennego stosunku! O wszystkiém, co nas w tym czasie spotkało, tak możemy mówić nawzajem, jakbyśmy to razem przeżyli. Ale widziałeś u mnie jéj listy, po dwa, trzy i więcéj półarkuszy; a i moje bywały nie krótsze. Adam, który sam pisać nie lubi, nazywa to z jéj strony fenomenem dobroci, a z mojéj fenomenem próżniactwa. Niech sobie! Jest w tém może część prawdy, ale nie ze wszystkiém. Nieraz wprawdzie dla listu, co bawi, zdarzy się człowiekowi rzucić xiążkę lub pracę, co nudzi; ale dla czegóż ja dzisiaj naprzykład, piszę, nie chwaląc się, do ciebie?

Pani Becu zawsze ta sama: młoda wyobraźnią i sercem, piękna duszą, zachwycająca w rozmowie. Wiek jéj znaczny tylko w rozumie. Mój Boże! gdyby to Julek, przy swoim talencie, z poetyczną wyobraźnią swéj matki, odziedziczył i kochające jéj serce! Byłby pewnie, czém tak być pragnie—i wielkim, i sławnym poetą. „Ale pycha i z Nieba spycha," jak mówią; a obok niéj i ten wiecznie ironiczny sarkazm,

co w nim zda się rośnie z latami, nie wiém czy będzie dobrym przewodnikiem prawdziwego natchnienia z góry. Matka zna go doskonale na wylot; a im go czuléj i namiętniéj kocha, tém się bardziéj jego samego, dla niego samego obawia. Szczęśliwy jestem przynajmniéj, że z całą prawdą mogę ją pocieszyć, opowiadając o jego sposobie życia i postępowaniu w Warszawie, na téj nowéj arenie życia, na którą po raz piérwszy, z pod matczynéj opieki, sam już przez się jak młodzieniec wystąpił. Każdy kto poznał, szacować go musi; a i miałby za co pokochać, gdyby on chciał być kochanym, albo raczéj, gdyby sam kochał. Ale bajroniczny jego ideał nie dozwala mu myśleć o tém. Chce mu się być koniecznie Konradem, żeby nań wszyscy z podziwieniem patrzali, a z czcią bojaźni kłaniali się przed nim. Smutny to zaprawdę ideał! Korsarzowi jakiemuś łatwiéj może go ziścić;— ale poecie! Choćby się nawet puścił na korsarstwo ducha, i tak jeszcze nie dokaże swojego. Wierszem przecież głowy nie zetniesz; a kto jéj sam przez uszanowanie nie schyli, strachem go do tego nie zmusić. A co to za kontrast z Adamem! Tenby pewnie okiem nie mrugnął, żeby sobie kogokolwiek zhołdować; — i nic go tak nie nudzi jak hołdy. Ale duch wielki w prostocie i prawdzie, to talizman, co cześć obudza; to magnes, który serca przyciąga. Bo jeśli można lubić i kochać nie wielbiąc, to jak uwielbiając nie kochać? Człowiek, coby miłością pomiatał, uwielbienia nigdy nie zjedna. — Szeroko o tém wszystkiém przegadaliśmy dziś z panią Becu. Ona ma jeszcze na-

[redacted]

dzięję, że Julek zmięknie w sobie, jak się kiedy zakocha. Ale czy się zakocha.? *That is the question!* Żeby się w nim kochano, do tego mu na ochocie nie zbywa—bo i w tém jest tryumf i hołd. Ale żeby się on sam w kim zakochał, to jest dla kogoś zapomniał o sobie—to dotąd tego popędu nié ma w jego Narcyzowéj naturze! Trzebaby na to chyba tych samych warunków, w jakich się kochał kiedyś w pannie Ludwice S., to jest, kiedy sam jeszcze, był dzieckiem i studentem, a ona już brylowała na świecie, pisała bajroniczne rapsody, i pozowała sama na wzór poetycznych heroin. Wtenczas, chociaż w niéj tylko, ale przecież czuł wyższość nad sobą; teraz, jak mi się zdaje, poczuje już ją chyba na starość, gdy się jaką młodziutką pięknością zachwyci. Zresztą, mówię to tylko tobie, i obym był fałszywym prorokiem! Bo życzę mu z głębi duszy wszelkiego powodzenia i dobra, choćby już tylko dla pociechy téj najlepszéj matki, która tak godna szczęścia, a jednak, sądząc się kiedyś blizką śmierci w Wilnie, polecała mi abym czuwał koniecznie, iżby na jéj nagrobku wyryty został napis: „Ona nie była szczęśliwą!" Z tego to właśnie wziąłem potém assumpt do napisania, jak wiész, w kształcie nagrobku, powinszowania na dzień jéj imienin.

O Marienbadzie nié ma co pisać, chociaż jest to milutkie miasteczko. Domów liczy nie więcéj nad 49; zbudowane na wzgórzach w amfiteatr; w środku ogród, a raczéj trawnik z klombami; wkoło góry borem porosłe. Oprócz źródeł, dwie tylko ciekawości widzia-

łem: ogromnego jak niedźwiedź buldoga, który chodził za jakimś chudym Anglikiem, i Metternicha, który się tu kąpie. Włosy białe, a twarz czerwona.

Ale powiém ci ciekawość o sobie, która dla mnie samego była niespodzianką. Oto, wiedz—jestem wyższy od Adama. W Wilnie kiedyś, pamiętam, miałem się za niższego, ale musiałem urość przez te lata, bo w Petersburgu czułem się już równym, chociaż nigdy jakoś nie przyszło zwrócić na to szczególnéj uwagi. Wczoraj dopiéro w drodze z Karlsbadu, (wyjechaliśmy o 3-éj rano, a stanęliśmy tu o południu), Adam użył w rozmowie wyrażenia: „ty mały!" Obruszyłem się i zaprotestowałem, dopominając się o prawo równości. Adam nie chciał temu uwierzyć, a gdy obstawałem przy swojém— „*Halt*, *Kutscher!*" zawołał na furmana, i chociaż drobny deszcz prószył, kazał mi wysiadać z powozu, ażeby się natychmiast pomierzyć. Stanęliśmy więc na drodze plecami do siebie, ale że sami siebie nie mogliśmy widzieć, Adam znowu odwołał się do Niemca: „*Wer ist höher*, *Kutscher?*"—Niemiec śmiejąc się spójrzał, lecz że widać trudno mu było z pewnością na oko rozsądzić, zestrychował nas z kozła biczowiskiem po głowach, i ogłosił stanowczy wyrok: „*Der Jüngere ist grösser.*" Ucieszyłem się i tryumfowałem serdecznie. Adam grozi, że będzie mię „gnębić," aby znowu przycisnąć do ziemi; choć pani Becu, stając w mojéj obronie, zapewnia go, jako najlepszy świadek, że nikt pewnie szczerzéj i chętniéj nademnie wyższości jego nie czuje i nie uznaje. Ztąd znowu była mowa o talencie

Julka, któremu Adam świetną wróży przyszłość, a ze znajomych mu dotąd jego wierszy najwyżéj ceni *Hugona*, którego mu z polecenia autora, pod sąd jego do Petersburga przywiozłem [1]). A żeśmy przytém przed nasz areopag powoływali z kolei wszystkich naszych parnasowych kolegów: ku pociesze więc twojéj donoszę, że Adam ma ciebie za najlepszego u nas dotąd tłómacza Ód Horacyusza, i w ogólności poetycką dykcyą twoję uważa za udoskonalony wpływem innych ton dykcyi Naruszewicza, co do jego jędrności i siły. I na tém *punctum* dzisiejszego listu. Następnego nie zacznę, aż już chyba w Wejmarze, dokąd ztąd prosto wyjeżdżamy jutro. Ciągnie mię tam, jak Turka do Mekki—nie chęć widzenia tylko mogił i relikwii wielkich nieboszczyków; nie myśl tylko, że zobaczę jeszcze Göthego, jak mamuta

---

[1]) W tomie drugim *Korespondencyi Adama Mickiewicza* umieszczony jest list Juljusza Słowackiego z daty 21 maja 1829 r. pisany z Warszawy do A. E. Odyńca, bawiącego naówczas w Petersburgu, a w którym czytamy: „Panu Mickiewiczowi, którego miałem przynajmniéj szczęście widzieć kilka razy, oświadcz moje uszanowanie i oddaj pod sąd moję powieść. Będę mu bardzo wdzięczny jeżeli zechce ją przeczytać. Nieskończenie byłbym obowiązanym, gdyby raczył choć kilka słów własnoręcznie o niéj napisać. Boję się jednak żeby ta prośba nie była podobną do żądania dowcipnego Łopatty, czynionego ci przy wyjeździe. Rozważ więc sam moję prośbę i nie powtarzaj Mickiewiczowi, jeżeli ją za nadto śmiałą być mniemasz."— Przytaczając te słowa, sądzimy, że nie będą bez interesu dla świadomych dalszych stosunków Juljusza z Adamem.

żywcem; ale wierz mi, że i nadzieja, że tam, podług umowy, spodziewam się znaleźć listy od ciebie, od Ignacego i od Żegoty, do którego razem z Adamem pisaliśmy z Karlsbadu w dzień jego imienin. Adam i pani Becu pozdrawiają cię najżyczliwiéj. Po drodze mam mieć jeszcze wielką przyjemność, to jest obaczyć się w Franzesbrunn z kochanym Adolfem [1]), który w klombie naszych młodych przyjaciół górował zawsze jak lilja: wysoka, piękna i biała bez zmazy. Bądź zdrów i ty mój miły, rumiany i *pełny* goździku!

---

[1]) Adolf Januszkiewicz. Urodzony w Nieświeżu 1803 r., kształcił się w Wiśnicy i w Wilnie, mieszkał długo w Rossyi Wschodniéj, i pomiędzy Kirgisami, których opisywał w listach. Umarł w r. 1857, na łonie rodziny w dziedzicznéj wsi brata Januarego, *Dziakilnéj*, w gubernii Mińskiéj.

XII.

Do tegoż.

Wejmar, 18 Sierpnia 1829 r. o południu.

Otożem i w Wejmarze! Ale że nie przeleciałem powietrzem—siadaj więc razem z nami do powozu, i jedźmy tu z Marienbadu. Nie wielką wprawdzie będziesz miał pociechę, a mianowicie ze mnie; bo mi naprzód tak smutno, że aż płakać chce się; a potém śpimy oba, każdy w swoim kącie, po całéj bezsennéj nocy, którąśmy, aż do chwili wyjazdu, przebyli u pani Becu. Bóg wié, czy się już kiedy na tym świecie zobaczym? W każdém rozstaniu z tymi, co się kocha, jest jakby cząstka boleści konania;—może więc i śmierć po niém tak duszę, jak sen serce po rozstaniu pokrzepia.

O południu huk kół po bruku obudził nas nakoniec z letargu. Mieścisko jakieś smutne, domy stare, wysokie; ulice wązkie, ciemne, puste—to Eger! Same nawet jego osobliwości, które zwabiają ciekawość podróżnych, są to ruiny zamku i wieży, z czarnego kamienia czy z lawy, budowanéj jakoby przez Rzymian, i pamiątka popełnionéj tu zbrodni historycznéj, to jest zamordowania Wallensteina. Cień jéj zda się zalega salę, gdzie naprzód wymordowano śród uczty najwierniejszych jego przyjaciół. Jest to dawna kaplica Templaryuszów, przerobiona następnie na salę

o dwóch piętrach. W wyższém było obserwatoryum astrologiczne, zkąd Wallenstein patrząc pewno kiedyś na gwiazdy, nie przewidział jednakże, co się miało stać pod nim na dole; bo—jak powiedział nasz poczciwy Kniaźnin:

„Bo któż kiedy dójrzy okiem,
Co ma być jego wyrokiem?"

Dom, gdzie jego samego zabito, zamieszkany jest dziś przez burmistrza, a sprzęty i urządzenie wewnątrz tak kontrastują z pamiątką tego wypadku, jak wiek nasz z wiekami średniemi. Włócznia, którą go przebił morderca, dotąd rdzą krwawą okryta, pokazuje się za pieniądze w ratuszu, wraz z jego feldmarszałkowskim mieczem. „*Vanitas vanitatum et omnia vanitas!*"—I gdyby nie Wallenstein Szyllera, który nam ciągle stał w myśli, pewnoby samo oglądanie tych rzeczy nie sprawiało nam takiego wrażenia. Nie historya bowiem sama, ale dopiéro poezya nadaje wypadkom tę posągową, nieśmiertelną postać, pod którą je widzi potomność. Bóg wié, jak tam było w istocie pod Troją; ale wieki wierzą na ślepo temu, który sam, nawet jako ślepy, okiem ludzkiém na to nie patrzał. Gdybyśmy zamiast Iliady, mieli tylko relacye kronikarzy, choćby nawet naocznych świadków Trojańskich i Greckich, pewnoby z nich Alexander Wielki nie zaczerpnął pochopu i siły do zadziwiania i podboju świata. Poeta więc, nie kronikarz, jest prawdziwym kapłanem historyi. Historya przez poezyą tylko może być mistrzynią ludzkości. Ale jakaż

to być powinna poezya? Zapewne nie sztuka dla sztuki, ale chyba prawda dla prawdy. Ale dójdźże lub dopatrz prawdy samym tylko rozumem! W zachwyceniu ją chyba obaczysz; natchnienie ci ją chyba przyniesie! Bez tego nie odgadniesz przeszłości, tak jak i przyszłości nie zgadniesz. Sami tylko prorocy byli prawdziwymi poetami, w pełném tego słowa znaczeniu. Wszyscy inni są więksi lub mniejsi, w miarę jak się ku nim zbliżają; w miarę więcéj lub mniéj natchnienia, jakie na nich zstąpiło z góry. Ale jeśliż natchnienie ma być darem Bożym, to czyliż Pan Bóg może je dać temu, o kim wié, że niém gotów dla pychy lub dla namiętności frymarczyć? Tacy więc udają tylko natchnienie, naśladując prawdziwie natchnionych—ale tylko formę ich natchnień: bo nic więcéj naśladować nie można. Ztąd powstała poezya-sztuka. Naśladownictwo to form starożytnych, w tak zwanym wieku *odrodzenia*, stało się w istocie *zamarciem* rozwijającéj się dotąd w Europie, w prawdzie uczucia wieków średnich, poezyi nowéj: chrześcijańskiéj i narodowéj. Sztuka ta wystarczała dla wieków, w których życie narodów skupiało się w dworach monarszych, albo w społeczeństwach dworaków, których téż uczucia i życie były ciągłém udawaniem i sztuką. Dziś, gdy świat znów prawdy zapragnął, sztuka już nie wystarcza ludzkości, i poezya musi wrócić do prawdy. Jakoż i zaczyna już wracać—ale jeszcze tylko przez sztukę, przez naśladownictwo form nowych, których szuka w poezyi ludowéj, gdzie natura góruje nad sztuką. Ale ciasny obręb pojęć ludowych,

sama szczerość i prostota uczuć, nie wystarczają jeszcze poezyi wyższéj. Źródło zaś żywych i najwyższych jéj natchnień—żywa wiara, jako prawda najwyższa—jest jeszcze dla dzisiejszych poetów, jak tym skarbem zaklętym w bajce, jak tą zapomnianą przez ludzi drugą półkulą świata, którą natchniony chyba gieniusz odnajdzie, a natchnione słowo otworzy. Największym poetą z wiary był Dante. Szekspir dójrzał najwięcéj prawdy w sercach i dziejach ludzkich. Byron jest już dziś w prawdzie—lecz tylko w prawdzie własnych uczuć swoich. Göthe szuka prawdy rozumem; Szyller czuł ją częściéj w natchnieniu. Wpływ Szyllera na życie swego narodu większym jest dla tego, że przez serce działa więcéj na młodzież, która to życie wyrabia. Göthe więcéj przemawia do tych, co już tylko rozmyślają nad życiem.

Oto masz extrakt rozmowy, która zajęła nam całą drogę z Egeru do Franzesbadu. Słowa Adama mają niekiedy dla mnie wpływ i własność wiosennego grzmotu. Myśli po nich wysypują się jak trawa z ziemi—choć i więdną bez użytku jak trawa. Masz więc tu ich garstkę na świeżo; a czy sok z nich jaki wyciśniesz—to już nie moja rzecz.

Franzesbad śliczne, wesołe miasteczko; jeśli można nazwać miasteczkiem osadę, ledwo z czterdziestu domów złożoną. Ale ich *jakość* zastępuje *ilość*. Cały wieczór spędziliśmy z Adolfem, zwiedziwszy z nim wprzód źródła i krater zgasłego wulkanu, który się znajduje w pobliżu. Biedny Adolf cierpi na piersi. Sami jego współobywatele, którzy go jednomyślnie

na zaszczytny urząd wybrali, gwałtem wysłali go za granicę—i musiał się rozstać z narzeczoną. Po wodach pojedzie do Włoch, i obiecał odwiedzić nas w Rzymie. Miły, kochany, jak zawsze; a przy bladości w twarzy, jeszcze bardziéj zda się wypiękniał.

Nazajutrz, d. 16, dość późno, bo o 9 ledwo, wyjechaliśmy daléj do Hof, w Bawaryi. Miasto nowe, porządne, największe dotąd po Dreznie. Popasaliśmy w niém tylko, i wcześnie na nocleg stanęliśmy w Schleiz, stolicy wielkiego państwa, którego drobna moneta nie kursuje już o pół mili od niéj. Za pół talara prawie pozostało mi tych numizmatów, z któremi nie wiedząc co zrobić, darowałem je *wspaniałomyślnie* furmanowi. Tu wieczorem wielka narada, kędy daléj jechać z Wejmaru: przez Wiedeń, czy przez Frankfurt nad Menem? Tu i tam możemy odebrać pieniądze za wexlami na dom Rotszylda. Idzie więc tylko o to, kędy prościéj i bliżéj do Włoch?—Ale gdzież u licha ten Frankfurt? Mappa przy „*Guide du Voyageur*" tak drobna, że nie możemy na niéj go znaleźć: ja siedząc przy stoliku nad nią, Adam stojąc schylony nademną. Pokazuje się w końcu, niestety, że nie wiémy dobrze, gdzie szukać; czyli, mówiąc po prostu, że geografii nie umiemy. Adam chwali się wprawdzie, że zna tak doskonale mappę Turcyi Europejskiéj, teatru ostatniéj wojny, że zamrużywszy oczy, trafi palcem do Warny lub Szumli. Ale Frankfurtu tymczasem jak nié ma, tak nié ma! „Idź precz nieuku! woła Adam—ja znajdę."—Szuka więc, a ja chodzę po izbie. I śmiech, i wstyd nam nieco. Obwiniamy więc

professorów, co nas tak geografii uczyli. Bo w Borunach jak i w Nowogródku metoda była ta sama. Nazwisk uczono się na pamięć; mappa wisiała na tablicy śród klassy, ze skazówką na sznurku, oklejoną lakiem. Professor z katederki nie widział, jak nią uczeń pokazuje na mappie; uczeń téż nią machał, nie patrząc i nie troszcząc się wcale, czy „geografia nie zostanie na lewo.”—Mówimy o tém długo, a Adam tymczasem szuka.— „Jest, jest Frankfurt!” zawołał nakoniec.—„Krzyczysz, rzekłem, jak Kolumb, kiedy świat nowy zobaczył!”—„Dawaj pióra!” woła znów Adam, trzymając Frankfurt pod palcem. Umoczyłem zanadto z pośpiechu, i zamiast podkreślenia, żyd siadł na Frankfurcie. Wyznaję ci, że żyd ten odtąd staje się dla mnie na mappie i w myśli, jakby punktem centralnym, około którego dalsze moje geograficzne pojęcia, których przecież spodziewam się nabyć praktycznie, krążyć będą jak planety około słońca. Takaż to bodaj będzie i ich jasność!

Śmieszna ta scena wywołała różne wspomnienia Adama o jego pobycie i uczeniu się w szkołach. Dziwna rzecz jak szkolne to życie u nas, zwłaszcza w szkołach utrzymywanych przez xięży, było wszędzie do siebie podobne. A więc i ty znasz je dokładnie z własnego doświadczenia w Szczuczynie, a teraz pewnoś ciekawszy Wejmaru, gdzieśmy stanęli wczoraj o godzinie 7 wieczorem. Z przejazdu wspomnę tylko o drodze i okolicach prześlicznych, przed i po za Jeną. Góry skaliste, koloru piaskowego, od szczytu do połowy nagie, u spodu lasem albo winnicami okryte.

W jedném miejscu droga wykuta w czerwonéj skale (Rothenstein). Na tle zielonych dolin, mnóstwo wsi jak stada owiec bieleje. Drogi owocowemi drzewami sadzone: rzeka Sala szumi wzdłuż naszéj—ale słupów żelaznych nie widać. Sama Jena śród gór. Miasto zdaje się piękne, ale ulice puściutkie. Przejechaliśmy tylko przez nie, mając jeszcze umyślnie przyjechać kiedyś z Wejmaru, dla oglądania pola sławnéj bitwy.

Stanąwszy tu w oberży „pod Słoniem," najlepszéj i jedynéj w rynku, pobiegłem natychmiast na pocztę. „Niestety! *zamknięta!*" A więc do mieszkania pocztmistrza! Szczęściem znalazłem samą tylko żonę, młodą i dość ładną Niemeczkę. Wytłómaczyłem jéj moję niecierpliwość otrzymania listów od rodziny, które tu na mnie z pewnością czekają, i tak jakoś trafiłem do serca, że nie tylko posłała po męża, który musiał być blizko, ale wyszła sama na jego spotkanie, i tak widać usposobiła łaskawie, że bez najmniejszego oporu poszedł ze mną do bióra, i z pod litery O. dobył naprzód trzy listy do mnie: od ciebie, od Żegoty i od panny Flory Lascaris, z Warszawy; (Ignacy nie dotrzymał słowa); a potém z pod litery M. ogromny pakiet do Adama, od pani Szymanowskiéj, zawierający rekomendacyjne listy do Göthego i do synowéj jego, pani Ottilii Göthe. Z temi listami Adam poszedł właśnie do niéj, a ja radując się waszemi, zacząłem niniejszy do ciebie, i obiecuję przez wdzięczność pisać ztąd, jeśli nie codzień, to przynajmniéj o wszystkiém, co mi się zdawać będzie interesującém dla ciebie.

O jedno tylko prosisz mię daremnie, to jest o opisywanie mych wrażeń. Liryka dobra chyba w listach romansowych, i w nich tylko chyba nie nudzi. A i jak wypowiedzieć np. co się we mnie dzieje, gdy myślę, że dzisiaj może jeszcze obaczę Göthego? Poczekam więc, aż nadzieja stanie się faktem;—bo fakt każdy ma już swą postać, którą można i schwycić, i oddać w rysunku.

Adam wrócił w téj chwili, zachwycony panią Ottilią, i z zaproszeniem obu nas na herbatę o godzinie 8-éj wieczorem. Ja więc téż zaraz idę tam z wizytą, aby przecież choć bilet zostawić. Göthe mieszka przez lato za miastem, gdzie ma także dom własny z ogrodem, i zkąd niekiedy tylko przybywa do miasta. Ogrodnictwo jest jego najulubieńszą rozrywką. Pani Ottilia ma dziś mu posłać list pani Szymanowskiéj. Obaczymyż na kiedy audyencyą nam wyjedna.

Godzina 2 po południu.

Wracam od pani Ottilii. Rzeczywiście arcy-miła osoba, pełna uprzejmości i wdzięku. Jest nawet wcale przystojna, a musiała być kiedyś i ładną. Może mieć teraz około lat 40. Zastałem u niéj jéj siostrę, jakąś bardzo szczero-serdeczną, i jak mi się być zdaje, z gruntu dobrą niewiastę. Wypytywały mię z lekka o Adamie, to jest o jego dziełach i stanowisku literackiém. Naszkicowałem więc im obraz jego tak olbrzymio, że w oczach ich czytałem wątpliwość, czy przyjaźń osobista nie kieruje pędzlem. Niechże sam

sobie teraz wypełnia ten kontur!—choć mu o tém nic zgoła nie mówię, bobym pewno burę oberwał. Z kilku słów pani Ottilii odgadłem, że i o mnie coś pani Szymanowska pisać do niéj musiała. Obie, a zwłaszcza siostra pożegnały mię przyjacielskiém podaniem ręki, i uprzejmém „*Auf wiedersehen!*” Teraz idziemy zaraz na obiad, a potém na włóczęgę po mieście.

Godzina 7 wieczorem.

Wróciliśmy dopiéro przed kwadransem. Znaleźliśmy dwa wizytowe bilety pana Augusta Göthego, (syna), męża pani Ottilii, i za godzinę sami tam idziemy. Obejrzeliśmy miasto—nic osobliwego. Obeszliśmy park—duży i piękny; i siedzieliśmy na „siedzeniu Szyllera,” (*Schiller's Sitz*), to jest na ławeczce pod drzewem, z widokiem na wieś po za rzeką, gdzie widać musiał poeta ze szczególném upodobaniem siadywać. Nakoniec poszliśmy na *Vogelschiessen*, bo się tu właśnie teraz ten *Volks-fest* odbywa. Z Drezna dłużéj o tém pisałem. Tu mniéj więcéj wszystko tak samo; z tą tylko różnicą, że strzelają do ptaka nie z łuków, ale z jakichś ogromnych, staroświeckich rusznic. Pomiędzy grającymi w kręgle, spostrzegłem znajomego mi już pana pocztmistrza, i przypisałem się zaraz do partyi. Dowiedziawszy się zaś od niego, że żona jego gra w czekino w blizkim namiocie, poszedłem tam, i usiadłszy przy niéj, przegrałem razem parę *auséw*. Adam żegnał się z podziwienia, że i tutaj mam już przyjaciół; i siedział sam jak mruk na stronie, pijąc

kawę i paląc cygaro. Ja zaś tymczasem przy kręglach za pośrednictwem p. pocztmistrza, poznałem jeszcze jakiegoś bardzo poważnego *bürgera*, krawca z professyi, ale widać przytém i literata; bo mówił ze mną o chwałach Wejmarskich, które tu najbardziéj cudzoziemców zwabiają, i dał do zrozumienia, że zna, i nawet posiada ich dzieła. O Szyllerze powiadał, że go dobrze pamięta, bo był terminatorem u majstra, który mu robił odzienie, i raz przyszywał na nim guzik do surduta, który był mu się widać wyrwał na ulicy, bo sam z nim w ręku przyszedł do warsztatu. „*Es war ein süsser Mann*" (był to słodki człowiek), dodał opowiadając, jak mu za to grzecznie dziękował. Na zapytanie zaś moje o Göthem, odpowiedział tylko: „*Herr Geheimrath? O! s'ist ein grosser Herr!* (Pan Radzca Tajny? O! to wielki pan!)

Tytuł ten obok imienia Göthego, dziwnie jakoś zadzwonił mi w uszach. Największy poeta, póki żyje, w oczach tych, co zblizka nań patrzą, jest zawsze tylko w postaci powszedniego, społecznego człowieka, i podług niéj najczęściéj jest przez nich ceniony. Po śmierci i dla potomnych dopiéro, wyswabadza się z niéj, jak motyl z poczwarki, i o własnych już tylko siłach lata wyżéj lub niżéj.

Ale ze wszystkich poetów, jacy kiedy żyli na świecie, kogobyś sam dla siebie chciał wziąć za ideał, tak pod względem zewnętrznéj, społecznéj, jak i wewnętrznéj, moralnéj postaci? Czy ślepego żebraka Homera? Czy wygnańca i tułacza Danta? Czy więzionego jako warjat Tassa? Czy umierającego w szpi-

talu Kamoensa? Jużciż pewno żadnego z nich. A więc czy dworaka Rasyna, który umiera od złéj miny pańskiéj? Czy aktora Szekspira lub Moliera, który kona bawiąc widzów na scenie? Czy professora Szyllera, co się pracą nad książkami zamęczył? Czy wojażera i lorda Byrona, co sam życie swe, jako człowiek, na przekorę ziomkom zmarnował? Czy nakoniec samego Geheimratha von Göthe, który jest bez wątpienia najszczęśliwszym ze wszystkich: bo i uznany ogólnie za wielkiego poetę, i *grosser Herr* w oczach ludzkich, i już lat 80 używa życia i świata? A pomimo to wszystko, ja nawet nad niego samego przekładam los i ideał naszego Jana z Czarnolasu. Swobodny obywatel-ziemianin, szacowany przez królów, poważany i kochany przez ziomków, niechcący przyjąć prebend ni tytułów, i „pan tylko przez przestawanie na swojém!" Zrobił on więcéj dla swojego narodu, niż ktobądź z wyższych nawet geniuszem od niego: dał mu język, literaturę i nastrój moralny. Psalmy jego w świątyniach i domach, treny w sercach współziomków, brzmią wraz z jego imieniem przez ciąg całych trzech wieków, i zdaje się, że nie przebrzmią nigdy. Sama śmierć jego, w obec króla i najwyższego sądu, spowodowana wzruszeniem serca, gdy miał podnosić głos w sprawie nieżyjącego już przyjaciela, jednoczy zda się w sobie idealne cechy: człowieka, chrześcijanina i obywatela. Obok innych największych poetów świata, jest on jak cudowne nasze obrazy Najświętszéj Panny obok najsławniejszych Madonn: Rafaela, Murilla, Holbeina i t. d. Tam sztuka

i ideał piękności kobiécéj, tu świętość i Bogarodzica. Tam zachwycasz się malowidłem i admirujesz malarza, tu nie śmiesz spójrzeć na obraz, a modlisz się do żywéj na niebie.

Ale á *quel propos* ja ci to piszę? Oto wyznam szczerze, dla tego, żeby nie zapomnieć. Bo „*verba volant*, *scripta manent*;" a gdy mówiłem to Adamowi, po rozmowie z krawcem, on tak był z tego kontent, że aż na znak zadowolenia, za ucho mię idąc pokręcił.

Teraz idziemy zaraz do pani Ottilii, a za powrótem zacznę nową ćwiartkę. Tymczasem na téj, bądź zdrów!

XIII.

Do tegoż.

19 Sierpnia, godzina 6 rano.

Wróciwszy wczoraj, nie mogłem już pisać; ale za toż dziś wstałem tak rano, aby ci opowiedzieć wczorajsze. A chcę śpieszyć nim Adam wstanie; bo chociaż on do listów moich nie zagląda, ale sam już ruch jego byłby mi przeszkodą w tém właśnie, co mam napisać. W téj chwili patrzę na niego śpiącego. Jaki on piękny! Na tle ciemnéj skórzanéj poduszki rysuje się delikatny profil bladéj twarzy. Czarne włosy, spadające na skronie, jeszcze bardziéj tę bladość podnoszą. Za toż w ustach rumieniec panieński! Powinnyby się uśmiechać, jeśli marzy o wczorajszym wieczorze. Bo właśnie chcę ci powiedzieć, że widziałem go wczoraj raz piérwszy w nowéj całkiem dla mnie postaci. Był szarmant nad szarmantami. Przedtém kiedy go widywałem w towarzystwie dam, to albo był z niemi poufale znajomy, albo téż całkiem obojętny i zimny. Ale co wczoraj, to widocznie chciał się podobać;—a i tu biję czołem przed mistrzowstwem jego. Wprawdzie sama pani Ottilia, i przyjaciółka jéj panna Pappenheim, praprawnuczka sławnego wodza, którąśmy już u niéj zastali, dopomagały mu dzielnie w téj jakby grze w wolanta; bo każdy przedmiot leciał zaraz w górę, jak wolant, a nikt z nich upaść mu nie dał. Panna Pappenheim tylko, bardzo widać mądra

i oczytana, zarywała niekiedy, chociaż bardzo rzadko, na ton jakby nieco pedancki; ale Adam tak zręcznie zaraz, to uczuciowém słówkiem, to wesołym żarcikiem, umiał zmiękczyć sztywność rozmowy, że przy najpoważniejszych nawet przedmiotach nigdy ani w rozprawę, ani w dysputę nie przeszła. A była mowa i o duszy, i o sercu, i o życiu, i o sztuce, i o tysiącu różnych rzeczy bieżących, które świat w téj chwili zajmują. A że pod tym ostatnim względem mnóstwo ich było dla mnie najzupełniéj nowych, słuchałem więc tylko, i nieraz dziwiłem się sam w sobie, żem nic dotąd o tém nie słyszał. Przebiegałem więc i rozbierałem w myśli wszystkie nasze Wileńskie i Warszawskie salony, w których się przecież więcéj czasu, niestety, niźli nad książkami spędziło. W Wilnie, u pani Becu, u Śniadeckich i u Balińskich, a nawet i gdzie indziéj, i między młodzieżą, myśli wszystkich krążyły więcéj w Platońskim świecie idei, niż po ziemskim globie za Niemnem. W Warszawie, po świetniejszych salonach, słyszało się jużcić cóś więcéj o tém, co się dzieje w Europie, a mianowicie w Paryżu. Ale tu znowu przeciwnie, wszystko ściągało się do faktów, do objawów zewnętrznych, nie śledząc co z czego wynika, albo co do czego prowadzi; a właśnie to rzeczywiste życie świata w idei, a przynajmniéj względnie do idei, Adam w rozmowie swojéj po mistrzowsku rozwijał; i dla dam tych, jak uważałem, nie były to, jak dla mnie, rzeczy obce i nowe. Dla czegoż więc ja o nich nie słyszałem w Warszawie?... I przychodziła mi na myśl przemowa „O krytykach

i recenzentach Warszawskich."—Ale zkądże sam Adam nauczył się tego wszystkiego? Pytałem go właśnie o to za powrotem do domu. Z początku zbywał żartami, ale potém opowiedział na seryo, jak przez ostatnie dwa lata czytał pilnie celniejsze europejskie dzienniki, a mianowicie paryzką gazetę *Globe*, z któréj, jak mówi, korzystał najwięcéj; a o któréj ja, wyznaję ze wstydem, nie słyszałem nawet w Warszawie.

Ale chodź jeszcze nazad do salonu pani Ottilii, bo chcę jeszcze powiedzieć ci o niéj; a mianowicie, że znalazłem ją daleko przyjemniejszą i milszą, niż mi się wydała z początku. Żeby zaś dać ci przecież jakieś wyobrażenie o niéj, powiém, że środkuje niejako pomiędzy panią Becu a panią Balińską. Wiész, jak cię piérwsza wyobraźnią swoją obwija jak tęczą w rozmowie; jak druga iskrzy uczuciem nakształt zorzy polarnéj. Otoż pani Ottilia zarywa coś na jedną i drugą, chociaż, jak mi się zdaje, intelligencya i reflexya górują w niéj nad uczuciem i nad wyobraźnią. A przytém widać, że ma wiele nauki, ale to bez najmniejszego cienia pedantyzmu. Owszem, w rozmöwie jéj, jak i w niéj saméj, tchnie jakiś, że tak powiem, urok niewieściości (*Weiblichkeit*), o którym Gothe tak często w pismach swoich mówi. Przysłuchiwałem się więc z rozkoszą temu doskonałemu *trio* prawdziwie wyższéj światowéj rozmowy, sam rzadko mięszając się do niéj. Nie myśl wszakże, żebym przez cały wieczór był już tylko niemym bałwanem. Towarzystwo składało się jeszcze z kilku innych osób, a mianowicie, z siostry pani Ottilii, z męża jéj, i dwóch

jakichś poważnych panów, przyjaciół domu, jak ich nazwała sama gospodyni, zapoznając nas z nimi: pp. Eckermann i Peucer. Owoż my między sobą złożyliśmy jakby chór niższy, który czasem łączył się z tamtym, czasem gwarzył sobie oddzielnie, a czasem téż temata tamtego na swój manier przerabiał. Promotorem w tém był pan August, jowialny, jak widać, i realny człowiek; to jest nie bujający po niebie, ale wesoło i jasno patrzący po ziemi. I tak raz między innemi, gdy panna Pappenheim patetycznie mówiła coś o uczuciu, on zaczął mi opowiadać o panienkach Wejmarskich, z których wiele wychodzi za mąż za Anglików, często tutaj przybywających i goszczących; a przyrównawszy ich do bocianów, i udając palcami bocianie ich ruchy, panienki porównywał do żabek, które same podnoszą główki i wołają: „*Nimm mich, nimm mich!*" (weź mnie, weź mnie!). Szwagierka z wielką żywością protestowała przeciw temu, a gdy rzecz doszła do wyższego chóru: „*Fi donc, Auguste!*" rzekła pani Ottilia; „*Incorrigible!*" dodała panna Pappenheim. I z tego, i ze wszystkiego co mówił, pan August wydał mi się dowcipnym i miłym towarzyszem, i jeśli się nie mylę, nawzajem przypadliśmy jakoś do siebie.

W ciągu wieczora służący przyniósł list jakiś; pani Ottilia otworzyła go z wielkim pośpiechem, a przeczytawszy, z rozpromienioną twarzą obróciła się ku nam i rzekła: „*Papa vous recevra demain à midi.*" *Papa*, to znaczy Göthe; — a z tego jéj pośpiechu w otworzeniu listu, i z wyraźnéj radości potém, Adam wnosi, że nie zbyt była pewną uprzejmości *Papy*.

Bądź co bądź, dzisiaj jeszcze obaczymy Göthego. A zaś dla zaostrzenia ciekawości twojéj, i na figiel dla ciebie, list ten umyślnie przed południem wyprawię, abyś z tém większém upragnieniem czekał na następny. Ale się nie bój, długo czekać nie będziesz, i śmiało posyłaj do Zdzięcioła w dzień przyjścia następnéj poczty. A tymczasem, bądź zdrów!

P. S. *godzina 10 rano.* W téj chwili gdy się już brałem do pieczętowania listu, służący pani Ottilii—*notabene* galonowany—przyniósł nam dwa wizytowe bilety od *Papy*, na których napisano po prostu: „*von Göthe*," i od niéj saméj liścik do Adama, w którym—ponieważ deszcz pada — obiecuje przysłać po nas o południu swój powóz, i prosi nas na obiad na godzinę trzecią, na którym będzie i *Papa.*—Czy mi się kiedy śniło obiadować z Göthem? I przypomina mi się osobliwsze *dictum* Osińskiego. Raz gdy ktoś przy obiedzie u Jenerała Krasińskiego, mówiąc o Walter-Skocie, nazwał go wielkim człowiekiem; Osiński z oburzeniem ofuknął się na to, mówiąc: „Co mi to za wielki człowiek, z którym mogę razem jeść pieczeń, pojechawszy do Edymburga!"—Chciał on przez to, ma się rozumieć, powiedzieć: „o którym jeszcze potomność nie wydała sądu;" ale to grubo-płaskie wyrażenie odbija doskonale ogólny ton jego konceptów, których jedni się boją a drudzy tak je admirują w Warszawie. Obaczę, czy się Göthe zmniejszy przy pieczeni; ale co ja, to chyba z radości podrosnę. Raz jeszcze, *vale!*

XIV.

Do tegoż.

20 Sierpnia 1829. Wejmar.

„Widziałeś? — Widziałem. — Słyszałeś? —Słyszałem."—Ty mię, wyobrażam, że pytasz, a ja ci odpowiadam z Alfierim. A teraz słuchaj, opowiem jak było.

Wczoraj, punkt o południu, elegancki powozik pani Ottilii zatrzymał się przed naszym hotelem, i w kwadrans potém wysiedliśmy z niego u ogrodowéj furtki wiejskiego domu Göthego, gdzie już czekał stary służący, który nas przeprowadził przez ogród, otworzył drzwi do salonu, wpuścił nas i odszedł. Dom niewielki o piętrze; musi być murowany, bo biały i opleciony liściem winogradu. Salon, gdzieśmy czekali, obszerny, umeblowany skromnie, po wiejsku, z podłogą w deski, nie w tafle, malowaną czerwono. W kominku, umiecionym czyściutko, jakby w nim nigdy ognia nie było, leżał jakiś papierek rozdarty na dwoje. Podniosłem jedną połowę; Adam poznał pismo Göthego, które widział w sztambuchu pani Szymanowskiéj; schowaliśmy je na pamiątkę. Jakiś urywek z czegoś o fizyce. Czekaliśmy blizko kwadransa, rozmawiając półgłosem. Adam pytał, czy mi serce nie bije? W istocie było to oczekiwanie jakby jakiego nadprzyrodzonego zjawiska. On sam przypomniał, jak zazdrościł niegdyś pani Szymanowskiéj, że widziała i mó-

wiła z Göthem. Wtém usłyszeliśmy stąpanie na górze. Adam zacytował z powagą wiersz Kiszki Zgierskiego: „Słychać chodzenie i górne stąpanie;" a kiedyśmy się śmieli z téj osobliwszéj w téj chwili cytaty, otworzyły się drzwi, i wszedł — Jupiter! Gorąco mi się zrobiło. I bez przesady, jest w nim coś Jowiszowego. Wzrost wysoki, kształt kolosalny; twarz poważna, imponująca; a czoło! — w niém to właśnie jest ta Jowiszowość. Bez dyademu świeci majestatem. Włos niezbyt jeszcze biały, mocno rzedniejący nad czołem. Oczy piwne, jasne i żywe, odznaczają się jeszcze jakąś osobliwszą, światło-szarą, jakby emaliowaną obwódką, która obie tęcze źrenic naokoło otacza. Adam przyrównał ją do pierścienia Saturna. Nic podobnego nie widzieliśmy dotąd u nikogo. Ubrany był w surducie, ciemno-bronzowego koloru, zapiętym od góry do dołu. Na szyi chustka biała, bez kołnierzyka, złotą szpilką na krzyż zapięta. Jak zabłysk słońca z za chmury, dziwnie miły, uprzejmy uśmiech rozjaśnił surowość téj fizyognomii, gdy ledwo wszedłszy powitał nas ukłonem i podaniem ręki, i w téjże chwili przemówił: „*Pardon, Messieurs, que je vous ai fait attendre. Il m'est très agréable de voir les amis de M-me Szymanowska, qui m'honore aussi de son amitié.*"—Trzeba ci bowiem wiedzieć, że Göthe był kiedyś wielkim adoratorem pani S., i mówiąc daléj o niéj powiedział: „*Elle est charmante, comme elle est belle: et gracieuse, comme elle est charmante.*"—Następnie, gdyśmy usiedli, zwracając się do Adama, oświadczył, iż wié, że on jest na czele nowego kierunku, jaki literatura

u nas, jak i w całéj Europie, przybiera. „Wiém z doświadczenia—dodał—jak to jest rzecz trudna; jest to jak iść przeciwko wiatru."—„My téż wiemy z doświadczenia waszéj excellencyi, odpowiedział Adam, jak wielkie geniusze w przechodzie wiatr ten zawracają za sobą."—Göthe skinął lekko czołem, jakby na znak, że rozumie komplement, i mówiąc daléj żałował, że bardzo mało wié o literaturze polskiéj, i że nie umie żadnego słowiańskiego języka. „*Mais l'homme a tant à faire dans cette vie.*" - Dodał wszakże, że już z dzienników wiedział o Adamie i zna niektóre wyjątki z nowego jego poematu (Wallenroda), które mu pani S. raczyła przysłać w tłómaczeniu niemieckiém (panny Karoliny Jänisch, przyjaciółki Adama w Moskwie), lub które potém czytał w *Leipziger Jahrbücher*. Ztamtąd téż, jak oświadczył zwróciwszy się ku mnie, wiedział o wydanym przezemnie almanachu (Meliteli), zawierającym utwory wszystkich żyjących poetów polskich, i czytał tamże tłómaczenie mojéj „Branki Litwina," chwaląc żywość akcyi i stylu: „*autant, que je puis en juger par la traduction.*" Zaczerwieniłem się strasznie — czy ze skromności, czy z radości, sam nie wiém, ale dość że z żywego wzruszenia. Adam tymczasem dorzucił słów parę o moich tłómaczeniach z Bürgera. W spójrzeniu Göthego, które wzniósłszy oczy spotkałem, zdawało mi się dostrzedz wyraz uprzejméj dobroci. Kiedy zaś Adam, na żądanie jego, opowiadał mu dziwnie treściwie i jasno cały przebieg literatury polskiéj, od najdawniejszych do najnowszych czasów, łącząc ją

i zestawiając z epokami historycznemi: w oczach Göthego, wlepionych w niego, widać było nie tylko głęboką uwagę, ale i ciekawe zajęcie, jakie w nim to opowiadanie wzbudzało. Ruch palców ręki, na kolanie wspartéj, zdał się także tego dowodzić. Notabene, zapomniałem powiedzieć, że przy początku téj rozmowy Göthe zaczął był mówić po niemiecku; ale skoro mu Adam także po niemiecku powiedział, że jakkolwiek posiada ten język, nie śmiałby jednak mówić nim w obecności jego: wrócił zaraz do francuzczyzny. W dalszym ciągu rozmowy, Göthe twierdził, że przy coraz wyraźniejszém dążeniu wszędzie do prawdy ogólnéj, poezya i literatura w ogólności, stawać się musi i będzie coraz bardziéj powszechną; przystał jednak na zdanie Adama, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. Ztąd przyszła mowa o pieśniach ludowych, i Göthe z żywym interesem rozpytywał się i słuchał, co mu Adam, a w części i ja także, mówiliśmy o rozmaitości i różnicy, w charakterze i tonie, prowincyonalnych pieśni naszych; i sam to potém przy obiedzie przed drugimi powtarzał. Na tém był koniec rozmowy literackiéj.—Potém, obracając się po kolei to do Adama, to do mnie, pytał nas o projektach dalszéj podróży; przyczém czule wspominał o Włoszech i o Rzymie, zazdroszcząc nam, jak mówił, że tam jedziemy, zkąd i on kiedyś za młodu wywiózł najmilsze wspomnienia. Daléj rozmawiał z Adamem o swoich znajomych w Berlinie, których Adam poznał w przejeździe, a zwłaszcza o professorze Gansie; potém powrócił znowu do pani Szymanowskiéj

i wspomniał o kilku innych znajomych mu niegdyś Polakach, mianowicie o Janie Potockim i o xiężnie Lubomirskiéj, którym wielkie oddawał pochwały. Gdyśmy zaś już powstali, aby go pożegnać, oświadczył: iż bardzo żałuje, że dla deszczu, który właśnie padał, nie może nam pokazać swojego ogródka, (*son petit jardin*). „*Mais j'aurai le plasir de jouir encore de votre société à dîner chez ma belle-fille.*" A obracając się z uśmiechem ku mnie, dodał: „*Et nous aurons quelques jolies dames et demoiselles; jespère que ça vous fera plaisir.*"—Zaśmieliśmy się obydwa, i on śmiejąc się także obrócił się prędko do Adama, i jakby poufnie zapytał: „*N'est-ce pas?*" .Poczém podał nam znowu z kolei rękę, i gdyśmy już byli na wschodach, uchylił jeszcze drzwi od salonu, i powtórzył „*Au revoir!*"

„Niech go licho, jaki rozumny!" To był piérwszy wykrzyknik Adama, gdyśmy już zeszli ze wschodów. A i ja mam dowód na sobie, jak zgaduje co się komu podoba, albo nawet może podobać. Bo czyżby mnie samemu przyjść mogło do głowy, aby w dniu tym, obok Göthego, jakabądź inna gwiazda mogła wejść na horyzont mych myśli? A stary wieszcz jakby przewidział!

W gronie gości, któreśmy już zastali u pani Ottilii, przyszedłszy na kwadrans przed trzecią, byli państwo Vogel;—on sam, hofrath i lejb-medyk xiążęcy; a ona— piękność! w pełném słowa tego znaczeniu. Istną królowa kwiatów, któréj nosi imię—*Rosa.* Oprócz postaci i ruchów Gracyi, trudno jest coś mówić o ry-

sach; o téj „muzyce w twarzy," jak powiada Lord Byron. Ale przeczytaj opisanie Teressy—(a i ona ma drugie imię Teressa, i ja tak ją nazywam), w poemacie jego „Mazeppa," a będziesz miał mniéj więcéj najpodobniejsze wyobrażenie o niéj, a przynajmniéj o jéj oczach, które, mówiąc słowami poety:

„Jako dwie gwiazdy w cichém wód przezroczu,
„Zdają się pływać w strumieniu łez jasnych,
„I topnieć we łzy od promieni własnych.

Otoż téj pani naprzód przedstawiła nas pani Ottilia, a pan August zapoznał z jéj mężem, nie starym jeszcze, a nawet wcale przystojnym człowiekiem, ale który, jak mi się z miny przynajmniéj wydaje, musi być zimny jak marmur, że nie powiem—jak doktor niemiecki. Były jeszcze dwie inne damy i panienka, wnuczka Szyllera, oprócz znajoméj już nam panny Pappenheim i domowych, oraz kilku mężczyzn. W ogóle było u stołu osób 16, licząc w to i dwóch synków pani Ottilii, od 10—12 lat wieku, z których jeden ma imię dziadka (Wolfgang), i jak sama matka mówiła, obiecuje być godnym jego.

Göthe wszedł o saméj trzeciéj, w nowszym zda się surducie, ale tegoż samego koloru, i w chustce bielszéj niż w domu, ale zresztą jednostajnie ubrany, i w pogodnym, jak się zdało, humorze. Wszystkie damy ruszyły się na jego spotkanie, i on wszystkie ściskał za ręce i z uśmiechem z niemi rozmawiał. Kolej następnie przyszła na nas. Göthe zapytał syna, czy już nas poznajomił z obecnymi gośćmi? a wska-

zując sam na panienkę rzekł: „*C'est la petite-fille de notre Schiller.*" Nie wiém tylko, czy w linii prostéj, i nie pamiętam nazwiska; wiém tylko, że się zowie inaczéj, a więc musi być wnuczką po córce. Ale w domu Göthego, widzieć wnuczkę Szyllera, przyznaj, że i to przecież coś znaczy!

U stołu Adam siedział między Göthem i panią Ottilią; mnie przypadło miłe sąsiedztwo pani Vogel z jednéj, a panny Pappenheim z drugiéj strony. Rozmowa szła w najlepsze, ogólna i pojedyncza. Piękna moja sąsiadka powiedziała mi wkrótce, że bardzo lubi Polaków, których kilku poznała u wód. „*Ils ont quelque chose de poétique,*" rzekła; a już z tego samego łatwo się można było domyślić, że téj zalety właśnie nie dostrzega w swych ziomkach. Odpowiedziałem więc na to, że natura, jak we wszystkiém tak i wszędzie, jest widać hojniejszą dla dam, bo ja widzę téż i znajduję gdzieindziéj niemniéj urocze, jak są u nas. Masz w tém próbkę tonu dalszéj rozmowy, którą, ma się rozumieć, musiałem rad nie rad prowadzić na obie strony, nastawiając przytém jak mogłem ucha na rozmowę Göthego z Adamem. Mimo to, rzadko kiedy mogłem coś dosłyszeć, prócz gdy Göthe podnosił głos wyżéj, czy to rozmawiając z dalszymi, czy jakby mówiąc do wszystkich, a czego wszyscy wtedy w milczeniu słuchali. I tak opowiadał między innemi o dawnych żołnierzach niemieckich, których widywał za młodu w Strasburgu, jak stojąc na warcie na wałach twierdzy, a położywszy na ziemi karabin, sami robili pończochę. A opowiadał to tak

pociesznie, że niepodobna się było nie zaśmiać. W ogólności zdawał się być w wesołym i żartobliwym humorze, ale były jednakże chwile, że się i poważniéj odzywał. I tak odpowiadając panu Vogel na jego twierdzenie, że teorya w każdéj nauce powinna i musi poprzedzać praktykę: utrzymywał, że praktyka powinna zawsze iść obok; „bo nie dano jest ludziom tworzyć duszy bez ciała.” Panu Eckermannowi zaś, który siedział naprzeciw niego, powtarzał słowo w słowo prawie to samo, co słyszał od Adama o pieśniach ludowych. Powtarzanie to słów cudzych musi on mieć we zwyczaju, i to zapewne przez grzeczność. Bo gdy po obiedzie, przy kawie, stanąwszy przy mnie, z filiżanką w ręku, zapytał mię wesoło po niemiecku: ośmielony tym tonem, odpowiedziałem skłoniwszy się „*Nun, wie gefallen den Ihnen unsere Damen?*” a ja z uśmiechem: „*Paradiesischer Vogel, Excellenz!*” Göthe zaśmiał się głośno, i wielkim krokiem ruszył wprost ku damom, aby im te słowa powtórzyć. Pani Ottilia i inne śmiejąc się spójrzały na mnie. Pani Teressa zarumieniła się jak karmazyn; ale wzrok jéj zaspokoił mię prędko, że to pochodziło nie z gniewu. Następnie, gdy nam pan August pokazywał piękny zbiór biustów różnych wielkich ludzi i swój mineralogiczny gabinet, a w nim mianowicie wiele zębów rozmaitych zwierząt, zachowanych doskonale w kamieniach: Adam zrobił uwagę, że żaden przedpotopowy dentysta nie mógł posiadać piękniejszych. Göthemu tak się widać ten żarcik podobał, że zaraz

zwróciwszy się ku damom, z uśmiechem im to samo powtórzył.

Przed szóstą Göthe odszedł do swoich pokojów, które zajmuje na górze, pożegnawszy się znowu „*au revoir*" z nami. Część gości rozeszła się w ślad za nim. Ale że niebo tymczasem rozpogodziło się prześlicznie, pani Ottilia podała projekt, aby przejść się nieco po parku, a pani Vogel, aby ztamtąd zajść do nich na herbatę. Oppozycyi znizkąd nie było. Pan Vogel więc, po rozmowie z żoną, poszedł sobie szczęśliwie do domu, pewnie aby urządzić przyjęcie dla gości; a my dwaj i pan August, pani Ottilia, pani Vogel i panna Pappenheim, ruszyliśmy we trzy pary do parku; obeszliśmy wszystkie piękniejsze punkta, odpoczywaliśmy na ławce Szyllera, i zaledwie dobrze o zmroku przyszliśmy do państwa Vogel. Tu dopiéro dowiedziałem się po raz pierwszy, że pani Róża-Teressa jest doskonałą artystką na fortepianie, a śpiewa pewnie nie gorzéj, jeśli nawet nie lepiéj od pani Millerowéj, którąśmy tak podziwiali w Warszawie [1]). P. August doradzał jéj różne piosnki salonowe i ludowe niemieckie, które ona albo z pamięci, albo z nut rozłożonych na fortepianie śpiewała. Wkrótce przyszedł též *kammersänger* xiążęcy, p. Moltke, a głos obojga, to w duetach, to *solo*, prawdziwie nas cały wieczór zachwycał. W ogólności dzień cały przeszedł tak

---

[1]) Artystka dramatyczna, rodem z Wilna, ówczesna primadonna opery w Warszawie.

uroczo, że chociaśmy przed północą wrócili, marzeniem tylko, nie pisaniem o nim, można go było zakończyć. Za parę dni mamy wyjechać; ale mam jakoś nadzieję, że się jeszcze ten termin przewlecze. W każdym razie napiszę ztąd jeszcze do ciebie; a teraz, aby dotrzymać obietnicy, list ten zaraz niosę na pocztę; poczém tyle już mamy ułożonych projektów na dzisiaj, że wątpię czy na wszystkie czasu nam wystarczy. Bądź więc zdrów!

XV.

Do tegoż.

Wejmar, 24 Sierpnia 1829 r.

Nie darmo jestem w stolicy poezyi; pływam tu w niéj jak szczupak w morzu—i to wody słodkiéj, nie słonéj. Jestem z Adamem; widuję Göthego, (codzień z parku z ławki Szyllera, jak chodzi po swoim ogródku); stąpam po śladach Szyllera, Wielanda, Herdera; czytam ich poezye z panią Teressą; słucham muzyki jéj i Hummla, (z którym, jako najdawniéj znajomi już z Drezna, odwiedzamy się tu nawzajem); śpiewu jéj i kammersängera, pana Moltke, (który u niéj codziennym jest gościem); chodzimy codzień razem na *Vogelwiese*, zwiedzamy okolice miasta, a jeśli nie jesteśmy zaproszeni gdzie razem, albo nie idziemy na teatr, to wieczorem, przy dźwiękach muzyki lub śpiewu w salonie, z balkonu otoczonego kwiatami, i oddychając ich wonią, admirujemy gwiazdziste niebo, dziękując mu za prześliczną letnią pogodę, która już trwa od dni kilku, a tak wpływa na humor i myśli, że za każdym ich zwrótem na siebie, z ust i z serca wyrywa mi się gwałtem Szyllerowski wykrzyknik Pozy: „*Das Leben ist doch schön!*—Adam pewnie czuje to samo; bo choć często, w roli Mentora, grozi mi przyśpieszonym wyjazdem, widzę, że się sam wcale ku temu nie kwapi; i dla tego téż, zamiast oppozycyi, odpowiadam

zwykle najobojętniéj: „I owszem! Ruszaj zaraz pożegnać panią Ottilię i za mnie, a ja tymczasem upakuję rzeczy.” Adam spogląda na mnie, kręci głową, uśmiecha się, i daje pokój. I nie wątpię ani na chwilę, że koniec końców spełni się wola pani Ottilii, (a i moja *in petto*), aby tu zostać jeszcze przynajmniéj do 28 b. m., to jest do osiemdziesiątéj rocznicy urodzin Göthego, która ma tu być nader świetnie obchodzona, i na którą z różnych stron Niemiec spodziewają się deputacyi: od uniwersytetów, teatrów, i różnych korporacyi uczonych. Tymczasem, przez te dni kilka my byliśmy jedynymi tu gośćmi, co się rzadko zdarza w Wejmarze; i to zapewne musiało się przyczynić niemało do téj uprzejmości ogólnéj, która nas tu wszędzie spotyka. Prawda, że i my z naszéj strony staramy się jak mogąc zasługiwać na nią, zaczynając, ma się rozumieć, od płci pięknéj, któréj sąd pod tym względem jest wszędzie wyrocznią. Wszystkim damom, które poznajem, w ślad zaraz oddajemy wizyty, dbając przytém i pamiętając o tém, aby przecież nie zrobić wstydu głównym tu orędowniczkom naszym, u których lub przez które zabieramy te wszystkie nowe znajomości. A tak są wszędzie dla nas grzeczni i gościnni, że mamy ciągły kłopot wymawiania się od zaprosin na wieczór, chyba że razem wszyscy zaproszeni jesteśmy. Inaczéj, krążymy każdy około swéj gwiazdy; lecz że wieczór u państwa Vogel kończy się hygienicznie o godzinie 10, ja więc wychodząc ztamtąd, wstępuję po Adama do państwa Göthych, gdzie już zwykle do północy bawimy. Panna Ul-

ryka (siostra pani Ottilii), i sam pan August, szczególnie są na mnie łaskawi. Ten ostatni, im go bliżéj poznaję, nie jest tylko, jak mi się wydał z początku, wesołym i żartobliwym *bon vivant*; jest w nim i poważny rozum, i głębsze uczucie, i zapał; tylko że się to wszystko okazuje w nim jakby przelotem, i jakby wbrew jego woli; bo zaraz potém, albo sam w żart to obraca, albo stara się zatrzeć jakim wesołym konceptem. Dla Adama jest on z wielkim respektem; „*mais je crains votre ami*," powiada mi otwarcie, i woli sobie ze mną baraszkować swobodnie. To téż codziennie prawie zachodzi po mnie rano, aby iść razem na spacer, a po obiedzie zaprasza na cygaro do siebie. I wtedy figuruje zawsze na stole butelka *Rüdesheimeru*, które bodaj lubi za nadto, albo *Lieb-Frauen Milch;* to ostatnie wybrane raz przezeń umyślnie, stosownie do przedmiotu rozmowy. A że jest przytém wielkim admiratorem pani Teressy, więc i to służy nam także za ogniwo miłego stosunku. Onegdaj znalazł u mnie „*Römische Elegien*" swojego ojca, pożyczone mi przez kręgielnéj znajomości krawca, u którego byłem już razy parę, z wizytą i z interesem. Zobaczywszy, zadziwił się niezmiernie, że ich nie zna; ale przewertowawszy parę kartek, domyślił się łatwo przyczyny, dla czego mu ich ojciec do czytania nie dawał, i śmiejąc się obiecał, że mu to wymówi. Adam radził mu wszakże, żeby tego nie czynił, gdyż byłoby to może ambarasującém dla ojca. Pan August nie podzielał tego przekonania, i owszem opowiadał nam wesoło o nim wiele niedawnych jeszcze

romansowych anegdot, kończąc rzecz tém wyrażeniem: *qu'il est capable de s'amouracher encore aujourd'hui.*" Przypomniałem i zacytowałem wiersz Szyllera, który właśnie w tych dniach czytałem:

Glaubt mir, es ist kein Mährchen;—die Quelle der Jugend,
«sie rinnet
Wirklich und immer. Ihr fragt: wo? In der dichtenden
«Kunst".—

a który potém sam dla siebie wytłómaczyłem tak:

Wierz mi, nie w bajce tylko, lecz jest i na świecie
Źródło wiecznéj młodości. Spytasz: gdzie? W poecie.

Adam ze swojéj strony, śmiejąc się wykazywał różnicę między zakochaniem się zwyczajném, a zakochaniem się poetyckiém. Piérwsze, jako dążące do zdobycia przedmiotu, wystawia się na pośmiewisko, jeżeli nie ma siły i warunków po temu; drugie, poprzestające na odzwierciadleniu tylko przedmiotu w sobie, tak jest zawsze pewne swojego, jak morze kiedy gwiazdy odbija. Nakoniec zaś dowodził jemu samemu, że i on pod tym względem widocznie odziedziczyć musiał po ojcu poetyckie usposobienie; czemu wcale pan August nie przeczył. Najczęstszym wszakże przedmiotem rozmowy jego z Adamem jest wspólne im uwielbienie dla pamięci Napoleona, którego wizerunki w różnych formach napełniają gabinet pana Augusta, i co także daje niekiedy powód do dysput z panią Ottilią, jako żarliwą patryotką niemiecką i wielką przyjaciółką Anglików.

Ale zwykły ten dotąd tryb naszego tu życia, a przynajmniéj nasza wyłączność, bodaj że się już dziś dla nas skończyły. Za toż przybyła nam bardzo miła i interesująca nowa znajomość. Nim ci jednak powiem *z kim?* muszę wprzód opowiedzieć *jak?* bo to i dość pociesznie, i oryginalnie.

Dziś po śniadaniu u państwa Vogel, tak jakoś zapomniałem o godzinie obiadu, że gdy wróciłem do hotelu, starszy kellner, wielki nasz przyjaciel, oświadczył mi, spotkawszy w sieni, że *table d'hôte* jest już skończony, lecz że on jednak dla mnie cały obiad zachował. Mimo to usłyszałem w sali jadalnéj głośniejszą niż kiedy rozmowę, a raczéj jeden głos pojedynczy, który z wielkim widać zapałem perorował coś po francuzku. Jakoż wszedłszy ujrzałem dwóch jakichś nowych panów i Adama siedzącego naprzeciw, pijących kawę przy sprzątniętym już stole. Jeden z nich starszy, lat może około 40, nizkiego wzrostu, z bródką krótko z hiszpańska strzyżoną i prawie żółtego koloru; drugi, wysoki brunet, w moim wieku, z dużemi pałającemi oczyma i z długiemi włosami, spadającemi mu aż na szyję, wyglądał jak bursz niemiecki. Ten to właśnie gadał tak głośno; a piérwsze słowa, które posłyszałem wyraźnie, były: „*Non, non! ce n'est pas le nom! Mik... Mis... Mik... Eh! qui est donc votre grand poëte?*" Adam spójrzał na mnie znacząco, i zlekka potrząsnął głową. Zrozumiałem znak żebym milczał, i z odpowiedzi jego dopiéro pojąłem, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić przed Polakiem ze świadomością literatury

polskiéj, mówił o świeżém wydaniu w Paryżu, „*par monsieur Szoško*" (Chodźko), dzieł wielkiego polskiego poety, którego nazwiska zapomniał; Adam zaś, na fundamencie epitetu „*wielkiego*," wmawiał mu, że chce mówić o dziełach Krasickiego, wydanych u Barbezata, i opowiadał przytém starszemu o zasługach i stanowisku tego pisarza w literaturze naszéj. Młody bursz niecierpliwił się wyraźnie, i nie taił bynajmniéj oburzenia, że Polak nie wié nazwiska swojego „wielkiego" poety. Dusiłem się od śmiechu, połykając w milczeniu mój obiad. Adam tymczasem wypił swoję kawę, i pożegnawszy tych panów, odezwał się do mnie po polsku, że będzie mię czekał na górze. „A! to i pan Polak?" przemówił do mnie piérwszy zaperzony Francuz. „Czy i pan nie wiész także imienia największego swego poety?" —„ Pan chcesz mówić zapewne o Adamie Mickiewiczu?" rzekłem. — „*Oui, oui! C'est juste, c'est juste! C'est de lui que je voulais parler!*" wykrzyknął uradowany. — „*Et c'est justement lui même, qui vient de sortir*," odpowiedziałem spokojnie. Francuz zaczerwienił się cały jak burak i zerwał się jak oparzony, wołając: *Ah! mon Dieu! c'est drôle! c'est bien drôle! Mais c'est ça, c'est ça! J'ai son portrait, dans un manteau — comme ça!*" i pokazywał rękami, jak jest istotnie na portrecie litografowanym w Paryżu, podług obrazu Walentego [1]),

[1]) Wańkowicza. Niepospolity ten malarz, rówiennik Mickiewicza, urodzony 1799 w Mińszczyźnie, kształcił się u Jezuitów w Połocku, a następnie przykładał się do malarstwa pod Rustemem w uniwersytecie wileńskim. Umarł w Paryżu w r. 1842.

w burce „wsparty na Judahu skale.“ Podobał mi się niezmiernie ten zapał Francuza, który przytém biegał prawie po sali. Ale i starszy ożywił się również, i przystąpiwszy ku mnie, zarekomendował się mówiąc: że się zowie David d’Angers; że jest rzeźbiarzem i członkiem Instytutu; że dłuto i pracę swoję poświęca wyłącznie na uczczenie wielkich ludzi swojego czasu, i że umyślnie przybył do Wejmaru, dla zrobienia popiersia Göthego. Przypomniałem sobie na szczęście, że czytałem czy słyszałem gdzieś kiedyś, o pomniku dla Jenerała Foy, wykonanym przez niego, a co mi przez to tylko utkwiło w pamięci, że się rzeźbiarz nazywał tak samo jak malarz, który kiedyś Napoleona malował; — nie mówiąc już o Dawidzie psalmiście. David rad był widocznie, że o nim wiedzą i u nas, i z kolei przedstawił mi swego towarzysza, jako poetę i przyjaciela p. Wiktora Hugo. Nazwisko jego jest Wiktor Pavie. Opowiadałem więc im szeroko o Adamie, a gdy skończyłem obiad, prosili mię obadwa, abym ich zaraz zaprowadził do niego. Adam chodził prędko po izbie paląc fajkę, i puszczał dym ogromnemi kłębami, co zawsze jest u niego oznaką zajętéj, pracującéj myśli. David, w nader-serdeczny i ujmujący sposób, zaczął niby od wymawiania, że ich tak zmistyfikował; pan Wiktor zaś, wstrząsając go za rękę, wybuchał w zwykłych swoich wykrzyknikach. Adam odpowiedział im również wesoło i serdecznie, i między nim a Davidem zawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa, w któréj Adam, jak to mu się często wydarza, z nasępionego i obojętnego

przed chwilą, wzrósł od razu jakby w olbrzyma i sypnął iskrami jak wulkan; a tak ujął i zachwycił Davida, że ten, z nieudaném wzruszeniem, ściskał go powielekroć za rękę, i nakoniec prosił o pozwolenie, aby mógł zrobić „*son effigie*,” w medalionie. I z tego, i ze słów jego widać, że to jest człowiek pełen gorącego uczucia, a zwłaszcza uwielbienia dla wszystkiego co wzniosłe i piękne. Jest on w ścisłéj zażyłości ze wszystkimi literatami i artystami w Paryżu, i nie znać w nim bynajmniéj rzemieślniczéj zawiści, lecz owszem artystyczne współczucie dla wszystkich. To mi przypomniało nasze miłe młode czasy wileńskie, od których już byłem odwykł w Warszawie. Towarzysz jego, pan Wiktor, deklamator tylko, jak widać, i zapaleniec na zimno, nie bardzo nam przypadł do serca. Jest to coś nakształt naszego Gosławskiego. We wszystkiém jest w nim jakaś przesada, która draźni ducha przekory, iżby się mu, jak *wietrzyk echom*, w rymach Gosławskiego, *przekrzywiać*. Obaj byli już dzisiaj rano z wizytą u Göthego i u pani Ottilii, i właśnie gdy bawili u nas, służący przyniósł od niéj liścik do Adama, zapraszający nas officyalnie na wieczór, na który już oni proszeni, a na którym będzie i *Papa*. Za godzinę więc idziemy tam razem, a ja tymczasem zacząłem ten list do ciebie, aby go opisaniem tego wieczoru zakończyć.

Godzina 11 w nocy.

Otoż już i po wieczorze, a wróciliśmy już od godziny. I dobrze, że nie trwał dłużéj. Oczom chyba

tylko winienem, że nie skamieniałem przez uszy, słysząc wciąż tylko jedno—o kamieniach i cegłach; a to *gwoli* rzeźbiarza Davida, i architekta p. Coudray, dla których był wyłącznie ten wieczór. Göthe, który nie bawił dłużéj nad godzinę, stał sam ciągle w środku salonu jak posąg, a mężczyzni w około niego jakby gruppa kamienna. Damy także, jak Galateje, siedziały nieruchome zdaleka, z sobą tylko rozmawiając po cichu. I nie straciły nic wcale na téj mądréj rozmowie o głazach, która od biustów, posągów, pomników, sięgała do wież, tumów, obelisków, piramid, a doszła aż do wieży Babel—o któréj Göthe powiadał: „że gdyby się dała dokończyć, to podług wszelkich praw natury i sztuki, musiałaby się zakończyć spiczasto, to jest jednym najwyższym, kulminacyjnym punktem." Głównymi jego interlokutorami byli David i Adam; p. Coudray, jakiś cichy i skromny człowieczek, na zapytania tylko odpowiadał. David, żywy i ożywiony, brał często inicyatywę; Adam zaś i tu mię znowu zadziwił ogromem wiadomości swoich w tym przedmiocie. Göthe widać musiał uznać toż samo; bo gdy Adam, mówiąc między innemi o piramidach odkrytych w Ameryce i o ich podobieństwie z Egipskiemi, dowodził, że rzeźbiarstwo, jako sztuka najbardziéj plastyczna, najwyraźniéj téż znamionuje stopień umysłowego rozwoju w narodzie; Göthe słuchał go z wielkiém zajęciem, i tylko zrobił uwagę, że oprócz umysłowego rozwoju, sama także natura materyału, który artyści mają do użycia, musi mieć wpływ konieczny na ogólny charakter ich utworów; jak np.

[redacted]

zbyteczna twardość Egipskiego granitu należy bezwątpienia do przyczyn, że wszystkie z niego wykute posągi mają zawsze ręce przy ciele.

Ale nie chcę cię już mordować dalszemi cytatami téj zimnéj, jak ów granit, rozmowy, która dość często dla mnie stawała się sfinxem, i śród któréj czułem się w końcu jak kamienowany męczennik, gdy milcząc i tylko wzdychając myśl i oczy ku Aniołom obraca. Wprawdzie i one ku mnie spoglądały litośnie; ale sposobu wyzwolenia nie było. Göthe raz tylko przybliżył się ku nim, i to dla pokazania bliżéj Davidowi przy lampie modelu jakiegoś pomnika, z czasów Rzymskich, który po dziś dzień jeszcze trwa gdzieś w Luxemburgu, i raz tylko przez cały ten wieczór przemówił—do mnie właśnie—o czémś inném niż o kamieniach; to jest pytał mię bardzo łaskawie, jak się bawię w Wejmarze, i czy widziałem strzelanie do ptaka (Vogelschiessen)? Przyczém raczył mi opowiadać, że gdzieindziéj strzelają z łuków, (co już ja i bez niego wiedziałem), i dodał: „*il faut que je vous fasse voir cela.*" (Ciekawy jestem w jaki sposób; ale pytać o to nie śmiałem). Pan August i pani Ottilia mi mówią, że jest jakoby dosyć łaskaw na mnie; a i mnie się samemu tak zdaje. Bo dziś np. do p. Wiktora Pavie, który jest właśnie w podobném położeniu ze mną, ani słówka nie przemówił z osobna, a zaś na kilkakrotne odezwanie się jego—prawda, że nic nieznaczące a śmiałe—sucho i jakby od niechcenia tylko odpowiedział.—Ale najlepszy skutek dzisiejszego wieczoru jest ten, że już stanowczo zostajemy tu-

taj na dzień urodzin Göthego, który całkiem od dzisiaj przeniósł się do miasta, dla przyjmowania spodziewanych gości, i co wieczór ma być widzialnym. Jutro zaś mamy znowu biesiadować z nim razem przy obiedzie na cześć Davida. Boję się tylko, abym nakształt strusia, nie musiał znów połykać kamieni.—List ten wszakże, choć i tak już zbyt długi, zatrzymam jeszcze przez jutro, aby dodać może jakie *post-scriptum*.—Bo przecież byłbyś czarny niewdzięcznik, gdybyś nie czuł, albo nie przyznał, że każdym kąskiem Göthego chcę się zaraz z tobą podzielić.

Post scriptum. 25 Sierpnia—wieczorem.

Pyszny indyk z truflami na dzisiejszym obiedzie—to jak symbol rozmowy Göthego u stołu... A i przedmiot był téż po temu. David, nie myśląc może, wszczął, a raczéj poruszył kwestyą o sympatyach i antipatyach narodowych, opowiadając, jaki wpływ poezye Byrona, Göthego i Szyllera wywarły na oświeconą klassę we Francyi pod względem jéj usposobień dla Anglików i Niemców. Göthe nic wprawdzie nie powiedział takiego, żeby aż krew i oddech zatrzymać—jak to się często przydarza z Adamem; ale we wszystkiém co mówił, czujesz myśl tak głęboką, wytrawną i jasną, że wyraźnie mądrzejesz słuchając. Wykazywał więc, jak przyrodzone różnice w pojęciach i uczuciach, albo raczéj w sposobach pojmowania i czucia, właściwe tak plemionom, jak i pojedynczym ludziom—wyzyskiwane przez interes i pychę, czy to przewrotnych rozumów, czy namiętnych uniesień—zamieniają się z czasem

w umysłach ciemnéj gawiedzi w nieprzebyte granice, które tak rozdzielają ludzkość, jak góry albo morza rozgraniczają kraje. Obowiązkiem więc wyższych i lepszych ludzi byćby powinno, tak łagodzić i godzić stosunki narodów, jak ułatwiać żeglugę przez morza, lub torować drogę przez góry. Wolny handel pojęć i uczuć, jak zamiana produktów i wyrobów ziemskich, równie pomnaża bogactwo i ogólny dobrobyt ludzkości. Że się to dotychczas nie dzieje, przyczyna jest nie w czém inném, jak w tém, że dotąd społeczeństwo międzynarodowe nié ma pewnych praw i zasad moralnych, które już w społeczeństwach prywatnych, nieskończone różnice indywiduów łagodzą i zlewają w mniéj więcej harmonijną całość. Göthe nie dodał wprawdzie, zkąd wyjść mają te zasady i prawa; ale dla mnie stało się jasném, że jużciż znizkądinąd jak z wiary: z wiary w Ojca wspólnego na Niebie, i z braterskiéj miłości bliźniego na ziemi. Dziwiło mię tylko, że Adam, który sam w tym przedmiocie, więcéj pewnie niż ktobądź inny, miałby prawo i mógłby powiedzieć, trzymał się wyraźnie na uboczu i nie brał prawie udziału w całéj téj rozmowie. Ja więc, o ile mogłem, starałem się go niejako zastąpić, mówiąc o nim właśnie, ale po cichu, do moich sąsiadek u stołu. A były niemi: pani Ottilia z jednéj, a panna Pappenheim z drugiéj strony. Göthe siedział w pośrodku między Adamem i Davidem; a już to samo nasuwało uwagę, jak geniusz jednoczy i zbliża narodowości. Przytém stał mi ciągle na myśli ów ociemniały wielbiciel Adama, Kozłow, jak mi kiedyś prawie to samo mówił o nim—i płakał.

Z rozmowy téj wywiązała się druga, o teraźniejszém położeniu świata, a mianowicie Europy. Göthe sądzi, że wiek nasz dziewiętnasty, nie jest tylko po prostu dalszym ciągiem poprzednich, lecz że zdaje się być przeznaczonym do rozpoczęcia jakiéjś nowéj ery. Takie bowiem wielkie wypadki, jakie zatrzęsły światem w piérwszych jego latach, nie mogą pozostać bez równie wielkich, odpowiednich im skutków, chociaż te, jak kłosy z zasiewu, powoli dojrzewają i rosną. Göthe wprawdzie nie spodziewa się ich piérwéj jak dopiéro w jesieni wieku, to jest w drugiéj jego połowie, jeśli nawet nie w ostatniéj ćwierci. Twierdził bowiem, opierając się na doświadczeniu przeszłości, że wszystkie wielkie wypadki dziejowe, wszystkie wielkie światowe odkrycia i wynalazki, i nakoniec sami ludzie wielcy, przychodzili zazwyczaj na świat po połowie, albo téż przy końcu stulecia. Göthe urodził się w tym samym roku, i to zaraz w parę miesięcy po wynalezieniu konduktorów. Trudno myśleć, aby to mówiąc, chciał się sam wydać za wielkiego człowieka; prędzéj owszem trzeba przypuścić, że właśnie mu to na myśl nie przyszło. Ja wszakże skorzystałem z tego, i szepnąłem do ucha pannie Pappenheim: że rok ten był mędrszy od Prometeusza; bo naprzód rozbroił piorun, a potém dopiéro promień z nieba przyniósł na ziemię. Pannie Pappenheim tak się to podobało, że zawoławszy po dwakroć: „*das ist schön*,” chciała zaraz powtórzyć to głośno. Uprosiłem ją wszakże, aby to odłożyła na potém;—bo potém, to i owszem!... Pan August mi powiada, że mój „*para-*

diesischer Vogel," cały Wejmar obleciał, i stał się przezwiskiem osoby. Notabene, dowiedziałem się przytém, że „rajski ptak," po niemiecku, mówi się nie *paradiesischer*, ale *Paradies-Vogel.* Widać jednak że ten gramatykalny usterk nie zaszkodził mojemu *dictum*, tak jak i ono samo nie przyniosło mi szkody. Szkoda tylko, że przy dzisiejszym obiedzie, tak się czuło brak tego ptaszka, jakby przed wieki na rycerskiéj biesiadzie, brak pawia w piórach, ze złoconym dziobkiem. To téż zaraz po wyjściu Göthego, poszedłem się dowiedzieć: dla czego? zostawiwszy Adama i resztę towarzystwa, które David głównie zagajał.

Wróciwszy nad wieczorem do hotelu, zastałem go już robiącego sylwetkę Adama; jutro zaś ma rozpocząć modelowanie biustu Göthego. Z piérwszych rysów można już poznać, że będzie bardzo podobna. Materyałem, z którego ją robi, jest kawał jakiéjś czerwonéj massy, nalepiony na miedzianéj tabliczce; narzędziem zaś prosta drzazga, oderwana od drewna, złożonego do palenia za piecem. Trafiłem na kontynuacyą obiadowéj rozmowy;—bo David nie wymaga w pozującym milczenia, owszem chce i żąda koniecznie, aby on sam o pozowaniu zapomniał. I muszę ci tu powiedzieć, że Adam wydał mi się w niéj wyższym niż Göthe. Tam sam rozum; tu i rozum, i zapał, i jakby prorocze widzenie.—Myśli, które wypowiadał Göthe, to jak twarde błyszczące talary, na zimno już w mennicy wybite, które możesz nosić przy sobie; myśli Adama płyną jak roztopiony metal, który

się w tobie samym rozpływa. Teraz dopiéro zrozumiałem, dla czego milczał przy obiedzie. Musiał myśleć zapewne to, co teraz mówi; a nie chciał mówić wtedy, żeby nie współzawodniczyć z Göthem. David był w zachwyceniu; zwłaszcza gdy rzecz szła o duchu i powołaniu Francyi; jakkolwiek nie we wszystkiém zgadzał się z Adamem, i nie wszystkim przepowiedniom jego chciał wierzyć. Prosił w końcu Adama, aby mu przeczytał co swego, w pobieżném tłómaczeniu na prozę. Adam wybrał *Farysa*, i tłómaczył dziwnie gładko i płynnie, z pewnym nawet jak gdyby rytmem. David aż podskakiwał na krześle, a pan Wiktor wykrzykał po swojemu. Gdy skończył, David pytał ciekawie, jakim sposobem utwór ten napisał? Pytanie to podobało się bardzo Adamowi. Uznał w niém, jak sam powiada, głębokie artystyczne poczucie Davida, które, z saméj natury utworu, odgaduje intuicyjnie warunki, w jakich mógł i powinien był powstać. Opowiedział więc, że już przedtém czytał był, a nawet tłómaczył, kilka poezyi wschodnich, (*Szunfary*), z przekładu w prozie francuzkiéj. Raz zaś, wyszedłszy z proszonego obiadu w Petersburgu, na którym się wesoło zabawił, spostrzegł że burza nadchodzi. Dopadł więc drążek i kazał pośpieszać. „*Zwoszczyk*" pędził co koń mógł wyskoczyć; a ten pęd, turkot, świst wiatru, huk grzmotu, chęć pośpiechu i obawa ulewy, obudziły w nim samym sensacye Farysa, który nagle przyszedł mu na myśl. Przez noc wiersz był już gotów. — David za to opowiadał nawzajem, jak mając polecony

sobie pomnik dla Jenerała Foy, (który ma sam za jedno z najlepszych dzieł swoich), długo się biedził z myślami i nie mógł się zdobyć na pomysł. Pojechał więc na wieś, za Paryż, szukać wiatru w polu, i chodząc w zamyśleniu wpatrywał się machinalnie w obłoki. Jeden z nich nagle zaczął zmieniać kształty. David, jakby przeczuł wskazówkę, zatrzymał się jak skamieniały—i podskoczył wołając: *Eureka!*—Uderzyła mię, w zbiegu tych rzeczy, razem sprzeczność i podobieństwo. Obłok—mgła, para, symbol znikomości, daje wzór do pomnika z kamienia; ale znowu pomnik na grobie, czyż to nie symbol znikomości ludzkiéj? David, gdy mu to powiedziałem, uścisnął mię i aż pocałował;—a masz w tém tylko dowód wrażliwości i żywości jego.

Przez całe dzisiaj rano, do samego prawie obiadu, włóczył nas z sobą po wszystkich placach, gmachach i publicznych zakładach Wejmaru, których my, przy innych zajęciach, nie mieliśmy dotąd czasu obejrzeć. W bibliotece widzieliśmy prześliczny biust Szyllera, przez Tannekera, kolosalnéj wielkości, a mówią, że podobny jak dwie krople wody. Spokojność i zamyślenie łagodne, to wybitne cechy téj twarzy. Uderzający kontrast z Göthem, w którym siła i duma przeważa. Biust Göthego, który David ma zrobić, pewnie kiedyś będzie stał przy tym; tak jak i trumna Szyllera czeka w grobie na jego sąsiedztwo; jak ich imiona złączone są razem w chwale i pamięci ludzkiéj—ściśléj może, niż oni sami za życia.

Tymczasem pan August, który nam towarzyszył dzisiaj, korzystając z nieobecności ojca, oprowadzał

nas po jego ogródku za miastem. Mały, ale bardzo starannie utrzymany; a ogrodnikiem jego jest sam Göthe.—Zakończyliśmy naszą wycieczkę zwiedzeniem miejskiego cmentarza, o którym że byłoby wiele do powiedzenia, tym razem nie powiem nic; bo już czas iść na proszony wieczór do pani Gerstenberg, na którym ma być całe nasze towarzystwo. I nie wezmę już wprzód pióra do ręki, aż się wszystkie fety odbędą, do których się cały Wejmar gotuje. Damy kończą na gwałt różne robótki, na wiązanie dla solenizanta; szkoły i zakłady naukowe sposobią się do wystąpienia z powinszowaniami; teatr do przedstawienia po raz piérwszy na scenie „*Fausta*," ma się rozumieć w skróceniu. W oberży naszéj „pod Słoniem," panuje téż ruch nadzwyczajny, w oczekiwaniu spodziewanych gości. „*Die Engländer sind schon da*," zwiastował nam dzisiaj nasz kellner; a to takim zupełnie tonem, jak u nas oznajmują na wiosnę, że już przyleciały bociany. Obaczymy ich pewno na dzisiejszym wieczorze. Ale żeby odjąć sobie pokusę do nowych *post-scriptów*, list ten zapieczętuję przed wyjściem, i oddam idąc w ładne rączki pani Pocztmistrzowéj, bo mąż jéj pewno siedzi gdzieś przy piwie. Notabene piwo bardzo smaczne w Wejmarze;—a że mi przyszło na myśl i pod pióro, możesz sobie, jeżeli zechcesz, wyciągnąć z tego ten sens:

Jak niebo z ziemią blizkiém wiążą się ogniwem!
Zacząłem ambrozyą, a kończę list—piwem.

Bądź zdrów!

XVI.

Wejmar, 1829, Sierpnia 27, o północy.

Ani chciałem, ani miałem, ani spodziewałem się pisać już ztąd do ciebie przed upływem jutrzejszéj fety; a oto biorę pióro jedynie i właśnie dla tego, aby przed nią koniecznie napisać. Bo mam taką ciekawą rzecz do opowiedzenia, że nie chciałbym obok niéj stawić żadnéj innéj, coby równy dla ciebie mogła mieć interes. Oto, wiész, kto jest Adam?—Czarownik!—ni mniéj ni więcéj; i to nie dla *czarownéj lutni*, ale po prostu dla sztuk czarnoxięzkich, z któremi dziś niespodzianie jak Pinetti jaki wystąpił. Cały Wejmar w téj chwili musi gadać o nich; bo choć to już jest po północy, ale że wieczór u pani Ottilii tylko co się zakończył, ręczyć można, że rozbierające się pewnie w téj chwili damy, muszą szeroko rozpowiadać swoim domowym o tém, co je same na tym wieczorze tak mocno zajęło i zadziwiło Ale poczekaj nieco na tę relacyą;—bo ona nie ucieczc, a ja lubię porządek.

Dzisiejszy wieczór u pani Ottilii, był to wieczór balowy, *dziewic-wieczór* jutrzejszego festynu. Całe towarzystwo Wejmarskie, i z różnych stron przybyli goście, napełniali rzęsiście oświecone salony. Nie składano jeszcze formalnych powinszowań, ale czuć je było we wszystkiém. Wszystkie damy jasno ubrane; mężczyzni w białych chustkach na szyi; po stolikach ogromne bukiety; wszędzie ustrój i nastrój świąteczny. Göthe, jak słońce i bożyszcze fety, był central-

nym punktem wszystkiego, i ku któremu grawitowało wszystko. Gdzie on, tam tłum; gdzie się zbliżył, ustawała rozmowa, i jego słów tylko czekano. On téż zwolna obchodząc salon, wszystkich niemi z uprzejmością obdzielał. Mnie — a raczéj nam, bo nie wiedzieć do kogo było wymierzone—dostało się jakieś enigmatyczne, sfinxowe zapytanie, którego sensu dotąd wytłómaczyć jasno nie umiem. Rozmawialiśmy sobie właśnie z panią Teressą, gdy Göthe przybliżył się ku nam, i uśmiechając się wesoło zapytał: „*Nun, wie geht's im Paradies?*—Zmięszałem się, bo nie pojąłem, co to miało znaczyć. Czy to była alluzya do owego „rajskiego ptaka?“ Czy że mówiłem panu Augustowi, że mi tutaj dobrze jak w raju? Czy stary wieszcz sam to odgadł? Czy nakoniec — jak to ja potém tłómaczyłem mojéj sąsiadce—pytał ją o nowiny z *jéj* sfery, w któréj błękit była ubrana? Dość, że ja na to nie odpowiedziałem nic, a odpowiedzią z jéj strony był tylko żywszy niż kiedy rumieniec. Göthe uśmiechnął się jeszcze wyraziściéj, i wyciągając ku mnie rękę, dodał: „*Es ist schön, dass Sie uns geblieben.*“—„Dziękujemy Niebu, odpowiedziałem, że nam zdarzyło to szczęście.“—Göthe skinął czołem uprzejmie, i zapytał mojéj sąsiadki, jak prosperują jéj kwiaty? mówiąc przytém o swoich w ogródku, że je zdać musiał na cudzą opiekę.—Nie miałem czasu śledzić, co mówił z drugimi; wiém tylko od Adama, że dziękował mu bardzo grzecznie, że na ten dzień jeszcze pozostał.

Mimo wszakże tych wdzięcznych słówek i uśmiechów, nie trudno było dójrzeć, patrzając nań z boku, że to

była rola przybrana, którą z musu i dla przyzwoitości tylko odegrywa. Wzruszenia ni ożywienia w posągowéj téj twarzy nie było. To téż i jego obecność nie wpływała w sposób ożywczy. Dopóki bawił w salonie, rozmowa w ogólności szła jak gdyby spętana, i dopiéro gdy odszedł *incognito* do siebie, (a było to już około 10-éj), gwar zaczął się stopniowo powiększać, aż nakoniec cały salon napełnił. Towarzystwo rozdzieliło się na dwie odrębne połowy. Poważne grono mężczyzn skupiło się w głębi salonu; młodzi pozostali przy damach. Adam był między nimi, i przodkował w rozmowie, jak przewodnik chóru. Obok niego występowali zwłaszcza: nowo-przybyły z Berlina, młody poeta i artysta dramatyczny, Karol Holtei, (który piérwszy wodewille na scenę niemiecką wprowadził), i przyjaciel nasz p. Wiktor Pavie. Holtei, dobrze widać znajomy i poufały ze wszystkimi, przytém żywy i pełen dowcipu, istotnie podtrzymywał i ożywiał wesołość; ale co nasz pan Wiktor, to chociaż perorował najgłośniej i sadził się na górne koncepta, koniec końców nie podobał się nikomu, a zwłaszcza pani Teressie, do któréj właśnie najczęściéj komplementa i oczy obracał. Dziś rano czytał nam u niéj wiersze, które do Göthego napisał. Nadęte, pretensyonalne i wykrzyknikujące jak on sam; a przytém *vox, vox, praetereaque nihil.* Po wysłuchaniu, wszyscy tak się czuli skromnymi, że każdy chciał drugiemu ustąpić piérwszeństwa, aby naprzód swoje zdanie wynurzył. Gdy się zaś nikt z tém nie kwapił,

sam nakoniec gospodarz domu musiał to wziąć przez grzeczność na siebie, i wywiązał się z tego bardzo przyzwoicie. Ja zaś tymczasem dowiedziałem się z ust saméj pani, że i Francuzów, i Anglików *nie cierpi* (*kann nicht leiden*). A było téż trzy okazy tych ostatnich na dzisiejszym wieczorze u pani Ottilii, ale którzy tak niefortunnie reprezentowali swoję *Old England*, (starą Anglią), że nawet godło jéj herbownéj tarczy: „*Honni soit, qui mal y pense!*" nie odstraszyło pewnie nikogo, aby myślą o nich nie zgrzeszył. I nadaremnie sama gospodyni, słynna z zamiłowania i protegowania Anglików, szukała dla nich jakiéjkolwiek tarczy, przeciw zręcznym a dość złośliwym pociskom Holteja, które na nich i na całe ich plemię, z różnych stron i bez ustanku wymierzał. Ale bo téż prawdziwie rzecz dziwna, co to są za stworzenia ci młodzi Anglicy! Wszyscy, jeden w drugiego, których dotąd widziałem, z niezgrabności i nieskładności, do bocianów lub do źrebiąt podobni; ale co tych dzisiejszych, to i z fizyognomii i z ruchów, do małp chyba mógłbym przyrównać. Śmiech było patrzeć, jak nie wiedząc co począć ze swoją figurą, przesiadali się z krzesła na krzesło, aby się zbliżyć ku damom, które do nich niekiedy przemawiały same, i to, widać było wyraźnie, że nie tyle z grzeczności lub uprzejmości dla nich, jak raczéj żeby ich tylko wyciągnąć na słowo i wyprowadzić w pole na popis, dla zabawy całego towarzystwa. Przeciągało się to dość długo; aż w końcu Adam, choć nie mówił głośno, zwrócił na się wszystkich uwagę. Chwalił się właśnie przed

[redacted]

panią Ottilią i siedzącemi obok niéj damami, że ma sposoby czytać w myślach drugich i odgadywać najskrytsze tajemnice ich serea. Wszystkie, ma się rozumieć, zaprzeczały temu; on więc oświadczył gotowość przekonania o tém *de facto*, i zaproponował próbę następną. Damy miały złożyć na tacy każda swój najulubieńszy pierścionek, który nosi oddawna i ciągle; on zaś miał zgadnąć, nie wiedząc, który do któréj należy, i co która myśli i czuje. Gwar, żarty i wesołość stały się ogólne: ale gdy on się nie cofał, a przyszło do składania pierścionków, wahanie się dam było widoczne; i choć ciekawość ogarnęła wszystkich, zaledwo namowy pani Ottilii, a więcéj może jeszcze obawa posądzenia mężczyzn, że się boją wykrycia tajemnic, skłoniły w końcu niektóre, bo wcale nie wszystkie damy, że się poddały czarnoxięzkiéj próbie. Adam siedział na miejscu i milczał; gdy zaś już kilkanaście pierścionków leżało na porcelanowym talerzu, z którym panna Ulryka obeszła dokoła; powstał zwolna z miną poważną, wziął talerz i odszedł na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła; starsi mężczyzni zbliżyli się ku damom; i nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania, która dla mnie, nie wiém dla czego, była niewypowiedzianie przykrą. Sam sobie nie umiem zdać sprawy, czy to była obawa kompromitacyi Adama; czy rola, w któréj wystąpił; czy wzięcie przez obecnych na seryo tego, co on żartem pewno tylko przedsięwziął. On tymczasem stał zdaleka od wszystkich, twarzą obrócony ku oknom, i przy lampie przeglądał pierścionki. Trwało to może minut z dziesięć, a mil-

czenie było w końcu powszechne. Nagle Adam odwrócił się prędko, i wielkim krokiem postąpił ku damom. Zimne mrowie przebiegło po mnie, gdy ujrzałem szczególną zmianę w jego twarzy. Kubek w kubek tak samo, jak się niekiedy w Wilnie przy improwizacyach *przemieniał*. Ta sama marmurowa bladość; ten sam wzrok skupiony w sobie, co zda się widzi wszystko, choć na nic nie patrzy. Wrażenie to odbiło się na wszystkich. Nie słyszałem co mówił damom, które siedziały zdaleka, bo głos jego był przytłumiony, a i on sam pewno go zniżał, aby nie wydawać sekretów. Ale z wyrazu twarzy tych, do których mówił, i ja, i wszyscy obecni widzieli, że w słowach jego musiała być prawda. Pani Ottilia, gdy z kolei zbliżył się ku niéj, patrzała w niego jak w tęczę, nieruchoma, i mieniąc się na twarzy. Uśmiechała się jednak gdy mówił, choć wzruszenie było widoczne.—„*Ach! ich fürchte ihn*," (Ach! ja się go boję), rzekła do mnie zcicha pani Teressa, widząc już w ręku jego swój pierścionek. Jakoż przystąpił wnet do niéj, i milcząc, przez parę sekund, wpatrywał się w nią przenikliwie. Biedaczka zbladła jak papier. W słowach jego, które mogłem dosłyszeć, obok na wpół żartobliwego tonu i bardzo delikatnego, wdzięcznego komplementu, co do świeżości i żywości uczuć, była jakby poważna, przyjacielska przestroga, aby się im nie dać unosić; co wszystko tak ją wzruszyło, że aż łzy w jéj oczach zabłysły.—Koniec końców, czarnoxięzka chwała Adama zajaśniała w całym swym blasku.—„*Es ist doch wunderbar!*" słyszałem około

siebie; a mnie samemu tak było jakoś miło i rozkosznie, że ci tego wypowiedzieć nie umiem [1]). Rozmowa znów stała się gwarną, ale ton jéj i nastrój był już aż do końca poważny. Adam mówił na seryo o tajemniczych potęgach natury i ducha ludzkiego; David zaś, który stał przy nim, potwierdzał to przytoczeniem kilku faktów z życia wielkich ludzi, a zwłaszcza Napoleona, który wierzył w świat tajemniczy.—Sam on téż, gdy wyszliśmy razem, pytał ciekawie Adama, jakim sposobem to zrobił? ale ten bardzo grzecznie i zręcznie, mówiąc ogólnikami, wywinął się od stanowczéj odpowiedzi. Gdy zaś ja, zostawszy sam na sam, także go o to z naleganiem pytałem: naprzód zaczął zbywać żartami, następnie chciał zbyć ofuknieniem: „Nudzisz mię! dajże mi pokój!" i t. d. Ale gdy i to nie pomagało, chciał mię, jak się zdaje, przestraszyć; i zatrzymawszy się nagle przedemną, (bo chodził wkoło z zapaloną fajką), wlepił we mnie wzrok swój badawczy, i odezwał się jakimś grobowym, wyraźnie udanym głosem: „Czy ty myślisz, że ja i ciebie nie przeczytam na wskróś?"—Nie zląkłem się jednakże i odpowiedziałem wesoło: „Czytaj sobie jak zechcesz: wzdłuż, wszerz, wpoprzek i na ukos; będziesz wiedział przynajmniéj, jak ja ciebie kocham." Zaczął śmiać się, i skończyło się na zwyczajném gładzeniu włosów.—Sekretu swego *tandem* nie powiedział; a ja nie wstydzę się ci wyznać, że to mi

---

[1]) Ob. Przypis przy końcu tomu.

wiele daje do myślenia; nie z powodu czarów, ma się rozumieć, ale téj dziwnéj jakiéjś magnetycznéj siły, co mu widać dana z natury, a która w nim tak często, i to tak w rozmaitych kierunkach, do jasnowidzenia dochodzi. Utwierdza mię to tylko w tém dawném, i zkądinąd powziętém przekonaniu, że to nie prosty poeta-bard, *sed vates et propheta*, i człowiek przeznaczenia. Bądź zdrów.

XVII.

Wejmar, 28 Sierpnia 1829 r.

„Otoż i dzień nad wszystkie uroczystszy świątki"!
Wstawaj, ku czci Göthego lat osiemdziesiątki!

Tą parafrazą wiersza Trembeckiego dobudziłem dziś na dzień dobry Adama, gdy się już sam poruszył i ocknął. A było to jeszcze przy świetle:

„Gońca złotego słońca, różanéj jutrzenki,"

pogodnie w okna nasze świecącéj, a o których jedna z najlepszych festynowych piosnek dzisiejszych, w ten sposób z wdzięcznością wspomina:

„Diese schöne Morgenröthe
Hat einst unsern —ja, unsern Göthe
An des Tages Licht gebracht."

Obudziłem się zaś sam tak wcześnie dla tego, że wczorajsze czarnoxięztwo Adama, enigmatyczne zagadnienie Göthego, i różne jeszcze inne reminiscencye wieczorne, tak się zlały jakby w jeden koszemar, że trapiony przezeń noc całą, skoro raz otworzyłem oczy, już *da capo* skleić ich nie mogłem. Ledwo zaś przez połowę byliśmy ubrani, wszedł do nas na wpół także ubrany David, sąsiad nasz przez korytarz, aby kończyć sylwetkę Adama, i wkrótce po nim z wizytą Holtei, drugi téż sąsiad przez ścianę. Szkoda, że ci nie

mogę powtórzyć długiéj, bo przeszło dwugodzinnéj rozmowy, która, gdyby ją kto stenografował, złożyćby mogła szeroki historyczny obraz bieżącéj literatury, a zwłaszcza poezyi europejskiéj, i to pod najciekawszym i najżywotniejszym względem, to jest osobistości, charakteru, stosunków, stanowiska i wpływu autorów, którzy ją wszędzie w téj chwili w rękach swoich piastują. David bowiem zna wszystkich najdoskonaléj w Paryżu; Holtei wszystkich w całych Niemczech; Adam ma także mnóstwo znajomości podobnych w Petersburgu i Moskwie; a jużciż nikt pewno nademnie nie zna lepiéj obu przeciwnych obozów, klassyków i romantyków, w Warszawie i w Wilnie, z których się tylu jednych po bratęrsku kochało, z tylu drugimi po szermiersku walczyło. A walka ta na polu literackich idei toczy się dziś również i gdzieindziéj; tylko że nie na same słowa i języki, ale także na myśli i pióra. Dość tylko że walka trwa wszędzie. Wszędzie treść dopomina się o piérwszeństwo przed formą; prawda przed sztuką. Ale czy prawda zwycięży w istocie, czy sztuka formę tylko przemieni? to już przyszłość chyba osądzi.

Ale wiész ty, jakim obrazem cała ta poranna rozmowa odbiła się w wyobraźni mojéj? Oto widzę jakby lazurowy sklep nieba, roztoczony nad całą ziemią. Zachód płonący jeszcze żywym ogniem i blaskiem, chociaż zgasłego już słońca—to Byron. Wschód promieniejący jutrzenką—to Adam. Xiężyc w pełni i na zenicie swéj drogi—to Göthe. Trójca gwiazd-słońc piérwszéj wielkości— to Chateaubriand

i Walter-Scott nad Europą, a nad Ameryką Cooper. Plejada słonecznych planet—to Manzoni, Moor, Béranger, Lamartine, Tieck, Tegner, i nasz Ursyn. Mglisto-płomienisty kometa—to Wiktor Hugo. Zorza północna—to Puszkin. Reszta to już pomniejsze gwiazdy i gwiazdeczki, co albo się gruppują w konstellacye, albo jak meteory, błysną, spadają i gasną.

Żebyś zaś nie łamał głowy, zkąd mi przyszło to astronomiczne porównanie, mnie, co wcale do gwiazd nie sięgam; wiedz tedy, że mi je natchnął ten właśnie, który swém przyjściem przerwał tę rozmowę.—Był nim zaś pan Quetelet, dyrektor obserwatoryum astronomicznego z Bruxelli, który przyjechał umyślnie na obchód urodzin Göthego, i któremu nas wczoraj sam Göthe na wieczorze u siebie przedstawił. Mieszka zaś razem z nami „pod Słoniem." Czy wczorajsze *hokus pokus* Adama nie było może głównym powodem téj niespodziewanéj wizyty, tego z pewnością powiedzieć nie umiem. Bo nie mówiąc już o mnie, który z żadnego względu prawa do niéj rościć nie mogę; ale Adam sam był zdziwiony, co mu mogło zjednać ten zaszczyt, gdyż z nim zaledwo słów kilka, i to obojętnych przemówił. A musi to być nielada znakomitość w nauce i w świecie uczonym, sądząc z tego, jak go Göthe z wyraźném odznaczeniem traktował, i z jaką uprzedzającą grzecznością pani Ottilia była dla jego żony, która już przez to samo, że była jedynym gościem płci pięknéj, trzymała prym w towarzystwie damskiém. Nie wiém, a więc i nie mówię z pewnością, czy i ona nie złożyła na talerz swojego pierścionka;

ale jest bardzo podobném do prawdy, że ona to wysłała męża, aby bliżéj czarodzieja zobaczył.—Bądź co bądź, Adam, jak gdyby dla utrzymania swéj roli, (chociaż o tém pewno nie myślał), z powodu dnia urodzin Göthego, potrącił o horoskopy, które Göthe sam, jak pisze, układał kiedyś dla siebie, z położenia i stosunku planet w dniu i w chwili przyjścia swego na świat; ku czemu wertował i badał ówczesne obserwacye astronomiczne. Ztąd wszczęła się rozmowa o astrologii, któréj treść jest wartą wspomnienia.

Pan Quetelet nazwał astrologię piastunką astronomii, tak jak alchemia, w wiekach średnich, była matką chemii dzisiejszéj. Adam więc z tego powodu podniósł i rozwijał przecudownie tę myśl: jak wszystkie najważniejsze odkrycia, które przyniosły światu najwięcéj materyalnych korzyści, uczynione były zwykle jakby przypadkiem, na drodze wyższych poszukiwań i dążeń duchowych. I tak np. astrologia szukała na niebie rozwiązania zagadki przeznaczeń, jak alchemia na ziemi „kamienia mądrości,” którego złoto było tylko symbolem. A oto chemia w wielu względach ziściła to właśnie dla świata, czego jéj poprzedniczka nadaremnie szukała; to jest odkryła sekret—wprawdzie nie robienia złota—lecz pomnożenia bogactwa i pomyślności narodów, przez udoskonalenie przemysłu; a ku czemu i astronomia także, ułatwiając żeglugę i handel, wiele ze swéj strony pomogła. Kolumb szukał tylko krótszéj drogi do Indyj Wschodnich, mając w myśli, za pomocą spodziewanych ztąd bogactw, wykupić naprzód od niewiernych

grób Zbawiciela — a natknął się na niespodziany świat nowy.

Gdy więc tak poezya i gwiazdy były już po kolei na scenie; jakby dla zharmoniowania ich wzajem — wszedł mistrz harmonii, Hummel, prowadząc z sobą jeszcze jednego poetę, pana Riemera, któregośmy téż wczoraj poznali. Nie słyszeliśmy dotąd nic o nim, ale mi Holtei powiada, że jest doskonały wersyfikator i nie uchodzi wcale za intruza na Parnasie niemieckim. Może mieć lat około 50, i bardzo jest miły w rozmowie. On i Hummel byli już w drodze do Göthego, który po przyjęciu oficyalnych wizyt i deputacyi rano, miał dopiéro pojedynczych swych gości o południu zacząć przyjmować. A że już czas się ten zbliżał, wizyta trwała niedługo, i przypomniała mieszkańcom z „pod Słonia," że się téż trzeba było wybierać. Tymczasem, ponieważ w apartamencie naszym, (to jest izbie z dwóma łóżkami), było wszystkiego pięć krzeseł, Adam przeto, przyjmując gości, musiał siedzieć na swojém, a ja z p. Wiktorem na mojém łóżku. Ale przyznaj, że i sam Sokrates mógłby być kontent, widząc izdebkę swoję napełnioną podobnie, jeżeli nie koniecznie ścisłymi przyjaciółmi, to przynajmniéj takimi ludźmi.

Było już po pół do piérwszéj, gdyśmy stanęli u progu Göthego, spotkawszy mnóstwo wracających po drodze, którzy już swoje powinszowania złożyli. — Przez drzwi sieni, otwarte na oścież, blask słońca padał wprost na wyraz *Salve*, wyłożony mozaiką w podłodze. Adam wziął to za dobry prognostyk uprzejmych usposobień gospodarza. Jakoż, skoro

nas ujrzał wchodzących, z pośrodka koła mężczyzn, którém był otoczony, postąpił ku nam, podał rękę, i na króciutkie słowa życzeń, odpowiedział: „*Je vous remercie, Messieurs, je vous remercie sincerement.*” Poczém wmięszaliśmy się w tłum gości płci obojéj, ruszających się i napełniających salon w apartamencie samego Göthego. Na stoliku pod zwierciadłem leżały rozłożone różne roboty damskie i spory stos powinszowań piśmiennych, wierszy i listów, które dziś solenizant odebrał. Ale głównym przedmiotem ciekawości i rozmów był list króla-poety, to jest króla bawarskiego Ludwika, który koleją z rąk do rąk, zwłaszcza damskich, przebiegał, i który mi dopiéro pani Teressa łaskawie do przeczytania podała. Zaczyna się od słów: „Panie Ministrze!”; wspomina o pamiętnéj dla piszącego chwili, gdy sam przed dwóma laty dom Göthego odwiedził; życzy mu, aby stu lat doczekał, i prosi o przyjęcie na wiązanie załączającéj się kopii nowo odkrytego starożytnego posągu, mającego wyobrażać jednego z synów Nioby. Kończy prośbą o wskazanie domu, gdzie Göthe mieszkał kiedyś bawiąc za młodu w Rzymie, dokąd i król się wybiera; „bo wszystkie najdrobniejsze rzeczy, tyczące się ludzi wielkich, są ważne.” Podpis: „*Ihr bewundernder Ludwig*” (podziwiający was Ludwik).

Posąg, o którym mowa, uwieńczony girlandą z kwiatów, umieszczony był na pięknéj podstawie w przyległéj sali biustów, wprost naprzeciw otwartych drzwi od salonu, aby go ztamtąd wszyscy widzieć mogli. Nikt jednak nie poprzestał na tém, i wszyscy

go koleją oglądali z blizka. Davida, a i nas przy nim, sam Göthe zaprowadził ku niemu, unosząc się nad harmonijną pięknością szczegółów i całości. Potém zaś, widziałem z daleka, jak sam znowu przystąpiwszy ku niemu, przypatrywał mu się z uwagą, ruszając przytém ręką i palcami, jakby w myśli z kimsiś rozmawiał. W ogólności dziś w nim więcéj bez porównania niż wczoraj widać było ożywienia i uczucia; i kto wié, czy ten martwy posąg, bądź jako dzieło sztuki, bądź jako dar z ręki królewskiéj, nie więcéj go niźli żywi goście ożywiał.

Przed drugą, my z Davidem wyszliśmy prawie ostatni. Damy tylko niektóre zostały; inne poszły się przebrać na obiad. Bo solenizujący dziś *Papa*, z samemi tylko damami obiadował u pani Ottilii, i najpiękniejsze tylko, obok najznakomitszych w Wejmarze, dostąpiły, jak mówią, tego zaszczytu. Wszyscy zaś bez wyjątku mężczyzni, biorący udział w dzisiejszym festynie, zebrali się przed trzecią na składkowy obiad w oberży „*zum Erbprinzen*." Cudzoziemcy tylko, jako goście w Niemczech, to jest David, Quetelet, p. Wiktor i my, zostaliśmy zaproszeni *gratis*, na koszt uprzejmych mieszkańców Wejmarskich.

Sala jadalna nie nazbyt obszerna. Stół i ściany ubrane w kwiaty i girlandy z liści laurowych. Osób musiało być przeszło czterdzieści. Ale jak ci opisać to właśnie, co składało główny charakter i niewypowiedziany urok téj biesiady; to połączenie razem wesołości i rozrzewnienia; to przejęcie się wszystkich jedném uczuciem, zjednoczenie się w jednéj myśli,

z zupełném zapomnieniem o sobie. Wszystko pośredniczyło tu zda się między zabawą a uroczystością świąteczną, jakby jaki wesoły religijny obrzęd domowy. Wszystkie inne, wspanialsze nawet i liczniejsze od dzisiejszéj uczty, na których kiedykolwiek być mi się zdarzyło, mogłyby tylko posłużyć za dowód, jak często rzeczy najpodobniejsze z pozoru, jak np. obiad i obiad, różnić się mogą w istocie, jak niebo od ziemi, i jak nie samym chlebem, ale raczéj słowem i duchem, człowiek się tylko nasyca i żyje prawdziwie. To téż i uczta dzisiejsza zaczęła się naprzód od słowa; a było niém przemówienie kanclerza Müllera, który, jako gospodarz fety, cel jéj i znaczenie wymienił. Następnie, po każdéj potrawie, szły koleją: to pieśni, przy towarzyszeniu muzyki, to czytanie adresów lub wierszy, które delegowani z rozmaitych stron Niemiec dziś już rano solenizantowi złożyli. Pomiędzy innemi, delegowany od uniwersytetu w Bonn, odczytał wiersz tamecznego professora, sławnego Wilhelma Schlegla; z piosnek zaś, napisana i odśpiewana przez sąsiada mego u stołu Holteja, wydała nam się najlepszą i najżywsze obudziła współczucie. On sam tak był wzruszony, że ledwo się mógł wstrzymać od łkania; a wzruszenie to było powszechném. Pan August—ku któremu się wszyscy mówcy i śpiewacy, jako ku reprezentantowi ojca zwracali—przyjmował to z rozrzewnieniem prawdziwie synowskiém; i trzeba było nie mieć chyba serca, żeby ogólnego wrażenia nie dzielić. Przy uroczystym toaście, Adam i David, w stopniu cudzoziemców, przemówili każdy słów kilka, po francuzku,

które wdzięcznie przyjęte zostały. Kielichy krążyły obficie, i biesiada, z poważnéj i uroczystéj z początku, stała się w końcu wesołą i gwarną. Przed zaczęciem zaś jeszcze obiadu, my byliśmy powodem wesołości ogólnéj. Pan kanclerz, jako gospodarz, uprzedził mię, że kartka z napisem nazwiska, przywiązana do krzesła, wskazuje każdemu z gości miejsce, które ma zająć u stołu. Aby więc wiedzieć wcześnie przeznaczone dla nas, obszedłem stół raz i drugi, ale z niemałém podziwieniem i ambarasem, nigdzie ani mojego, ani Adama nazwiska nie znalazłem. Adam także był nieco w kłopocie, gdy mu to powiedziałem. Nie było więc innéj rady, jak odwołać się do pana kanclerza. Ten również był tém zdziwiony, i zwrócił się z kolei do kogoś, któremu widać było to powierzoném. Pokazało się wreście, że zamiast nazwisk naszych, trudnych zapewne do napisania dla Niemca, były tylko kartki z napisem: *der Pole N. 1*, *der Pole N. 2*; i tak samo stało téż w rejestrze, z którym gospodarz hotelu zasiadł po obiedzie przy wyjściu, aby odbierać zapłatę od gości za wino, które kto sobie oddzielnie podczas obiadu dać kazał. My, jak to już powiedziałem, byliśmy wolni od wszelkiéj opłaty; a i do głowy nambyby nie przyszło, aby sobie wino u stołu można było w ten sposób, extra składki, kupować. Ale ta okoliczność z kartkami dała właśnie ów powód do śmiechu; i na wieczorze potém, znajomsze damy nazywały nas żartem po numerze, pytając naprzód, kto był *Herr Eins*, a kto *Herr Zwey?*

Wieczór ten, a raczéj *raut* balowy, z którego właśnie wróciwszy list ten do ciebie zacząłem, był u jednéj ze znakomitszych dam Wejmarskich, pani Melos, a na który i piękne biesiadniczki, po obiedzie u solenizanta przybyły. Obiad ten miał być bardzo wesoły, a gospodarz w tak doskonałym humorze, że sam jeden, jako reprezentant płci swojéj, wszystkie je dowcipem ubawił, a grzecznością i uprzejmością zachwycił. Wieczór téż był bardzo liczny, świetny i ożywiony, ale nic na nim szczególnego nie zaszło. Odczytywano tylko wiersze i pieśni obiadowe, a Holtei, chociaż, jak sam wyznawał, ledwo się mógł utrzymać na nogach, odśpiewał jeszcze, na żądanie dam, piosnkę swoję, i powtórne otrzymał oklaski. Toast za zdrowie solenizanta, spełniony doskonałém winem reńskiém, jako narodowém niemieckiém, przyjmowała w zastępstwie jego pani Ottilia, do któréj każdy przystępował z kielichem.—My znowu jutro obiadujemy u niéj, a to jako satellity pana Quetelet, dla którego ma być właśnie ten obiad—*incognito*, jak nam zapowiedziała sama gospodyni: to jest złożony tylko z najbliższych miejscowych przyjaciół domu i cudzoziemców. Dla gości zaś niemieckich, których wszystkich na obiad sprosić niepodobna, a wybierać pomiędzy nimi nie wypada, będzie znów jutro *grande soirée* po Fauście.—I cóż ty na to wszystko, grykosieju?

Czy nam zajrzysz, stękając z pod trosk gospodarskich,
Tych biesiad poetycznych, i tych Muz Wejmarskich,
Co jakby przez Nazońskiéj cud metamorfozy,
Wszystko w nas na *poezyę* przemieniają z prozy?

Aby jak niuch tabaki, z téj cię drzé

XVIII.

Do tegoż.

Wejmar, 29 Sierpnia, 1829 roku.

Znałem jednego Jegomościa, który gdy miał przed sobą jaką pracę, lub nawał pracy, a czuł że to siły jego przechodzi, okręcał głowę chustką i naprzód kładł się spać. Czynił zaś to, jak mówił, dla tego, aby uspokoiwszy myśli, zalęknione ogromem, po szczególe mógł potém do roboty przystąpić. Jeżeli kiedy to dzisiaj, powinienbym, gdybym miał rozum, naśladować dobry ten przykład; nie dla tego że mię sen morzy, i że kogut już, słyszę, śpiewa gdzieś „*pod Słoniem*;" ale że przedmiot, o którym chcę pisać, tak dalece siły moje przewyższa, że tą chyba tylko metodą dotknąć się go mogę ośmielić.—Przedmiotem tym albowiem jest Göthe. Stoi on dziś nademną jak Kolos Rodyjski, jedną nogą na *Prawdzie*, (jak sam w swych Pamiętnikach rzeczywiste swoje życie nazywa), drugą na *Poezyi*, to jest na swych dziełach oparty; a biedne myśli moje, jak wiatrem wzruszone fale, mącą się i wirują u stóp jego, nie mogąc ani go jasno odbić w sobie, ani zmieścić. Tyle dziś bowiem nowego dowiedziałem się o nim rano od Holteja; tyle myśli ciśnie mi się do głowy po dzisiejszém przedstawieniu Fausta; a to wszystko tak się jakoś wiąże i spaja w jedno przez to, co sam dziś także z własnych

ust jego słyszałem;—że czuję, jak od uwielbiania ryczałtem, pchnie mię coś gwałtem do analizy nad nim—choć się sam sobie opieram jak mogę, i sam sobie wyrzucam tę śmiałość. Dotąd patrzałem nań tylko jako na poetę, na arcy-mistrza w sztuce, na potentata w rozumie—i z głębi przekonania wołałem na kolanach: „wielki! wielki! wielki!” Teraz szukam—w poecie, wieszcza; w mędrcu, idei i prawdy; w człowieku, serca i ducha. Szukam tego, co widzę i czuję w Adamie; i—i tak mi się ćmi przed oczyma, taki w głowie zawrót i zamęt, że—broń Boże, nie wyrokując stanowczo—sam sobie tylko zadaję pytanie, dla czego i pod temi względami, czuję, że nie mogę sumiennie powiedzieć o nim tego samego, co dziesięć razy na dzień myślę o Adamie? Czyżby i w nim, jak w owym Rodyjskim Kolosie, w głowie tylko paliło się to światło, co jużciż daje widzieć jego olbrzymią wysokość, ale oczu patrzących nie podnosi wyżéj? Czyż to tylko ziemska latarnia, choć najwyżéj nad ziemią wzniesiona, ale nie światło zstępujące z góry? Sam sobie jeszcze na to odpowiedzieć stanowczo nie umiem, a więc nic i tobie nie powiem. Nie chcę ciebie częstować kwaśnym fermentem mych myśli, sam jeszcze nie wiedząc z pewnością, co się z niego wyklaruje na końcu. Ale muszę ci opowiedzieć to wszystko, co dziś we mnie pobudziło ten ferment; wrażenie zaś, jakie to sprawi na tobie, i o którém nie zapomnij napisać, doda mi może—drożdży albo chmielu, co tam np. u ciebie w browarze odchód czystego piwa albo spirytusu przyśpiesza. Adam bowiem, jakby

na przekór, nic a nic dopomódz mi w tém nie chce; ani potakuje,. ani przeczy. A jednak *Faust* i jemu, jak widzę, musiał dać jakiś orzech do zgryzienia. Ledwośmy wyszli z teatru, zapytałem go zaraz: „No, jakże?"—Czy nie słyszał, czy słyszeć nie chciał—dość, że nie odpowiedział ani słowa. Nie mogłem więc wytrzymać, i zacząłem swoje. Przez całą drogę z teatru na wieczór, słuchał, ale sam milczał jak ściana. To mię skonfundowało nieco i ostudziło w ferworze. A jednak, gdy go Göthe zapytał o wrażeniu, jakie odniósł z przedstawienia na scenie Fausta, który dla niéj bynajmniéj przeznaczonym nie był; on, unosząc się nad pojedynczemi scenami, ani słowa o całości nie wspomniał. I musiało to widać uderzyć Göthego, bo patrzał nań przenikliwie, jak gdyby czegoś jeszcze oczekiwał więcéj—i o nic już daléj nie pytał. A i mnie sceny oddzielne porywały i zachwycały niezmiernie. Śmiałem się do rozpuku z zalotów Marty do Mefistofelesa; a scena Fausta z Gretchen w więzieniu, tak mię okropnie wzruszyła, że mimo wstydu i wszelkich usilności, (gdyż byłem wtedy w loży państwa Vogel), nie mogłem wstrzymać—nie to łez, ale co gorsza, głośnego chlipnięcia, które mi się jak na złość gwałtem z piersi wyrwało. Pani Teressa nie miała nic pilniejszego, jak zaraz na wieczorze powiedzieć o tém Göthemu; co mi zjednało tak wdzięczne jego spójrzenie i uśmiech, i nakoniec rozmowę—(nie o Fauście bynajmniéj, lecz o klimacie u nas i we Włoszech; o wrażeniu, jakie ten klimat sprawił kiedyś na nim, i sprawiać musi na każdym,

przybywającym z północy); że ta sama uprzejmość i dobroć, przyczynia się także nie mało do dzisiejszego fermentu mych myśli. Czuję dlań bowiem w sercu osobistą wdzięczność; a jednak, tak żły jestem na Fausta za Gretchen, a za Fausta na niego, że go nie mogę kochać, jakbym pragnął—jak wczoraj nawet jeszcze kochałem.

Ale przechodzę do szczegółowéj relacyi o dniu dzisiejszym, którą ci już zapowiedziałem wyżéj.

Ledwośmy byli ubrani, wszedł znowu naprzód David, aby skończyć ostatecznie sylwetkę, a tuż w ślad za nim jakiś mały człowieczek z ogromną hiszpanką, który wręczył Adamowi bilecik. Adam przeczytał i zaczerwienił się cały. Domyślam się, że jużciż z radości; bo był to własnoręczny liścik od Göthego, w którym prosi, aby posyłającemu się malarzowi pozwolił zdjąć dla niego swój portret; „gdyż chciałby—słowa są listu—mieć tak interesującego gościa w kollekcyi swojéj.” Ma zaś ją bardzo liczną, jak powiadał malarz.—David oświadczył, że mogą oba razem robić każdy swoje. Usadowili więc Adama na krześle, jak pannę młodą do trefienia włosów, a sami przy stoliku naprzeciw, jeden go lepił, a drugi rysował. Patrząc na to, przyszedł mi koncept, którego że nie śmiałem wypowiedzieć przy nich głośno po polsku, napisałem go więc na kartce i położyłem przed nim na stoliku. A był to taki czterowiersz, parafraza z wiersza jego do pana Joachima:

Fizys twoja wybiega za Chrobrego szranki,
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

A jak się z tego serca uradują bratnie,
Radość moja najpiérwsza świadczy—choć prywatnie.

Przeczytał nie biorąc do ręki, i śmiejąc się położył palec na ustach. Żeby więc nie przeszkadzać artystom, poszedłem do sąsiada Holteja.

Tu rozmowa o panu Auguście, z którym Holtei, jak mówi, jest w ścisłéj przyjaźni. Potwierdził on, co mi się zawsze zdawało, że jest to wcale rozumny i uczony człowiek. Holtei nawet dodaje, że miałby niepospolitą zdolność i ochotę do poezyi, gdyby się nie obawiał jak śmierci, aby go nie stawiono obok i nie mierzono na skalę jego ojca, którego wielkość czuje i uznaje; i dla tego to, przez excentryczność, woli raczéj brać na się całkiem odmienne pozory. Lecz nie w tém tylko jedném—jak się wyraził Holtei—stało się nieszczęściem dla niego, że się urodził synem swego ojca. Despotyczny wpływ jego i charakter, w najważniejszych epokach życia, sparaliżowały samoistność syna. W piérwszéj młodości pan August kochał się w jakiéjś młodéj i pięknéj Wejmarce, lecz że ta była z mieszczańskiego rodu, ojciec nie pozwolił mu się z nią żenić, a ona, w skutek tego, jak mówią, sama sobie odebrała życie. W r. 1813, podczas wojny z Napoleonem, gdy cała młodzież niemiecka zaciągała się pod chorągwie, pan August chciał toż samo uczynić; ale ojciec, bojąc się o jedynaka, nie dopuścił mu tego, wyjednawszy dlań urząd cywilny i wyraźny w tym względzie rozkaz W. Xięcia, który był przytém jego ojcem chrzestnym. Obie te okoliczności, jak powiada Holtei, wywarły stanowczy

wpływ na excentryczne odtąd usposobienie pana Augusta; ostatnia zaś obudziła w nim właśnie to posunięte prawie do przesady uwielbienie dla Napoleona, z którém tak głośno oświadczać się lubi. Mimo to, jest on wszakże najlepszym mężem dla żony, a najprzywiązańszym i najuleglejszym synem dla ojca; i to tak dalece, że codzień zdaje przed nim jakby rachunek sumienia ze wszystkich nie tylko czynów, ale uczuć i myśli swoich. Pani Ottilia, dla której Holtei także jest z wielką czcią i uwielbieniem, pochodzi ze znakomitéj szlacheckiéj rodziny *Pogwisch*, a po matce jest wnuczką jakiéjś hrabiny, któréj nazwiska zapomniałem, ale która niedawno jeszcze, aż do śmierci, wiodła rej w towarzystwie Wejmarskiém. Sam pan August nie jest bynajmniéj synem jakiéjś kucharki, jak nam to kiedyś powiadano w Warszawie; owszem, matka jego miała się odznaczać nie tylko samą pięknością, ale téż i niepospolitym, chociaż nie naukowo wykształconym rozumem; czego zresztą i to już dowodzi, że Göthe, sławny niegdyś z niestałości w miłostkach, dotrwał w wierności dla niéj przez lat dwadzieścia kilka, aż nakoniec z nią się ożenił. Miłość jéj i poświęcenie bez granic, z jakiém zawsze była dla niego, ściągnęły na nią naprzód nazwę *niewolnicy*, która się potém przekształciła w *kucharkę*. Nazwisko jéj było: Krystyna Vulpius; ojciec jéj był ubogim bakałarzem, a brat jest autorem słynnego romansu: *Rinaldo Rinaldini*, który nas tak w szkołach zachwycał. Ona zaś sama, jak powiadał Holtei, jest właśnie heroiną owych *Elegii Rzymskich*, które

pan August u mnie po raz piérwszy obaczył; i teraz dopiéro rozumiem prawdziwą przyczynę, dla czego nie tylko sam ojciec, ale i nikt inny w Wejmarze do czytania dać mu ich nie mógł.—Nie podobało mi się to wszystko; a zestawione obok z miłością Gustawa w *Dziadach*, a bardziéj jeszcze z samym ich autorem, szali sądu mojego o ideale poety-człowieka nie przechyliło bynajmniéj na stronę kochanka Krystyny i autora *Elegii Rzymskich*.

Wrażenie to czysto-psychiczne, utwierdziło się we mnie i czysto-plastyczném, przy porównaniu skończonéj już nareście sylwetki Adama, z kończącym się téż kolosalnym biustem Göthego, który dziś David nam piérwszym, idąc na obiad, pokazał. (Robi go bowiem w pokoju Göthego, od którego klucz ma przy sobie). Podobieństwo uderzające; czerwona zaś i nie dość jeszcze wygładzona massa, tém wyraziściéj uwydatnia rysy i ogólny charakter fizyognomii. Dodać tylko orła czy piorun, a będzie to najdoskonalszy wizerunek: Jowisza, Perkuna, Odyna—dość że zawsze jakiegoś pogańskiego bożyszcza; taki majestat w czole, ale téż takie zimno i surowość w twarzy, nie ożywionéj ruchem, ani choćby sardonicznym uśmiechem, który ją w żywym oryginale łagodzi przecież nieco i ogrzewa. A wpatrzże się w sylwetkę Adama, która tak téż podobna, jak dwie krople wody! Gdyby David chciał kiedy zrobić Geniusza poezyi nowożytnéj—nie Apollina—nie miałby już potrzeby szukać modelu w obłokach. Dość byłoby dać w rękę pochodnię czy lutnię, a i rysy i wyraz twarzy mógłby śmiało kopi-

jować z sylwetki. Wprawdzie i z fizyognomii Szyllera wartoby może było wziąć niektóre wzorki. Tylko że Adam młodszy i piękniejszy; i jeśli brak w nim może téj spokojnéj, melancholijnéj słodyczy, która jest tłem twarzy Szyllera; to za to jest coś więcéj jakby wznioślejszego, coś jakby więcéj uduchownionego, co właśnie, i najbardziéj pociąga ku niemu. Pochodzi to może ztąd, że w rysach jego, jak i w nim samym, nie widać dotąd śladu tych powszednich trosk ziemskich, z któremi Szyller całe życie walczył, i które się nakoniec w twarzy jego wyryły. A kto wié, czy i inna rasowość, albo wpływ innych uczuć i idei, nie przyczyniają się także ku temu? Bo i pod tym téż względem, jak naprzód przy obiedzie, tak potém na Fauście, i teraz, kontynuuję wciąż w myśli to moje porównanie Adama z Göthem— i zawsze wypadek ten samy.

U stołu cała rozmowa, którą głównie sam Göthe z p. Quetelet zagajał, toczyła się prawie wyłącznie o naukach przyrodzonych. On sam mówił, że to jest przedmiot najinteressowniejszy dla niego, i byćby nim powinien dla każdego myślącego człowieka: bo go nikt nigdy ani ostatecznie zgłębić, ani całkiem wyczerpnąć nie może: „*La nature a l'attrait et le charme de l'Infini.*"—„Trzeba być tylko konsekwentnym w szukaniu, a natura nie zawiedzie nikogo."— „Skarby natury, są to skarby zaklęte, które nie rydel tylko, ale słowo otwiera."—„Kiedy myślę o tych wszystkich nowych odkryciach i wynalazkach, które w ciągu życia mego zrobiono, i których się powoli

nauczyłem: lituję się nad młodymi, którzy tego wszystkiego w lat kilka nauczyć się muszą. Prawda, że jest téż lepsza i metoda uczenia."—„Byłem często w sporze z naturą, *mais j'ai fini toujours par lui demander pardon*."—„Kiedy dysputuję z człowiekiem, nigdy całkiem pewny nie jestem, kto z nas ma rzeczywiście słuszność; *mais en disputant avec la nature, je sais d'avance, que c'est elle qui a raison*."—Oto masz kilka aforyzmów Göthego, które sobie przypominam na prędce. A jeśli cię w nich uderza to ciągłe tylko wspominanie natury; to cóż powiész, że było tego najmniéj razy dwieście, a słowa *Bóg* ani razu. Jakby sama natura była wszystkiém dla wszystkich; alfą i omegą dla siebie; stworzycielką swoją i Bogiem. A więc to jest ów panteizm, o którym, Bogu dzięki, ze słychu dotąd tylko wiedziałem—a i słyszałem z ust takich tylko ludzi, którzy nie obudzali we mnie przekonania, iżby je sami mieli rzeczywiście, albo nawet rozumieli dobrze, co mówią, kiedy ich drudzy zrozumieć nie mogli! Ale dzisiaj to co innego! Wszystko, co Göthe mówił—a nawet czego nie domówił—to jasno. I ta to właśnie jasność, jak zimowa pogoda, tchnęła na mnie tak mroźnym, przeraźliwym chłodem, że nawet promienie spójrzeń pięknéj mojéj sąsiadki u stołu, zmykały mi się po sercu, jak blask słońca po śniegu, kiedy go roztopić nie może. I spoglądałem ciekawie na Adama, aby odgadnąć z twarzy, co téż myśli? Ale on siedział nasępiony i milczał. Ciekawy byłbym bardzo, czy sobie o Oleszkiewiczu nie wspomniał? Tymczasem zaś wi-

ły mi się w pamięci wiersze jego z *Dziadów*, które Gustaw z ironią powiada:

„Więc żadnych nié ma duchów? Świat ten jest bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi?
Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru? i t. d."

Ale czyżby taki człowiek jak Göthe, miał lub mógł rzeczywiście nie czuć i nie wierzyć, że musi być gdzieś przecie „*Kto zawiesił wagi?*" Lub czyżby się i do niego dało zastosować:

„Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych—nie obaczysz cudu?"

Ja przynajmniéj stosuję jak najmocniéj do siebie:

„Czucie i Wiara silniéj mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko."

Choćby nawet takiego mędrca jak Göthe.—I dla tego téż patrząc na niego i na Adama razem, podziękowałem w myśli Panu Bogu, że i pod tym względem wieszcz nasz różni się od niemieckiego Tytana.

A cóż ci teraz jeszcze mam powiedzieć o Fauście?— Boję się nawet ciebie, abyś mię nie posądził o porywanie się z motyką na słońce. Pamiętam, ile to razy rozpływaliśmy się w admiracyach nad nim! Aleśmy zawsze tylko czytali pojedyncze sceny lub miejsca; a ja i teraz powiadam, że poetycznie tylko rzecz biorąc, wszystkie szczegóły są przedoskonałe. Ale jest to coś nakształt dzisiejszéj rozmowy u stołu.

We wszystkich pojedynczych myślach i twierdzeniach, zdaje ci się, że czujesz prawdę. Tylko, że jak z całego toku téj rozmowy, tak po raz piérwszy dopiéro z przedstawienia na scenie Fausta, pojąłem dobrze i ogarnąłem całość myśli—i to właśnie sprawiło na mnie najprzykrzejsze wrażenie. Bo naprzód pytam sam siebie: Co to jest? Czy satyra? czy ironia? czy urągowisko? I z czego? Czy tylko ze szkolnéj mądrości, a światowéj burszeryi niemieckiéj? czy i z odwiecznych moralnych praw i prawd całéj ludzkości; z jéj uczuć i wyobrażeń; z jéj tradycyi i dążeń? Bo Faust, to nie tylko osoba, ale jakby symbol idei. Intencya ta jest widoczna—a więcże tendencya jaka? Szukał mądrości—doszedł do rozpaczy; szukał szczęścia—doszedł do zbrodni. Prawda, że w tém djabeł rej wiedzie. Ale gdzież jest—jeśli już nie w samym bohaterze, to choćby w czyjémkolwiek sercu lub sumieniu—gdzie jest choć jedna myśl, choć jedno poczucie, choć jedno słowo o drodze innéj, na któréj ludzie szukający mądrości, znajdowali przecież prawdę i pokój; po któréj miłość prowadzi do cnoty, a cnota znowu do pokoju i szczęścia? Faust djabłu zapisuje duszę, byle mu zjednał jedną chwilę taką, któréjby on przedłużenia zapragnął. A gdzież jest choćby jedna wskazówka, w czémby podobna chwila znalezioną być mogła? coby sercu to zadowolenie przyniosło? Czemu poeta nigdzie nie ostrzeże widza, że Faust idzie drogą fałszywą? Powiész, że widz to każdy sam przez siebie spostrzega, i że w tém właśnie jest doskonałość dramatu i dramaturga. Zgoda! Ale

co widz ma myśleć o samym dramaturgu? Co on chce? co myśli i wierzy? Czy że jest przecież jaka inna droga, czy że jéj nié ma dla ludzi? Czyż człowiek każdy, jak Faust; czyż ludzkość cała, jak Gretchen; mają być tylko igraszką i ofiarą szatana? Bo kiedy szatan działa tak widomie, czemuż nigdzie ani cienia przelotu, ani powiewu skrzydeł jéj Anioła-Stróża? Że ona sama modli się z rozpaczy, to może mieć tylko znaczenie, że hołduje gminnym przesądom, które w dobréj wierze podziela, ale które jéj ani sił żadnych, ani żadnéj opieki nie dają. To téż w scenie ostatniéj, ten głos z góry—niewiadomo czyj?—który na tryumfujący wykrzyknik Mefistofelesa: „*Sie ist gerichtet*" (Ona jest osądzona), odpowiada stanowczo: „*Sie ist gerettet!*" (Ona zbawiona);—głos ten brzmi jakoś dziwnie, jak ton oderwany, nie związany z żadnym poprzednim, i nie wiedzieć zkąd przychodzący. Bo któż ją sądzi? kto ją zbawia? kiedy o żadnym Sędzi ani Zbawcy, o żadnym sądzie i życiu po śmierci, ani wzmianki w całéj sztuce nie było? Faust zaś w tém swojém *Credo*, które wypowiada przed Gretchen, czyż nie najdobitniéj wyraża, że Bóg jest to tylko uczucie, które człowiek ma czerpać z natury; a wszelkie imię—a więc i osobowość—jest tylko *dźwiękiem marnym* i *dymem czarnym*, co mu światło niebios zaciemnia? Cóż więc znaczy właściwie ta scena ostatnia? Czy jest to tylko artystyczny środek, dla artystycznego effektu? czy ostatnie słowo zagadki, którą natenczas będzie cała sztuka? Bo w głosie tym, wołającym z góry, chcąc możnaby dosłyszeć ca-

ły szereg myśli, jak np. „Jest świat drugi, jest sąd, jest nagroda i kara, jest nieśmiertelność i wieczność. Że zapomniawszy i nie myśląc o tém, szukałeś mądrości dla pychy—popadłeś w rozpacz i w moc złego ducha. Że zapomniawszy i nie myśląc o tém, szukałeś szczęścia w upojeniu zmysłów—wpadłeś sam i wciągnąłeś do zbrodni istotę, która w ciebie—jak ty w nikogo—uwierzyła przez miłość. A patrz! ona jednak zbawiona. A więc cóż ją zbawiło? Jéj boleść, jéj żal i pokuta!"—Wszystko to można pomieścić i wszystko dosłyszeć w tym głosie. Ale czy sam poeta to myślał? Na to już chyba kiedyś odpowié nam druga część Fausta, nad którą Göthe od lat wielu pracuje, a która—jak tu słyszę—ma być składem i ostatecznym wyrazem jego moralnych i religijnych przekonań. *Qui vivra, verra.* Godzi się wszakże wątpić, czy Mefistofel— z którym Faust znika z więzienia w końcu części piérwszéj, a więc z którym zapewne rozpocznie i drugą;—czy mu djabeł da wejść na drogę, którą mu przykład Gretchen wskazuje? albo, czy sam wyznawca natury nie wynajdzie dlań jakich dróg nowych, na którychby i zakład jego z djabłem mógł się rozwiązać, i on sam, podług legendy, nie poszedł przecież całkiem do piekła?—Tymczasem dzieło to, jak jest dzisiaj—aczkolwiek arcydzieło artyzmu —smutne i przykre, powtarzam, sprawiło na mnie wrażenie; a to mianowicie dla tego, że z djabła chyba tylko i spraw jego, człowiek chrzczony domyślać się w niém może, że i Pan Bóg być gdzieś musi na świecie;—nie mówiąc

już o drukowanym prologu, w którym sposób wprowadzenia Jego osoby, i ton rozmowy z Mefistofelesem, omal że nie na bluźnierstwo zakrawa. To téż gdyby kto u nas pisał *Twardowskiego*, przysiądzby można z góry, iż byłby go pojął inaczéj; lub gdyby Faust był naprzód napisany po polsku, możnaby również wykonać jurament, iżby nam nie przypadł do serca, tak jak go dziś na słowo Niemców, czytając lub nie czytając, wielbimy—od nas samych naprzód zacząwszy. I rzecz to zresztą bardzo naturalna. Inaczéj przymierzamy odzież własną a cudzą. Tu dbamy jak przystaje, i czy nas nie ciśnie; tam obchodzi nas tylko ciekawość, jakim kształtem skrojona i szyta. Idąc do zboru na niemieckie kazanie, nie idziemy jużcić po naukę wiary, ale chyba dla słyszenia wymowy. Otóż i Faust jest dla nas jak owo niemieckie kazanie. Nie stosujemy go do siebie, ale się sami dostrajamy do niego. I czynimy to bardzo słusznie, gdyż dopełniamy właśnie głównego warunku zrozumienia poezyi obcej, co sam Göthe tak cudnie wyraził, mówiąc:

„*Wer den Dichter will verstehen,*
„*Muss in Dichter's Lande gehen.*"

Kto poetę chce zrozumieć,
Iść w kraj jego musi umieć.

albo:

Kto poetę pojąć rad,
Musi iść z nim w jego świat.

Ale główna korzyść podróży po cudzych, zależy, mówią, na tém, ażeby kraj własny nauczyć się przez

porównanie lepiéj znać, cenić i kochać. Nie darmo więc podróżuję, jak widzę, bo już dzisiaj, przez porównanie z Göthem, więcéj jeszcze pokochałem Adama.—Bądź zdrów.

Post-Scriptum, 30 Sierpnia, godz. 5 rano.

Calutką noc nie zmrużyłem oka. Kusiciel Fausta i Tukaja osiodłał mię widocznie i dręczył jak zmora. Bo gdyśmy się już położyli, rozwiązał się nakoniec język Adama o Fauście. Zrazu cedził słówko po słówku, ale potém popłynęło jak rzeka. Dwa razy wstawałem w pociemku, aby nałożyć mu fajkę i wykrzesać ognia; a to, aby sam wstawszy nie popsuł sobie humoru i rozmowy nie przerwał. W ogólności nieraz już zauważałem, że gmeranie w ujemnych stronach, czy ludzi, czy rzeczy, jest dla niego rzeczą nieznośną. Wybuchnie czasem, zgromi, i daje pokój; albo téż nasępia się tylko i milczy. Zaczęło się od moich uwag. Adam nie zbija zarzutów z mego punktu widzenia; exkuzuje tylko Göthego, że nié ma w nim nigdzie téj napastniczéj, anti-religijnéj dążności, która tchnie w innych pisarzach przeszłego wieku, a jest tylko zobojętnienie religijnego pierwiastku.—(Nie osiemnaście, ale dwadzieścia bez dwóch!)—Ale dajmy już temu pokój! Ja nie jego spowiednik, a on sam za siebie odpowié.

Adam, na zapytanie moje, czemuby nie pomyślał o napisaniu „Twardowskiego?”—odpowiedział śmiejąc się, że wiele razy istotnie przemyśliwał nad tém, zwłaszcza kiedy był w wesołym humorze. Bo jakby

na sprawdzenie wczorajszéj myśli mojéj, Twardowski nasz, według jego planu, musiałby być przez pół jowialnym—jeżeli nie on sam, to przynajmniéj poemat o nim. Jowialność ta zaś mianowicie mogłaby być w ustawicznych kłopotach djabła o duszę swojego pupila, która mu się co chwila chce wymknąć; to jest, że ulegając wszelkim pokusom, które mu djabeł podsuwa, i brojąc złe na wszystkie strony, działa on zawsze tylko z fantazyi, z junakieryi i lekkomyślności, ale pomimo wszelkich usiłowań djabła, nigdy się nie da doprowadzić do tego, aby czynił złe ze złéj woli, z wiedzą i zamiłowaniem złego, choćby nawet dla dogodzenia sam sobie. Chce on tylko tego jednego: módz wszystko i robić wszystko, co mu się podoba, bez żadnéj innéj pracy, prócz zachcenia;—i dla tego jedynie zapisuje się djabłu. Tymczasem na każdym kroku spotyka się z kimś, albo z czémś takiém, co go ku dobremu pociąga; i djabeł musi wysilać się na sztuki, aby go wnet od tego odwrócić—co mu się téż bez trudności udaje. Największy jednak ma kłopot ze szczerą i niezachwianą w nim miłością matki, (choć ją sam wciąż bezwiednie dręczy i zabija), i w ogólności z Polkami. Bo co go pokusi przez którą, to zaraz w każdéj znajduje się jakiś pierwiastek, który go na dobrą drogę nawraca; tak, że djabeł musi nakoniec sprowadzić jakąś Paryżankę na dwór królewski w Krakowie, aby się już z téj strony całkiem zabezpieczyć. Ale i na innych punktach toż samo. Twardowski, póki broi, nie uważa na nic; ale jak tylko skutek swoich brojeń zobaczy, przeraża się i zaczyna żałować.

Bojaźń srogości ojca, który go czeka z kańczukiem, i surowość xiędza Regensa, który go straszy djabłami i za figle wypędza z konwiktu, nasuwa mu piérwszą myśl szukania pomocy u djabła. Przez junakieryą podpisuje cyrograf. Ale się zawsze w gruncie boi Pana Boga, jak ojca; a nie śmiąc Mu, jak ojcu, nawijać się na oczy i sam wprost udawać się do Niego, akkomoduje się skrycie w głębi serca Najświętszéj Pannie, jako matce, skarbiąc sobie jéj łaskę w potrzebie. A że jest przytém poetą—spotkawszy więc raz, jadąc na łowy, kwestarza, któremu jego charty, z poduszczenia djabła, wydusiły barany: obiecuje mu na przeproszenie napisać Godzinki, i ciągle do nich w myśli powraca, ilekroć lepsze uczucie w sercu jego zaświta. To więc jest drugie udręczenie szatana. Trzecie ma w życiu jego publiczném. Twardowski robi wszystko, co mu djabeł podszepnie, ale zawsze w tém przekonaniu, że co on chce, to będzie najlepiéj. Krzyczy, wichrzy, przeszkadza, i psuje to wszystko, co rozumni dobrego chcą zrobić; ale ledwo złe skutki spostrzeże, gotówby się upamiętać po szkodzie, gdyby go zaraz djabeł nie pokusił na nowo. Ale i djabłu nakoniec brak konceptów i cierpliwości; tém bardziéj, iż zaczyna postrzegać, że Twardowski, zamiast brnąć z wiekiem w egoizm i pychę, wytrzeźwia się owszem coraz widoczniéj z fantazyi i szału, i tylko względem niego staje się butniejszym. Nie czeka więc już na przyjście złéj woli, i postanawia porwać go podstępem, nim się całkiem z płochości wyleczy. Ale i tu przerachował się djabeł. Twardowski uznawszy podstęp,

używa praw słusznéj obrony. Porwał dziecko, i zasłania się niewinnością jego. A choć wreście, przez punkt honoru, dla dotrzymania *verbum nobile*, siada na koń, aby jechać z djabłami:—wprzód jednakże kończy Godzinki, które téż pod słowem szlacheckiém kwestarzowi napisać obiecał;—i skutkiem tego wszystkiego, nie idzie wprost na potępienie, ale jak chwiał się tylko między złem a dobrem, i ani do złéj woli, ani do skruchy nie doszedł; tak zawieszony w powietrzu, pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy niebem a piekłem, oczekuje na sąd ostateczny.

Oto jest główna osnowa, na tle któréj, jak Adam powiada, dałyby się łatwo pomieścić wszelkie najrozmaitsze obrazy z obyczajów i życia naszego. I opowiedział mi przytém parę scen sejmikowych, to jest parę figlów szatańskich, tak śmiesznych, że się do łez prawie uśmiałem. Ale on tego wszystkiego pisać wcale nie myśli; i śmiejąc się, przystał na porównanie siebie z Wallensteinem Szyllera, który dla tego tylko planuje to i owo, nie mając zamiaru wykonać, aby przez to moc swoję poczuwać, jak sam to wyznaje, mówiąc:

„Es macht mir Freude, meine Macht zu kennen.”
(Rozkosz mi sprawia, poczuwać moc moję).

Gdy go zaś zapytałem, czemu przynajmniéj nie dokończy *Tukaja?*—przyszła mu nagle fantazya, ażebym ja go dokończył, wywdzięczając się za dokończenie przezeń: *Panicza i Dziewczyny.* I tak nakoniec przylgnął do téj myśli, że i ja, po niejakim oporze skromności panieńskiéj, musiałem wziąć ją do serca, i z téj właśnie przyczyny zasnąć już nie mogłem.

Trzy próby: *ciekawości, łakomstwa i trwogi*, któremi Tukaj, w skutek poprzedniego swojego syllogizmu, przyjaciół swoich doświadcza, dał mi on już ułożone w treści; ale zwierszujże je i zharmonijuj z tonem części piérwszych; a gorzéj jeszcze, wymyślże ostatnią, o któréj Adam ani wiedzieć nie chce! Kłębi mi się to w głowie i dusi jak dym, a nié mam nawet czasu, aby się w nim rozpatrzyć; bo punkt o szóstéj, to jest za pół godziny, jechać mamy z Davidem i panem Wiktorem do Jeny, dla obejrzenia pola sławnéj bitwy. A i miasto téż warte widzenia, jako stolica głośnego na cały świat uniwersytetu. Rektorem jego jest historyk Luden, u którego także być mamy. Zabawimy więc pewno dzień cały; za powrotem zaś czeka nas wielki wieczór u państwa Peucer, na którym po raz ostatni obaczymy i pożegnamy—na zawsze, całe miłe towarzystwo Wejmarskie, które nas tak serdecznie przyjęło, i tak się samo nawzajem w sercach naszych odbiło. „*Tout passe, hélas!*" jak wzdycha lamentujący Lamartine.

Ale po co czczy lament?
Życie wiatrem przemija,
Lecz jak w morzu firmament,
Przeszłość w duszy odbija.
Dość więc niech się chwil w życiu
Co gwiazd jasnych rozpali:
Jak po gwiazdach w odbiciu
Płynąć będziem w świat daléj.

I puszczamy się ztąd w tę żeglugę pojutrze.—Ale jeszcze będę pisał do ciebie.—Tymczasem, *Leb'wohl!*

XIX.

Wejmar 1829, Sierpnia 31, rano.

Pamiętasz wykrzyknik Kapki w *Poecie i Odludkach* Fredry:

„O! wiersze, wiersze! jakżem przez was dziś zgubiony!"

Ale czyż się mogłem spodziewać, że i ja kiedyś równie będę wiersze wyklinał, i to z tego samego powodu co Kapka, to jest, że jak on, z łaski wierszy, i ja téż wczoraj nabrałem się wstydu.

W chwili, gdyśmy już mieli siadać do powozu, przyszła mi raptem piérwsza nuta i piérwszy wiersz Tukaja; poczułem przebieg iskry elektrycznéj, i nastawiłem ucha na dalsze. Aż tu jak na złość, pan Wiktor rozpoczyna ze mną gawędę. Odpowiadam cedząc przez zęby; a czuję, że złość mnie bierze, i że odpowiadam bez sensu. Kiedy zaś to widoczne roztargnienie moje dało powód do różnych prześladowań i żartów Davida, którym Adam po swojemu wtórował, zacząłem się wstydzić na dobre. Bo jużciż nie mogłem powiedzieć, co się w głowie mojéj przewraca, żeby się więcéj jeszcze nie narazić na śmieszność, a wiersze, jak na przekorę, wyrastały wciąż w myśli, jak grzyby. Szczęściem wpadłem na koncept, żeby się wywinąć, i udawszy, że mi niedobrze, i że nie mogę siedzieć plecami do koni, przesiadłem się na kozieł z furmanem. Ale było to z deszczu pod

rynnę. Furman widząc że milczę, a ruszam ustami, wziął mię widocznie za warjata, i z podziwieniem wpatrywał się we mnie. Znów więc wstyd, i znowu kłamstwo. Powiedziałem, że mówię pacierze. Uspokoiło to Niemca, który owszem spójrzał na mnie łaskawie; lecz za to we mnie samym obudziło zgryzotę, że chociaż to była niedziela, ja o pacierzu istotnie całkiem byłem zapomniał. Chciałem się więc jako tako poprawić;—ale i tu ta sama pokusa. Wiersze jak płot wpoprzek pacierza! Prawdziwa sztuka szatańska! tém bardziéj, że i rzecz o szatanie. Żegnam się nieznacznie pod płaszczem—ale i to nic nie pomaga. Ja swoje, czart swoje; i nakoniec przy nim wygrana. Bo widząc, że pegaz wziął na kieł, musiałem przyśpieszyć do *amen*, i popuściłem mu cugle. Kopnął, jak to mówią, z kopyta, i gdyśmy wjeżdżali do Jeny, on także stanął u mety. Koniec trzeciéj części Tukaja—ale nie moich kłopotów z wierszami! Jak tu ich tyle spamiętać?—a zapomnieć już byłoby szkoda. Żebyż choć raz przedeklamować głośno— choć w pół głośno! Ale cóżby to było, gdyby kto posłyszał?—Ledwośmy więc wysiedli w oberży, wymknąłem się sam na ulicę. Miasto obce, ulica pusta — zdaje się więc, że być mogę swobodnym. Gdzie tam! Nie uszedłem stu kroków, aż tu trzech akademików przedemną. Zatrzymali się i spoglądają—rychtyk tak jak furman na koźle. Zrozumiałem, niestety, o co idzie, i radbym się schował pod ziemię. Ale—*bonne mine à mauvais jeu!* i żeby przecież nie ujść za manijaka—przystępuję wprost ku nim; i—„ *Verzeihen Sie*,

meine Herren!" zaczynam od oświadczenia, że jestem cudzoziemiec, i proszę o wskazanie, gdzie jest główny punkt miasta. Odpowiadają grzecznie, i widzę, że jakieś tęgie chłopaki. Najstarszy zwłaszcza, w moim prawie wieku, bardzo mi się z miny podobał. Zawiązała się zatém rozmowa. Mówię, że przyjeżdżamy z Wejmaru, i brząkam nazwiskiem Davida, „*des berühmten französischen Bildhauer's*" (sławnego francuzkiego rzeźbiarza). Najstarszy wiedział już o nim, i po co do Wejmaru przyjechał. Ale musiał coś także słyszeć o Adamie, bo sam z wielką skwapliwością zapytał: „*Sind Sie nicht der polnische Dichter?*"—„Ja nie, ale mój towarzysz"—odpowiedziałem, dodając, ma się rozumieć, co mi się właściwém być zdało. Koniec końców, pan Baltzar—bo tak się nazywał najstarszy—ofiarował się nam za przewodnika po mieście. Pożegnawszy więc czule jego towarzyszy, wróciłem z nim do oberży, gdzie go zapoznałem z moimi. Adam ze śmiechem ściskał ramionami, winszując mi połowu nowego przyjaciela; ale i sam wnet go podobał; bo istotnie miły człowieczek. Kończy kurs filologii, i podejrzywam mocno, że musi być poetą, chociaż sam się do tego nie przyznał. Po francuzku mówi z trudnością, ale widać, że dobrze zna język.—Opowiadał nam dużo o uniwersytecie, który liczy w tym roku 619 uczniów. Następnie oprowadził po mieście i po ogrodzie, który wcale nieosobliwy, i zaprowadził w końcu do kościoła, który piękny i wspaniały z wierzchu, w stylu gotyckim, wewnątrz, jak wszystkie protestanckie, wy-

gląda jak koncertowa sala, zastawiona rzędami krzeseł. Słowem, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te nieszczęsne wiersze, które musiałem wciąż zgarniać w pamięci, jak makaron do łyżki, aby się nie rozpełzły jak robaki. Dopiéro gdyśmy na śniadanie wrócili, znalazłem przecież sposobność, że je przez piąte dziesiąte, przy biórku gospodarza, spisałem; świerzbiał mi tylko język, żeby je Adamowi powiedzieć. I aby tu już o nich zakończyć, muszę ci się przecież pochwalić, że mu się tak podobały, że aż mi wstyd powtórzyć, co mówił; to jest, że koniec lepszy, niż on o nim myślał. Rzecz zatém naturalna, że chcę przesłać go tobie, nim całość w przyszłorocznéj Meliteli przeczytasz.—Tukaj doświadczywszy przyjaciół, znalazł przecież jednego, który zasługiwał na ufność. A więc:

Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył.
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi;
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu, lub pod pełnię;
Po ile brać szczypt i łótów.
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyi gotów.
Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,
Księżyc wznosił się od wschodu.
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły na około,

Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło.
Tukaj stanął po nad strugą,
Patrzał, myślał—długo, długo.
Wtém łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce wzniósł do góry:
„Niébo! słońce! bądźcie zdrowe!"
Wtém przyjaciel ściął mu głowę.

A więc *requiescat in pace*—nim się kiedyś w czwartéj części obudzi, lub go djabeł weźmie do piekła.—Tymczasem, jeśli ochota, to *marsz* z nami na pole bitwy!—chociaż trudno coś o tém ciekawego powiedzieć.

Czytałem gdzieś w objawieniu jednéj jasnowidzącéj, że miejsca, w których kiedyś krew ludzką przelano, wywierają tajemniczy wpływ na przechodnia, choćby on nic o tém nie wiedział. Cóż więc mówić o polu bitwy, gdzie krew tylu tysiąców płynęła; a zwłaszcza myśląc jeszcze i o tém, na co to się wszystko przydało, i jaki tego wszystkiego był koniec i skutek? To téż na polu bitwy, wszystkie poprzednie o niéj dysputy, a nawet rozmowy umilkły. David miał z sobą plan bitwy, ale nikt na niego nie patrzał. Szło tylko głównie o miejsce, na którém stał Napoleon. I co do mnie, postać ta w szaréj kapocie, nieruchoma na białym koniu, z lunetą przyłożoną do oka; niezachwiana i niewzruszona jak przeznaczenie, które tu przezeń losem narodów rządziło; postać ta, w myślach moich, tak dalece górowała nad wszystkiém, że zapomniałem dla niéj i o krwi ludzkiéj rozlewie,

i o zbytniém zaufaniu we własnéj swéj sile i gwiazdzie— co go nie prowadziła śladem Wschodnich Mędrców, aż dopiero Ś. Helena dopomogła mu znaleźć i uczcić Krzyż Pański;—zapomniałem o wszystkiém, o czém wprzód kiedykolwiek myślałem, i po raz piérwszy może pojąłem sam przez siebie, jak ci, co go tu kiedyś żywego widzieli, mogli dla niego zapominać o sobie i ochoczo biedz na śmierć za niego.

Poświęcenie nie tak jest trudne, kiedy się kocha i widzi przed sobą, dla kogo się warto poświęcić. Ja wcale nie lubię Marsa; ale gdyby Adam był wodzem, to kto wié, czybym nie wolał z biedy naśladować raczéj Turenniusza, który drżał, a jednak szedł w ogień, niżeli Horacego, który, jak sam wyznaje, uciekł z pola bitwy. Ale bodajby nie być ani jednym, ani drugim, a *wojskować* chyba z Kochanowskim, który, jak wiész, musiał z urzędu strzedz i pocieszać w domu żony wojujących!

Adam zaśmiał się szczerze, gdy mu to powiedziałem, i schodząc już z pola bitwy, pożegnałem je patetycznie cytatą słów pana Wojskiego:

„Bóg was żegnaj krwawe boje!
„Nie lubią was stróny moje."

Przez czas zwiedzania pola bitwy, Adam był milczący i zamyślony, i dopiéro wracając do miasta rozgadał się z Davidem. Tym razem zgodnie obadwaj łączyli się w uwielbianiu *Staréj gwardyi*, o któréj czynach wspominali; pan Wiktor zaś wiódł gorącą dysputę z Baltzarem, a mając nad nim przewagę

języka, w kozi go róg, jak mówią, zapędził;—chociaż Baltzar, i jako obywatel, i jako Niemiec, zupełną miał słuszność za sobą.—Jak to więc sama pamięć wielkich czynów żywo serca i myśli porusza! I czyż nie to jest właśnie nieśmiertelność na ziemi?

Po obiedzie w oberży, na którym i pan Baltzar był gościem naszym, poszliśmy wszyscy z wizytą do Ludena. Przyjął nas jak można najuprzejmiéj, tém bardziéj, że go już piérwéj pan Baltzar o naszém przybyciu uprzedził, a zaś od kanclerza Müllera, jak mówił, wiedział był o bytności Davida i Adama w Wejmarze. Musi mieć lat około pięćdziesięciu; wzrost średni, tusza dobra, oczy czarne, fizyognomia poczciwa i szczera; jakby wyszedł z Flamandzkiego obrazu. Adam znał jego „Historyę wieków średnich," co go ucieszyło widocznie. Pytał o Göthem, i mówił dużo o świetnych dawnych czasach Wejmarskich, gdy Göthe, młodzian, elegant, dworak i nieodstępny towarzysz i przyjaciel młodego W. Xięcia (Karola Augusta), dwór i miasto dowcipem i wesołością ożywiał; na balach i balikach do upadłego tańcował; w biały dzień, razem z Xięciem, klaskał z bicza na rynku; o północy, przy świetle pochodni, ślizgał się z damami na łyżwach; sypiał w lesie, kąpał się w Grudniu, polował na niedźwiedzie, i frejlinom głowy zawracał; nie opuszczając przytém pracy naukowéj i poważnych urzędowych zatrudnień, a wiersze, właśnie wtedy, sypiąc jak z rękawa. A wiész-że jaka była jego toaleta? Oto kubek w kubek ta sama, w którą ubrał swego Wertera. Frak błękitny z długiemi połami, żółte zamszo-

we spodnie, i bóty ze sztryflami; do tego pudrowana peruka z harcapem.

Słuchając o tém wszystkiém opowiadania Ludena, który sam także z opowiadań Wielanda to wiedział, a mając przed oczyma dzisiejszego Göthego, przychodziło mi na myśl to miejsce z „Pieśni Ostatniego Minstrela," w którém stuletni mnich, patrząc na młodegó rycerza:

Wspomniał sam siebie, jak w zbroi promiennéj,
  Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennéj,
  Lub koniem ścigał sokoły.
Wspomniał—i kijem podpierając kroki,
  Schylony, drżący, pokorny,
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
  Otaczał ogród klasztorny.

Göthe wprawdzie ani schylony, ani drżący, ani pokorny. Ale mój Boże! co to będzie kiedyś na świecie, kiedy już dzisiaj, gdzie się tylko obrócisz, słyszysz wszędzie z ust starszych jedno i to samo: że dawniéj wszędzie było weseléj i lepiéj! A jakże to pogodzić z postępem, z którego się każdy wiek chwali? Czyż to i nam tak kiedyś będzie się wydawało na starość?— Zakommunikowałem pocichu myśli te Baltzarowi, i dodałem cytatę burszowskiéj piosnki, która się może urodziła w Jenie:

Gaudeamus juvenes,
Juvenesdum sumus!
(Weselmy się koledzy,
Dopókiśmy młodzi).

Zrozumiał, co chciałem powiedzieć, i z uśmiechem dokończył strofki. Ale że każdy *gaudet* po swojemu: dla mnie i to poznanie Ludena—jako sławnego, i jak widać zacnego człowieka—było jedném z owych *gaudyów*, na których użycie życia i młodości zakładam.

Myśl ta o czci i o wrażeniu starych zasług i sławy, jakkolwiek bardzo naturalna i prosta, stała się jednak ziarnem arcy-żarliwéj dysputy, którą z panem Wiktorem, wracając do Wejmaru, stoczyłem. Już to pan Wiktor ma zawsze tę własność, że we mnie duch przekory obudza, i to przez nic innego, jak przez swoję wykrzyknikową, deklamacyjną przesadę. Często więc wyprawiamy te harce, ku wielkiéj rozrywce Dawida, a czasem nawet i Adama, który je przyrównywa do walki kogutów. Tym razem jednak nie z saméj tylko przekory, ale z poczucia i przekonania, stawiłem opór teoryom jego, co do praw i przeznaczeń młodości, i to tak w sztuce jak w życiu. Nie on sam pewnie teorye te stworzył; ale jeżeli wynikła z nich szkoła—któréj koryfeuszem ma być jego przyjaciel i ideał, Wiktor Hugo; jeśli ona odniesie zwycięztwo, to i literatura, i społeczeństwo francuzkie, nie wiém, czy wielką będą miały ztąd pociechę. Jest to istny hufiec Farysów, który wszystko chce spędzić z drogi, a sam pędzi nie wiedząc dokąd. Mnie się zdaje, że rozwalając dom stary, trzeba zaraz budować nowy, żeby nie zmarznąć na dworze; a gdy na to gruzów nie dosyć, trzeba naprzód nowych cegieł nalepić. Oni chcą to zostawić przyszłym pracownikom, niższym od nich odwagą i siłą; ale jeśliż ci, zamiast pracować,

zechcą raczéj naśladować ich przykład, to jest bujać i burzyć, jak oni; a zamiast uwierzyć w ich wyższość, sami się owszem mędrszymi i silniejszymi poczują; to i cóż w końcu na ich drodze zostanie?—Adam, który razem z Davidem był wczoraj po mojéj stronie, każde nowe pokolenie ludzkości przyrównywał do nowéj dywizyi wojska, wchodzącéj na linię bojową. Żeby zamiast pomocy, nie sprawić nieładu, musi ona słuchać rozkazów wodza, który bitwą od początku kieruje, i do jego się planów stosować. Plan odwieczny, który ludzkość prowadzi, leży w sprawiedliwości i w prawdzie, które ludzkość instynktowo poczuwa. Przekroczenie ich, albo opieranie się im, zarówno jest maroderstwem, w którém każdy na swą rękę rabuje. Pan Wiktor nie przeczy zasadom, lecz je tylko inaczéj po swojemu stosuje.—Turkot kół po bruku Wejmarskim, nie skończył, ale zagłuszył dysputę, w któréj każdy przy swojém pozostał.

Przebrawszy się co żywo „pod Słoniem," poszliśmy wszyscy razem na wieczór do państwa Peucer. Dla mnie był on zarazem i wesoły, i smutny. Wesoły, póki się nie pomyślało o wyjeździe. Ale jest to osobliwsze uczucie, widzieć około siebie kilkadziesiąt osób, znajomych, miłych, życzliwych, i myśleć, że za godzinę rozstaniesz się z niemi, i już ich nigdy pewno w życiu nie zobaczysz.—To téż pożegnaliśmy się ze wszystkimi jak na śmierć. Na dziś zostaje nam tylko pożegnalny obiad u państwa Vogel, i pożegnalny wieczór u Göthych. A teraz muszę jeszcze pisać do Ignacego, od którego list przecież otrzymałem wczoraj.

Adam dziwi się i żartuje z téj mojéj listomanii, ale ja mu powiadam, że jestem jak ów Nabob Indyjski, który nabywając tam złoto, a bojąc się go roztrwonić, wkłada je w bilety bankowe i posyła do kraju, w depozyt na ręce przyjaciół, aby go potém kiedyś razem z nimi używać.

Kwestya zatém idzie tylko o to,
Czy co posyłam, jest istotnie złoto?
Lub choćby w treści i był kruszec szczery,
Czy go do zera nie zniżą papiery?
Masz zatém prawo sądu i uczynku:
Chowaj je w tece, lub pal na kominku.
Zawsze je przecież piszę z tą nadzieją,
Że cię oświecą razem i ogrzeją.

Bądź zdrów!

XX.

Do Ignacego Chodźki.

Wejmar, 31 Sierpnia 1829 r. rano.

List twój, który miałem już zastać w Wejmarze za przyjazdem, otrzymuję dopiéro na wyjezdném z Wejmaru. A więc *tarde venientibus ossa!* Piérwsze kwiaty odebranych tu wrażeń, zerwałem już dla Juljana, a badylami przecież częstować cię nie chcę. Ale że pisząc do niego, kreśliłem same figury, tła więc i krajobrazu brak jeszcze. Sprobuję, jeżeli się uda, choćby je tylko naszkicować dla ciebie. Zlepcie to razem, a złoży się całość.

Wejmar, w stosunku odwrótnym, jest tém w Niemczech, czém u nas Smorgonie;—(ciesz się więc, że sąsiadujesz z niemi)! Jak bowiem w całym świecie znaczenie *soli Attyckiéj*, tak u nas wié i rozumie każdy, co znaczy *szkoła*, *nauka*, albo *polityka Smorgońska*; tak w Niemczech wié i rozumie każdy, co znaczy przymiotnik *Wejmarski*, dodany do rzeczowników: *poezya, teatr, towarzystwo* lub *szkoła*. Wejmar bowiem tak *był* stolicą i szkołą wielkich poetów i wielkiéj poezyi w Niemczech, jak Smorgonie stolicą i akademią niedźwiedzi u nas. Mówię *in praeterito*, (w czasie przeszłym); bo jak ostatnią chwałą Smorgoń był ów siwy, potężny *Samson*, który kiedyś, skazany już na śmierć, nie wiedząc o tém nieborak, tańczył

jeszcze przed nami ostatniego swego menueta; tak ostatnią dziś chwałą Wejmaru jest Göthe, który przed trzema dniami obchodził osiemdziesiątą rocznicę swoich urodzin. Ale tyle już o nim pisałem do Juljana, że nie mam do powiedzenia nic więcéj, coby powtórzeniem nie było. Nie miéj tylko za ubliżenie tego porównania z *Samsonem*. On sam w jednym ze swoich wierszy, (*Menażerya Lili*), także się kiedyś do niedźwiedzia przyrównał; a pod względem gieniuszu i wpływu, a nawet saméj postawy, do nikogo nazwa *Samsona* właściwiéj zastosować się nie da.

Ale bez. konceptów i żartów!—Wejmar wart jest istotnie nazwy *Aten Niemieckich*, którą mu pospolicie nadają; i to nie dla świetności albo ruchu miasta, (bo to jest skromna i cicha mieścina), ale wprost dla umysłowego—a raczéj dla estetyczno-poetyckiego wykształcenia mieszkańców, a mianowicie płci pięknéj. I jest to rzecz bardzo naturalna. Od pół wieku słynie on już wyłącznie jako ognisko poezyi i siedlisko jéj arcymistrzów, i tym tytułem jedynie ściągał i ściąga dotąd mnóstwo pielgrzymów i gości, krajowych i zagranicznych. Do płci pięknéj należy z prawa robić wszędzie honory domu. Jakże więc byłoby dziwnie, gdyby uprzejme gospodynie Wejmarskie nie znały same i nie umiały oceniać tego, czemu dalecy hołd złożyć przychodzą. To téż znajomość arcydzieł swoich mistrzów stanowi piérwszy rozdział edukacyi panien Wejmarskich, a wpływ jéj, od piérwszéj młodości, na wrodzoną ich sentymentalność i tkliwość, pędzi je i rozwija w kwiat poetycznego uczucia.

W téj chwili najpiękniejszym tego rodzaju kwiatem, i zarazem jakby widomym symbolem jego duchowéj piękności, jest znajoma ci już zapewne z poprzednich listów moich do Juljana, pani Róża-Teressa Vogel. Urodziła się ona za późno; bo gdyby kwitła jak dzisiaj za czasów młodości *Minnesingerów* tutejszych, pewnoby ten lub ów, (jeśli nie wszyscy razem), podniósł ją był na piedestał Laury czy Beatryczy, i opromienił aureolą chwały, którą piękności poezya tylko nadaje. Ona sama instynktowo to czuje; i choć dziś jeszcze stary olbrzym Göthe szczególnym ją affektem odznacza: xiężycowe to światło nie wystarcza do życia kwiatu, i budzi może tylko tęsknotę do wrażeń, do których wyobraźnia nawykła. A że podobne usposobienie zdaje się tu być dosyć powszechne, to kto wié, czy téż i ono nie było jedną z przyczyn, dla czego i dawniejsi poeci zbierali się tu jak skowronki na wiosnę. Dość, że jak w oranżeryi wonią kwiatów, tak się tu jakoś wszędzie poezyą oddycha. A czujesz ją nie tylko w rozmowach, ale nawet w ustroju mieszkań, w udrapowaniu firanek, w zieleni bluszczów wijących się po nich, w mnóstwie kwiatów po rogach i w oknach, a w klatkach ptasząt pomiędzy kwiatami. Przepychu elegancyi nigdzie, ale wdzięk elegancyi wszędzie. A to samo stosuje się i do stroju—i to nie tylko dam wyższego świata, lecz w ogólności kobiét tutejszych, które na *Vogelwiese* widywałem, a nawet okolicznych wieśniaczek, które dwa razy w tydzień, we Środę i w Sobotę, przybywają na targ do miasta, i zapełniają czworogranny rynek, wprost przed okna-

mi naszemi, uszykowane w rzędy, każda przy swoim koszu, w różnobarwnych, a najczęściéj czerwonych, krótkich a szerokich płaszczach; w jakichś turbanach na głowach, błyszczących galonami u wierzchu, a z tyłu zwisających wstążkami;—co wszystko razem bardzo malowniczo wygląda. A pamiętajże przytém, że i Wejmar liczy się także do *Saxen*, gdzie, jak mówi przysłowie: „*Schöne Mädchen wachsen.*"

Ale wracając do estetycznego nastroju, jako głównéj cechy Wejmaru:—przyczynia się do niego w znacznéj części i teatr, który nigdzie może na kuli ziemskiéj nie spełnia tak sumiennie wysokiego swojego, artystyczno-poetyckiego zadania. Przez lat wiele kierownikami jego byli Szyller i Göthe; ten ostatni z nieograniczoną dyktatorską władzą, nadaną mu przez W. Xięcia, i którą on téż z dyktatorską powagą i surowością wykonywał—i to nie tylko względem aktorów, ale nawet i względem publiczności. Opowiadają tu o nim mnóstwo z tego względu anegdot. I tak np. razu jednego, studenci z Jeny, nieradzi z jakiéjś sztuki, którą Göthe grać kazał, sprzysięgli się na jéj upadek. Przyszli więc tłumnie z Jeny i zapełnili parter. Zaledwo się zasłona podniosła, umówiony zapewne szmer niezadowolenia powitał piérwsze słowa aktora; ale gdy szmer ten wkrótce zamienił się w sykania i świsty, Göthe siedzący zwykle przed orkiestrą, zkąd jak Jowisz z wierzchołka Idy, śledził bacznie wszystkie ruchy aktorów i grą ich spojrzeniem kierował: porwał się nagle z miejsca i głosem Stentora zawołał: „Cicho! bo każę wyprowadzić za

drzwi!" Oddział wojska, uszykowany zwykle przed teatrem, gotów był do spełnienia téj groźby. Studenci zatém, nie czekając jéj skutku, sami hurmem opuścili teatr; poczém sztukę kończono spokojnie, jakby nic szczególnego nie zaszło.

Głównym celem obu przyjaciół, t. j. Göthego i Szyllera, było, aby teatr z miejsca chwilowéj tylko zabawy, albo z pola zarobku dla kassy, przemienić jakby w świątynię poezyi i sztuki, samą sztukę zaś uczynić nie sługą, ale mistrzynią gustu publiczności. Z téj przyczyny teatr Wejmarski był w zupełnéj sprzeczności z innemi teatrami Niemiec, i chociaż stał niżéj od innych pod względem materyalnych zasobów i korzyści: ale za to przedstawienie na teatrze Wejmarskim, uważane było przez autorów za cel ambicyi i chwały, a sąd publiczności Wejmarskiéj był albo hasłem powodzenia, lub wyrokiem upadku sztuki. Lubo zaś od lat wielu, zaraz po śmierci Szyllera, Göthe zrzekł się dyrekcyi teatru i nigdy w nim odtąd nie bywa: nadany przez niego kierunek tradycyjnie mniéj więcéj utrzymuje się dotąd, i wpływa niezawodnie, jak już rzekłem wyżéj, na gust i estetyczny nastrój ducha publiczności Wejmarskiéj.

Drugim niemniéj zapewne pomocniczym ku temu środkiem, są częstsze tu niż gdzieindziéj, ale i w całych Niemczech praktykujące się—odczyty poezyi. Słynni z deklamacyi literaci lub aktorowie, jak exekutorowie muzyczni, przejeżdżają z miasta do miasta, i za pewną opłatą, zamiast koncertów, dają podobne poetyckie wieczory, na które wykształceńsza pu-

bliczność wszędzie się gromadzi ochoczo. Jest to może najlepszy, jeżeli nie jedyny dziś sposób, przywrócenia poezyi dawnego jéj znaczenia i wpływu, jaki niegdyś—przy dźwięku arf Bardów, Trubadurów, Minstreli—wywierała na ucztujących lub zbrojnych słuchaczy; nie mówiąc już o starożytnych igrzyskach greckich, na których sami poeci utwory swoje ludowi czytali. Jeśli zaś wielkie kompozycye muzyczne, biegłym tylko exekutorom winne są swój światowy rozgłos i wrażenie: to czemużby i wielkim utworom poezyi, powieściowéj zwłaszcza albo lirycznéj, jako niemającym dla siebie innéj sceny popisu, biegli deklamatorowie nie mogli oddać téj saméj posługi? Odczyty tego rodzaju, gdyby weszły i u nas we zwyczaj, przyniosłyby niewątpliwie niemniejszą przyjemność i korzyść, jak mnożące się nieraz aż do zbytku koncerta, które przecież stanowią wszędzie część główną programatu zabaw światowych. Rzecz to nawet godna zastanowienia, dla czego ze wszystkich sztuk pięknych, jedna tylko muzyka ma ten osobliwszy przywilej, że i posiadający jéj talent mogą sami, bez narażenia się na śmieszność, popisywać się nim w towarzystwach, i że jéj tylko utwory są przedmiotem zabawy publicznéj? Czyżby zmysł słuchu u ludzi miał mieć jakie piérwszeństwo przed innemi zmysłami; kiedy same uszy np. są może najpośledniejszym ze wszystkich naszych organów zmysłowych, a długość ich, jak widzimy u zwierząt, nie jest wcale znamieniem ani wielkiego serca, ani bystrego pojęcia?

Jednym z najsławniejszych dziś w Niemczech takich deklamatorów poezyi, jest Holtei, poeta i artysta dramatyczny, któregośmy tu właśnie poznali, i o którym już nieraz do Juljana pisałem. Przeszłéj czy téż zaprzeszłéj zimy, miał on tutaj w Wejmarze długi szereg podobnych odczytów—a ślad ich, między innemi, pozostał i we zwyczaju głośnego czytania, w poufnych kółkach towarzyskich, nowych utworów poezyi i literatury bieżącéj. A jest to także jeden z tych obyczajów familijno-towarzyskiego życia w Niemczech, które gdyby się dały przenieść i przyswoić u nas, byłyby zbawienniejsze i pożyteczniejsze sto razy od owych branych tylko i naśladowanych z Paryża, a o których możnaby w ogólności powiedzieć parafrazą słów Krasickiego, że:

Z domu ojców obrazy wyrzucając stare,
Malują w nim *al fresco* Wenery ofiarę.

Gospodarsko-domowe także życie w Niemczech, któremu miałem sposobność przypatrzyć się tu zblizka, byłoby niemniéj pożądanym wzorem do naśladowania, i dałoby się pogodzić wybornie z uczuciem gościnności prawdziwéj. Ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć skargi naszych miejskich gospodyń: że albo muszą, z ujmą potrzeb istotnych, ponosić niepotrzebne i zbytkowe wydatki, aby koniecznie dorównać możniejszym; albo téż zerwać z niemi, choćby najmilsze zkądinąd stosunki, dla tego tylko, że im w przyjęciu u siebie nawzajem sprostać nie mogą. A znowu *vice versa*:—ileż to razy, mianowicie w Warszawie, przy-

szło doznać prawdziwéj męki Ugolina, po wyjściu zwłaszcza z pseudo-pańskich wieczorów, na których filiżaneczka cienkiéj herbatki, (prawda że w chińskiéj porcelanie i na srebrnéj tacy podana), stanowiła cały traktament gości, często zaproszonych wyraźnie, ale którym się przez to czuć daje, że zaszczyt, który ich spotkał, powinien im starczyć za wszystko.—Tu nie ma ani tych zbytków, ani téj upokarzającéj niedbałości o gościa. Kawa, albo herbata z ciastem, buttersznity z kieliszkiem wina, i, jak w téj porze, owoce—oto zwykłe wszędzie przyjęcie; z wyjątkiem, ma się rozumieć, większych, proszonych wieczorów, na których figurują już inne, słodsze i wykwintniejsze łakocie.—Ale co jest warte wspomnienia, to, że na wszystkich takich balach, na których byliśmy tutaj, marszałkiem i mistrzem ceremonii był zawsze i wszędzie starszy kellner z oberży „pod Słoniem," w któréj my właśnie mieszkamy; a że to jest mój wielki przyjaciel, więc miałem w nim wszędzie bardzo troskliwego opiekuna, który mnie, częściéj niż komu, albo jaki przysmak przynosił, albo téż kieliszek nalewał; zawsze przytém zawiązując rozmowę, i kommunikując mi różne swoje uwagi— bo jest sprytny i chce być dowcipnym.—W ogólności stosunek tu panów ze sługami, i różnych między sobą warstw społeczeństwa, zdaje mi się być i swobodnym, i życzliwym z obu stron. Przypatrzyłem się zaś temu najwięcéj na *Vogelwiese*, gdzie, podobnie jak w Dreznie, codzień prawie regularnie bywałem; z tą tylko różnicą, że tam błąkałem się jeden śród tłumu, jak nieznany nikomu przybylec,

tu zaś byłem zazwyczaj jako gość rodziny państwa Vogel, którzy mię zapoznawali z drugiemi. Większa część znajomości zawiązała się w ten sposób, i dla tego mam ich tu więcéj niż Adam. A że przytém wziąłem sobie za prawidło, dla dania dobrego wyobrażenia o grzeczności polskiéj, składać zaraz nazajutrz wizyty damom, którym przedstawiony zostałem: ztąd poszło, że za powtórném z niemi spotkaniem się na *Vogelwiese*, byłem już i przez nie uważany za gościa, i nieraz częstowany kawą lub *kuchenami* (ciastkami), to jest, czém się same raczyły. Ton zaś ich wzajemnych powitań i rozmów przy spotkaniu, przypominał mi nieraz nasze kochane parafialne sąsiedztwa, spotykające się na kiermaszu lub na odpuście u X. Proboszcza. A i tò także w oczach moich dodawało poetyczności towarzyskiemu życiu i pobytowi w Wejmarze—o ile poetyczność, ma się rozumieć, zależy na prostocie i prawdzie uczucia.

Ale nie sam tylko dramat życia nosi tu poetyczną cechę; epilog jego, to jest cmentarz, wybitniéj się nią może, niż co bądź odznacza. Ludzie wprawdzie, od czasów Lutra, nie modlą się tu o spoczynek dusz zmarłych w światłości wiekuistéj, ale jakby wierzyli w ich błąkanie się po ziemi, po nad grobami ich za to chcą zda się urządzić dla nich pola Elizejskie. Ta cześć i upiększanie mogił, nawet po wiejskich cmentarzach, które widywałem po drodze, zawsze były dla mnie świadectwem piękném i rzewném strony sentymentalności niemieckiéj. Ale Wejmar i poetycznością nawet swojego cmentarza góruje nad całe-

mi Niemcami. I nie mówię tu tylko o nieskończonéj mnogości i przepychu kwiatów, które tém bardziéj czynią go podobnym do jakiegoś rozkosznego ogrodu, że nié ma tutaj zgoła wysoko sterczących pomników, ale tylko albo płaskie kamienie, albo téż nizkie krzyżyki, całkiem girlandami pokryte; ale stosuję to zwłaszcza do myśli, która przewodniczyła założeniu tego cmentarza i wyraźnie zeń dotąd przemawia. Prawda, że i myśl ta, jak powiadają, wykwitła naprzód z grobu poety, to jest z grobu Wielanda, który ostatnie lata życia przepędził w pięknéj willi, w Osmanstädt, o milę od Wejmaru, i kazał się pogrześć tamże w ogrodzie, który sam założył i uprawiał, obok żony swéj z jednéj, a przyjaciółki, Zofii Brentano, z drugiéj strony. Notabene, przyjaciółka ta, znana chlubnie w literaturze niemieckiéj, była wnuczką piérwszéj jego kochanki, La Roche, o któréj tkliwą pamięć przez całe życie zachował. Po nad temi trzema grobami wznosi się trójgraniasta, marmurowa kolumna, a na niéj napis:

„*Lieb' und Freundschaft umschlang die verwandten Seelen im Leben,*
Und ihr Sterbliches deckt dieser gemeinsame Stein.
(Miłość i przyjaźń łączyła pokrewne dusze za życia,
I śmiertelne ich zwłoki pokrywa wspólny ten kamień).

Otoż grób ten, jak nam mówiono, natchnął piérwszą myśl W. Xięciu Karolowi-Augustowi, wychowańcowi tegoż Wielanda, a późniejszemu mecenasowi Niemiec, założenia w Wejmarze nowego cmentarza, gdzie naprzód śród równiny, na wzgórzu, kazał wy-

murować dla siebie i dla całéj swojéj rodziny grób familijny, z piękną rotundą na wierzchu, i przenieść doń zwłoki wszystkich swych poprzedników, dotąd w sklepach kościelnych złożone.—Nieprawdaż, że sama już ta myśl, aby grób panujących był w pośrodku grobów poddanych, ma wielkie—tak chrześcijańskie, jak i poetyczne znaczenie? Ale nie koniec na tém. W sklepie grobowym pod rotundą, wszystkie trumny xiążęce ustawione są około ściany; na środku zaś wznosi się jakby murowany katafalk, z miejscami na trzy tylko trumny. Na najwyższém, w pośrodku, stoi już od roku przeszłego trumna założyciela, Karola-Augusta, purpurowym axamitem obita. Stopniem niżéj, po lewéj stronie obok, czarna trumna Szyllera. Próżne miejsce po stronie prawéj, czeka na trumnę Göthego. Nie potrafię ci opisać wrażenia, jakie sprawiły na mnie widok i dotknięcie się trumny Szyllera. Adam ukląkł téż obok za moim przykładem, a młoda i dość przystojna żona dozorcy cmentarza, która nas za osobném pozwoleniem W. Marszałka dworu, wprowadziła do tego podziemia, dzieliła widać szczerze rozrzewnienie nasze. Ciekawy byłbym bardzo, czy Göthe schodził tam kiedy; ale nikt nas w tym względzie objaśnić nie umiał, a pytać o to u syna, albo u synowéj nie śmiałem. Ale ten Monarcha-Protektor, w środku dwóch największych poetów swego narodu, przyjaciół pomiędzy sobą, którzy w części tak może jego opiece, jak on ich gieniuszowi, nieśmiertelną swą chwałę nawzajem są winni:—czyż to nie jest najwymówniejszy i najpoetyczniejszy zarazem grób na kuli

ziemskiéj — z wyjątkiem chyba grobu na wyspie Ś. Heleny?

Z obu zaś, na świat cały,
Jeden głos się przebija:
„Tak się idzie do chwały,"
I „tak chwała przemija."

To jest, *sic itur ad astra*, i *sic transit gloria mundi*. Vale.

XXI.

Do Juljana Korsaka.

Wejmar, 31 Sierpnia 1829 r. o północy.

Czytałem gdzieś— może w bajce— ale dość że czytałem, że dusza nie zaraz po skonaniu wylatuje z ciała, ale choć już zerwała łączące z niém węzły, siedzi w niém jeszcze czas jakiś, czekając nie pamiętam już na co; może jak ptak nawykły do klatki, który, choć mu ją otworzono, nie śmie od razu posunąć się do drzwiczek—a kto wié, może i klatki żałuje. Ile w tém prawdy, dowiemy się kiedyś; tu jest to tylko wierne porównanie z naszém w téj chwili położeniem w Wejmarze. Rozstaliśmy się już ze wszystkimi—na zawsze, i skończyliśmy rachunek z oberżą, jak daj Boże, aby kiedyś przed śmiercią załatwić go podobnież z sumieniem; ale siedzimy w niéj jeszcze do jutra, czekając na dźwięk trąby głosu *piskliwego*, to jest nie archanielskiéj, ale pocztowéj, konduktora dyliżansu, która ma nas przed ósmą powołać w nowe nieznajome sfery. A i w usposobieniu naszém wewnętrznėm, podobieństwo może nie mniejsze z tą grzeszną, a już gotową do odlotu duszyczką. Wiedziała ona dobrze, że nie tu był jéj cel ostateczny, a jednak tak do tego popasu przylgnęła, że i żal, i tém trudniéj wybierać się daléj, że się o tém wprzód myśleć nie chciało. Ale stało się—trzeba—a więc nié ma o tém

co mówić! Nabazgrawszy zaś tyle o pobycie tutaj, czuję że muszę przecież dopisać i *finał*, tak przynajmniéj, abyś go już sam sobie mógł „w myśli swojéj dośpiewać."

Finał ten składa się z dwóch części: z pożegnalnego obiadu u państwa Vogel, i z pożegnalnego wieczoru u państwa Göthych, na których jedni i drudzy, (ma się rozumieć bez *Papy*), byli nawzajem u siebie, równie jak wszystkie prawie też same osoby, z któremiśmy się tutaj najbliżéj u nich poznali. Bo i obiad, i wieczór był wyłącznie dla nas; a przy obiedzie figurował nawet aż szampan, na toast „*auf glückliche Reise!*"—

Nie wiém czy ty czytałeś komedyjkę studencką pana Tomasza, p. t. „*Pierożki gryczane?*" — bo nie było cię jeszcze w Wilnie, gdyśmy ją kiedyś grali w dzień imienin autora. Otoż przedający w niéj owe *pierożki* Niemiec, opowiada zebranym w około niego studentom piérwszy swój wyjazd do szkoły. Wierszy nie pamiętam, ale treść taka: Ojciec płacze—on nic; matka płacze—on nic; siostry płaczą—on nic; i już siada na kałamaszkę. Aż wtém pasące się na dziedzińcu cielę, jak nie beknie żałośnie: „*Bar-to-lo-mee!*" (to imię jego);—pękł hart odwagi, czy głupoty malca, i musiał powrócić do izby, aby się przy matce wypłakać. Otoż dziś omal i ze mną nie stało się jak z Bartłomiejkiem, gdybym mógł przy kim, jak on się utulić. Ten i ta mówi o rozstaniu—ja nic; ten i ta patrzy się smutnie—ja nic; aż nareszcie, przed samém już wyjściem z obiadu, poszedłem po-

żegnać papugę. Masz zaś wiedzieć, że od piérwszych dni poznania, chciałem i zacząłem ją uczyć kilku frazesów po polsku, które bardzo wyraźnie po niemiecku wymawia. *Tempus et laborem perdidi*, jak tam ktoś kiedyś ze szpakiem; ale za to sama jéj pani, dopomagając mi w téj pedagogice, nauczyła się ich doskonale i wymawia prześlicznie; papuga zaś, którą karmiłem przytém owocami i cukrem, tak dalece oswoiła się ze mną, że mię za każdém widzeniem z wyraźném ukontentowaniem witała. Tym razem, jakby przeczuwając rozstanie, na apostrofę moję: „*Leb' wohl Papagei!*" tak się zaczęła wdzięczyć, przechylając głowę, i tak recytować z kolei wszystkie swoje najczulsze frazesa: iż myśl, że je po raz ostatni już słyszę, tak mię jakoś niespodzianie schwyciła, że aż musiałem wyjść śpiesznie do drugiego pokoju, aby z tego wrażenia ochłonąć.

Na wieczorze u pani Ottilii, *Papa* Göthe przyszedł po ósméj i bawił około dwóch godzin. Przez cały ten czas rozmawiał najwięcéj z Adamem, ale i ja miałem także mój udział, i to zawsze w tym samym tonie, t. j. bardzo łaskawym i na wpół żartobliwym jak zwykle. Raczył nawet zaręczyć za mnie, mówiąc przy mnie do pani Teressy, że nie tak łatwo zapomnę Wejmaru, (*Er wird nicht so leicht uns vergessen*). Skorzystałem z téj sposobności, ażeby patetycznie wypowiedzieć toż samo, stosując, ma się rozumieć, do niego; a ośmielony łagodném jego spójrzeniem, odważyłem się przełożyć mu sam prośbę, którą już przedtém Adam poruczył był pośrednictwu

pani Ottilii, to jest prosić go o własnoręczny podpis jego imienia i o dwa zużyte pióra. Uśmiechnął się i skinął czołem; a stojący tuż obok Adam dodał: iż będzie to najdroższą dla nas pamiątką na całe życie. Nowy uśmiech i nowe przyzwalające skinienie; poczém zaraz o czém inném zagadał. Kiedy zaś, już przy pożegnaniu, raz ostatni podał mi rękę, ująłem ją ze szczerém wzruszeniem, i pocałowawszy niżéj łokcia, prosiłem go o błogosławieństwo. Nie musiało go to obrazić; bo ujął mię za oba ramiona i nawzajem pocałował w czoło, i tymże samym sposobem pożegnał następnie Adama, który go także pocałował w ramię. Pani Ottilia powiada, że to jest osobliwszy dowód łaski, i nie pamięta, aby ją komu z obcych kiedykolwiek okazał. Odchodząc wziął świécę ze stołu, i stanąwszy już we drzwiach, odwrócił się raz jeszcze, i jakby od ust ręką ku nam skinął. Drzwi się zamknęły—i pewno już go nigdy nie ujrzymy więcéj.—W dziesięć minut, wnuk jego starszy przyniósł nam dwie złotobrzeżne kartki, jak do sztambucha, z napisanym już dawniéj, jak widać, czterowierszem na każdéj, charakterem niemieckim, z podpisem: *Göthe*, na których data tylko dzisiejsza świeżo dopisana była; oraz dwa pióra, odarte z pierza, i starannie, w kształcie iglicy, cieńszym końcem w rozszczepiony środek włożone. Czterowiersz na kartce mojéj jest taki:

Diese Richtung ist gewiss,
Immer schreite, schreite!
Finsterniss und Hinderniss
Bleiben dir bey Seite.

a co przez przybliżenie, naprędce, takby się może dało naśladować po polsku:

„Chcesz dojść celu?—jedna rada:
Zawsze naprzód, idź a idź!
Z drogi pierzchnie ci zawada,
Ciemność cię nie zdąży ściemić."

Przeczytawszy, prosiłem pani Teressy, aby raczyła powiedzieć Göthemu, że słowa te: „*immer schreite, schreite!*" biorę odtąd za moję dewizę, i uważam je za magiczne słowo mistrza, o którém lepiéj będę się starał pamiętać, niźli jego *Zauberlehrling* (uczeń czarnoxiężki) w balladzie. Pani Teressa obiecała mi to uczynić, gdyż pewna względów starego czciciela piękności, jest z nim śmielszą i poufalszą od innych, z wyjątkiem, ma się rozumieć, pani Ottilii, która właśnie przez swoję słodycz i uległość, sama rzeczywiście, jak mówią, kieruje *Papą*. Tak to wszędzie i zawsze sprawdzają się te słowa naszego poetyckiego biskupa, który sam je podobno z doświadczenia napisał, że:

Mimo tak wielkie płci naszéj zalety,
(Króla, rycerza, mędrca, czy poety),
My rządzim światem—a nami kobiety.

Cóż więc za dziw, że z niemi i żegnać się najtrudniéj? To téż pożegnaliśmy się ze łzami; obiecawszy solennie panu Augustowi, który nas po bratersku wycałował, że będziemy pisali do niego z Rzymu, dokąd i on się także na rok przyszły wybiera.

O jedenastéj byliśmy już w domu; ale tu znowu nastąpiła scena, którą ci téż muszę opisać. Wracając i powróciwszy, nie gadaliśmy wcale do siebie, i pożegnawszy Davida, który dziś ciągle był z nami, a jutro ma nas odprowadzić na pocztę, Adam milcząc zapalił fajkę, a ja téż milcząc wziąłem się do roboty, to jest do pakowania tłómoka. Dotąd rzecz to była nie trudna; ale tutaj przybyło kilka sztuk odzienia, i kiedy przyszło do zamknięcia, pokazało się, niestety, że wieko żadną żywą miarą nie daje się przycisnąć, aby klamka doszła do zamku.—Trzeba więc było naprzód zaciągnąć rzemienie; ale co zaciągnąłem jeden, to druga strona wieka tak się przez to podniosła, że aby z nią dójść do ładu, musiałem go znowu odpuszczać. Trwało to może z kwadrans. Widziałem wprawdzie sposób, który mógł wszystkiemu zaradzić; było to jednoczesne zaciągnienie obu razem rzemieni; ale przez punkt honoru nie chciałem wzywać pomocy Adama, który leżąc i paląc najspokojniéj fajkę, sam się tego nie zdawał domyślać. Złość mię nawet brała, wyznaję; ale tém bardziéj zaciąłem się w uporze—i męczyłbym się może nie wiedzieć jak długo, gdyby go w końcu nie ruszyło sumienie. Zerwał się nagle z łóżka, i odstawiwszy fajkę, zawołał nie zbyt ujmującym tonem: „Poczekaj! ja ci pomogę.”—Jakoż zaczął rzeczywiście pomagać; ale że i do zaciągnienia obu razem rzemieni nie dość było siły w stojących, musieliśmy siąść oba na ziemi, i wpierając się jedną nogą w tłómok, tak dopiéro, i to z trudnością, dokazaliśmy przecież swo-

jego. Operacya ta tak mię bawiła, że gdybym się nie lękał poruszyć jego *spleenu*, i żeby jej w połowie nie rzucił, parsknąłbym niezawodnie od śmiechu: mając zwłaszcza w pamięci tę chwilę, kiedy on, w przewidywaniu podobnych do obecnego kłopotów, cały tłómok chciał wrzucić do morza. Dopiéro gdy obie już sprzączki dosięgły wreście do ostatnich dziurek, a on z wyraźnym gniewem, porwawszy się z ziemi. zaczął znowu rozpalać fajkę, która szczęściem jeszcze była nie zgasła:—puściłem wodze wesołości mojéj; a że przytém, nacisnąwszy kolanem wieko, zamknąłem szczęśliwie i zamek—przez co kłopot był już całkiem skończony—i on téż udobruchał się nakoniec, i śmiejąc się opowiedział mi podobne nieco do dzisiejszego zdarzenie, jak podczas podróży po Krymie, oba razem z Henrykiem Rzewuskim, przyszywali sami, nie umiejąc, sprzączkę do mantelzaka, która się przy pakowaniu urwała.—Teraz on już śpi, a ja kończę ten ostatni list mój z Wejmaru.

Lecz czyż pakunkiem tłómoków
Kończyć twój opis, Wejmarze?
O! miasto wieszczych uroków!
Gdzież nam na świata obszarze,
Błysną tak jednym obrazem
Geniusz i piękność razem?—
A jeśli jeszcze, tém nie tém,
Lecz może nęcić po Göthem,
Czy Montblanc—król gór i lodów,
Czy Rzym—patryarcha grodów,
Pomniki i ideały,
Jak on, wielkości i chwały:—

To gdzież się sercu i oku
Równego spodziać uroku?
Bo cóż, że w podziw zachwyca
Alp ponadziemska Dziewica,
Gdy wieczna zima – jéj lica,
A serce w piersiach – to skała?
Bo czém żywe czucie wzruszy
Bogini Medyceuszy,
Tak żywa sztuką—bez duszy,
Jak piękna kształtem—bez ciała?—
O! córo Niebios, Piękności!
Jeśli pociechą ludzkości,
A wieszczów masz być natchnieniem:
Saméj ci naprzód potrzeba,
Duszę ogrzać światłem z Nieba,
Serce współczucia promieniem.
Wtenczas na całym tym globie
Tak będą stawić ołtarze
Obok poezyi—tobie,
Jak—jak pielgrzymi w Wejmarze.

XXII.

Do tegoż.

Frankfurt nad Menem, 3 Września 1829 r.

Wejmar—Frankfurt; Göthe—Rotschild; poezya—pieniądze; — dwa przeciwne bieguny. Myślisz więc pewnie, że pociągnięci przez jeden, nic już z drugim do czynienia nie mamy. Mylisz się—godzimy je w sobie. Dla Rotszylda to właśnie jesteśmy od wczoraj i do jutra bawimy we Frankfurcie, stolicy tego króla finansów. Nie widzieliśmy jego samego, aleśmy doświadczyli na sobie wpływu téj nowo-Midasowéj potęgi, która wszystko w złoto przemienia. Przyszliśmy do jego kantoru z dwóma arkuszami papieru, a wyszliśmy—a raczéj wyszedłem ja, obładowany tylą złota, ile go razem nigdy nie widziałem w życiu. W jednéj kieszeni cały skarb mój, w drugiéj Adama. Oddał mi go, a ja wziąłem w depozyt, nie dla tego tylko, abym go dźwigał za niego, ale że obadwaj sądzimy, że mu bezpieczniéj być przy mnie, niż przy nim. Za toż *vice versa*, złoto to w ręku naszym przemienia się—a przynajmniéj nabiera odblasku poezyi; albowiem jest to czysty jéj produkt: u Adama—jego własnéj, u mnie—wszystkich naszych poetów, którzy za przyjacielskie tylko „Bóg zapłać,” złożyli się na bukiet dla mojéj Bogini kwiatów, (*Meliteli*), a który przez nią dla mnie stał się jakby snopkiem Cerery.

Wróciwszy więc do hotelu „*zum Weidenbusch,*" i zamknąwszy drzwi na oba spusty, wysypałem dla zabawki wszystko to złoto na stół, i przywoławszy Adama, który w drugim pokoju czyścił sam sobie i nakładał fajkę: „Patrz!—rzekłem patetycznie, chcąc go rozweselić—niechżeby teraz twój szanowny Prefekt Kowieński śmiał mówić, że poezya wiatr tylko zasiewa i zbiera; albo niechże kto twierdzi, że wiek nasz jest mniéj poetyczny od dawnych, kiedy w nich przecie poeci umierali z głodu w szpitalach, a dziś mogą wojażować za wiersze." — Byłem pewny, że się zaśmieje;—ale on patrzał nachmurzony i milczał, „dymy tylko ciągnąc z cybucha."—„Cóż to jest? czy się gniewasz?" zapytałem zdziwiony.—„Za cóżbym się miał gniewać?—odpowiedział łagodnie. Ale wiész ty co ja myślałem? Pamiętasz tę scenę w *Orlando Furioso*, kiedy on obaczywszy piérwszy raz broń palną, wywozi ją na morze i topi, przewidując z niéj upadek odwagi i siły osobistéj? Otoż i ja myślę, że jak skoro poezya zacznie przynosić złoto, to się sama powoli w bałwochwalstwo złota zamieni, i upadnie, jak wiara w każdém bałwochwalstwie. Póki poeci pisali tylko dla chwały, musieli myśleć nad tém, jakby na nią zasłużyć; a i złoto niekiedy było im *przydane*. Jak zaczną pisać dla złota, skończą na tém, że ani chwały, ani złota warci nie będą. Protektorat królów i panów sto razy był mniéj niebezpiecznym dla poezyi od protektoratu xięgarzy i dziennikarzy. Król czy pan, kiedy protegował poetów, to musiał przecież lubić poezyą i mniéj więcéj znać się sam na niéj. Żeby

więc zyskać względy Mecenasa, trzeba było coś dobrego napisać. Xięgarzowi nie idzie o wartość, ale tylko o odbyt xiążki; dziennikarz pragnie tylko pomnożyć prenumeratorów. Płacą tylko to, co popłaca; to jest, co trafia do gustu—nie znawców, których nie wielu; nie massy prostaczków, która xiążek nie czyta, choć możeby uczuciem najtrafniéj mogła wyrokować o nich; ale właśnie do gustu istotnego gminu we frakach: do półmędrków albo próżniaków, którzy mogą i gotowi są kupić xiążkę, ale tylko dla tego, aby ją sądzić i rozprawiać o niéj, albo żeby ich ona rozbawiła w nudzie. Sąd ich nie daje chwały, ale daje popularność i odbyt. Poeci, gdy to poczują, kto wié, czy nad chwałę po śmierci nie przeniosą popularności za życia? Żaden z wielkich poetów nie był od razu popularnym dla tego, że trzeba było czasu, aby współczesna publiczność do pojęcia jego podrosła. Podrastała prędzéj lub późniéj, w miarę stopnia światła i ciepła, jakie przezeń spływały na nią, albo téż według punktu wysokości poety. Promień słońca w ośm minut dochodzi ledwo do ziemi; od gwiazd stałych idzie przez lata; meteor w okamgnieniu zalśni wszystkich oczy. Ubiegający się za popularnością, dbać tylko będą o sąd — nie wyższości, ale większości; a większość ludzi— to mierność. Mierność w poezyi, to jak obojętność w religii. Gorsza ona od bezbożności. Z wielkich grzeszników bywają wielcy pokutnicy; obojętność ani do cnoty, ani do skruchy nie budzi. Poezya w ubóstwie, była jak chrześcijaństwo w kata-

kumbach. Honorarya xięgarskie dla poezyi, staną się może tém, czém bogate prebendy dla wiary."

A mówił to, i tam daléj, z taką miną i takim tonem, że brakło tylko rymów i średniówek, aby to za improwizacyą poczytać.

— „Ale nie desperujże tak bardzo! rzekłem. Wiele wody w Niemnie upłynie, nim pokusa ta dójdzie do nas, a bodaj że i nigdy nie przyjdzie."—I przypomniałem jak mnie samemu, szanowny nasz pan Józef [1]) polegając na zdaniu Szydłowskiego, po przejrzeniu z nim razem w rękopiśmie piérwszego tomu ballad i Grażyny, które mu w tym celu przyniosłem, nie chciał dać stu dukatów w gotówce, ani 500 exemplarzy w naturze, za oba te tomy na wieczność.— „A oto złoto, co teraz tu leży—dodałem—i co ci przyszło za drugie już ich wydanie, jest tylko przydatkiem do chwały i owocem ogólnego współczucia, jakie same przez się wzbudziły."

Tu Adam zaczął śmiać się na dobre, i opowiedział, jak raz z Daszkiewiczem [2]) w Moskwie, przeglądając dla zabawy listy prenumeratorów, umieszczone, jak wiész, na czele piérwszych tomów poezyi jego i moich ramot, wydanych w Wilnie, pomiędzy tysiącem ich przeszło, nie mogli naliczyć stu takich, o którychby z sumienną pewnością można było rozu-

---

[1]) Zawadzki, założyciel znanéj po dziś dzień firmy xięgarskiéj i drukarskiéj w Wilnie.

[2]) Cypryan Daszkicwicz, uczeń uniwersytetu wileńskiego między rokiem 1820—1823, a późniéj towarzysz pobytu Mickiewicza w Moskwie.

mieć, że owe dziesięć złotych na prenumeratę ze współczucia dla samych tylko wierszy złożyli. A i ci jeszcze składali się w znacznej części z przyjaciół i kolegów uniwersyteckich, którzy oprócz osobistych stosunków, będąc sami głównymi kollektorami, musieli naprzód, dla dobrego przykładu, zapisać się w rejestr prenumeratorów. Po nich było najwięcéj panienek, którym kollektorowie ci, ma się rozumieć, naprzód pewno ofiarowali bilety, a których one, ma się także rozumieć, żenowały się i wstydziły się nie wziąć. Daléj szli już tylko sami dygnitarze i dygnitarki, ze szczegółowém wymienieniem posiadanych tytułów, z których można wnioskować na pewno, że żaden z nich wierszy nie czyta, a bilet wziął tylko dla tego, aby się od napaści odkupić, albo téż być wydrukowanym w liście prenumeratorów. Jedyni więc, których rzeczywiste współczucie nie mogło ulegać wątpliwości, byli chyba studenci szkół powiatowych; bo im nikt pewno biletów gwałtem nie wtykał, a dla każdego z nich złotych dziesięć było już rzeczywistą ofiarą.

Zaprzeczyłem tym jego satyrycznym domysłom, powołując się na rychłe wyczerpanie reszty edycyi piérwszéj i na szybkie rozchodzenie się drugiéj, choć już w niéj listy prenumeratorów nie było; w Warszawie zaś, gdzie cała przedaż dzieł jego przechodziła przez ręce Waleryana [1]) i moje, nikt ich przecież ani

---

[1]) Krasińskiego, o którym była już mowa w poprzednich listach.

przez przymus, ani dla osobistych stosunków nie kupował. Ale on znalazł replikę i na to, przypisując to zwłaszcza walce klassyków z romantykami, która tyle narobiła hałasu, że każdy był ciekawy widzieć sam przez siebie, czy rzeczywiście jest tak *„ciemno wszędzie i głupio wszędzie,"* jak to Osiński, parafrazując *Dziady*, o wszystkich jego poezyach zawyrokował.—Koniec końców, pomimo wszelkiéj elokwencyi mojéj, nie mogłem wymódz na nim przekonania, a raczéj może tylko zmusić go do przyznania, że to złoto, które tymczasem znowu zawijałem w rulony, było dowodem uznania wartości i współczucia dla poezyi jego. Uparł się i został przy swojém, że powodzenie ich winien był głównie: w Wilnie—przyjaźni kolegów, a w Warszawie — nieprzyjaźni klassyków.

Piszę ci to wszystko dla tego, abyś sam sobie wyciągnął ztąd wniosek, jak on poezyą w ogólności, a jak sam swoje autorstwo traktuje. A przypomnijże sobie np. Gosławskiego, jak on mówiąc o swoich wierszach, a cóż dopiéro czytając, zaraz jak gdyby ornat i infułę przywdziewał, a wszystko, co raz napisał, za sakramentalne już słowa uważał! To téż: „taki owoc, jaki krzew; jaki śpiewak, taki śpiew!"—Spodziewam się zaś, że sama ta dygressya będzie cię interesowała więcéj, niż jednolity ciąg dyaryuszu, który z saméj natury rzeczy tak byćby musiał jednostajny i nudny, jak podróż w dyliżansie—w którym, od czasu podróży z tobą do Puław, pierwszy raz teraz z Wejmaru jechałem.

Bojaźń więc aby się na czas nie spóźnić, a którą i Adam podzielał, sprawiła, że pomimo perswazyi przyjaciela mojego kellnera, który chciał nas koniecznie napoić jeszcze kawą „pod Słoniem:” godziną przed dyliżansem, który przyjść miał z Lipska, byliśmy już na stacyi pocztowéj, w towarzystwie poczciwego Davida, którego nawet deszcz ulewny, jak z wiadra, nie odstraszył od przeprowadzenia Adamą. Pana Wiktora pożegnaliśmy w łóżku, i ja mu mianowicie wyperswadowałem, aby będąc zakatarzonym nie narażał się na wilgoć. A miałem w tém i własny interes, aby go na poczcie nie bawić. List do ciebie, pisany w nocy, mogłem albo wrzucić do skrzynki, albo oddać w też same rączki, którym zwykle powierzałem poprzednie—ma się rozumieć, dla większéj pewności. Miało to zależeć od czasu. A że po wypiciu kawy na poczcie, miałem go jeszcze przeszło pół godziny: ulewa nie była przeszkodą, ażebym nie miał przebiedz jakich pięćset kroków do mieszkania pana pocztmistrza. Exkuza tak rannéj wizyty nie była trudną. Chciałem na samym ostatku pożegnać i podziękować tym, od których na samym początku piérwszéj w Wejmarze uprzejmości doznałem. Milutka gospodyni przyjęła to wdzięcznie; chciała zaraz częstować kawą—ale ja wolałem jéj obecność. Głos trąbki dyliżansowéj położył koniec rozmowie; i pomimo zapewnień, że to dopiéro jest hasło przyjazdu, i że trzy razy potém trąbi się na odjazd, musiałem, dla ułatwienia się z rzeczami, pożegnać śpiesznie najpiérwszą tu znajomość moję, która obiecała mi *herzlich*

nie zapomnieć mojego nazwiska, i listy, jeżeliby jakie przyszły, odesłać *poste restante* do Rzymu.

Przed pocztą, jak korab Noego, stało już ogromne karecisko, *Eilwagen*, mające nas ochraniać w podróży od prawdziwie potopowego deszczu. W izbie gościnnéj bawił mię ruch i pośpiech, z jakim nowoprzybyli posilali się kawą lub *Frühstückiem*, a jakiś tłusty jegomość pluskał się umywając jak szpak, w ogromnéj farfurowéj misce, których kilka nalanych wodą, w tym celu widać czekało na gości. Adam zaczął mię indagować gdzie byłem; a że nie miałem ochoty do opowiadania, sam się rzeczywiście domyślił, i opowiedziawszy to po swojemu Davidowi, polecił mu z wielką *emfazą*, aby powtórzył to znajomym naszym damom. Odbiłem wszakże ten zamach nadzieją: *que celui, qui fait parler le marbre, saura aussi se taire comme lui;* na co David, jak nieraz, uściskał mię, śmiejąc się serdecznie, i oświadczywszy: *que mon bon-mot vaut sa discretion*, zachować mi ją obiecał. Na tém był koniec naszéj miłéj znajomości z Davidem; bo w téj chwili zabrzmiała trąbka, i wszyscy hurmem rzucili się do drzwi, spiesząc każdy na swoje miejsce.

Eilwagen jest na 12 osób; dziewięć we środku, trzy w kabryolecie. Z Lipska przybyło ich jedenaście, nas sześciu nowych czekało na poczcie. Ale że dwaj jacyś Anglicy pozostali w Wejmarze, nas więc trzech, jako wcześniéj zapisanych, wpuszczono do środka arki, (w któréj żadnéj, niestety, gołąbki nie było); dla reszty zaś zaprzężono *Beywagen*, to jest kryty po-

rządny parokonny powóz, nakształt dorożek warszawskich, tylko że z wygodniejszém siedzeniem na przedzie, który się nazywa *Kutsche*, (bo nie wart nazywać się *koczem*), i w jakim właśnie jechaliśmy ciągle najętym furmanem z Karlsbadu. A tak tu jest urządzona kommunikacya pocztowa, że dla jednego nawet passażera, który się nie pomieści w karecie, zaprzęga się osobny *Beywagen*, bez żadnéj za to szczególniejszéj opłaty.

Trzecim naszym kolegą podróży, był téż brat w Apollinie, i to nawet nie lada poeta niemiecki, Karol *Töpfer*, z Göttyngi, dramaturg i powieścio-pisarz, którego wiele komedyi używa wielkiego powodzenia na wszystkich teatrach w Niemczech. Tytuł jednéj wiém że jest: *Der beste Ton*. Widzieliśmy go z daleka na obiedzie w dzień urodzin Göthego, a potém, spotkaliśmy i poznaliśmy na ostatnim wieczorze u państwa Peucer. Przepraszał, że nie był u nas z wizytą exkuzując się chorobą, która dwa dni po tym obiedzie trzymała go w domu i w łóżku. O stanowisku jego literackiém opowiadał nam gospodarz domu. Musi mieć lat najmniéj czterdzieści, i bardzo jest uprzejmy i grzeczny. Ucieszyliśmy się więc nawzajem, że mamy podróżować razem aż do Gothy. Ale nie jemu to wszakże winniśmy pryncypalną przyjemność téj podróży; przyjemność taką, że pomimo ciągłego deszczu, zamknięcia i całonocnéj jazdy, stacye mijały niepostrzeżenie, i żal było chwili zdrzemania, która jedynie przerywała rozmowę. Tym tak uroczym interlokutorem, był baron Alexander Meyen-

dorff, z Kurlandyi, urzędnik z ministerstwą finansów, podróżujący po Europie w interesach banku, a mieszkający najczęściéj w Paryżu. Słysząc go naprzód mówiącego z Anglikami, z którymi przyjechał z Lipska, wziąłem go był za rodowitego Anglika, bo nic a nic nie zrozumiałem. Ale gdy się odezwał do Niemców, byłem znowu pewny, że Niemiec. Nakoniec, gdy wpatrzywszy się w Davida, zbliżył się i przypomniał, że był mu przedstawiony na wieczorze u p. Villemain'a, przysiągłbym, słysząc jego harkawą wymowę, że być musi Paryżanin *rasowy*. „Jezus Marya! rzekłem do Adama, a to jakiś stujęzyczny Briarey!" — Uśmiechnął się, i grzecznym ku mnie ukłonem, dał nam jakby do zrozumienia, że i ten język rozumie. *Obstupui.* On zaś tymczasem, dowiedziawszy się od Davida o nazwisku Adama, zarekomendował mu się sam piérwszy, mieniąc się przyjacielem albo dobrym znajomym wszystkich znajomych jemu poetów i literatów w Petersburgu i w Moskwie, od których i przez których, jak mówił, nauczył się znać go i cenić. Zawiązana tym sposobem na stacyi znajomość, rosła i dojrzewała szybko w Eilwagenie; ku czemu sama jego fizyognomia, dziwnie miła i ujmująca, (oczy zwłaszcza osobliwszéj jasności), nie mało się téż przyczyniała. Ale gdybym ci choć w setnéj części mógł powtórzyć jego rozmowę „o wszystkich rzeczach i o wielu innych," a mianowicie o najznakomitszych ludziach, towarzystwach i okolicznościach spółczesnych, których i które zna najdoskonaléj: miałbyś z tego, jak i ja miałem, większą sto razy

korzyść i przyjemność, niż gdybym ci opisał najszczegółowiéj to wszystko, co po drodze tu i ówdzie widziałem; a raczéj, cobym mógł widzieć choć przez okno karety, albo podczas krótkich przystanków, gdyby mgła i deszcz ciągły nie zasłaniał Bożego świata. Bo cóżby w tém np. być mogło ciekawego dla ciebie: że wyjechawszy przed dziewiątą z Wejmaru, obiadowaliśmy w Erfurcie, (mieście fortecznėm)? że piliśmy kawę w Gotha (stolicy xięztwa), gdzieśmy się rozstali z Töpferem, miłe sobie nawzajem ślubowawszy wspomnienie? że przejeżdżając przez Eisenach, widziałem zdala piękny kościół gotycki, a przed miastem piérwszy raz w życiu szubienicę, na którėj szczęściem nikt się wtedy nie huśtał? że po całonocnéj podróży z Eisenach, o wschodzie słońca stanęliśmy w Fuldzie, a ztamtąd, przejechawszy przez Hanau, (sławne zdradą Bawarów podczas rejterady z pod Lipska), o piątéj po południu już byliśmy we Frankfurcie—z niemniejszą może radością wysiadając z zadusznéj karety, jak niegdyś owi Grecy z drewnianego konia, w którym przez rogatki Trojańskie nieproszeni i niespodziewani wjechali? Jakbądź zaś oni mogli być spragnieni krwi wrogów, to my przecież, wilgocią przesiękli do kości, goręcéj pewnie pragnęliśmy szklanki ponczu, o którym samo marzenie i rozmowa w podróży, dodawały nam siły do znoszenia chłodu, wbrew niejako wątpliwości Szekspira, który pyta:

„Czyż dojmujące stępić ostrze głodu
Samém marzeniem obfitéj biesiady?

Lub brnąć rozkosznie po grudniowym śniegu,
Marząc o letniém cieple południowém?"

Piérwszą téż przeto czynnością naszą we Frankfurcie, było zrealizować to rozkoszne marzenie. Ale *o! korror!*—w jednéj cukierni: „*kein Punsch;*" w drugiéj, *kein;* w trzeciéj i czwartéj, toż samo. „*Aber um Gotteswillen!*—zawołał zniecierpliwiony Adam—„*haben' Sie doch kein warmes Wasser und keinen Tropfen Rom's?*"—„*Ah! also Sie wollen Grog haben?*"—Dowiedzieliśmy się więc tedy na wstępie, że to, co my zowiemy *ponczem*, nosi tutaj nazwisko *grogu*, a poncz jest produktem angielskim, którego we Frankfurcie nie dostać. Adam wyciągnął z tego osobliwszy wniosek, że tu widać „mądrzy ludzie" mieszkają; bo najsmutniejszym, podług niego symptomatem moralnego i umysłowego usposobienia mieszkańców jakiego miasta, jest prosperujący w niém stan handlu wykwintnych zamorskich delikatesów, w czém się razem i materyalny sybarytyzm i płoche marnotrawstwo objawia. W ślad za tém nastąpiła apologia Wilna, która za lada powodem zawsze mu na usta powraca, a mianowicie, że w niém nigdy nie tylko żadnego morskiego straszydła, ale nawet ani ostrygi nie widział; co zaś do łap niedźwiedzich, które jadał w Szczorsach, (a o których ja napomknąłem), toć przecie jest specyał miejscowy, który się łączy raczéj z tryumfem i trofejami myśliwstwa, a nie smakowi tylko lub próżności dogadza.

Dano nam tedy *grogu*, a z nim razem przyszły na pamięć i Szyllera piosnki o ponczu, który widać

musiał go lubić nie lada, kiedy aż dwie o nim napisał. Ale nie darmo zowie go *sokiem ognistym* (Feuersaft), „*der gibt Leben dem Leben.*

„Und erfreuet alle Sinnen,
Und in jede bange Brust,
Giesst er ein balsamisch Hoffen,
Und des Lebens neue Lust.“

A do czego ja z doświadczenia dodaję:

I pomimo w Eilwagenie
Niedospaną, dżdżystą noc,
Sen precz z oczu, chłód z krwi żenie,
Nową w członki wlewa moc.

I skutkiem tego, zamiast pójść spać—poszliśmy jeszcze o godzinie siódméj na teatr. Grano operę Beethovena, *Fidelio*. Teatr mniejszy od Warszawskiego i wcale się nie odznacza świetnością. Nim się kurtyna podniosła, z ciekawością przeglądałem publiczność. Po lożach same damy, dość strojne, ale ładnych nie wiele. W krzesłach same poważne *Bürgery*, z miny i z tuszy najpodobniéj kupcy,—bo właśnie jest tu teraz sławny doroczny jarmark. Z powierzchowności ich ekonomista mógłby śmiało wyciągnąć wniosek, że handel kwitnie i prosperuje w Niemczech. Rząd zwłaszcza krzeseł po za nami wyglądał jak grządka piwonii;—i wiész, że przyszło mi na myśl, czy *piwonie* nie wzięły czasem swego nazwiska od okrągłych, pełnych i czerwonych twarzy *piwoszów?*—Adam unosił się nad uwerturą; mnie zaś mu-

zyka w ciągu drugiego aktu zachwyciła w kraj tak cudny, tak uroczy, tak pełny harmonii i blasku, że mi dziś jeszcze żal pomyśleć o nim; i trzeba było takiego okrutnika jak Adam, aby klapnąwszy mnie nagle po ramieniu, wrzasnąć—jak mi się zdawało— nad uchem: „Ty śpisz!" Ocknąłem się więc przestraszony, i aż mi się gorąco zrobiło ze wstydu. Ale zastanowiwszy się bliżéj, pomyślałem, i teraz myślę, że to był właśnie największy tryumf i effekt muzyki, kiedy do takich marzeń nastroiła duszę. Powodem zaś ich przerwy, niestety, było—że już podobno zaczynałem chrapać. Mimo to, i na jawie jeszcze goniłem myślą rozwiane obrazy, przy których i dalsze chóry, i Primadonny na scenie pobladły, a które mi dziś znowu przypomniała widomie prześliczna Aryadna, wsparta na lwie, z białego karraryjskiego marmuru, dłóta sławnego Dannekera, znajdująca się w jednym z tutejszych ogrodów (Bettmana). Bo takie to właśnie postacie, tylko że nie z kamienia, tańczyły mi przed oczyma w śnie owym. Skoro zaś o nich dotąd z przyjemnością pamiętam, to zapytuję sam siebie: jaka jest dla mnie różnica pomiędzy realnością tych marzeń i tego posągu? Jedno i drugie widziałem; jednego i drugiego nie zobaczę więcéj; a skoro ich obraz zarówno w pamięci i wyobraźni mojéj pozostał, to czyż one zarówno nie istniały dla mnie? To téż nie jestem wcale daleki od myśli, że to nie był tylko po prostu sen, ale raczéj *jasno-zajrzenie* w Platoński świat ideału, do którego mię jedna *piękna* sztuka, czy raczéj Muza, wprowadziła; druga popi-

sywała się w nim ze swoim baletem; trzecia go przypomniała i wyrzeźbiła w pamięci; czwarta zaś i piąta, to jest malarstwo i poezya, ani piękniejszego nic stworzyć, ani uczucia i wyobraźni żywiéjby poruszyć nie mogły. I dla tego to piszę o tém tak długo, a nie żebym się miał exkuzować, że po dwóch prawie bezsennych nocach, w wygodném krześle, w cieple i po ponczu, dałem się uśpić Syrenie—to jest operze Beethovena.

Ale cóżby to tobie jeszcze o realnym Frankfurcie powiedzieć? Widziałem go wprawdzie u stóp moich, z wierzchołka wieży katedralnego kościoła, na którą tyle wschodów, co dni w roku, prowadzi; ale nie mając obok „*kulawego djabla*," coby umiał zdejmować dachy, (n. b. nie czerwone z dachówek, ale szare z łupkowego kamienia), tyle tylko mogę powiedzieć, że miasto zbudowane jest ciasno, otoczone bulwarami i ogrodami, i że dwie tylko inne wieże, prócz téj, z któréj patrzałem, wysterkają wyraźniéj nad wysokie domy. Okolice nic szczególnego; na zieloném tle winnic, mnóstwo małych wioszczyn bieleje. Men mniéj szeroki niż Wisła; ale że to rzeka niemiecka, nie wzbiera, nie wysycha i dna coraz nie zmienia, widać więc żeglujące i parujące po niéj statki różnéj wielkości. A i my jutro tąż drogą poparujem ztąd do Moguncyi. Kościół katedralny, gdzie się Cesarze Niemieccy do ostatnich czasów koronowali, zbudowany jest w kształcie krzyża, w imię którego panowali światu. Bursa, w któréj dziś Rotszyld, w imię złota i wexlu, zamiast *Złotéj Bulli*, króluje, nie od-

powiada z pozoru swojej nowotnej w naszych czasach potędze. Ogromne i stare domisko, z podłużnym dziedzińcem we środku, na którym tłok prawdziwie jarmarczny. A i cóż za dziw? wszak to Forum dzisiejsze. Póki dawne kwitnęło w Romie, bazyliki kiełkowały w katakumbach. Kiedy one rosły pod niebo, alchemicy i bankierowie siedzieli po lochach. Teraz kolej wzrostu na giełdy—a ta stara Rotszyldowsko-Frankfurcka, wygląda na ich *Alma Mater*.—Główna ulica *Zeil*, szeroka i piękna. Mnóstwo żebraków różnego kalibru: chromi, ślepi, starzy i mali, dudlą, brzęczą, rzempolą na różnych instrumentach, albo pozytywkami wtórują sobie do śpiewu. Od Wilna nigdzie tylu nie widziałem żebraków. Adam mówi, że to dowód bogactwa mieszkańców, jak u nas tłum i świergot wróbli po wioskach, świadczy o urodzajności ich gruntów. I nie słyszałem nigdy takiéj apologii żebractwa. Żebracy w chrześcijaństwie, zdaniem jego, są potężną pomocą zakonów, podnoszących i uświęcających ubóstwo, dla obudzania przez nie między ludźmi praktycznéj miłości bliźniego i całego szeregu cnót chrześcijańskich, jakiemi są: litość, miłosierdzie, pokora i duch poświęcenia. Zimny tylko protestancki rozum i rejestrowa na papierze gospodarność kupiecka, mogły podać myśl, aby usuwając ubogich z przed oczu szczęśliwców tego świata, opiekę Opatrzności nad nimi zastąpić przez dozór policyi, a dobrowolną ofiarę miłosierdzia, zamienić w podatek dla nich. Ale będzie może kiedy i z nimi, co już było z wróblami w Prusiech.

Wytępiono je wszędzie, że wyjadały zboże; a oto tyle w ślad za tém namnożyło się rozmaitych owadów, które wróble widać niszczyły, że je musiano z za morza okrętami znowu sprowadzać. Bo i któż potrafi obliczyć, ile uczuć i myśli chrześcijańskich może na dzień obudzić w przechodniach widok ubogich na ulicach miasta, lub ile przez to samo myśli i uczuć przeciwnych, może być wyrugowanych z ich duszy?

Ale *à propos* bogactwa i ubóstwa:—mam ochotę, na zakończenie tego listu z Frankfurtu, opowiedzieć ci jeszcze o tutejszym Rotszyldzie, co nam opowiadał pan Meyendorff, a sam słyszał od xięcia Pückler-Muskau, słynnego podróżnika, który jest przyjacielem bankiera. Raz po świetnym obiedzie u niego, xiąże zostawszy z nim sam na sam i rozmawiając w ogólności o szczęściu, wyraził mu swoje przekonanie, że się on czuć musi szczęśliwym. Rotszyld odpowiedział z uśmiechem: „Tak jest, czuję się rzeczywiście szczęśliwym, o ile nim człowiek być może; ale wcale nie z powodu bogactwa, jak to pan może rozumiesz. Mam dobrą żonę, poczciwe dzieci, pokój domowy i życzliwość ludzką. Ależ to wszystko i bez bogactwa mieć można. Uważałeś pan może przy obiedzie, że nie tknąłem ani jednéj z tych potraw, które podawano dla gości. Stan zdrowia mego jest taki, że wymaga najściślejszéj dyety. Jadam zazwyczaj dwie tylko potrawy, które dla mnie osobno stara moja kucharka przyrządza. Nie piję nic prócz wody i kieliszka wina. Chwaliłeś pan, jako znawca, moje konie na stajni; ale te służą tylko dla moich dzieci.

Ja mam dla siebie dwa stare, któremi jeżdżę, i których się nie boję. Mieszczę się, jak pan widzisz, w dwóch tylko pokojach, bo obszernych salonów nie lubię, i one są tylko dla gości. Sądź więc pan sam, czybym ja tego wszystkiego nie mógł mieć i bez mojego bogactwa? Raz kiedyś rozumiałem istotnie, że mi ono może dopomódz do szczęścia; ale właśnie stało się przeciwnie. Będąc młodym, kochałem młodą osobę, pełną zalet, ale ubogą. Chciałem odwdzięczyć jéj miłość, podziałem z nią pomyślności światowéj. Ojciec mój wzbronił mi tego. Wyszło mi to może na dobre, bo powtarzam, że mam zacną i cnotliwą żonę;—ale wtedy czułem się bardzo, bardzo nieszczęśliwym, i przypisywałem to właśnie bogactwu."—Słowa te z ust Rotszylda są dla mnie nieocenionéj wartości; warte złota, co dziś z jego kantoru wyniosłem;—bo utwierdzają mnie w dawno powziętém przekonaniu własném, a uwalniają od porównania z owym lisem w bajce:

„Który skacząc napróżno przed dojrzałém gronem,
Nie dostawszy, rzekł: „kwaśne!"—i machnął ogonem."

Bo co do mnie—o ile dotąd czuję się szczęśliwym na świecie, (a szczęśliwszego nie spotkałem jeszcze), przypisuję to między innemi i temu, że na mnie trzos Plutusa nie cięży. Gdybym np., broń Boże, miał być jak ty dziedzicem dostatecznéj fortuny: czyżbym nie musiał jak ty siedzieć w domu i dopomagać ojcu w utrzymywaniu gospodarskich rejestrów i rachunków, których nie cierpię: zamiast kiedy szukając

pracy dla chleba, mogę wynaleźć sobie taką, którą lubię, a która mię nie tylko chlebem, ale może i duchem pożywić? A cóż dopiéro mówić o téj straszliwéj fatalności bogatego panicza, który albo musi być w obec piękności niemy ciągle jak syn Krezusa, aby go nie podchwycono za słowo; (kto wié, czy i on nawet nie z tego oniemiał?)—albo uciekać od nich, jak Endymion od bogiń, aby mu która sama nie narzuciła się gwałtem; i na dobitkę jeszcze nigdy nie być pewnym, czemu która, patrząc na niego, rumieni się, uśmiecha się, lub wzdycha. A nié ma dla mnie doskonalszéj definicyi światowego szczęścia, jak w téj piosence:

„Patrzcie, bogacze świata,
Jak mało człeku trzeba!
Kochanie w młode lata,
Na starość kawał chleba.“

Ani téż trafniejszego orzeczenia bogactwa, jak dał Jan Kochanowski, mówiąc:

To pan zdaniem mojém,
Kto przestał na swojém.

Bądź zdrów.

Post-scriptum.

Moguncya, 4 Września 1829 r. w nocy.

Pożegnanie z p. Meyendorffem, który z Frankfurtu pojechał do Baden, zostawiwszy nam list rekomendacyjny do przyjaciela swojego, Wilhelma Schlegla, w Bonn, i miłe towarzystwo dwóch spotkanych młodych ziomków: hrabiego Henryka Poto-

ckiego i pana Alexandra Ostrowskiego, z którymi razem zwiedzaliśmy miasto: tak nam zajęły dzisiaj cały czas we Frankfurcie, że mi go już nie stało na odniesienie tego listu na pocztę, przed odejściem parowego statku, na którym o godzinie drugiéj z południa, odpłynęliśmy Menem do Moguncyi, zkąd za to masz to *post-scriptum.*

Dzień był jasno-pogodny, ale wiatr tak silny, tak szarpał i szeleścił płaszczami, jak czerwoną banderą na statku, z białym napisem: *Stadt Francfurt*, że niepodobna było ustać na pokładzie, i mimo ciekawości widzenia okolic, musieliśmy zejść do kajuty: szczęściem że jasnéj, obszernéj i otoczonéj sofami, na których można było rozsiąść się wygodnie, i chcąc, drzemać jakby w kolebce kołysanéj falami. Adam mówił, że ile razy gdzie płynął, czy to okrętem, czy czółnem, zawsze miał wiatr przeciwny wprost w oczy. „A! zmiłujże się, nie chwal się z tém, rzekłem, bo cię Niemcy gotowi jeszcze gwałtem wysadzić na brzeg, jak kiedyś może pławiliby jak czarownika." — A nie miła téż to perspektywa i dla towarzysza podróży! Jest to jak siadać grać w *kixa* z partenerem, który zawsze przegrywa. Ale że mnie za to przeciwnie wszystko dotąd idzie jak z płatka, ciekawy tedy jestem, czyj wpływ nakoniec w podróży naszéj przeważy?—Z tego przyszło mi na myśl, że dla jakiegoś Pigault-Lebruna byłby to niezły wcale przedmiot do powieści, wystawić dwóch takich ludzi, podróżujących razem, i jak te same przygody i okoliczności, jednemu zawsze na dobre, drugiemu na złe wycho-

dzą. Adam pochwycił ten pomysł, i zaczął zaraz po swojemu wymyślać sceny, jak coraz nowi przyjaciele i przyjaciółki szczęśliwca, których on na każdym kroku spotyka, nudzą i wprowadzają w kłopot jego towarzysza. Zaczepiony w ten sposób, musiałem stanąć ku odsieczy, i zdobyłem się wzajemnie na parę scen, w których *namormoszony* humor i niemota odludka, narażają go na ciągłe zajścia z furmanem, z oberżystą, (jak w komedyi Fredry), i nakoniec z ładną panienką, które potém biedny towarzysz musi jakoś łagodzić i godzić. A że wzorki były wzięte z natury, a przy ostatnim zwłaszcza stał mi w żywéj pamięci obraz pięknéj panny Celiny, z łaski jego niegdyś płaczącéj: odciąłem się więc jako tako, tak, że Adam śmiejąc się i kręcąc głową oświadczył, że z wielkiém podziwieniem swojém, zaczyna upatrywać we mnie żyłkę dramatyczną. To mię, wyznaję, połechtało po sercu; ale przedewszystkiém poczułem, jaka to być musi przyjemność, w dobrym humorze i w dobréj komitywie z przyjaciółmi, układać wspólnie jakąś komedyę czy powieść, jak to zwykli czynić Francuzi. Zaproponowałem więc próbkę w tym rodzaju. Adam zgodził się i podał tytuł: „*Podróż Imć panów Kaspra i Baltazara;*" formą zaś miał być dyaryusz, który każdy z nich co wieczór pisze osobno dla siebie. Wiém ja dobrze, że w końcu nic z tego nie będzie; ale tymczasem ubawiliśmy się serdecznie, planując ów zamek na lodzie.

Marzenia przerwał okrzyk: *Hochheim, meine Herrn! Hochheim! Wer wünscht Hochheimern*

kosten?" Był to kellner w szlafmycy i w białym fartuchu, wnoszący kilkanaście półbutelek wina, z zielonemi kieliszkami na tacy. Dowiedziałem się od sąsiada, że przepływamy właśnie około sławnych winnic Hochheimu. Sama wioszczyna czy miasteczko niewielkie, ale winnice, jak okiem zajrzeć, rozciągają się szeroko na prawym brzegu rzeki. Wino kwaśne, jak wszystkie reńskie; Adam—nie ja—znajduje, że smaczne. Ale jeżeli każda sławniejsza winnica ma być witana podobną libacyą, to odbywający podróż po Renie, muszą ją chyba kończyć w objęciach Morfeusza.

„*Rhein! Rhein!*" ozwały się znów głosy w kajucie, i siedzący zaczęli się poruszać, jedni zaglądając do okien, drudzy tłumnie wychodząc na pokład. Wyszliśmy więc i my za innymi—i dziwnéj wspaniałości widok roztoczył się przed oczyma naszemi. Szeroki jak dziesięć Niemnów, jak zwierciadło nieba błękitny, a jak ogniem gorejący od słońca—w lewo i w prawo, na tle nieprzejrzanéj równiny, rozwijał się, jak w pełni i w blasku swéj chwały, poważny król rzek europejskich—cicho, spokojnie, a majestatycznie.

Piérwsze wrażenie, którego doznałem, przypomniało mi piérwsze obaczenie Göthego. Adam mówił, że widzi Druidów i Rzymskie legiony Cezara. W istocie zaś widzieliśmy wprost przed sobą, na lewym już brzegu Renu, bielejące śród drzew zieleni, a rozsypane szeroko, większe i mniejsze domy ogromnéj wsi *Weisenau*, a na prawo, skupione w czarną massę wysokie mury i twierdze Moguncyi,

których blask słońca, bijący nam w oczy wprost z za nich, nie dawał po szczególe rozeznać. Prąd Renu, z podwójną szybkością, porwał ku nim nasz statek— i w godzinę potém niespełna, staliśmy już na szczycie katedralnéj wieży, admirując z jednéj strony jaskrawy zachód jesiennego słońca, z drugiéj ozłoconą jego odblaskiem, we mgle błękitnawéj niknącą, szmaragdowéj zieloności równinę: mnóstwem wsi i miasteczek, jak białemi perłami usianą, a zachwycającą równie żyznością, jak i malowniczością widoków, tam zwłaszcza gdzie Men wpada do Renu.

Ale sen nie może zmienić się prędzéj, jak się zmienił rodzaj wrażenia, gdy prosto z wierzchołka wieży weszliśmy do środka katedry, pysznéj, olbrzymiéj, gotyckiéj budowy—największéj jaką dotąd widziałem—i przy gasnącém już w niéj świetle dziennén, oglądaliśmy zwłaszcza grobowce Arcybiskupów i dawnych rycerzy, różnych kształtów i z różnokolorowych marmurów; tudzież mnóstwo posągów Świętych, zdobiących chór przed wielkim ołtarzem, z czerwonego, jak on, drzewa rzeźbionych; gdyż z powodu jakiéjś fabryki w kościele, wszystkie obrazy w ołtarzach były zawieszone płótnami. W środku chóru, na przeciw drzwi i wielkiego ołtarza, tron dawnych Arcybiskupów-Elektorów, sklepiony w kształcie katedry, a nad nim Ś-ty Marcin, patron Moguncyi, na koniu, unosi się jakby w powietrzu, podając chustkę jakiemuś choremu. Pomniki te i grobowce przeszłości i chwały ludzkiéj, obok świeżych obrazów wiecznie żywéj i wiecznie odmładzającéj się natury, dzi-

wnie jakoś przemawiały do duszy; a zmrok coraz wyraźniéj zalegający kościół, i ją zda się również ogarniał.

Adam patrzał pilnie na wszystko i milczał; ja patrzałem na wszystko, i na niego;—ale nie przewidziałem bynajmniéj effektu, jaki na nim widoki te sprawić miały. Jak Correggio kiedyś, nie umiejąc jeszcze rysować, poczuł się nagle malarzem, oglądając galeryą obrazów: tak i w nim widać raptem obudził się zmysł malowniczy, który w jego poezyach czujemy. Ledwośmy bowiem, po herbacie w cukierni, pod „*Złotego Karpia*" wrócili, zaczął naprzód prawić szeroko o właściwościach i potędze malarstwa: jak od razu, nakształt zwierciadła, przedmiot i wrażenia odbija; a potém, gdy ja mówiąc téż o tém, przyrównałem, pod względem wyrazistości, malarstwo do spójrzenia, a poezyą do słowa: on chcąc, jak mówił, wynagrodzić mię za to, oświadczył, że chce zaraz rysować mój portret. Rozumiałem, że mówi żartując, i podziękowałem uprzejmie za ten zaszczyt, mówiąc: że dopóki zdrów jestem i żyję, spodziewam się, że ani anatomii, ani chirurgii, ani takiemu malarstwu za przedmiot do studyów służyć nie będę.—„Nie chcesz? a będziesz żałował!" odpowiedział; i gdy ja siadłem właśnie aby pisać do ciebie, on zapalił sobie dwie świéce, i postawiwszy je przed zwierciadłem na stole, od godziny już przeszło rysuje sam siebie, a to z takiém oddaniem się i zajęciem, jak gdyby rzeczywiście umiał i rysował.—„Caca, Adalku, caca! ale pora już luli!" wołałem po razy

kilka; ale on ani chce słuchać o spaniu, póki nie skończy swego arcydzieła, nad którém sam się unosi i mnie ciągle do admiracyi przyzywa. Jakoż i admiruję z głębi duszy tę prawdziwie staro-rodzimą, wiejską, bo nie powiem *dziecinną* prostotę, która go w potocznéni życiu cechuje. Jeden tylko pan Tomasz [1]) ma coś podobnego. Po światowemu i po chrześcijańsku rzecz biorąc, geniuszem, rozumem i rzeczywistą pokorą, jest on równie wyższy od wszystkich. Nie śmiałbym powiedzieć mu tego; myślę tylko i korzę się sam w sobie, czując z doświadczenia własnego, że:

Nié ma większéj rozkoszy na ziemi i w Niebie,
Jak znać, czuć, czcić i kochać wyższego nad siebie.

Bądź zdrów!

---

[1]) Zan.

XXIII.

Do tegoż.

Koblentz, 5 Września 1829 r.

Witaj mi, Renie! Tyś jak ślubna wstęga
Dwóch cudów świata: gór i mórz, któremi
Natura wzajem ziemię z niebem sprzęga:
Gór wysokością go sięga,
Mórz je zwierciadłem rozlewa na ziemi!

Witam cię, patryarcho rzek! ty, który
Słyszysz od wieków—to Druidów chóry;
To dźwięk arf *Minny* [1]); to bardów-pielgrzymów
Z cudzych, dalekich ziem; co tu dziś jeszcze
Niosą ci ze czcią hołd pieśni i rymów,
Hołd swéj wdzięczności—za natchnienia wieszcze,
Niewyczerpane, jak twa głąb; kwitnące,
Jak brzegi twoje; rozweselające,
Jak wino twoje; co u stóp ponurych,
Dzikich skał twoich rośnie; a na których,
Dzikszéj przeszłości jeszcze—bo morderczéj,
Bo bratobójczéj—ślad do dziś dnia sterczy
W ruinach zamków, tych gniazd—nie sokołów,
Nie orłów, ale sępów; co na połów
Z gór tych czatując, ćmiły, nakształt chmury,
Prawa ludzkości i wdzięki natury,

---

[1]) *Minne*, w staro-niemieckim języku znaczy *miłość;* ztąd bardowie niemieccy w wiekach średnich, noszą nazwę *Minnesingerów*, (śpiewaków miłości).

A krew swych ofiar i łzy, jak strumienie
W nurt twój zlewając, plamiły cię, Renie!
Toć i potęgi ich gruz—nie żałobą,
Lecz stał się raczéj twych brzegów ozdobą,
Godłem tryumfu ery nowych czasów:
Które po wiekach burz, klęsk i zapasów
Sprawiedliwości z gwałtem, jasną zorzą
Wschodzą nad światem, i pokój mu wróżą.
Pokój!—jeżeli jak ty po równinie,
Od gór duch Boży przez ludzkość popłynie,
A uszanują bieg jego i chwałę
Skaliste rafy i wichry zuchwałe!

Nasamprzód tedy masz rym, świeżo ułowiony dziś w Renie, (rak czy ryba? sam osądź), podczas żeglugi z Moguncyi do Koblentz, a więc właśnie wzdłuż i w pośród tych brzegów, które stanowią główny cel i główny wdzięk podróży Reńskiéj, a o których tylekroć marzyliśmy razem, czytając *Childe-Harolda* Byrona. Układałem go leżąc na pokładzie, wsparty głową na kolanach Adama, która mu za to nawzajem służyła za punkt podpory do rysowania ciągle widoków gór i ruin, któreśmy po kolei mijali. Zapał ten do rysunku od wczoraj przeszedł w nim jak gorączka w malignę. Do południa zabazgrał cały swój pugilares; i gdyby nie stanowczy mój opór, na który się zdobyć musiałem, byłoby to i z moim dzienniczkiem. Z początku to mię bawiło; ale potém zaczęło nudzić, a nakoniec już prawie gniewało; tém bardziéj, że byłem w niemałym ambarasie, co odpowiedzieć dwóm jakimś bardzo porządnym młodym Niemcom, z którymi się na statku poznałem, a którzy,

widząc go rysującego wciąż z takiém zajęciem, brali go za jakiegoś pejzażystę-malarza, zdejmującego na seryo szkice do przyszłych swoich obrazów. Przekładałem więc, że się wstydzę za niego, i że on sam więcéj jeszcze powinien się wstydzić, że zamiast téj studenckiéj—nie zabawy już nawet, ale po prostu psoty papieru i czasu, nie woli raczéj pomyśleć choć o jednym jakim sonecie, któryby obok *Krymskich*, przypomniał kiedyś ludziom, że autor ich pływał téż i po Renie, i jak tam patrząc na *Czatyrdah*, wołał: *Ah!*, tak tu, mając przepływać przez *Bingerloch*, wołał czy nie wołał: *Och!*—Ale to wszystko był na ścianę groch. Mówił owszem, że i w Krymie podobnież zrysował wszystkie góry i ruiny zamków. Domyśliłem się więc czego mu tu braknie: to jest żywéj, jak tam była, Muzy, coby mu pióro zamiast ołówka ciepłą rączką do ręki wcisnęła. Śmiejąc się pogroził palcem; co zwykle towarzyszy każdemu przypomnieniu albo cytacyi sonetów (nie Krymskich); ja zaś chcąc w nim obudzić poetycką wenę, zacząłem czytać mu głośno niektóre legendy o różnych nadreńskich zamkach, których mi użyczyli ci dwaj moi nowi znajomi. Ale gdy i to, zamiast spodziewanego effektu, obudziło w nim tylko ochotę do kreślenia historycznych obrazów: (na co jeszcze musiałem gwałtem wydrzeć i dać mu dwie kartki z mego dzienniczka); zostawiłem go całkiem na pastwę temu demonowi bazgractwa, który choć na tym punkcie znalazł przecież do niego przystęp; i usiadłszy sam na przodzie statku, patrzałem, patrzałem, i patrzałem;—aż nakoniec, do-

brze już po południu, brak zupełny czystego papieru i jego téż w spektatora tylko przemienił.

Aleś ty pewnie ciekawszy spektaklu, i chciałbyś może, ażebym w tym liście kusił się tak o jego oddanie, jak Adam w swoich rysunkach? Nic z tego, mój dobrodzieju! Gdybym czuł talent i siłę po temu, toćbym już wolał zamiast prywatnego listu, który ledwo kilku przeczyta, pisać od razu wprost do potomności, choćby do przyszłorocznéj *Meliteli* mojéj. A jednak z drugiéj strony, Bóg widzi, że chciałbym z duszy z serca dać ci przecież jakie takie wyobrażenie o tém, com widział; uprzedzam tylko, abyś nie szukał w tém żadnéj literackiéj wartości, i nie posądzał mię o pretensyą do tego. Bo choć to pięknie brzmi na pozór w piosnce:

„Mierz siłę na zamiary,
„Nie zamiar podług sił!"

ale co w życiu i w prozie, a nawęt choćby i w pisaniu wierszy, to zdrowy nasz gospodarski rozsądek wprost przeciwną maxymę dyktuje. I co do mnie, wierzę najmocniéj, że sam geniusz nawet bezkarnie jéj przestąpićby nie mógł. Tylko że geniusz w wielu razach podobny jest do owego olbrzyma w bajce, który wdziawszy zaklęte bóty, stąpa od razu siedmiomilowemi krokami. Patrzącym jużciż zdaleka, zdawać się musi koniecznie, że to czyni nad siłę — nad siłę ich, nie nad swoję; — bo on zna dobrze siłę swoich bótów. Inaczéj, krok każdy nad siłę musi tylko sprowadzać upadek. I w tém to właśnie jest

źródło śmieszności, która tak często w świecie i w literaturze, pyszałków i zarozumialców spotyka.

Po téj przedmowie, śmiało już jakoś przystępuję do rzeczy—i naprzód, zaczynając *ab ovo*, wypisuję ci z „*Guide du voyageur*:" „że Ren na przestrzeni 150 mil, którą przepływa (wypłynąwszy z podnóża Alp Gryzońskich), bierze w siebie 2,300 rzek, rzeczek i strumieni rozmaitéj wielkości, i nosi aż cztery tytuły: „*górny*, *wyższy*, *średni* i *niższy*." Otóż ów *średni*, pomiędzy Moguncyą a Bonn: a zwłaszcza ta *część* jego, pomiędzy Moguncyą a Koblentz, którąśmy dziś właśnie przebyli; a zwłaszcza ta część téj części, która się nazywa *Rheingau*; ma właśnie owe najpiękniejsze brzegi, i owe najsmaczniejsze—choć zawsze kwaśne—wina, które go wsławiają u świata. Tu bowiem Ren przerzyna w poprzek pasma gór *Schwarzwald* i *Taunus*, zalegające kilkadziesiąt mil kraju wzdłuż i wszerz. Autor *Legend Nad-Reńskich* nazywa kraj ten *apteką*, z powodu mnóstwa mineralnych źródeł, do których należą i Emskie. A więc można go nazwać i *piwnicą*, z powodu win, i *galeryą obrazów*, z powodu malowniczych widoków. A ja jeszcze i to dodaję: że chcąc, można w nim widzieć, jakby w symboliczném streszczeniu, całą dziejową przeszłość, nie tylko jego samego, ale i całéj środkowéj Europy. I tak np. twierdze Moguńckie—to zabytek dawnych twierdz Rzymskich, gdzie—mówiąc słowy Walter-Scotta·

„Gdzie Rzym swe niegdyś orły światowładne
Zatrzymał w locie—i chciwym napaści,
Raz piérwszy kazał: swéj tylko strzedz własci;

nie troszcząc się bynajmniéj o to, jaką drogą do właści téj przyszedł, i czy ta właść z jego władzy kontenta.—Piérwszą winną latorośl zaszczepił tu Karol W., który, jako już mocarz chrześcijański, dbał przecież i o dobro swych ludów.—Winnice, stanowiące dziś główne bogactwo i przedmiot krajowego handlu, zakładane i uprawiane były najpiérwéj przez zakonników, którzy pracując duchem w *Winnicy Pańskiéj*, za trud ziemski dla dobra braci, zapłaty tylko od Ojca Niebieskiego czekali; i dając przez to przykład pracy *produkcyjnéj*, uczyli téż zarazem przykładem, w jakim duchu pełnić ją trzeba, aby wiekom pożytek przyniosła.—Klasztory ich, gęsto śród gór tych rozrzucone—to znowu symbol, jeżeli nie saméj miłości, która jest szczytem, to przynajmniéj bojaźni Bożéj, która jest początkiem mądrości. Większa ich bowiem część, jak świadczą podania, wzniesiona jest przez główniejszych bohaterów *Faustrechtu*, (prawa pięści), którzy, jeśli w bujaniu młodości i pychy, nie zawsze mogli poskromić wybuch namiętności lub gniewu: to przynajmniéj chociaż na starość, lub pod wpływem zgryzoty sumienia, kajali się skruchą w swych grzechach, i sami nieraz w fundowanych przez siebie klasztorach pokutniczy żywot kończyli.—Gruzy warownych ich zamków, dotąd po nad brzegami przepaści, lub po szczytach gór niedostępnych sterczące, czyż to znowu nie symboliczne obrazy ich wewnętrznego i społecznego życia? Zawsze w dzikiém odosobnieniu; zawsze w przewidywaniu napaści; zawsze w niebezpieczeństwie upadku! Gdzie takie ostrożności,

tam już pewno nienawiść; gdzie nié ma miłości społecznéj, tam już chyba w tryumfie pychy lub w zdobytych łupach pociecha! To téż wszystkie te zamki Grafów i Baronów, były zarazem jak jaskinie zbójców. Oprócz wojen orężnych z podobnymi sobie, nie wstydzono się łupić podróżnych i kupców, zwłaszcza żeglujących po Renie: zrzucaniem z gór ogromnych kamieni druzgocąc ładowne ich statki, które śmiały nie złożyć wymaganéj opłaty.—Cóż to więc za różnica ze staremi zamkami u nas! U nas zamek, to razem i pałac;—pałac owszem więcéj, niż twierdza. Wały były zwłaszcza dla tego, żeby było zkąd strzelać na wiwat; w budowie więcéj o gościach, niźli o załodze myślano; o przyjaciołach więcéj, niż o nieprzyjaciołach; bo z tymi niesnaski sąsiedzkie, winem się raczéj niż krwią zalewały. Jeżeli dziś stoją ruiną, to najczęściéj tylko dla tego, że zbyt hojna gościnność jednego lub kilku pokoleń, wyczerpała z góry zasoby, na dalsze ich utrzymanie potrzebne. Ale za to przechodzień, który przeszłość pamięta, jeżeli patrząc dziś na nie, nie zmówi *Aniół Pański* za ich dawnych dziedziców, to przynajmniéj na pewno pomyśli w sercu: Szkoda! Tu przeciwnie, większa część tych feudalnych zamków zburzoną została umyślnie, i to nieraz połączonemi siłami Cesarzów i miast okolicznych, chcących przez to krajowi i sobie pokój i bezpieczeństwo zapewnić; a każdy co wié o tém, patrząc na ich gruzy, jeśli się wstrzyma od „*verfluchte Kerle*," to pewno pomyśli: „*Gottlob!*" że już ich nié ma.

Kończąc zaś tę historyczno-moralną symbolikę kraju, dodam jeszcze, że wpośród wszystkich tych ruin, tych stolic i twierdz *Prawa pięści*, które niegdyś światem rządziło: jeden dziś tylko zamek, a raczéj dawny klasztor, *Johannisberg*, nie tylko podniósł się z gruzów, w których leżał czas jakiś jak inne, lecz owszem świeci w całym blasku przepychu i architektury nowoczesnéj. A Johannisberg—to własność i letnia rezydencya xięcia Metternicha, Arcy-Kanclerza Cesarstwa Rzymskiego, Arcy-Mistrza dyplomacyi Europejskiéj, która dziś po Faustrechcie panuje nad światem!—A i wino tegoż imienia, uprawiane na górze zamkowéj, ma téż może nie mniejsze symboliczne znaczenie. Jest ono najsławniejsze i najlepsze ze wszystkich win reńskich; lecz go żaden prosty śmiertelnik i lud Boży nigdy nie pije. Właściciel, oprócz użytku własnego, rozsyła je tylko w prezencie monarchom albo swoim współ-kolegom ministrom; to zaś, co w handlu i na stołach pańskich figuruje pod pseudonimem *Johannisbergu*, w najlepszym nawet razie, rośnie chyba tylko w tych miejscach, zkąd można choć z daleka widzieć Johannisberg.

Aleś tu znów pewnie ciekawy, co zacz są, to jest jak wyglądają, te prawdziwe na seryo winnice? Bo jużciż nie możesz przypuszczać, aby były podobne do tych, które widujesz w Zdzięciole, jak nietoperz rozpięte na murze. Jeśli jednak koniecznie chciałbyś podobieństwa, to masz je w naszych chmielnikach. Tylko że chmielniki—to lasy, a winnice—to młode gaiki. Zdaleka piękne to dla oka: na równinach ja-

ko zieloność; a po górach, jako girlandy, albo wstęgi rzędami naszyte. Adam jednakże utrzymuje, że nawet nasze karłowate jałowce piękniejby jeszcze wyglądały; a cóż dopiéro mówić o naszych nad-Niemeńskich dębach, o naszych brzozach w bieli, albo jarzębinie w koralach?—Ale hola! mój domatorze! Nie myśl, że patrząc na to wszystko z okna, masz już coś piękniejszego nad to, po cośmy my tak daleko jechali. Wszystko tu razem wzięte jest cudne, piękne, śliczne, wspaniałe, zachwycające! i patrząc, myśl wtóruje piosence poety:

Wem es beschieden ist,
Bleib an des Rheine's Strand!
Nirgend hienieden ist
Doch ein so feines Land!

Ktoś raz miał przed oczyma
Wspaniały, piękny Ren,
Wyznaj, że świat ten nié ma
Wspanialszych, milszych scen.

Żeby się więc im lepiéj przypatrzyć, płynęliśmy już nie statkiem parowym, który dziś nawet w tę stronę nie idzie, ale tak zwanym pocztowym, o żaglach. A że przytém wiatr był pomyślny, zrobiłem uwagę Adamowi, że nie on jest widać bohaterem dzisiejszéj naszéj żeglugi, i że nie o nim jednym myśli tylko Eol. Zaśmiał się kręcąc głową, ale nic nie odpowiedział.—Ja piérwszy raz płynąłem pod żaglami. Wzdymają się i dyszą jak piersi łabędzie, a nie jak tę smocze wyziewy kłębów dymu i pary, któremi syczy i świszcze parochód.

Do około Moguncyi—równiny; góry tylko błękitnieją w oddali. Brzegi i wyspy na Renie walczą o bujność i świeżość zieleni. Od prawéj strony góry zaczynają się zbliżać ku rzece, i wnet stają tuż po nad brzegiem. Tu właśnie zaczyna się *Rheingau*. Widoki coraz piękniejsze. Wsie i miasteczka śród winnic, łączą się jedne z drugiemi. Z lewéj strony jeszcze równina. Ale wnet dopływa się do miejsca, które, podług mnie, jest jakby reprezentacyjném zebraniem wszystkich razem piękności i osobliwości Reńskich. To *Bingen*. Tu najsławniejsze po Johannisbergu winnice *Rüdesheimu;* tu najpiękniejsza wieś tegoż imienia, tuż obok miasta czy miasteczka Bingen. Tu razem Rzymskie i średniowieczne ruiny. Tu Ren nakoniec, w największéj szerokości swojéj (2,000 stóp), wchodzi nagle jak w bramę gór, i rozlewa się nakształt jeziora śród olbrzymich skał okolicznych. Tu „pochwyca w gwałtowne ramiona" jak Niemen, dążącą doń z lewéj strony rzekę *Nahe*, niemniéj, jeśli nie więcéj od Wilii szeroką, i „tuląc ją do zimnego łona," zakręca się jak w tańcu z podwojoną szybkością, i szumiąc wpada—jak w grotę, jak w wąwóz, jak w ulicę—wpada między dwie ściany stromych, z obu stron tuż nad brzegiem wznoszących się skał; nagich u szczytu, zielonych u spodu; z pośród których niebo u góry wydaje się już tylko jak wstęga, jak druga napowietrzna rzeka, téjże saméj co Ren szerokości. A końca téj drogi nie widać! bo się przedłuża na mile; a próg do niéj stanowi sławna rafa *Bingerloch*—Charybda Renu! nie dość bezpie-

czna dziś jeszcze, a przed wieki tak niebezpieczna, że trzeba było takiego bohatera jak Karol W., aby ją, podług podania, piérwszy odważył się przepłynąć.

Jest to skała, a raczéj łańcuch skał podwodnych, przelegający w poprzek całą rzekę, których trzy tylko ostrza wysterkają nieco nad wodę, a śród których Ren, dotąd spokojny i cichy, zakręcając pieniste wiry, „i wre, i szumi, i huczy, i pryska," jak głąb morza w *Nurku* Szyllera. Ale cały ten poetyczny epizod Renu, ma już podobno na rok przyszły do reszty na powietrze wylecieć; bo główniejsze jego *porohy* przedtém już rozsadzono minami. Tymczasem starzy żeglarze Reńscy, katolicy i protestanci zarówno, mając przebywać Bingerloch, zdejmują pokornie czapki przed obrazem Ś-go Mikołaja, patrona szczęśliwéj żeglugi, umieszczonym tu we framudze wykutéj w skale, lub go nawet wieńczą kwiatami. „Kiedy trwoga, to do Boga!" I przyszła mi na myśl bajeczka Krasickiego o filozofie, zapewne niemieckim, co to wiész, *zaúfany w zdaniach*, pod biretem swym lub szlafmycą poczętych:

Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich Świętych.
Przyszła trwoga;—aż mędrzec, co firmament mierzył,
Nie tylko w Pana Boga—i w upiory wierzył.

Adam stosuje to do wszystkich tak zwanych filozofów dzisiejszych, z których żaden nie dałby się umęczyć za prawdę swoich idei. Jedna tylko prawda na ziemi w ten sposób potwierdzoną została; i w tém znak właśnie, że zstąpiła z Nieba.

Ale nie tylko z powodu téj bajeczki przypomniał się nam w tych miejscach autor *Myszeidy*. Tuż przed samym *Bingerlochem*, na wyspie w pośrodku rzeki, czerni się stara ruina sławnéj w legendach *Myszéj Wieży*, (*Maüsethurm*), gdzie myszy zjadły niegdyś Arcy-biskupa-Elektora Moguncklego, Hattona. Srogi ten i okrutny władzca, gdy lud zgłodniały domagał się chleba, kazał rokoszan zamknąć w pustym spichrzu, otoczyć słomą i spalić; słysząc zaś jęki ginących w płomieniach, odezwał się szyderczo do dworzan: „Słyszycie, jak myszy piszczą?"—Ale od téjże chwili ten pisk i obraz myszy zaczął prześladować go wszędzie: we dnie i w nocy, w domu i w kościele. A czy to były zgryzoty w postaciach myszy, czy myszy w zastępstwie zgryzot: dość, że Hatton nie mogąc ujść od nich na lądzie, zbudował sobie tę wieżę na wyspie, i schronił się do niéj ze swym dworem. Ale zgryzoty i myszy przepłynęły za nim przez rzekę, obległy go w téj nowéj warowni, i czy to literalnie, czy figurycznie, dość, że go w niéj w końcu zagryzły, jak naszego Popiela w Kruszwicy.

A tymczasem nasz statek, pełnemi żaglami, szybuje, jak rybołów lub mewa, w tém olbrzymiém, podłużném, dziwnego rodzaju *aquarium*, którego boki ze skały, a spód i wierzch jakby z kryształu, z błękitów nieba i wody. Szczegóły obrazu wciąż inne, ale tło i koloryt te same. Wsie i miasteczka, które pomijamy, kryją się po wąwozach, jak dziewczęta przed swatami w zapieckach, kilku ledwo oknami wyglądając na rzekę.

[redacted]

Wtém nowi moi przyjaciele Niemcy, otwierają z pośpiechem swoje *Reisesaki*, i dobywają z nich— co? pistolety. *Ach! Herr Jesus!* cóż to będzie? pojedynek czy rozbój?—Nie bój się! Dopływamy do olbrzymiéj skały. Profil ma podobieństwo rysów twarzy ludzkiéj, które jedni drugim na statku ukazują palcami. Ale nie z tego tylko słynie skała *Lurley*, albo *Loreley-fels*. Sława jéj, to jakby symbol wszelkiéj sławy ludzkiéj—to echo. Każdy Niemiec wié o niém z przysłowia. „*Lurley-echo*,” to plotkarz; to każda wieść głośna, która się rozlega szeroko. A jest to, podług legendy, pokutniczy głos ducha pięknéj Lory, córki kasztelana zamku, która kiedyś w tych miejscach odegrywała rolę Syreny; to jest, tak była piękna i tak uroczo śpiewała, siadując na skale przed zamkiem, że zapatrzeni i zasłuchani żeglarze rozbijali się o podnożne rafy na rzece, i stawali się łupem jéj ojca. Za to więc, że tak wszystkich głosem swoim kusiła, musi teraz głos każdy powtarzać, i to tak po wielekroć, jąk sama po wielekroć grzeszyła.—Miły Boże! a cóż to będzie z poetami? np. z jakimś Bérangerem, który tak cudnemi piosnkami tyle dusz i serc niewinnych na pokusy i rafy prowadzi?

Strzał z pistoletu, jak trzask piorunowy, łamie się tu i powtarza kilkanaście razy. Tu się skończył, tam się zaczyna; w różnych stronach, i coraz daléj. Niemcy moi tak grzeczni, że wystrzeliwszy sami, nabijają i dla nas pistolety. „Na czyj wiwat mam strzelać?” zapytuję Adama.—„Pustych głów! będzie najgłośniéj”—była grzeczna odpowiedź. —„ A więc na

cześć twego dowcipu!" — I pistolet zagrzmiał jak piorun.

Adama strzał był ostatni. Po gromowych łoskotach — melodya. Jakiś majtek *„stiesst ins Horn,"* to jest, zagrał na trąbce. Efekt prawdziwie czarowny! W górach jakby orkiestra trąbek. *Silber-groschen* spadając do czapki trębacza, wzmagają w nim siłę i zapał. Coraz żywsze i dłuższe wygrywa *fanfary;* coraz dłużéj i coraz daléj powtarza je chór napowietrzny [1].

Nagle Ren, skrętem węża, obwija się wkrąg skały Lurley; opływamy ją, i echo pozostaje za nami. Podług zegarków, słońce jeszcze nie zaszło, a zmierzch już nas wkoło otacza. Prawda, że i mgliste obłoki skupiły się i kłębią u góry; tak, że chociaż po za wsią *Boppart* wypływamy z paszczy wąwozu—to jest skały po stronie lewéj coraz daléj odstępują od brzegu— zmrok raczéj się powiększa niż zmniejsza. Niemcy z obawy deszczu pochowali się do kajuty, jak raki lub miętuzy do nory; my dwaj tylko, prócz majtków, nie schodzimy z pokładu, i choć deszcz drobny rzeczywiście prószy, okrywszy się jednym płaszczem jak kołdrą, leżymy sobie wygodnie pod masztem, patrząc na góry i chmury. Adam przytém w doskonałym humorze; a omijając śliczną ruinę zamku *Markenburga,* na wierzchołku lesistéj góry, rysującą się na

---

[1]) Trąbienie Wojskiego w *Panu Tadeuszu*, pisane było niewątpliwie z reminiscencyi Lurlejskiego echa. (P. A.)

tle obłoków: z kształtów jéj, jak Gall z czaszki, chce, jak mówi, dzieje jego przeszłości odgadnąć; i wpół na seryo, wpół żartem, fantazyuje różne sceny rycerskie i miłośne, do których wprowadzony giermek, nie jest bez konceptowych alluzyi do mnie. Admiruję wszakże inwencyą, i słucham z ciekawością jak bajki.—Tyczasem ściemniało na prawdę. Na statku zapalono latarnie, i po brzegach migają światełka. Majtek jakiś przechodzący koło nas, wskazał ręką na błyszczące gromadnie przed nami, mówiąc: „*Schon Coblentz!*" Powstaliśmy, aby lepiéj módz widzieć. Wiatr zaczął rozpędzać obłoki, i można się było domyślać, że xiężyc jest gdzieś za niemi. Po nad rzędami tych świateł, gęstych i mrugających jak gwiazdy, czarna jakaś, olbrzymia massa, wydaje się sama jak chmura. To *Ehrenbreitstein*, góra panująca nad miastem, ze sławną, niezdobytą fortecą na wierzchu. W miarę jakeśmy się zbliżali, cień od niéj padający na rzekę, a reflexem świateł nadbrzeżnych porznięty jak gdyby w kolumny, tworzył dziwnie uroczy obraz, jakby jakiéjś nadziemskiéj, fantastycznéj budowy, w czarnoxięzkiém zwierciadle odbitéj. Illuzya była kompletna. Piękniejszéj *Faty-Morgany* niepodobna nawet pożądać. Wtém — kiedy się tak zatapiamy w admiracyi—raptem stuk i wstrząśnienie statku!... ale wstrząśnienie tak silne, żem się ledwo utrzymał na nogach. Oj źle!—bo czy to mielizna, czy skała, zawsze perspektywa fatalna! Gorąco razem i zimno przebiegło mię jakoś po żyłach. Majtkowie cwałem zbiegli się do dzioba; podróżni hurmem wyskoczyli

z kajuty. *Was ist? was ist geschehen?* wołano na wszystkie strony.—„*Nichts! nichts! Seyn Sie doch ruhig!*" odpowiadał na wpół ze złością, sam widać nie dość spokojny kapitan: bo zbiegał sam i ciągle posyłał do składów, patrzeć pewnie czy się woda nie wciska.—„*Können Sie schwimmen?*" (umiész pan pływać?) zapytuje mię jeden z moich Niemców. Nie potrafię ci wypowiedzieć, jak przykrą to zapytanie sprawiło na mnie sensacyą. Nie wiém czy Adam to spostrzegł; ale w téj saméj chwili ujął mnie mocno za ramię, mówiąc: „Nie bój się, ja cię wyratuję!" (chwalił się bowiem nieraz, że jest doskonałym pływaczem). Nie zdołałem mu odpowiedzieć, kiedy znowu Kapitan, ale już tryumfującym głosem, zawołał na całe gardło: „*Seyn Sie ganz ruhig, meine Herrn! Kein Unglück ist geschehen!*" (Bądźcie całkiem spokojni, panowie!—nic się złego nie stało). Każdy pewnie odetchnął swobodniéj; a ja, może goręcéj niż kiedy, z radości na wszystkie strony wycałowałem Adama.—W kwadrans najdłużéj potém byliśmy już na lądzie, i w Koblentz—gdzie to piszę, w oberży „*zum Riesen*" (pod olbrzymem), ale w izdebce tak ciasnéj i nizkiéj, jakby była przeznaczona dla karłów. Że innéj wszakże nie było, musieliśmy poprzestać i na téj, choć za nią tyleż co i za lepszą płacimy.—Adam idąc z przystani, w piérwszym zaraz sklepie kupił sobie papieru. Przysiągłbym, że na dalsze rysunki; choć na pytania nic nie odpowiada. Ale że i mój arkusz się kończy—zatém na dzisiaj Dobranoc!

Post scriptum.

Jeszcze *Koblentz, 6 Września 1829 r. o południu.*

Nadspodziewanie bawimy tu jeszcze. Statek nasz tak sobie wczoraj nadtłukł nosa o skałę, że już dzisiaj iść daléj nie może, i musi się plastrować w przystani. Kapitan ma być odpowiedzialnym, że nie uniknął rafy, oznaczonéj na mappie. Dla nas to wyszło na lepsze; bo czekając na statek parowy z Moguncyi, który ma przyjść dopiéro po piérwszéj, mieliśmy czas obejrzeć miasto i być na solennném nabożeństwie w katedrze—katolickiéj, jak większość mieszkańców. Ja po wyjeździe z Warszawy, raz tylko byłem na śpiewanéj mszy w Dreznie, w dzień N. P. Maryi Anielskiéj; ale pomimo sławnéj muzyki tamecznéj, wrażenia ani porównać z dzisiejszém.—A cóż to za okropna rzecz ta powszedniość, a raczéj *spowszednienie* rzeczy! To mgła, to rdza, to piasek! Słońce zaćmi, stal zgryzie, piramidę zasypie. Nie darmo mówią przysłowia: że nié ma bohatera dla sługi, który go codzień ubiera i rozbiera, i że nikt nie jest prorokiem w swoim kraju, gdzie go codziennie każdy widzieć może. Kasper Hauser, wychowany, jak wiész zapewne, w ciemnościach podziemnego lochu, kiedy raz piérwszy ujrzał niebo i gwiazdy, nie mógł utulić się w płaczu, z podziwienia i z radości zarazem. My, że codzień patrzymy na nie, docho-

dzimy w końcu do tego, że nas ich widok nie odrywa od ziemi. Będąc, lub mogąc być codzień w kościele i na mszy, tracimy z myśli wielkość ich znaczenia. Aż mnie wstyd przed sobą samym, że dziś może raz piérwszy, i to dopiéro przez porównanie poczułem, co jest przybytek i ofiara Boga żywego, a co dom tylko nauki i modlitwy ludzkiéj. Rozumem tylko chcieć obcować z Bogiem, bez udziału wyobraźni i serca, jest to najwyższy wyskok pychy ludzkiéj; bo jest to chcieć Go zrozumieć, nie zaś czuć tylko, uwielbiać i kochać.

Syn człowieczy, choćby ojca nie kochał, może przecież—bo musi go słuchać, mając go widomie nad sobą. Ale Pana Boga nie widać; rozumem nikt Go nie pojął; a jakże Go pokochać nie czując? A co się tycze posłuszeństwa: toć autentyczność nawet *Testamentów* ludzkich widzimy nieraz podawaną w wątpliwość, i to nawet przez piérwszych dziedziców, skoro nie chcą spełniać warunków, do legatów ich przywiązanych. Cóż więc za dziw, że pokolenie drugie, jakiém jest Filozofia względem Protestantyzmu w Niemczech, nie tylko już pochodzenia *Testamentu*, ale i saméj exystencyi Testatora zaprzecza; i Pan Bóg dla niéj jest już tylko jak *Fata-Morgana* rozumu, które on sam—to jest rozum—tworzy i rozprasza: tworzy dopóty, dopóki jego promienie łamią się o jakieś granice; rozprasza zaś, gdy w pełnym blasku *absolutu*, zabłyśnie z pod biretu jakiegoś tam *Spinozy*, *Hegla*, *et Compagnie*.

Adam serdecznie nienawidzi ich wszystkich, i, jak mówi, gardzi nimi głęboko, jako trucicielami ludzkości; a to z zupełną świadomością ich dzieł, idei i celów. Bo co do mnie, wiém o nich tyle tylko, co o strachach—ze słychu, i poznawać bliżéj nie pragnę; tak jak códzień przed zaśnięciem żegnam się na tę intencyą, aby stracha nigdy nie widzieć. Za to byłem niezmiernie ciekawy, jak się Adam modli w kościele; ale właśnie za tę ciekawość zadałem sam sobie pokutę, i ani razu nie spójrzałem na niego. W Kownie kiedyś przed laty bywałem z nim na mszy studenckiéj, i wtedy zauważyłem tylko, że nigdy nie siadał w ławkach, ale albo stał przy nich, albo w pewnych chwilach przyklękał. Teraz jeszcze o tym przedmiocie ani razu mowy nie było; i ja przypominając tylko co mówił Oleszkiewicz, czułem w sobie tę grzeszną ciekawość, któréj się przecież zwyciężyć nie dałem.

Miasto Koblentz, na prawym brzegu Renu, zbudowane jest i ścieśnione między nim a Mozellą, która się łączy z nim tutaj na prześliczném równinie, jakby na axamitnym zielonym kobiercu. I jeśli Ren, jak Padyszach, inne rzeki, jak Odaliski tylko, przyjmuje w swoje objęcia: to Mozella, tak z szerokości jak z piękności swojéj, ma wszelkie prawo do tytułu sułtanki; tak, jak nadbrzeżna jéj twierdza *Ehrenbreitstein,* na stroméj, zewsząd przepaścistéj skale, nie darmo nosi chlubną swoję nazwę: *szerokiéj skały honoru.*

Bo ztąd zwycięztwo, zawsze pewne siebie,
Może spokojnie, jak Jowisz na niebie,

Lub śmiać się, słysząc huk Tytańskich gromów,
Lub patrzeć z wzgardą na podkopy Gnomów,
Aż prędzej później szturmujące wrogi
Zrobią, (jak wiersz ten), *fiasco*—drapną w nogi.

Tymczasem my dziś rano z jéj wałów używaliśmy, w pełném tego słowa znaczeniu, naprzód wspaniałego wschodu słońca, a potém niemniéj wspaniałych widoków, zwłaszcza gór i skał ponad-Reńskich, które blask jego po kolei odsłaniał, rozdzierając zasłony mgły nocnéj. Opisywać ci ich wszakże nie myślę; bo choćbym nawet miał ten rzadki talent, „ująć krajobraz w złote ramy słowa:” nie mógłbym dla nasycenia wyobraźni twojej, zapomniéć o pokrzepieniu sił własnych; co znaczy, że zamiast suszyć głowę nad temi deskrypcyami, musimy przed wyjazdem pójść gdzieś przecież na obiad; témbardziéj, żeśmy go wczoraj na statku nie jedli, poprzestając na kawie i na *butterszniłach.—Also, zum wiederschreiben in Bonn!*

XXIV.

Do tegoż.

Bonn, 7 Września, 1829 r.

Koblentz a Bonn, to wasze Słonimskie sąsiedztwo; tyle co od was do Wiązowca [1]): to jest tyle godzin, nie mil. Bo to wielka różnica lecieć wiatrem, parą i prądem po Renie, a wlec się ciężką waszą poczwórną landarą, i waszemi poważnemi końmi, po piasku, który sam chyba z głębokości swojéj może mieć jakie takie podobieństwo do rzeki.

Jesteśmy więc tedy w Bonn, gdzie wczoraj wylądowaliśmy przed szóstą. Brzegi Renu i tu jeszcze dość piękne, choć się nie mogą równać z poprzedniemi. Góry i skały nie ciągną się już jedną połacią lub ścianą, lecz tu i ówdzie skupiają się w gruppy, pozwalając pomiędzy sobą dolinom i smugom wić się i igrać w malownicze zakręty. Ztąd idzie, że mniéj téż ruin, a więcéj wsi i miasteczek. Tych ostatnich, jeśliś ciekawy, możesz sobie poszukać na mappie; z gór zaś i ruin wymienię ci tylko po jednéj, na których Muza położyła swą plombę.

Ostatnią przed Bonn gruppę gór, po prawéj stronie, składa sławna plejada siedmiu, *Siebengebirge*. Najwyższa z nich i najpiękniejsza, *Drachenfels*, (*Smocza skała*—od smoka, którego zabił tu Siegfried,

---

[1]) Wieś o 3 mile od miasteczka Zdzięcioła.

bohater Niebelungów), stroma i przepaścista, uwieńczona ruiną zamku, *mroczy się*, jak mówi Byron, tuż po nad *kręłym* i *szerokim* Renem:

The castled crag of Drachenfels
Frowns o'er the wide and winding Rhine;

a jak musi być piękną, to sądź sam ze słów tych następnych, które śpiewa o niéj Childe-Harold:

Tu myśl najchciwsza, najbardziéj skrzydlata,
Ma dość—by skrzydła zwinąć u téj góry
Bo gdzież ma szukać na przestrzeniach świata
Więcéj piękności i skarbów natury?

A jednak sam on wyznaje na końcu, że wszystkie te piękności i skarby miałyby dlań podwójny urok i wartość, gdyby z nim razem na nie czyjeś *drogie oczki* patrzały.

. . . . . . *All I schould see*
With double joy, wert thou with me;
Could thy dear eyes, in following mine,
Still sweeten more these banks of Rhine.

Oj! bieda z temi oczkami, mój drogi Juljanku!

Kto z nas ich nie klnie, i kto nie dba o nie?
Iskierki zda się—a świat od nich płonie.
Próżne gazowe i parowe jazdy!
Wszędzie za tobą ścigają jak gwiazdy.
Niechbyż przynajmniéj, jak gwiazdy na niebie,
Port, lub choć przystań wróżyły dla ciebie!
Gdzie tam!—wiész dobrze, że tylko ci wróżą
Wieczne zapasy z falami i burzą.
A jednak, jednak!—wbrew burzy i fali,
Ludzie wpław dla nich Bosfor przepływali;

A niechże zgasną, lub tęsknisz za niemi—
Wszystko ci kirem zamierzchnie na ziemi.

I mówię to nie sam z siebie, ale powtarzam tylko, co do mnie, i do wszystkich pływających po Renie, mówią tu swoją legendą: naprzód góra i zamek *Rolandseck*, na lewym jego brzegu, a potém klasztor na wyspie *Nonnenwerth;* wprost naprzeciw zamku leżącéj. Tu bowiem kiedyś odegrał się dramat, który Szyller tak wdzięcznie i rzewnie opowiedział w swoim *Toggenburgu*; chociaż, nie wiedzieć dla czego, i imię bohatera przechrzcił, i scenę z ponad Renu przeniósł między Alpy.

Mężny i sławny młody rycerz Roland, pokochał i zaręczył się z piękną Hildegundą, dziedziczką tego zamku na skale, który musiał się wtedy nazywać inaczéj. Grożący chrześcijaństwu napad Saracenów powołał go pod chorągiew krzyża. W bitwie, w któréj jego waleczność przechyliła szalę zwycięztwa, on sam, okryty ranami, padł zemdlony—i wieść się rozbiegła, że zginął. W skutek téj wieści, zrozpaczona kochanka przywdziała suknię zakonną, i w tym klasztorze na wyspie zamknęła się na resztę dni swoich. Tymczasem Roland, odzyskawszy siły, przybywa do zamku jéj ojca po nagrodę swych zwycięztw i chwały;—ale zamiast powitania kochanki, słyszy tylko piorunne słowa:

„Nie obaczysz już twéj lubéj!
Za zakonny próg,
Wieczystemi wczoraj śluby
Powołał ją Bóg.”

Roland zatem kruszy swój oręż, zrzuca zbroję, i odziany w strój pustelnika, zbudował sobie szałas na urwisku téj skały, wprost naprzeciw okien klasztornych, i pędząc w nim dni i lata, jak mówi Szyller:

Ani płakał, ni narzekał,
Tłumiąc łzy i jęk,
Tylko patrzał, tylko czekał
Na okienka brzęk.

Aż jak gwiazdka, jak jutrzenka,
Aż jak anioł z chmur,
Wychyliła się z okienka,
Patrząc w stronę gór.

I czy to w końcu, jak mówi Szyller, znaleziono go w téj postaci nieżywym, z okiem w okna klasztorne wlepioném; czy, jak powiada legenda, on sam pierwéj z wierzchu swéj skały patrzéć musiał na pogrzeb kochanki, kiedy ją na cmentarzu kościelnym grzebiono; dość, że oboje pomarli z miłości: on przekazawszy nazwisko swe skale, a ona pamięć swoję wszystkim czułym sercom, które do dziśdnia jeszcze, omijając tę wyspę, białemi chusteczkami zakrywają oczy, albo oparte o poręcz parostatku, pozwalają łzom-perłom staczać się do Renu.

Ale przyznaj, czy ta średniowieczna legenda nie warta stać obok greckiéj o Leandrze i Heronie z Abydos? Jedna i druda malują najwybitniéj — tamta zmysłowo-pogański, ta chrześcijańsko-duchowy charakter miłości. Leander, w nadziei rozkoszy, walczy ciałem z siłami natury: z ciemnością, wichrem i morzem, aby na blask lampy kochanki, codzień do niéj

przez Hellespont przepłynąć. Roland, zadając gwałt sercu i boleść na milczenie skazawszy, przez Ren nawet nie pragnie zbliżyć się do swojéj; ma ją i kocha w swéj duszy; i jak na gwiazdę tylko spoglądając zdaleka, żyje w myśli nadzieją chwili, gdy się z nią w krajach ducha na wiek wieków połączy.—Mówiłem to Adamowi, przeczytawszy mu naprzód legendę; ale on zasępił się tylko i milczał. Przyszedł mi na myśl wiersz sonetu:

„*Mary ja* dotąd w pośród pamiątek kościoła.....“

Chociaż, bodaj, że w nawach pobocznych przesuwają się niekiedy i inne postacie! Ale to wszystko zatrzymałem przy sobie; bo to jego *sezam* zaklęty, który się nie otwiera przed nikim.

Płynęliśmy wspaniale i szybko na ogromnym parostatku „*Friedrich Wilhelm der Dritte*,“ nie tylko o sile, ale nawet możnaby dodać o rżeniu i parskaniu nie wiém ilu koni; które to parskanie i rżenie zastępowały, ma się rozumieć, świst i pryskanie pary, a niekiedy i wody z pod kół obrótowych. Na pokładzie, jakby na rynku, tłum ludu, stosy pak, i dwa rzędy powozów, z dyszlami do góry. Chciałem zatém, za przykładem moich przyjaciół Niemców, wziąć bilety na miejsce trzecie; ale *gentleman* Adam nie zgodził się na to. Zapłaciliśmy więc darmo haracz próżności—nie wiém tylko, czy poetyckiéj, czy polskiéj; bo na tém drugiém miejscu taka była ciżba, i tak wszystkie siedzenia zajęte, że niepodobna było ani stać, ani się ruszyć, bez *pardonu;* to jest, żeby albo nie być szturchniętym, albo co chwila nie po-

szturchnąć kogoś; zaczém wnet, jak każe obyczaj, musiało następować sakramentalne: *pardon!* Kiedy zaś chciałeś spójrzeć na widoki, to obok najwyższych wierzchołków gór, miałeś zawsze na piérwszym planie czarne lub białe kapelusze męzkie.

> A gdy wzrok chciał się dobrać do błękitów Reńskich,
> Tyle wprzód spotkał wzroków żeńskich i panieńskich,
> Że lub dla nich zapomniał spoglądać na rzekę,
> Lub żeby ich nie widzieć, zamrużał powiekę.

Jedném słowem, tak nam źle było na tém *drugiém* miejscu, że w końcu jak niepyszni zrejterowaliśmy się dobrowolnie na trzecie, za którebyśmy od razu po talarze mniéj zapłacili. I co do mnie, doznałem sam na sobie prawdy tego wiersza Boala:

„Tel brille au second rang, qui s'eclipse au premier."

Tu bowiem nagle i niespodziewanie, bez żadnéj pretensyi i myśli, stałem się na czas jakiś pryncypalną figurą, oratorem, a raczéj *narratorem*, którego wszyscy, jak Eneasza na dworze Dydony, z rozdziawioną gębą słuchali:

„Conticuere omnes, intentique ora tenebant."

A oto jak się rzecz miała:

Dwaj wczorajsi przyjaciele moi, radzi bardzo że do nich przyszedłem, wszczęli ze mną rozmowę o Wilnie i o kraju, o którym coś ledwo tylko jak o wilku żelaznym słyszeli, a i to zwłaszcza z powodu

wilków żywych, któremi widać straszyły ich niańki, mówiąc, że duszą u nas ludzi jak barany. Prostując więc te wyobrażenia, zacząłem im opowiadać różne sposoby polowania na wilki; przyczém polowanie *miâ dem Ferkel*, (z prosięciem), tak ich mianowicie zajęło, że widoczna na ich twarzach ciekawość, musiała zaciekawić téż drugich; dość, że ujrzałem się powoli otoczony gronem słuchaczy, w surdutach i w bluzach, którzy wkrąg na mnie wytrzeszczali oczy. A że mi to pochlebiało, wyznaję, podnosząc więc głos stopniowo, zacząłem coraz jaskrawiéj ubarwiać obrazami narracyą moję: częścią z rzeczywistych przypomnień, o czém kiedyś tu i ówdzie słyszałem, częścią na mocy przywileju myśliwców. W braku często wyrazów niemieckich, sztukowałem się francuzkiemi, które dwaj przyjaciele moi, albo tuż sami tłómaczyli drugim, albo mi poddawali frazesa niemieckie. Musiałem jednak być nielada w *werwie*, kiedy Adam, który téż słuchał, klapnął mię w końcu po ramieniu mówiąc: „*brawo!*" Nie wiém czy który aktor ucieszył się kiedy tak z brawa.—Ale mój miły Boże! co to jest ta próżność w człowieku! Nieraz myślisz, żeś ją pokonał; a ona siedzi tylko, jak ślimak w skorupie; i dość czyjegoś pochwalnego słówka, jak owego studenckiego zaklęcia: „*Ślimak, ślimak, wystaw rogi!*" i t. d., aby zaraz łebek wytknęła i różki rzeczywiście podniosła.—Reflexya ta nad sobą samym, dopomogła mi dzisiaj do praktyki jednéj z cnót chrześcijańskich: wyrozumiałości i pobłażania, podczas wizyty u sławnego Wilhelma Szlegla. Ale nim powiem

ci o tém, nie mogę pominąć piérwéj charakterystycznego, jak mi się zdaje, szczegółu, o owych dwóch przyjaciołach moich.

Obaj są podróżującymi kommissantami (*commis-voyageurs*) dwóch domów handlowych w Lipsku, i płyną do Rotterdamu. Jeden zowie się *Rabstein*, drugi *Müller*. Umieją po francuzku i po angielsku; obeznani są z belletrystyczną literaturą ojczystą; jedném słowem, ludzie wykształceni; a że przytém jednego ze mną wieku, byliśmy więc *bruder a bruder*, i polubiliśmy się nawzajem.

Dopływając już do Bonn, gdzieśmy się mieli rozstać, to jest my wysiąść, a oni płynąć daléj, chcieli zapisać sobie nasze nazwiska. Zamiast więc dyktowania litera po literze, dałem im nasze paszporta, które mam zawsze w kieszeni, a na których, oprócz oryginalnego textu, jest zaraz na drugiéj stronie tłómaczenie jego niemieckie. Ledwo spójrzeli, dostrzegłem w nich jakieś wrażenie. „*Also Sie sind* von?"—rzekł jeden, wpatrując się we mnie z osobliwszym jakimś wyrazem twarzy. *Nun, was denn?*—zapytałem zdziwiony.—„*Nein, nichts!*"—odpowiedzieli niby obojętnie; ale poczułem wyraźnie, że w nich zaszła jakaś odmiana; i czy to był *respekt* czy *despekt*, dość, że to nieszczęśliwe *von* drasnęło ich jakby ćwiekiem. Zdziwiło mię to niezmiernie; ale nie dając im tego poznać, podwoiłem tylko nieznacznie dozę serdeczności w rozmowie, opowiadając im przytém wpół żartem, jak u nas tysiące *Fonów* same sobie orzą i sieją, ale za to nie dbają o Grafów i Duków, którzy owszem ich

względy kaptują. Nie umiem ci powiedzieć jak to skutkowało; bo właśnie w tejże chwili zaczął dzwonić dzwonek, dając sygnał zatrzymania się statku i wysiadania podróżnych, którzy mieli pozostać w Bonn. Rozstaliśmy się wszakże bardzo kordyalnie, dziękując sobie nawzajem za dwudniowe uprzyjemnienie podróży.—Okoliczność ta dała mi wiele do myślenia, i gdy ją opowiedziałem Adamowi, wywiązała się ztąd długa rozmowa, w której on wiele cudnych rzeczy powiedział. Między innemi: jak obyczajowa tradycya przeszłości wsiąka niewidomie w pojęcia i wpływa na uczucia najdalszych pokoleń; a także, jak w krajach rolniczych najprędzéj, a w fabrycznych i handlowych najpóźniéj, wyrabia się poczucie równości. Rolnik bowiem zawsze jest pewny, że zboże jego każdy kupić musi; a czy to będzie gráf, czy żyd, czy cygan, zawsze mu jednostajnie za korzec zapłaci. Sklep zaś albo fabryka przeciwnie: im są większe i doskonalsze, tém więcéj mają takich towarów czy wyrobów, które tylko bogatsi kupują. Konsekwencya zatém naturalna, że kupiec albo fabrykant dbać musi i starać się więcéj o względy bogatszych, którzy to czując, traktują go z góry, a on ich za to nie lubi. Gdyby większa część światłych Niemców pilnowała *zagonów*, mniejby dbała o *fonów* i *baronów*, tak jak ludzie gdzieindziéj *na zagrodzie* siedzący. Na poparcie tego twierdzenia, zacytowałem mu naszą Oszmiańską piosnkę sejmikową, która tak mu się podobała, że kazawszy mi ją powtórzyć, sam się jéj nauczył na pamięć.

Chociażby graf,
Przez jaki traf,
Przybył tu do nas we złocie:
Chce z nami żyć?
To musi pić,
I życie pędzić w ochocie.

Bo co nam pan,
Póki swój łan,
I swoj pług daje nam chleb?
Kto brat a zuch,
To dla nas druh!
A kto być nie chce... to co?—

Przebrawszy się co prędzéj w hotelu, poszliśmy do Augusta Wilhelma Szlegla. Dziwne to jest jakieś uczucie, mieć za chwilę obaczyć człowieka, o którym się tyle słyszało, tyle razy ze czcią myślało. Jest w tém razem i jakaś radość i jakaś obawa; zdaje się, że masz spójrzeć na cudowny obraz. Sława w tym razie działa tak jak piękność: pociąga i hamuje zarazem. Czujesz jak gdyby bozkość w człowieczeństwie; tak jak się ją czuje w naturze, przy pięknych lub wielkich widokach. Adam idąc rekapitulował głośno jego dzieła i zasługi w literaturze. Pociągnąłem za sznurek od dzwonka, ale widać bardzo nieśmiało, bo przez chwilę nikt nam nie otwierał. Za drugiém i mocniejszém dopiero pociągnieniem, usłyszeliśmy czyjeś kroki, i gdy się drzwi otworzyły, ujrzeliśmy przed sobą człowieka w podeszłym już wieku, ale bynajmniéj jeszcze nie staruszka, średniego wzrostu, silnéj budowy, twarzy dość pospolitéj na pozór, ale z jakimś poczciwym

[redacted]

wyrazem; włosy blond, oczy błękitne. Domyśliliśmy się od razu, że to jest sam gospodarz; Adam jednak dla ceremonii zapytał: czy *„Herr Professor von Schlegel ist zu Hause?"* — *„Ich bin's; was steht zu Diensten?"* odpowiedział z grzecznym ukłonem. Adam więc zaczął po francuzku: że jesteśmy Polacy, że przybywamy z Wejmaru, że.... Nie dał dokończyć komplementu, i zawołał z żywością: *„Ah! Sie sind polnische Dichter!"*—Pokazało się bowiem, że wiedział już o Adamie od delegowanego z Bonn, który był na obchodzie urodzin Göthego. Adam odpowiedział z uśmiechem po francuzku: *„Qui oserait prendre un tel titre, devant un pareil juge?"*—Szlegel uśmiechnął się także, i mówiąc: *„Seyn Sie willkommen!"* podał nam z wielką uprzejmością rękę. Ten jego ton i uśmiech ujęły mię od razu za serce. Adam oddał mu listy Meyendorffa i kanclerza Müllera z Wejmaru, ale on ich ani otworzył, a wprowadziwszy nas do swego gabinetu, który był razem i biblioteką, sam obudwóm chciał podać krzesła. Słowem rad był widocznie, jak nie można więcéj. Ale zaledwieśmy usiedli, po krótkiém rozpytywaniu się o Göthem, i o tych dwóch przyjaciołach swoich, zapytał wręcz bez ogródki, jak się nam podobały własne jego wiersze, które delegowany z Bonn, jak ci kiedyś pewno pisałem, na owym uroczystym obiedzie odczytał? Pytanie to zdało mi się dość dziwném; Adam zaś, chcąc obok pochwały wierszy z lepszym jeszcze komplementem wystąpić, dodał: że jeżeli na polu poezyi ma wielkich współzawodników przed sobą, to za to na polu krytyki on

sam niepodzielnie króluje. Nie w smak to być jednak musiało naszemu gospodarzowi, bo ani się uśmiechnął, ani nawet głową nie kiwnął; owszem widać było wyraźnie, że nie rad był z tych *współzawodników przed sobą*. Jakoż wnet, nie zbyt obwijając w bawełnę, zaczął jak gdyby przekonywać, że i na polu poezyi nie mniejsze od nich położył zasługi; mówiąc zaś zwłaszcza o tłómaczeniach swoich Szekspira i Kalderona, powiedział między innemi: że przekłady arcydzieł obcych tém są dla literatury krajowéj, czém dla handlu przekopanie kanału, który rzekę z morzem połącza. Daléj mówił o wpływie dziennika „*Horen*" (Godziny), który razem z Szyllerem wydawali w Jenie, i nakoniec o osobistych swoich stosunkach ze współczesnymi poetami, a raczéj o osobistym wpływie, jaki na każdego wywierał. Wszystko to było bardzo interesujące; aleź przytém kochany *ślimaczek* tak widocznie wystawiał swe różki, żeśmy nieraz ukradkiem spójrzeli po sobie, i dopiéro nam się wyjaśniło, co już nam zlekka p. Meyendorff jako o jego excentryczności nadmieniał, oddając przytém wielkie pochwały jego dobroci i dobroduszności (*bonhomie*), cośmy zresztą i sami widzieli. Że zaś przy tém wyliczaniu przyjaciół, o Bürgerze, jako o najbliższym wspominał; Adam wskazał mię jako tłómacza kilku jego celniejszych ballad, a ja wziąłem ztąd assumpt do zapytania go o osobie autora. Dowiedziałem się więc, że był to dobry, szlachetny i uczony człowiek, ale jako poeta w życiu, nie miał dość praktyczności światowéj; był zaś zwłaszcza nieszczęśliwym przez

miłość, a raczéj przez zbyteczną *kochliwość.* I tak: idąc już na kobierzec z piérwszą swoją żoną, zakochał się raptem w jéj siostrze, która zdaleka na ślub jéj przybyła. Miłość ta wprawiała go w rozpacz; aż wreście sama jego heroiczna żona stała się jéj powiernicą i pocieszycielką. Po śmierci jéj dopiéro poślubił ukochaną *Molly;* ale gdy i ta w rok potém umarła, wyrzekł się urzędu i świata, ażeby w samotności oddać się żalowi. Wkrótce jednak otrzymał list wierszem od jakiéjś nieznajoméj Elizy Hahn, ze Sztutgartu, która, jako admiratorka jego poezyi, ofiarowała mu serce i rękę, byle boleść jego osłodzić. Z początku o tém ani słuchać nie chciał; ale po niejakim czasie, przez ciekawość, pojechał nakoniec do Sztutgartu; a że Eliza była młoda i piękna, więc się zakochał znowu i ożenił. Związek ten wszakże tak był nieszczęśliwym, że po dwóch latach gorzkiego pożycia, wolał się wyrzec znacznego majątku, który mu żona w posagu przyniosła, byle się od niéj saméj odczepić. Rozwiódł się więc i wrócił do Gettyngi, gdzie naówczas przebywał Szlegel, i tam, utrzymując się jedynie z lekcyi prywatnych, umarł w ubóstwie, na ręku przyjaciela, licząc zaledwie 46 lat wieku. Szlegel gorzko obwinia Szyllera, że surową, a w gruncie niesprawiedliwą krytyką dzieł jego, przyczynił się do zatrucia goryczą ostatnich lat życia i tak już nieszczęśliwego towarzysza lutni, i przypisuje to zwłaszcza poduszczeniom Göthego, dla którego, jak się zdaje, Szlegel zbytkiem affektu nie grzeszy. Za toż o pani *de Stael* mówił prawdziwie z uniesieniem kochanka:

o genialnéj potędze jéj umysłu; o bystrości, z jaką od razu przenikała i ogarniała wszystko; i nakoniec o tym niewysłowionym wdzięku i uroku w rozmowie, w któréj (jak się wyraził) rosę nawet przemieniała w perły. Opowiadał dosyć szeroko o wspólnéj z nią podróży do Szwecyi i Rossyi, w roku 1805 odbytéj; ale cóż, kiedy większą część tych opowiadań zajmowały opisy wspaniałości festyn, jakie dla nich wyprawiano w Sztokholmie; albo jak na wszystkich pocztowych stacyach w Rossyi, spotykali ich, z rozkazu Ministra, urzędnicy miejscowi, „*en plein uniforme de gala, chapeau bas, et l'epée au coté!*” I to go tak dalece, jak widać, w przypomnieniu nawet jeszcze cieszyło, że mówiąc powstawał z miejsca i pokazywał gestami, jak ich salutowali, wysadzali z powozu i pod rękę wprowadzali do izby. Zastanawialiśmy się potém z Adamem, czy nam chciał przez to imponować, czy tylko się pochwalić przed nami? Zgodziliśmy się na to ostatnie; bo ta dziwnie w nim jakoś dobroduszna próżność nie zdaje się mieć ani cienia wyniosłości lub pychy, przez którąby chciał lub myślał upokorzyć drugich. Czuć w niéj owszem jakby chęć podobania się, chęć ujęcia i zasłużenia przez to na pochwałę słuchaczy. I przypomniał mi się jakby z portretu, tylko że w mniéj jaskrawych kolorach niż oryginał, X. Infułat Aloizy Osiński, owa uosobiona *vanitas vanitatum*, który śród gwałtownego nawet bolu zębów, chwalił się jeszcze przed odwiedzającymi, że pan Porcyanko [1]), który go le-

[1]) Konstanty Porcyanko, professor uniwersytetu wileńskiego, a następnie akademii medyko-chirurgicznéj, w których

czył, u żadnego ze swoich pacyentów nie widział nigdy „tak doskonale rozwiniętéj fluxyi”.

Ale porównanie to zwłaszcza dało mi się we znaki, kiedy na zapytanie Adama: nad czém teraz pracuje? Szlegel wpadł na przedmiot *sanskrytu*, który go, jak powiadał, zajmuje dziś wyłącznie, i który właśnie z katedry w uniwersytecie wykłada. Jak bowiem kiedyś X. Infułat o mało mię nie zmroził w nieopalanéj swéj bibliotece, sam będąc w baranim kożuszku, a pokazując mi stosy swoich rękopismów, które pewnie nigdy świata nie ujrzą, a o których ważności bez końca rozprawiał: tak dziś musiałem ciągle szczypać sam siebie, aby nie popaść w letargiczne uśpienie, kiedy nasz uprzejmy gospodarz zaczął przynosić i pokazywać nam jedne po drugich, to rękopisma, to druki sanskryckie, których wydawnictwem się trudni. A były tam i *Ramayana*, i *Mahâbhârata*, i *Bhagavad-gita*, i wiele jeszcze innych równie mile brzmiących tytułów, które piérwszy raz w życiu słyszałem, patrząc na wszystko jak kozieł na wodę. Ale Adam i tu mię zadziwił. Oprócz albowiem treści tych głównych poematów, o których każdy mniéj więcéj mógł słyszeć; okazał taką massę gramatycznych i etymologicznych wiadomości w tym przedmiocie, że to tém bardziéj jeszcze pobudzało Szlegla do popisywania się ze swojemi skarbami—ku największemu udręczeniu

---

wykładał chirurgię. Był nader trafnym i wziętym lekarzem. Ogłosił znaczną liczbę prac specyalnych. Umarł w Wilnie 1841 roku.

mojemu. To téż wpół żywy z nudy wyszedłem nakoniec z miejsca, gdzie wchodziłem z nadzieją zaczerpnięcia nowych sił i światła. I mogłoby tak być rzeczywiście, gdyby nie te nieszczęsne parady Sztokholmskie, nie te salutacye na pocztach, i wreście nie te nudne hieroglify sanskryckie. Ale czyż to nie istna męka Tantala, być z człowiekiem, od którego tyleby się mogło i chciało skorzystać, a słyszeć tylko same banialuki? Nie dziw, że pomiędzy Göthem a Szleglem nigdy być nie mogło stosunku. To są dwa wręcz przeciwne bieguny magnesu. Tam Jowiszowa pewność siebie i obojętność kamiennego bożyszcza; tu ciągła chęć zajęcia sobą i prawie zalecanie się drugim, aby mu palili kadzidła.—A jak to człowiek rośnie lub maleje przez porównanie z drugimi! Jak Adam urósł w przekonaniu mojém, stojąc obok z jednym i z drugim! Wszakże i w nim jest pewność siebie; ależ przytém jakie zapomnienie o sobie, i jakie serce dla drugich, skoro mu przypadną do serca! Bo nié ma w nim ani cienia kokieteryjnéj próżności; ale za to jakaż prostota i otwartość z każdym, kto się do niego z prostotą i z otwartością przybliży! Pretensyjność tylko lub komplementa, to są dla niego jak żelazne sztyfty, przed któremi się cofa i zasklepia w sobie. Słowem, zkądkolwiek spójrzysz, zawsze to *Ecce Homo*, et *Ecce Poeta!*—Bądź zdrów!

XXV.

Do tegoż.

Na Renie. 7 Września 1829 r. po południu.

Otoż i rozstaliśmy się z Adamem— Ale się nie bój! nie źle, i nie na długo. Tylko „*ja płynę daléj, on poszedł do domu*"; to jest z przystani do hotelu w Bonn, gdzie dano nam wczoraj na wieczerzę tak doskonale smażone kartofle, które prześliczna *Stubmädchen*, *Julchen*, przyniosła: że Adam, jak sam powiada, woli te ziemne specyały, (to jest kartofle), nad eter wody kolońskiéj, i dla tego nie jedzie już ze mną, jak był projekt, do Kolonii, ale w Bonn czekać będzie na powrót mój z Akwisgranu. A mnież tam po co?—zapytasz zapewne. Jużciż nie dla pamiątek tylko Karola Wielkiego; nie dla pielgrzymki tylko do relikwii ŚŚ. Trzech Króli; ale téż gwoli wymaganiom żywego i własnego serca, to jest dla dopełnienia tego, co ono za powinność uważa. Jadę widzieć się z państwem Ordynatowstwem Zamoyskimi, którzy tam bawią u wód, a których za powrotem z Petersburga już nie zastałem w Warszawie. Jadę podziękować im szczerze i serdecznie, nie tylko „za chléb i za sól", jak to mówią; nie tylko za to, że przez lat trzy „*z ich łaski*, (jak mówi wiadomy ci epigramat), *patrzałem w ogród Saski*"; ale że przez cały ten przeciąg czasu tyle od nich obojga dobroci

i uprzejmości doznałem, że nie miałbym spokojności sumienia, gdybym im nie powiedział teraz właśnie, gdy z pod ich opieki wyszedłem, czego wprzód przyzwoitość mówić zabraniała: to jest, o ile tę ich dobroć czuć, oceniać i wdzięcznym za nią być umiem. A kto wié nawet czybym umiał, gdyby nie reminiscencya całkiem przeciwnego rodzaju, która głęboko kiedyś utkwiła we mnie, i stała się jak miarą porównania w duszy.

Na ostatnim publicznym examinie w Borunach, kiedy właśnie kończyłem już szkoły, wysadzono mię przed innymi na popis przed JW. Wizytatorem, który go swoją obecnością zaszczycił. A był nim JX. Prałat Jan Kanty Chodani, sławny—jak naówczas myślałem—poeta, tłómacz *Henryady* Woltera—i wizytator! Słowem największa figura, jaką sobie na świecie wyobrazić mogłem. Słowa, które do mnie przemówił, wręczając mi nagrodę i patent, a przytém pochwała wierszy, które drżąc przed nim jak w febrze czytałem, zachwyciły mię do siódmego nieba. To téż gdy w parę miesięcy potém szedłem do niego, jako do dziekana uniwersytetu, aby wedle woli ojcowskiéj zapisać się na oddział prawny: stąpałem jak po powietrzu, myśląc, jak mię pozna i powita uprzejmie. Ale Prałat mię przyjął jak Basza turecki; a gdy cały zmięszany i nie wiedząc co począć, chciałem wyjąkać dawne przypomnienie: słuchać nawet tego nie raczył. Wyszedłem więc zawstydzony, ale zaraz za progiem ślubowałem sam sobie w duszy, że jeśli i ja kiedyś będę może *starszym*, nigdy względem

młodszego nie być i nie okazać się takim. Z panem Ordynatem przeciwnie. Przy każdém z nim bliższém zetknięciu, stawał mi w pamięci Chodani, i powtarzałem nieraz: „daj Boże być takim!" I z tego to jedynie powodu dedykowałem mu przed miesiącami dwóma moję *Izorę*, a dziś płynę do Akwisgranu.

Ale *à propos* epigramatu, o którym wspomniałem wyżéj, a który, jak pamiętasz, tak był kiedyś głośny w Warszawie: czy ty wiész, kto go istotnie napisał?— bo pan Franciszek-Salezy, na którego obrażony mój sąsiad ciskał pioruny i gromy, a przynajmniéj epigramata wzajemne, jest w tém jak baranek niewinny. Ja miałem dobre przeczucie, że nie upatrywałem w tém nigdy żadnéj złéj intencyi autora; bo autorem tym jest nie kto inny, jak nasz kochany Bohdan, o którego uczuciach wzajemnych tak wiém dobrze, jak o moich dla niego. Stało się zaś to w ten sposób. Przybywszy na dni parę z Sochaczewa, przyszedł do mnie z Witwickim pod okno w ogrodzie, abym im, jak zwyczajnie, zrzucił klucz od furtki; ale że mnie w domu nie było, klaskając więc i wołając napróżno pod oknem, któryś z nich zwrócił uwagę na szczególne podobieństwo nazwisk dwóch tak blizkich sąsiadów, jakimi byliśmy ja i pan Jan-Kazimierz. A że znowu nazwisko jego assymiliowało z tytułem właściciela domu: myśl wesoła ustawiła to w *ordynek* wiersza, i powstał *impromtu* epigramat:

Odyniec i Ordyniec, z Ordynata łaski,
Ordynkiem osadzeni, patrzą w ogród Saski.

Z razu radzi sami z konceptu, chcieli napisać go ołówkiem na kartce, i obwinąwszy nią kamień, wrzucić mi go w okno otwarte; ale że kamienia nie było, odłożyli to do osobistego spotkania. Tymczasem tuż w ogrodzie powtórzyli go komuś ze znajomych, i nim ja się z nimi spotkałem, już mój sąsiad dowiedział się o nim, a przypisując go Dmochowskiemu, rozsierdził się siarczyście i głośno. Bohdan więc, myśląc może że i ja ten sentyment podzielam, a zmuszony wyjechać nie widząc się ze mną, zobowiązał Witwickiego, aby do jego powtórnego przyjazdu, nic mi o tém jego autorstwie nie mówił. Że zaś ja wkrótce potém wyjechałem na resztę lata do domu, rzecz cała poszła w zapomnienie, i dopiéro w sam już dzień mego wyjazdu, na pożegnalném śniadaniu u Waleryana, Witwicki przy okoliczności przypomniał i opowiedział mi o tém. Prosiłem go więc aby natychmiast napisał do Bohdana, że nie tylko teraz, ale i nigdy przedtém nie widziałem w tym epigramacie nic obraźliwego, tak, że go nie wiém dla ilu panienek, sam własnoręcznie na żądanie ich przepisałem. Stary Koźmian dopiéro, parafrazując go inaczéj, dosypał nieco—nie tak soli, jak pieprzu: lecz i to wcale nie na konto nasze. Nie wiém czy znasz tę parafrazę?

„*Z extraordynaryjnéj* Ordynata łaski,
Ordyniec i Odyniec patrzą w ogród Saski.”

Tymczasem, i w tym przytyku *extraordynaryjności*, nié ma zgoła istotnéj prawdy. Bo naprzód—nie mówiąc już o drugich, ale tylko o sobie:—miejsce

moje przedemną zajmował przez lat parę Józef Korzeniowski, dzisiejszy autor *„Anieli“*, a którego, ile wiém, pan Ordynat, równie jak i mnie, bez żadnéj instancyi, sam piérwszy na nie powołał; a powtóre, samo to miejsce jest już najlepszym dowodem szlachetnych intencyi pana Ordynata, w celu pożytku kształcącéj się młodzieży. Idzie bowiem o wybór z pism zagranicznych i o przygotowanie artykułów do dziennika, który jego kosztem i na wpół darmo ma być wydawany, a przeznaczony będzie wyłącznie dla tych młodych ludzi, którzy po ukończeniu szkół, nie mają sposobności odbyć nauk wyższych. A nadto jeszcze i to dodać trzeba, że jak nad p. Korzeniowskim, tak i nademną, nikt zgoła żadnéj nie rozciągał kontroli, a owszem sam p. Ordynat, widząc mię niekiedy cierpiącym, nieraz mi wyraźnie powtarzał, abym się nazbyt pracą nie umęczał, (czém ja, Bogiem a prawdą, nie grzeszyłem nigdy); abym nie zaniedbywał kształcenia się własnego, i nakoniec sam mi przypominał co wiosny, abym jechał odwiedzić ojca i odetchnąć wiejskiém powietrzem. Otoż chcę mu teraz powiedziéć, że wszystkie te drobne na pozór wspomnienia są głęboko i na zawsze zapisane w sercu mojém:—i w tymto jedynie celu, powtarzam, żegluję dziś do Akwisgranu.

Mówię *żegluję*, bo płynę znów na tym samym statku pocztowym, który nas omàl nie potopił pod Koblentz, a dziś już załatany buja znowu wszystkiemi skrzydłami.—Ren od Bonn przestał być *bezaubernd* (zachwycający). Jest on tu już tylko jak bo-

gacz, używający wczasu i fortuny; jak bohatér albo poeta, odpoczywający na laurach. Tysiąc rzek w siebie zagarnął; przebił góry i skały; najpiękniejsze obrazy odbił w wód swych zwierciadle;—a teraz pełny, spokojny i jednostajny, wyciąga się już tylko w swém łożu na szerokiéj zielonéj płaszczyźnie, i mrucząc zcicha jakby „pacierz staruszka", zbliża się sobie poważnie do bram wieczności rzek wszystkich—do morza.

Ale że do widzenia nic już nié ma po bokach, oczy więc moje wypatrzyły sobie cel inny, dla którego z pokładu zszedłem do kajuty; żeby zaś w niéj nie siedziéć jak ów Roland na skale, z okiem w jeden przedmiot wlepionéni, założyłem kancellaryą na stole, i pisząc tę epistołę, na wziętym z sobą papierze, który postanowiłem koniecznie w ciągu téj podróży zabazgrać, kiedy niekiedy spoglądam z pod oka na prześliczną wysmukłą blondynkę, siedzącą tuż naprzeciw przy boku swéj matki, ale tak ujmującéj postaci i twarzy, że mi gwałtem przypomina Zulejkę;—chociaż ta, jako Turczynka, była może raczéj brunetką.

Piękna, jak piérwsza ze stworzonych w raju,
Gdy z podziwieniem, z weselem dziewiczém,
Śmiała się patrząc w zakazanym gaju
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczém,
I blask swych spójrzeń zaszczepiał w jéj wzroku—
Źródło obłudy jéj płci—i uroku.

Ona się wprawdzie nie śmieje, i obłudy w niéj zgoła nie widać; ale ilekroć jéj oczy spotkają się

z mojemi, (co się wcale nierzadko przytrafia), zaraz tak wdzięcznym oblewa się rumieńcem, że mi znowu pędzi do myśli dalsze wiersze z *Bride of Abydos*.

Któż nie doświadczył, jak trudno słów dźwiękiem
Malować piękność, z jéj blaskiem i wdziękiem?
Kto nie czuł patrząc—nim niesyte oczy
Mgła upojenia, albo łza zamroczy—
Jak wzbudzający cześć i jak zwycięzki
Jest niewinności urok czarnoxięzki?

I dla tego téż to, pomimo najszczerszéj ochoty, nie miałem jakoś dotąd odwagi zbliżyć się i zagaić rozmowy, bez jakiegoś poprzedniego assumptu.—Ale widzę właśnie że matka szepnęła jéj coś do ucha, a ona sięga ręką po szal przy niéj leżący; pewnie aby się okryć, a więc może i wyjść z kajuty. Bądź więc zdrów! Muszę wyjść piérwszy, ażeby nie mieć miny że się włóczę jak cień za niemi; a wcale nié mam ochoty dusić się dłużéj w kajucie sam jeden.

———

Na pokładzie statku.

Ach! co za przecudny widok przedemną! — Nie blondynki — ale Kolonii! Tło—najczystszy błękit bez chmury; koloryt—odblask zachodniego słońca. Na tém tle i w tym odblasku, iglaste szczyty wież i olbrzymie massy kościołów, rysują się, błyszczą i czernią się nad miastem, które długim szerokim pasem rozciąga się w półkole nad rzeką. Most na łyżwach łączy je z białém miasteczkiem na brzegu przeciw-

nym (*Deutz*), które obok starożytnéj *Kolonii Agrippiny*, wygląda jak mała dziewczynka w bieli, prowadzona za rękę przez sędziwą poważną matronę. Widok taki prześliczny, powtarzam, że piszę to na kolanach ołówkiem, aby sobie i tobie chwilę tę zaznaczyć.

Kolonia, na poczcie, godz. 8 wieczorem.

Xiężyc w pełni wschodził na niebo, kiedy nasz statek do przystani zawijał. A że wcale nie miałem tłómoków, wyskoczyłem jak konik polny, i wczwał przebiegłem kilka wskazanych mi ulic, wązkich, krętych i ciemnych, które xiężyc tylko przedemną jak srebrzystą makatą zaściełał, aby w czas zdążyć na pocztę, dla zapisania się na dyliżans, który ztąd dzisiaj jeszcze, i to zaraz, do Akwisgranu odchodzi. *Eilwagen* już całkiem zajęty; ale to nic nie szkodzi, bo nam dają *Beywagen*. Mówię *nam*, bo jest jakiś i drugi towarzysz. W drodze zboczyłem nieco, aby choć spójrzéć na sławną katedrę. Olbrzymia!—ale cóż kiedy nieskończona, i na piérwszy rzut oka na ruinę jakoś wygląda. Dotąd ze wszystkich architektonicznych widoków, to jest zewnętrza nie wnętrza budowli, największe na mnie wrażenie, którém się nigdy dosyć nasycić nie mogłem, sprawiała facyata kościoła Śto-Jańskiego w Wilnie, przy blasku pełni xiężyca. A ileż to promiennych oczek patrzało na nią w różnych czasach wraz ze mną! Przypomnij to,

i mnie samego, pięknym twoim sąsiadkom z Nahorodowicz.

A *propos*—Ondyna Renu ma imię Julja. Tak na nią zawołała matka wychodząc z kajuty, a któréj ja, przypadkiem niby znajdując się przy wschodach, rękę do wyjścia podałem. Podziękowała uprzejmie, i przemówiliśmy słów parę o stromych i niewygodnych wschodach, do drabiny raczéj podobnych;—i na tém się znajomość skończyła. Paniencе ukłoniłem się tylko, bo mię właśnie w téj chwili widok Kolonii zachwycił i zajął. Ale przypominając sobie *Julchen* z kartoflami, wnoszę, że *Julje* w tym kraju są może jak u nas *Zosie*, to jest jedna ładniejsza od drugiéj. A chociaż powiész mi może, że już dziś jedna z nich dla mnie powinna stanąć za wszystkie: to przecież nie przeszkadza bynajmniéj, aby przy sposobności spójrzéć i na drugie.

Wszakciż patrzéć nie zabrania
Dziesięcioro Przykazania,

jak powiada wesoły nasz Józik Massalski. Im więcéj kwiatów w ogrodzie, tém piękniéj; im więcéj świéc w salonie, albo lamp w kościele, tém jaśniéj; im więcéj w myśli oczek i twarzyczek anielskich, tém bezpieczniéj od pokus, i tém święciéj w duszy. Bądź zdrów!—Pryskam na ciebie z Kolonii dowcipem, jak kroplami wody kolońskiéj, któréj sobie flaszeczkę kupiłem, aby mieć się czém rzeźwić w całonocnéj podróży. Ty tego nie potrzebujesz—i co może porabiasz w téj chwili?

Czy na xiężycu, jakby na patelni,
　　Smażysz niebieskie migdały?
Czy okienice zamknąwszy tém szczelniéj,
　　Głowę zatapiasz w puch biały?

Czy siedząc w ganku, z gwiazd okiem wpółsennóm
　　Czytasz twych marzeń horoskop?
Czy z chmur i z wiatru rokujesz z gumiennym
　　Pszenicznych w polu twych los kop?

Tak czy tak, zawsze na téjże poduszce,
　　Gdzie zaśniesz w wieczór, zbudzisz się poranu.
Ja w Kolonii zdrzemnąwszy w doróżce,
　　Ocknąć się mogę u bram Akwisgranu.

Komuż z tém lepiéj? w podróży czy doma?
　　Sądzę najpewniéj, że temu,
Kto umie lepiéj użyć tego, co ma,
　　A nie zazdrości drugiemu.

Akwisgran, 8 Września, godz. 5 rano.

Ledwom żyw. Jak kwiat pod piaskiem, gnę się i mdleję pod makiem, który na mnie sypie Morfeusz. Ale odkrapiam go wódką kolońską, jak pokusę wodą święconą; bo czuję, że teraz lub nigdy będę mógł chyba godnie opowiedzieć ci podróż dzisiejszą.

Nim może powiew z grobu Wielkiego Karola
Zgasi we mnie wrażenie, co jak aureola
Bladawego xiężyca, albo barwnéj tęczy,
Myśl i serce w téj chwili oblewa i wieńczy.

Bo wiész z kim tę podróż odbyłem? Naturalnie, że nie wiész, póki ci nie powiem; więc słuchaj!—

Trzeci już raz trąbił konduktor, i *Beywagen* miał ruszać w ślad za *Eilwagenem*, gdy go wstrzymało wołanie pocztmistrza: „*Halt! noch zwey Damen*"!— i dwie śpieszące damy stanęły u drzwiczek. Spójrzę, aliści—

Sen to czy jawa? Struchlałem cały,
Jak posąg z głazu wykuty.
Szal oranżowy! kapelusz biały!...
Ach! to blondynka z kajuty!

Niechże który romansopisarz lepiéj *piérwszy rozdział* wymyśli!... Sąsiad mój, pełny i pyzaty jak miesiąc, poruszył się, aby tém głębiéj zasunąć się w swój kąt pod Nr. 1, dając znak wymówny tym ruchem, że miejsca swego ustąpić nie myśli. One widać nie miały ani pretensyi do tego, szanując piérwszeństwo numerów; ale mnie złość wzięła na Niemca. Oświadczywszy więc głośno, że w Polsce nigdy damy nie siedzą w powozie na przedzie, ustąpiłem mój Nr. 2 matce, a sam *z biedy* musiałem zająć miejsce obok panny Julii, osłonione wprawdzie z góry *vordekiem*, ale otwarte po bokach, i wcale nie bardzo wygodne. Wynagrodziła mi téż to matka tysiącem podziękowań, tém bardziéj, że i *Reisesack*, który słabe rączki panienki same dźwigać musiały, odebrałem od niéj prawie gwałtem i wziąłem na moje kolana. Ledwo więc tedy zjechaliśmy z bruku, zawiązała się przyjacielska rozmowa. Powiedziawszy kto i zkąd jestem, dowiedziałem się nawzajem, że mąż i ojciec moich towarzyszek jest urzędnikiem w Jülich, dokąd właśnie wracają z Bonn, z gościny

u siostry i ciotki. „A jakże to daleko do Jülich?" zapytałem z wielką obawą, żeby bardzo blizko nie było. Ale *zehn Stunden*, to przecież coś znaczy; choć to, niestety, był lik na piechotę, a *Eilwagen* szedł prawdziwie *in Eile*. Noc była pogodna i cicha; „słońce bezsennych" świeciło prześlicznie, zaglądając niekiedy, przy zakrętach drogi, w twarz i w oczki mojéj sąsiadki; choć i sen w nich téż swoją drogą niemniéj prawa swoje rozciągał. Rozmowa z matką, treści geograficznéj, nie nader mię zajmowała; miałem się więc w niéj biernie, i powoli, powoli, całkiem jéj ustać pozwoliłem, mając przytém tajemną nadzieję, że ją sam wkrótce znowu, ale już z innego tonu zawiążę.

A tymczasem i moja sąsiadka, wraz z matką, zaczęła chwiać się i przechylać na strony, nakształt onych palm wschodnich u Moora, co to, jak wiész:

„wieczną zielenią wiosenne,
Chyląc z tchem wiatru swe kształty powabne,
Chwieją się zlekka, jak dziewice senne,
Gdy idą spocząć na łoża jedwabne."

Wprawdzie siedzenie w Beywagenie na przedzie nie było zgoła tak miękkie, a co gorsza nie dosyć bezpieczne. Ztąd téż ja jeden, przez miłość bliźniego, ani na chwilę oka zmrużyć nie mogłem, czując się w obowiązku czuwania nad senną sąsiadką, podtrzymując ją wpół, aby broń Boże nie wypadła z powozu, i otulając zlekka szalem, ażeby nie przeziębiła się we śnie. I nie czułem nawet potrzeby rzeźwienia się sam wódką kolońską. Zastąpiło mi ją wspomnienie téj tak uroczo opisanéj sceny w pamiętnikach Göthego,

kiedy piérwszy cel jego piętnastoletnich affektów, *Gretchen*, śród rozmowy w salonie przy oknie, i także przy świetle xiężyca, na ramieniu jego usnęła; i chociaż to nie było zbyt pochlebném świadectwem zabawnéj z jego strony rozmowy: wspomnienie jednakże téj chwili na zawsze mu miłém zostało.

Otoż to moje dumanie trwało najmniéj z godzinę, i północ właśnie była na zegarku, kiedy się moja pupilka ocknęła.—Zmięszała się strasznie nieboga, widząc się tak pod moją opieką; ale jednak podziękowała uprzejmie, i żeby nie przerywać snu mamy, pocichutku rozmawialiśmy daléj. Północ i światło xiężyca nasunęły rozmowę o duchach; a że zna *Lenorę* Bürgera, zacytowałem parafrazę wierszy:

Der Mond, der scheint so helle,
Die Pferde laufen *so schnelle,*
Graut, Liebchen, auch dir nicht?

Nie odpowiedziała mi na to, ale widziałem przy świetle xiężyca, że uśmieszek przemknął po ustkach. Powtórzyłem więc wiersz ostatni, akcentując wyraźniéj znak zapytania.—„*O! nein*"!—odpowiedziała naiwnie i łagodnie; i rozmowa przybrała nastrój poetyczny, którą niestety zbyt prędko przerwał głos trąbki konduktora, zwiastujący przybycie do *Bergheim*. Śpiący się obudzili, i *wageny* stanęły przed pocztą, w rynku bardzo porządnego miasteczka. Wbiegłem prędko do izby, gdzie był razem i bufet, i sam dwie szklanki herbaty moim towarzyszkom przyniosłem. Sama pani chciała mi zwrócić pieniądze, ale zosta-

wiłem to do późniejszego rozrachunku, a tymczasem widziałem z pociechą, że traktament mój był na dobie: bo chłód nocny czuć jednak było, i sam ja z przyjemnością kufel *grogu* wypiłem. Ależ to kraj błogosławiony te prowincye nad-Reńskie! Hebe, która mi nalewała ten nektar, tak mi się wydała nadobną, że aż jéj zapytałem, czy nié ma imienia Julja?—„*Und warum fragen Sie das?*"—zadziwiona spytała nawzajem. „Bo wszystkie, które widziałem w tym kraju, „*schöne wie die Lilien, heissen immer Julien*"— rzekłem.—„*O! ich bin keine Lilie!*—zawołała z figlarnym uśmiechem.—*Ich heisse Klara.*"—„*Klara, Klärchen!*—odpowiedziałem—I to piękne imię! i godzi się doskonale, jak widzę, *mit der Klarheit der schönen Augen.*—I jasne, czarne oczęta spójrzały na mnie wesoło, jakby za komplement dziękując. Nie bawiłem jednakże dłużéj nad czas do rozpłaty potrzebny, bo wiedziałem, niestety, że z Bergheim jest już niedaleko do Jülich. Jakoż stanęliśmy tam o 2-giéj z północy, i jakiś wcale poważny Jegomość czekał już tam na poczcie na żonę i córkę, a powitawszy je czule, mnie téż bardzo uprzejmie za usługi dla nich dziękował.—„*O! goldene Zeit der Reise!*" rzekłem zcicha przy pożegnaniu, cytując słowa Maxa z Szyllera.—„*Ich wünsche dass sie Ihnen immer glücklich seye!*"—To były ostatnie słowa, które z różanych ust Lilii słyszałem;—i dalszy ciąg tęsknéj podróży odbyłem już tylko ze śpiącym obok i chrapiącym Niemcem, którego za każdym razem, co się ku mnie pochylił, budziłem umyślném szturchnięciem, aby ukarać go przez to za niegrzeczność i samolub-

stwo.—Od godziny jestem już tutaj—i nim będzie czas do kościoła, (boć to dziś przecie Narodzenie N. M. P.), sprobuję czy choć w marzeniu nie zobaczę *jéj* jeszcze.

A ty, co może w téj chwili
Wstajesz do pracy codziennéj,
Sam przyznaj, czy mi nie miléj
Zszedł czas téj nocy bezsennéj?

Godzina 6 wieczorem.

Ależ i dnia pełniejszego jak dzisiaj trudnobym mógł nawet pożądać. Po wotywie w katedrze o godzinie 9-éj, zakrystyan, za cwancygera, jak Charon za obola do kraju umarłych, wprowadził mię do grobu Karola W. Wiész może—ale ja nie wiedziałem—że był on pochowany siedzący w krześle, a raczéj na tronie, w koronacyjnym płaszczu, z berłem w ręku, z Ewangelią na kolanach, i z torbą pielgrzymską przez ramię:— iście, jak mówi Kochanowski:

Złote berło i złote jabłko w ręku mając,
A Zakon Najwyższego na łonie trzymając.

Znaleziono go w téj postaci po otworzeniu grobu w lat 300, w obecności Cesarza Ottona III, i dopiéro położono do trumny na spoczynek wieczny. Walter-Skott musiał pamiętać o tém, kreśląc ten tak przecudny obraz otwarcią grobu czarnoxiężnika, w „*Pieśni ostatniego Minstrela.*" Kto wié czy kiedy i na

Św. Helenie nie odkopią tak Napoleona? U Adama jest to artykuł wiary. Grób znajduje się w kaplicy środkowéj, z kopułą; nad nim napis: *Carolo Magno*. Tron czy krzesło, na którém siedział, jest z białego marmuru, ze stopniami. Obite potém blachami złotemi, służyło od wieku XII-go za tron koronacyjny dla Cesarzów Niemieckich. Trzydziestu sześciu Cesarzów i jedenaście Cesarzowych koronowało się na niém. Dziś te blachy złożone są w skarbcu kościelnym, a samo krzesło umieszczone na galeryi.

Tu, i w sali koronacyjnéj w ratuszu, przerobionym z pałacu Karola W., i gdzie się zwykle festyn koronacyjny odbywał, powtarzałem sam sobie z prawdziwém wzruszeniem, tę pyszną strofę z „*Grafa Habsburga*“ Szyllera:

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.
Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.
  Falcgraf Reński na złocie mu krąje,
  Puhar z winem Król Czeski podaje.
Wszyscy siedmiu wyborcy Cesarza,
  Jak wkrąg słońca chór planet niebieskich,
  W złotych mitrach, w purpurach królewskich,
Stoją kołem przy tronie mocarza.

I widziałem ich zda się „przed oczyma duszy”; choć przed oczyma ciała wisiały tylko na ścianach portrety ministrów, którzy tu w r. 1748 pamiętny traktat zawarli.

Ale nie miałem wyobrażenia, aby człowiek, chociażby największy, ale li tylko *człowiek*, mógł w dziesięć wieków po śmierci tak żywo jakie miejsce zapełniać, jak Karol W. zapełnia Akwisgran. Gmachy, pomniki, dzieła sztuki, wszystko go tu przypomina lub wielbi. Znać, że epoka jego kwitnie jeszcze dotąd na ziemi. Epoką tą jest Chrześcijaństwo. Epoka Macedończyka, Grecka, żyje już tylko w poezyi, w muzeach, w ułamkach i w torsach z marmuru; epoka Cezara, Rzymska, tylko w historyi i w ruinach olbrzymich budowli, które Roma rozsiewała po świecie. Ale że każda z tych epok miała tylko po jednym takim *Wielkoludzie*: — ciekawa rzecz, czy Chrześcijaństwo będzie miało dwóch? lub czy téż może Napoleon I-szy drugą w niém jakąś epokę po Karolu W. zaczyna? *Qui vivra, verra.* Dotąd Bogu to tylko wiadomo.

Ja tymczasem oddawszy hołd Przeszłości, o godz. 1-éj z południa poszedłem do mojego dzisiejszego celu, to jest do mieszkania państwa Zamoyskich. Zastałem tylko samą panią. Pan Ordynat pojechał na kilka dni do Hollandyi, dla obejrzenia różnych fabryk tamecznych. Zatrzymany uprzejmie na obiad, miałem czas wypowiedzieć to wszystko, co mi leżało na sercu. Nie wiém czy ty widziałeś kiedy panią Ordynatową Zofią Zamoyską, któréj piękność kiedyś za młodu, jak Tulczyńskiéj Zofii Trembecki, Kniaźnin w odach swoich wysławiał? Ale i dzisiaj jeszcze możnaby do niéj zastosować słowo w słowo, co Göthe o pani Szymanowskiéj powiedział: „*Elle est charman-*

te, comme elle est belle, et gracieuse, comme elle est charmante; tylko że zamiast *charmante*, właściwiéj byłoby powiedziéć: *majestueuse.* W istocie jest w niéj taki majestat powagi i rozumu, że gdyby nie wdzięk Gracyi, i nie wyraz ujmującéj dobroci w twarzy: rzeźbiarz mógłby z niéj wprost modelować Palladę albo Junonę. Ale w nikim tak, jak w niéj, przez wielką damę nie przegląda zacna, polska niewiasta—bo na matronę jeszcze jest za piękna.

Przy obiedzie téż, jakby na wety, miałem miłą a niespodzianą przyjemność, to jest spotkałem jedną z owych dwunastu *najpiękniejszych* z Instytutu panny Tańskiéj, które kiedyś przed dwóma laty, w roli i w stroju Rusałek i Wajdelotek, pod przewodnictwem mojém, jako Wajdeloty, figurowały na kostiumowym wieczorze w dzień imienin pani Julii Grabowskiéj, żony ministra oświecenia, składając orszak dwóch rzecznych bogiń: *Wilii* i *Niewiaży*, (panny Natalii B. i panny Melanii G. siostrzenicy i córki gospodarza domu), niosących życzenia i dary solenizantce. Dzisiaj młodziutka panna Natalia *Zeitheim*, po skończeniu niedawno Instytutu, jest nauczycielką przy dorastającéj pannie Elizie Zamoyskiéj, a wspólne z nią przypomnienia owego uroczego wieczoru, dodały także niemało do poetyczności dnia dzisiejszego dla mnie, tak, że śmiało zaliczam go do takich, jakich sam niegdyś właśnie jednéj z tych dwóch bogiń życzyłem, wpisując do jéj albumu:

Niech każda chwila w sercu jak kwiat ci rozkwita,
Niech każdym dniem przeżytym dusza jaśniéj świta.

Za parę godzin wyjeżdżam z powrótem do Kolonii *Eilwagenem*, na który zapisałem się w chwili przyjazdu. Tymczasem biegnę jeszcze obejrzeć wskok miasto, chociaż z tego, co już widziałem, nié ma w niém nic osobliwego, prócz kościołów, ratusza i wodotrysku przed ratuszem, co wszystko zwiedziłem już rano. W kościele Franciszkanów sławny obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża", w katedrze „Narodzenie Chrystusa" tegoż autora, i „Chrystus umarły" Vandycka. Wszystko to bardzo piękne; ale nie mając wiele czasu wolałem patrzéć dłużéj na same budowy, z których każda, a mianowicie katedra, jest sama w sobie najpiękniejszym obrazem. Kształt ośmiokątny; ściany presbyteryum całe w oknach dużych gotyckich; miasto opasują spacery. Tuż za miastem zamek *Frankenburg*, ulubiona rezydencya Karola W. Tam właśnie chcę poskoczyć, żeby się dobrze zmordować przed drogą, a potém spać w *Eilwagenie*, marząc chyba, nie myśląc, o podróży wczorajszéj. Ach! bo „*nessun maggior dolore*" *etc.* A że Akwisgran słynie fabrykacyą szpilek, więc możnaby to samo wyrazić w ten sposób.

Ach! bo najostrzejsze z szpilek,
Któremi los kole nas,
Są wspomnienia miłych chwilek,
Gdy już nam je zabrał Czas.

---

d. 9 Września, przed południem, na Renie.

Nie wysiadłszy, ani nawet westchnąwszy w Jülich; nie pijąc nawet grogu ani spójrzawszy w *klare-Augen*

w Bergheim; o 4-téj rano dzisiaj ocknąłem się w Kolonii, a o 5-téj już byłem w katedrze, admirując i samą budowę, i effekt światła wschodzącego słońca przez różnobarwne malowidła szyb, w olbrzymich gotyckich oknach. Tu znów miałem sposobność podziwiać prawdę poetycznych obrazów Walter-Skotta, w opisie opactwa Melrozu, w *Pieśni Ostatniego Minstrela*, w tém arcy-cacku, jeśli nie arcy-dziele, poezyi obrazowéj romantycznéj, tak, jak ktoś kościołek Św. Anny w Wilnie nazwał trafnie arcy-cackiem struktury gotyckiéj. A bo téż to w tym poemaciku, tak błahej na pozór treści, skupione są jak w miniaturze, (a rzecby także można jak w winném gronie jagody), wszystkie główniejsze rysy życia, uczuć i obyczajów wieków średnich, tak, jak się one, najwydatniéj może, odbijają w ich architekturze. I tak np. bazyliki, to są jak symbole ich cnót. Wszystko tam *grandioso*, wysoko, tajemniczo, wspaniale. Zamki znowu feudalne, to jak symbole ich wad: dzikie, ostre, ponure, zbójeckie. Ale zamki, to tylko własność i dzieła jednostek, czy rodzin; katedry budowały narody i wieki. Niewiadomo nawet kto był piérwszym twórcą planu katedry Kolońskiéj. Legenda przypisuje go djabłu, któremu za to architekt duszę swoję cyrografem zapisał. Wprawdzie musiał on miéć nadzieję *in petto*, że budując dom chwały Bożéj, a przytém wiodąc żywot świątobliwy, wymknie mu się w końcu ze szponów. I rzeczywiście *in articulo mortis* nie dano go porwać do piekła; ale że zgrzeszył żądzą chwały własnéj, dzieło jego zostało nieskończone, a imię poszło w niepamięć. I przyznać

trzeba, że dopóki się w czyśćcu nie oczyścił z pychy, pokuta to być musiała nie lada: słyszeć ciągle wielbiących swe dzieło, z zupełném zapomnieniem o nim samym, jako o jego autorze. A co się tyczy dokończenia: —wiele razy słyszałem w Wejmarze, że projekt ten więcéj niż kiedy zajmuje dzisiejsze Niemcy, które w tém dokończeniu wspólnym kosztem katedry Kolońskiéj, fundowanéj najpiérwéj przez Karola W. (fundatora monarchii Niemieckiéj), chcą upatrywać symbol wspólnego swego kiedyś zjednoczenia w przyszłości. Że zaś to protestantyzm właściwie przerwał tę wiekową budowę: być może, że gdy się kiedyś dokończy, będzie znów jeden pasterz i jedna owczarnia. Piérwsza nawet myśl téj kontynuacyi wyszła podobno od Fryderyka Schlegla, (brata Wilhelma), który sam z filozofa i protestanta został arcy-gorliwym katolikiem. Głównym zaś dzisiaj promotorem tego przedsięwzięcia jest król-poeta, to jest król Ludwik Bawarski. Ale bo téż to prawdziwa epopeja architektury! Szczegółu żadnego ani dotknę, bo zginąłbym w nich jak ta biedna jaskółka, co rozbijając się tam dzisiaj o kolumny i posągi, świergotała tak żałościwie, że aż mnie nawet żal się jéj zrobiło.

Do najsławniejszych osobliwości tego kościoła należą relikwie ŚŚ. Trzech Króli, zabrane w Medyolanie i darowane Kolonii przez Fryderyka *Barbarussa*, w wieku XII-tym, do których tłumne odbywają się dotąd pielgrzymki. A i ja także z intencyą pielgrzyma obiegłem wczwał dwa inne kościoły: *Św. Urszuli*, zbudowany nad grobem jéj i jedenastu tysięcy panien,

wymordowanych tu z nią razem przez pogańskich Gotów, i *Św. Gereona*, gdzie pogrzebione są kości całéj „Legii Tebańskiéj", złożonej z Chrześcijan, która pod wodzą Cezara Maxymina odniósłszy zwycięztwo nad Gallami, za to, że nie chciała składać dziękczynnych ofiar Marsowi, sama z rozkazu wodza w pień wyciętą została. Cóż za dziw, że bazyliki rosły tak wysoko, kiedy grunt pod nie tyle i takiéj krwi polewało! Zajrzałem téż na chwilkę do kościoła *Św. Piotra*, aby choć rzucić okiem na sławny obraz Rubensa. „Ukrzyżowanie Św. Piotra", który jest tam w wielkim ołtarzu; ale tyle mi tylko o nim zostało wyobrażenia, co o xiążce z obejrzenia jéj tytułu, kształtu i rejestru. A dziwna to rzecz, jak sztuka działa inaczéj niż rzeczywistość; jak powolniéj wnika do duszy! Gdybym podobną scenę np. na ulicy kiedy zobaczył: od razu i na zawsze utkwiłaby mi pewnie w pamięci; nie mówiąc już o wzruszeniu chwilowém. Na najpiękniejsze twarze, które widziałem w galeryi Drezdeńskiéj, długo naprzód patrzeć potrzeba, nim się zaczną rzeczywiście podobać; a zaś ową blondynkę z kajuty dość było raz obaczyć w przechodzie, aby się nią raptem zachwycić. Wniosek z tego, że tylko życie działa wprost na życie; a obraz malowany, albo posąg kamienny, życiem i wyobraźnią własną ogrzać wprzód i ożywić potrzeba, nim z niego żywe wrażenia wydobywać się, i na nas reagować zaczną. Piorun błyska i bije zarazem; machinę elektryczną długo kręcić musisz, nim z niéj wydobędziesz iskierkę. I brońże

Boże gdyby nie tak było! Toć w każdéj galeryi obrazów, serceby ci pękło od żalu, albobyś oszalał z zachwytu, patrząc na tyle razem męczeństw i piękności. Słowo jednakże widać działa silniéj, niżeli pędzel czy dłóto. Mógłbym się skąpać we łzach, które wylałem czytając poezye i romanse; żaden zaś obraz ani posąg dotychczas ani jednéj mi łzy nie wycisnął.

Masz tu jakby szkic myśli, które mi się roiły i brzęczały w głowie jak pszczoły, gdy sam jak szmermel zwijałem się galopem po mieście, aby i obaczyć co można, i nie spóźnić się do przystani na statek. Kupiłem tylko jeszcze dwie flaszeczki wody tutejszéj, jedną za guldena dla Adama, drugą za pół guldena dla *Julchen;*—bo mam to już sobie za narodowy punkt honoru, ażeby wszędzie u płci pięknéj dobre wyobrażenie o grzeczności polskiéj zostawić.

Płynę już od dwóch godzin tak zwanym *dyliżansem wodnym* do Bonn, większym od pocztowego statku, ale także z żaglami, a który chociaż pod wodę, idzie z wiatrem dość prędko. O 1-széj po południu mamy stanąć w Bonn; a że właśnie spełniłem zadanie, to jest zabazgrałem do końca wzięty z sobą papier listowy: — więc bądź zdrów! — idę sobie na pokład odpoczywać i marzyć.

Post scriptum. *Wieczorem, o godz. 8, w Bonn.*

Stanęliśmy rzeczywiście o 1-széj. Adam czekał w przystani. Poznałem go zdaleka; ale wiész po

czém? — po pozie malarza. Stał i rysował w pugilaresie nasz statek. „Jezus Marya!—rzekłem — czyż ci jeszcze ta manija nie przeszła? Rozumiałem przynajmniéj, że już te dni portretami się tylko zajmujesz".— „I owszem — odpowiedział seryo — zdjąłem już wczoraj wszystkie okoliczne widoki. Ale dotrzymałem ci téż słowa i napisałem dziennik podróży po Niemczech".—Ucieszyłem się niewypowiedzianie, i układałem już w głowie, jak ci będę wypisywał treść jego, a może i niektóre wyciągi. Aż tu cały ów mniemany dziennik składa się tylko z tych słów w pugilaresie: „Hamburg — bifsztyk; Wejmar — Göthe; Bonn—kartofle"— i koniec. Mszcząc się więc za tę dekonfiturę, dobrałem się do pugilaresu, gdy wyszedł, i po kartoflach dopisałem ołówkiem: *Julchen*. On tego jeszcze nie widział; ale tymczasem, przyznać muszę, że okazał się grzeczniejszym odemnie: bo oddał jéj buteleczkę większą, a dla siebie mniejszą zatrzymał.—W Bonn, prócz kartofli, nic mu się nie podoba. Mówi, że *Safianniki* [1]) w Wilnie porządniejsze od ulic tutejszych. Jużci téż jest to tylko retoryczna figura; ale Bonn w rzeczy saméj, jako miasto, nié ma w sobie nic powabnego. Oprócz dwóch niby-placów i jednéj z ulic, wysadzanéj kasztanami, wszystkie inne ciasne i brzydkie. Renu z miasta wcale nie widać. Kościoły katolickie, jeden zwłaszcza, dość duże, ale gdzie im do Kolońskich lub

---

[1]) Jedna z najnędzniejszych w Wilnie uliczek nad brzegiem Wilenki.

Akwisgrańskich! Gmach uniwersytecki obszerniejszy i porządniejszy od innych. Studentów na ulicy mnóstwo. Miny gęste, burszowskie; czapeczki na bakier. Za parę godzin, to jest o 10-téj wyjeżdżamy *Schnell-pocztą* do Koblentz; a wprzód list ten rzucę na pocztę. Bądź zdrów!

XXVI.

Do tegoż.

Moguncya, 11 Września, 1829 r.

Czuję że pisanie do ciebie stało się dla mnie potrzebą, jak korrepetycya dla studenta. Wraża mi ono w pamięć i porządkuje w myśli to wszystko, co podpada pod oczy. Tym razem jednak nie dla tego piszę: bo jadąc z Bonn do Koblentz w nocy, nic nie widziałem; podróż zaś tą samą drogą z Koblentz do Moguncyi, jakkolwiek dla nas samych była jak drugie czytanie *wielkiéj* poezyi, to jest i milsza i głębiéj przejmująca niż piérwsza: w opisie jednak byłaby tylko jak powtórzona bajka, (do któréj Szekspir życie ludzkie przyrównał), i dla tego nudzić cię nim nie będę. Powiem tylko, że wyjechawszy z Bonn po 10-éj wieczorem, o 5-éj rano wczoraj stanęliśmy w Koblentz; a wypłynąwszy z Koblentz o 6-éj rano, na parostatku *Fryderyk Xiążę Pruski*, o 8-éj w wieczór wylądowaliśmy znowu w Moguncyi, i że nam przez cały czas téj żeglugi i wiatr i pogoda sprzyjały. List ten piszę dla tego tylko, aby nim zamknąć cykl podróży Reńskiéj, to jest przesłać ci w nim pożegnanie Renu, ułożone wczoraj w tych samych prawie miejscach, w których przed kilku dniami powitanie pisałem. Próbowałem umyślnie Spencerowskiéj strofy, któréj Byron w *Childe-Haroldzie* używa, i zdaje mi się, że w poezyi opisowéj równie dobrze dałaby się

przyswoić u nas, jak włoska oktawa w powieściowéj. Zresztą sam to najlepiéj osądzisz. My ztąd za parę godzin, to jest o południu, wyjeżdżamy do Darmsztadu, furmanem, którego z wielką biedą ledwo dziś rano, i to nie w saméj Moguncyi, ale aż w *Castell*, za Renem nająłem. Żegnam cię więc na dzisiaj wraz z Renem!

Pożegnanie Renu.

Żegnaj mi, Renie! choć czuję, że we mnie
Obraz twój równie zostanie na wieki,
Jak me wspomnienia i myśli wzajemnie
Wracać tu będą nad brzeg twojéj rzeki!
Bo jak z cudownych miejsc pielgrzym daleki,
Nie ich pamiątki tylko z sobą bierze,
Lecz w nich i zakład Niebieskiéj Opieki,
Co go przez wiarę utwierdzając w wierze,
Serce krzepi otuchą, że go Sama strzeże:

Tak i ja czuję, że com na twym brzegu
Widział, i widząc poczuł w duszy mojéj,
Odbijać będzie w dalszym życia biegu,
Jak twe wybrzeża w łonie fali twojéj.
Piękność i plenność, co twe pola stroi,
Ruiny zamków po skał twoich szczycie,
Wino, co serca raduje lub koi,
Wszystko to uczy myśleć przez odbicie:
W czém czczość i mara świata—w czém prawda i życie.

Pycha, namiętność, potęga i chwała,
Co tu swe twierdze na szczyt gór dźwignęła,
Co krwi, łez tyle w twe z nich nurty zlała,
Gdzież jest?—Z twą falą w niepamięć spłynęła.
Gruz i ruina—treść i ślad ich dzieła!
A ziemia kwitnie; jak kwitła; a praca,

Co ją tu po nich w dziedzictwo objęła,
Cicha i skromna—wsławia ją, zbogaca.
Niebo jéj błogosławi, i świat ją opłaca.

Czyż i w dziedzinie duche nie tak samo?
Darmo nad poziom wznieść dzieła olbrzymie,
Gdy cień ich tylko ma być niebios plamą;
Gdy z wyżyn tylko, jak lodozwał w zimie,
Spaść ma—co tory przeszłości pielgrzymie
Zagrzebłszy, ludzkość znów pchnie na bezdroże!—
Szczęśliwszy stokroć! co choćby swe imię
Zagrzebł w pozioméj pracy, gdy z niéj może
Wykwitnąć dobro braci i Królestwo Boże!

XXVII.

Do tegoż.

Darmsztad, 11 Września, 1829 r. w nocy.

Massę rzeczy ciekawych mam ci dziś do powiedzenia; to jest ciekawych o tyle, że były takiemi dla mnie, i zapewne będą dla ciebie. Bo idzie nie o Niemcy lub Niemców, ale wprost o Adama;—a jeśli nas tak zajmowały wspomnienia Medwina o Byronie, toć przecie rzecz naturalna, że dla nas ciekawsze są o nim. Słyszę zda się że mruknąłeś pod nosem: co u ciebie, jak u niedźwiedzia, zawsze symptom ukontentowania oznacza; i gotów może będziesz nałożyć nową fajkę przed dalszém czytaniem—jak się to przy czytaniu nowéj poezyi dziać zwykło. A bo i znajdziesz tutaj poezyą nie lada; ba, nawet powiem śmiało, poezyą poezyi, i historyą jéj razem.

Widzę cię, jak to czytając,
Uszy nadstawiasz jak zając.

No! więcże słuchaj! bo ja bez żartu mam ciekawe rzeczy do opowiedzenia, i nie dla tego tylko ciekawe, że (jak król Ludwik pisał do Göthego) każdy szczegół o wielkich ludziach przestaje być drobiazgiem sam przez się, a staje się atomem, w skład ich wielkości wchodzącym; ale że to, co mi dziś Adam opowiadał o sobie, należy rzeczywiście do historyi

poezyi naszéj, bo jest historyą początku i rozwijania się w nim samym tego nowego kierunku, w którym on potém, jak rudlem, poezyą naszą zawrócił. A jest w tém—jak mi się zdaje, nie zrządzenie ślepego przypadku, ale raczéj widomy kierunek Opatrzności, która wszystko i zawsze jednym torem prowadzi, to jest wszystko co dobre, wyprowadza z miłości. *Notabene*, mówię tu nie o téj tylko pospolicie tak zwanéj *miłości*, co błękitném lub czarném oczkiem mruga i miga jak gwiazdka czy ognik, ale o téj, co *ogniem słońca,*

„Ludzkości całe ogromy
Przenika z końca do końca."

To jest, kocha to wszystko, co warte kochania: zaczynając i kończąc na Tym, co jest Alfą i Omegą wszystkiego. Adam mówił niedawno, że czytał gdzieś w *Globie* faktami udowodnione twierdzenie, że Ś. Franciszek z Assyżu, ów cud serafickiéj miłości, który nie tylko we wszystkich ludziach, ale nawet we wszystkich żyjących stworzeniach widział braci swoich i siostry, jak je sam zazwyczaj nazywał; że ten ideał pokory i ubóstwa, jest właśnie owém żywém tajemniczém źródłem, z którego, w następstwie wieków, wypłynęły prostém korytem ducha: poezya, malarstwo, rzeźba i architektura Włoska, które znowu przez Dantego, Rafaela i Michała Anioła, wpływ swój na świat cały wywarły. Otóż i nowa poezya nasza wyrodziła się naprzód, nie z estetycznych teoryi, nie z ksiąžek, nie z naśladowania Niemców albo Angli-

ków, ale wprost z życia, z prawdy, z miłości; jedném słowem z natchnienia łaski Bożéj, które z serca jednego, jakby z ołtarza Znicza, rozpromieniło się wkoło na drugich. A tym *jednym* był nie sam Adam. Adam był tylko jak ów Memnon, syn słońca, który piérwszy wschód jego harmonią powitał i ogłosił. A wszystko to wynikło tak prosto i naturalnie, że najlepiéj zdaje się zrobię, kiedy téż równie po prostu powtórzę ci całą naszą dzisiejszą rozmowę, z któréj właśnie wyciągnąłem te wnioski, z wierném nawet zachowaniem jéj toku.

Z Moguncyi do Darmsztadu jest tylko trzy mile i pół, ale droga taka szkaradna, takie piaski i błota, że woleliśmy częściéj iść piechotą, niż wlec się noga za nogą. Ekwipaż nasz był *einspännig*, to jest jednym koniem; tylko że nie tak przyczepionym z jednéj strony do dyszla, jak ów mój zaprząg z Wrocławia do Drezna, ale zaprzężonym porządnie, do bardzo porządnego, na dwie osoby, powoziku z pudłem. Porządek ten uprzęży i sam ubiór furmana, choć prosty, ale ani dziurawy, ani łatany, przekonywały nas dostatecznie, że nie jesteśmy u siebie; ale za to kraj w ogólności tak był do naszego podobny, że co krok przypominał nam jakąś znajomą okolicę i obudzał przywiązane do niéj wspomnienia, któreśmy sobie opowiadali nawzajem. To wprawiło Adama w najdoskonalszy humor; a to podobieństwo krajobrazu sprawiało mu, jak sam mówił, sto razy większą przyjemność, niż najpiękniejsze widoki nad-Reńskie, choć je z takim zapałem rysował.—„Oho, żeby to posły-

szano w Warszawie! rzekłem. Klassycy mieliby gotowy pistolet na zabicie cię raz na zawsze w opinii wielkiego świata." — I opowiedziałem, jak raz na wielkim obiedzie u Jenerała Krasińskiego, król *dandysów* warszawskich, wielki wojażer, pan hr. Gustaw M., rozśmieszył i zgorszył całe towarzystwo opowiadaniem, jak jeden z jego znajomych ziomków, stojąc z nim na „*Moście Westchnień*" w Wenecyi, westchnął wspomniawszy sobie, że w tym dniu właśnie zaczyna się jarmark w Łowiczu. Poczytano to za dowód takiéj głupoty, na którą nié ma wyrazu; i dopiéro gdy Waleryan piérwszy, a ja po nim, odważyliśmy się stanąć w obronie *cenzurowanego:* zdania zachwiały się nieco, i w końcu podzieliły się na dwoje. Wojskowi zwłaszcza wzięli stronę naszą, przeciwko frakowym pankom, dla których zagranica, to Eden— dopóki w nim na rajskie jabłuszka fortuny i zdrowia nie stracą:

A potém wygnani z raju,
Wrócą pokutować w kraju.
O! i żebyż pokutować,
A nie jak wąż deklamować,
I do podobnychże losów
Pokuszać drugich młokosów!

Gdy zaś dotknięty tém widać pan hrabia zapytał mię po chwili z przekąsem: „Czy prawda, że bachury z pejsami w jarmułkach służą do stołu w traktyerach w Wilnie?"—wypaliłem mu na to taką filippikę, że podobnéj zapewne w życiu swojém nie słyszał. Nie mógł wszakże obrazić się jawnie, bo nie wprost do

niego samego, ale tylko w ogólności mówiłem; musiał wszakże wściekać się *in petto*, tém bardziéj, że się większość w tym razie oświadczyła za mną.—Opowiadanie to wywołało w Adamie jeden z tych improwizacyjnych wybuchów, które tém mocniéj wstrząsają słuchacza, że on w nich wcale o effekcie nie myśli, a tylko jak huragan jego Farysa: to *go wznosi, to ciska o ziemię, paląc ognistym oddechem* swych uczuć, a porywając na skrzydła swych myśli. Mówił o dziwném tém zaślepieniu, a raczéj omamieniu, które Bóg często za karę, jak na pojedynczych ludzi, tak i na całe społeczeństwa dopuszcza: że w zapatrzeniu tylko na dalekie złudne *miraże*, w istocie nic ani w sobie, ani wkoło siebie nie widzą, i goniąc niby za wodą, gotowi są odbiedz od rzeki, aby zginąć w piaskach pustyni; gotowi się wstydzić cnót własnych, aby w cudzych grzechach zagrzęznąć. Jak zaś są miejscowości, gdzie się owe fizyczne *Fata-Morgany* pojawiają częściéj niż gdzieindziéj, tak i podobny fenomen moralny często od przyczyn miejscowych zależy. Klimat i natura kraju wpływać muszą koniecznie na temperament i charakter mieszkańców. Płaskie, piaszczyste równiny, miałkie koryta rzek, inne już od dzieciństwa czynią wrażenie na ludziach, niż góry, skały, kwieciste łąki lub dębowe lasy, które ani na takich płaszczyznach, ani nad brzegiem takich rzek nie rosną. Imaginacya jak oko, nie mając o co się oprzeć, aby módz skupić się w sobie, staje się w końcu jak ów strażnik telegrafu, który wzrok tylko na dalekość wytęża, i machinalnie ruchy innych tele-

grafów powtarza. Ztąd pochop do naśladownictwa, które znowu, z natury swojéj, musi w końcu wpadać w przesadę. Poezya téż w takich warunkach, łatwiéj może niżeli gdzieindziéj staje się naśladowniczą i sztuczną. Poezya prawdziwa, wszędzie i zawsze wykwita tylko z poczucia i zamiłowania rzeczy własnych; bo takie tylko dla poety są istotnie prawdziwe; bo takie on tylko sam przez siebie widziéć, poznać i poczuć może. Przedmioty i uczucia poetyczne brane z xiążek, będą to zawsze tylko albo zasuszone, albo sztucznie robione kwiaty; ciekawe może dla botanika, dobre dla sztucznych włosów lub barwionych twarzy, ale których żadna wiejska dziewczyna, za nic na świecie, ani do głowy, ani do serca przypiąćby sobie nie chciała. Poezye tego rodzaju mogą podobać i podziwiać pewne światowe i literackie koterye, ale ogół nigdy ich ani przyjmie, ani uzna za swoje.—„A i ty przecież zkąd jeśli nie z xiążek nauczyłeś się naprzód i pojmować i pisać poezye?” rzekłem.—„Pisać wiersze, nie poezye—odpowiedział; bo to dwie rzeczy różne jak niebo od ziemi. Xiążki przekonały mnie tylko, że wszyscy wielcy poeci, ilu ich było na świecie, od Homera do Göthego, wszyscy z tego samego źródła czerpali.”—„A jakież to jest źródło? Poezya ludowa?” zapytałem.—„Poezya ludowa nie jest źródłem, ale tylko, jak wiejska dziewczyna, czerpa wprost dłonią i pije ze źródła, nim je potém wodociągami do miasta na fontanny i na herbatę sprowadzą.”—A więc cóż jest tém źródłem?”—„Rzeczywistość i Prawda. Dla gminnego oka to skała;—ale toż właśnie ze ska-

[redacted]

ły na Parnasie greckim wytryskało źródło Kastalskie. Imaginacya jest tylko jak Hebe, co z tego źródła nalewa; albo jak ta dziewczyna w Karlsbadzie, co *Szprudel* kubkami rozdaje."—

I oto masz w jaki sposób zaczęła się rozmowa, o któréj dziś głównie chcę pisać, a to, aby ci donieść wiele nowych rzeczy, o których sam raz piérwszy z niej się dowiedziałem [1]).

Fizyolog jakiś dowodzi, (są to własne słowa Adama), że mózg dziecka w piérwotném kształtowaniu się swojém, podobny jest koleją do mózgu ryby, ptaka, zwierzęcia, nim się wreście na mózg ludzki wykształci. Otoż i w kształceniu się moralném i artystyczném, człowiek przez podobneż fazy przechodzi. W obu razach, jeżeli się na którym z tych pośrednich szczebli zatrzyma, rodzą się monstra, półgłówki, i poeci bazgracze.—W piérwszych latach pobytu w uniwersytecie, był on, (jak sam powiada), co do poezyi, w stanie zwierzęcia; to jest pisał takie wiersze, i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówcześni recenzenci Warszawscy. W szkołach zaś, w No-

---

[1]) Dla wielu czytelników dziś to już może nie będzie nowością. Przed kilkunastu bowiem laty, opowiadanie moje o tém samém, przyjaciel mój ś. p. Ignacy Chodźko, autor *Obrazów Litewskich*, pomieścił w swoich „*Dwóch Konwersacyach*." wymieniając wyraźnie że je ma odemnie. Następnie zaś p. Juljan Bartoszewicz, w swojéj *Historyi Literatury*, powtórzył je całkowicie ztamtąd, bez wymienienia wszakże źródła zkąd bierze. (*Przypisek autora, w Kronice Rodzinnéj, z r. 1869*).

w ogródku, czuje, że był w stanie ryby; kiedy na wzór drukowanego jakiegoś poety Świderskiego [1]), zaczął był przekładać wierszem *Numę Pompiliusza* Floryana, i to z prozy polskiéj Staszica. I oto jest parę wierszy, które sobie przypomniał.

W mieście Kuryi, w kraju Sabińczyków,
W pośród rozkosznych cyprysu gaików, i t. d.

To sam początek. A potém z pojedynku Leona z Numą:

Jak na dnie studni dwa zjadliwe węże,
Na wierzchu skały dwaj waleczni męże, i t. d.

Uśmieliśmy się serdecznie z tych wspaniałych rymów, które autor deklamował z emfazą. A ja téż przypomniałem sobie moje z *Gonzalwa z Korduby*, tegoż Floryana, z którego także w szkołach, i także z prozy polskiéj, kilka miejsc zwierszowałem. Między innemi pojedynek Almanzora z Larą tak się zaczynał:

Almanzor jeszcze słaby z odniesionéj rany,
Lecz cnotą i miłością ojczyzny zagrzany,
Skoro tylko na niebie dzień się ukazował,
Do osobnéj się walki z Gonzalwem gotował. i t. d.

Deklamacye te dały powód do przypominania najpiérwszych poetycznych wrażeń, jakich każdy

---

[1]) Jędrzej Świderski, mierny autor kilku obszernych poematów, jak np. *Józefada*, w pięciu, a *Syn marnotrawny*, w dwudziestu dwóch pieśniach.

w dzieciństwie doznawał; i pokazało się, że oprócz tych samych bajek, opowiadanych przez niańki, inne téż źródła były prawie te same; a były niemi zwłaszcza tłómaczenia różnych powieści z francuzkiego: z Floryana, z pani de Genlis, i t. d. które widać naówczas krążyły powszechnie. Adam aż mnie pogładził śmiejąc się, gdy mu opowiadałem, jak przy czytaniu *Numy Pompiliusza*, z oburzenia na Rzymian za porwanie Sabinek, tak mocno machnąłem ręką, że uderzywszy wierzchem dłoni o chropawą korę staréj lipy w Giejstunach, zdarłem zeń sobie skórę aż do kości, tak, że przez parę tygodni rękę na temlaku nosiłem; albo jak potém już w szkołach, galopując na własnych nogach z kolegami, w roli rycerzy, na odsiecz pięknéj Zoraidy, upadłem na kołek od wrót i zwichnąłem tęż samą rękę. On téż opowiadał nawzajem, jak w Nowogródku urządzał z kolegami zabawy, mające wyobrażać różne sceny z poematów albo romansów, które wspólnie czytali; a o czém téż i w *Dziadach* wspomina. A było to kubek w kubek tak samo, jak u nas w Borunach, jak zapewne i u was w Szczuczynie; bo jakimś dziwnym tajemniczym węzłem, wszystkie szkoły w małych miasteczkach łączyły się w jeden obyczaj. Adam z tego powodu mówił, że nikt większych zasług nie położył w literaturze naszéj, jak Dmochowski i Piotr Kochanowski: piérwszy przekładem *Iliady* i *Eneidy*, drugi *Jerozolimy Wyzwolonéj* Tassa; bo przez te dopiéro przekłady, wielka prawdziwie poezya doszła u nas do wiadomości ogółu; podczas, kiedy późniejsi tłóma-

cze samych tylko poetów francuzkich, pojęcia o niéj, zamiast rozszerzać, ścieśniali owszem i ćmili.

W uniwersytecie to jednak dopiéro nauczył się czuć i oceniać, jak mówił, te nieprzebrane piękności i skarby językowe, zawarte w owym przekładzie Tassa przez Kochanowskiego, a zwłaszcza w poezyach Trembeckiego, których sam potém, jak pamiętasz, kazał nam wszystkim uczyć się na pamięć. Winien to zaś był naprzód naszemu czcigodnemu panu Leonowi Borowskiemu, który rychtyk tak samo musztrował z początku Adama, jak potém nas po kolei; i po dwóch piérwszych jego ćwiczeniach, które pochwalił publicznie, zawezwał go tak samo, jak nas potém, do siebie, a widząc że jeszcze tak młody, (kończył rok siedemnasty), zajął się nim z tąż samą prawdziwie ojcowską, ale razem i pedantyczno-mistrzowską troskliwością, którą i jego, jak nas potém nieraz, prawie do płaczu i do rozpaczy przywodził. A przecież Adam w tym piérwszym roku pobytu w uniwersytecie, jako stypendyat i kandydat do stanu nauczycielskiego, uczęszczając z obowiązku na wydział fizyczny, nie był nawet jeszcze właściwie uczniem Borowskiego, i tylko jako amator na lekcye jego przychodził. Nie przeszkadzało to jednak gorliwemu professorowi, mimo ciągłych prac i zajęć własnych, poświęcać często po kilka godzin czasu dla obcego mu całkiem młodzieńca, skoro w nim, okiem mistrza i znawcy, odkrył zaród prawdziwego talentu. To téż Adam, podobnie jak i my wszyscy późniejsi, zachowuje zawsze dla niego wdzięczność

i przywiązanie synowskie. I rzecz dziwna, że i on także, przez długie lata, jak mówił, przy każdém pisaniu wierszy, czuł zda się obok siebie zimną i sztywną jak posąg twarz i postać pana Leona, gdy bez żadnéj litości dla rymu lub dla harmonii wiersza, z nieubłaganą surowością Minosa, ścigał każdą myśl nielogiczną, każde niejasne wyrażenie, każdy wyraz niewłaściwie użyty. I przypominaliśmy oba z rozrzewnieniem, owe istne czyscowe próby, w gabinecie jego pod kluczem: gdy przyniesiony rękopism, wycackany i wychuchany jak można, a miany za *monumentum aere perennius* — wynosił się pokrzyżowany jak cmentarz, który i górne o sobie mniemanie autora, i nadzieję chwały z niego pogrzebał.— O! gdyby to i surowość klassyków Warszawskich z podobnego wypływała źródła! Czyżby nie miło było mieć te same uczucia i dla nich, jakie do dziś dnia dla pana Leona zostały? Tém bardziéj, że już z ich sławy lub z czytania ich własnych utworów, jak np. ód Koźmiana, albo tłómaczeń Osińskiego, tak się ich od dzieciństwa kochało i czciło. Ale Warszawa pod tym względem, to inny świat, którego my, Bogu dzięki, pojąć nawet i zrozumieć nie możem. Bo jakże to naprzykład, kochając niby literaturę i sztukę, nie ucieszyć się i nie powitać z miłością, i nie podać braterskiéj lub ojcowskiéj ręki nowym młodszym współpracownikom, którzy do téj saméj winnicy, na wspólną robotę przychodzą? Jak pojąć, aby tak zacny i poważny człowiek i dygnitarz, jak Koźmian, dójść mógł do tak nieprzyzwoitych nawet wybuchów

niechęci i gniewu, z jakim się potylekroć publicznie o Adamie odzywał? Aby tak światły i tak wysoko w hierarchii społecznéj stojący, jak Jenerał Morawski, mógł, i to przez ciąg lat wielu, poniżać i prawie ograniczać swój talent do ciągłych żartów i przedrwiwań z Jaxy [1]), lub do tak obraźliwych obelg, nie już satyr, z jakiemi kiedyś przeciw Goreckiemu wystąpił? I za co? Za to chyba, że *Dziady* i ballady Adama, jak przedtém bajki i dumki Goreckiego, podobały się powszechnie wszystkim, prócz klassycznego Sanhendrynu w Warszawie? Jak więc pojąć i czém wytłómaczyć, że te i tym podobne rzeczy, w opinii najpiérwszych towarzystw, zamiast wzbudzać oburzenie i niesmak, echo owszem i poklask znajdują? Wytłómaczyć to chyba można przewagą ducha koteryjnego nad ogólnym; albo, że jak koryfeuszem koteryi, tak i pochodnią opinii salonów, które tamtéj przez modę hołdują, jest taki *expert* i deklamator jak Osiński, który sam istny okaz *Warszawskiego srebra*, pod połysk blaszki naklejonéj z wierzchu, nikomu w głąb zajrzeć nie daje, a zaś dewizę koteryi swojéj, wciąż, jak drzemiącéj papudze, wkłada do uszu opinii salonowéj: „Nie będziesz miała bogów cudzych przed nami!"—A wreście, jest to już może jakaś miejscowa *malaria*, nakształt Rzymskiéj, która epidemicznie z pokolenia na pokolenie przechodzi. Dość wspomnieć na owe sławne czwartkowe obiady u króla, na których

[1]) Kajetan Jaxa Marcinkowski, rozgłośny w swoim czasie wierszopis, zmarły w r. 1830.

ludzie najpoważniejsi stanem i wiekiem, czytali głośno jedni przed drugimi takiego rodzaju wiersze, iż żaden dziś przyzwoity młodzieniec, przed kolegami nawet powtórzyćby ich nie śmiał; albo owe rymowe kłótnie i żarty z Bielawskiego, które dzisiaj Morawski naśladuje z Jaxą; albo nakoniec owe *smolące*, jak je nazwał Trembecki, paszkwile Węgierskiego, któremi pyszny dowcipem swym młokos, nie tylko najdostojniejsze osoby płci obojéj, ale nawet swych własnych dobroczyńców obrzucał. Że zaś podobne literackie paszkwile nie lada musiały być w modzie, świadczy o tém wiersz Trembeckiego, p. t. *Antidotum przeciw zbyt rozmnożonym w Warszawie paszkwilom*, który pewno musisz pamiętać:

„Co za brudne postrzegam i nieznane chmury?
Jak grad lecą paszkwile, zwłoszały Mazury.
Z czasem ci pisarkowie do téj dójdą mety,
Iżby w plecach braterskich topili sztylety" i t. d.

Karpiński i Kniaźnin, przybylcy z innych okolic, nie mogli widać harmonizować z tym nastrojem miejscowych lutni, i tak nie należeli do ówczesnéj koteryi lutnistów, jak nie należą do dzisiejszéj: Brodziński, Witwicki i Bohdan, chociaż ich między sobą braterska przyjaźń jednoczy. A i sam Ursyn, choć od tak dawna zamieszkały w Warszawie, czyż go nawet sama ta koterya dzisiejsza za członka swojego uważa? Czy on jéj sądy i niechęci podziela? Czyż i jego także pan Ludwik nie szarpie gdzie może za oczy?— Alboż Alexander Fredro naprzykład—którego wszy-

stkim sztukom na scenie z takim zapałem przyklaskuje publiczność; jakże on był przyjęty i traktowany z początku przez ten pseudo-klassyczny areopag recenzentów Warszawskich, który sam *jure caduco* chce sobie gwałtem przywłaszczyć przywilej wydawania patentów na sławę? — Ciekawa rzecz, co to będzie za jakie drugie lat pięćdziesiąt, kiedy może romantyzm stanie się tam modą, jak się na to zdaje zanosić; albo jeśli i u nas przyjdzie kiedy do tego, że xięgarze i dziennikarze zaczną płacić za prozę i wiersze, jak się to już praktykuje gdzieindziéj. Toż to będzie dopiéro monopol, gorszy niż dzisiaj na tabakę, ażeby nikt broń Boże, *outre nous et nos amis* do konkurencyi nie stanął! A kto wié czy i romantyzm na tym samym gruncie nie wybuja jak dzisiejszy klassycyzm, i nie rozpasa może hippogryfa, jak dziś ten pegaza okiełznał? Próbkę już tego dzisiaj można widzieć w Gosławskim;—choć co w tém, to już nie wina Warszawy, bo to wicher od stepu w nim kręci. Ale niechby mu kto, jak nam pan Leon, chciał mówić o logice, o sensie, o jasności myśli i wyrażeń!—tożby miał co do słuchania nawzajem: o pedantyzmie, empiryzmie, o profanacyi natchnienia, o grzechu przeciw Duchowi Świętemu!—Adam mówi, że to jest nieuniknione kolej wszelkiéj nowéj reformy; że każda musi, jak wahadło w zegarze, dojść do swojego *czyk*, to jest do ostateczności w swoim kierunku, nim do umiarkowania nawróci. Ztąd téż przepowiada, że jeśli kto z nowatorów dzisiejszych do onych lat pięćdziesięciu dożyje, to albo pójdzie w kąt pomiędzy

stare graty, albo tak będą krzyczeć na *zacofańca* lub *retrogradystę*, jak dziś krzyczą na *turbatora chóru*. Brodziński o tém przecudownie powiedział:

Kiedym był młody, wołali starzy:
„Czemu nam w drogę zachodzi,
„I o czémsiś nowém marzy?"
Kiedym postarzał, wołają młodzi:
„Czemu nam z drogi nie schodzi,
„I o czémsiś dawném gwarzy?"—

Jedném słowem, dogódźże tu ludziom na świecie! i Naruszewicz nie darmo mówi w ogólności do nich:

Wasz to obyczaj, cierniem w życia ciągu,
Laurem po śmierci wieńczyć na posągu.

Adam zaś dodaje nadto, że niedość nawet jest umrzeć, ale potrzeba jeszcze najmniéj pół wieku czasu, aby się sąd potomny o poecie ustalił; i że ten co zbyt goni za chwałą współczesną, najczęściéj się rozminie z potomną.

Ale wybacz, mój drogi, ten tak sążnisty epizod! Możesz go wziąć naprzód za dowód, że nié mam czasu pisać krótko, jak to tam jakaś Francuzka czy Francuz powiedział. A powtóre, gdybym się miał exkuzować przed panem Leonem, który epizodów nie lubi, to powiedziałbym, że w niniejszym jest jakby odbicie sposobu i toku rozmowy, która szła sobie jak dziewczyna w lesie, zbierająca jagody lub grzyby. —A więc wracam *ad rem et ad hominem*.

Borowskiemu Adam, jak mówił, zawdzięcza przedewszystkiém wyrobienie formy i języka; bo co do

treści i kierunku, on mu nowéj drogi nie wskazał. W ciągu dwóch piérwszych lat w uniwersytecie, z drobnych rzeczy pisał najwięcéj bajek, naśladując w nich styl Trembeckiego; na seryo zaś myślał ciągle o poemacie heroi-komicznym p. t. *Kartofla*. (W Warszawie mówi się *kartofel*. Sam więc tytuł dla recenzentów tamecznych jużby do potępienia całego poematu wystarczył; chociaż sam chyba X. Jundziłł mógłby zadecydować stanowczo, do jakiego rodzaju należy raczéj ten owoc: bieluchny, okrągluchny, a z tak bujnym zielonym warkoczem? Czerwone więc chyba i długie, jak nosy pijaków, a dobre tylko dla gorzelni, mogłyby w nim płeć brzydką oznaczać.) Znaczne wyjątki z tego poematu czytał mi już przed laty w Wilnie. Część heroiczną stanowić w nim miało odkrycie Ameryki, gdzie téż naprzód odkryto kartofle; część zaś drugą, uprawa i użycie ich u nas; czyli raczéj, pod tą niby żartobliwą formą, obraz wiejskiego życia i obyczajów naszych.—Część piérwsza była prawie skończona. Rozpoczynał ją obraz wyprawy Kolumba, miotanéj burzą na przestrzeni wód nieznajomych, a przywiedzionéj do rozpaczy i zwątpienia o skutku, oprócz tylko jego samego. Burzę tę i zwątpienie osady wywołał nie kto inny jak szatan, przewidujący rozszerzenie Chrześcijaństwa i dalsze dobre skutki z odkrycia. Wiara i natchnienie niebieskie były światłem i siłą Kolumba, w owéj walce z szatanem, z burzą, i ze współtowarzyszami swoimi. Tymczasem, w chwili stanowczéj, w Niebie odbywa się narada: dopuścić, czy jeszcze odroczyć odkrycie no-

wego świata? Archanioł Michał jest za dopuszczeniem, archanioł Gabryel przeciw. Piérwszy sposobem i stylem Miltonowym, przedstawia w długiéj mowie wszystkie pożytki, jakie ztąd dla ludzkości i dla wiary wynikną; drugi wszystkie zbrodnie Hiszpanów a prześladowania krajowców, mające być zarówno skazą ludzkości i wiary. Szala wyroków się chwieje—i nakoniec staje w równowadze. Wtedy archanioł Michał, jako ostatni argument, rzuca na nią *kartoflę*. Korzyść z niéj dla ludzkości zwycięża nawet opór Gabryela. Odkrycie zdecydowane. Protektor jego śpieszy ku wyprawie. Szatan pierzcha, burza ustaje, Ameryka odkryta! Obraz natury kraju i jego mieszkańców, na wzór opisania raju w Miltonie, i nakoniec poznanie kartofli zamykały część heroiczną. Z drugiéj były tylko wyjątki. Jeden z nich, ile pamiętam, dałem ci kiedyś jako autograf Adama, zaczynający się od słów:

O! ziemio Nowogródzka! kraju mój rodzimy!
O! Trembeckiemi godzien uwielbienia rymy! i t. d.

Adam *à propos* tego swego poematu, studyując różne epopeje, napisał téż rozbiór *Jagiellonidy*, Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, ogłoszony w *Pamiętniku Warszawskim*. Zaniechał zaś kontynuacyi dla tego, że właśnie w tymże czasie poetycka komórka w jego mózgu, nowe kształty, jak mówił, przybierać zaczęła.

Piérwszym, chociaż bezwiednym motorem tego, był pan Tomasz. Znasz go, a więc znasz i to serafickie usposobienie serca, które kocha wszystko i wszystkich, we wszystkiém i we wszystkich szuka tylko

i widzi dobro, a każdém miłém wrażeniem i uczuciem radeby się ze wszystkimi podzielić. Owoż za narzędzie właśnie ku temu służyły mu wiersze—bo o ich drukowaniu nigdy ani myślał. Pisał zaś ich co niemiara: naprzód do rozmaitych panienek i panieneczek, którym na wszystkich pensyach rozmaite przedmioty wykładał, a w każdéj z nich, zaczynając od *Feli* i *W'eli*, (królowéj jego myśli i jéj przyjaciółki: Felicyi Micewiczówny i Eweliny Zborowskiéj), w każdéj jakiś wyłączny *promionek* doskonałości upatrywał i kochał; potém zaś, opisując dzień po dniu swoje przygody albo wrażenia, które zwykle wieczorem przyjaciołom swym odczytywał. A przyjaciółmi tymi byli: nasamprzód Adam, potém p. Franciszek Malewski, potém Jeżowski, Czeczot, Kowalewski, nasz kochany Żegota [1]), i nakoniec, nieco już późniéj, wesoły i rozweselający wszystkich Antoni Frejend, starszy mój szkolny kolega w Borunach i najpiérwszy przyjaciel-poeta, który mię téż potém w Wilnie najpiérwéj z p. Tomaszem, i ze wszystkimi, prócz Adama, braćmi w Apollinie zapoznał. Adam, p. Franciszek i Tomasz mieszkali tuż obok siebie na jednym korytarzu w murach Što-Jańskich: p. Franciszek u ojca swego, rektora; Adam u krewnego i opiekuna, dziekana i professora, X. Mickiewicza, a p. Tomasz u Kazimierza Kontryma, jako korrepetytor przy jego synowcu Dalsi bywali tylko ich codziennymi gośćmi: Frejend często z butelką mleka i własnemi bułkami w kie-

---

[1]) Domejko.

szeni. Na tych to zebraniach, obok dysput o algebrze, chemii, Pandektach, Homerze i Horacyuszu, p. Tomasz na zakończenie czytywał zwykle owe swoje wiersze, a Frejend jowialne *jamby*. Adam z początku nie wiele do nich przywiązywał wagi, nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania; aż nakoniecrazu jednego p. Tomasz napisał elegię na odjazd jednéj ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w niedzielę i święta, spotykał się na obiadach w domu wspólnych przyjaciół, gdzie już zazwyczaj razem resztę dnia przepędzali. Treścią téj elegii było zwłaszcza wspomnienie wspólnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczéj wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie, że Adam, który, jak sam powiada, nie sądził, „aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi," raz piérwszy zwrócił myśl i uwagę nie tylko już na szukanie „prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie." A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku: więc i we wszystkich arcydziełach w obu tych językach, zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Göthe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami; elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni. Następnie, razem z Czeczotem, gorliwym zbieraczem

i naśladowcą piosnek gminnych, zaczęli szukać w nich śladów uczuć, pojęć i obyczajów własnych, które naśladownicza nasza poezya uczona całkiem prawie w sobie zatarła. Najpiérwszą pracą Adama w tym kierunku była ballada *Lilie*; najpiérwszym zaś który zaczął pisać ballady, był także p. Tomasz.

A wiészże w jaki sposób przyszły do nich raz piérwszy i forma i tytuł ballady? Oto na tymże samym co oni korytarzu, mieszkał professor literatury rossyjskiéj, Czerniawski. Syn jego, żywy i wesoły chłopak, i którego oni wszyscy lubili, należał téż niekiedy do ich zebrań i pogadanek wieczornych. Razu jednego wpadł cały zaperzony i z rozpromienionemi oczyma. Był to skutek świeżego wrażenia po przeczytaniu nowo wyszłéj w języku rossyjskim ballady Żukowskiego p. t. *Ludmiła*, będącéj tłómaczeniem, a raczéj mistrzowskiém naśladowaniem sławnéj *Lenory* Bürgera, któréj dotąd żaden z nich nie znał. Czerniawski wydeklamował im ją z zapałem, i wszyscy podzielili uniesienie jego. P. Tomasz zaraz nazajutrz napisał na wzór tego balladę *Nerys* albo *Neryna*, (dawna nazwa rzeki Wilii); a w parę dni potém drugą, p. t. *Switeź*. Jest to ten sam Switeź, jezioro, które dziś Adam tak głośno rozsławił, a nad brzegami którego nowe uczucie, miało wkrótce otworzyć mu nowe pole, do wcielenia nowych jego poetyckich pojęć i wyobrażeń. A i tu znowu, dziwnym zbiegiem okoliczności, p. Tomasz miał być téż piérwszym, lubo także bezwiednym, a przynajmniéj mimowolnym motorem.

Było to w roku 1818. Poprzednie wakacye p. Tomasz przepędził u przyjaciela swego, p. Michała Wereszczaki, w Płużynach [1]), gdzie go właśnie zachwycało to piękne jezioro, a więcéj jeszcze siostra gospodarza, Marya, którą on po swojemu przezwał Maryllą, i mnóstwo wierszy do niéj i o niéj napisał, a jako o arcy-poetyckiéj istocie, cuda o niéj przyjaciołom swym opowiadał. Jadąc więc tamże na wakacye następne, namówił z sobą na dni kilka Adama, który znał także i był przyjacielem pana Michała. Przyjechali nad wieczór w sobotę, a więc w dzień Maryi. Gospodarzy w domu nie było; wyszli byli na przechadzkę około zboża. P. Tomasz więc tymczasem chciał pokazać nowemu gościowi dom i swój dawny pokoik, w którym mieszkał za piérwszą bytnością. Ale tu ich uderzył widok niespodziany. Na poręczach dwóch krzeseł, ustawionych w pośrodku, leżała deska do prasowania; na niéj stos kołnierzyków i chusteczek damskich, i prasująca się właśnie szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiała u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było nikogo, bo właśnie prasująca dziewczyna poszła była po nową duszę do żelazka. Łatwo pojąć jakie wrażenie ten widok sprawić musiał na młodych poetach; i p. Tomasz, który mi to opowiadał, utrzymuje

---

[1]) Wieś w powiecie Nowogródzkim, na południe od Nowogródka, z jeziorem *Świteź* i dworem *Tuhanowicze*.

nie żartem, że Adam nim obaczył Maryllę, którą wracającą z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jéj sukience zakochał.

Ale i piérwsze poznanie się Adama z Tomaszem warte jest téż opowiedzenia. Opowiadał mi to kiedyś p. Tomasz, a dziś Adam prawie słowo w słowo powtórzył. Narracya więc moja jest summą ich obu.

Wiész może, że Adam pojechał do uniwersytetu na wezwanie krewnego swojego ojca, X. kanonika Józefa Mickiewicza, professora fizyki i dziekana matematycznego wydziału. Inaczéj byłby się aplikował w Nowogródzkiej palestrze, jak starszy brat jego Franciszek [1]). Owoż X. Dziekan chciał go pomieścić od razu na koszcie uniwersyteckim, jako kandydata do stanu nauczycielskiego, ale że jeden tylko był wakans w tym roku, a p. Kazimierz Kontrym, bibliotekarz i sekretarz uniwersytetu, protegował nań kogo innego: examin więc miał dopiéro rozstrzygnąć, czyj kandydat otrzyma piérwszeństwo. Tym *kim innym*, był nie kto inny, jak p. Tomasz, świeżo ze szkół Mołodeczańskich przybyły, a zalecony przez kogoś Kontrymowi. W kancellaryi więc przed salą examinacyjną zeszli się i ujrzeli po raz piérwszy obaj współzawodnicy, i jak szermierze przed wejściem do szranek powitali się wzajemnym ukłonem, ale ani słówka nie przemówili do siebie. Chwilę tę doskonale pamiętają oba, i nawet strój jeden drugiego. Adam był

[1]) Zmarł w r. 1862 w Poznańskiém, gdzie ostatnich lat kilkadziesiąt przepędził.

w czarnym fraku, w kamizelce i dalszém ubraniu nankinowém żółtém, a kołnierzyk tak miał wysoki, że mu aż uszy podrzynał. Pan Tomasz przypominając przytém jego drobną rumianą twarzyczkę, powiadał, że wyglądał jak różyczka w lilii. Tymczasem examinatorowie się zeszli i obudwóch wezwano razem. Stali obok siebie przed stołem, przy którym professorowie siedzieli. Examin obu poszedł jak najlepiéj, i kazano im znowu oczekiwać w kancellaryi na wyrok. Ale i podczas tego jeszcze oczekiwania, żaden z nich nie przerwał milczenia: nie w skutek jakiéjś niechęci, ale że żaden nie wiedział, jak i od czego ma zacząć. Nakoniec wyszedł z sali p. Kontrym i ogłosił, że pan Adam Mickiewicz na ten już rok został przyjęty, ale że i pan Tomasz otrzymał *accessit*, z którego na rok przyszły będzie miał prawo korzystać; tymczasem zaś sam p. Kontrym ofiarował mu stół i mieszkanie u siebie. Adam powiada, że go ten tryumf nie tylko nie ucieszył, ale owszem zawstydził i upokorzył wewnętrznie; przypisywał go bowiem tylko protekcyi i wpływowi X. Dziekana. P. Tomasz sądził przeciwnie, i uznając w tém najzupełniejszą słuszność, zbliżył się piérwszy do Adama i powinszował mu tak serdecznie i szczerze, że go do reszty zmięszał tém i rozrzewnił. Skończyło się na tém, że dwaj współzawodnicy, po krótkiéj piérwszéj rozmowie, rzucili się nawzajem w objęcia, a łzy i pocałowania gorące uświęciły ten piérwszy węzeł stosunku, który odtąd nie tylko ich serca, ale nawet ich losy, w najważniej-

szych wypadkach życia, nierozdzielną wspólnością połączył.

Ale ponieważ jestem w wenie narracyi, muszę ci jeszcze dodać jedną scenę, to jest piérwszą podróż Adama z Nowogródka do uniwersytetu, którą on tak pocieszni i dramatycznie opowiadał, że mi się jeszcze śmiać chce myśląc o tém. Jechał zwyczajnym u nas ekwipażem, t. j. kupiecką bryką żydowską, razem z trzema żydami. Stary *Szene-morejna*, kupiec z Mira, z poważną białą brodą, siedział obok z nim w tyle; dwaj młodsi na tłómokach na przedzie.—Adam mając od matki jedenaście dukatów w złocie, (jeden święcony z wizerunkiem N. Panny), a przytém głowę nabitą bajkami o zbójcach, widząc się w tak podejrzaném towarzystwie, wydobył stary pistolet, który sam przed wyjazdem oczyścił i nabił szrótem, i położył go sobie na kolanach. Broń palna w ręku studenta zaniepokoiła sąsiada; zaczął więc perswadować, żeby ją schował. Ale ta perswazya właśnie wzmogła podejrzenie Adama. Zrozumiał to żyd mądry, i wręcz go zapytał: „Nu, wieleż panicz masz pieniędzy?"—Adam struchlał, jak sam powiada, będąc już najpewniejszym, że ma do czynienia ze zbójcą. Wtedy pan Jankiel, (bo tak się nazywał), wyciągnął z pod opończy ogromną *kozicę* (sakwę skórzaną z frendzlami), pełną srebra, assygnat i złota, i pokazując to wszystko Adamowi rzekł: „Nu, widzisz panicz, że ja mam więcéj. A gdybym ja panicza chciał zarznąć, toby mnie to wszystko zabrano, i jabym sam poszedł na Sybir."—Argument ten tak

przekonał i zawstydził Adama, że nie tylko schował pistolet, ale nawet proch zdmuchnął z panewki. Ujęty tém nawzajem starzec, w całym ciągu dalszéj podróży otaczał go szczególną pieczołowitością, częstował kawą i jajami, i nakoniec, wdając się z nim w rozmowę, udzielił mu, jak sam Adam powiada, kilka tak mądrych rad i przestróg, co do praktycznego życia z ludźmi i szanowania zdrowia za młodu, że mu one dotychczas pozostają w pamięci, i nieraz sam na sobie dobrego ich skutku doświadczył.

Stanąwszy w Wilnie, w piątek przed wieczorem, ubrał się zaraz i poszedł do X. Dziekana. Przechodząc przez Ostrą Bramę trafił właśnie na nieszpory i na litanię z muzyką. Matka zaleciła mu przed wyjazdem, aby naprzód tam poszedł i dał na mszę świętą. Ukląkł więc pod filarami i zaczął się modlić, a przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnemi rozpłakał. Ale właśnie te łzy i modlitwa taką go w końcu napełniły pociechą, jak gdyby w samym sobie posłyszał zapewnienie, że go Najświętsza Matka przyjmuje w opiekę.

Na takich to i tym podobnych opowiadaniach przeszła nam cała podróż z Moguncyi do Darmsztadu.— Stanęliśmy tu o pół do szóstéj; a wyczytawszy z afiszu, że dziś w teatrze grają *Braut von Messina* Szyllera, poszliśmy tam o godzinie siódméj. Teatr był jak nabity. Był to bowiem pożegnalny benefis sławnéj aktorki z Wiednia, pani *Schröder*, która występowała w roli Izabelli. Ale gdzie jéj do naszéj Le-

dóchowskiéj! I deklamacya, i gesta, i ruchy, wszystko nienaturalne, sztuczne, przesadzone. A i drudzy aktorowie nie lepsi; ani się umyli do Wejmarskich! Być może że i sztuki w tém wina. Szyller chciał w niéj wyraźnie naśladować starożytną formę grecką, *mais c'etait du grec pour nous autres*. Dykcya poetyczna, co mię kiedyś, pamiętam, zachwycała w czytaniu, nie daje się uczuć na scenie: ginie w ustach aktorów, albo przechodzi w przesadę. Sama treść nie obudza współczucia; wprowadzone zaś chóry na wzór greckich, deklamujące razem i naprzemian, mają w sobie coś nawet śmiesznego. Przypomniały nam nasze różańce, odprawiane przez dziadów i baby kościelne, w oddzielnych ławkach siedzące. Adam tak był znudzony, że wyszedł nie doczekawszy połowy; ja, za mojego guldena, chciałem użyć i dosiedziałem do końca. Ale i cała publiczność nie sympatyzowała widocznie ze sztuką, chociaż biła brawo aktorom, a zwłaszcza solenizantce, któréj w końcu bukiety i wieńce rzucano. Z tego powodu Adam mówił znowu o poezyi, a mianowicie o różnicy, nie tylko między poezyą braną z życia a naśladowaną z xiążek, ale nawet między naśladowaniem a naśladowaniem. Podług niego, jedni tylko poeci francuzcy z czasów Ludwika XIV mieli ten takt i rozum, że naśladując formy cudze, umieli je zastosować do pojęć i wymagań gustu spółczesnych, i wcielić w nie ideje i uczucia téj przynajmniéj części narodu, wśród któréj żyli i dla któréj pisali. Skutkiem tego to było, że nawet sam jeszcze Napoleon, w czytaniu tragedyi Kornela, nie tyl-

ko upodobanie, ale siłę i natchnienie znajdował; kiedy przeciwnie, samo filologiczne naśladowanie poetów greckich, jak np. w téj sztuce Szyllera, może się chyba samym professorom, albo uczniom filologii podobać. W innych swoich tragedyach Szyller był także mniéj więcéj naśladowcą form Szekspirowskich, ale jako sam wielki poeta, naśladował go już mianowicie w tém, że i przedmioty i farby obrazów swoich brał, jak on, z natury i z prawdy. Wszelkie inne naśladownictwo, czy to formy czy metody, będzie zawsze tylko szkolném i martwém. O takich naśladownikach Szekspira w Niemczech, p. Eckermann w Wejmarze cytował nam dowcipne powiedzenie Göthego: „Szekspir ma tyle złotych, Hesperyjskich jabłek, że je niekiedy z pośpiechu na glinianych talerzach podaje. Ci panowie, chcąc, niby naśladować Szekspira, chwycili jego gliniane talerze, i częstują nas na nich— kartoflami."

Ale bodaj czy nie gorszym jeszcze traktamentem ja ciebie uraczam w tym liście, bo to jest, widzę, istny jakiś bigos, groch z kapustą. Nie nazwiesz go wszakże *hultajskim*, bo kto po całodziennéj podróży, całą noc na pisanie do przyjaciela poświęca: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam tobie, leniwcze! żeś nie wart takiego korrespondenta."—Bądź zdrów!

XXVIII.

Do tegoż.

Heidelberg, 12 Września 1829 roku, wieczorem.

List ten w méj myśli zaczyna się sprzeczką.
Z kim? — z samym sobą; a o co? — o ciebie.
Hm! wstęp ciekawy! - Mówię sam do siebie:
„Byćby mi chyba *Heidelberską beczką*,
By codzień tyle wrażeń w siebie wsięknąć,
Chcieć wszystkie zawrzeć w sobie — i nie pęknąć.
Ależ znów pióro wciąż biorąc za pjawkę,
Można w suchoty wpaść przez tę zabawkę,
Jak pióro zacznie mózg codzień wysysać!"—
A więc—czy pisać ten list, czy nie pisać?

Bo czuję, że jeżeli dzisiaj nie napiszę, to treść jutrzejsza zasypie dzisiejszą; a zaś dziś mam jéj tyle, że gdybym chciał wypisać wszystko, musiałbym chyba nie spać znowu noc całą; co po całodziennéj znowu podróży, ani się *cum sano mente*, ani *cum corpore* nie zgadza.

A wiész, że *corpus cum mente*,
Jest to stadło nierozjęte,
I w myśli nie tryska wena,
Gdy mózg świdruje migrena.

A więc kiedy nie można wszystkiego, muszę wybrać przynajmniéj choć cząstkę — i to wcale nie najlepszą, niestety! bo faktyczną, a nie duchową. Co-

dzienne zaś moje wrażenia płyną właśnie z obu tych źródeł: z tego, co widzę, i z tego, co słyszę; a dzisiaj oba były tak obfite, że się czuję jak ryż pod zalewem.

Naprzód albowiem rano wstawszy, nimeśmy się wybrali na obejrzenie Darmsztadu, Adam, z powodu wczorajszéj *Braut von Messina*, i moich pytań o improwizowanéj niegdyś przez niego w Petersburgu tragedyi „*Samuel Zborowski*“, mówił tak przecudnie o dramatyczności historyi naszéj, że piérwszy raz może w życiu poczułem i zrozumiałem dwie rzeczy: *1mo*, że najwyższym rodzajem dramatyczności jest właśnie dramatyczność psychiczna, w któréj, zdaniem jego, historya nasza nie tylko nie ustępuje żadnéj innéj, lecz może je owszem przewyższa; bo się obraca w sferach wyższych nad sam ziemski rozum i nad sam ziemski interes lub namiętność, i ma to podobieństwo z poetycką Helladą, że wszystkie sprawy tego świata, przez uczucie i wiarę, ze światem nadprzyrodzonym jednoczy, a podług praw jego i natchnień sama się w swych działaniach kieruje. *2do*, (to jest poczułem i zrozumiałem *secundo*), co to jest geniusz w człowieku? — Jedna myśl, jedno słowo, a zda się błyskawica oblała cię światłem; widzisz o czém ci się wprzód ani śniło; a przysiągłbyś, że to wszystko musiało być tak, a nie inaczéj, i że być inaczéj nie mogło. Ale czemuż to tego nikt wprzód nie zobaczył; tak jak nikt nie domyślił się przed Kolumbem, że musi być gdzieś jeszcze część świata, o któréj świat stary nie wiedział, choć ją Pan Bóg stworzył z nim razem? Otoż ten wzrok, ten pomysł w czło-

wieku—to jest to, co się nazywa geniuszem. Ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć pana Joachima, mówiącego o tych samych ludziach i rzeczach. *Przecz* więc on, co tak doskonale zna i widzi tok i gmatwaninę spraw ziemskich, nie pokaże ani da poczuć tych wyższych tajemniczych źródeł, zkąd popęd albo natchnienie tych lub owych faktów wynikło? Czemu nasz kochany Brodziński, co tak głęboko pojmuje, a tak delikatnie cieniuje wszystkie serdeczne uczucia i wpływ ich na ogólne życie narodu: czemu nie sięga wyżéj i nie bada, zkąd same te uczucia pochodzą? Ja przynajmniéj od ich obudwóch nie słyszałem nigdy nic z tego, czém dzisiaj mię Adam zachwycił i aż do dna duszy poruszył. Rozum, to może doskonały anatom; serce, domyślny fizyolog; ale geniusz tylko, to kapłan i wieszcz historyi, który jeden i jéj ducha wywołać, i kształty nawet jego odgadywać umie.

O! gdybym ci mógł powtórzyć te kilka wielkich obrazów przeszłości, które on, jak jaki czarodziej, przed oczyma mojemi roztoczył — ażeby ich wysoką i głęboką dramatyczność wykazać! Wspomnę tylko o jednym Samuelu. Gdzież w historyi albo w dramaturgii całego świata znajdzie się taka scena naprzykład, w któréj sędzia, skazawszy na śmierć winowajcę, sam w przeddzień exekucyi przychodzi do jego więzienia, aby jego przebaczenie wyjednać? A winowajca ten, to bohater z serca i z ducha; tylko że wielki pan z buty, a typ warchołów naszych z fantazyi. A ten sędzia, to nie wróg jego, nie zawistnik, nie mściciel. To przyjaciel jego młodości, towarzysz zabaw

Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podług sił;

i żałuję, że nie jest aktorem; jak Szekspir; bo przypatrzywszy się bliżéj widzę, że mu koniecznie do pisania potrzeba jakiegoś żywego bodźca: czy uczucia, czy obowiązku. Może chyba gdyby tak pisał wiersze jak rysuje, miałby do nich tyle ochoty, co dzisiaj do swoich rysunków. Śmiał się gdy mu to powiadałem, i nawzajem radzi mnie i każdemu, aby nic nigdy nie pisał, czego wprzód szczerze i mocno nie poczuje; bo pisać wiersze z teoryi dla sławy, jest to chcieć — jak ów rabin w *Lejbie i Sorze* Ursyna — syna sobie wysmażyć w tygielku.

Ale te jego dzisiaj mówione obrazy, tak dalece zajechały mi głowę, że patrząc nawet na malowane w galeryi Darmsztadzkiéj, którąśmy nasamprzód zwiedzili, tamte mi ciągle stały przed oczyma. A jest wszakże między temi malowanemi, wiele i pięknych i sławnych; (jak przynajmniéj o tém podróżnych drukowany katalog zapewnia); a przed wszystkiemi innemi pejzaże *Schöbergera*.— Pejzaż samego Darmsztadu i okolic, któryśmy z wieży kościelnéj widzieli, nic nié ma osobliwego. Wkrąg miasta widać bory — ale gdzie im do naszych!—zresztą płaszczyzna i winnice. Zdaleka przełyska Ren. Miasto samo leży nad rzeką Darms, i ma 30,000 mieszkańców. Część zwana *nową*, ma ulice szerokie, domy nie wielkie, ale dziwnie czyste i ładne. Najpiękniejszy *Luisen-Platz* jest zbiegowiskiem kilku ulic. Pałac W. Xięcia widać tylko zdaleka, w końcu długiéj, drzewami sadzonéj alei,

przez którą się z Moguncyi przyjeżdża. Park zamkowy piękny i duży. Kościół katolicki na wzgórzu. Śliczna rotunda. Sklepienie składa kopuła, wsparta na 28 ogromnych kolumnach. We środku jeden tylko ołtarz. Główny rys téj budowy: kształtność i prostota. Wszystko to. zwiedziliśmy przelotem, i zmówiwszy pacierz w kościele, wprost ztamtąd puściliśmy się w dalszą drogę do Heidelberga, w parokonnéj już *Lohn-Kutsche*, mając za towarzysza jakiegoś niepoczesnego na pozór, ale bardzo dorzeczy człowieka, mówiącego dobrze po francuzku, i który, świadomy okolic, wiele nam o nich ciekawych rzeczy opowiadał. Nazywa się *Hoffmann*, a jest *privat-docentem* przy uniwersytecie Heidelberskim.

O milę za Darmsztadem zaczyna się sławna droga *Bergstrasse*, która już aż do Heidelberga prowadzi.— Po lewéj stronie pasmo gór *Odenwaldu*, (śród których figuruje *Melibocus*), okryte lasem albo winogradem, i piastujące gdzieniegdzie malownicze ruiny zamków; po prawéj zaś same równiny, wkrąg, jakby jednym gajem, drzewami owocowemi zarosłe. Jedném słowem kraj cały jak ogród—i to park i sad razem. Ale epizod najmilszy dzisiejszéj podróży, było to niespodziane spotkanie się z Davidem.

Dojeżdżając na popas, widzę stojącą przed oberżą taką samą *Kutsche* jak nasza, któréj konie jedzą obrok w korytku, i jakąś ruchliwą figurkę, która się koło nich uwija. Patrzę, przecieram oczy, i sam sobie nie wierzę. Ale zdaje mi się, że David. Mówię to Adamowi; ale on, który tak daleko nie widzi, poczytuje to

za przywidzenie. Tymczasem dojeżdżamy do mety— aż tu i bajroniczna postać pana Wiktora ukazuje się we drzwiach oberży. Dałem skok przez zamknięte drzwiczki, a radośne wykrzykniki zdziwionego Davida wtórowały serdecznym moim uściskom, w których mię wnet Adam zastąpił. Mnie zaś pan Wiktor zdał się nawet bardzo miłym, jakby swój, jak już dawno znajomy. On także był kontent widocznie i wstrząsając moję rękę powtarzał: „*Mais, mon Dieu! mais c'est vous? mais c'est drole!*“ etc. Na wstępie téż poczęstował nas zaraz ukłonami od Wiktora Hugo, do którego przy nas jeszcze pisał o nas z Wejmaru, ale dopiéro po wyjeździe już naszym odpowiedź od niego odebrał. Więcéj nas ucieszyło atoli, że i w Wejmarze, jak David powiada, dotąd jeszcze nie zapomniano o nas. Göthe mówił mu o Adamie: „*On voit, que c'est un homme de genie*“; a ja wiém od pana Wiktora, (choć to mówił na wpół z przekąsem), że papuga tęskniła po mnie.

Nim koniom swoim nasz furman obrok do korytka zasypał, furman Francuzów już był gotów do drogi. Ale ja, na żądanie Davida, wdałem się z nim w przyjacielskie traktaty, i za pół *Reichs-Talara* wyjednałem zgodzenie się jego, że na koniec naszego popasu zaczekał. Jechaliśmy więc daléj razem, chociaż każdy w swoim powozie; bo u nich z powodu tłomoków, a u nas z powodu Hoffmana, miejsca już dla gościa nie było. Na przystankach więc tylko spotykaliśmy się znowu i szliśmy zwykle kawał drogi piechotą, nim nas napędzili furmani. Ale jutro ztąd aż do Strasburga

jedziemy już w jednym powozie, który właśnie umówiłem przed chwilą; a teraz czekamy tylko na wschód xiężyca, aby zwiedzić przy jego świetle sławną tutejszą ruinę zamkową. A więc koniec listu na dzisiaj... *Schlaf wohl!*

Heidelberg, 13 Września, Niedziela, g. 10 rano.

„Kto chcesz przeszłości oglądać ruiny,
Idź, gdy je nocy mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się urągać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyjrzy xiężyc blady,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdłém jego światłem bieleją po wierzchu,
Czernią się spodem, jak otchłanie zmierzchu:
Gdy każda ściana, w cieniu lub jasności,
Zda się z hebanu, lub z słoniowéj kości:
A wkoło wieków wpół zatarte rysy,
Obrazy przodków, grobowe napisy,
Mówią z przeszłości: a szum drzew lub fali,
Albo huk sowy słychać tylko w dali; —
Wtedy, wędrowcze, idź!—a gdy czuć umiész,
Tam głos i urok przeszłości zrozumiész".

Tak radzi Walter-Skott, w „*Pieśni Ostatniego Minstrela*", chcącym zwiedzać ruiny gmachu Św. Dawida, (klasztoru w Melroz); a myśmy doznali dobrego na sobie skutku téj rady, zwiedzając wczoraj z żywym i świeckim Davidem, najpiękniejszą, jak mówią, z ruin średniowiecznych, jak *Colosseum* w Rzymie najpiękniejszą jest ze starożytnych. W istocie wziąćby ją można za olbrzymi grobowy pomnik tych rycerskich, poetyckich czasów; wieża zwłaszcza, to jakby

tarcza na posągu martwego rycerza.—Zamek leży na górze (Geisberg); niegdyś mieszkanie Elektorów i Palatynów Reńskich, których Heidelberg był stolicą; zburzony przez Francuzów w roku 1689. Francuzi, naród przewodniczący cywilizacyi nowoczesnéj, (przynajmniéj jak się sami mają za taki), przeznaczeni są zda się do burzenia po świecie romantycznych resztek wieków średnich, jak niegdyś ich barbarzyńscy przodkowie, resztki klassycznéj rzymskiéj cywilizacyi burzyli. David temu nie przeczy, ale tylko dodaje, że to burzenie nie jest prostém niszczeniem, ale uprzątaniem gruzów feudalnéj przeszłości, na miejsce nowéj społeczeńskiéj budowy. „A jakaż to ma być ta budowa? zapytałem. Czy tak się będzie miała do bazylik i zamków rycerskich, jak frak dzisiejszy do mantyi i zbroi, które nastały po tunikach i togach?”— Pan Wiktor patetycznie wystąpił z apologią fraka, jako symbolu równości towarzyskiéj; ale ja znowu zapytałem Davida, czy którykolwiek swój posąg zrobił już lub myśli zrobić we fraku? i czy frak do postaci lub pozy bohaterskiéj przypada? Adam rozstrzygnął długą o tém dysputą, mówiąc: „że strój nawet Napoleona jest symbolem wieku: wojskowy mundur, pod szarą kapotą“.—Masz w tém mały *specimen* rozmów, których echo śród ciszy nocnéj — bo były żarliwe i głośne — odbijało w gruzy murów, gdzie niegdyś prócz szczęku broni, musiały brzmieć nie lada hałasy, kiedy sławna *Heidelberska beczka*, do dziś dnia zachowana w piwnicach zamkowych, a mieszcząca w sobie około trzechkroć sto tysięcy butelek wina, (zawsze tyl-

ko reńskiego), rok rocznie wypróżniała się do dna na dworskich ucztach Palatynów Reńskich. Beczki téj widzieć nie mogliśmy w nocy; ale mówią, że w niéj może par wiele kontradansa albo walca tańcować. A że musi być z klepek dębowych, jest więc jakby w powinowactwie z *Baublisem*.—Przyszedł mi na myśl sonet *Bakczysaraj* i tłómaczyłem go z pamięci Davidowi, w czém mi i sam autor pomagał. Druga szczególniéj strofa, gdzie, jak wiész, *powoju roślina*,

Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami: *Ruina;*

strofa ta tak się podobała obu moim francuzkim słuchaczom, że David aż tupał nogami, a potém uściskał Adama; ja zaś musiałem dać słowo panu Wiktorowi że mu cały ten sonet w oryginale, wraz z tłómaczeniem, na pamiątkę przepiszę. Za to deklamował nam także śliczny wiersz Wiktora Hugo. — Tymczasem xiężyc świecił prześlicznie, noc była ciepła jak w lecie, i bawiliśmy do saméj północy—napróżno jednak wywołując ducha, strażnika czy pokutnika tych ruin, aby nam jaką sztuczkę pokazał. Ja znowu z tego powodu mówiłem moim Francuzom o *Dziadach* Adama; a on sam o różnych naszych obrzędach ludowych, na wierze w duchy opartych, i w ogólności o saméj téj wierze.—Francuzi nie dzielą jéj wcale, a jednak z natężoną uwagą słuchali, jak im Adam w drodze do miasta, parę tego rodzaju historyi opowiadał.

O piérwszéj piliśmy jeszcze herbatę w hotelu, a o szóstéj już dzisiaj byliśmy znowu na nogach, aby miasto choć z wierzchu obejrzeć. Leży wzdłuż brzegów rzeki (*Nekaru*), między górami, które od strony zamku całkiem nad niém panują. Most na rzece, kamienny, ma przeszło 800 stóp długości. Widok ze wzgórza *Kaiserstuhl* prześliczny. Kościół przedzielony we środku na dwie połowy: jedna jest katolicka, druga protestancka. Prawdziwa świątynia Janusa— a i tolerancya wzajem nie lada! Prawda, że i *filozofia* pod bokiem. Uniwersytet tutejszy jest jednym z najsławniejszych w Niemczech. Podług statystyki w *Guide du voyageur*, miasto liczy przeszło 13,000 mieszkańców stałych. Co do niestałych, liczba ich za pięć minut zmniejszy się dzisiaj o pięciu, licząc w to i naszego furmana, który już siedzi na koźle, a brzęk okrągłych dzwonków przy chomątach dowodzi, że i konie jego stać nie chcą i muszą się niecierpliwić jak on. Towarzysze téż moi, pijąc kawę wołają, że moja porcya ostygnie, i żartują z moich gryzmołów. Patrz więc, co znoszę dla ciebie— i bądź zdrów! List ten już chyba w Karlsruhe dokończę.

Karlsruhe, 13 Września, w nocy.

Wyimaginować nawetbym nie mógł przyjemniejszéj podróży, jak dzisiaj. Nasamprzód takie towarzystwo i rozmowa wciąż ożywiona; powtóre, kraj cały jak ogród; dzień słoneczny, cichy i ciepły. Po trzecie zaś i nakoniec, co wieś albo miasteczko, to jak po-

wy Flamandzki obraz — obraz niemieckiéj niedzieli. Wszędzie wszyscy w stroju świątecznym; rano widać byli w kościele; po południu świętują w domach, we wsiach zwłaszcza, siedząc pod ścianami na ławkach, albo stojąc we wrotach na ulicy. Ubiór mężczyzn jakby uniform. Kapelusz z szerokim brzegiem, rychtyk jak u nas żydowski, na trzy rogi w górę podpięty. Frak staroświecki, krojem dawnych markizów w komedyach, najczęściéj granatowy, z dużemi świecącemi guzikami. Kamizelka czerwona lub żółta; spodnie krótkie, zamszowe; pończochy długie, błękitne lub białe; trzewiki z ogromnemi klamrami na wierzchu; a w ustach u każdego, (NB. już po południu), wysoka porcelanowa fajka, na króciutkim cybuszku. Strój kobiét do wejmarskiego podobny, w różnych jaskrawych kolorach. Szkoda tylko że same niepodobne do kwiatów; albo że kwiaty, jeżeli są jakie, muszą siedzieć zamknięte w inspektach; bo jak z inspektów, przez szyby u okien, mnóstwo mniejszych i większych twarzyczek wygląda na ulicę, na brzęk naszych dzwonków. Nam w przejeździe trudno im się przypatrzyć.. To téż na popasie w *Langebrücken*, pod pretextem zapalenia cygara, wszedłem umyślnie do jednego domku, gdzie jakieś liczko rumiane zaświeciło mi przez okienko. Gospodarz z żoną i z jakimś widać gościem, siedzieli przy podłużnym stole, okrytym białym obrusem, na którym stał dzban cynowy z pokrywą.—„*Gelobt sey Jesus Christus!*“ rzekłem wchodząc; — bo słyszałem w oberży pozdrawiających tak przy wejściu.—„*Auf ewig!*“ odpowiedzieli oboje, ale

nikt się z miejsca nie ruszył. Przeprosiłem, że śmiem prosić o ogień. Gospodarz nic nie mówiąc, podał mi swoję fajkę, strząsłszy z niéj naprzód popiół, abym w niéj cygaro zapalił. Płacąc więc grzecznością za grzeczność, ofiarowałem jemu i gościowi cygaro. Przyjęli z podziękowaniem, a sam gospodarz, słysząc, że jestem cudzoziemiec, popasający przejazdem, prosił mię abym usiadł i *eine Weile* odpoczął.—„*Bring Glas, Lottchen!*" odezwała się gospodyni, do stojącéj jeszcze u okna, siedemnastoletniéj może blondyneczki, smukłéj, kształtnéj i wcale przystojnéj, którą już przedtém z ulicy widziałem. Spójrzeliśmy więc sobie oko w oko, a ona zarumieniwszy się jak róża, podała matce z półki szeroki zielony kieliszek, rychtyk tegoż koloru i kształtu, jakich u nas do reńskich win używają. Wniosek więc, że i te kieliszki wraz z winem przyszły do nas modą z nad Renu. Gospodyni, przy któréj usiadłem, nalała mi wina ze dzbana. Kwaśne i dosyć cierpkie—ale „z własnéj winnicy", jak oświadczył gospodarz. Wzniosłem więc toast za zdrowie ich obojga i za pomyślność ich winnicy i kwiatków: „*die so schön blühen, wie ich sehe!*" A stosowałem to nie tylko do rumieniącéj się ciągle Lottchen, ale i do dwóch młodszych dzieweczek, które przy ścianie na ławeczce siedziały. Matka podziękowała uśmiechem, a gospodarz trącając kieliszki, skinął czołem i odpowiedział: „*Auf glückliche Reise!*"—Skorzystałem z okoliczności, i ponieważ nie tknąłem jeszcze mojego kieliszka, prosiłem, aby i *Fräulein Lottchen* kropelkę wprzód skosztować raczyła. Zmięszała się strasznie nieboga,

i nie wiedziała co począć.—*„Trink denn ein Tropfen!”* rzekła matka. Z widoczném drżeniem wzięła i oddała mi napowrót kieliszek, który ja duszkiem do dna, patrząc na nią, wypiłem. Gospodyni nalała mi drugi, który już piłem powoli, rozmawiając o gospodarstwie u nich i u nas.—*„Schweres Brod!”* (ciężki chleb), rzekł machnąwszy ręką gospodarz; a ja z westchnieniem pomyślałem w duchu: „Boże daj, aby kiedy i u nas doszedł do takiéj gatunkowéj ciężkości!”— Bawiłem więcéj kwadransa. Przy pożegnaniu powstali wszyscy; a ja nie tylko podane mi ręce, i drobną rączkę Lottchen, ale i obie jéj małe siostrzyczki uścisnąłem *herzlich*. Nie wiém czy kiedy widzieli, albo czy zobaczą Polaka; niechaj więc myślą dobrze o grzeczności polskiéj.

Poczciwy David, zachwycony świątecznym pozorem wsi i miasteczek, tonie w idyllicznych extazach. Mamy w nim doskonały exemplarz francuzkiego filantropa-demokraty, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Ubóstwia artyzm i sztukę: a piorunuje na cywilizacyą, że fizyognomią ludów zaciera. Mówi, że chciałby tylko żyć z ludem: a co okoliczność powtarza, jak mu nadzwyczaj tęskno do Paryża. Ale wszystko, co mówi, to i serdecznie i szczerze.—Pan Wiktor, to znów co innego; druga strona tegoż medalu. Ten już drapuje się w togę trybuna; chciałby tylko lud uszczęśliwiać. Deklamacye jego ciekawe, bo się w nich duch szkoły odbija. Opiekują się tak czule niższymi, żeby samym śród nich górować. Istny lis w bajce Kniaźnina, co po rogach prostodusznego barana czy kozła, sam chce tylko wyskoczyć ze studni, któréj wody

przed nim zachwala. A jakże to znów wszystko kontrastuje z Adamem! Ten sentymentów swych nie deklamuje, nigdy siebie z przedmiotem nie mięsza. Wieś dla niego, to jak kochanka. Wprost o niéj patetycznie nie gada, i nie wzdycha, żeby drudzy słyszeli. Ale co chwila czujesz, że o niéj pamięta; że ona tłem jego myśli. A co w nim także admiruję jeszcze, to zupełny brak ducha przekory, który we mnie siedzi jak chochlik, i jakby pieprz sypał na język, często mię aż do niedorzeczności pobudza. Przed *aniołami* tylko nie śmie się odzywać;—i ztąd to może lubię tak aniołów, że śród nich człek się czuje bezpieczniejszym od grzechu.

W miasteczku *Bruxall* spotkaliśmy processyą nieszporną; *anioły* większe w bieli, niosły dwa ołtarzyki: mniejsze, kwiaty rzucały po drodze. Garstka wiernych dość liczna; a wszyscy śpiewali. Nie mogłem się dopytać, czy to zwykła processya niedzielna, czy dziś szczególna jaka uroczystość. Ale sama processya podobna do tych, jakie u nas we dni krzyżowe, albo w dzień Św. Marka, po ulicach obchodzą. Wysiedliśmy z powozu i staliśmy wszyscy bez czapek. Adam, który od Wilna processyi na ulicy nie widział, zdawał się być głękoko wzruszony, a w dalszéj drodze wymównie przekonywał Davida, o potrzebie uroczystych obchodów publicznych, ażeby ducha w ludziach obudzać, skupiać, i podnosić wyżéj.

Przejechawszy miasteczko *Durlach*, o siódméj stanęliśmy w *Karlsruhe*, i wprost z wozu pobiegliśmy na teatr. Trafiliśmy na akt drugi *Freyschütza*. Teatr

niewielki, ale ładny; wystawa i dekoracye gorsze daleko niż w Warszawie. Panna *Heinisch* (Agata), miły głosik i sama milutka. Pan *Heisinger* (Max), ma być sławny, ale nam nie przypadł do serca. Głos jak głos, ale sam on jak bałwan drewniany. W lożach, pełnych i strojnych, dwie tylko jakieś piękne twarzyczki. Po teatrze poszliśmy na wieczerzę do tak zwanego *Muzeum*, które jest rzeczywiście *resursą*. Na ścianach cztery tylko obrazy, i to sztychowane. Okrągły stół w środku sali cały zarzucony gazetami. Obaj nasi Gallowie skwapliwie rzucili się na paryzkie, i widać było, że zapach świeżego druku nęcił ich więcéj niż bifsztyk z kartoflami; gdyż trzeba było wołać ich razy kilka, ażeby nie ostygł. Adam mówi, że i bifsztyk nie taki jak w Hamburgu, i kartofle nie takie jak w Bonn; a ja wnoszę, że może dla tego, że je jakiś niezgrabny garson, a nie śliczna *Julchen* przyniosła. Imieniem tém, jak złotą klamerką, zamykam szereg miłych wspomnień dzisiejszych, i koniec listu odkładam na jutro. *Gute Nacht!...*

Karlsruhe, 14 Września, rano.

Otoż i ostatni dzień w Niemczech, a więc i ostatni list z Niemiec:—koniec piérwszego rozdziału podróży. Pożegnałem je właśnie z wierzchu wieży zamkowéj, ogarniając przytém pamięcią całą przestrzeń od Odry do Renu, i latusując w myśli cały szereg zdarzeń i wrażeń, których rejestr masz w listach moich. Głównie zaś zapytuję sam siebie: jaki ztąd we mnie samym skutek i pożytek, aby czas i pieniądze zmarno-

wane nie były? Otoż największy, jeżeli nie jedyny, jak mi się zdaje, jest ten: że mózg mój, jakby ciasto, które już było *zasiadło* w Warszawie, znowu się jakoś ruszać i fermentować zaczyna. Ale czy śród gór szwajcarskich, patrząc na nie, sam choć w grzybek podrośnie? Czy go w tym kształcie słońce włoskie dopiecze, czy tylko w płaskość mazurka zasuszy?— tego z góry sam zgadnąć nie umiem, a i ty, wątpię bardzo, czy z dalszych listów moich odgadniesz. Bo naprzód, przewidując tyle do widzenia, postanawiam ograniczyć pisanie; a przeczuwając nieudolność moję do pisania o rzeczach zbyt dla mnie nowych i wielkich, postanawiam powtóre, najmniej o nich pisać. Kup więc sobie u Zawadzkiego jaką podróż po Szwajcaryi i Włoszech, a gdy list odemnie odbierzesz, czytaj w niéj opisanie tych miejsc, z których piszę. Tym sposobem i ty poznasz je lepiéj, niżbyś mógł z listu mojego; i ja spuszczając się na to, będę miał więcéj papieru i czasu do donoszenia ci o tém, o czém się zkąd indąd nie dowiesz—to jest, o mojéj personie; mając przytém tę słodką nadzieję, że cię to przecież może żywiéj obchodzić, niż opis jakiéjś skały albo pogańskiego *bałwana*.

Tymczasem na waletę przed wyjazdem z Niemiec, muszę ci przecież rzec słowo o Karlsruhe, gdzie ten list zaraz oddaję na pocztę. Jest to, jak wiész zapewne, stolica W. Xięstwa Badeńskiego. Miasto niewielkie, ale najładniejsze, jakie w Niemczech widziałem. A jest téż jedném z najnowszych w Europie, bo założone dopiéro w roku 1715. Liczy dziś tysiąc domów i 17,000 mieszkańców. Założyciel musiał szcze-

gólniéj lubić spokojność; bo nie tylko nazwał je *Ruhe*, ale jakby dla ubłagania Eola, aby téj jego spokojności nie mącił, plan miasta nakréślił w ten sposób. Od zamku, który miał być w samym środku, miały iść 32 ulice, w kierunku 32 wiatrów, (nie wiedziałem że jest ich aż tyle), aby zamek od nich zasłaniać. Dotąd zabudowano tylko 9 ulic, i to od strony Akwilonu; resztę przestrzeni wkrąg zamku zajmuje park. Wszystkie te ulice, szerokie i proste, przytykają do okrągłego placu przed zamkiem, do którego każdy ostatni dom na ulicy frontem jest obrócony. Miasto widziane z góry ma kształt rozpuszczonego wachlarza, a ulice poprzeczne, w kształcie pół obręczy, są jakby wstążki spinające ten wachlarz. Ostatni promień słońca pogodnego świecił nam gdyśmy byli na wieży, i zagasł w dżdżystéj chmurze nim zeszliśmy na dół. Teraz deszcz leje jak z wiadra, a mimo to trzeba wyjeżdżać. *Lebt wohl*, *Deutschland und Du!...*

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.



Przypisek do Listu XVI, str. 186.

Po wydrukowaniu tego listu w *Kronice Rodzinnéj*, jeden z korrespondentów tego pisma przysłał do Redakcyi, w dosłównym przekładzie z niemieckiego, następujący wyciąg z pamiętników Karola Holteja, wyszłych w Lipsku w r. 1862, pod tytułem: *Vierzig Jahre* (Czterdzieści lat); dla zestawienia obok siebie opisu tych samych faktów, przez dwóch różnych naocznych świadków. *Kronika* umieściła ten wyciąg w Numerze 6, z dnia 15 grudnia 1868 r., i my go tu ztamtąd powtarzamy.

Wyjątek z pamiętników Karola Holteja.

„Dnia 27 Sierpnia 1829 r. jako w wigilią ośmdziesięcioletniéj rocznicy urodzin Göthego, przybyłem nad wieczór do Wejmaru, z przyjacielem moim, Hermanem Frankiem. Zajechaliśmy pod starego, kochanego „Słonia.” Podczas, gdyśmy się przebierali, przyszedł powitać mnie August Göthe, udający się do dworu, po galowemu ubrany, i zaprosił w imieniu ojca na wie-

czór do siebie, gdzie się już dzisiaj wszyscy cudzoziemcy i goście z dalekich krain i stron zebrać mieli, ku uczczeniu uroczystości jutrzejszéj. Tłumny gwar spotkał nas u wejścia. *Stary* (der Alte) powitał mię swojém odwieczném, zwyczajném: „*Nun, das ist ja schön!*“ (No, to pięknie); i mój kochany Herman nie tylko że go obaczył, ale zawiązał z nim nawet długą rozmowę o morfologii, od któréj ja usunąłem się, skorom mógł z przyzwoitością, ażeby się przyłączyć do damskiego świata (*Damen-Welt*). Świat ten, dziwném zrządzeniem wyroków, wolny tym razem od angielskich zastępów (*Heerschaaren*), zaprowadził był u siebie *nabożeństwo polskie (polnischen Cultus)*, do którego ja, jako dawny przyjaciel Polaków, chętnie się przyłączyłem. Przybyli dwaj młodzi poeci polscy: *Odieniecz* (Odyniec), o którym w dalszym czasie nic już nie słyszałem, i drugi, *Mickiewicz*, który potém jako mistyk w Paryżu nabył szczególniejszego rozgłosu, (*wunderliche Celebrität*), ale wtedy ukazywał się tylko jako blady, pociągający i interesujący marzyciel (*Schwärmer*), a u płci pięknéj w Wejmarze takie znalazł uznanie i współczucie, jak gdyby z Anglii lub ze Szkocyi pochodził. Na tym wieczorze, 27 Sierpnia, dał on już próbkę swego mistycznego kierunku, która—jakkolwiek jéj powodzenie zdawało mi się być skutkiem ułożonego wprzód skrycie towarzyskiego żartu—wyznaję jednak, że mię nie pomału zdziwiła. Podano damom talerz, na którym każda z nich, według upodobania, mogła złożyć swój pierścionek, ale taki tylko, który od wielu już lat, nie

zdejmując nosiła na palcu. Gdy się już wiele pierścionków, rzuconych bezładnie jedne na drugie, na talerzu zebrało, Mickiewicz odszedł z nim na stronę, oglądał z wielką uwagą pierścionki, i nakoniec oddał je po kolei każdy swéj właścicielce, które mu wcale przedtém nie były wiadome, zgadując zarazem imię, (i jak mi się nawet zdaje), wiek każdéj. Przytém był on blady jak śmierć, i bujne krople potu wystąpiły mu były na czoło. Z początku, jak już rzekłem, miałem to za umówiony żarcik; ale się przekonałem następnie, że on brał tę rzecz na seryo;—i ile razy potém czytałem w pismach francuzkich imię jego, złączone z najniepodobniejszemi do wiary baśniami, zawsze mi stawał w oczach ów blady Wejmarski czarodziej pierścionków.

„Nazajutrz, gdy ośmdziesięcioletni *nowo-narodzony*, dwanaście pięknych pań i panien zaprosił na uroczysty obiad do siebie, my mężczyźni, krajowi i zagraniczni goście, zebraliśmy się w hotelu „*zum Erbprinzen*,“ aby go tam po swojemu fetować. Że nie zbywało na pieśniach, to się samo przez się rozumie. Ja téż stanąłem w rzędzie obrzędowych śpiewaków, i nie pozostałem w tyle od innych. Wesołość i rozrzewnienie panowały koleją u stołu. Mnie ostatnie zwłaszcza owładło. Każdy ton z ust śpiewaków poruszał mię do łez. Aby więc wyjść z tego nastroju, przymuszałem się do wina, i piérwszy i ostatni raz w życiu, doszedłem aż do półtrzeciéj butelki czerwonego francuzkiego. Nie pojmuję sam, jak po takim nadzwyczajnym wyskoku, mogłem nie tylko być je-

szcze tegoż dnia na wielkim wieczorze, ale i odśpiewać na nim, na żądanie dam, moję piosenkę. Wprawdzie częściowo tylko ten wieczór pamiętam. Wiém tylko, że zaraz po odśpiewaniu musiałem wyjść do drugiego pokoju i rzucić się na jakieś tam łóżko. Ale tu już mi braknie kilku godzin mojego życia. Przyjaciel mój, Herman, obudził mię dopiéro o północy, gdy się już towarzystwo rozchodzić zaczynało. I nie pamiętam jak się u siebie położyłem do łóżka, z niewypowiedzianą obawą, że nie dam spać memu towarzyszowi, lub że się sam nazajutrz jak słony zając obudzę. Tymczasem ani jednego ani drugiego nie było. Szatan, który mię kusił wyraźnie, ażebym został pijakiem, dał mi się obudzić bez najmniejszéj nieprzyjemności. Nie dopiął jednakże swojego, i z *téj strony* żadnego odtąd wpływu nie miał nigdy nademną.

„Przyjaciel mój Herman musiał wcześnie nazajutrz opuścić Wejmar; ja zostałem, a należące do obrzędowych uroczystości przedstawienie *Fausta,* zatrzymało téż wielu gości. Między nimi odznaczał się sławny rzeźbiarz Paryzki David, który przyjechał do Wejmaru dla zrobienia olbrzymiego popiersia Göthego. Widywałem się z nim często. Łączyło nas najbardziéj wspólne uwielbienie dla Berangera, i gdy David obaczył, jak moje było głębokie i szczere, obiecał przysłać mi dzieło mistrzowskiéj swéj ręki, biust tego śpiewaka miłości, chwały i ludzkości. Że to obiecał w domu Göthego, przy wesołéj zabawie, to jeszcze nie wiele znaczy; ale że w rok potém, kiedy już ja są-

dziłem że o mnie zapomniał, on jednak obietnicy dotrzymał,—to już świadczy o dobréj pamięci Davida; mnie zaś samemu dowodzi, że mnie był rzeczywiście polubił, i to przekonanie sprawia mi wiele pociechy.

„Co do przedstawienia Fausta—odbyło się ono w ośmiu odsłonach, i w dziwnie ułożonym porządku. Wiele z tego, co ja w mojém przerobieniu jego na scenę, (które zostało odrzucone), opuścić za konieczne uważałem i śmiałem, zostało utrzymane—i jak przewidywałem, nie sprawiło na scenie *żadnego*, albo złe tylko wrażenie. Przeciwnie, wiele miejsc, które mi się być zdały koniecznemi, zostało wyrzuconych. Jedném słowem, nic nie było przerobionego, a tylko wiele opuszczono. Miałem odwagę powiedzieć to wręcz w oczy Jego Excellencyi, nie tając przytém: że przerobienie moje uważam za daleko dramatyczniejsze, bardziéj skoncentrowane, słowem za stosowniejsze i za lepsze. Göthe odpowiedział mi na to z przekąsem, ale bez gniewu: „Wy młodzi (*Ihr junges Volk*) rozumiecie wszystko daleko lepiéj." Poczém nastąpiło wnet powiedziane z uśmiechem: „*Nun, nun, das ist ja schön*" (no, no! dobrze, dobrze)!"—

W dalszym ciągu ówczesnych wspomnień swoich Wejmarskich, odnoszących się wprost do jego osoby, Holtei opowiada, że ułożył z panią Ottilią Göthe piérwszy projekt wydawania, wychodzącego późniéj rzeczywiście przez czas jakiś w Wejmarze, towarzysko-żartobliwego pisemka, które, dla mających tylko w niém udział, w niewielkiéj liczbie exemplarzy prywatnie drukowane być miało, a do którego każdy,

ktoby chciał, i w jakimkolwiekbądź języku, mógł podawać artykuły swoje bezimiennie, lub pod pseudonimem. Sam Göthe, w późniejszym czasie, nieraz téż w ten sposób słówko swoje do niego dorzucił. Otoż do tego pisemka, pod tytułem: „*Chaos*,“ Holtei napisał wierszowany prolog, który w pamiętnikach swoich przytacza. W prologu tym mówi sam *Chaos*, a raczéj sam Wejmar pod imieniem Chaosu. Między innemi, znajduje się w nim wiersz taki:

> „*Ich seh' mich kreisend zwischen beiden Polen.*
> (Widzę się krążącym pomiędzy dwóma biegunami).

Do tego zaś wiersza dodany jest następujący przypisek: „*Zwischen beiden Polen.*“ Słowa te zawierają żartobliwą dwuznaczność. (Wyraz *Pole* znaczy razem *biegun* i *Polak*). Odyniec i Mickiewicz, wspomnieni wyżéj poeci polscy, byli naturalnie na uczcie w dzień urodzin Göthego. Gdy goście wychodzili z sali, gospodarz hotelu zasiadł u wyjścia przy małym stoliku, aby odbierać zapłatę za wino. Przed nim leżała lista, na któréj, przy każdém imieniu, była oznaczona ilość należności, i gdy mu wychodzący powiadali swoje nazwisko, on mówił, ile który ma płacić. Ale polskie nazwiska nie szły mu widać pod pióro. Było więc tylko napisano na liście „*Pole I*, *Pole II*.“ Odtąd Odyniec i Mickiewicz nazywali się przez skrócenie: „*Pole eins*, *Pole zwei*;“ a żeśmy podejrzywali niektóre damy, że interes ich krążył między *jedném* a *drugiém* (*zwischen eins und zwei*); wyrażenie więc: *zwischen beiden Polen*, miało swoje znaczenie dla czytelników Wejmarskich.”

SPIS RZECZY

w tomie piérwszym zawartych.

LISTY Z PODRÓŻY.



LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z RZYMU).

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1876.

Дозволено Цензурою
Варшава 28 Апрѣля 1876 года.

Druk J. Bergera,
Warszawa, ul. Elektoralna Nr. 14.

LISTY Z PODRÓŻY

(SERYA DRUGA).



I.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 listopada 1829 r.

Przysiągłbym, że drżącą ręką otworzyłeś ten list ze stemplem: *Roma,* i radujesz się z góry na opisy cudów, które tu widzę, i wrażeń, których doznaję. Raduj się! nic to nie szkodzi; ale racz najprzód przeczytać anegdotę — nie bajkę, która ma znaczenie przedmowy.

Żył był kiedyś w Wilnie pan Wodźbun—z nazwiska dziki Litwin jak *Budrys,* ale w rzeczy udatny i rozumny kawaler, ulubieniec dam i salonów. Przyjaciel jego, obywatel z Inflant, zaprosił go na lato w gościnę do siebie, a chlubny sam z takiego gościa, zapowiedział go szumnie w całéj okolicy. Czekano go jak fenixa, i gospodarz nie miał nic pilniejszego,

jak powiedzieć mu o tém za jego przybyciem. Gość zmarszczył się, ale zmilczał; zapytał tylko nawiasem która z sąsiadek w parafii rej wiedzie? Była nią pani Chorążyna powiatu, matka trzech pięknych córek na wydaniu. Tam więc najprzód pojechali z wizytą. Gospodyni spotkała gości w pół salonu, panienki z robótkami oczekiwały w głębi. Przyjaciel z tryumfującą miną zaczął już rekomendacyjny frazes, gdy nagle obejrzawszy się postrzegł, że pan W. zatrzymał się u progu i obracając kapeluszem w ręku, stał jak słup ze spuszczonemi oczyma. Przyjaciel oniemiał z podziwu; gospodyni nie wiedziała co począć. Nagle pan W. obcesem przysunął się do niéj, chwycił za rękę, pocałował głośno, i stanął znowu jak wryty. Gospodyni prosiła siedzieć. Usiadł na różku krzesełka i tak z pode łba, milcząc, na panienki spoglądał, że te nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, jedna po drugiéj uciekły z salonu. Matka też pod jakimś pretextem musiała wkrótce uczynić toż samo; a skonfundowany przyjaciel, nieświadom słowa zagadki, ulegając machinalnie woli swego gościa, odjechał z nim bez pożegnania.

W kilka dni potém miał być odpust w parafialnym kościele, a całe liczne sąsiedztwo na obiedzie w domu proboszcza. Pan Wodźbun z przyjacielem przyjechał ostatni, kiedy już pani Chorążyna i panny miały czas opowiedzieć wszystkim po kolei sąsiadkom, kto był w istocie ów gość nowoprzybyły, którym jego mniemany przyjaciel chciał widocznie zmistyfikować sąsiedztwo. Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom.

Otwarły się—i wszedł pan Wodźbun w naturalnéj swojéj postaci. Z uszanowaniem powitał proboszcza, prosił o przedstawienie siebie towarzystwu, i ujął wszystkich obejściem i słowy. Chorążyna i chorążanki płonęły jak w ogniu na stosie, widząc zwracające się ku nim pytające oczy sąsiadek. Tu pan Wodźbun zbliżył się ku nim, i uginając kolano przed matką, rzekł: „Pani! przebacz! Przyjaciel mój tak mię zachwalił, że choćbym nawet mógł być wart tych pochwał, oczekiwaniu pewno odpowiedziećbym nie mógł. Wolałem więc od razu spaść sam niżéj zera, ufny, że pobłażliwa dobroć państwa raczy mię przecież podnieść choćby do znaczenia ułamku.“

Jak rzekł, tak się ziściło,
I dobrze mu z tém było.

A co? rozumiesz sens téj anegdoty? Oczekiwania twoje—to zapowiednia o panu Wodźbunie. Mowa o nim na początku w tym liście—to on sam w domu pani Chorążynéj. Mamże cię również przepraszać za ten żarcik, którym chciałem okupić z góry prawo mówienia daléj, nie co ty chcesz, ale co ja mogę? Inaczéj, przy czytaniu moich listów o Rzymie, mogłoby ci się przydarzyć coś nakształt tego, co nam się przydarzyło przed wejściem do Rzymu. Dochodziliśmy, jak wiész, piechotą; aż tu nagle z za pagórka przed nami, ukazują się jakby ostrza dzid. Adam woła: „Legia idzie!“—a szło to rzeczywiście stado osłów, których uszy tak naprzód wysterkały z za góry. Otóż gdybym ja nieuk, ja profan, chciał albo śmiał się

wdawać w opisy, czyto pamiątek starożytnéj, czyto arcydzieł sztuki nowożytnéj Romy: wszelkie ostrza mojego dowcipu mogłyby ci się okazać przy końcu, czém się nam okazały owe mniemane dzidy. Prócz tego, wyczytuję z pociechą w twym liście, że masz i czytasz właśnie opisanie Rzymu przez Chateaubrianda, a u pani Sołtanowéj w Zdzięciole jest pyszne album ruin, gmachów i widoków rzymskich. Otóż gdy ja wspomnę o którym, jedź do Zdzięcioła i przypatruj mu się w rysunku, z listów moich dodając to tylko, co ci w nich będę mówił o sobie albo o tych, z którymi tu oryginałowi przypatrywać się będziemy. Na tém koniec przedmowy.

Tydzień już cały jak jesteśmy w Rzymie; a opowiém ci najprzód o piérwszéj dobie pobytu.

Już to bodaj, że każdy ideał w zetknięciu się z rzeczywistością, jest jak żarzysty węgiel wrzucony do wody: przestaje błyszczeć, a syczy i dymi. Ideał we mnie, za przybyciem do Rzymu, był rychtyk jak ten Włoch jakiś, rad z czegoś, cośmy go zaraz na wstępie na placu *del Popolo* widzieli: podskakiwał zda się z radości i klaskał w ręce wołając: „*Romae sum!*“ (jestem w Rzymie!) i o niczém więcéj nie myślał. Ale wnet rzeczywistość poszepnęła swoje: że nie dość jest *być*, trzeba przecież gdzieś *mieszkać*, a więc najprzód starać się o mieszkanie. I to najprzód zasępiło Ideał. Przez dwie godziny bowiem, ślad w ślad za wetturą, włóczyliśmy się po ulicach od jednéj oberży do drugiéj, aż nakoniec zaledwie w czwartéj znaleźliśmy przytułek, w *Albergo di Europa,* na *Corso.* Dwa

pokoiki czyste, eleganckie, zielonćm suknem wysłane, i *notabene* nie drogie—pięć *paolów* tylko na dobę! Ideał odetchnął swobodnie. Alić zaledwie zrzuciliśmy płaszcze, *zimna* ręka Rzeczywistości porwała nas obu za plecy. Chłód i wilgoć, jak u nas w lodowni; oddech z ust, jak dym od cygara. Oglądamy się — pieca niema; ale jest marmurowy kominek. Prosimy zatém o drzewo; ale nim je przynieśli, termometr krwi spadł niżéj zera. Chcemy się rozgrzać kawą—ale w czterech kawiarniach na *Corso* kawy ze śmietanką już niema. Bywa tylko rano, jak mówią. Czarny ten nektar dobry po obiedzie; a myśmy jeszcze obiadu nie jedli. Ideał mdleje z głodu i dzwoni zębami. Wracamy więc do oberży, ślepi na świetność *Corso,* głusi na gwar i turkot powozów. Zasiadamy w sali jadalnéj, i wybieramy z karty: *cotelette à la Milanese.* Ideał ożywił się nagle—ale nie samą ich wonią lub smakiem; nie materyalnym tylko pierwiastkiem. Nie, wcale! Za piérwszym bowiem kęsem i ja i Adam zawołaliśmy w jedno słowo: „Ach! to kotlety Foka z Pohulanki!"—jakich ani on, ani ja odtąd nie spotkaliśmy nigdy i nigdzie. Ideał zapomniał o Rzymie, skoczył w przeszłość, wstecz o lat siedem, i zaczął po kolei przypominać tych wszystkich, z kiméśmy na ten przysmak chodzili, a nakoniec i siebie samych, jakimiśmy byli naówczas. I wpływ tych wspomnień, więcéj niż chróst na kominku, ogrzewał nas przez cały wieczór—piérwszy wieczór pobytu w Rzymie, cośmy go cały wyłącznie na rozmowach o Wilnie spędzili. Dopiéro przy ostatniém *dobranoc,* Ide-

ał znów, jak kapral szyldwachom na hasło dnia jutrzejszego, szepnął myślom: *„Kapitol! Watykan!"*— i tą razą przynajmniéj nie *twarda* Rzeczywistość pozwoliła nam usnąć marząc o Ideale.

Nazajutrz walna rada, co najprzód iść widzieć w Rzymie? Adam wybrał Kapitol—i przed otwarciem pocztowego biura, jesteśmy już na Kapitolu, z Allanem. (Patrz album)! Mówimy najprzód pacierz w kościele, który widzisz przy placu. Nosi on nązwę *Ara Coeli,* i stoi na miejscu najpiérwszéj niegdyś w Romie świątyni Jowisza, któréj niema już dziś ani śladu. Z wierzchu skały Tarpejskiéj, z któréj dziś bez złamania karku śmiało zeskoczyćby można, patrzymy na leżące w dole przed nami sławne *Forum Romanum;* gdzie niegdyś *Ojce Ojczyzny* o losach świata radzili; gdzie potém beczały tylko barany i cielęta, bo tu był rynek na bydło, i nazywał się *Campo Vaccino,* a gdzie dziś, odgrzebane z pod ziemi i gruzów, sterczą ostatnie szczątki najwspanialszych niegdyś świątyń, bazylik i łuków tryumfalnych. Widzimy daléj poza niemi największą i najwspanialszą ze wszystkich starożytnych ruin, *Colosseum;* zaglądamy w głąb strasznych *Mamertyńskich* lochów, gdzie zdrajców i więźniów duszono; i nakoniec odchodząc, składamy hołd nasz Przeszłości przed bronzowym posągiem Marka Aureliusza. Musi on być pewno i w album na placu Kapitolińskim, a więc widzisz, że jedzie konno. Jestto jedyny starożytny posąg, jaki dotychczas zachował się cało, bez najmniejszego w niczém uszkodzenia. Rzecby można, że istny symbol nieska-

zitelnéj chwały tego najcnotliwszego z pomiędzy wszystkich Cezarów Rzymskich, jacy przed nim i po nim po koronę na Kapitol wchodzili. Adam z postaci jego i wyrazu twarzy odgaduje myśl i uczucie, jakie rzeźbiarz chciał w nim przedstawić. Uczuciem tém jest miłość, którą okazuje ludowi, i spokój przekonania że ją wzajem u niego posiada. Jestto jedyny mocarz i filozof pogański, w którym pycha nie zabiła człowieka, i w którym człowiek przeczuł obowiązki chrześciańskiego monarchy i mędrca.

Allan słucha ciekawie, co Adam mówi o jeździcu, ale sam, jako artysta, admiruje najwięcéj i uczy nas admirować—konia. Dwa te inne olbrzymie posągi, które pewno i w album sterczą nad wschodami, prowadzącemi na Kapitol, sąto Kastor i Pollux, godła miłości braterskiéj; a więc nie wiém po co oni tu stoją, i co znaczą? Żadna rada na Kapitolu, od czasu bratobójcy Romulusa, nie kierowała się nigdy jéj prawem; to téż dzisiaj, w moc tego prawa, rządzi światem nie Kapitol, ale Watykan— dokąd wprost właśnie idziemy.

Z Kapitolu do Watykanu!!!—przyznaj, że kurs nie lada. A przecież jeden i drugi nikną dla nas na chwilę przed punktem środkowym, którym jest: biuro pocztowe. Z biciem serca tłoczę się do okienka, drżącym głosem pytam o listy—Bogu dzięki! nie próżno. Mam je z domu, z Dziewiętni; od ciebie, i od Żegoty; od Witwickiego, i od panny Flory z Warszawy. Adam ma z Petersburga i od pani Göthe z Wejmaru. Allan także odebrał swoje. Przebiegamy je okiem na ulicy, a czytamy z końca w koniec w ka-

wiarni. Wiadomości zewsząd pomyślne—idziemy więc podziękować za to w Watykanie: to jest my tylko we dwóch, bo Allan śpieszy, aby zastać w domu czekających tu na niego przyjaciół.

Plać Ś. Piotra—(Patrz album)! Wyobraź, że już stoimy w środku, obok obelisku, pod brylantową rosą tych cudnych wodotrysków, w których mgle srebrnéj blask słońca gra w tysiączne barwy tęczowe. A widzisz te przepyszne, olbrzymie krużganki, obejmujące plac z obu stron w półkole, jakby ramiona wychodzące z kościoła. Możnaby więc powiedzieć o samym tym kościele, co w Wallenrodzie mówi się o krzyżu:

Czoło kryje w niebie,
Tkliwe ku światu wyciągnął ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie i *plemiona*
Chciał objąć, garnąć i *tulić* do siebie.

A jednak rzecz dziwna, jak wszelka prawdziwa wielkość, i w budowie snać jak w człowieku, nie odrazu rzuca się w oczy; nie dziwi, nie przeraża, nie przywala, a tylko coraz i coraz rozszerza się i rośnie, przed oczyma i w duszy, jak horyzont przed wchodzącym na górę. Przyczyna tego być musi w doskonałéj harmonii wszystkich szczegółów olbrzymiéj całości, jak np. w doskonałéj orkiestrze, sto instrumentów zdają się jak jeden.

A i wewnątrz to samo, co zewnątrz. Zresztą ani tu, ani tam jeszcze nie patrzyliśmy na nic okiem wojażera. Dość było czuć i myśleć, że się jest w Watykanie, jak pielgrzym w cudownéın miejscu. Poklę-

czeliśmy též czas jakiś ponad grobem Ś-go Piotra; popatrzyliśmy w kopułę wznoszącą się nad nim u góry, i nie oglądając po szczególe nic więcéj, obeszliśmy tylko wkrąg cały kościół, i jak na Kapitolu przed Markiem Aureliuszem, tak tu na pożegnanie przed posągiem Ś-go Apostoła złożyliśmy cześć zwykłą pielgrzymów, od których ust, w ciągu wieków, jedna stopa posągu, z lanego bronzu, do połowy już prawie jest starta. Posąg jest w postawie siedzącéj, na tronie pod baldachimem, na piedestale z alabastru. Ma on być przetopieniem statui Jowisza Kapitolińskiego. A i to, czyż nie symbol przelewania się przeszłości w przyszłość? Bronz ten sam zawsze, ale postać inna.

Przeszedłszy za powrotem most Ś-go Anioła, (patrz album)! rozstaliśmy się z Adamem. On poszedł szukać mieszkania xiężny Wołkońskiéj (Zeneidy), które jest w tych okolicach, a ja wróciłem do oberży, mając tam czekać na niego. Ale tu się zaczęła tortura. W izbie niepodobna było dosiedzieć, zimno przenikało do kości. Sensacyi podobnéj nie pamiętam, jak żyję. Musiałem dla rozgrzania się wybiegać co kwadrans na dziedziniec, a w pokoju gestykulować rękami, jak u nas furmani na mrozie. Nakoniec myślałem już że przyjdzie zmarznąć na dobre nim się doczekam Adama, gdy przecież usłyszałem zapukanie do drzwi. Otwieram, aż tu zamiast Adama, wchodzi jakiś nieznajomy młodzieńczyk, z bladawą, szczupłą, panieńską twarzyczką, i rekomenduje się po francuzku—*Szewirew.* Wiedziałem

już od Adama, że to jest uczony literat i poeta rossyjski, dobry jego znajomy z Moskwy, i który się opiekuje wychowaniem młodego xięcia Wołkońskiego. Przyjechał po mnie powozem i z polecenia xiężny, aby mię zabrać na obiad, na który zatrzymano Adama. Missya zatém i znajomość miła. Szewirew zna doskonale i ciągle studyuje starożytne zabytki Rzymu, po którym obiecuje być naszym *cicerone;* nawzajem ja mu przyrzekam dopomagać w uczeniu się po polsku;—i nimeśmy wysiedli z karety, sojusz był już zawarty i przybity podaniem ręki. A byłto jakby prolog uprzejmości, która mię oczekiwała w salonie. Spodziewałem się jużciż zawsze, że ją znajdę, ale myślałem, że będzie salonowa i *z pańska;* tymczasem spotkała mię taka, jaka tylko w szlacheckich naszych dworkach litewskich witać zwykła pożądanego gościa. Ledwom wszedł, xiężna podbiegła na moje spotkanie, przepraszając *„qu'elle a osé m'inviter,"* i exkuzując się przysłowiem: *„que les amis de nos amis, sont nos amis."* Ledwom się zdobył na podziękowanie, przedstawiła mię siostrze swojéj, pani *Wlasow.* Ale tu Adam, który siedział na kanapie przy niéj, wziął na siebie rolę rekomendatora, i zrozumiałem od razu, że żartując wrzekomo ze mnie, żartował téż zarazem i ze swojéj sąsiadki, z którą być musi w najlepszéj przyjaźni.

Żarty te bowiem tyczyły się głównie górno-idealiczno-poetyckiéj sentymentalności, któréj widać ta pani hołduje. Przerywała mu bowiem ciągle śmiejąc się i protestując, kiedy przedstawiał jéj we mnie

jakby jakiegoś dziwoląga, na wzór adoratora Dulcynei, i z tego wyciągał wniosek, że na jéj łaskę i względy zasłużę. Rekomendacya ta miała przedewszystkiém ten skutek, że pani W. podając mi rękę, wezwała mię od razu do odpornego przymierza przeciw wspólnemu, jak widzi, prześladowcy naszemu. Znajomy ci z Warszawy hrabia *Ricci* dopełniał towarzystwa, jakie zastałem w salonie; a że ten przy piérwszém zaraz powitaniu, zaczął wynurzać mi wdzięczność za gościnne przyjęcie w Warszawie i za pamiętne mu miłe znajomości, które tam za pośrednictwem mojém i Waleryana Krasińskiego poczynił:—pojmiesz łatwo, że ani jednéj chwilki nie czułem się obcym, ale owszem od razu przylgnąłem do grona, do którego mię tak łaskawie przyjęto.

Ale muszę zaraz na wstępie sprostować jedno mylne wyobrażenie, które wiém, że i ty dotąd podzielałeś wraz ze mną, w skutek wiersza „*Na Pokój Grecki.*" Myśleliśmy, że „*piękna Nimfa przewodniczka,*" złożywszy „*groźną laskę Merkurego*", przyzwoliła na obudzenie bożka, który przy wejściu jéj z gościem,

„Drzémał, ssąc rubinowe piersi winogrona."

Otóż teraz powiadam tobie stanowczo, że tak nie jest. „*Swawolny zbieg Afrodyty*" nic tutaj nie ma do czynienia. Jestto tylko prawdziwa i wzajemna przyjaźń, oparta z jednéj strony na gorącém uwielbieniu dla poety i genialnego człowieka, z drugiéj na uznaniu pięknéj, szlachetnéj, poetyckiéj duszy; a przytém zaprawiona poetyckim urokiem, towarzyszącym zwy-

kle stosunkom przyjaciół z przyjaciółkami, i ożywiona wdzięcznością za wzajemne życzliwe uczucia, na których obie strony polegają z ufnością. Ale bo téż niepodobna jest wyobrazić téj delikatności i wdzięku, z jakim xiężna Zeneida zdaje się zgadywać i uprzedzać myśli przyjaciela, który téż, przyznać to muszę, z niemniejszą może gracyą prostoty i swobody, przyjmuje to, jak rzecz zwyczajną, ale przecież daje odgadnąć, że umie czuć i oceniać wartość doznawanéj dobroci. Biedni ludzie, którzy tego rodzaju stosunku ani czuć, ani zrozumieć, a tém samém i uwierzyć w niego nie mogą! Toć i zwykł on być tylko udziałem poetów albo Świętych; a jak poeci tak i Święci nawet zarówno czerpią w nim popęd i siłę do postępu, każdy na swojéj drodze. Ś. Hieronim nie waha się wyznać, że przyjaźni ze świętą Paulą w znacznéj części uświątobliwienie swe winien. A któryż z wielkich, a nawet i mniejszych poetów, nie miał swojéj szczególniejszéj patronki?

Ale wracając do xiężny Zeneidy. Nie jest ona, i nawet, jak mi się zdaje, nigdy nie musiała być piękną, we właściwém tego słowa znaczeniu. W wyrazie wszakże jéj twarzy, równie jak w całym układzie, w ruchach, uśmiechu, spójrzeniu, jest jakiś niewysłowiony powab, który pociąga i ujmuje za serce. A jestto niewątpliwie skutek wielkiéj dobroci, a przytém dziwnéj żywości i szczerości myśli i uczuć, które stanowią treść jéj charakteru. Znać w niéj wprawdzie i wielką damę, ale tylko w wyższym nastroju i takcie towarzyskiego obejścia. Dumy albo salonowéj przesady

niema w niéj ani cienia. Siostra jéj, pani Własow, młodsza od niéj, i może nawet kiedyś przystojniejsza, nie mniéj widać jest dobrą i otwartą; ale co do powierzchowności i ogólnego tonu, to podobniejsza jest ona raczéj do naszéj grzecznéj, gościnnéj, powiatowéj szlachcianki, niż do córki wielkiego xiążęcego domu. Przytém i ona także ma podobno pociąg do pióra, wynikły może z naśladownictwa siostry, ale który, jak mówi Adam, nie przeradza się w niéj zgoła w pretensyą, i jest tylko przedmiotem rozrywki.—A jestto już, jak widać, moja dola i rola, w każdém kółku stosunków Adama, stać z kimś jak w drugiéj parze, albo składać chór niższy. Tak było w Kownie i Wilnie, w domu pani Kowalskiéj, z *Berżerką;* tak w domu pani Szymanowskiéj z panienkami; tak w Wejmarze z panną Ulryką, siostrą pani Ottilii Göthe, i tak bodaj, że będzie tutaj z panią Własow. Bo widzę ze wszystkiego, że dom xiężny Zeneidy będzie tu dla nas głównym punktem oparcia; a ten piérwszy obiad i wieczór, (bośmy cały wieczór bawili), zarysował wyraźnie stanowisko moje i podział tego domowego gronka na dwa chóry. Wyższy składają: pani domu, Adam i p. Ricci; niższy, jéj siostra, dwaj młodzi synowie, jéj i xiężny, pan Szewirew i ja. Dom xiężny jest podobno ogniskiem nie tylko jéj rodaków i światłych cudzoziemców, ale téż miéjscowych artystów i wyższéj arystokracyi rzymskiéj, która niełatwo, jak mówią, udzielać się zwykła cudzoziemcom, ale z xiężną Zeneidą wiąże ją dawna zażyłość, a zapewne téż i jéj tytuł, nie mówiąc już o przyjemności jéj domu i towarzy-

stwa jéj saméj. Na zakończenie wieczoru pan Ricci odśpiewał na prośbę naszę ową przecudną aryą z Don Żuana: „*Non più andrai farfallone*“, którą tak wszystkim głowy zawrócił w Warszawie; pani Własow zaś parę piosnek ukraińskich, które w miłym jéj głosie więcéj jeszcze wdzięku nabrały. Xiężna sama, która jakoby śpiewa bardzo pięknie, nie czuła się przy głosie, i nie śpiewała. I oto masz, jak nam przeszedł piérwszy dzień pobytu w Rzymie. O dalszych nie spodziewaj się, a raczéj może nie bój się, abym miał równie szczegółowo pisać. Do dzisiejszego zaś dodam jeszcze, że zaraz po obiedzie nie wróciliśmy do salonu, ale przeszliśmy do sypialnego pokoju xiężny, gdzie tylko bliżsi przyjaciele domu wstęp mają, ale gdzie jest piec z białych kafli, sprowadzonych umyślnie morzem z Petersburga, a zbudowany pod dyrekcyą pana Ricci, który się z tą mechaniką piecową podczas pobytu swego w Rossyi obeznał. Słońce nie może być milsze, jak dla nas był ten piec biały; tchnienie wiosny nie rozkoszniejsze, jak ta atmosfera opalonego pokoju. Zato, sama myśl o powrócie do oberży, przy piecu nawet przejmowała nas dreszczem. A cóż dopiéro, gdyśmy rzeczywiście wrócili! Było już po jedenastéj i deszcz padać zaczął. Szewirew odwiózł nas sam do domu powozem xiężny, a odetchnąwszy aurą naszych podwojów, ofiarował się z własnéj litości szukać dla nas nowego mieszkania, mniéj podobnego przynajmniéj do latarni z wielości okien, a do katakumby z chłodu i wilgoci. Adam, położywszy się do łóżka, przypomniał wyrażenie Dan-

ta o skazanych na wieczne marznięcie potępieńcach, że „jak bociany klekocą zębami;“ i cała ta noc pod tym względem była dla nas *iście* piekielna.

Zatoż nazajutrz raniutko zerwaliśmy się i ubrali piorunem, a ogrzawszy się warem czarnéj kawy, odprowadziliśmy najprzód kochanego naszego Allana do nowego jego mieszkania, na które się przeniósł do przyjaciół, a potém puściliśmy się wcwał do Koloseum. Jestto trzeci kardynalny punkt Romy, który Adam chciał zwiedzić najpiérwiéj. Xiężna proponowała wczoraj, że sama nas tam zawiezie; ale Adam oświadczył otwarcie, że są miejsca, które chciałby raz piérwszy oglądać sam jeden. Obecność moja nie zmieniała tezy. Ze mną jak z cieniem, może *sobie* być *sobą* jak zechce, dumać, albo milczeć jak ściana. Tą razą jednak był owszem rozmówny, i opowiedział mi legendę o krzyżu, który stoi na środku areny, a został postawiony na pamiątkę świętego zakonnika, który poświęciwszy się sam dobrowolnie na pożarcie dzikich bestyj, położył rzeczywiście koniec dzikim tego rodzaju widowiskom. Na samo Koloseum patrz w album! a tylko możesz sobie wyobrażać, że się czepiamy po gzemsach i piętrach, i na najwyższym punkcie czernimy się jak kawki. W szczegóły żadne wdawać się nie myślę; chociaż oglądaliśmy wszystko tak pilnie, najprzód tutaj, a potém na *Forum,* że aniśmy spostrzegli jak upłynął ranek. A na południe trzeba już było być w domu, bo xiężna Zeneida obiecała zajechać po nas, i zawieźć nas do posła, xięcia Gagaryna, z którym jest w blizkiéj przy-

jaźni, i który pragnął poznać Adama. Jakoż przyjął go jak można najuprzejmiéj, a reflex téj uprzejmości odbił się naturalnie i na mnie. Xiążę między innemi oświadczył, że się uważa właściwie za posła Króla Polskiego, bo gdyby nie interesa katolików polskich, nie miałby co do robienia w Rzymie. Pozwolił nam korzystać z bogatéj i pięknie urządzonéj biblioteki swojéj, po któréj nas sam oprowadzał. (Adam wziął Liwiusza po łacinie, a ja Gibbona téż w oryginale.) Nakoniec przy pożegnaniu zaprosił nas na dzisiaj na obiad, na który się właśnie wybieramy, a na przyszłą sobotę (d. 28) na bal, które tu zagraniczni posłowie często po kolei wydają. Mamy więc w perspektywie nie tylko stare gruzy i malowane lub kamienne figury, ale i żywe źródła nowych wrażeń, w paradach tego świata i twarzyczkach anielskich, których jest tu podobno chórami. A i towarzystwo polskie, jak słyszę, ma być licznie i świetnie reprezentowane w Rzymie téj zimy. Są już dwaj bracia-hrabiowie Potoccy, Artur i Alfred, z Krakowa, z żonami; jest, znajoma już nam z Florencyi, piękna młoda para xiążąt Sanguszków, i nakoniec z Galicyi familia hr. Ankwiczów, którzy prowadzą tu dom otwarty i mają podobno przy sobie dwie młodziutkie, śliczniutkie panienki, córkę i siostrzenicę saméj. Wiém to wszystko od p. Dernałowicza, którego niespodzianie spotkałem na ulicy, a który znudziwszy się w Pizie, przyjechał téż na zimę do Rzymu. Nie miałem jeszcze czasu odwiedzić choréj jego żony, a to samo może cię już przekonać, jak musiałem być ciągle zajęty, a przy-

najmniéj, że ani jednéj godziny do wolnego rozporządzenia nie miałem. Pochłaniało je najprzód szukanie mieszkania, a potém niewyczerpana uprzejmość xiężny Zeneidy, która chce sama koniecznie być piérwszą przewodniczką Adama po Rzymie. W tym celu zajeżdża codzień po nas o południu i obwozi po mieście i po blizkich willach, a nakoniec zabiera na obiad do siebie, gdzie już zwykle cały wieczór bawimy. Wczoraj między innemi byliśmy z nią w pracowni Thorwaldsena, z którym także jest w przyjacielskich stosunkach. Jego samego nie było, ale jakiś grzeczny młodzieniec, zapewne jeden z uczniów, robił nam honory domu, pokazując i objaśniając po szczególe wszystko. Piérwsza to jest pracownia artysty, którą widziałem—a i jakiegóż jeszcze artysty! Thorwaldsen po śmierci Kanowy jest dziś najpiérwszym rzeźbiarzem na świecie. To téż i jego pracownia, to istna świątynia sztuki! Galerye i muzea, w porównaniu z pracownią żyjącego mistrza, wyglądają coś na cmentarze albo katakumby. Posągi w nich i obrazy, to istne pomniki albo nagrobne tablice, uwieczniające pamięć i chwałę swoich twórców. Tu widać jak ta chwała rodzi się, rośnie i wychodzi na świat. Rzekłbyś, że jakaś fabryka Prometeuszowska; tylu tu uczniów po kątach, kopijując miśtrza, lepi różnych *człowieczków* z gliny. Tyle ludzkich postaci wyrasta mniéj więcéj z marmuru, pod dłótem ociosujących go robotników, jakby tylko co przeszli tędy Deukalion z Pyrrą. Patrząc zaś na tłum odlewów z gipsu, będących wizerunkami dzieł mistrza, po całéj kuli ziemskiéj

rozsianych, możesz się znów wyobrażać w zaklętym gmachu jakiegoś czarodzieja z bajki, który gości swych w kamień zamienia. Przewodnik nasz pokazywał nam co najcelniejsze, sam gorąco unosząc się nad niemi. Jest tam i nasz Kopernik, mający wkrótce zasiąść przed kościołem Ś-go Krzyża w Warszawie; jest i ów rzymski jeździec na koniu, cośmy go już tam oglądali w modelu, a o którym mała Marynia Zaleska najtrafniejszy może sąd wyraziła, mówiąc: „Jaki on xiążę, kiedy goły?" — *Gołych xiążąt* zaprawdę nie trudnoby znaleźć; ale co w tym, to rzeczywiście żaden wiarus *swego Xięcia* nie pozna, i dość byłoby zmienić napis na podstawie, aby się zmienił w pomnik jakiegoś rzymskiego Cezara, lub którego ze świętych rycerzy. Adam zgadza się ze zdaniem Maryni, i z tego powodu skruszył kopią z naszym *Cicerone,* dowodząc, że ślepe naśladownictwo starożytnych, jest właśnie najzupełniejszém sfałszowaniem ich pojęć o sztuce, któréj oni wzór i ideał w prawdzie tylko zawsze widzieli. Stosuje się to także i do nagrobnego pomnika Włodzimierza Potockiego, którego oryginał znajduje się w Krakowie, a który się nam bardzo jako posąg podobał. W ogólności jednakże, ze wszystkich posągów Thorwaldsena, a mianowicie kobiécych, przez porównanie ich z dziełami Kanowy, jakie dotąd widziałem, powstała we mnie myśl, nie wiém czy trafna, że Thorwaldsen względem Kanowy w rzeźbie, jest jak Fenimore Cooper względem Waltera Skotta w powieściopisarstwie.—Ale nie śmiéj się, proszę, ze mnie, że się wdaję w takie uwagi. Toć nie sądzę stanowczo i zdania mego nie

narzucam nikomu, a tylko mówię tobie *incognito* co myślę.

Od dwóch dni już jesteśmy na nowém mieszkaniu, które przecież ledwie nieledwie z pomocą Szewirewa znalazłem. Jest ono na *Via del Orso, Nr* 35, niedaleko od mostu Ś-go Anioła i od pałacu *Feruzzi*, który xiężna Zeneida zajmuje. Składa się z dwóch izb obszernych, na drugiém piętrze, (po wileńsku na trzeciém), piérwszéj o jedném, i drugiéj o dwóch oknach, z dosyć porządnemi meblami, i z posadzką ceglaną. W piérwszéj na środku, jak tu wszędzie, stoją obok dwa ogromnéj szerokości łóżka, na których śpimy, i w kącie komoda na rzeczy. W drugiéj, naprzeciw drzwi i tuż przy nich będącego kominka, stoi stół przed kanapą, zielonym dywanikiem okryty, a na nim mosiężna lampa o trzech ramionach, nakształt żydowskiego świecznika. Zwierciadło między oknami, stolik pod niém, i osiem krzeseł stanowią resztę umeblowania. Kominek byłby częścią najważniejszą, ale cóż, kiedy ciepło od palącego się w nim rano i w wieczór chróstu, nie dosięga, niestety, kanapy, a chłód od okien i cegieł posadzki ogarnia nas z góry i z dołu. A trzebaż jeszcze biedy, że okna obrócone na północ, a więc nie widujemy się ze słońcem. Uprzejma tylko dobroć xiężny ogrzewa nas zamiast niego. Wnosząc się bowiem zastaliśmy już na środku żarzącą się *karbonellę*, a przed kanapą dwa ogromne wory z wojłoku. A wieszże co to jest *karbonella?* Jest to blacha żelazna na nóżkach, z wygiętemi do góry brzegami, na któréj rozpalają się węgle,

jak u nas w samowarach, a ciepło od nich zastępuje miejsce pieca. A oweż worki wojłokowe na co? zapytasz może. Wkładają się one na nogi i sznurują się wyżéj kolan. Adam swojego nie używa, bo nauczył się w Krymie siadać po turecku i siedzi tak na kanapie. Ja tego zrobić nie umiem, i siedzę przez połowę zawiązany w worku. Ależ i ręce niekiedy tak krzepną, że trzeba kłaść rękawiczki, albo okrywać je płaszczem, z którym tak nigdy nie możemy się rozstać dobrowolnie, jak Herkules mimo woli nie mógł z kaftanem Dejaniry. Ot naprzykład i w ciągu pisania tego listu, musiałem ze sto razy przerywać, ażeby rozgrzać palce chuchaniem i tarciem. Boguż dzięki, że na dziś koniec, i chyba może powróciwszy z obiadu od ambassadora, na który już zaraz idziemy, dodam jeszcze jakie *post scriptum*, w kształcie gościńca z wetów obiadowych.

Godzina 11 wieczorem.

Wracam dopiéro w téj chwili z obiadu, ale tak cały owiany i przeniknięty nawskróś duchową atmosferą Rzymską, różną wcale od mrożącéj fizycznéj, że chcę koniecznie, abyś wiedział przynajmniéj, co to jest i z czego pochodzi. Jużciż ma się rozumieć, że z wrażeń obiadowych;—a więc masz słówko o nich. Było nas osób 12 u stołu, a oprócz gospodarza i dwóch domowych urzędników ambassady, byli: panowie *Nibby* i *Lanzi*, professorowie tutejszego uniwersytetu, i najpiérwsi dziś archeologowie Rzymscy; pan *Alexander Turgeniew*, wojażer po całym świe-

cie i badacz etnograficzny krajów, które zwiedził; pan *Brulow*, najsławniejszy dziś, jak musisz wiedzieć, malarz rossyjski, i obiecujący pójść w jego ślady młody pan *Bruni*, doskonalący się obecnie w Rzymie na professora Petersburskiéj Akademii sztuk pięknych. Wpośród tych panów, Adam był jakby punktem centralnym, bo ze wszystkiego widać było, że dla niego to właśnie gospodarz tak złożone towarzystwo zaprosił. To téż trzeba było go słyszeć, jak jednocześnie prawie, to jest jak syntetycznie, z archeologami o duchu staréj i nowéj Romy; z etnografem, o wpływie jednéj i drugiéj na wszystkie ludy świata; z malarzami, o pogańskiéj i chrześciańskiéj sztuce rozmawiał. Na wszystkich jego interlokutorach widać było żywe zajęcie, i nawet jakby jakiś rodzaj podziwu. Bo choć sam w niczém nie brał inicyatywy, ale wszystko, co od nich usłyszał, tak zaraz wzajem na nich w nowém świetle odbijał, że rzeczywiście było się nad czém zadziwić. Ciągle mi się nawijał na myśl wiersz jego do pana Joachima, w którym tak zwięźle i jasno skupia się i wyraża treść dziejów całego świata. Treść zaś tego, co mówił dzisiaj, dałaby się może niejako skupić mniéj więcéj w tém: że starożytni Rzymianie, toporami swoich liktorów, trzebili nowe drogi po świecie; włóczniami swoich legij odpychali barbarzyńców, którzy im chcieli przeszkadzać; i rękami swoich niewolników budowali dla nichże samych—jak gdyby wodociągi, po których woda, lustralna i ożywcza, z nowéj dopiéro Romy rozpłynąć się miała;—choć i to

dotąd jeszcze jest tylko chrzest z wody—nim da Bóg, że i duchowe namaszczenie nastąpi.

Sztuka mająca tylko za ideał człowięka, nad ziemię ani sama się podnieść, ani ludzi podnosić nie mogła; a co gorsza, że przez samę swą doskonałość zewnętrzną, odegrała względem sztuki nowéj tę samę prawie rolę, co Febus, czyli słońce, względem Ikara; t. j. słonecznym blaskiem swoim, w tak zwanym wieku Odrodzenia, stopiła nity przyprawionych skrzydeł, któremi duch chrześciańskich artystów zaczął już był ulatać po nad labirynt scholastycznych pojęć, i strąciła go w morze naśladownictwa, z którego już inaczéj wydobyć się nie może, aż chyba znów z niego samego anielskie mu skrzydła wyrosną.—Streszczam rzecz figurycznie, bo i Adam w swéj mowie figur tych używał, tylko że nie tak razem, a przytém z taką naturalną prostotą, że ani cienia przesady albo pedantyzmu nie miały. Na twarzy gospodarza widać było radość, jakby chlubę z takiego gościa. A cóż dopiéro mówić o słuchaczach, na których, chociaż sami nie mieszali się do rozmowy, reflex jednak powodzenia Adama, jako ziomka, lub jako przyjaciela odbijał. Słuchaczów takich było trzech: Szewirew, ja i xiądz Stanisław Parczewski, dobry mój znajomy z Wilna, kolega i serdeczny przyjaciel Ludwika Spitznagla, wnuk po siostrze metropolity Siestrzencewicza, kosztem jego niedawno przysłany do Rzymu, aby tu kończył studya teologiczne, i przez to samo zapewne utorował sobie może drogę do przyszłych kościelnych dostojeństw. Jest on mój jednolatek, i wiedziałem

już w Wilnie, że ma pociąg do pióra. Jakoż przyznał mi się dzisiaj, że pisze historyczną powieść pod tytułem: „*Władysław Biały*,“ którą ma nam tu kiedyś przeczytać. Adama znał już zdaleka w Petersburgu, i jest z gorącém uwielbieniem dla niego. Szewirew zaś tak był dzisiaj rozentuzyazmowany Adamem, że gdyśmy wracając z obiadu wstąpili na herbatę do xiężny, nie mógł się dość naopowiadać przed nią o jego dzisiejszym tryumfie; i pomimo żartów Adama, któremi chciał studzić ten zapał, obie siostry radowały się z tego—jak siostry. I niechże mi teraz kto mówi, że prawdziwa wartość w człowieku nie znajduje uznania u ludzi! Nie znajdzie go ona chyba u tak zwanych literatów i gazeciarskich krytyków warszawskich, których zawiść lub uprzedzenie zaślepia, albo którzy nie wiedzą co czynią. Ale ten, co się wciąż skarży, że go cały świat pojąć i ocenić nie umie, jestto tylko głupi pyszałek—i kwita. Bądź zdrów!

II.

Do tegoż.

Rzym, 5 grudnia 1829 r.

Jestem w humorze i usposobieniu:

Jak ptaszek, gdy na świat szerszy
Wyjrzy przez drzwiczki swéj klatki;
Jak motyl, gdy po raz piérwszy
Po zimie obaczy kwiatki;
Jak kwiat, gdy nań blask jutrzenki
Błyśnie z pod chmur parasolki—
Mam aż dwie nowe panienki,
Dwie przyjaciółki—i Polki!
I jak ów ptak, motyl, kwiatek,
Chciałbym śpiewać, bujam, kwitnę —
Lecz choć treści mam dostatek,
Choć mię nęcą rymy szczytne,

Daję wszakże im krzyżyk na dzisiaj, i wolę prostszą drogą prozy doprowadzić cię krok za krokiem do progów i do poznania tych moich *Wróżek*, których urok nie mnie tylko jednego ogarnia.

Z ostatniego listu mojego wiész, że w przeszłą sobotę, to jest 28 listopada, miał być bal u xięcia Gagaryna, i żeśmy nań byli proszeni. Bal był, i my na nim. Bal był świetny—salony pyszne, oświecenie słoneczne, zgromadzenie gwiazdziste, to jest orderowe, brylantowane, i promienno-oczne. W uprzej-

mym „Kawalerze ambassady“ (*chevalier de l'ambassade), panu Kriwcowie,* mieliśmy doskonałego *cicerone,* który nam wszystkie *glorye* i piękności wskazywał. Z ostatnich powiém ci tylko o jednéj, na którą, gdybyś był na tym balu, patrzałbyś pewno niemniéj ciekawie jak ja, a nawet jak Adam. Była to hrabina *Teressa Guiccioli Gamba,* wcielenie Muzy Byrona, (nie wiém które z rzędu, ale ostatnie we Włoszech), która natchnęła mu „*Proroctwo Danta,*“ poświęcone téż jéj przez poetę. I choć to już dziesięć lat temu, gdy „*in the pride of Beauty and of Youth*“ (w chwale piękności i młodości), „dość jéj było rzec słowo, aby mieć posłusznych;“ chwała ta jednak świeci i dziś jeszcze. Widać, że łzy po stracie natchnionego kochanka nie musiały być ani tak gorące ani tak obfite, aby zwarzyć świeżość jéj wdzięków, albo przygasić wesołość; bo wygląda rumiana jak róża, a śmieje się lub uśmiecha się ciągle, kręcąc się i rozmawiając na prawo i na lewo. Sam téż jéj ubiór zgodny z tym humorem. Wygorsowana jak kielich lilii, na szyi miała kanak brylantowy i takąż przepaskę we włosach. Przyszły mi na myśl słowa Childe-Harolda:

„Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy,
Bo wiém, nim błyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.“

Ale może to na pamiątkę Milorda nosi loki na wzór Angielek; tém bardziéj, że i jasny kolor jéj wło-

sów czyni ją do nich podobną, i dość dziwnie odbija od [illegible] żywości pałających jéj oczu. Wzrost mierny, kibić kształtna. Ciekawy byłem bardzo posłyszeć zbliżka ten głosik, który tak zachwycał Byrona:

„So sweet a language from so fair a mouth.“

Ale chociaż grzeczny pan Kriwcow chciał mię jéj przedstawić, nie śmiałem z tego korzystać, nie mając nic takiego naprędce, z czémbym się mógł stosownie odezwać. Obserwowałem ją tylko jak mogłem z najbliżéj, mając przytém ciągle w pamięci: *„Heureuse la beauté que le poëte adore.“*, ale przytém i pokutniczą *Duchesse de la Vallière*, i porównywałem je w myśli—wcale nie na korzyść obecnéj.

„Ta zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“

Xiążę Gagaryn zbliżył się do mnie z jakimś panem, i wskazując na niego oświadczył: *que le prince Radziwill désire faire ma connaissance*. Był to xiążę Wilhelm Radziwiłł, syn namiestnika Wielkiego Xięztwa Poznańskiego i królewny Pruskiéj. Zaszczyt téj znajomości winienem *Melitele*, o któréj xiążę zagaił rozmowę po polsku, oświadczając przy piérwszych zaraz słowach, że mu to z trudnością przychodzi, ale że właśnie pracuje usilnie, aby nabyć wprawy i pozbyć się niemieckiego akcentu. Że zaś ma to za wadę swego wychowania, dzieci więc swoje, jak mówił, każe uczyć najprzód po polsku. Po takim wstępie z jego strony, dalsza rozmowa zawiązała się łatwo; a z niéj zaraz odgadłem rzeczywisty powód, jaki miał do poznania się ze mną. Chodziło mu o wiadomość

o stanie włościan litewskich, bo ma w Litwie ordynacyą Nieświeską, w któréj dotychczas nie był, ale się tam wkrótce wybiera. Weszliśmy więc we framugę przy oknie, i ja śród balu w Rzymie, z łona marzeń o kochankach poetów i królów, musiałem przenieść się myślą do chat włościan Giejstuńskich, ażeby, biorąc z nich wzorki, módz przecież odpowiedzieć jako tako na zapytania, które mi mój interlokutor, z wielką znajomością gospodarskich rzeczy, zadawał, i odpowiedzi na nie z interessem słuchał. Trwało to najmniéj dobre pół godziny, i strasznie już zaczynało mię nudzić, kiedy szczęściem jakiś jegomość odciągnął ku sobie xięcia, a ja odzyskałem swobodę przypatrywania się daléj balowi.

Z ciekawych znamienitości widziałem, ale tylko zdaleka: Thorwaldsena, Horacego Verneta, i Cammuciniego, najsławniejszego z żyjących dziś malarzy włoskich. Piérwszy, miernego wzrostu, szczupły, ruchliwy staruszek; a choć włos całkiem biały, jak u Niemcewicza, twarz jednak niemniéj czerstwo i rumiano, jak u twojego cioska Ursyna, wygląda. Znać, że nie z saméj tylko „sztuki poezyi“ *(dichtenden Kunst)*, wytryska, jak mówi Szyller „źródło wiecznéj młodości.“ Tkwić ono musi nie w téj lub owéj sztuce, ale raczéj w początku i celu sztuk wszystkich, to jest w Piękności, któréj zarówno poeci, jak i uczniowie Pigmaliona hołdują. Horacy Vernet, w sile wieku, wysoki i krzepki, z postaci przypomina naszego kochanego „pana Lorenza“ (Puttkamera), tylko że włos nad czołem czerni się jak heban. W twarzy znać siłę, która

macha ręką, gdy z niéj, jak z dłoni Zeusa, wyskakują konie. Cammucini, wysoki, poważny, przyprószony siwizną, ma minę więcéj Niemca niż Włocha. To téż jego obrazy, jak mówią, odznaczają się niemiecką dokładnością rysunku, oraz ścisłém stosowaniem się do prawdy historycznéj, tak w ogólnym układzie kompozycyi, jak i w akcessoryach. Treść ich czerpie on zwykle z dawnéj historyi rzymskiéj. Arcydzieło jego, jak mówią, *Odjazd Regulusa*, (gdy wierny słowu, na śmierć pewną do Kartagi wyjeżdża), nabyła nasza kompatryotka, pani hrabina Ostrowska, wraz z wielu innemi obrazami tegoż autora, którego ma być szczególną wielbicielką. On sam, pomimo siwizny, nie zdaje się mieć więcéj nad lat czterdzieści kilka. A widziałem téż po raz piérwszy aż dwóch *żywych* kardynałów razem. Piérwszy, kardynał *Pacca*, jest jednym z najznakomitszych i najpobożniejszych członków Ś. Kollegium, zastępujący zwykle Papieża, kiedy jest niezdrów, przy wszystkich obrzędach publicznych. To téż i tu na balu widziałem, jak był celem ogólnéj czci i uszanowania. Drugi, kardynał *Vigoni*, ma być, jak powiadają, sławny na całe miasto gastronom, o czém i sama jego objętość zaświadcza. A widzę, że téż i szarmant nie lada; bo ciągle tylko rozmawiał z damami, które albo się same przybliżały do niego, albo on do nich podchodził i coraz przy innéj zasiadał. Przy siadaniu tém zwłaszcza zwracało uwagę, z jak dziwną troskliwością drappował swoję purpurową togę, rychtyk jakby jaka dama robrony, i jak potém usiadłszy wyciągał obie nogi przed siebie, jak

gdyby się lubował w swoich czerwonych pończochach. Patrząc na dwóch tych ludzi tego samego dostojeństwa i stanu, a tak całkiem różnych od siebie, zrozumiałem, jak jest trudno i jak niesprawiedliwie chcieć ze szczegółów o ogóle wnioskować, a cóż dopiéro sąd o nim wydawać. Bo sąd ten musi zależeć od trafu, z jakim szczegółem najprzód sądzącemu spotkać się zdarzyło. Niema światła bez cieniu; ale czyż cień ubliża światłu? To, co twój przyjaciel Horacy mówi o dziełach pisanych, może się również stosować i do żywych społeczeństw ludzkich.

„*Ubi plura nitent, paucis non ego offendar maculis.*"
(Gdzie wiele błyszczy, plamki mię nie rażą.)

Wszakże i Gwebry zapewne widzieli plamy na słońcu, a przecież nie byli tak głupi, żeby w niém nie czcić i nie błagać Oromaza, aby ich bronił od ciemności wiecznych, w któreby świat zagarnął Aryman, gdyby słońca nie było na niebie.

Ale wracając do balu:—największą jego przyjemnością, a raczéj nabytkiem dla nas, była znajomość z panem hr. Ankwiczem, ojcem i opiekunem tych dwóch naszych wróżek, od których list ten zacząłem, i którego bohatérkami mają być właśnie one. Nie tylko bowiem od p. Dernałowicza i kilku innych ziomków, cośmy już tutaj poznali, ale i w domu xiężny Zeneidy słyszeliśmy o nich tyle pochwał, że nadzieja ich znajomości błyskała mi jak gwiazda w marzeniach. Ucieszyłem się więc *in petto,* gdy tenże pan Dernałowicz, gdyśmy stali obok z Adamem, przystą-

pił do nas z jakimś jegomościem, i na żądanie jego zapoznał go z nami. Był to właśnie pan hr. Ankwicz, człowiek półwieczny, poważnéj postaci i twarzy, i bardzo ujmujący w obejściu. Po wstępnych komplementach i półgodzinnéj rozmowie, zaprosił nas nazajutrz na wieczór do siebie. Mieliśmy być niezawodnie, ale niestety, przy obiedzie u xiężny Wołkońskiéj, (na którym, *inter parenthesim,* była żona i córka Horacego Verneta), ból zębów tak schwycił Adama, że uśmierzywszy je nieco przy białym piecu w gabinecie xiężny, za pomocą woreczka z rumiankiem, który dla niego pani Własow uszyła i sama go nim obwiązała, nie śmiał już narażać się na zimno, i mnie jednego na ten wieczór wyprawił.

Przyszedłem jeden z piérwszych, ale już z oświecenia przedpokoju odgadłem, że czekano na więcéj gości. Z bijącém sercem ująłem za klamkę—ale piérwsze wrażenie w salonie nie było zbyt dla mnie przyjemne. Jakkolwiek bowiem gospodarz spotkał mię bardzo uprzejmie; jakkolwiek pani domu powitała również, a panienki, którym mię z kolei przedstawił, spójrzały na mnie, jak ja na nie, ciekawie: na wszystkich jednak twarzach dostrzegłem cień gorzkiego zawodu, gdy nasamprzód, ma się rozumieć, zacząłem od wytłómaczenia Adama, dla czego razem przyjść nie mógł. Zmieszało to mię i ubodło potroszę, ale wnet....

Czy ty widziałeś kiedy zblizka jak łowią ryby niewodem, i jak niekiedy małą jakąś płotkę napowrót odrzucą do wody? Nieboraczka z początku stoi w niéj jak wryta, aż powoli, powoli, poczuwszy przyrodzony

element, strzepnie się nagle, i dalejże hulać! Otóż myśl moja była jak ta płotka. Z razu czułem się jak nie swój; ale wpatrzywszy się w panienki—ha! pomyślałem sobie: *bonne mine à mauvais jeu!*—i po pięciu minutach zapomniałem całkiem o sobie. Sama rozmowa po polsku była już dla mnie jak woda dla ryby: dawała językowi swobodę, a głosik z ustek różanych, zachęcał go jak muzyka do tańca. Dość, że po upływie kwadransa byliśmy już jak dobrze znajomi, i przeto jako takiego przedstawiano mię po kolei nowo przybywającym gościom. Był to bowiem wieczór proszony, i sama gospodyni domu, z charakteryzującą ją otwartością, inicyowała mię niejako do familijnych tajemnic, mówiąc, że był to dzień urodzin *Henrysi*, która dziś rok osiemnasty zaczyna. Solenizantka była ubrana różowo, ale jéj drobna twarzyczka przypominała ów wiersz ze Świtezianki: „*Biała jak róży bladéj zawoje, skropione jutrzenki łezką.*“ Bo dla zdrowia to jéj rodzice od siedmiu lat bawią we Włoszech, i chociaż klimat zbawił ją od śmierci, organizm jednak delikatny i wątły odbija się i w wyrazie jéj twarzy. Nie jest ona właściwie piękną co do rysów, ale za to tém bardziéj może poetyczna i interessująca. A podług mnie, powab, to piękność. Co zaś mnie uderzyło szczególniéj, to podobieństwo jéj do Marylli, nie z pojedyńczych rysów, ale z ogółu i wyrazu albo raczéj z wrażenia całéj fizyognomii. Towarzyszka jéj, siostra cioteczna, panna Marcellina Łempicka, to już istna różyczka wykwitająca z pączka, taka świeża, rumiana, i *notabene* ubrana zielono. Może

być starsza o lat parę od siostry i daleko silniejszéj budowy, ale obie smukłe i kształtne. Wraźże je sobie w pamięć wyobraźni, bo przewiduję, że często będziesz miewał relacye o nich. A teraz słówko jeszcze i o pani domu. Lat przeszło czterdzieści; ni piękna, ni brzydka; oczytana i wykształcona, jak wszystkie nasze damy tego stopnia, a co do układu i obejścia, to typ naszych wiejskich obywatelek, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Naturalna, wesoła, uprzejma—a co szczerość, to już może posuwa do zbytku. Co się jéj na myśl nawinie, to już pewno nie zatrzyma się w ustach, jak woda w przetaku. Zauważyłem to zaraz przy piérwszém poznaniu, a piszę po całotygodniowéj już znajomości. Dla mnie jest to najmilszy rodzaj charakteru, a że ona widać to czuje, więc i ja zda się nie mylę, że mnie łaską swoją zaszczyca.

Wieczór, o którym mowa, był liczny i świetny. Osób było przeszło trzydzieści, a prócz dwóch czy trzech Włochów, sami Polacy. Słońcem zaś i królową jego była xiężna Iza Sanguszkowa, o któréj ci już z Florencyi pisałem. Dziś nawet zblizka zdała mi się piękniejszą niż tam na balu u xięcia Bacciocchi. W ciemno-karmazynowéj axamitnéj sukni, z różą tegoż koloru w lśniących kruczych włosach, z okiem promieniejącém gwiazdzisto, zdawała się olśniewać jakąś tajemniczą światłością. Co to jednakże za potęga ta piękność! jakkolwiek, do gruntu rzecz biorąc, dla samych jéj posiadaczek jest z niéj więcéj kłopotu niżeli pociechy. Jest to coś nakształt właścicielstwa brylantu, gdy się nim frymarczyć nie myśli.

Właściciel musi czuwać nad nim jak Argus, aby go ustrzedz od złodzieja lub zguby, a skoro go włoży na siebie, drudzy go tylko widzą i lubują się jego blaskiem. Dobrzeż, że w tym razie przynajmniéj piękność posłużyła miłości, a nie rachubie lub dumie światowéj. Mąż xiężny Izy jest jéj blizkim krewnym po matce, i musieli z tego powodu walczyć długo z oporem rodziny, nim się nakoniec pobrali w tym roku. Do Rzymu przyjechali dla odwiedzenia wspólnéj swéj babki, xiężny Stolnikowéj Litewskiéj Czartoryskiéj, która przez długie lata prowadziła tu świetny i otwarty dom, a teraz usunęła się całkiem od świata i mieszka na dewocyi w klasztorze Urszulinek, budując wszystkich swoją pobożnością, jak dawniéj zachwycała uprzejmością i wdziękiem. Xiężna Iza jest także poetką. W albumie panny Henryetty czytałem bardzo udatny jéj wierszyk po polsku, napisany przed dwóma laty w Ischl, gdzie razem u wód bawiły, a w którym odjeżdżającéj do Włoch przyjaciółce, życzy i spodziewa się w nich dla niéj odzyskania zdrowia. Ma także śpiewać jakoby jak anioł. Słowem, jest to jedna z najbardziéj uroczych, nie tylko kobiét, ale nawet Polek. A i tego nie mogę pominąć, że prześlicznie mówi po polsku. Ona i obie panienki tworzyły konstellacyą salonu, około któréj kupili się wszyscy. Ja prócz nich, pana Dernałowicza, i poznanego wczoraj xięcia Wilhelma Radziwiłła, nie miałem znajomego nikogo, ale się zapoznałem z wszystkimi. Nazwisk ich litaniować nie myślę; dla dwóch tylko robię wyjątek. Jeden, Antoni Strzelecki, nauczyciel

i mentor młodziutkiego xięcia Alexandra Czartoryskiego, z Galicyi, z którym podróżuje po Włoszech i na zimę zamieszkał w Rzymie; drugi, Wojciech Sztattler, malarz, jak mówią, wielkiego talentu, z Krakowa, doskonali się tu w swojéj sztuce dla zajęcia katedry malarstwa w uniwersytecie Jagiellońskim. Obaj ludzie mili i światli, namiętnie rozmiłowani w Rzymie, tylko że piérwszy więcéj w gruzach przeszłości, drugi w galeryach i muzeach. Zawiedzeni w nadziei spotkania się z Adamem, przyszli nazajutrz sami aby się z nim poznać, i podobali się sobie nawzajem.

Że zaś dziękujesz mi w swym liście za szkice karykatur albo oryginałów, które mi się spotykać nadarza, więc miejże sobie i tutaj parę tego rodzaju sylwetek.

Za wejściem do salonu zastałem już w nim kilka osób. Na kanapie, obok pani domu, siedziała jakaś dama, już w wieku podeszłym, ale z pełną życia, rozumną i wyrazistą twarzą, a w głębi fotelu przy stole jakiś biały jak gołąb i zgrzybiały staruszek, ale tak elegancko i wytwornie, chociaż ze staroświecka ubrany, że przy nieruchomości oczu jego i twarzy, patrzącemu nań przez stół z drugiego końca, wydawał się jak malowany portret, tylko co zdjęty ze sztalugi i postawiony na krześle. Koronkowa też chustka na szyi, żaboty i mankiety od koszuli, były tak sfałdowane, tak wyrurkowane, że wyglądały raczéj na dzieło pendzla, niż żelazka. Na piersiach iskrzył od światła wielki krzyż brylantowy maltański. Byłto bowiem

ostatni już może na świecie rzeczywisty kawaler i komandor tego zakonu dla prowincyi polskiéj, dziewięćdziesięcioletni hrabia Dunin. Za młodu, jako oficer gwardyi Ludwika XVI-go, trzymał straż na weselu tego króla z Maryą-Antoniną, o czém podobno najlepiéj opowiadać lubi; po rozwiązaniu zaś swego zakonu, osiadł i mieszka w Rzymie od lat przeszło czterdziestu. Wierny ślubom zakonnym, nie wszedł w śluby małżeńskie, ale jako prawdziwy *Kawaler*, zachował dla płci pięknéj cześć i uwielbienie rycerskie. Niedowidzi już, niedosłyszy, i suwa nogami, jest jednak chętnym gościem na wszystkich liczniejszych zebraniach, gdzie są damy, i to w nim podtrzymuje gasnącą iskierkę życia. Jakoż z początku siedział jak wpółsenny, ale za wejściem xiężny Izy, ożywił się i powstał z miejsca, czekając aż się zbliży ku niemu. Gdy zaś ona, stojąc tuż przy nim, winszowała solenizantce, że zdrowo i hożo wygląda: on téż, z przymilającym się uśmiechem, wskazując na nią i na jéj kuzynkę w zieleni, dodał: „*Rose et bouton!*“ (róża i pączek). Przedtém téż z niemi tylko rozmawiał, a że mówiono o tegorocznym wybuchu Wezuwiusza, który one właśnie widziały, zapytał ich arcy-naiwnie, czy znajdują że był większy lub mniejszy od tego, który w roku 1794 zniszczył wiele blizkich miasteczek i samemu Neapolowi zagrażał? Należy to bowiem do głównych rysów jego charakterystyki, że tak widać stracił w pamięci wszelką perspektywę przeszłości, iż nie umie już odróżnić wczorajszéj, od upłynionéj przed wieloma laty. Nie lubi jednak, gdy go w tém kto

przestrzeże, i gdy siedząca na kanapie dama zrobiła mu uwagę, że tych pań wtedy jeszcze nie było na świecie, zamormoszył się widocznie i zamilkł.

Ta zaś dama, przy któréj ja właśnie siedziałem, jest to pani hrabina Moszyńska, wdowa po jakimś dygnitarzu dworu saskiego, z czasów W. X. Warszawskiego. Córka jéj z piérwszego małżeństwa, panna Teressa Łopuska, cud doskonałości, jak mówią, pod względem rozumu i serca, tak umiała pozyskać przyjaźń dwóch rówiennych sobie xiężniczek (córek xięcia Maxa), że gdy te wyszły za mąż za dwóch braci W. Xiążąt Toskańskich, ściągnęły ją na dwór swój do Florencyi, jako przyjaciółkę. Z nią razem przybyła i matka. Ale gdy córka jéj wkrótce wyszła za mąż, za barona *de Bock*, Inflantczyka, i wraz z nim zamieszkała w Szwajcaryi, pani M. nie chcąc, jak mówiła, stawać się zależną od zięcia, osiadła sama w Rzymie, i stała się nie tylko zależną, ale prawie niewolnicą — czyją? oto psa faworyta, obrzydliwego kudłatego szpica, który mię najokropniéj przestraszył. Zaledwo bowiem usiadłem koło niéj, czuję że mię coś dotyka do nogi. Spójrzę — i omal nie krzyknąłem z przestrachu, myśląc że sowa siedzi mi na nodze. A był to łeb tego potworu, który się z pod nóg swojéj pani wysunął i pysk oparł na nodze mojéj. Panienki się roześmiały, ja się zawstydziłem, a reparując się jako tako, napomknąłem zlekka o sowie, którą, jako godło mądrości, sadzą zwykle u stóp Minerwy. Pani hrabina przyjęła to wdzięcznie—chociaż komplement nie mógł być fałszywszy. *Telasko* wprawdzie (tak się zowie

ten potwór), ma być mędrcem psiego rodzaju, ale co mądrość jego pani—to pożal się Boże! Pomieścićby ją chyba obok pobożności owéj dewotki, o której biskup Krasicki w swojéj bajce powiada:

„Uchowaj Panie Boże takiéj pobożności!".

A przecież rozumu jéj nie brak. Oczytana, bystra, dowcipna, posiada wszystkie warunki miłéj towarzyskiéj rozmowy; ale że się Telasko bez niéj w domu nudzi, więc się ona, przez wzgląd na niego, towarzystwa ludzkiego wyrzekła, i bywa tylko u państwa Ankwiczów, bo mieszka w tymże samym domu na górze, i Telasko jest zawsze z nią razem. I trzebaż, że ta właśnie jego obecność pozbawiła nas przyjemności słyszenia śpiewu xiężny Izy. Xiążę Radziwiłł w imieniu towarzystwa już miał prosić ją o to, gdy panna Henryetta z przestrachem uprzedziła go, aby tego nie czynił; Telasko bowiem tak niecierpi i nie znosi muzyki, że niezawodnie zacząłby szczekać i wyć pod kanapą. To téż i pani jego, znakomita jakoby muzyczka, całkiem dla niego zaniechała swego talentu. Sądź więc z tego o jéj mądrości—a może i o dziwactwach serca ludzkiego.

Wieczór zresztą istotnie mógł się nazwać polskim: był ożywiony, wesoły i gwarny, aż go dopiéro przy końcu zamąciła dość szczególna okoliczność, o któréj ci wspomnę dla tego, abyś z niéj poznał lepiéj gospodynią domu. Od dni kilku cierpiała ona na ból w uchu, i operując je sama szpilką, szpilkę tę upuściła gdzieś z ręki. Było to tego dnia z rana, i wcale

wtedy na to nie zwróciła uwagi. Ale nagle, przy końcu wieczora, zapewne skutkiem gorąca, ból tak dalece się powiększył, że pacyentka uroiła gwałtem, iż to ta ranna szpilka musiała jéj wpaść w głąb' ucha, i niezawodnie o śmierć ją przyprawi. Daremne były perswazye wszystkich. Rzewne łzy jéj świadczyły, że ból być musiał gwałtowny; ale przytém to urojenie, a nadewszystko dobroduszna naiwność. z którą jakby poraz ostatni żegnała się ze wszystkimi, miały swoję stronę zabawną. Skończyło się, że mąż sam, pomimo spóźnionéj pory, pojechał po najsławniejszego chirurga, a goście rozeszli się powarzeni. Co do mnie jednak, wyznaję, że mię właśnie ta scena mianowicie dla niéj ujęła; gdyż musi to być jakaś dobra, szczera, naiwna natura, a wnoszę i zkąd inąd, że jest tak, a nie inaczéj.

Nazajutrz, ma się rozumieć, przyszedłem rano dowiedzieć się o zdrowiu; a że się dowiedziałem, że doktor i ciepłe okłady zmniejszyły ból i uleczyły wyobraźnię, więc i Adam na drugi dzień wybrał się także z wizytą, i tą razą przynajmniéj raczył mi przyznać za powrótem: „że nie przesadziłem w pochwale panienek“. Bo już to ja wiecznie na tym punkcie doświadczam losu Kassandry; nie dla tego, iżbym w istocie przesadzał, ale tylko, że jak nie ma soboty, podług mniemania ludu, w któréjby słońce choć na chwilę nie błysło, tak dla mnie nie ma młodéj panienki, byle nie pysznéj, nie złośliwéj, i nie paplającéj wciąż po francuzku, którąby w oczach moich właściwéj sobie piękności i wdzięku nie miała. Że zaś sam na to

przedewszystkiém patrzę i o tém tylko rad mówię, ztąd niewiara w moje pochwały i obwinianie mię o przesadę. Adamowi wszakże najwięcéj podobała się tą razą sama pani, a to w skutek własnego jéj opowiadania o sobie, o owéj nieszczęsnéj szpilce i o gotowaniu się na śmierć. Sam pan Ankwicz nazajutrz oddał nam wizytę i zaprosił na czwartek, to jest na wczoraj, na „skromny polski obiadek". Byliśmy — i na relacyi o tym obiadku zakończę mój list niniejszy, mający jedynie na celu wprowadzić cię i zapoznać z domem tych państwa, który, wraz z domem xiężny Zeneidy, dziś już nawet stanowi dla nas jakby drugi biegun, śród których krążyć tu mamy. Obiad zaś ten jest najdoskonalszym kontrastem obiadu u xięcia Gagaryna, pod względem stanowiska i roli, jakie na nich zajmował i odegrał Adam.

Gośćmi oprócz nas byli: p. Moszyńska, Strzelecki, ze swoim elewem, i x. Zajączkowski, missyonarz z Warszawy (wysoki, barczysty, rubaszny). Widziałem go już u państwa Dernałowiczów, ale z Adamem tu się poznał dopiéro. Z razu szło wszystko dobrze, rozmowa i harmonia; ale gdy się panienki unosiły nad Rzymem, Adam swoim zwyczajem zaczął się im przekomarzać u stołu, zestawiając bardzo dowcipnie Rzym nowy ze starym, i porównywając go do parweniusza, któryby z gruzów magnackiego zamku zbudował sobie sklep lub kamienicę, a zajęty w niéj spekulacyą czy handlem, chciał naśladować wspaniałość i powagę dawnych panów zamku. Xiądz Zajączkowski nie podobał tego; ale wszakże bardzo spokojnie przeciwne zdanie swoje objawiał.

Dopiéro gdy pani domu, chcąc podnieść znaczenie Rzymu, wszczęła rzecz o świetności religijnych obrzędów, a Adam upatrywał w tém więcéj teatralnéj wystawy niż istotnego ducha pobożności, i wpływ raczéj na wyobraźnię niż uczucie i moralność ludu: podrażniona tém żarliwość xiędza Zajączkowskiego, wybuchła z wulkanicznym zapałem. Mówił o płochych i zuchwałych sądach młodzieży; o półmędrkach i niedowiarkach: a mówił to takim tonem, jakby widział przed sobą reprezentanta wszystkich tych kategoryj, i jakby ten stał przed amboną, albo nawet u konfessyonału. Gospodarze byli skonsternowani; ja także obawiałem się w duchu, aby tego rodzaju filippika nie wywołała repliki w tymże tonie. Ale tu Adam zadziwił mnie, a może i wszystkich, dziwnym taktem i panowaniem nad sobą. Xenofont w sławnéj swojéj rejteradzie nie mógł manewrować rozumniéj, aby i nie okazać się porażonym, i napastnika oporem nie drażnić. Odpowiadał spokojnie i krótko, i to tylko *rykoszetami*, zwracając mowę do panienek, tonem wpółżartobliwym, ale bez cienia goryczy lub ironii, zostawując przeciwnikowi wolne pole do rozwijania kaznodziejskiéj wymowy. A i to dodać trzeba, że xiądz Zajączkowski mówił istotnie bardzo dobre rzeczy, tylko że je niesłusznie do Adama stosował. Z tego téż punktu widzenia przyszła mu najprzód w pomoc pani Moszyńska, tłómacząc i wykazując rzeczywistą myśl i znaczenie słów jego, które były początkiem dysputy. Nie pomogło to z razu stanowczo; tylko że xiądz Zajączkowski, nie ustając w zapale, obrócił front atta-

ku ku damom, które przez względy światowe, lub aby ujść za rozumne, potakują fałszywym teoryom rozumu, zwłaszcza gdy te są w modzie lub wyznawane przez ludzi znaczących i sławnych. Ale tu znowu Strzelecki przerzucił rzecz na pole czysto naukowe, dowodząc stanowczo i z mocą, dogmatycznie i historycznie, że same zewnętrzne obrzędy, oprócz głównych i zasadniczych, nie były i nie są wcale uważane przez Kościół za integralną część wiary; że są wprost ustawą ludzką, wynikiem okoliczności czasowych, i stosowane zawsze mniéj więcéj do charakteru i obyczajów narodu, śród którego najprzód powstały. Brać je przeto za jedno z wiarą, jest to grzeszyć przeciwko duchowi samejże wiary i przekrzywiać intencye Kościoła. Napadniony w ten sposób znienacka, xiądz Zajączkowski złagodniał; Adam zaś, wziąwszy assumpt ze słów Strzeleckiego, skreślił tak śliczny i poetyczny obraz prostoty i powagi religijnych obrzędów kościelnych i domowych zwyczajów u nas, że sam jego antagonista zmuszony był pod tym względem przyznać im wyższość nad włoskiemi, a więc nie mógł i temu zaprzeczyć, że są odpowiedniejsze świętości swojego celu.

Tym sposobem tęcza przymierza zabłysła na burzliwéj chmurze dysputy. A jak po burzy ptaszęta, tak i głosy panienek ozwały się znowu w rozmowie, która téż przy końcu obiadu stała się znów słodka jak deser; nektarowe zaś „*Lachrymae Christi*,“ w zastępstwie szampańskiego, posłużyło gospodarzowi za temat do wzniesienia polskiego toastu: „kochajmy się!“ — który ostatnie ślady chwilowego nieporozumienia za-

gładził. Adam owszem, po wyjściu już xiędza Zajączkowskiego, wziął stanowczo jego obronę przeciwko pani domu i pani Moszyńskiéj, mówiąc, że dobry żołnierz na pikiecie, powinien dobyć szabli lub strzelić z pistoletu, choćby mu się tylko zdawało, że nieprzyjaciela dostrzega. — Deszcz ulewny nie dozwolił nam odejść, jakby może etykieta kazała; zostaliśmy więc na herbacie. A że i pani Moszyńska z nieprzyjacielem mazurki, faworytem swoim, odeszła: córka domu, na prośbę Adama, usiadła do fortepianu. Gra jak artystka, biegle i z uczuciem. Przez lat kilka była uczennicą Moschelesa i innych znakomitych mistrzów. Adam zaraz po piérwszéj sztuce wstał z miejsca i stanął przy grającéj. Muzyka trwała długo, a w przerwach, ożywiona rozmowa z obu stron. Kiedy zaś po herbacie sama pani domu odegrała kilka melodyj starych piosnek, o których właśnie toczyła się mowa, a między innemi *Filona;* z twarzy Adama widziałem, że byłby w téj chwili improwizował z pewnością, gdyby go kto śmiał o to poprosić. Zatoż wyszedłszy był bardzo rozmówny i zachwycony całym tym domem, muzyką, a bodaj że i samą muzyczką, którą znajduje „miłą i rozumną“. A ja powiadam tobie toż samo o pannie Marcellinie, z którą towarzystwo, jak dzisiaj, tak bodaj że i nadal na mój dział zwłaszcza przypadnie. Obie widać dużo czytały, a mianowicie są biegłe w archeologii Rzymu, któréj formalne lekcye brały u sławnego archeologa *Pietro Visconti.* Obiecują téż być przewodniczkami naszemi; chociaż wielka kwestya, czy nam przy nich zechce się patrzéć na stare

gruzy i kamienie. Zaproszeni jesteśmy tak szczerze i serdecznie, abyśmy często bywali, że pewno temu uczynimy zadość. Tymczasem, koniec na tém; bo nie chcę nawet ani zahaczać myślą o to, cośmy w Rzymie przez te dni widzieli; gdyż w zbytniém może rozmarzeniu, takby jéj trudno było dójść w tym liście do *Vale*, jak ta mała senna dziewczynka, w *Rozrywkach* panny Tańskiéj, nie mogła trafić w paciorku do *Amen*. Na dziś zatém *Vale*, i *Amen*.

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible] [illegible] *bardzo,* [illegible] *czuj*[illegible] Zresztą [illegible] już o tym przedmiocie pisałem razi [illegible] Julja-na, i chyba dodam jeszcze to jedno, co [illegible] właśnie Adamowi mówiłem, i co mu się [illegible] podobało: to jest, że Rzym względem swych gości jest jak stary

opowiadacz gaduła (np. twój Kaczanowski), który im od rana do nocy prawi wciąż rzeczy tak ciekawe i piękne, ale zarazem tak stare, że chociaż oni sami słuchając zapominają dla nich o dzisiejszych, powtórzyć ich jednakże nie mogą nikomu: bo każdy wié o nich i bez tego, a opowiadać tak, jak ten staruszek, tego nikt z młodszych nie potrafi na świecie. Pozostaję więc przy moim programie pisania wam tylko o sobie. Żeby zaś nie powtarzać nic z tego, coście już może dotąd w listach do Juljana czytali, opowiém wam o nowéj całkiem znajomości, która i dla was, jak sądzę, obojętną nie będzie, a co szanowny i kochany pan Krzysztof, to jestem najpewniejszy, że i jako kawaler Legii Honorowéj i jako, niestety, heretyk, przyjmie ją daleko ciekawiéj, niżby nawet wiadomość o samym Papieżu. — Zgadłeś może, że mówię o Napoleonidach.

Jak niegdyś Sztuartowie, Wazowie, Sobiescy, których tu groby po kościołach widuję, osiadali na dewocyi w Romie, aby na gruzach tronu téj „królowéj świata", medytując o znikomościach jego, łatwiéj mogli o stracie własnych koron zapomnieć: tak dziś matka i krewni byłego Cesarza, Rzym téż sobie za przytułek obrali. W liczbie tych ostatnich jest były król Westfalski, Hieronim, i była królowa Hollenderska, Hortensya Beauharnais, córka Józefiny, a żona Ludwika Bonapartego, wraz z dwóma swoimi synami: Napoleonem-Ludwikiem i Ludwikiem-Napoleonem. O synach tych powiém najpierwiéj, bo i sam codzień prawie ich widzę, i aż mi uszy więdną, tak codzień

leputatów z c
hcą public
irudzy śmieją
odzień ga

sławy
pozoru
atryczno
wszych

tam z
zymsk
na
nder
najpr
Wr

mrod, na przepysznym arabskim koniu. I żebyż jechał przynajmniéj na polowanie! ale gdzie tam! Jedzie, ażeby przeprowadzać psów swoich na spacer, który jest im do zdrowia potrzebny. Jeden z dżokejów poprzedza ten orszak; dwóch, z harapami w ręku, strzeże go po bokach; czwarty jedzie z tyłu za panem. I trwa ten spacer około dwóch godzin, tak, że zawsze około szóstéj mnóstwo ludzi stoi znowu na placu, aby się powrótowi tego grona przypatrzyć. Pomimo wielkiéj mojéj ciekawości, nie mogłem dotąd dowiedziéć się z pewnością, kto jest ten: czy *gentleman*, czy *esquire*, czy *milord*, i co on tu właściwie z temi swemi psami porabia? Ale jest on, jak powiedziałem, pod względem excentrycznéj śmieszności, drugim tomem młodych Bonapartych; o których zresztą powiadają, że wiodą rej pomiędzy liberalną młodzieżą rzymską i mają wziętość u ludu, z powodu swojéj hojności, a może i téj nawet oryginalności, która do włoskiéj wyobraźni przemawia. Obaj są ładne chłopcy i nie zdają się mieć więcéj jak po dwadzieścia kilka lat wieku. Matka, jak widać, nie musi mieć dość władzy nad nimi, aby ich od tych studenckich wybryków powstrzymać; sama albowiem, równie jak pani Letycya, używa tu powszechnéj czci i uszanowania. Xiężna Zeneida, która jest z nią w dobrych stosunkach, powiedziała jéj o Adamie; ona życzyła go poznać, i skutkiem tego ja także, jako *satelles*, dostąpiłem zaszczytu być jéj przedstawionym z nim razem.

[redacted]

W przeszłą tedy sobotę, 12 grudnia (30 listopada u was), o godzinie piérwszéj z południa, wyruszyliśmy na tę wizytę, pod patronatem xiężny Zeneidy. Ex-królowa, czy raczéj xiężna Saint-Leu, (bo to jest officyalny jéj tytuł), czekała już widać na nas; bo wpuszczono nas bez meldowania, i tylko kamerdyner francuz przeprowadził nas przez salon do drzwi gabinetu, w którym nas *incognito* przyjęła. Musi miéć lat przeszło czterdzieści. Postać kształtna i pełna godności. W twarzy wprawdzie nie widać już tych wdzięków, któremi niegdyś słynęła, ale jest wyraz uprzejméj dobroci, a przytém wielkiéj powagi i spokoju. Ubrana była czarno, w sukni zapiętéj pod szyję. Za wejściem xiężny Zeneidy podniosła się i postąpiła ku niéj parę kroków, a gdy ją obok siebie sadzała na kanapie, my téż zbliżyliśmy się do stolika, aby jéj pokłon nasz złożyć. Stolik ten stał przed kanapą, na rozesłanym szeroko dywanie, a wkrąg niego kilka krzesełek, plecionych ze słomy ryżowéj, delikatnych i lekkich jak piórko. I trzebaż, że o jedno z nich właśnie zawadziłem w przechodzie. Krzesełko się przewróciło, a ja—a ja, niestety, czułem jak cała krew zbiegła mi do twarzy, gdy się musiałem schylić, ażeby je podnieść. Nic wyszło to mi jednak na złe; owszem, *la mine pitoyable*, jaką musiałem mieć w téj chwili, wzbudziła widać litość w gospodyni domu; gdyż do mnie najprzód obróciła mowę; chociaż słowa grzecznego komplementu, w liczbie mnogiéj mówione, stosowały się właściwie do Adama, i dla niego zapewne były przeznaczone. Odpowiedziałem

więc tylko milczącym pokłonem; Adam zaś w krótkich słowach tak zręcznie, ale razem z takiém uczuciem wyraził cześć dla pamięci Cesarza i jego rodziny, że Królowa z widoczném zadowoleniem wyciągnęła ku niemu rękę, i gdy usiadł na krzesełku tuż przy niéj, zaczęła od ubolewania, że nie będzie nas mogła przedstawić pani Letycyi, która w tych dniach uległa smutnemu przypadkowi, to jest, powstając z krzesła we własnym pokoju, zaplątała się w suknię, upadła i złamała nogę. Przez dni parę była obawa o jéj życie; ale teraz już niebezpieczeństwo minęło, i musi tylko czas zwykły nieruchomie w łóżku przeleżéć. Po kilku minutach rozmowa stała się tak swobodną, a przytém tak ożywioną, że i ja, zapomniawszy o swojéj niezgrabności, mogłem do niéj po razy kilka swoje trzy grosze dorzucić, odpowiadając zwłaszcza na pytania o Warszawie i o Królestwie Polskiém. Adam bardzo delikatnie i zlekka, ale dał jednak poznać głębokie swoje przekonanie, że gwiazda w którą Napoleon wierzył, nie zagasła na zawsze; na co była Królowa odpowiedziała tylko niemém schyleniem głowy. Mówi zaś żywo i prędko; z poruszenia rąk nawet widać, że radaby gestykulować, gdyby się nie miała na straży. W ogólności wszystko w niéj zdradza Francuzkę, a może nawet i kreolkę po matce: tyle życia i energii w ruchach, spójrzeniu i głosie. Przytém dźwięk głosu miły, a sposób tłómaczenia się dziwnie naturalny i prosty. Mówiąc np. o Napoleonie, (którego zawsze tylko nazywa *L'Empereur*), w domowém jego pożyciu, rzekła: „*Il est difficile de s'imaginer comme il était*

bon enfant“. Na zapytanie xiężny Zeneidy o pani de Stael, odpowiedziała: że była to w gruncie serca dobra kobiéta, tylko tak zazdrośna o sławę, że nienawidziła Cesarza za to, że o nim więcéj niż o niéj świat mówił. Cesarz téż nie miał ku niéj żadnéj rzeczywistéj niechęci, ale go draźniła jéj próżność, „*et il ne voulait pas lui permettre de se pavaner trop à ses dépens*“. Po półgodzinném może trwaniu wizyty, xiężna Zeneida już się była podniosła, aby odejść, ale ją pani domu zatrzymała, mówiąc: „*Qu'y a-t-il de si pressé?*“ A było to właśnie w téj chwili, kiedy Adam, jak powiedziałem, o swych proroczych nadziejach napomknął. Zabawiliśmy więc pewno około trzech kwadransów, a kiedyśmy nakoniec ostatecznie powstali, oświadczyła nam bardzo uprzejmie, że przyjmuje wieczorem w soboty i wtorki, i „*qu'elle sera toujours charmée de nous voir*“. Nie dość na tém, przeprowadzając xiężnę do drzwi gabinetu, obróciła się ku nam i dodała: „*qu'elle veut nous faire voir ses souvenirs posthumes*“. I wprowadziła nas do ośmiokątnego salonu, wyłożonego białym marmurem, na którego ośmiu ścianach wisiało osiem ogromnych obrazów, nie malowanych, lecz gobelinowych, ale tak doskonale naśladujących malowidło, że sam byłbym się tego pewno nie domyślił. A były to portrety w całéj postaci: Napoleona i Józefiny, w stroju koronacyjnym; Ludwika i saméj Hortensyi, w mantyach królewskich; dwóch małych jéj synów, także w purpurze i gronostajach; xięcia Eugeniusza Beauharnais, w mundurze Gidów, na koniu, i nakoniec, nad kominkiem,

portret konny Napoleona, w historycznym szarym surducie, podług obrazu malarza *Le Gros*, jeśli dobrze dosłyszałem nazwisko. Oglądaliśmy wszystko w milczeniu; gospodyni zaś, z powodu portretu brata, wspomniała, że jednemu z Polaków, generałowi Klickiemu, (wymawiała *Klikki*), winien on był ocalenie życia śród bitwy, i ztąd bardzo życzliwie wyrażała się o Polakach w ogólności, dając przytém delikatnie do zrozumienia, że z tego to zwłaszcza tytułu mieliśmy zaszczyt oglądania tych „pogrobowych pamiątek“, których, jak wyraziła się sama, „nie zwykła pokazywać *każdemu* (*à tout le monde*)“. Przy pożegnaniu nakoniec przypomniała nam łaskawie raz jeszcze wtorki i soboty, i dziękowała xiężnie za miłą znajomość. Wyszliśmy zachwyceni tém wszystkiém, unosząc bardzo miłe i wdzięczne wspomnienie.

Wczoraj zatém, to jest w najpiérwszy wtorek po owéj wizycie, aby okazać skwapliwość w korzystaniu z tak uprzejméj dobroci, z Szewirewem i młodym xięciem Wołkońskim wybraliśmy się na ten wieczór o godzinie dziesiątéj, paradując w powozie xiężny. Trzy obszerne salony oświecone były rzęsiście. W średnim siedziała sama pani domu, w gronie kilkunastu dam, bardzo strojnych. Powitała nas grzecznie, podnosząc się nieco, ale tylko zwyczajnym frazesem „*Charmée*“ etc.; młodego zaś Wołkońskiego zapytała o zdrowie matki. My przestaliśmy na milczącym pokłonie, i wmieszaliśmy się w tłum nieznajomych, gdzie ja wkrótce spotkałem pana Władysława Zamojskiego, który świeżo przybył do Rzymu, i zapoznałem go

z Adamem. Przedtém zaś, kiedyśmy jeszcze stali w pobliżu dam, zaanonsowano: *„le Duc et la Duchesse de Rovigo!“* Historyczne to imię dziwnie jakoś zabrzmiało mi w uszach. I weszła para w poważnym już wieku. On sam sporego wzrostu, siwy i łysy, rumianéj i wesołéj twarzy, na któréj ..., zwłaszcza w ściśnionych ustach, wyraz iro... ...bija. Toaleta jéj saméj wcale nie balowa, kontrastowała dziwnie z toaletą dam innych. Królowa postąpiła ku nim parę kroków; podała rękę xięciu, a jéj damę sadząjąc przy sobie, dziękowała jéj głośno, (może dla wyexkuzowania jéj stroju), że będąc już w podróży przyszła ją jeszcze odwiedzić. Ale wszystkie dalsze szczegóły tego wieczoru, czyli *rautu*, zgasły dla mnie przy mojéj własnéj przygodzie, o któréj wam zaraz opowiém. Stałem sobie w ostatnim salonie rozmawiając coś z Szewirewem, kiedy widzę, że młody xiążę Wołkoński, rozpatrując się wprzód naokoło, idzie wprost i pośpiesznie ku nam, prowadząc obok jakiegoś pana w czarnym fraku, z dwiema gwiazdami i z długim rzędem miniaturowych orderów, zawieszonych na sprzączce w pętlicy. Zbliżywszy się, usunął się z uszanowaniem na stronę, wskazując na mnie i mówiąc do tego pana: *„voilà un des polonais“*. Ukłoniliśmy się sobie nawzajem, a ten pan zapytał mię grzecznie, z jakich stron Polski przybywam? Na odpowiedź, że z Warszawy, dodał: *„Ne pourriez vous pas me donner quelques renseignements sur mes anciennes connaissances?“* Milcząc skłoniłem się powtóre, na znak, że czekam na pytania. Jakoż za-

czął mię rozpytywać o różnych generałach, a mianowicie o Izydorze i Wincentym Krasińskich, o Stanisławie Potockim, i o kilku innych. Na to wszystko mogłem mu odpowiedzieć zadowalniająco, bo albo znałem osobiście, albo dobrze wiedziałem o każdym. Trwało to może z kwadrans; potém podziękował mi pięknie i odszedł. Byłem pewny, że to jest jakiś francuzki generał, który chce wiedzieć o dawnych kolegach, i przeto nie mówiłem do niego inaczéj, jak: *Monsieur*. Ale zaledwo odszedł, Adam, który tymczasem zbliżył się i stał przy mnie podczas téj rozmowy, porywa mię za rękę i mówi: „Wiesz-że ty z kim gadałeś?“—„No, pewno jakiś generał.“—„A czyż ty ślepy, że nie widziałeś podobieństwa?“—„Jakiego?“ — „Toż jest Hieronim Bonaparte, podobniuteńki do Cesarza, jak dwie krople wody.“—Aż mi się gorąco zrobiło; nadewszystko pożałowałem, żem go nie nazwał *Sire* i *Votre Majesté*, co on podobno, jak słyszałem, lubi, i jak go grzeczni nazywają w rozmowie.“ Adam zaś, widocznie wzruszony, opowiedział powód wzruszenia, który tu wam w treści powtórzę.

W roku 1812, kiedy armia króla Westfalskiego szła pod Słonim przez Nowogródek, dom rodziców Adama, jako najlepszy w miasteczku, przeznaczono na kwaterę królewską. Mieszkańców, można się rozumieć, wypędzono; ale Adam, czternastoletni wówczas, zakradł się do własnego ogrodu przed domem, i położywszy się na ziemi, przez sztachety okręcone powojem i chmielem, które go zakrywały, przypatrywał się przybyciu królewskiego gościa. Wszystkie szcze-

góły, jak powiadał, stanęły mu dziś tak żywo w pamięci, jak kiedy je naówczas przed oczyma oglądał. Ruch nadzwyczajny w całym domu, w chwilach oczekiwania, ustał nagle, gdy jakiś oficer przyleciał w galop na koniu i zapewne o zbliżaniu się króla oznajmił. Oddział straży w dziedzińcu i na ulicy, z bronią w ręku i ze sztandarem, uszykował się w szpaler od bramy do ganku. Adam mówi, że mógłby narysować, tak je widzi wyraźnie, ogorzałe, wąsate twarze grenadyerów, w ogromnych czarnych bermycach, z tornistrami i blaszankami na plecach. Odgłos trąb, bębnów, piszczałek, i okrzyk ludu na ulicy zwiastowały przybycie króla. Adam nie mógł obaczyć, jak zsiadał z konia przed bramą, ale widział jak szedł przez szpaler, salutując na obie strony prezentujących broń przed nim żołnierzy. Tłumny orszak lśniących od złota, w kaszkietach i kapeluszach z piórami, szedł za nim, i zatrzymał się przed gankiem, z którego król ich pożegnał. Adam mówi, że gdyby Anioł zstąpił z nieba w promieniach, nie mógłby go był przejąć większą czcią i podziwieniem. „A dziś—powiadał daléj—widzieć tego samego człowieka we fraku; być z nim w tym samym salonie; słyszeć jak mówi z tobą, i jak ty go nazywasz: *Monsieur!!!*"

Ten *Monsieur* zatém tém bardziéj wiercił mi jak gwóźdź w sercu, i postanowiłem *coûte que coûte* naprawić to mimowolne uchybienie. Ale musiałem manewrować długo, nie myśląc już więcéj o niczém, nim upatrzyłem stosowną sposobność. Widząc, że ma przechodzić z jednego salonu do drugiego, stanąłem we

drzwiach, i gdy przechodził koło mnie, ukłoniłem się bardzo pokornie, i rzeczywiście z wielką nieśmiałością wyjąkałem ułożony już wprzód w myśli frazes: „*Sire! je demande pardon à Votre Majesté de n'avoir pas su auparavant, à qui j'ai eu l'honneur de parler.*“—Zatrzymał się i spójrzał na mnie bystro, ale znać bez obrazy; bo owszem skinął głową uprzejmie i odezwał się tonem łagodnym: „*Au contraire, vous m'avez fait grand plaisir en me parlant de mes connaissances, à qui j'ai eu l'honneur de commander autrefois.*“ — Pokłoniłem się jeszcze niżéj i rozumiałem, że już sobie pójdzie—ale on stał jeszcze i dodał: „*Et dites moi encore, est-ce que les dames de Varsovie sont toujours aussi belles, comme autrefois?*“—Ośmielony tą niespodziewaną dobrocią, odpowiedziałem swobodnie: „*Pardon, Sire! mais les dames d'aujourd'hui me paraissent plus belles, que celles d'autrefois.*“—Widać, że mu się to podobało, bo zaśmiał się i podał mi rękę, któréj ja, ma się rozumieć, zlekka tylko i z uszanowaniem dotknąłem. Na tém koniec stosunku mego z *Królem*, chyba, że go kiedy znów jeszcze w salonie *Królowéj* obaczę.—

A co? moja królowo myśli! nieubłagana nieraz panno Anielo dobrodziko! Czy będziesz mię tak zawsze musztrować i sztrofować byle za co, widząc jak ja tu z realnemi majestatami obcuję? Jeśli mię w tém nadzieja nie zwiedzie, nie będę mógł o sobie powtórzyć z Karpińskim, co on o swojém widzeniu się z królem powiada:

„Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.“

Adam nie mógł się wydziwić mojéj śmiałości, kiedy mu powiedziałem o téj nowéj rozmowie; gdyż przewidując oppozycyą z góry, nic mu wprzód o projekcie moim nie mówiłem.—Wyjechaliśmy zaraz po północy, ale że jeszcze światło było w oknach salonu xiężny, wstąpiliśmy więc na minut parę, a zabawiliśmy z parę godzin, zastawszy w nim kilku gości i pijąc herbatę z przekąską; co mi bardzo było na rękę, gdyż na wieczorze, czatując na króla, nie tylko ciasta z winem, które roznoszono, ale nawet ani lodów nie tknąłem.

A teraz skończywszy to opowiadanie, czuję, że podług wszelkich prawideł estetyki, powinienbym i list na tém zakończyć; bo słabszy koniec osłabia początek, a gdzież znaléźć treść równą jemu? *Quis est rex?* Ależ znowu prawidła ekonomii mówią, że mogąc za jedném *porto* posłać cały łót listu, szkoda na połowie poprzestać. A więc *computandis computandum*, biorę treść jakby z nad świata, i ciąg dalszy, jakby list nowy, zwracam całkiem do czcigodnego waszego proboszcza, którego najprzód z czcią należną pozdrawiam. Nie mogę ja wprawdzie zapomnieć, jak był niegdyś niesprawiedliwym dla mnie, zowiąc mię wilkiem na swoje „owieczki", kiedy ja chciałem tylko sam być jego barankiem. W dowód wszakże trwania téj chęci i usposobienia baranka, wolę pamiętać tylko na mą obietnicę, że mu coś o kościołach tutejszych i obrzędach kościelnych doniosę. Wiém ja, że lepiéj może i właściwiéj byłoby wstrzymać się z tém przynajmniéj do chwili, aż samego Papieża i celebrę jego obaczę. Ale panujący dziś Pius VIII tak jest ciągle

cierpiący i słaby, że nie można przewidzieć kiedy to nastąpi; a powtóre, wrażenie ówczesne tak może być sprzeczne z dzisiejszém, że je całkiem potłumi i zatrze; ja zaś dla samego historycznego ciągu moich wrażeń chcę i o niém wzmiankę zostawić.

Rzym nie na darmo jest stolicą Państwa Kościelnego; tylu co w nim i takich kościołów, nie ma w żadném mieście na świecie. One same złożyłyby miasto. O ich ogromie, wspaniałości, architekturze; o artystycznych ich skarbach i historycznych pomnikach, tomy już popisano i pisać się będzie. A wszakże co do głównego celu wszelkich świątyń, do obudzania w nich i przez nie uczuć żywéj, serdecznéj, duchowéj pobożności.... Nie posądzaj mię, Ojcze, o pochlebstwo, ani obwiniaj o bluźnierstwo, gdy powiém: że pod tymto właśnie względem, twój malutki, skromniutki, drewniany kościołek w Wojstomiu, może się mierzyć śmiało nawet z Watykanem. Mówiąc to, jużciż biorę miarę z siebie; a Bóg niech nie raczy pamiętać, jeśli nie same tylko niewidzialne lub malowane anioły, tak zbawiennie wpływały w nim na mnie. Ale gdy sobie przypomnę rozmaite uroczystości, jakich bywałem w nim świadkiem; gdy widzę, zda się, ten lud bogobojny zalegający krzyżem podłogę kościoła, a klęczący wkrąg na cmentarzu; gdy słyszę, zda się, jak tłocząc się za tobą w processyi na Boże Ciało, powtarza serdecznym chórem:

„Idzie, idzie Bóg prawdziwy,
Idzie Sędzia sprawiedliwy.“

tak, że człowiek ani spostrzeżesz, jak masz rękę na piersiach i myślisz: „Nie sądź mię, Panie, w surowości Twojéj!“ — Otóż gdy to wszystko przypomnę sobie i wyobrażę, znajdując się w kościołach rzymskich, mimowolnie przychodzą mi na myśl słowa Zbawiciela o *wielkich* i *maluczkich*, czém są na ziemi i w Królestwie Bożém. Sama ilość i wielkość tutejszych kościołów to sprawia, że wszystkie prawie wydają się puste, a zaś sama ich piękność i ciekawość przedmiotów sprawia to, że trzy czwarte obecnych przychodzą tylko aby je oglądać, a nie żeby się w nich modlić. I patrząc na te pary lub grona turystów, snujące się po bokach z lornetami w ręku, gdy się w środku nabożeństwo odprawia; słysząc głośne ich gwary lub śmiechy, które wtenczas chyba zamilkną, gdy się muzyka z chóru, albo śpiew artystyczny odezwie; nie dziw, że nie jeden z gorliwszych chrześcian poczuje się do herezyi Ikonoklastów, i radby wygnać z kościołów wszystkie sztuki piękne, byleby razem z niemi i tych ich amatorów wypędzić. A gorzéj jeszcze, że nie tylko ze strony gości, ale i samych gospodarzy, można w nich spotkać wiele takich rzeczy, które nam, nienawykłym do nich, zdają się być obrazą czci i świętości miejsca. Na usprawiedliwienie tego co tu mówię, opowiém wam parę faktów, których byłem naocznym świadkiem.

Raz w niedzielę, przechodząc koło jakiegoś kościoła, słyszę w nim jakieś osobliwsze krzyki. Wchodzę więc, aby widzieć co znaczą, i trafiam na tak zwaną „naukę religii“, odbywającą się po nieszporach.

We wszystkich trzech nawach kościelnych stoją kółka większych i mniejszych dzieci, samych chłopców, i słuchają stojącego w pośrodku młodego kleryka w komży. Słucham i ja wszystkich trzech po kolei, i zarówno jestem zgorszony oschłością i niedbałością wykładu nauczyciela, jak i nieprzyzwoitém zachowaniem się uczniów. Śmieją się, szturchają się, kłócą, a nauczyciel, jakby tego nie widział, ciągnie daléj, z widocznym pośpiechem, samo suche wyliczanie formułek katechizmowych, które każe powtarzać słuchaczom, bez dodania żadnych objaśnień lub nauk, bez namaszczenia, bez serca, bez ducha. Ale to wszystko nic jeszcze w porównaniu z przyczyną tych krzyków, które mię do kościoła ściągnęły. Przed najbliższym od wejścia ołtarzem, stoją naprzeciw siebie dwie wysokie ławki, a na tych ławkach po czterech wyrostków, od 12 — 14 lat wieku; a za nimi szeregiem inni, którzy ich po kolei zastępują na ławkach. Jest to tak zwana: *Disputa Christiana.* Jakiś jegomość w czerni, zapewne zakrystyan, stoi między ławkami z grubą xiążką w ręku i czyta z niéj temat dysputy, to jest po prostu pytania z katechizmu, które stojący na ławkach mają sobie zadawać nawzajem. Odpowiedzi już do nich samych należą. Rzecz z siebie mogłaby być i dobra; ależ sposób jéj wykonania! Pytający wrzeszczy tak strasznie, że choć uszy zatykaj; odpowiadający trzepie tak prędko, że słowa zrozumieć nie można. Wymawiając zaś ostatnie wyrazy, głos formalnie podnosi do krzyku, i zaraz sam takimże tonem zadaje następujące pytanie stojącemu naprzeciw siebie

koledze. Przytém znać po nich wszystkich, że uważają to raczéj za jakąś grę lub zabawę, a nie za poważną naukę, a tém bardziéj nie za święty obrządek. Nie mogąc pohamować mego oburzenia, zapytałem stojącego tuż przy mnie, dla czego oni tak wrzeszczą? „Taki zwyczaj!“—odpowiedział ścisnąwszy ramionami. Taki zwyczaj!!! A od czegóż jest zwierzchność i władza, jeśli nie ma prostować złych, a rozkrzewiać dobrych zwyczajów? Nasz biskup niezawodnie usunąłby proboszcza, coby raz w swoim kościele podobną komedyą wyprawił. Ale i kaznodzieja u nas wyszedłby nie lepiéj, gdyby go wzięła ochota naśladować kaznodziejów rzymskich—możeby wypadało raczéj powiedziéć w ogólności *włoskich*, tylko że ja w północnych i środkowych Włoszech nie widziałem nic podobnego jak w Rzymie. Co niedziela albowiem uczęszczam regularnie na kazania, i to coraz w innym kościele, aby się i z językiem osłuchać i powziąść wyobrażenie o mówcach. Otoż to wyobrażenie dotychczas spada coraz niżéj pod zero, w porównaniu z kazaniami naszemi: z duchowém namaszczeniem żarliwego zapału x. Jakóba Falkowskiego, albo z pełną godności i powagi dykcyą x. Ignacego Borowskiego. Tu treść sama zazwyczaj sucha i deklamacyjna, a brak istotnego zapału zastępuje się gorączkową jakąś mimiką gestów i niemniéj rażącą a ciągłą modulacyą głosu, od szeptu aż do wykrzyku. Do jakiego zaś stopnia ta metoda dochodzi niekiedy, opowiém wam pokrótce treść jednego kazania, które sam na własne uszy słyszałem. Było to w jednym z większych kościołów w środ-

ku miasta, niedaleko placu *Navone*. Przed kaplicą poboczną, oddzieloną od kościoła kratą żelazną, stał uszykowany półkolem we dwa rzędy oddział żołnierzy, do których z kaplicy przez kratę przemawiał kaznodzieja stojący na ziemi, i który się w ciągu mówienia z końca w koniec wzdłuż kraty przechadzał. Nie było to bowiem właściwe kazanie, ale rodzaj rekollekcyjnéj nauki; zawsze jednak możecie ją uważać za próbkę kaznodziejskiéj wymowy tutejszéj. Mówca z góry zapowiedział słuchaczom, że opowié im jedno zdarzenie, z którego pożytek dla siebie każdy z nich wyciągnąć powinien.—„*Era un soldato*“, to jest, był żołnierz, śmiały i waleczny na wojnie „*ma un birbante*“ etc., to jest, łotr, pijak, gbur, zawadyaka, nieposłuszny, krnąbrny, zuchwały. (To się mówi głosem grubym, podniesionym, z podnoszeniem rąk i zaciskaniem pięści). „A miał żonę poczciwą, bogobojną, pobożną, łagodniutką, cichutką, milutką“. (To się mówi głosem cichym, słodziutkim, ze składaniem rąk i kiwaniem głową.) W dalszym ciągu powieści, mówca przedstawił obrazowo, zmieniając ton i gesta, kilka scen domowego pożycia, w których *questo birbante* (ten łotr), poniewiera dobrocią *di questa pia donna* (téj pobożnéj niewiasty), która wszystko znosi cierpliwie i modli się za nawrócenie grzesznika. Jakoż razu jednego ów żołnierz, przechodząc mimo kościoła, widzi że jest otwarty i wchodzi, ażeby się pomodlić. Przy wszystkich bowiem swoich niecnotach, miał on wszakże tę jednę zaletę, że był nabożnym do N. Panny. Nad ołtarzem ujrzał Jéj obraz z dzieciąt-

[redacted]

kiem Jezusem na ręku; ukląkł więc i zaczął się modlić. Nagle słyszy głosy nad sobą. Podniósł wzrok... *e che vede?* (i co widzi?) Dziecina (*il bambino*) trzepoce się na ręku matki i woła, (głosem podniesionym i gniewnym): „Nie, nie, najmilsza matko! dłużéj czekać nie mogę. Grzechy tego człowieka dopełniły swéj miary. Jestem Bogiem sprawiedliwości; nie proś mię za nim więcéj, sprawiedliwość musi być domierzona“. —„Synu najmilszy!—odpowiada matka (głosem słodkim i błagającym): „pomnij żeś jest zarazem Bogiem miłosierdzia, i że miłosierdzie twoje bez granic. Nie chcesz śmierci grzesznika, ale aby się nawrócił i żył.“—„Ależ, najmilsza matko!—odpowiada Pan Jezus,—„ten człowiek o nawróceniu się nie myśli. Niema w nim ani skruchy, ani żalu.“—„Prawda, niestety, niema, ale ja ci ręczę, że będzie, jeśli mu czas do pokuty zostawisz.“—Pan Jezus wzbrania się jeszcze; ale się daje ubłagać nakoniec i mówi: „Matko najmilsza! wiész, że tobie nic odmówić nie mogę. Ale mi przyrzecz nawzajem, że jeśli on i teraz jeszcze się nie poprawi, nigdy już za nim wstawiać się nie będziesz.“— N. Panna przyrzeka, Pan Jezus się uspokaja, obraz znowu jest tylko obrazem.—„*Ma questo infelice?*“ (ale ten nieszczęśliwy?), zapytuje patetycznie kaznodzieja, i odpowiada cichym, przytłumionym głosem: „Struchlał, skamieniał, oczu nie śmie podnieść do góry, ale przypadł do ziemi i zaprzysięga poprawę“. Jakoż wrócił do żony, przeprosił ją, przejednał, poprawił się, i żyli już daléj szczęśliwie. Amen.

Nie wiém jakie wrażenie sprawiła na słuchaczach ta arcy poetyczna legenda. Ale co do mnie!!!.. Wprawdzie mówił mi jeden bardzo rozumny człowiek, że przez tego rodzaju nauki, sławny jakiś kaznodzieja w Neapolu wpłynął bardzo skutecznie na umoralnienie tamecznych lazzaronów. Winszuję. Ale co do mnie — spodziewam się, że nie jest grzechem, kiedy chcąc zmówić pacierz, albo słuchając mszy św., zamykam nieraz oczy, nawet w Watykanie, i marzę o kościołku w Wojstomiu.

Bo on to moich wspomnień bazyliką,
On świętych miejsc ideałem;
W nim się to z panną Zofią i Ludwiką
Przy bierzmowaniu poznałem.
I gdy żeglując po życia odmęcie,
Z masztów Nadziei wierzchołku,
Marzę o jakim drugim Sakramencie,
To zawsze w tymże kościołku.

A propos zaś tych wspomnień i marzeń, a razem i téj improwizacyi, przepiszę wam tu jeszcze ostatni mój wiersz na urząd, pisany z myślą o was i dla was, a do którego przedmowa jest taka:

Przed kilkunastu dniami, korzystając z pogody, poszliśmy z Adamem za miasto, za *Porta Pia*, gdzie kraj pusty, pagórkowaty, nieuprawny, przypomina okolice nasze, i gdzie zwłaszcza znaleźliśmy drogę, podobniuteńką do wiejskich dróg naszych, to jest z dwiema głębokiemi kolejami, ze ścieżką wydeptaną środkiem przez konia, i z dwóma zielonemi pasami murawy. Adamowi ta droga tak się podobała, że nie

[redacted]

tylko nie mógł się nią dosyć nacieszyć tą razą, ale już dwa razy potém proponował mi spacer w tę stronę, mówiąc: „Chodź! pójdziem na drogę litewską!“ — Otóż chodząc po niéj onegdaj, skleciłem właśnie ten wierszyk, który mam tu zaraz przepisać, pożegnawszy was najprzód prozą, to jest ciebie, drogi Ignacy, serdecznym braterskim uściskiem, a czcigodnego xiędza Proboszcza i damy, (licząc w to i małą twą Stasię), ucałowaniem ręki, rączek i rączątek. *Vale.*

Dumanie za Porta Pia.

Dziwne to ptaszę, to serce nasze!
Raz mu nie dosyć nieba przestrzeni,
To znów po chwili, tęskni i kwili
Do najcichszego gniazdka śród cieni.

Dawnoż me myśli, istne jaskółki,
Gdy już im u nas brak tchu i słońca,
Jak one w lotne wiążąc się półki,
Rwały się tylko w kraj-świat bez końca.

A otom dzisiaj, jak ptak w przelocie,
Gość w grodzie Romy, w świata stolicy,
Idę znów szukać ulgi w tęsknocie,
Gdzie?—w najsmutniejszéj tu okolicy.

Któréj najpiérwszą dla mnie ozdobą
Pustynna dzikość, samotność cicha,
Tam się znów jakoś czuję sam sobą,
Tam znów przeszłością dusza oddycha.

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,
Kraj przypomina obrazy Litwy:

Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy.

I tę myśl najprzód, ku swéj nauce,
Czerpię z pobytu między obcymi,
Że gdy do swoich da Bóg że wrócę,
Chcę już żyć tylko i umrzeć z nimi.

IV.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 23 grudnia 1829 r.

Jeśli się może gniewasz, że nie pisałem tak dawno, to radzę ci, daj temu pokój! bo ja nie tylko nie myślę przepraszać, ale owszem, jak Sozio w Amfitryonie Zabłockiego, który dziwił się sam męztwu swemu mówiąc:

„Prawda, że się boję,
Lecz kto inny ze strachu zdechłby—a ja żyję.“

tak i ja mógłbym w téj chwili dziwić się raczéj pracowitości własnéj, mówiąc także *à la Sozio:*

„Prawda, że próżnuję,
Lecz kto inny z znużenia spałby—a ja piszę.“

A więc zkąd to znużenie? zapytasz. Zkąd? A czy młyn, gdyby nie był z drzewa i kamienia, nie byłby w końcu znużony, mieląc wciąż to to, to owo, choćby nawet sam wiatr lub plewy? Czy kołowrotek, gdyby miał głos i gardziel, nie musiałby ochrypnąć, frucząc bez ustanku? Czy wół lub osieł po zejściu z deptaku nie kładzie się wnet aby odpocząć? Otóż głowa moja, to młyn, (dajmy nawet że wietrzny!); język mój, to kołowrotek, (ma się rozumieć pod ręką i u stóp płci pięknéj); a stopy moje przez dzień cały udepcą pewno

więcéj, niż ten wół lub osieł. A przyczyna tego wszystkiego? Sława!!! I gdybyż przynajmniéj własna— ale cudza! W pamiętnikach Byrona czytałem, że bawiąc całą jednę zimę w Londynie, po powrócie z Grecyi i po wydaniu dwóch piérwszych pieśni *Childe-Harolda*, nic innego nie robił, jak wybierał się, ubierał się, i przebierał się tylko, na wizyty, obiady i bale, i chyba zasypiając lub budząc się niekiedy, miał czas sklecić jaki komplement lub deklaracyą damom, które go tak rozrywały. Towarzyszący mu wtedy nieodstępnie autor *Lalla-Rooki*, odegrywałby kubek w kubek dzisiejszą rolę moję tutaj, gdyby téż sam przez siebie nie miał praw równych do tychże samych owacyj i względów tego świata. Mnie brak tych praw zastępuje brak pretensyi do nich; i przeto śmiało i bez skrupułu ruszam wszędzie z Adamem na obiady, wieczory i rauty, (bo balów w adwencie tu nie ma), na któreby mnie może nie proszono bez niego. Przykro mi tylko niekiedy, że idąc tu lub ówdzie, gdzie nas officyalnie zaproszą, nie ma czasu pójść tam bez proszenia, gdzie serce ciągnie a za przyjście zawsze dziękują. Adam niecierpliwi się tém jeszcze bardziéj, i to z tego samiutkiego powodu. Bo obu nas jedna i ta sama *droga laski* (*Via Mercède*) prowadzi do tego samego punktu, gdzie ja przynajmniéj czuję się jak w raju.

Bo na niczém tam nie braknie,
Czego myśl i serce łaknie.
Drzwi ci na oścież otwiera,
Gościnność uprzejma, szczera.

W progu zaraz cię spotka
Życzliwość miła i słodka;
Wyjdź bodaj, [illegible]
[illegible] albo [illegible]
A jak od blasku jutrzenek,
Od lic i oczu panienek,
Chmurny się nawet [illegible],
Humor wnet barwi różowa.
I czegóż więcej potrzeba
Do raju—nie mówię nieba?

Tém bardziéj że jest w nim i Adam i Ewa, (drugie imię panny Henryetty), a nawet bodaj, bodaj?...

Czy ty wiész tę zagadkę:

Trzy laseczki w jednéj linie,
Czwarta po nich z kropką idzie, i t. d.

a w któréj przed końcem *wije się wąż misterny*, a na końcu *świeci miesiąc niezupełny*? Otóż bodaj, bodaj, czy dla uzupełnienia podobieństwa raju, nie wśliźnie się do niego i ów gość *misterny*, ze słowem właśnie téj zagadki, jak z jabłkiem! A że nie na mnie pewno będzie ostrzył zęby, więc téż i nie o siebie się boję. Dotąd wszakże jestto tylko mój domysł, i dla tego mówię ci o nim zagadkowo tylko, i pod sekretem. Ale nie uwierzysz jak Adam od niejakiego czasu jest słodki, miły, rozpromieniony, poetyczny!! a jak łaskaw i czuły dla mnie! jak mię często całuje i głądzi—nie wiém za co! Wyraźne wezbranie serca! Albo może chyba dla tego, że widzi, jak sama pani domu jest na mnie łaskawa, albo jak z panienkami jestem w harmonii braterskiéj. Bo on sam, choć z niemi

zwykle wesoło i żartobliwie rozmawia, do poufałości się jednak nie zbliża. To téż obie panienki mówią mi, że się go boją; a nawet sama pani domu, pomimo całéj swojéj szczególnéj otwartości, nie jest z nim tak jak z drugimi, i tylko za pośrednictwem mojém zrzuca czasem z serca sekreta, które jéj ciężą widocznie, a których przed nim samym wprost wyjawić nie śmie. I tak np. wiém od niéj, że panna Henryetta, spodziewając się poznać Adama, wyobrażała go sobie podobnym do Mojżesza, (posągu Michała-Anioła), a chodzącym w długim surducie, jak jaki pastor albo lord angielski. Teraz zaś upatruje w nim podobieństwo do profilu Antinousa. Wiém także, że obie panienki, w skutek zapewne dysput i przekomarzań się Adama, przedsięwzięły nowennę na intencyą nawrócenia jego i odmawiają ją codzień rano i wieczorem. Ostatnia ta wiadomość została mi udzieloną pod największym sekretem, i nawet pod słowem honoru, że się z nią przed panienkami nie zdradzę. O Adamie mowy nie było. On zaś, gdy mu to powiedziałem, przyjął ten dowód życzliwości wcale nie tak, jak je niekiedy przyjmuje od innych, to jest, kiedy się częściéj niemi niecierpliwi niż wzrusza. I tak np. niedawno, na niedzielném zebraniu u xiężny Zeneidy, był on nieco zakatarzony i ochrypł. Natychmiast wszystkie damy—a było ich kilkanaście—zaczęły jedna przed drugą doradzać mu różne lekarstwa. Widziałem, że go to już nudziło okropnie. Ale gdy w końcu przy herbacie sama pani Własow przyniosła mu całą szklankę ubitych przez siebie żółtek, zaczął

formalnie kaprysić jak rozpieszczone dziecko, które nie chce przyjąć lekarstwa, twierdząc, że go znosić nie może. Ja więc tedy, wychodząc w roli *grzeczniejszego braciszka*, żeby się praca dobréj pani Własow nie zmarnowała przecież napróżno, domieszałem do tego romu, i przyrządziłem sobie pyszny *hogel-mogel*. Nazajutrz zaś, jeszcześmy spali, słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od xiężny Dietrichstein, oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był do Adama, a w koszu cztery słoje — nie słoiki — konfitur. Ledwie ten odszedł — stuk, stuk znowu; i wchodzi drugi lokaj od xiężny Galicyn, także z dwóma słoikami konfitur i z tyluż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacyenta. Nie upłynęło godziny, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin, z pudłem cukierków i paczką *skórki pomarańczowéj*, a także z bilecikiem od panny Anastazyi (o któréj niżéj), a która w nim, z ujmującym dowcipem i wdziękiem, igra jak Leda z łabędziem — przyrównywając do niego poetę i grożąc mu pieśnią ostatnią, którą kraj i przyjaciół zasmuci, jeśli sam głosu swego szanować i leczyć nie będzie. Na żaden z tych bilecików Adam nie tylko nic nie odpisał, ale owszem, za całą wdzięczność, zły był tylko, że będzie musiał iść z podziękowaniem. Ja zaś śmiałem się w duchu, że nie mając potrzeby dziękować, najwięcéj wszakże z tych łakoci skorzystam; bo on, jak komplementowych *duserów*, tak i cukierków i konfitur nie lubi. Ale coto jednak za

szczęście ta życzliwość ludzka! To dopiéro prawdziwy kwiat sławy—ma się rozumieć poetyckiéj; bo dziękuję za bohaterską, którą głoszą gazety i wąsale, a płeć piękna najczęściéj płacze tylko na nią! A proszęż téj płci pięknéj nie kochać, kiedy ona razem tak dobra! I nie czekałem ja wcale na te konfitury i cukry, aby to zdanie sformułować w sobie. Kilka dni temu, rozprawiając szeroko z panną Anastazyą o miłości ogólnéj ludzkości, skleciłem sobie potém następujący *jamb*, który, co się mnie tyczy, jest istotną prawdą:

Kiedym wchodził w świat,
Kto żyw, był mi brat;
I dla wszystkich ogółem,
Braterską miłość czułem.

Lecz skutkiem różnych zmian,
Zmienił się ten mój stan.

Wprawdzie czuję, jakem czuł,
Tenże sam jéj zasób:
Tylko że dla braci w pół,
Dla sióstr—we dwójnasób...

Otóż do grona tych miłych i najmilszych siostrzyczek, przybyła nam niedawno nowa, właśnie owa wspomniana wyżéj panna Anastazya Klustin, o któréj trzeba i warto powiedzieć nieco obszerniéj. Wystąpiła tu ona na naszę scenę rychtyk jak Achilles w Iliadzie, który choć długo nie wychodzi z namiotu, jest w niéj ciągle, przez samę swoję nieobecność, obecny. Tak było i z panną Anastazyą, w kółku, w którém tu zwykle żyjemy. Była ona cierpiącą, kiedyśmy przyjechali; ale zaraz piérwszego dnia razy z dziesięć sły-

szliśmy z ust xiężny Zeneidy i jéj siostry: „*Ah! quel dommage, qu' Anastasie n'est pas avec nous!*" i że nie może poznać zaraz Adama. Przy piérwszéj téż wizycie u państwa Ankwiczów, i sama pani i panienki pytały mię i dziwiły się, że dotąd jeszcze nie znamy panny Klustin. Szewirew mówi o niéj z entuzyazmem, jako o znawczyni poezyi; Strzelecki z podziwieniem, o jéj archeologicznych wiadomościach; pan Ricci unosi się nad jéj muzyką; Brułow zasięga jéj rady co do planów przyszłych swoich obrazów; o starym zaś Thorwaldsenie powiadają, że jest w niéj formalnie zakochany, równie jak jakiś osiemdziesięcioletni filozof genewski, *Bonstetten*, który umyślnie dla niéj przyjechał do Rzymu. O tém wszystkiém słyszeliśmy ciągle. A więc któż jest ta wróżka? ta Muza, dziewięć razy jedna? ta jakaś nowa Saffo czy Korynna? — któréj właśni ziomkowie nadają właśnie to imię „Korynny z nad Donu" (*Corinne du Tanaïs*), gdyż jest obywatelką gubernii Tambowskiéj. Jestto córka możnéj rodziny, z matką wdową, od lat kilku podróżująca po całéj Europie, a tak rozmiłowana w naukach i sztukach pięknych, a nadewszystko w mistrzach ich, ludziach sławnych, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie, kochają się w niéj lub admirują ją tak dalece, że nie ma prawie na lądzie Europy sławnego poety, uczonego, albo artysty, któryby nie był jéj korrespondentem. Otóż ta panna Anastazya, jak nam powiadano, pałała gorączkową chęcią poznania Adama, o którym już tyle słyszała. Co do mnie, możesz być pewny, że

pomimo tych wszystkich jéj uczonych zalet, nie zaniedbałem zapytać: czy ładna? A kiedy mię i o tém jeszcze zapewniono, nie dziw się, że mi serce zapukało mocniéj, gdy nakoniec przed kilku dniami wyczytałem w bileciku xiężny do Adama: „*Venez dîner aujourd'hui chez moi: Anastasie sera des nôtres*". Adam udawał obojętność; zauważyłem jednak, że ubierając się zawiązywał chustkę przed lustrem i musztrował po wielekroć kołnierzyk, aby równo wystawał z obu stron. Ja nie mogłem się pozbyć obawy, że „pończoszeczka błękitna" (*bas bleu*) musi u niéj z pod koturna wyglądać. Tymczasem wcale przeciwnie. Tak jest pełna naturalności i wdzięku, jakby zgoła, (jak niegdyś wielcy rycerze), nie miała do czynienia z xiążkami. To téż prawda, że o samych xiążkach albo obrazach nigdy prawie nie mówi, a idzie jéj przedewszystkiém o źródło wszystkich sztuk i xiążek— o myśl i ducha ludzkiego. To jest główny przedmiot jéj rozmów, a ten już tak się widać z naturą jéj umysłu zespolił, że nie psuje bynajmniéj uroku prostoty i naturalności panieńskiéj. Sława zaś, jak mi się zdaje, musi działać na nią podobnie, jak na mnie np. piękność. Każdy nowy sławny przyjaciel, tak musi ją podnosić i uszczęśliwiać w oczach własnych, jak elegantkę nowy strój lub klejnot, albo jak mnie znowu np. nowa ładna przyjaciółeczka. Szkoda tylko, że ja do takich przyjaciółeczek nie mam snać tyle szczęścia, co ona do sławnych przyjaciół; chociaż i ona, jak widzę, nie jest w wyborze wybredniejszą odemnie. Nie szuka samych tylko róż albo lilij, ale i fijołkiem nie

gardzi. Ledwośmy bowiem weszli do salonu i gdy się piérwsze przedstawienie odbyło, z nieśmiałością zdaleka powitawszy Adama, zaraz do mnie odezwała się uprzejmie, że już mnie zna przez panią Własow. A wiedzieć trzeba, że — nie chwaląc się — mam szczęście być w łaskach u téj pani, tak, że jak wiém pod sekretem od xiężny, zaczęła pisać nową powieść, któréj bohater nie tylko ma moje imię, ale nawet z opisu ma być do mnie podobny. Okazuję więc moję wdzięczność autorce, nie mówiąc za co; a to powiedzenie panny Anastazyi obowiązuje mię jeszcze do nowéj, bo się stało piérwszém ogniwem miłéj od razu i ożywionéj rozmowy, która téż, o ile wnosić mogę, stanowi piérwszy zasiew życzliwości wzajemnéj. Lecz i to w większéj części trzeba odnieść na *conto* Adama, z którym sama z początku, i przez cały czas siedzenia obok niego u stołu, była bardzo nieśmiała i jakby zmieszana, on zaś niezmiernie poważny i zimny. Ale czarowny wpływ białego pieca, przy którym po obiedzie podawano kawę i cygara, tak wkrótce obie strony rozcieplił: że nim przyszła kolej herbaty, (bośmy cały wieczór bawili), panna Anastazya była już w uniesieniu extazy, a Adam w pełni dobrego humoru. I gdybyśmy nie piérwiéj poznali pannę Henryettę; i gdybyśmy nie piérwiéj jéj muzykę słyszeli: to Bóg wié, coby być mogło. Dość, że Adam, pomimo uzbrojenia się swego *à priori*, jest także pod urokiem téj nowéj Armidy; ku czemu przyczyniło się nie mało, że mu nie powiedziała ani pół słówka komplementu, o poezyi ani wspomniała; a tylko *dans toute sa manière d'être*

dawała odgadnąć wrażenie, jakie na niéj jego znajomość i rozmowa czyniły. Jeżeli to jest sztuka—to arcydzieło; jeżeli zaś, jak sądzę, istotny objaw nastroju jéj duszy: to w tém jest i rozwiązanie zagadki, przez co ona umié tak pociągnąć i ująć. Sztuka sama, nawet przy pomocy piękności, nie długo starczyłaby na to. A piękność u niéj jest na drugim planie. Nie jest to piękność rysów, ale tylko ogólnego wyrazu twarzy, podobnie jak u panny Henryetty. A wyraz ten, rozumny i myślący, jest razem dziwnie naiwnym, zwłaszcza kiedy słucha mówiących. Jest w tém coś nakształt ciekawości dziecka. A przytém owal twarzy kształtny; płeć delikatna i biała: chociaż jak u „Pani Jeziora“, *slightly tinged with brown*, to jest smagława; czoło otwarte, a oczy, chociaż pałające i czarne, mają wszakże ten przymiot błękitnych, że zamiast wbijać się w drugich i przenikać jak ćwieki, łagodnym tylko blaskiem wabią same ku sobie. Największym zaś jéj powabem i wdziękiem jest postać, wysoka, lekka, powiewna, i o tyle podobna do palmy, o ile palmy, podług słów Tomasza Moora, podobne są do kształtnych dziewic:

„*when sleep descending,*
Warns them to their silken beds.“
(gdy snem rozmarzone,
Chwiejąc się, idą na łoża jedwabne).

Ale zmiłuj się, nie myśl żem zakochany w pannie Anastazyi, że tak długo piszę ci o niéj. Chcę tylko abyś mógł ją sobie wyobrazić, gdy o niéj znów kiedy wspomnę, co się często zapewne przydarzy. Bo od

swego pierwszego poznania [illegible] to jest jéj matki, jest jedną z [illegible] punktów naszego tu pobytu. Tak nas w [illegible] i serdecznie przyjmują. Zaraz [illegible] nam na obiedzie, z całem gronem księżny Zeneidy, a muzyka i śpiewy zatrzymały nas aż do północy. Panna Anastazya gra jak artystka, całe sonaty Beethovena na pamięć. Adam stał ciągle przy grającej, — dzięki Bogu, powtarzam, żeśmy wprzód pannę Henryettę poznali! Sama pani, hrabianka Tołstoj z domu, skromna i cicha, żyje dla córki tylko i przez córkę; choć i jéj samej nie brak wcale nauki i niepospolitego rozumu, który się w sądzie o rzeczach objawia; tylko że się z nim popisywać nie lubi; i co w niéj najwydatniéj uderza, to ujmująca dobroć i słodycz charakteru. W ogólności nie masz wyobrażenia, jak [illegible] jak te córki [illegible] z wyższych sfer towarzyskich, któreśmy u xiężny Zeneidy poznali, są także wykształcone wysoko; i to nie tylko umysłowo i [illegible], ale i religijnie duchowo. Prawda, że wszystkie prawie są już jakby przez pół, jeśli nie całkiem Rzymiankami, to jest, albo oddawna przebywają w Rzymie, albo w nim na zawsze osiadły. Pomiędzy temi ostatniemi piérwsze miejsce zajmuje xiężna Dietrichstein, z domu xiężniczka Szuwałow, o któréj już wyżéj wspominałem. Jestto już bardzo sędziwa matrona, ale pełna jeszcze życia i wdzięku w rozmowie, a całkiem pobożności i miłosiernym uczynkom oddana. Ma np. przy sobie bardzo znakomitego lekarza, pana *Pasquini*, którego drogo opłaca, ale którego obowiązkiem nie jest

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jedném słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. xięgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę nie tylko literaturze, ale i całéj społeczności naszéj. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma téż i tajemnicze źródło jego siły, któréj żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą, chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż biéda, że nie we wszystkich jest ono w jedném i tém samém: ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa biéda jest w tém, że ludzie, a może i narody, nie znając zwykle *se ipsos* (samych siebie), źródła tego sami w sobie nie widzą, a zapatrując się na drugich, szukają go i myślą znaleźć w tém raczéj, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi, nie zaś w tém, przez coby sami osiągnąć ją mogli. Człowiek, znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, to mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, to prorok. Izrael nie był mędrcem w ogólności; wybujał w pychę, i oślepł do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataraktę zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biédę, na którą zasłużył; i trzeba było łez wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przej-

któréj nie przybiera ze swymi. A nie jest ona i tutaj przybrana; tylko że sama przez siebie, z rozumnego poczucia stanowiska swego wynika. Nie usuwa to wszakże zupełnie chwilowych czasem nadymań się lub fochów zepsutego dziecka; ale to tylko wtedy, kiedy mu zbytnią grzecznością lub troskliwością dokuczą. Jest więc widać w ludziach jakaś tajemnicza potęga, któréj ani okiem nie dójrzysz, ani rozumem ściśle nie okréślisz, ale którą czujesz wyraźnie, i albo się jéj z miłością poddajesz, albo uciekasz od niéj z obawą lub wstrętem. Co to jest? Bóg wié jeden; a może chyba magnetyzm lepiéj to kiedyś rozjaśni. A możnaby to, jak mi się zdaje, zastosować także mniéj więcéj i do rzeczy pisanych. Czytasz np. czyjś list albo xiążkę (a cóż dopiéro wiersze), bardzo dobrze i gładko napisane, a przyjmujesz je tylko jak papiér litery. Czytasz drugie, mniéj zgrabne, a od razu ci idą do serca. W kim np. najmędrszy traktat religijno-moralny, obudzi taką żarliwość lub skruchę, jak czasem jeden rozdział Tomasza à Kempis? A czemu to tak? Nie wiém coby odpowiedział filozof; ale ja „mały żaczek, jako robaczek“, tłómaczę to sobie przez ową piosnkę o koniu Kiejstuta, która, jak wiész, powiada:

„Bo moc, co ramię na cięcie wytęża,
„Przechodzi i do oręża;
„Bo serce jeźdźca na wojennėm błoniu,
„Po połowie bije w koniu.“

A więc czyżby nie można powiedzieć, że:

Uczucie, którém myśl i serce gorą,
W piszącym przechodzi w pióro,..

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jedném słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. xięgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę nie tylko literaturze, ale i całéj społeczności naszéj. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma téż i tajemnicze źródło jego siły, któréj żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą, chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż biéda, że nie we wszystkich jest ono w jedném i tém samém: ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa biéda jest w tém, że ludzie, a może i narody, nie znając zwykle *se ipsos* (samych siebie), źródła tego sami w sobie nie widzą, a zapatrując się na drugich, szukają go i myślą znaleźć w tém raczéj, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi, nie zaś w tém, przez coby sami osiągnąć ją mogli. Człowiek, znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, to mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, to prorok. Izrael nie był mędrcem w ogólności; wybujał w pychę, i oślepł do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataraktę zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biédę, na którą zasłużył; i trzeba było łez wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przej-

rzał najjaśniéj. Nie nienawidził on Chaldejczyków, ale miłował tylko Pana Boga swego, ze wszystkich sił serca i duszy swojéj. Wzór w nim téj miłości i wiary, owych jedynych źródeł wszelkich dawnych cnót i sił Izraela, zatarł niejako pamięć płochości i pychy, owych źródeł wszystkich win i grzechów jego plemienia, a wzbudziwszy ku prorokowi cześć i miłość w sercu Cyrusa, uczynił go dla całego Izraela narzędziem miłosierdzia Bożego, jak poprzednicy jego byli narzędziami kary Bożéj. To byłaby treść duchowa tego poematu czy dramatu o Danielu, do napisania którego chciałem nakłonić Adama. Ale myśl jego w tych czasach zajęta jest innym przedmiotem. Jest zaś nim ni mniéj ni więcéj jak tragedya: *Prometeusz*. Adam myślał już nad nim, jak mówi, oddawna; ale przy dzisiejszym nastroju i poetyczném usposobieniu swojém, o którém wzmiankowałem już wyżéj, wziął to znowu żywiéj do serca, a oto z jakiego powodu. Ja pożyczyłem dla siebie od Szewirewa dzieło Brumoy „O teatrze greckim“, które i Adam od niechcenia przeglądał, zajęty ciągle jeszcze czytaniem Liwiusza. To jednak przypomniało mu widać Prometeusza; bo kupił sobie Eschylesa po grecku; i gdy raz powróciłem z teatru, na który on iść nie chciał, zastałem go siedzącego z podkurczonemi nogami na kanapie i kiwającego się jak rabin nad tą xiążeczką, rozłożoną na stole, któréj właściwie nie czytał, ale snać tylko medytował nad nią, i ustawicznie do niéj zaglądał. Wyraz jego twarzy przypomniał mi ową pamiętną chwilę w Wilnie,

o któréj ci tyle razy mówiłem, a od któréj się nasz bliższy stosunek zaczyna: kiedy przyszedłszy raz w wieczór, znalazłem go siedzącego z fajką przed piecem, a blask z pieca padając mu na twarz, nadawał jéj jakiś urok nadziemski. Pisał on wtedy właśnie, jak wiész, czwartą część *Dziadów,* o któréj dowiedziałem się wtenczas po raz piérwszy. Otóż przypomniałem mu ową chwilę, a on mi zaczął mowić o Prometeuszu, i nakoniec tłómaczyć, a raczéj deklamować z zapałem, *à livre ouvert* z greckiego, scenę jego z Merkuryuszem, przysłanym doń przez Zeusa, który już go był przykuł do skały, ażeby wymódz na nim wyznanie tajemnicy, od któréj miało zależeć utrwalenie potęgi Zeusa, albo wyzucie go z niéj przez jednego z potomków, jak on sam wyzuł ojca swojego Kronosa, czyli Saturna. A cóż to za przecudowna scena! co za moc! co za prostota! co za prawda! Groźby Merkuryusza grzmią jak gromy Zeusa; ale w słowach skutego Tytana, tchnie pycha wyższa nad potęgę bogów. Gotów on jest uczynić zadość ich woli; lecz niech Zeus piérwiéj rozkuje go z kajdan. Inaczéj, on sam wyzywa dalszą jego zemstę; on sam kréśli obrazy dalszych swoich męczarni; ale urąga z nich i z potęgi wroga; bo wié, czuje i woła nakoniec: „Zabić nie zdoła on mnie!“—Chór, który z razu namawia go do uległości, wzruszony tą jego odwagą, sam staje przy nim i trwa aż do końca: chociaż już całe niebo grzmi i gore ogniem piorunów; choć cała ziemia wstrząsa się i pęka, i on sam, wraz ze swą skałą, zapada się w przepaść. Nie znam żadnéj sceny w Szekspirze, a cóż

dopiéro w innym jakim tragiku nowszym, coby z tą najdawniejszą porównać się mogła. Adam tak był wzruszony, że twarz i usta mu drgały, a łzy świeciły się w oczach, gdy nie już siedząc, ale zerwawszy się z kanapy i fajkę na stół rzuciwszy, kończył czytanie przy lampie, któréj światło padało na niego. Skończywszy, zaczął mi opowiadać główny zarys swojego planu. Nie będzie to ani tłómaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego; ale tylko daleka parafraza jego idei, zastosowana do chrześciańskich pojęć duchowych. W treści zaś, jestto odwieczna historya ducha ludzkiego, nie bez dobréj woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę, w zapasach z potęgami wyższemi, a raczéj silniejszemi tylko od niego, których on ani uznać, ani im uledz nie chce, i nie może. To téż zbawcą i oswobodzicielem Prometeusza jest u Adama nie kto inny, jak Chrystus, syn Boga prawdziwego, który sam jest Duchem — najwyższym, najpotężniejszym, ale zarazem i najlepszym; źródłem Prawdy i Miłości, w których tylko jest pokój, swoboda i szczęście, o które Prometeusz walczył z fałszywemi bogami, ale które z rąk prawdziwego ze czcią i wdzięcznością przyjmuje [1]).

Taka ma być główna treść tego dramatu; daj Boże tylko, aby go autor mógł rzeczywiście przyprowa-

[1]) Przekonany jestem najmocniéj, że scena *Improwizacyi* jest zabytkiem i odbiciem głównej treści tego dramatu, który głęboko tkwił w duszy autora, ale nigdy napisanym nie został. *(P. A.)*

dzić do skutku, to jest, aby ten wir dwóch światów: staro i nowo-rzymskiego, który go tutaj w kolėj porywa i kręci, zostawił mu dość czasu do przelania myśli na słowa, jak szkła na paciórki, i do ponizania ich w wiersze. Bo chociaż widzisz z tego, że — jak powiada Göthe w jednéj ze swoich elegij rzymskich:

Es wird doch nicht immer geküsst, es wird auch vernünftig gesprochen;

to jest, że nie tylko się ciągle bawimy, ale się téż przecież coś czyta, i nie myśli się tylko o panienkach; zawsze jednak jestto zbyt wielka pokusa, aby się jéj oprzeć na długo. A tymczasem dzień za dniem upływa; i kiedy człowiek codzień przed zaśnięciem przypomni sobie co wczoraj zamierzał na dzisiaj, a co dziś znowu odkłada na jutro, to czasem aż rozpacz ogarnia. Ale darmo! są pewne okoliczności i względy towarzyskie, które zmniejszają winę tego literackiego *farniente*, przez to, że same pochłaniają czas cały. Dam ci tu np. dla ciekawości dziennik, a raczéj godzinnik, trzech dni poprzednich, i program trzech następujących, a z tego sądź sam, czy nasza wina, że na właściwą robotę chwilki jednéj nie było, i prawdopodobnie nie będzie. *Dnia 20, Niedziela.* Dobrze, że rano poszedłem do kościoła; bo ledwo powróciłem około 11, mając właśnie pisać do ciebie, kiedy wszedł nasz kochany, poczciwy Allan, który nas zawsze parę razy w tydzień odwiedza. Tuż za nim x. Parczewski, wracający z kościoła; tuż za nim xiążę Radziwiłł; tuż za nim p. Władysław Zamojski; tuż za nim Strzelecki

z elewem; tuż za nimi pp. Rembowski i Olszewski, (znajomości z domu państwa Ankwiczów), nakoniec zacny i szanowny przyjaciel nasz Stattler, i kolega mój i sąsiad wiejski, Juljan Karczewski, malarz;— słowem *raut!* A tu trzeba już na godzinę piérwszą być ubranym i iść na śniadanie do xięcia Gagaryna. Szczęściem, że xiążę R. i p. Wł. Z., byli także proszeni, a więc wczas dali hasło do wyjścia. Śniadanie to, a właściwie obiad (*déjeuner dinatoire*), było ku czci i ugoszczeniu nowego francuzkiego posła, hrabiego *de la Ferronnaye*, który tu od niedawna miejsce Chateaubrianda zastąpił. Ma to być święty człowiek z pobożności i cnót chrześciańskich. To téż oprócz kolegów-posłów: austryackiego, hr. Lutzow, hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador, i innych, których nie pamiętam, były aż trzy *Eminencye*, kardynałowie: *Pacca*, *Albani* i *Odescalchi*. Ten ostatni jest tu także *en odeur de sainteté* w opinii publicznéj, i przepowiadają powszechnie, że kiedyś dostąpi tyary. On sam wszakże nie tylko że do tego nie wzdycha, ale owszem, jak powiadają, chce się wyrzec kardynalskiéj purpury, a przywdziać prosty habit zakonnego mnicha. W istocie, z jego twarzy tchnie taka pokora i skromność, że Adam patrząc na niego, przypomniał o św. Stanisławie Kostce, tém bardziéj, że xiążę Odescalchi, chociaż starszy wiekiem od niego, jest przecież najmłodszym ze wszystkich tegoczesnych kardynałów. Że zaś hr. de la Ferronnaye był przedtém posłem w Petersburgu, a kiedyś, jako emigrant, przez długi czas mieszkał w Polsce, w Tulczynie: reszta

przeto towarzystwa składała się z samych Rossyan i Polaków, między którymi był hrabia Alfred Potocki, i słyszałem, jak p. de la Ferronnaye wynurzał przed nim wdzięczność swoję dla rodziny Potockich. Inni téż goście byli mu przedstawiani przez gospodarza domu, ale się to pospolicie na niemych ukłonach kończyło. Kiedy jednak xiążę Gagaryn, przedstawiając z kolei Adama, wymówił z wyraźnym naciskiem: *célèbre poëte polonais*, jubilat odezwał się do niego, że znał dawnych sławnych poetów polskich: Trembeckiego, i—i... Nie mógł przypomnieć nazwiska. Adam poddał mu imię Bończy Tomaszewskiego, i on to z grzecznym ukłonem potwierdził. — Śniadanie trwało do godziny piątéj; a że trzeba było koniecznie być dziś jeszcze na wieczorze u xiężny Zeneidy, a przedtém niemniéj koniecznie chciało się choć zajrzeć na *Via Mercède*: wyszliśmy więc jedni z najpiérwszych, chociaż z powodu ulewnego deszczu, musieliśmy stać na dole jakie z pół godziny, nim szczęściem nadjechał dorożkarz, który nas zawiózł do celu. Deszcz ten ciągły służył nam za exkuzę, żeśmy się już do xiężny na herbatę spóźnili; za toż ledwo o drugiéj wróciliśmy do domu.— Tak przeszła niedziela; a teraz masz *Poniedziałek*. Zaledwo zdążyliśmy się ubrać, zajechali po nas, wedle umowy, państwo Ankwiczowie z panienkami, i pojechaliśmy razem do Watykanu. Karetę mają tak obszerną, (spacerowe *lando*), że sześć osób mieści się wygodnie. Oglądaliśmy najprzód muzeum, a potém *Loże* i *Izby* (*loggie e stanze*) Rafaela. Ale żeśmy to wszystko nie piérwszy raz już widzieli, a z panienka-

mi byliśmy tam raz piérwszy: więc nie dziw, że téż panienki brały przedewszystkiém piérwszeństwo. A wreszcie, mój kochany! co ty chcesz, żebym ja tobie mówił o Watykanie? który sam jest jakby stolicą królowéj wszystkich stolic tego świata—Romy; który oprócz najpiękniejszych i najsławniejszych w świecie muzeów, galeryj, biblioteki, i tylu a tylu różnych arcy-dziwów sztuki, mieści w sobie ni mniéj ni więcéj jak 13,000 sal i pokojów, rozmaitéj wielkości; 20 dziedzińców, 208 wschodów; a co do krużganków, ganków, kurytarzy!!! Aj, mój kochany! Na samę myśl, żebym kiedyś musiał pisać o tém, w głowie mi się jak w garnku przewraca! Dziś zaś właściwie to ci chcę tylko powiedzieć, że bawiliśmy tam aż do obiadu; że na obiad pojechaliśmy razem do państwa Ankwiczów, i że wnet po obiedzie musieliśmy wracać do domu, ażeby się przebrać na wieczór do xięztwa Sanguszków. Towarzystwo świetne i miłe; osób ze 30, sami Polacy; a między nimi i nasze panienki, ma się rozumieć z rodzicami, którzy nas, także około godziny drugiéj, w powozie swoim do domu nakoniec odwieźli.

Wtorek, 22 grudnia. Raniutko liścik od xiężny Zeneidy, że korzystając z pogody chce nas zawieźć do *Villa Pamphili*, a potém do galeryi *Borghèse*, a potém na obiad do siebie, po którym razem mamy jechać na herbatę do xiężny Dietrichstein, na którą nas zaprosiła w niedzielę. Stało się wszystko podług tego programu, i znowu wróciliśmy po piérwszéj. Zważ więc, czy nie mieliśmy prawa spać dzisiaj prawie do południa. A oto za godzinę, o piątéj, musimy iść na

obiad do xięcia Radziwiłła w hotelu, a ztamtąd do Strzeleckiego na herbatę, i na *faraona* lub *kixa;*— bo się bawimy także niekiedy i w tę szlachetną rozrywkę, poniterując po bajoku do banku, w którym jest parę skudów rozmienionych na drobne. Adam wszakże lubi najlepiéj kixa, który mu przypomina nasze niegdyś partye wileńskie, z *berżerką* i ze starą panią Kowalską (matką), która się z nim do upadłego kłóciła, że kręcił, choć graliśmy tylko na boby. Tu gramy niby na bajoki, (na krédkę), i zwykle tak wesoło, że się wszyscy naśmiejemy do woli, najczęściéj z kosterskich figlów Adama, który ma w nich szczególne upodobanie.

Masz więc tedy przeszłość i teraźniejszość; a teraz spójrzyj na trzydniową przyszłość, którą składają święta Bożego Narodzenia. Jutro, jako w dzień imienin Adama, solenizant powiada, że chce rano uciekać z domu od powinszowań i wizyt, i że jest zaproszony na kawę do xiężny. Pójdę więc i ja w *podwódce* — ma się rozumieć najprzód do kościoła. Potém grzeczność i zwyczaj każą pójść przecież łamać opłatek ze swoimi, i podziękować między innemi państwu Potockim za inwitacyą na wigilią jutrzejszą, z któréj nie możemy korzystać dla tego, żęśmy już przedtém zamówieni na *Via Mercède*, gdzie także jest vice-solenizantka, drugo-imienna Ewunia. A mamy téż i pierwszorzędną w osobie pani Eweliny Dernałowiczowéj, którą ja zwłaszcza, najczęściéj jak mogę odwiedzam. A dzieje się to nie tylko ze względów światowych, ale téż w części, nie

chwaląc się, *et per charitatem*. Zdrowie jéj coraz gorsze; tęsknota coraz większa; a mąż nudząc się z chorą, rad szuka pociech w salonach przy weselszych i zdrowszych. Ja więc, jako dawny znajomy, który jéj przypomina szczęśliwe chwile warszawskie, czując się zawsze pożądanym, mam téż za obowiązek być jéj częstym gościem. Zdarza się wprawdzie czasem, że mi się iść nie chce; ale nigdy nie pożałowałem żem przyszedł. Wigilia zaś u państwa Ankwiczów ma być zwłaszcza ku uczczeniu Adama, jako solenizanta, i ma być całkiem podług rytuału polskiego. O północy mamy pojechać razem na *Pasterkę*, do *Santa Maria Maggiore*, gdzie się ona najuroczyściéj odprawia. Na piérwszy dzień solenne nabożeństwo w kościele św. Piotra, gdzie może przecież obaczymy Papieża, jeśli mu zdrowie celebrować dozwoli. Na obiad zaproszeni jesteśmy do xięstwa Sanguszków, a wieczorem wszyscy Polacy mają być u państwa Ankwiczów. Drugiego dnia obiad u pani Klustin, jako w oktawę dnia urodzin xiężny Zeneidy, a wieczorem *grand bal* u państwa Potockich, na którym ma być cała *Signoria* rzymska, i mają śpiewać najsławniejsi śpiewacy tutejsi. Boję się, czy sił nam starczy na te wszystkie fety. A cóż dopiéro będzie w karnawale? który ma być świetniejszym niż kiedy, dla wynagrodzenia za przeszłoroczny, którego wcale nie było, z powodu śmierci Papieża, Leona XII-go. Wszyscy posłowie mają dawać bale; a że każdy poseł ma zwykle po kilkanaście biletów do rozdania ich komu zechce, choć-

by ci goście wcale gospodarzy nie znali; a zwłaszcza, że panna Henryetta ma właśnie odbywać na nich piérwsze swoje *entrée dans le monde;* rzecz zatém naturalna, że będziemy woleli assystować jéj na te bale, niż się męczyć z Prometeuszem przy skale. *Sat sapienti*—i *Vale.*

V.

Do tegoż.

Rzym, *28 grudnia*, *1829 r.*

Obowiązku, ni potrzeby
Ani mam, ni czuję, żeby
Pisać znów do ciebie dziś.
A że jednak chcę i będę,
Przyjm to więc wprost za kolędę,
A nawzajem pomnij, byś
Przy *kucyi* i opłatku,
Pomyślał téż o mnie, bratku,
I napisał zaraz list,
Z ciekawemi nowinami,
Jako sztrucel z rodzenkami,
Jak kiełbasa—nie jak glist.

To znaczy: długi, a nie ckliwy. Bo ten mój, jak się spodziewam, dójdzie cię jeszcze przed świętami waszemi, a widzisz zeń, jak ja tu Święta Rzymskie i zacząłem i kończę, sztyftując epistoły do ciebie. Program świąt, zawarty w ostatniéj z nich, ziścił się co do joty. Ale każdy program ludzki na przyszłość, jest bodaj zawsze mniéj więcéj jak ów zasiew w przypowieści ewangelicznéj, do którego w nocy, gdy człowiek sam zaśnie, los, jak anioł lub djabeł, dosiewa mimo niego, albo nasiona kwiatów, które kiedyś uwieńczą żniwo, albo kąkol i blekot, które ludzki zasiew

zagłuszą, albo samemu siewcy zawrót głowy sprawią. Najfatalniejsza rzecz jednak, że z kiełka, a nawet z runi, natury ziółka nie poznać; a tu czasem ni ztąd ni z owąd spada na człowieka powinność, aby je pielęgnować w zarodku — i to nie tylko dla siebie samego, ale nawet, co gorsza, dla drugich. Otóż jestem w kłopocie tego ogrodniczka, i ten kłopot jest właśnie przyczyną, że nie mogąc tu z nikim o nim na otwarte pomówić, uciekam się do korrespondencyi z tobą, abym przez to może sam w sobie natłok różnych a sprzecznych myśli rozwikłał jakoś i uporządkował. Z poprzedniego już listu mojego — „*if thou art wise and guessest well*“ (jeżeliś mądry i umiész zgadywać), — powinienbyś już, a przynajmniéj mógłbyś się domyśléć o co idzie. *Wąż misterny* wśliznął się już istotnie i wije się po raju naszym; i mnie, który go nie chcąc dostrzegłem, rajski dotychczas pokój i swobodę myśli zamącił. Opowiém ci wszystko jak było.— W przeszły czwartek, t. j. w dzień imienin Adama, odbywszy wszystkie wizyty, zamierzone na rano, o piątéj stanęliśmy jak w porcie na *Via Mercède*. Solenizant, przy łamaniu opłatka, odbierał podwójne życzenia, i sam podobnež składał pannie Ewie. Ja przystępując z kolei tuż po nim, wpół *seryo,* wpół žartem, ale zawsze bez żadnéj stanowczéj myśli, powiedziałem —powiedziałem jéj, ot tak sobie: „Pani zapewne nie wątpisz, że nikt na kuli ziemskiéj nie życzy pani szczerzéj ode mnie spełnienia Jéj życzeń w téj chwili.“ — Zarumieniła się cała jak róża, i po chwili, podnosząc oczy, spójrzała na mnie — ale jak!!! Gdy-

bym sto lat żył jeszcze, to tego wzroku nie zapomnę nigdy. Blask meteoru jest niczém w porównaniu z tém światłem, które mię nagle oświeciło wewnątrz. Odgadłem i zrozumiałem wszystko—i przeraziłem się jak błyskawicą. Dusza przemówiła spójrzeniem. Była w niém i nieśmiała konfidencya siostry, i jak gdyby błagalne odezwanie się do brata: „dopomóż"! — Miły Boże! gdybymże mógł, jak pragnę! Ale ten obowiązek spadł na mnie jak kamień. Nie żebym się chciał od niego usuwać, ale cóż ja pocznę, niestety? Biję się z myślami jak z falą, po której pływać nie umiém. Widzę szczęście tak blizkie, i na pozór tak łatwe! Aniołowie je zda się wskazują. Ale świat! ale ludzie!... A najprzód ten sam piérwszy, o którego rzecz idzie! Jego samego boję się najwięcéj, dla niego samego;— może dla tego, że go znam najlepiéj, a o drugich marzę tylko sobie jak zechcę. I gdybymże mógł z nim choć pomówić! Ale gdzie tam! Nie wiém nawet co myśli w istocie; bo że myśl jest zajęta, to widzę. Porównywając go z sobą, cieszę się z mojéj małości, jak owa rybka w bajce Krasickiego. Mogę sobie patrzéć na *wszystkie* jak mi się podoba, i nie bać się, by która z mojego powodu spójrzała tak na kogo, jak dziś *ona* na mnie! Bo jeżeliż *on* tylko patrzy *po mojemu*, to cóż ja *jéj*, niestety, na to jéj spójrzenie odpowiém? A jeśliż się w nim Gustaw obudzi na nowo: — to czyż tylko ma przybyć nowa jaka część *Dziadów?* — Ach, mój ty drogi! teraz dopiéro poznaję z doświadczenia całą psychiczną głębokość owéj mitologicznéj bajki o balwierzu króla Midasa: co to za straszny ciężar

tajemnica cudża, o któréj z nikim pomówić nie można! Ten mój list, jest to ów dół w ziemi, w który *tamten* wyszeptał swoję, aby mu, jak zamknięta para, nie rozsadziła serca. Bo chciéj wejść tylko w położenie moje, a sam uznasz, jak ono jest trudne i fałszywe. Nigdy własnego szczęścia nie pragnąłem tyle, jakbym pragnął aby tych „*ludzi dwoje*“ szczęśliwemi być mogło; a cóż, gdybym się jeszcze i ja mógł ku temu przyczynić! A właśnie myśląc o tém, i z tego jedynie powodu, widzę się niejako zmuszonym odegrywać tu między nimi rolę jakiegoś dyplomaty-intryganta, który z nikim na otwarte nie mówi, (bo nie może i nie śmie), jakby chciał ich wszystkich oszukać. I trzebaż żeby tęn ciężar spadł na mnie!—i to wszystko z racyi tego głupiego frazesu, kiedy mię licho pociągnęło za język, i który to jéj spójrzenie wywołał! Ale darmo! Słowo, jak mówią, wylatuje ptakiem, ale go nazad i wołami nie wciągnąć. Dla tego téż, piérwszy raz może w życiu, tak jestem od tych dni kilku ostróżny w słowach, że mi to odejmuje całą swobodę i wesołość humoru, bez których jestem „jako ptak bez skrzydeł“. A także, z drugiéj strony, wbrew zwyczajowi i naturze mojéj, zaczynam tu i ówdzie *sonder le terrain*, jak inżynier przed fortecą; i nie wiém czy mi się zdaje, czy téż może i w rzeczy saméj grunt ten nie obiecuje być tak twardym,

Iżby zgoła nie było nadziei,
Przekopać w nim jakiéj transzei.

Sądź sam o tém, jak i ja sądzę, z różnych drobnych szczegółków i słówek, które ja, jak zwinna ja-

skółka, chwytam w lot na powietrzu jak muszki, i—otwórz dziobek w gniazdeczku! — będę niemi podzielał się z tobą.

Otóż wigilia była bardzo wesoła—dla wszystkich, prócz dla mnie: chociaż nadrabiałem humorem, jak mogłem, bo mię zewsząd o powód zamyślenia pytano. Ona jedna musiała go odgadywać, bo i nie łączyła się z pytającymi, i sama jakoś była żenowaną. Widocznie połączeni jesteśmy węzłem tajemnicy, o któréj wiémy, że myślimy oboje, a czujemy, że mówić z sobą nie możemy. Ale masz tobie, co znaczy jedno czasem niewczesne słowo, albo może mimowolne spójrzenie!

Uczta była całkiem po polsku. Stół był nakryty na sianie, nad nim w środku kręciła się gwiazdka z opłatków. Od dwóch zup: grzybowéj i migdałowéj, aż do śliżyków, grochu i pszenicy z sytą, żadnéj z potraw obrzędowych nie brakło. Adam jadł wszystkie i unosił się nad niemi, jak drudzy goście nad morskiemi rybami. Osób było jak raz dwanaście. Oprócz gospodarzy i nas: pani Moszyńska, Strzelecki z elewem, Sztattler, xiądz Zajączkowski i x. Parczewski, którego ja zapoznałem z tym domem. X. Zajączkowski i Adam, *comme les deux preux chevaliers*, którzy kiedyś skruszyli kopije, w szrankach, współubiegać się zdali w grzeczności, aby pamięć tego starcia zagładzić. Po toaście na cześć solenizanta, wzniesionym przez gospodarzy, i toaście na cześć solenizantki, wzniesionym przez gości; xiądz Zajączkowski wzniósł trzeci wspólny: „Adama i Ewy!“ który téż

oboje rodzice uprzejmie i wesoło spełnili. Piérwsze *bonum signum*. Poczciwy Strzelecki, jak gdyby nastrojony przeze mnie, a w rzeczy saméj, jak sądzę, sam przez się w téjże myśli działając, przy rozmowie o arystokracyi, wystąpił z tak gorącą apoteozą piérwszych twórców i protoplastów rodowéj chwały imienia, w jakimkolwiek bądź zawodzie, że wszyscy przystali zgodnie na jego ostateczne *dictum:* że Napoleon musiał mieć bardzo nizkie wyobrażenie o rozumie ludzi w ogólności, jeśli istotnie żałował, jak mówią, że nie był wnukiem lub prawnukiem siebie samego. Sam pan hrabia szczególnie podniósł tę uwagę i dodał do niéj kilka historycznych komentarzy, wykazujących głupotę wnuków, pyszniących się wprost zasługami dziadów. Że zaś przed kilku dniami, z ust saméj pani hrabiny słyszałem takie zdanie o bogactwie: że ono o tyle tylko przyczynić się może do szczęścia kobiéty, o ile sercu swobodę wyboru zapewnia; — zestawiając więc w jednę konstellacyą wszystkie te trzy okoliczności, nic dziwnego, że dobry z nich wyciągnąłem horoskop, który przed końcem obiadu i mój także humor rozchmurzył. O ile bowiem słowa są obrazem myśli, to czyżby z tych słów obójgu nie można było wyprowadzić wniosku: że dwa na pozór najtrudniejsze szańce, nie są wcale *do niezdobycia*, i że ich wzięcie od sposobu wzięcia się ku temu najwięcéj może zależeć. Ztąd ta obawa we mnie, o któréj wspomniałem najpiérwiéj, a która mię dziś trapi najbardziéj. Ale co począć z naturą dębu, gdzie trzeba raczéj giętkości topoli? Cała nadzieja w przeznaczeniu Bożém, a do-

bra wróżba w humorze Adama, który w dniu tym szczególnie był godzien solenizanta. Sam mówił, że się czuje odmłodzonym o lat sześć, to jest o całą przeszłość po wyjeździe z Wilna. Po obiedzie, sama pani, na prośbę jego, grała ciągle najmniéj przez kwadrans melodyą pieśni: „*Aniół pasterzom mówił*", któréj że żadna z panien nie umiała, Adam tak je z tego względu zawstydzał, że obie przyrzekły poprawę. Ztąd wywiązała się nader miła i ożywiona rozmowa o różnych przypomnieniach, przygodach i anegdotach, odnoszących się do dnia wigilii u nas, a w któréj solenizant prym trzymał. Aniśmy się spotrzegli, jak nadszedł czas iść na *pasterkę*. Deszcz ciągły i chłód na dworze zmieniły program wspólnéj z damami wyprawy; sam pan hrabia także pozostał. Młodsi więc tylko ruszyliśmy piechotą, brnąc literalnie po wodzie i błocie.

Kościół *Santa Maria Maggiore* jest jedną z największych i najwspanialszych siedmiu bazylik rzymskich (patrz *Album*); piérwszeństwo zaś przed innemi, co do uroczystości *Mszy pasterskiéj*, zawdzięcza znajdującéj się w nim relikwii, którą jest *Żłobek (presepio)* z Betleemskiéj stajenki, w którym Dzieciątko Jezus było najprzód złożone, i gdzie mu pastuszkowie piérwszy hołd oddali. Są to cztéry szczątki spróchniałego już, jak widać, drewna, zamknięte w kryształowém pokryciu, i złożone w zagłębieniu wspaniałéj bocznéj kaplicy, zwanéj przeto kaplicą *Żłobku*, albo N. Sakramentu, i gdzie się znajdują grobowce dwóch wielkich i świętych papieżów: Syxtusa V-go i Piusa V.

Relikwią tę po mszy Pasterskiéj obnoszą w uroczystéj processyi, śród szpaleru szwajcarów papiezkich, i stawią na ołtarzu w innéj bocznéj kaplicy, kratą od kościoła zamkniętéj, gdzie przez cały czas świąt Bożego Narodzenia zostaje. To właśnie ściąga tłumy pobożnych i ciekawych, i musiało czynić ten kościół polem popisu modnych strojów i wdzięków, kiedy edykt, w tym roku wydany, zabronił pod karą stu skudów balowego strojenia się damom, a głośnych rozmów i śmiechów mężczyznom, czego, jak nam mówiono, Anglicy się zwłaszcza dopuszczali. Ale gdyby tęż samę karę nałożono na śpiących, skarb publiczny miałby dochód nie lada! Kiedyśmy przyszli, kościół był jeszcze słabo oświecony, a pomiędzy zapełniającemi ławki, połowa przynajmniéj strojnych główek, nie z saméj tylko pstrocizny kapeluszów podobną była do kwitnących makówek, ugiętych pod ciężarem plonu Morfeusza. Oburzało mię to z początku; ale mądrze mówi przysłowie:

„Nie urągaj cudzéj biedzie,
Bo twoja za tobą jedzie."

Ledwo bowiem, obszedłszy kościół, usiadłem pod jakimś pomnikiem, skupienie ducha było tak zupełne, że zapomniałem nawet sam o sobie; i dopiéro dźwięk trąb, huk bębnów, połączony z brzmieniem organu, wyrwał mię z tego błogiego zachwytu. Cały kościół gorzał już ogniem, a nabożeństwo, wraz z processyą żłobka, trwało prawie do pół do drugiéj. Tymczasem upusty niebieskie tak ciągle stały otworem, że wole-

usmy zapłacić sześć paolów fiakrowi, niż wbród, albo i wpław gdzie może, dostawać się do domu.

Grom armat z zamku św. Anioła, wesoły odgłos dzwonów, i najniespodziewańszy pogodny blask słońca, zwiastowały nam ranek *„tego dnia wesołego"*, w którym, na solenném nabożeństwie w kościele św. Piotra, mieliśmy niewątpliwą nadzieję obaczyć nakoniec Papieża. Nadzieja wszakże i tą razą zawiodła. Pius VIII był słaby, jak zwykle: zastępował go kardynał *Pacca*. Wszystko jednak odbywało się tak samo, jak kiedy celebruje sam papież. Wiész może, że wielki ołtarz tak jest tu urządzony, że odprawujący przy nim mszę św. twarzą jest obrócony do ludu, to jest, że wchodzi nań od strony presbyterium i do niego się we mszy odwraca. Ściany téj części kościoła, okryte na ten dzień czerwonym adamaszkiem, połączone były z sobą takiémże czasowém przepierzeniem, w środku którego, naprzeciw ołtarza, wznosił się tron papiezki—próżny. Wzdłuż obu tych ścian bocznych, nie w miękkich i złoconych *stallach*, jak u nas prałaci w katedrze, ale na prostych drewnianych ławach, siedzieli Xiążęta Kościoła: po prawéj stronie od ołtarza, kardynałowie-kapłani, po lewéj, kardynałowie-dyakoni, w liczbie sześciu. Takież ławy, u stopni papiezkiego tronu z obu stron, zajmowali dalsi dygnitarze Kościoła: Patryarchowie, Arcybiskupi, Biskupi, i nadworni papiezcy Prałaci w fioletach. Celebrant, aż do Ofiarowania, siedział ciągle na krześle przed ołtarzem, jak u nas Biskupi *in partibus*, kiedy tron dyecezyalny wakuje. Wszystkie téż dalsze szczegóły mszy św. nie różniły

się niczém od naszych przy celebrze biskupiéj. Majestatyczniejszego zgromadzenia nie ma pewnie na kuli ziemskiéj; sam nawet dawny senat światowładnéj Romy nie mógłby się z niém mierzyć, jeżeli nie w zewnętrznéj powadze, to przynajmniéj w godności znaczenia. Roma ruszała tylko ciałem tego świata; Kościół ożywia i kieruje go duchem. I trzebaż, że właśnie w chwili Podniesienia, słońce snać nagle wyszedłszy z za chmury, pełnym blaskiem padło na ołtarz, i odbiło się w podniesionym kielichu. Wierz mi, że nie byłoby to tylko retoryczną figurą, gdybym dodał: że odblask ten powtórzył się w chrześciańskich sercach tych wszystkich, co go wraz ze mną w téj chwili widzieli. Ale mimo tego wrażenia i całéj świetności obrzędu, to niezajęte miejsce Papieża psuło jakoś harmonią całości, jak niezamalowany środek w obrazie, albo jak brak szczytu w budowie. Adam, gdy była o tém mowa na wieczorze u państwa Ankwiczów, przyrównał to wrażenie do protestantyzmu: bez spójni środkowéj wewnątrz, i bez szczytu na zewnątrz.—

O! bo co na nim samym, pod względem ortodoxyi, to już chyba nowenna panienek wyraźnie skutkować zaczyna! Język przynajmniéj trzyma jak za kratą, którym kiedyś przy lada sposobności, tak im zwykle przekomarzać się lubił. — Na drugi dzień świąt, jako w dzień św. Stefana, państwo Ankwiczowie, podług wczorajszéj umowy, zajechali po nas i zawieźli na nabożeństwo do *San Stefano Rotondo*, na *Monte Celio*, (patrz *Album*). Ma to być piérwszy typ kościołów okrągłych, z epoki Konstantyńskiéj, przerobiony z ja-

kiéjś dawnéj świątyni, a odznaczający się jedynie freskami na ścianach, cennémi może z pendzla, ale tak obrzydliwemi dla oka a wstrętnemi dla wyobraźni, że strach iżby się czasem kiedy nie przyśniły. Są to obrazy rozmaitych męczeństw, wzięte całkiem ze strony fizycznéj. Gdybym pisał co kiedy o męczennikach, samo wspomnienie tych fresków byłoby mi już zbawienną przestrogą. A i nie zawadziłoby wielu naszym romantycznym kolegom, aby je choć w rysunku widzieli; to jest, jeżeli obrzydliwa potworność nie wyda się im raczéj siłą i nie zachęci do naśladownictwa, jak się i to niekiedy przydarza. Po nabożeństwie, sama pani zaproponowała pojechać do *Ara coeli*, na Kapitolu, dla obaczenia sławnych w tym kościele jasełek. Ale tu panna Henryetta wystąpiła z tak żywą oppozycyą, że nawet moja mozgownica pojęła, iż nie chce ich narażać na krytykę profanów. Adam tedy na przekór uparł się koniecznie aby jechać, i opponentka nakoniec musiała uledz większości. Była jednak nie w swoim humorze; i dopiéro kiedy się oględziny w milczeniu, ze wszelką czcią i powagą odbyły, widać było że odetchnęła swobodniéj. Spektakl ten stanowi gruppa, a gruppę składają: najprzód Dzieciątko Jezus, we żłobie i w pieluszkach, naszywanych perłami i klejnotami, a potém pięć figur naturalnéj wielkości: N. Panny, św. Józefa i trzech pasterzy. W oddali poza niemi daje się widzieć zwierzątko, którego nawet imienia wymieniać tu jakoś nie wypada. Samo Dzieciątko, przywiezione tu niegdyś z Jerozolimy, wyrzeźbione jest, jak mówią, z drzewa z Góry Oliwnéj, i po-

malowane jakoby przez samego św. Łukasza. Inne figury są z wosku, i ubrane jak w gabinecie figur woskowych: N. Panna w bogatéj materyalnéj sukni, z pierścionkami na palcach i z dużemi brylantowemi kolczykami w uszach. O wszystkiém tém, w innym czasie, wieleby może dało się powiedziéć; ale tą razą nikt z nas nic nie mówił. Kiedy zaś już w powozie sam p. Ankwicz opowiadał nam, że to Dzieciątko, uważane za cudowne, wożone bywa niekiedy do chorych, a mianowicie do kobiét, i uczynił przytém uwagę, że to nieco na bałwochwalstwo zakrawa: Adam owszem wziął w obronę ten zwyczaj, jako środek wzbudzenia wiary, która sama sprawuje cuda. Panna Henryetta spójrzała z pod czoła z wdzięcznością, a panna Marcellina uśmiéchnęła się znacząco; za co wnet przypłaciła rumieńcem, kiedy ją zapytałem znienacka: dla czego tak się uśmiécha? — Wszyscy my tu bowiem, jak widzę, rozumiemy się między sobą na wylot, i odgadujemy nawzajem, w jakiéj myśli co kto mówi lub czyni; chociaż każdy z największą skrupulatnością strzeże w sobie *„sekretu komedyi"*, która Bóg wié jak się zakończy, ale któréj ty jeden dotąd jesteś—jeśli nie spektatorem, to przynajmniéj zakulisowym konfidentem. Że zaś w tém to jest właśnie główny powód i cel tego listu, a nic już więcéj o tém do dodania nie mam: mógłbym go więc i skończyć na tém, gdyby nie chęć powiedzenia ci jeszcze słów kilku o nowéj znajomości *sławnego* człowieka, i o wieczorze u państwa Potockich, na którym cały *wielki* świat Rzymski widziałem.

Człowiekiem tym jest pan Karol Bonstetten z Genewy, znakomity, jak mówią, filozof, psycholog, archeolog, i pisarz we francuzkim i niemieckim języku, a najrzeźwiejszy i najmilszy staruszek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ma już lat 84, ale w ruchach i w rozmowie—młodzieniec. A co za szarmant i galant! najmłodszego w kątby zapędził. I w tém téż to podobno jest źródło téj jego wiecznéj młodości. Wspominałem ci już o nim, pamiętam, jako o adoratorze panny Anastazyi, który dla niéj przyjechał do Rzymu; a oto ona właśnie oskarża go o niewierność, mówiąc: że wszystkie młode panienki kochają się w nim w Genewie, a on dla żadnéj niewzajemnym nie jest. Staruszek śmieje się do łez, i za całe usprawiedliwienie całuje po ojcowsku swoję oskarżycielkę, niekiedy tylko zowiąc ją: niewdzięczną. — Trzeba ci bowiem wiedzieć gdzieśmy go poznali. Oto u pani Klustin, na obiedzie w drugie święto i w oktawę dnia urodzin xiężny Wołkońskiéj. Przy toaście więc za jéj zdrowie, gdy i Bonstetten z kolei życzył jéj okrągłych lat stu, xiężna odpowiedziała z uśmiéchem, że życzenie to wtedy dopiéro miałoby rzeczywistą wartość, gdyby życzący nauczył ją zarazem swego sekretu, jak tak młodość umysłu i serca zachować? — „Damom w tém nic radzić nie śmiem, odpowiedział, bo one same lepiéj to umieją. Ale gdyby mię pytał mężczyzna, powtórzyłbym bez wahania słowa Apostoła: *kochajcie się, kochajcie, kochajcie!* a tylkobym dodał od siebie: *i umiejcie kochać!*"—Ja zatém pozwoliłem sobie zapytać: na czém właściwie ta umiejętność zależy?

„*Aimez toujours ce qui est beau et immortel, et vous vaincrez le corps et le temps.* Serce nasze, jak całe ciało, jest z gliny; ale póki w niém miłość kwitnie, jak kwiat w wazonie, kwiat ten zakrywa szczerby, które czas w niém czyni". — To były słowa i treść odpowiedzi. Kiedy zaś po obiedzie, po raz może dziesiąty całował w czoło pannę Anastazyą, a ja na to uśmiéchnąłem się z boku; postrzegł to, i śmiejąc się także, zawołał: „*Ah! ah! Messieurs les jeunes gens! vous croyez que l'amour est le monopole de votre age!* Otóż ja wam powiadam przeciwnie: że miłość dopiéro na starość dosięga najwyższego szczytu doskonałości: jest całkiem wynikiem duszy i wolna od wszelkiego ziemskiego egoizmu. *C'est l'avant goût des amours des anges.*"— Przypomniał mi się Oleszkiewicz, który mówił prawie to samo; tylko że mówiąc po religijnemu, cudowny ten wpływ miłości, do duszy zwłaszcza i do przyszłego jéj życia stosował. W każdym razie, recept ten Bonstettena na szczęśliwą starość, choćby jéj człowiek nie dożył, dobry jest jak winogronowa kuracya; mniejsza o skutek, kiedy ona sama tak miła! Bo jużciż myślę, że słodkie *winne i niewinne* jagódki, nigdy się człowiekowi nie sprzykrzą.

Ale zmiłuj się, proszę, niech te słowa moje nie rzucą w twoim umyśle ani cienia jakiéjkolwiek śmieszności na szanowną postać tego najmilszego staruszka, jakby on tylko w żarcikach i o miłości tylko rozmawiał. Nie! Jestto tylko jak kwiatek przy poważnéj delii mędrca i dostojnego męża stanu, przypadający do niéj nie jak *do kożu-*

cha. Bo że był jednym i drugim, w dziełach swoich i życiu publiczném, na ważnych urzędach w ojczyznie, to i słyszę od drugich, i sam widzę i czuję w obejściu się jego i w słowach. Adam zna i wysoko ceni najnowsze dzieło jego: *L'Homme du Nord et l'homme du Midi*, a panna Anastazya ma nam dać do przeczytania: *Voyage sur la scène du dernier livre de l'Eneïde*, gdzie ma być ciekawe opisanie ówczesnych okolic Rzymu. Słyszałem jak rozmawiał w tym przedmiocie z Adamem, i obydwaj byli z siebie kontenci. Ale najkontentniejszą, jak widziałem, była sama panna Anastazya, że mogła tak na obie strony przyjaciółmi się swoimi pochlubić. Oprócz albowiem Bonstettena, byli jeszcze na tym obiedzie dwaj inni uczeni z Genewy: p. *dę Luc* i p. *Douby*, starszy pastor, rodzaj kalwińskiego biskupa. Obaj bardzo poważni, grzeczni i uprzejmi; ale ja oczy i uszy miałem tylko dla mojego ukochanego staruszka, który jest odtąd moim ideałem na starość, jeśli Bóg da dożyć starości. Wiele zdań jego i myśli zanotowałem sobie w dzienniczku, jako prawdy kardynalne, które po raz piérwszy słyszałem. I tak np. mówił między innemi: „że największe dobrodziejstwo, jakie człowiek może wyświadczyć drugiemu, chociażby nawet mimowolnie, jest to: jeżeli go pobudzi lub zniewoli do kochania siebie, nie dla upatrywanéj w tém tylko przyjemności albo korzyści, ale przez poczucie i uczczenie w nim ogólnéj ludzkiéj zacności lub piękności moralnéj. Człowiek bowiem, który raz tym sposobem drugiego szczerze pokochał, nigdy już ani całkiem złym, ani

całkiem nieszczęśliwym nie będzie."— Przypomina to nieco ów wiersz Trembeckiego:

„Ktokolwiek czuć jest zdolny prawdziwe kochanie,
Albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie."

Kwestya tylko, na czém ta *prawdziwość* zależy? Walter-Scott powiada w swoim *Ostatnim Minstrelu*, że *duchy ziemskie* nie umieją tego oznaczyć:

„*But earthly spirit could not tell*
The heart of them, that loved so well."

I sam przeto określa ją w tych słowach, które kiedyś przetłómaczyłem do jakiegoś sztambucha:

„Nie jestto płochy ognik wyobraźni,
Co póty gore, dopóki się draźni;
Nie z ziemskiéj żądzy swéj mocy nabiera,
Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.
Lecz jestto związek ducha z duchem, który
Spaja się tajném ogniwem natury,
I łączy węzłem niezrywnéj jedności,
Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności."

Bonstetten zaś wypowiedział to swoje zdanie w bardzo poważnéj rozmowie przy obiedzie, zestawiając i porównywając między sobą dwa najbardziéj może wrażliwe i wpływowe geniusze swojego czasu: Woltera i Byrona, których obu znał osobiście; piérwszego, gdy mieszkał w Ferney, za czasów młodości Bonstettena, a drugiego, podczas jego podróży po Szwajcaryi i pobytu w Genewie. „Byron chciał, ale nie umiał kochać. Kochał to tylko, co mu robiło przyjemność,

zużył swe siły, że mu już ich nie stało na miłość prawdziwą, kiedy ją czuć zaczął przy końcu. Wolter ani chciał, ani umiał kochać nic i nikogo, prócz siebie. Nasycenie próżności było dlań jedyną rozkoszą. Obaj nienawidzili ludzi; ale Byron zwłaszcza dla tego, że w oczach jego nie byli warci kochania; Wolter tylko dla tego, że albo go nie dość wielbili, albo przeciw niemu stawali. Byron nie poniewierał nigdy świętością i cnotą w idei, tylko, że jak jéj sam w sobie nie ufał, tak w szczerość jéj w drugich nie wierzył. Objawy jéj brał za hypokryzyą, któréj mianowicie niecierpiał, a wojując z nią słowy i czynem, sam, przez ducha przekory, przesadzał w pozorach złego, które umyślnie i z ostentacyą przybierał, aby urągać przez to przeciwnikom swoim. Wolter, wróg jawny świętości w wierze, nie mógł być przyjacielem cnót z niéj wypływających; a jeśli je niekiedy udawał, to chyba aby pokazać, że się cnota może obejść bez wiary. U obydwóch nienawiść była głównym pierwiastkiem i bodźcem natchnienia, któremu jeden i drugi zawdzięczają najwymówniejsze karty dzieł swoich. Źródło tylko téj nienawiści było w obu odmienne. Byron mścił się, zda się, na ludziach, za skażony ideał ludzkości; Wolter mścił się tylko za siebie, a ideał w śmieszność obracał. Geniusz u Byrona, był jak orzeł Jowisza, który ciska pioruny z góry; u Woltera, jak wąż Laokoona, który z dołu wspina się i dusi. Obaj, prócz upojenia rozkoszy lub pychy, nigdy nie byli szczęśliwymi w sobie. W Byronie znać to było po wybuchach gniewu, w Wolterze po swarliwéj

zgryźliwości humoru, który poważnił go nawet z królewskim jego przyjacielem, Fryderykiem Prusskim. Obu im brakło wewnętrznego pokoju, który jest piérwszym warunkiem do szczęścia, ale który miłość tylko dać może.“

Słuchając tych słów Bonstettena, brała mię wielka ochota zapytać, czy on sam, który tak hołduje miłości, był przez nią tak istotnie szczęśliwym w całym ciągu życia, jak widzę, że jest nim na starość, lub jak wiém z doświadczenia, że w młodości być można? Ale mi na to zapytanie w myśli, odpowiadał stanowczo sam wyraz jego fizyognomii, tak spokojnéj, tak pogodnéj, tak słodkiéj, jak gdyby po niéj żadna nigdy burza, żadna gorzka boleść nie przeszła. I gdy jeszcze dodałem do tego, co o nim panna Anastazya mówiła, że go wszystkie panienki kochają: widziałem w nim jakby obraz tych błogosławionych, o których mówią legendy, że się ich leśne ptaszątka nie bały, i siadając im na ramionach, wtórowały w śpiewaniu psalmów.

Pod wpływem tego uczucia, prosiłem przy końcu obiadu, aby mi wolno było wznieść jeszcze na cześć jego, jako Patryarchy miłości, rodzimy nasz toast: „Kochajmy się!“ którego, ma się rozumieć, objaśniłem mu najprzód znaczenie. Spełniono go ruszając się od stołu, i wszyscy kołem otoczyli staruszka; panna Anastazya zaś, z kieliszkiem w ręku, przyklękła przed nim na jedno kolano; — i tu się zaczął ów szereg ojcowsko-poetycznych całusów, o których wspominałem już wyżéj.

ństwa Potockich był co się zowie świetny, pyszny, wspaniały. Obaj bracia zajmują razem ogromny pałac *Gregorio*, i przyjęcie to było wspólne. Osób musiało być ze dwieście. Nie tańczono, ale chodzono. Balowe stroje dam roiły się i migały po salach, jak kolibry w świetle słoneczném. Rozmowy były ożywione i gwarne. Przerywała je muzyka lub śpiewy. Najsławniejsi śpiewacy z rożnych tutejszych teatrów, występowali koleją w solach, duetach, tercetach; chóru tylko ani razu nie było. Z głosu i wdzięków pani *Testa* była najpiérwszą: słowik i róża w jednéjże osobie, któréj same oczy i rysy natrącają tę myśl o Wschodzie. Po niéj szły panie: *Camporesi*, *Boccabadati*, *Marini*. Z mężczyzn śpiewali najlepiéj pp. *Ronconi*, *Cortoni*, *Angiolini*, i t. d. Niejaki *Trentanove* śpiewał dziwnie soprano (jakieś *solo buffo)*, nie piersiami ale gardłem, nakształt tyrolki. Koncert ten musiał ogromnie kosztować gospodarzy, ale to wszystko i w teatrze można posłyszeć. Zatoż takiego zgromadzenia razem tylu znakomitości miejscowych i zagranicznych, nie wiém czyby gdzieindziéj dało się zobaczyć. Ale co nas cieszyło najwięcéj, i co nawet zostało jako główne wrażenie tego wieczoru, to, że wśród tego tak licznego grona piękności i wielkich dam z całego świata, Polki nasze trzymały piérwszeństwo, i to pod każdym względem i we wszystkich kategoryach wieku. Osiemdziesięcioletnia już może xiężna stolnikowa Czartoryska, siwiuteńka jak gołąbek staruszka, była jakby idealnym obrazem tych świętych starodawnych matron naszych, z których chyba

opisów życia można sobie wymarzyć taką postać, jakąśmy tu na jawie widzieli: tak pełną razem wdzięku i powagi wieku; słodyczy i mocy charakteru; skromności i prawie pokory, a zarazem takiéj godności, jak się to wszystko w wyrazie jéj twarzy i w całém jéj obejściu maluje. Ona to właśnie była tym środkowym punktem, około którego zebrało się tak ochoczo i licznie grono najpiérwszéj arystokracyi tutejszéj, która, jak powiadają, nie rada udzielać się cudzoziemcom, i nie łatwo ich do siebie przypuszcza. Ale xiężna stolnikowa przez lat wiele prowadziła tu niegdyś dom świetny i otwarty; a chociaż na resztę życia zamknęła się teraz w klasztorze, pamięć dawnéj jéj uprzejmości i wspaniałości światowéj, połączona ze czcią dla jéj wieku i cnót chrześciańskich, czyni ją dotąd celem ogólnego szacunku i uszanowania, jakiém ją na tym wieczorze wielki świat Rzymski widocznie otaczał. Córka jéj, pani Alfredowa Potocka, wespół z bratową swoją, panią Arturową, czyniąc wspólnie honory domu, odznaczały się obie zarówno taką jakąś królewską powagą i wdziękiem, (w czém i wspaniała postać ich obu niepoślednią odegrywała rolę), że się w istocie czuło jakby chlubę, że się jest ziomkiem w tym domu, który na obcych gościach tak imponujące sprawiał wrażenie. A cóż mówić o xiężnie Izie, o téj, jakby reprezentantce trzeciego pokolenia?— bo jest wnuczką rodzoną xiężny stolnikowéj, a siostrzenicą pani Alfredowéj Potockiéj. Była ona najpiękniejszą na tym raucie, jak niegdyś we Florencyi, na balu u xięcia Bacciochi. Ale tyle już razy pisa-

łem ci o niéj, że nic nowego do dodania nie mam. Wprawdzie piękność ma to podobieństwo ze słońcem, że choć codzień widziana, nie powszednieje nigdy, a zawsze rozwesela i ożywia nanowo. A ma także i to podobieństwo z xiężycem, że choć sama świeci najjaśniéj, żadnéj z gwiazdek niebieskich nie gasi. Otóż temi gwiazdkami dla nas, które nam bodaj najmiléj świeciły, były na tym wieczorze obie nasze panieneczki z *Via Mercède*, godne przedstawicielki wdzięku dziewic naszych. Był to piérwszy ich występ na horyzont wielkiego świata, a już jedna z nich, choćby nawet przed słońcem, mogłaby się ze swego *satellesa* pochlubić. Ale oba nie odstępowaliśmy ich prawie, bo pychę z serca złożywszy, same nas o to prosiły, przyznając się do nieśmiałości w tém tak liczném a obcém dla nich zgromadzeniu. Ubrane były balowo, błękitnie, i wyglądały prześlicznie w lokach, które im pierścieniami spadały na szyję. Adam ujrzawszy pannę Henryettę, powiedział: „Jabym pani dzisiaj nie poznał: taka pani strojna, światowa!“— Ona biédaczka zmieszała się na to; ale ja dobrze widziałem, że go ten strój i światowość nie razi. — A poznaliśmy także jeszcze jednę Polkę, któraby może we wrażeniach moich zajęła miejsce blizko xiężny Izy, gdyby sama samochcąc nie zepsuła uroku, który jéj uroda sprawiała. Jest to pani Gr... z Podola, P....ska z domu, piękna istotnie z twarzy i z postaci, ale strojna aż do przesady, a i jéj piérwsze odezwanie się, niestety, przypomniało mi bajkę o pawiu. Nie żeby głos był niemiły — gdzie tam! Głosik jest godny ko-

ralowych ustek; ale to téż tém większa szkoda, że z nim chętka do rozmowy nie bierze. Bo gdy mąż jéj, poznawszy się z nami, przedstawiał jéj najprzód Adama, ona przybierając widocznie pozę *„wielkiéj damy,“* i zapewne chcąc ujść przed nim za taką, przemówiła do niego najprzód — po francuzku. Nie umiém ci wypowiedzieć, jak na te proste słów kilka, termometr piérwszego wrażenia spadł raptownie do zera. To téż Adam nie odpowiedział jéj ani słowa na powitalny komplement, a i ja, zaprezentowany z kolei, poprzestałem na zimnym ukłonie. Zawód, jak sądzę, był z obu stron równy. Ma prawo nas posądzać o brak grzeczności, albo francuzczyzny, jeżeli braku taktu nie poczuje w sobie. Ale ciekawy byłbym miny jakiego francuzkiego poety, dajmy np. Lamartina, gdyby mu jaka paryżanka, na cześć jego *Medytacyj*, wypaliła komplement po hollendersku, i chciała się przed nim popisać, albo zaimponować mu przez to, że przemawia obcym językiem. To téż bodaj że nigdzie, oprócz u nas, niestety, śmieszności téj nie ma w zwyczaju.

Ale przebóg! czyżbym tym ciemnym rysem skończyć miał obraz idealności niewieściéj w rodaczkach, który sam czuję tak jasno, i chciałem go tu odbić na ciebie? Otóż szczęściem mam jeszcze do wspomnienia dzieweczkę, dziecko jeszcze, ale tak miłe i mądre, jak ten Rafaelowski aniołek, co to u stóp Syxtyńskiéj Madonny zamyślił się i patrzy ku górze. Jest to mała Alexandryna Potocka, rodzona siostrzenica pani Arturowéj i blizka kuzynka samego, która się przy nich

wychowuje. Nie była ona jeszcze na tym raucie w salonie; ale musiała nieraz ze swojego pokoiku wyglądać. Nie przeto jednak tylko, że jest jedyném dzieckiem polskiém w Rzymie, mogłbym ją téż wziąść śmiało za typ tych naszych dziewczątek, z ktorych, za czasem i za łaską Bożą, rosną takie dziewice, młode niewiasty, damy i matrony, których nam świat może i powinien zazdrościć, a my za nie Panu Bogu dziękować. Bądź zdrów!

VI.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 31 grudnia 1829 r.

Bankiery, kassyery, kontrolery, sknery,
Liczą dziś pewno złoto, srebro i papiery,
By do budżetów roczne dopisać latusy.
A więc i ja podobnież jak ziemskie Plutusy,
Kończąc dzisiaj młodości piérwszy lat dziesiątek,
Obliczam w sercu skarby uczuć i pamiątek;
Co doń, jak do kościelnéj u progu szkatułki,
Wrzucili przyjaciele albo przyjaciółki,
Bym szczycąc się, nie wstydząc, téj serc ich jałmużny,
Wiedział najprzód, co komu i ilem jest dłużny,
A potém dług ten w duszy, sumiennie i święcie,
Ulokował na wiecznéj wdzięczności procencie.

A wiész-że co wypadło z tego obrachunku? Oto, że jesteś jednym z głównych—ba! nawet najgłówniejszych — wierzycieli, czy dobrodziejów moich; bo sam nie wiém jak was mam nazwać, was, od których, albo za pośrednictwem których, najwięcéj mi tych drogich uczuć i pamiątek przybyło. Owóż, kiedy najgłówniejszemu, to jest Adamowi, sam dziś dźwięczną monetą słowa, ów należny mu procent wypłacam: tobie, jako assygnatę czy wexel, chcę posłać przynajmniéj ten mój list, ażebyś sam zeń może, ku podziwieniu własnèmu, dowiedział się po raz piérwszy, ile twojego jest w téj

skarbonce serca, którą ja dzisiaj, jak zakrystyan przed plebanem w sobotę, otworzyłem przed Adamem i liczę.

Otóż tedy wiedz najprzód, że przez ostatnie lata szkolnego mego dzieciństwa w Borunach, byłeś dla mnie, jak ów indyjski Wisznu, piérwszém wcieleniem poetycko-literackiego ideału, o czém ty naturalnie ani wiedziałeś, ani wiedzieć nie mogłeś, tak jak np. młode i piękne sąsiadki Boruńskie, modląc się w ławkach w niedzielę, nie wiedziały ile strzelistych westchnień i affektów wznosiło się ku nim ze studenckich ordynków. Żeby zaś to nie miało blichtru komplementu, wytłómaczę ci wszystko jak było. *Primo:* X. Martynian Komar, mój i twój niegdyś professor wymowy, który i mnie jak ciebie uczył téż prócz tego po francuzku, prześwidrował mi najprzód uszy twojém imieniem, stawiąc mi cię zawsze za przykład, jako wzorowego swojego ucznia, a dziś *sławnego* literata, przynoszącego zaszczyt Borunom, Bazylianom, i jemu. *Secundo:* Wuj mój pan Onufry, czynny aktor amatorskich teatrów, urządzanych przez stryja twojego, lubił, opowiadając o sobie, opowiadać téż cuda o twoim talencie na scenie, a zwłaszcza za kulisami, gdzieś grał zawsze role kochanków. *Tertio:* Gdziekolwiek była mowa o „*Wiadomościach Brukowych*,“ imię twoje obijało mi się o uszy, jako jednego z najpiérwszych *Szubrawców*, których koncepta, chociaż bezimienne, poznawano po treści i sposobie pisania. Potrzebaż było więcéj, aby cię w wyobraźni studenta, wzdychającego *in petto* do autorskiéj sławy, jak na

szczycie kolumny postawić? Nakoniec uderzyła mię raz, pamiętam, i zastanowiła szczególniéj tajemnicza jakaś mina jednéj twojéj sąsiadki, krewnéj naszéj, która do nas przyjechała w gościnę, i gdy była mowa o tobie, chwaląc ciebie z rozumu i przyjemności w towarzystwie, ciągle przytém spuszczała oczy i wzdychała głęboko. Zapytałem więc co to ma znaczyć? i dowiedziałem się, żeś—*Farmazon*. Nie wiedziałem ja wtedy, jak podobno i nikt jeszcze nie wiedział, co to było za głupstwo w gruncie, ta cała wasza masonerya litewska, która tyle lat i tyle młodzieży zmarnowała na próżniactwie i fanfaronadzie: aż pan Tomasz dopiéro kres temu położył. Ale co wtedy, to sama nawet ta mniemana herezya twoja, jeszcze ci więcéj w oczach moich blasku i interessu przydała, łącząc do sławy literackiéj znaczenie obywatelskie, które natenczas jeszcze tytuł *Masona* nadawał. To téż nie dziw, że piérwsza chwila poznania cię osobiście, tak mi dotąd tkwi żywo w pamięci, jak gdyby to było wczoraj. — A ty? „*T'en souviens-tu?*" Pewno nie. Otóż ja ci przypomnę: nie dla ciebie, ale dla siebie samego; a jeśli chcesz, to może i dla tych, co razem z tobą list ten czytać będą:

I może téż na przeszłość myśl zwróciwszy baczną,
Marząc o mnie rok stary skończą, nowy zaczną.

Było to tedy w roku Pańskim 1817, dnia 14 sierpnia, t. j. w wigilią N. P. Maryi Zielnéj, i bierzmowania w kościele Wojstomskim, przez xiędza biskupa Kundzicza, na które mię matka moja umyślnie przy-

wiozła do Horkol, gdzie w dniu tym, na cześć Jego Excellencyi, dany był świetny wieczór dla całéj parafii, na którym i ty być miałeś. Czekałem cię jak kania deszczu. A gdy jeszcze i wszystkie panienki, a między niemi i śliczna moja kuzyneczka Horsia, szeptały wciąż między sobą i wyglądały przez okno: czy Chodźko z Dziewiętni nie jedzie?—znaczenie twoje w mojéj wyobraźni stanęło na wierzchołku zenitu. I gdyś sam wszedł nakoniec, ubrany balowo, w białéj chustce i białych rękawiczkach, zarumieniłem się niemniéj może jak Horsia; chociaż w téj nawet chwili, ten jéj nagły rumieniec, coś jak zazdrość we mnie obudził. Mimo to wszakże patrzałem na ciebie jak w tęczę, i prawdziwie z bijącém sercem, dałem się zaprowadzić i zaprezentować tobie przez jéj ojca, a wspólnego krewnego naszego, który téż z tego tytułu wziął tę rekomendacyą na siebie. Bóg ci zapłać, za uprzejme słowo zachęty, którém mię raczyłeś powitać, gdy ci on mnie jako wierszopisa przedstawił; a gdy potém, w zastępstwie matki, zasiadłem razem z tobą do partyi *ćwika*, czułem się ciągle w takiém podniesieniu, jakbym znalazł cztéry tuzy w *azardzie*.

I gdy przed dwiema godzinami to samo prawie co tu piszę opowiadałem o tym wieczorze Adamowi, on sam zgodził się na to, że możnaby go uważać niejako za emblematyczny obrazek ówczesnego stanu naszego wiejsko-szlacheckiego społeczeństwa. Biskup obok z Proboszczem, obaj z białemi włosami, na piérwszém miejscu u wieczerzy. Przy nich. po obu stronach, dwaj siedemdziesięcioletni bracia, Polonusowie w kon-

tuszach; nie licząc trzeciego, starszego jeszcze od nich wiekiem gospodarza, który sam do stołu nie siadał. A wszystko to ludzie światli, obywatele i urzędnicy poważni; a przecież podochoceni przy końcu wieczerzy, chórem we trzech, dla zabawy biskupa, „*Kurdesza nad Kurdeszami*“ śpiewali.— Czyż nie byli oni jakby obrazem téj już znikającéj naówczas przeszłości, w któréj dobroduszna uprzejmość i towarzyska wesołość zapominały tak łatwo o światowéj swojéj powadze, a serdeczna, ojcowska życzliwość, pociągała ku sobie młodzież, nie dając jéj zapomnieć o powadze wieku?— A i żony téż ich wszystkich, każda w swoim guście, czyż nie wyobrażały w sobie jakby głównych typów ówczesnych naszych wiejskich obywatelek-szlachcianek: od gospodarnéj wesołéj kumoszki, jaką była moja ciotunia, do cichéj i skromnéj dewotki, i nieco sztywnéj sensatki i literatki, za jakie w całym Zawilejskim powiecie, nie tylko w waszéj parafii Wojstomskiéj, uchodziły obie bratowe: z Dobótowek i Wyholeniąt?— A znowuż szanowny pan Krzysztof: kapitan Napoleoński, kawaler Legii Honorowéj, świeżo obrany Prezydentem Grodzkim! z młodziutką swoją małżonką, wnuczką i siostrzenicą xięcia, wychowaną z francuzka po pańsku! i ty—ty drukowany autor i poeta! ty *Szubrawiec* i *Mason!* a przytém młody dziedzic majątku; a przytém *szarmant* i *galant*, przedmiot westchnień i rumieńców panieńskich!... Czyż nie koncentrowaliście w sobie niejako wszystkich dodatnich rysów nowego pokolenia, które już rej wiodło w powiatach, i przed którém starsi usuwali się z respektem,

[redacted]

choć może nie bez żalu; a młodsi, jak ja z szarego końca u stołu, wlepiali w was wielkie oczy, i brali z was wzorki dla siebie?— Ale czyż ja mogłem wtedy przeczuwać, że jestem już jakby źdźebełkiem tego nowego posiewu, który już musiał bezwiednie kiełkować wtedy po szkołach, kiedy się w kilka lat potém, tak bujnie i tak od razu, w uniwersytecie naszym rozwinął? Czyż ja mogłem wtedy pomyśleć, że gdy z tego źdźebełka wywiąże się ziarnko: z ziarnka tego wykwitnie najprzód względem ciebie—literacki antagonista? Względem ciebie! który od téj pamiętnéj gościny w Horkolach, stałeś się dla mnie stanowczo, na całą resztę szkolnego w Borunach pobytu, idealnym *kawalerem* wszystkich moich literacko-światowych myśli i marzeń: żeby tak kiedyś o mnie, jak o tobie gadano; żeby mię tak panienki wyglądały przez okno, i tak się rumieniły na spotkanie moje, jak się Horsia zarumieniła na twoje!...

Ale patrz, jak Opatrzność łaskawa! Jeszcze mi się ani o romantyzmie, ani o antagonizmie z tobą ani śniło, kiedy już, nie mniéj bezwiednie, błysły mi przed oczyma nazajutrz, jakby piérwsze promyki nowéj, dalszéj epoki życia, w któréj ty znowu miałeś stać się dla mnie — nie już koniecznie ideałem, ale serdecznym, szczerym przyjacielem, dla którego wzajemność i wdzięczność stały się integralną cząstką mego serca. I niechże mi tu jaki filozof dowiedzie, że się Opatrzność do spraw naszych nie miesza! że wyższe przeznaczenie nie kieruje nami!—Któż to zrządził, że gdy nazajutrz, w roli gościa, stałem na piérwszém miejscu

w rzędzie chłopców, czekających na *akkoladę* biskupa; tuż przeciw mnie, na czele dziewcząteк, stały dwie jakieś panieneczki w bieli, z błękitnemi szarfami i takiemiż wstążeczkami w warkoczach? Po sto razy spuszczałem oczy, żeby na nie nie patrzeć: bo mi to przeszkadzało w pacierzu; a przecież jakaś nieprzeparta siła przeciwiła się wciąż woli mojéj. Ale mógłżem wtedy przewidzieć, że biorąc z rąk kapłańskich bierzmo religijne, mam już i widzę przed sobą tę przyszłość, która mię z woli Bożéj w życiu rzeczywistém, z wyrostka na młodzieńca, a z młodzieńca na człowieka *passować* kiedyś miała?. Że te dwa małe aniołeczki w bieli, staną kiedyś pomiędzy mną a tobą (ówczesnym ideałem moim), aby nas, jak pośrednie ogniwa, węzłem przyjaźni i braterstwa połączyć?

A i w dalszym naszym stosunku, ileż to chwil niemniéj może charakterystycznych i nie mniéj prowidencyonalnych! bo wszystkie tak logicznie wypływały jedna z drugiéj, a wszystkie tak do jednego dążyły!— Nie mówię tu już o tych żarliwych, gwarliwych, a przecież nie swarliwych dysputach, które za każdym twoim przyjazdem do Wilna, staczaliśmy jak w szrankach, na wieczorach u pana Tomasza, o klassyczności i romantyczności, o balladach i odach, lub, jak się ty wyrażałeś: o Febie i Belzebubie. Dysputy te rzeczywiście były pewnym rodzajem turnieju, w którym, aspirujący do złotéj ostrogi giermkowie, jak np. ja i Oleś, wprawiali się i zaprawiali do walki, krusząc kopije lub goniąc na ostre z passowanymi rycerzami, jakimi byłeś np. ty i Rosołowski. Ale zatoż po stro-

nie naszéj był cały prawie zastęp publiki spektatorskiéj, ktory nam siły i odwagi dodawał; a wy we dwóch, pomimo stentorowego głosu pana Stanisława i ostrza twoich konceptów, pomimo nawet niekiedy pomocy pana Tomasza albo Czeczotta, którzy jako bezstronni sędziowie turnieju, „wiatr i słońce“ po równo obu stronom dzielili i zbyteczny zapał nasz hamowali; wy, mówię, coraz widoczniéj traciliście grunt pod nogami, tém bardziéj, że i wasze literackie sumienie nieraz pewno *in petto* przemawiało za nami. A przecież, ile sobie przypominam, te spory, które mię najprzód względem ciebie na pewny stopień równości podniosły, a pomimo całéj pozornéj szorstkości lub gwałtowności w słowach, serca nigdy nie zajątrzyły: same owszem te spory były jakby dalszym szeregiem ogniw, z których się stosunek nasz splatał, i które nas—mnie przynajmniéj w myślach z tobą łączyły. Kiedy zaś je porównam z Warszawskiemi, które tam potém z miejscowymi klassykami staczałem, mój Boże! cóż to za różnica! Z nas każdy do upadłego bronił swojéj tezy, ale że przytém nie myślał o sobie: w przeciwniku téż widział nie nieprzyjaciela, który chce plon jego podeptać, ale tylko współpracownika, który chce wspólną niwę po swojemu uprawiać, ale zawsze zarówno dla jéj dobra pracuje. Ztąd téż i ta różnica stosunku między dysputantami, i nakoniec skutku tych dysput. Nasze dałyby się przyrównać do studenckiéj gry w śnieżki, w której guz od lodówki choć bolał, ale nie gniewał, i w któréj porażony nawet, był zawsze w końcu jak ów kolega Karpińskiego,

o którym on we wspomnieniach swoich szkolnych powiada:

„I od nas zdrapany cały
Całował nas Tomcio śmiały.“

U nich, to jest w Warszawie, rzecz inna! Tam wszystko nastrojone na ton salonowy. Osobistość, a nie rzecz sama, stoi zawsze na piérwszym planie. Otwarta sprzeczność zdania, poczytuje się za niegrzeczność, i jako taka, sprawia zwykły swój skutek— obrazę. To téż u nich rozdział obu obozów jest dziś daleko większy, niż był na początku; niezgodność wyobrażeń przerodziła się w osobistą niechęć. U nas przeciwnie, osobista przychylność wpłynęła nawet na zmniejszenie różnicy w zdaniach, jeśli nie na ich całkowitą przemianę. Ty np. chociaż zawsze Belzebuba i ballad nie lubisz, dla autora wszakże *Grażyny*, *Dziadów* i *Wallenroda*, wspólne nasze uwielbienie podzielasz, i po naszemu kochasz jego samego. Szydłowski zaś i Rosołowski, jak słyszę, tłómaczą już coś podobno z Byrona, chociaż tylko z prozy francuzkiéj. Kiedy tymczasem w Warszawie, w opinii np. Koźmiana i Osińskiego, Adam stoi zawsze niżéj od Jaxy, a Byron kwalifikuje się do czubków!

Ale dosyć tych wspomnień o dysputach! Inną scena stoi mi w oczach. — Względem początku naszego stosunku, jest to odwrótna strona medalu; względem przyszłego — początek; i którą ja przeto za punkt środkowy, a ze względu na siebie samego, za najbardziéj prowidencyonalną uważam. „*T'en souviens-tu?*“

pytam więc znowu, gdy przyjechawszy do Wilna na kontrakta w r. 1823, wprost z bryczki, jako synowiec p. Jana, wpadłeś na scenę amatorskiego teatru, właśnie podczas ostatniéj próby żywych ruchomych obrazów z „Jerozolimy Wyzwolonéj“ Tassa?— Pomimo wszystkich twoich cnót, zalet, przymiotów i zasług, byłeś w téj chwili nic więcéj, jak kontraktowy Zawilejski szlachcic. A ja! — ja w roli i w kostiumie Torquatta! ja pomiędzy Armidą a Kloryndą! w pośród grona rycerzy we zbrojach! ja byłem jakby punktem środkowym—bo słów moich wszyscy słuchali, ażeby do nich, jak do muzyki w tańcu, swoje pozy i ruchy stosować! Mów co chcesz, mój dobrodzieju! ale byłem — a przynajmniéj powinienbym był być w oczach twoich w téj chwili, czém ty niegdyś dla mnie w Horkolach!—I gdy w dniu saméj reprezentacyi nazajutrz, Rüstem moich słuchaczów poustawiał w ramach, a ja *solo* na przodzie sceny, z piórem w ręku, jako Tasso zasiadłszy, słowy Piotra Kochanowskiego tłómaczyłem uszom szanownéj publiczności to, na co poza mną jéj oczy patrzały; i kiedy grzmoty oklasków jak huragan przelatywały przeze mnie; azaż nie miałem prawa czuć radości i chluby, choćby tego dziada-dzwonnika, który dzwonił na piękne kazanie?— Gdy więc pomimo téj miłéj, i nawet arcy miłéj sensacyi, ja sam, z własnego natchnienia, zaproponowałem ci piérwszy, ażebyś mnie na drugiéj reprezentacyi zastąpił; zastanawiając się dziś nad tym faktem, nie umiem go przypisać czemu innemu, jak chyba podszeptowi dobrego mojego Anioła, który mnie, we mnie samym, do zwycięstwa

przyjaźni nad próżnością dopomógł. Bo kto wié, czy ty bez tego zapraszałbyś mię tak uprzejmie, abym ciebie podczas wakacyi odwiedził? Bo gdyby nie ta, i nie taka inwitacya twoja, nie byłbym pewnie gościem twoim w Dziewiętni, a więc i współgospodarzem owego pamiętnego podwieczorku na nowym twym *Helikoniku*, dla pięknych sąsiadek z Ruskiego Sioła, które z tych moich niegdyś współbierzmowanek wyrosły! [1]) A gdybyż słońce i xiężyc dnia tego nie świeciły były nad nami, to kto wié, czybyś ty dotąd nie siedział sam jak puszczyk w pustym swoim domu, lub jak Symeon Słupnik na swoim Helikoniku? a mnie —aż strach pomyśleć, jakby mogło być ciemno i zimno na świecie, kiedy Adam wkrótce odjechał, a i ja także znalazłem się śród obcych! — Otóż tobie ja to właśnie winienem, że dom twój, przez lat siedem Jakóbowéj służby, był dla moich myśli i marzeń jak słońcem, koło którego one jak planety krążyły, a ja sam, jak ziemia do słońca, zbliżając się raz na rok do niego, rozkwitałem jak ona po zimie, i brałem zeń nowy zapas ciepła i siły na zimę.— A gdybyż nie ostatnia bytność moja u was! gdyby nie przyjacielskie pośrednictwo twoje! czyż mógłbym tak swobodnie i spokojnie, jak teraz, używać chwil obecnych w podróży, nie wiedząc co mię spotka za powrótem do was, i czy mię powitacie i przyjmiecie jak swego? — Wiém ja wprawdzie, co są ludzkie nadzieje; ale śmieléj się

[1]) Obacz. „*Dwie Konwersacye z Przeszłości*", przez Ignacego Chodźkę. Wilno. 1857 r.

jakoś ufa Opatrzności, mając zabezpieczenie i pewność od ludzi.—Otóż tedy, drogi mój benefaktorze! latusując dziś długi wdzięczności i chcąc ci od twojego uczciwy procent wypłacić, nie dziw się, a może i nie gniewaj, że tém całkiem i jedynie zajęty, nic ci nawet w tym liście nie wspominam o Rzymie; chociaż w istocie, sama ta myśl, że w nim rok i nowy lat dziesiątek zaczynam, tak mię często elektrycznie przebiega i wstrząsa, że tylko w myśli o was mogła znaleźć rywalkę, która nad nią górę wzięła w téj chwili.

A teraz co mam życzyć?—Obyśmy! obyście!
Z wszystkiego byli radzi — i przestali na tém!
A ja w tym nowym roku mógł cię nazwać iście,
Jako dziś kończę stary, piszac się twym bratem.

VII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 1 Stycznia 1830 r.

Nowy Rok bieży,
W Rzymie śnieg leży,
Tyber się wzdyma,
We Włoszech zima!
Przyjechał sanną
Il Capo d'Anno.

Wszyscy tu go dziś sobie winszują i życzą aby był *buono* (dobrym), choć wszyscy są przerażeni tą jego niezwyczajną, trupią, to jest białą i zimną fizyognomią. Starzy kardynałowie, bogacze i elegantki, leżą, jak słychać, w łóżkach, aby *szlachetnego zdrowia* i wdzięków nie narażać na oddech zimy, która dla nich jest białém widmem: Bo zima jest tu formalna, jakiéj od niepamiętnych lat nie pamiętają. Po słotach przed świętami i po świętach, Tyber najprzód tak wezbrał i rozlał, że na naszéj *Via del Orso*, niedaleko od mostu św. Anioła, powozy brnęły w wodzie po kłódki, a dla pieszych kładziono kładki zamiast trotoarów po bokach. Z mostu zwłaszcza był widok ciekawy i piękny. Fale *płowego* Tybru, żółto-szarawego koloru, pieniąc się, szumiąc, rycząc koło arkad mostu, tryskały jak fontanny do góry, albo wrąc i wi-

[redacted]

rując jak Scylle i Charybdy, wzbierały i wylewały na brzegi. Wprawdzie mniéj więcéj to samo można widzieć i u nas z *Zielonego Mostu*, kiedy „naszych strumieni rodzica“, wyrywa się z pęt zimy, jak z pod straży groźnéj mistrzyni, aby biedz na spotkanie „Niemna obłubieńca.“ Ależ to Tyber, Mości Dobrodzieju! i możemy teraz powtórzyć z twoim przyjacielem Horacym:

„*Vidimus flavum Tiberim retortis violenter undis*“, i t. d.

Ale tymczasem po tych słotach nastąpiły przymrózki od 5—6 stopni, i na ulicy naszéj chłopcy ślizgali się po rynsztokach, jak my niegdyś z xiążką pod pachą, by się rozgrzać idąc do szkoły. Na placach, a zwłaszcza na Hiszpańskim (*Piazza di Spagna*), śmiech brał słysząc kwakanie przerażonych kaczek, które chodząc piechotą po miednicach fontann, przysiadały co chwila na przejrzystym lodzie, i zrywały się z krzykiem, czując chłód i twardość pod sobą. Aż tu nakoniec i śnieg padać zaczął. Pan Potocki Artur na wieczorze u siebie mówił do kilku Signorów Rzymskich, że kazał już robić sanki, w których chce odbyć szlichtadę po Rzymie, i jak w tryumfie wjechawszy na Kapitol, tam je jako trofeum na pamiątkę zostawić. Wprawdzie jeden z tych panów zrobił mu uwagę, że będzie musiał chyba, jak niegdyś Ossoliński, dosypywać do śniegu miałko tłuczonego cukru, aby polskiéj fantazyi dogodzić; ale gdyby on miał istotnie ten zamiar, a sanki były już na dzisiaj gotowe, toby się i bez tego expensu obeszło. Śnieg na ulicy naszéj jest głęboki po kostki. Nas nie tylko to nie przeraża,

ale owszem rozwesela prawie i bawi. Bonstetten opowiadał, że będąc w Kopenhadze, gdzie wiatr zwłaszcza był dla niego nieznośny, spotkał jakiegoś Lapończyka, który się właśnie na brak wiatru uskarżał. My wprawdzie nie wzdychamy tak bardzo do zimy, ale jakoś nam rzeźwiéj i ciepléj, (przynajmniéj na ulicy), przy sześcio-stopniowym mroziku, niż przy téj, do szpiku kości przenikającéj wilgoci, któréj dzisiaj Włosi żałują, i nie mniéj może życzą sami sobie pozbyć się co najprędzéj téj śniegowéj białości, jak białych Austryackich mundurów.— Ale najgorszym horoskopem na ten rok nowo-zaczęty jest przepowiednia śmierci panującego Papieża, w którą wszyscy tu wierzą jak w pewnik, a i sam Pius VIII, jak mówią, wiarę tę podziela. Jest to prosta, ale dowolna kombinacya liczbowa, złożona z roku śmierci i tytułowych numerów dwóch jego poprzedników, na których już się ziściła, a do trzeciego tylko ma się jeszcze stosować. Oto jest ona: Pius VII nastąpił po Piusie VI: 7+6=13; dodać do tego (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII, nastąpił Leon XII: 7+12=19, a *plus* 10=29. Leon XII umarł w r. 1829. Że zaś panujący dziś Pius, ma numer VIII, a 8+12=20, a +10=30, więc Pius VIII *musi* umrzeć, jak mówią, w roku dzisiaj zaczętym, 1830. Obaczymy, jeśli sami dożyjem, czy umrze? [1] Tymczasem zaś jestem bardzo ciekawy, ale się u nikogo dopytać nie mogę, kiedy ta przepowiednia na-

---

[1]) Umarł istotnie w Listopadzie 1830 roku.

stała, i czy o niéj dzisiejszy Papież wiedział już piérwiéj, czy téż dowiedział się dopiéro po przybraniu już nazwy Piusa VIII? Skoro albowiem wybór tytułowego numeru zależał wprost od jego woli, to któżby mu zabronił przybrać np. imię Jana, który już byłby podobno XXIII czy XXIV-tym z rzędu, a więc na mocy téj proroczéj rachuby, mógłby przynajmniéj połowę lat Piotrowych spokojnie na stolicy jego przesiedzieć. Wprawdzie ma on być tak bogobojny i święty, że go myśl blizkiéj śmierci wcale nie przeraża; Rzymianie zaś najbardziéj lękają się o to, aby znów nie przypadła na czas karnawału, jak w roku zeszłym śmierć Leona XII, która ich pozbawiła téj najmilszéj im dorocznéj fety. Dla nas byłaby to podwójna fatalność: być w Rzymie, a nie widzieć Papieża, i karnawału!— Ale źle może nawet że piszę ci o tém na początku noworocznego listu! Szczęście tylko, że nie z tą myślą brałem się do pióra, i tylko odblask śniegu z sąsiedniego dachu, przypomniał mi żakowską noworoczną piosenkę u nas, którą wziąłem za motto listu.

Bo ty wiész, że ja wierzę we wróżby i przepowiednie, i to nie tylko *in verba magistri* (np. samego Adama), ale i z doświadczenia własnego. I tak np. nie szukając daléj: Rok przeszły ja sam zacząłem w roli czarodzieja, i sam nań sobie wywróżyłem horoskop, w którym, jak dziś uważam, jest coś nakształt prawdy. Było to w Warszawie, na balu u pani hr. Potockiéj, wdowy po byłym ministrze oświecenia, koryfeuszu niegdyś klassyków warszawskich. Była na nim cała Warszawa; a ja w osobnym gabineciku, śród

dwudziestu może panienek, pod patronatem pięknéj pani Katarzyny Lewockiéj, topiłem dla nich nad fajerką cynę, którą każda z nich po kolei, rączką własną, wylewała z żelaznéj łyżki do srebrnéj miednicy z wodą, na wróżbę dla saméj siebie. Było pełno gwaru i śmiechu, ale może i cichych westchnień, jeśli wróżba nie po myśli wypadła. Bo choć to officyalnie miał być tylko żart i zabawa, nie obeszło się pewnie i bez skrytéj wiary w rzecz samę! Dowód tego mam sam na sobie. Bo gdy w końcu stopiłem i wylałem cynę dla siebie, utworzyła się z niéj jakaś bryłka podłużna, w któréj najprzód wesoła panna Rozalia Biszpink upatrzyła istotnie podobieństwo do kształtu trumny. Nie obeszło to mnie bynajmniéj; ale gdy już w godzinę może po północy, po uroczystém wesołém spotkaniu Nowego Roku, spójrzałem na mój zegarek: oba indexy stały nieruchomie jeden nad drugim, na samym czarnym punkciku godziny 12-téj, i jakby tylko czekały na spójrzenie moje, poruszyły się same i poszły daléj, bo zegarek był nakręcony i one nie zaczepione o siebie [1]). To już, w połączeniu z ową bryłką cyny, wyznaję, że mi dało nieco do myślenia, i nieraz potém, w ciągu zwłaszcza piérwszego kwartału, lada mocniejszy ból głowy zdawał mi się początkiem ziszczenia się wróżby. Następnie wszakże zapomniałem o niéj zupełnie, ale przypomniawszy

[1]) Okoliczność tę, z mojego opowiadania, Mickiewicz przytoczył potém w ostatniéj części *Dziadów*, stosując ją do kogo innego.

[illegible] ziś w nocy, wiész, że nie uważam jéj za cał[illegible]m fałszywą; tylko, że jak zazwyczaj każda przepowiednia, miała sens dwuznaczny — duchowy. Nie umarłem wprawdzie, bo kto umarł, ten, jak mówi Fredro:

> [illegible] już więcej nie żyje,
> I już więcéj nie chodzi, [illegible] jada, nie pije,“

a zaś w krainie duchów, [illegible] baby u nas pod kościołami śpiewają:

> „Ani na pocztę lis[illegible] oddają,
> Ani téż piszą, jak[illegible] tam mają.“

Ja zaś chodzę, jém, [illegible] piszę do ciebie i donoszę, że się, Bogu dzięki, ma[illegible] doorze. Ale żart na bok! — kiedy wspomnę sam siebie, jakim byłem przed rokiem, i porównam go z sobą, jakim jestem i czuję się dzisiaj: istotnie miałbym prawo powiedzieć, że ten dawny *ja* umarł we mnie, a inny jakiś przywdział moję postać, jak np. Merkury Sozyi w Amfitryonie. Nie myślę porównywać obu tych ichmościów, ani żadnego z nich ganić lub chwalić: bo i ta metamorfoza, o któréj mówię, odbyła się całkiem bez ich łaski, to jest bez woli lub pracy ich samych, a tylko wprost ze zrządzenia i łaski Opatrzności, za ktore Jéj téż tylko dziękuję. Człowiek moralny, równie jak fizyczny, sam nie wié i nie czuje jak rośnie. Z dawnych tylko swych wyobrażeń i poczuć, może chyba, jak ze staréj odzieży, poznać sam ile urósł, albo czy zmizerniał lub utył. Otóż cała moja garderoba warszawska, która tam była dość modną, wydaje mi się dzisiaj tak czer-

kieską i kusą, że się wstyd w niéj ludziom pokazać;— a tymczasem nowa, niestety! zaledwie się fastrygować zaczyna.

Pomimo jednak tylu zmian ciągłych i wrażeń, od piérwszego mojego listu z podróży, to jest z Brześcia, do ciebie, ostatni tydzień wczorajszego roku, kto wié czy nie najwięcéj może przyczynił się do ich skupienia i samopoznania, jeśli nawet nie do postępu naprzód. Część przyczyn wiész już z mego poprzedniego listu; ale i ostatnie trzy dni tego tygodnia przeszły mi w tak szerokim i górnym nastroju myśli i serca, że możnaby je nazwać latusem, czy koroną całego roku. *Finis coronat opus.*

Panna Henryetta zrobiła projekt, aby dni te poświęcić wyłącznie obejrzeniu samych tylko najgłówniejszych pamiątek *staréj*, i samych tylko arcydzieł *nowéj* Romy, tych zwłaszcza, które na kimkolwiek z nas, przy piérwszém ich widzeniu, największe sprawiły wrażenie; a to, ażeby w ten sposób wrażenia te ożywić i zsumować w pamięci. Projekt ten znalazł żywe poparcie w Adamie, i skutkiem tego, w ciągu tych trzech dni ostatnich, zwiedziliśmy razem: najprzód, wszystkie większe stare ruiny, zaczynając od *Forum* i od *Colosseum;* potém, wszystkie bazyliki i najpiękniejsze kościoły, zaczynając od św. Piotra, i nakoniec wszystkie prawie galerye i muzea, zacząwszy od Watykańskiego. W tych ostatnich, postanowióném było, zatrzymywać się i patrzeć na to tylko, co było objęte programem, ułożonym z góry przez Tryumwirat: w którym, pod prezydencyą twórczyni

9*

projektu, zasiadali Strzelecki i Adam. My drudzy byliśmy tylko jak klienci owych dawnych Tryumwirów Rzymskich, zanoszący instancye za tym lub owym obrazem albo posągiem, aby nań można było popatrzeć, jak tamci za tym lub owym przyjacielem czy nieprzyjacielem swoim, aby ocalić lub ściąć jego głowę. Gdybym więc zdał ci sprawę z tych naszych wycieczek, miałbyś całą *ekwintessencyą* Rzymu; — co wszakże, jak wiész dobrze, w program listów moich nie wchodzi. Powiém ci więc chyba przelotem, np. *à propos* Apollina Belwederskiego: że nie widząc go, nie miałem pojęcia, ażeby piękność męzka była rzeczywiście tak piękną; i ztąd przyszedł mi pomysł, czy koncept, że towarzyszka piérwszego człowieka, przez nic innego jak przez zazdrość, (ma się rozumieć po wygnaniu z raju), zaczęła się tak wdzięczyć sztucznie i stroić, aż przywłaszczyła nakoniec płci swojéj wyłączną nazwę *piękněj*, i zaszczepiła w niéj gust do elegancyi i strojów, które jéj saméj do zwycięztwa pomogły. Nie pisnąłem ani słówka o drugim, silniejszym jeszcze w téj walce orężu, t. j. o kokieteryi, chociaż o niéj istotnie myślałem; a mimo to obie panienki sfukały mię okrutnie za to moje *dictum*, i panna Henryetta zagroziła nadto, że za każdém wspomnieniem o Apollinie, przypomni téż i o tém mojém „dubeltowém“ bluźnierstwie.—„Byle razem i o mnie samym,“ odpowiedziałem; i groźba nie zdała mi się tak straszną. Zatoż przy oglądaniu Mojżesza, posągu Michała Anioła, w kościele św. Piotra w okowach, (*S. Pietro in vincoli)*, całe grono z łaskawym uśmie-

chem przyjęło moję uwagę: że jeżeli jest prawdą, co mówią, że Napoleon brał lekcye chodzenia od Talmy, aby i przez to jeszcze imponować światu; to mocarze wszystkich krajów i wieków, powinniby się uczyć od tego, chociaż bez-ocznego posągu, jak mają spoglądać na ludzi, aby ci się im oprzeć nie śmieli. — Przytaczam ci tę parę żartów dla tego, aby ci dać wyobrażenie, w jakim zwykle nastroju humoru i myśli odbywał się ten przegląd arcydzieł. Ani pedantycznych rozpraw, ani deklamatorskich wykrzykników nie było; chociaż nieraz ogólne milczenie było wyrazem głębszego, ogólnego wrażenia.— Przed sławnym *Gladyatorem*, w muzeum Kapitolińskiém, panna Henryetta przedeklamowała z pamięci, przecudne o nim strofy z *Childe-Harolda* Byrona, a Adam, na wezwanie Strzeleckiego, aby coś podobnego napisał o Rzymie, odpowiedział: że Byron, jak Horacyusz Kokles, stanąwszy na moście, wszystkim przyszłym poetom drogę do opisów Rzymu zagrodził.

A więc *quod non licet Jovi*,
Miałożby *licere bovi*?

To jest, jaż miałbym daléj pisać tu o Rzymie? Nic z tego. Miéj dość na tém, co już napisane; tém bardziéj, że nie samo to oglądanie Romy stanowiło ów urok i górność dni, o których mowa. Po nasyceniu się rano duchowie, architekturą, rzeźbą, malarstwem; na posiłek cielesny, przez wszystkie te dni byliśmy zaproszeni z góry na *Via Mercède*, gdzie zaraz po obiedzie, o szaréj godzinie, przychodziła na wety

muzyka. Panna Henryetta siadała do fortepianu, Adam przy niéj na krześle, a ja na małéj sofce z panną Marcelliną w kąciku, pozwalając sobie niekiedy półsłównych i półgłośnych rozmówek, aby i harmonii nie mącić, i samemu przy niéj nie usnąć. Wniesienie światła było zwykle hasłem odejścia, i albośmy wstąpili na godzinkę do xiężny Zeneidy, albo wprost powracali do domu, ażeby téż przecie odpocząć. I ten to odpoczynek właśnie był najbardziéj korzystnym i najmilszym dla mnie. Adam był ciągle w doskonałym humorze, i możnaby powiedzieć, w natchnieniu. Reassumowaliśmy wspomnienia kończącego się lat dziesiątka, który i osobiście dla nas, i dla wszystkich naszych przyjaciół, i dla literatury naszéj był tak obfity w wypadki i zmiany. Adam, prócz Gustawowych i sonetowych wspomnień, których zgoła nie tykał, — rozpowiadał szeroko o sobie, o wrażeniach i wpływach, po wyjeździe z Wilna, i o swoich wewnętrznych w skutek tego przemianach; co téż i myśl moję na siebie pod tym względem zwróciło. Ale on nie przestając na tém, a ogarniając myślą świat cały, a przynajmniéj Europę, tak przytém jasno i treściwie obecny stan jéj moralny i umysłowy malował, i takie zeń wyciągał horoskopy na przyszłość: że to myśl i wyobrażenia moje rozciągało jak zsuniętą lornetkę, tak, żem tysiąc rzeczy albo wyraźniéj i jaśniéj, albo nawet po raz piérwszy obaczył. Do tych należy mniéj więcéj i ta moja metamorfoza własna, którą sam w sobie postrzegłem.. — Ale mamże potrzebę dodawać, że mówiąc o przyjaciołach i o wpływie przyjaźni, nie

mogłem zapominać o tobie, i sam, opowiadając Adamowi, odnowiłem z rozkoszą w duszy całe pasmo naszego stosunku: od owéj pamiętnéj mi wiecznie chwili w Wilnie, gdyś ty, w pośród najszkaradniejszéj, ciemnéj, dżdżystéj, burzliwéj nocy, wpakował mi się gwałtem do ciasnéj furmańskiéj budki, aby mię przeprowadzić o całe siedem mil do Oszmiany, gdy ja, wezwany do chorego ojca, do jutra nawet, dla wzięcia pocztowéj *podorożnéj*, wyjazdu zwłóczyć nie mogłem. Odtąd to, mój drogi Juljanku! stałeś się dla mnie tém, czém jesteś dotąd: przyjacielem, o którym przekonany jestem, że mię nikt szczerzéj na tym świecie nie kocha, i któremu ja równąż wzajemnością odpłacam. A że mię zaś, jak mówisz, uważasz za człowieka przeznaczenia dla siebie: to niechże i ten mój list noworoczny

Kończą życzenia—i Bóg daj wróżba,
Bym twój przyjaciel i brat od serca,
Mógł cię téż kiedyś, jak swat lub drużba,
Z piękną a miłą wieść do kobierca. Amen.

VIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 Stycznia 1830 r.

Rozpieściłem cię i zepsułem, jak widzę, kiedy śmiész stroić fąfry, że przez jakieś dni kilkanaście nie pisałem do ciebie; chociaż w tym właśnie czasie wyexpedyowałem list do Ignacego, który, podług umowy, miał téż dojść i do rąk twoich. Nie aby jednak cię skarcić i od napierania się oduczyć, tą razą dwa razy dłużéj nie wziąłem pióra do ręki. Ale dość niech ci napiszę summaryusz dni tych ubiegłych, a obaczysz czy był czas kiedy odszpuntować kałamarz.

Otóż najprzód, byliśmy o włos od śmierci. Potém, byłem — czy raczéj miałem być wyzwany na pojedynek. Potém, zacząłem uczyć się na seryo po włosku, a na wpół żartem uczę pannę Anastazyą po polsku, i sam nawzajem uczę się od niéj — czego? Nie bój się, myśląc może o lekcyach Alfa z Aldoną! — chociaż dla odegrania to właśnie roli jéj kochanka, którą mi sama narzuciła gwałtem, musi mię teraz uczyć lepszéj pronuncyacyi francuzkiéj: *je, de, que* i t. d., z którą mam się popisywać niezadługo na przyjacielsko-amatorskim teatrze u xiężny Zeneidy. A cóż dopiéro mówić o innych niemniéj ważnych zatrudnieniach: o bieganiach, patrzaniach, i wizytach dziennych; o balach,

rautach i spektaklach wieczornych; po których gdy się wróci do domu, to tak już oczy się mrużą, że do niczego nie służą. Ranki zaś są wyłącznie poświęcone czytaniu, albo *solo* Gibbona, którego już przecie domęczam; albo razem z Adamem, Aryosta. To jest, ja czytam głośno, kiedy on pali fajkę przy kawie; on mi tłómaczy czego nie rozumiem; a czego nie rozumiemy obydwa, to już ja muszę wertować dykcyonarz, aż sens wyjdzie jak szydło z worka. I tym sposobem przeczytaliśmy już całe pięć pieśni. A pisało się téż i swoje wierszydła. — Słowem, czasu na list nie było. Codzień tylko notuję tytuły treści, o czém kiedyś potém mam pisać. Ale tego rodzaju notatki, to są tylko jak kądziel u kołowrotka:

Który wprzód musisz kręcić jak wiewiórka,
Nim za pomocą piórka,
Jak wrzeciona i wiórka,
Uda ci się wyprząść nić,
I na kłębek listu zwić.

A i dziś pewno jeszcze nie zabrałbym się do tego, gdyby nie deszcz jak z wiadra i nie ból zębów Adama, dla których przez dzień cały nie ruszamy się z domu.

A więc dla porządku wątku,
Czytam z notat od początku.

O włos od śmierci. Na trzeci dzień po Nowym Roku takie było szkaradne zimno, że gdy ani worek na nogach, ani rękawiczki na rękach nie broniły ich od zmarznięcia: przypomniałem o *karbonelli*—(pisa-

łem ci już kiedyś, co to jest karbonella); i wkrótce blacha napełniona żarem, stanęła na środku pokoju. Widać, że i nos także był zdrętwiał od zimna, żeśmy swędu węgli nie czuli. Ja owszem przez oszczędność cieplika, zamknąłem drzwi od drugiego pokoju. Rozkoszna aura otoczyła nas; i pogadawszy ze czcią o naszych piecach, a złorzecząc klimatowi włoskiemu, zatopiliśmy się: ja w zbrodniach, Adam w cnotach Romy; to jest, ja w czytaniu Gibbona, a on—Liwiusza. Po niejakim czasie dopiéro poczułem jakąś szczególniejszą senność; ale że mi się to często nad poważną xiążką przydarza: nie zwróciłem na to uwagi, i tylko usiłowałem przemódz Morfeusza. Z Adamem było toż samo. Aż gdy wreszcie wszelkie usiłowania okazały się daremne, zaczęliśmy obaj drzémać w najlepsze. Nie wiém jak długo trwała ta drzémka; ale bodaj iżbyśmy się już z niéj chyba aż na tamtym świecie ocknęli, gdyby szczęściem nie przyszedł do nas xiądz Parczewski. Na kilkakrotne pukanie, jak mówił, nie odbierając żadnéj odpowiedzi, otworzył drzwi, i krzyknął z przerażenia, poczuwszy gaz zabójczy napełniający powietrze. Głos ten obudził nas przecie; ale ja, gdy chcąc powstać, chciałem najprzód rozwiązać worek, który mi nogi krępował: poczułem że mi ręce nie służą; Adam zaś, siedzący po turecku, gdy się podniósł z kanapy, zatoczył się, jakby mu nogi pocierpły. Obaj byliśmy zupełnie jak pijani. X. Parczewski otworzył wnet oba okna; a widząc, że się nie możemy poruszać, zawołał gospodyni, i z jéj pomocą wyprowadził nas za drzwi na wschody. — Nie

będę opisywał symptomatów dalszych; ale były one tego rodzaju, że przestraszona gospodyni sprowadziła jakiegoś felczera, który mieszkał na naszéj ulicy, a ten kazał nam zlewać głowę zimną wodą z octem, pić rumianek, i położyć się do łóżka; co zresztą i bez niego musielibyśmy uczynić, bo sił do chodzenia nie było.— Poczciwy Parczewski siedział przy nas aż do wieczora, i nie wprzód odszedł, ażeśmy zasnęli. Ale gdyby był przyszedł o godzinę późniéj, to kto wié, czyby już nas nie znalazł uśpionych snem wiecznym. I ludzie jeszcze gotowi byliby myśléć, żeśmy się dobrowolnie *zaasfixiowali*. — A coby to był za przedmiot do ballad dla przyszłych romantyków! jak np. nasz p. Bogdaszewski, który i tak już — niech mu Bóg nie pamięta!— straszną o mnie balladę napisał, gdy, jak wiész, przed czterema laty rozeszła się była pogłoska, (może nawet zmyślona przez niego), o zabiciu mnie jakoby przez zbójców.

W balladzie téj, jeśli pamiętasz, figuruję jak jakiś zdradziecki Don Juan, którego duch mściwéj kochanki, w postaci ptaka, na zasadzkę zbójecką wprowadza. Ztąd téż i tytuł ballady: *„Ptak złéj wróżby.“*—Ale jakiby to być mógł z tego wyborny wodewil, a przynajmniéj farsa romantyczna, pod tytułem np. *Ballada*, gdyby dodać do tego tę arcy tragiczno-komiczną scenę, jaką z rzeczy téjże pogłoski miałem z Muzą romantyczności naszéj: Marylią, i jéj mężem. Mniejsza, że ci to może opowiadałem już kiedy! Teraz plan wodewilu snuje mi się w głowie. Słuchaj więc, i gwiżdż albo klaskaj!—*Scena I. Karczma w Bolciennikach.*

Ja—(w wodewilu poeta)—jadąc wprost z Giejstun, zajeżdżam, aby się przebrać z podróży, i poetyczniéj od razu we dworze zaprezentować się oczom Marylli. (W wodewilu, ma się rozumieć, Marylla byłaby nie cudzą żoną, nie gospodynią, ale córką domu; zawsze jednak żarliwą zwolenniczką romantyczności i ballad, i celem westchnień — nie jednego tylko, ale aż dwóch na raz romantyków i balladystów, z których jeden jest w Wilnie, a drugi to wszystko w karczmie wypowiada poetycznie w monologu). *Scena II.* Wchodzi jakiś nieznajomy staruszek — (w rzeczywistości, poczciwy pan komornik (geometra) Sadowski; w wodewilu zaś mógłby to być jakiś intrygant, przyjaciel owego drugiego poety w Wilnie). Nowy ten gość przybywa wprost z Wilna, i na zapytanie: Co tam słychać? opowiada pytającemu całą długą, tragiczną historyą o własnéj jego jakoby śmierci. (W wodewilu, narrator mógłby odczytać i ową balladę—któréj *geneza* musiałaby być taka: Autor jéj, ucieszony z pozbycia się rywala, ale bojąc się jeszcze żalu po nim, napisał ją właśnie w tym celu, aby i pamięć jego w oczach wspólnéj bogdanki ohydzić, i przesyła jéj tę swoję ramotę przez swego powiernika, który, przez romantyczne zrządzenie wyroków, odczytuje ją najprzód żywemu jéj bohaterowi). Ale i w wodewilu nawet nie trzeba byłoby nic dodawać ani zmieniać w dyalogu, jaki miał rzeczywiście miejsce między mną a szanownym panem komornikiem: gdy ja—po wysłuchaniu powieści i ubolewań jego—dziękuję mu za to współczucie i rekomenduję się kto jestem, a on z największém oburzeniem porywa

się z miejsca wołając: „Mój panie! nie na to doczekałem białych włosów, żeby ze mnie lada młokos żartował!“ — i porwawszy za czapkę, zatrzasnął drzwiami i wyszedł. *Scena III.* W wodewilu—poeta przed wyjazdem z karczmy układa najprzód satyryczną replikę na balladę rywala i arcy-sentymentalny sonet do bogdanki.— W rzeczywistości zaś—ja wprost siadam na bryczkę, i w drodze do dworu duszę się od śmiechu, myśląc, jak tę przygodę gospodarzom opowiém.—Aż tu widzę, że już przed gankiem stoi bryczka pana komornika; wewnątrz zaś domu tymczasem odegrywa się *Scena IV* — tragiczna, (w wodewilu i w rzeczywistości taż sama), to jest, gość nowo-przybyły opowiada gospodarzom śmierć moję. A wtém— *Scena V*—ja wchodzę.— Marylla, cała drżąca z wrażenia powieści, postrzegłszy mnie wchodzącego, podbiega ku mnie z dziwnym jakimś wykrzykiem radości czy strachu, i łzy, na które już się było zebrało, wypłakuje ze łkaniem, jak na ramieniu brata; pan Lorens zaś, przerażony i blady gdy wszedłem—powraca raptem do zwykłéj swojéj miłéj wesołości, i wita mnie jak upiora. (W wodewilu, to wejście bohatera powinnoby może nastąpić w środku czytania ballady, a wywołane przez nią wrażenie, odkryłoby właśnie wchodzącemu uczucia, o których sam dotąd z pewnością nie wiedział, a których mu jego rywal zazdrościł. Tym sposobem *Ptak złéj wróżby*, stałby się owszem piérwszym zwiastunem *dobréj;* i w tém to właśnie byłby główny sens i dramatyczny węzeł akcyi wodewilu). Na zakończenie — konfuzya pana komornika

w rzeczywistości, mogłaby posłużyć za model aktorowi, którzyby w wodewilu grał rolę czytelnika ballady. Gdyż chociaż niby się cieszył, winszując mi rezurrekcyi mojéj, znać było jednak po nim, że mu szkoda tak ciekawéj powieści, któréj już z dobrą wiarą nie będzie mógł opowiadać przed nikim.—A co? czy plan wodewilu nie dobry?— A cóżby się w nim nie dało pomieścić poetyczno-romantycznych sentymentów—i śmieszności! — Doprawdy, nie żal mi wcale, że przerwawszy pisanie listu, z godzinę przeszło przemarzyłem o tém: jeśli czytanie rezultatu tych marzeń, sprawi ci choć dziesiątą część téj przyjemności, jaką mi one same sprawiły. — Adam tymczasem śpi sobie spokojnie, i może da Bóg, że prześpi ból zębów. Ja zaś wracam do kontynuacyi treści moich notat.

Pojedynek. Do nowych tu znajomości naszych przybył niedawno młody Alexander Wodzicki, z Krakowa, synowiec tamecznego Prezesa Senatu, o niewiele starszy ode mnie, wesoły, żywy, miły chłopak—ale troszeczkę przy tém junak i latawiec. Był już przedtém lat parę w Grecyi i służył tam w wojsku powstańców, zkąd go ojciec nakoniec odwołał. Teraz przyjechał do Rzymu jako podróżujący po Włoszech. Poznaliśmy się z nim przez Strzeleckiego, który go zna od dziecka i lubi, ale jako dawny znajomy i starszy, traktuje bez ceremonii, swobodnie, co się może i na nas odbiło. Ja byłem z nim w najlepszéj zawsze komitywie, nastrojonéj zazwyczaj na ton żartobliwy, i przezwałem go *Macedończykiem*, jako Alexandra i Greka. Otóż d. 9 t. m. w Sobotę, byliśmy wszyscy razem

wieczorem u Strzeleckiego. Adam z xięciem Olesiem grał w szachy, a pan Władysław Zamojski założył nam bank w faraona. Była to gra wprost dla zabawy. Poniterowaliśmy po *bajoku*, a wyższéj nad *paola* (nasz złoty) stawki być nie mogło. Mnie karta szła jak rzadko kiedy; Wodzickiemu przeciwnie. Ja przeto byłem wesół, a on widać zły wewnątrz, choć to, ma się rozumieć, pokrywał. Że zaś stawił upornie na damy i króle, to mi dało assumpt do żartów: stosując damy do dam, a brodate króle do Turków. Śmiech słuchaczów dodawał mi weny, a i on sam nie zdawał się gniewać. Rozstaliśmy się jak zwykle, t. j. jak mi się zdało, serdecznie. Ale nazajutrz, gdy wróciłem do domu z kościoła, Adam spotkał mię z jakąś dziwną miną i z pytaniem: co zaszło wczoraj między mną a Wodzickim? Widząc zaś moje zdziwienie, oddał mi list od niego, który sam był już przeczytał. Nie pamiętam go już teraz dosłównie, ale sens był taki: że ponieważ podobało mi się żartować wczoraj z niego, on przeto *ma honor* zapytać, jaki był powód tych żartów? aby wiedział, jak ma daléj postąpić. — Śmiech i złość wzięły mię razem; chciałem był nic nie odpowiedzieć; ale Adam zrobił uwagę, że właśnie takie milczenie byłoby rzeczywistą obrazą; — przyczém sypnął mi miarkę duchowego obroku: że nie można być zawsze studentem i chcieć wszystkich po koleżeńsku traktować.— Poszedłem więc po rozum do głowy, i załączywszy list Wodzickiego, napisałem sam do Strzeleckiego wierszem:

Macedończyk, jak widzę, nie zna się na żarcie,
Snać bez soli Attyckiéj jadł czarninę w Sparcie,
I tak się rozlakomił na krew, jak ów Drakon,
Co rylcem w krwi maczanym pisał tam swój zakon.
Ty więc go upamiętaj, kochany Antoni!
A jeśli ma świerzbiączkę bohaterskiéj dłoni,
To niech sobie znów jedzie kłóć i rąbać Turka,
Lub wraca do Krakowa, strzelać tam do kurka.
Bo ja mu na te hece nie dam się wywabić.
Wiém, że grzech jest zabijać; głupstwo, dać się zabić,
Kiedy człek nie wie za co?—A więc, niech się dowie
O tém chyba z ust twoich—wprzód niż mu odpowiém.

List ten miał taki skutek, że rozgniewany Strzelecki wsiadł z góry na Macedończyka i okiełznał go jak Bucefała. Że zaś to w gruncie dobry i poczciwy chłopiec: więc dał się Strzeleckiemu przyprowadzic do nas nazajutrz rano, a na stwierdzenie szczeréj zobopólnéj zgody, obu nas, i całe grono faraonowych graczów, na obiad we Wtorek zaprosił. Tak tedy co się zdało zaczynać groźnie pod znakiem *Lwa* czy *Tygrysa*, skończyło się wesoło—*pod Zającem.*

Zając ten nie jest tu żadną alluzyą do mojéj rycerskiéj odwagi, albo skórki zajęczéj; ale jest to po prostu nazwa sławnéj na cały Rzym restauracyi, (*Trattoria del Lepre*), w któréj cała średnia klassa miejscowa, oszczędniejsi wojażerowie, a zwłaszcza wszyscy literaci i artyści jadają. I my téż należymy zwykle do ich grona, kiedy nas kto nie zaprosi na obiad.—Jest tam kilkanaście pokojów, zastawionych stołami i stolikami, jak u nas. Obyczaj téż restauracyjny nie różni się od naszego; chyba, że usługują chłopcy, nie dziew-

częta. — O kuchni włoskiéj pisałem ci już, zdaje się, kiedyś, że jest wielce podobna do naszéj, to jest, że nasza za królowéj Bony wiele od niéj nie tylko potraw, ale nawet ich nazwisk przejęła; np. sztufada (*stuffata*), miszkulancya (*mescolanza*) i t. p.—Tuż naprzeciw *Zająca*, jest kawiarnia *Caffé del Greco*, którąby można uważać za zbiorowy punkt wszystkich artystów. Nie zauważyłem jednakże, aby im miała służyć za punkt zjednoczenia; bo albo siedzą pooso-bno i milczą, albo sąsiad z sąsiadem pocichu tylko rozmawia. Rozmowy głośnéj, ogólnéj, ja przynajmniéj nigdy świadkiem nie byłem; ale zatoż napatrzałem się mnóstwa zakazanych figur tych panów, (szczególniéj Niemców), z hiszpańskiemi bródkami *à la Vandyck*, z włosami *à la Raphael*, a mianowicie z burszowską miną i zarozumiałością w wyrazie twarzy. — Malarze nasi pod tym względem stanowią, Bogu dzięki, wyjątek. Wprawdzie jest ich dwóch tylko: Karczewski i Stattler. Piérwszy robi dobre pejzaże i udatne rodzajowe obrazki; ale co drugi, to już mistrz: malarz-poeta, nie artysta tylko i technik. To téż i jego wyobrażenia o sztuce wybiegają daleko poza zakres techniki sztuki. Widzę to z jego rozmów z Adamem, który go ceni wysoko. *Sztuka dla sztuki*, ten koncept estetyków niemieckich, jest dla niego takiém samém *absurdum*, jak dla nas. Wié on, że celem sztuk wszystkich jest wpływ ich na ducha ludzkiego; inaczéj będą to tylko czcze cacka, z tą chyba jedynie różnicą, że się w nie starsi a nie dzieci bawią. Dwa jego wielkie obrazy: *Mojżesz*, już wykończony,

i *Machabeusze*, nad którym właśnie pracuje, dają dowodne świadectwo, że teoryą swoję praktykować umié. Oba nie tylko są wielkie rozmiarem, ale i kompozycyą i stylem. Mojżesz na górze Synai przyjmuje sam tablice przykazań, na które lud zebrany czeka u stóp góry. Trzej bracia Machabeusze, otoczeni rodziną, słuchają poselstwa Antyocha, który się od nich hołdu i posłuszeństwa domaga. Taka jest treść tych obrazów. Allan, który je oglądał razem z nami, wielkie ich autorowi oddawał pochwały. Adam zachwyca się także portretem pięknéj jego narzeczonéj, Włoszki, z którą się wkrótce ma żenić, i nas z nią obiecuje zapoznać. Bo jest on szczerym przyjacielem naszym i domu państwa Ankwiczów, gdzie się z nim spotykamy najczęściéj. Towarzyszy nam także przy zwiedzaniu różnych galeryj, i ja przynajmniéj wiele z uwag jego korzystam.—Z pomiędzy teraźniejszych malarzy w Rzymie, ceni on mianowicie *Overbecka*, Niemca, który się, zdaniem jego, w pojęciu sztuki i w metodzie malowania najwięcéj do Rafaela przybliża. Wypędzono go nawet z akademii wiedeńskiéj za to, że do pojęć i metody jéj koryfeuszów, jako uczeń stosować się nie chciał. Dał więc krzyżyk Germanii, i na zawsze zamieszkał w Rzymie. Byliśmy u niego ze Stattlerem. Musi mieć lat około 40. Chudy, blady, fizyognomii przyjemnéj; z rysów zaś twarzy, ze sposobu noszenia włosów i axamitnéj czapeczki, zdaje się nawet nieco do portretów Rafaela podobny. Był dla nas niezmiernie uprzejmy, a gdyśmy mu powiedzieli o Allanie, oświadczył, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby on go

chciał także odwiedzić. Zdaje się, że być musi łagodny i skromny, o co tu między artystami nie łatwo. Portrety, obrazy i kartony jego roboty, które nam pokazywał, odznaczają się dziwną dokładnością rysunku, wyrazistością w twarzach, a prostotą i wdziękiem w układzie.

A byliśmy téż z paniami Klustin, z panem Douby i Bonstettenem w pracowni Cammuciniego, najsławniejszego dziś w Rzymie malarza, o którym ci już przedtém kiedyś wspominałem. To już nie skromna pracownia Overbecka, ale raczéj formalna galerya, składająca się z czterech izb większych i dwóch mniejszych. W jednéj z nich jest właściwa pracownia mistrza. Widzieliśmy tam ze dwadzieścia kartonów lub małych kopij rozmaitych wielkich jego obrazów, które się w różnych krajach obecnie znajdują. Największe są: *Odjazd Regulusa,* kupiony przez hr. Ostrowską za 2,000 skudów; *Śmierć Wirginii, Śmierć Cezara*, *Horacyusz Kokles broniący mostu, Wesele Psychy w Olimpie, Chrystus umarły*, i w. i. Właściwy obraz olejny był tylko jeden: *Św. Franciszek z Assyżu*, wskrzeszający, czy tylko uzdrawiający chorego; a na staludze jeszcze, nawpół wykończona Madonna, mająca podobieństwo do młodziutkiéj pięknéj jego córeczki, któréj prześliczny portret wisi obok na ścianie. Widzieliśmy téż sztychy różnych jego obrazów, za które Papież, jak nam powiadano, zapłacił 30,000 skudów. Nie dziw więc, że tu malarze mają, albo mieć mogą, nie tylko malowane pałace, tak, jak je téż sobie sławni śpiewacy i śpiewaczki tu-

[illegible] swym głosem, na wzór Amfiona bu-
duje. — Pan Cammuccini, poważny i zimny z pozoru, dla panny Anastazy, był pełen galanteryi i afektu, a więc i ją przyjmował z wyraźnem odznaczeniem traktował. Rozmawiał długo z Bonstettenem i Adamem, [illegible] Rzymskiej, i o ile ten dziś jeszcze w rzeczywistości i w sztuce się przejawia. Mówią, że jest żarliwym patryotą włoskim, ale się z tém nieraz nie wyjawia, i nawet stroni od tych, którzy jawnie za takich uchodzą, i nie rzadko z tego powodu bywają wydaleni z Rzymu; co się zwłaszcza kilku młodym poetom za Leona XII zdarzyło. Do właściwości jego jako malarza, ma jakoby należeć, że studyuje nie żywą wprost naturę, ale już idealizowaną w antykach; w czem się różni wręcz z Overbeckiem. W korytarzach też między izbami znajdują się odlewy z gipsu na sławniejszych posągów greckich.

Wyszedłszy od Cammucciniego, udaliśmy się do pracowni drugiego malarza, pana Ferdynanda *Cavalleri*, słynącego zwłaszcza z portretów. Portret teraźniejszego Papieża, naturalnej wielkości, w postaci klęczącej, jest rzeczywiście prześliczny, a ma być jakoby podobny jak dwie krople wody. Inne portrety są mniejszych rozmiarów, ale wszystkie prawie w całej postaci, i wyglądają jak żywe. Pracuje nadzwyczaj prędko, tak, że od połowy Listopada, jak sam mówił, zrobił już 32 portrety, za które bierze sowito. Za obraz przedstawiający Chór Kapucynów, a będący nie kopią, ale tylko naśladowaniem sławnego „Chóru Kapucynów“ Graneta, jenerał Pac zapłacił mu przed

kilku laty tysiąc dukatów. Sam artysta nie zdaje się mieć więcéj nad lat trzydzieści kilka, i zrobiłby na mnie dobre wrażenie, gdyby nie fatalna historya, którą wprzód już o nim słyszałem. O ile prawdziwa— nie wiém, bo potwarz z muchy umié zrobić wielbłąda; ale *relata refero*. Jest on rodem z Turynu i na koszcie rządu piemonckiego odbywał studya w Rzymie. Kolega jego i ziomek, niejaki *Biscari*, starszy wiekiem i wyższy talentem, powziął ku niemu szczególniejszy affekt i wiele mu w nauce pomagał. Tymczasem rząd piemoncki nakazał pensyonaryuszom swoim wymalować obrazy na konkurs, który miał o dalszéj dla nich protekcyi rządu stanowić. Obydwaj przyjaciele wspólnie ułożyli karton; ale gdy obraz Biscari'ego był lepszy, Cavalleri tak dalece dał się opętać zawiści Kaima, że posunął się aż do jego zbrodni, i chciał poprostu zabić przyjaciela. Szczęściem cios, który mu zadał, nie był śmiertelny; Biscari zaś tak dalece posunął wspaniałomyślność czy słabość względem ulubieńca, żu mu zbrodnicze uniesienie przebaczył i całą rzecz puścił w niepamięć. Czy to prawda? — powtarzam raz jeszcze, że nie wiém. Ale rzecz dziwna, jak między artystami plastyki zawiść i niechęć wielką grają rolę. O poetach mówią zazwyczaj, że są *irritabile genus;* a przecież w różnych czasach i krajach było mnóstwo przyjaciół-poetów, których nawet imiona sława łączy w pary, jak Oresta z Pyladem: np. *Boileau* i *Racine*, *Schiller* i *Goëthe*, *Zabłocki* i *Kniaźnin*, i t. p. Tymczasem pomiędzy malarzami i rzeźbiarzami, nie tylko że o podobnych parach nie

słychać, ale owszem o każdym prawie ze sławniejszych wiadomo, że miał zawsze kogoś ze współczesnych, z którym współzawodnictwo przeradzało się w nieprzyjaźń albo w nienawiść. Czyżby więc ciała będące głównie przedmiotem ich sztuki, pobudzać miało raczéj krewkość serca, niż miłość duchową? Ja tego rozstrzygnąć nie umiém. Ale słyszę tu mnóstwo anegdot o téj artystycznéj zawiści, która się objawiała niekiedy przez dowcipne satyry i epigrammy, wyrażone nie piórem, ale pendzlem lub dłótem. I tak np.: na placu *Navonne* jest kościół św. Agnieszki, zbudowany przez architekta *Borominiego*, którego rzeźbiarz *Bernini* niecierpiał. Mając więc powierzone sobie zbudowanie na tymże placu fontanny, (która jest jedną z najpiękniejszych w Rzymie), posadził po jéj rogach cztéry olbrzymie figury, mające wyobrażać cztéry największe rzeki świata: Nil, Ganges, Laplatę i Dunaj; ale wszystkie z takim gestem i w takiéj postawie, jak gdyby się lękały upadku kościoła;—dając przez to do zrozumienia, że był źle zbudowany. Kościół wszakże dotąd nie runął, ale myśl Berniniego w tradycyi została.—Michał-Anioł częściéj może niżeli kto inny, używał téż tego rodzaju kamiennych pocisków, i sięgał niemi zuchwaléj poza zakres artystów i sztuki. Papież Pius IV, z familii Medyceuszów, polecił mu budowę bramy, która dotąd nosi nazwę Bramy Piusa (*Porta Pia*), i kazał aby na wierzchu umieszczony był herb jego rodu. Herb ten składa się z siedmiu gałek. Otóż Buonarotti, mając wprzód za coś ansę do Papieża, zrobił te gałki

w kształcie mydlanych baniek. Sens zaś tego konceptu jest ten, że sam Pius IV, czy téż ktoś z jego przodków, miał być jakoby balwierzem.—Papież zrozumiał przytyk; odjął artyście korzystne przedsięwzięcie—ale, przez dumę czy skromność, herbu zmienić nie kazał.

Ale wracając do siebie — widzę w notatkach, że następuje z kolei nauka języków i bale. Nie bój się wszakże, nie będę ci mówił o grammatyce. Powiém tylko, co do włoskiego, ciekawe, jak mi się zdaje, doświadczenie własne. Czytam z moim nauczycielem „*Promessi Sposi*“ Manzoniego, gdzie jest mnóstwo scen i dyalogów ludowych. Otóż nie umiém ci wypowiedzieć, jak to czytanie, niezależnie od treści, robi na mnie szczególniejsze wrażenie. Wiész, że wjeżdżając do Włoch nie umiałem ani słowa po włosku. Teraz już umiém tyle, żę się mogę rozmówić. A nauczyłem się tego wprost z praktyki; bo poezye, które z Ciampim czytałem, na nic mi się w potocznéj mowie nie przydają.— Czytając więc te sceny ludowe, spotykam mnóstwo wyrazów i wyrażeń, które już znam ze słyszenia: a każde z nich, jak ton muzyki, przypomina mi razem mimowolnie, i niejako stawi przed oczy, okoliczności i miejsca, w których je po raz piérwszy słyszałem. Tym sposobem, samo brzmienie wyrazów budzi we mnie całe szeregi obrazów, a wraz z niemi wspomnień i uczuć, żadnego z ich znaczeniem związku niemających. Sprawia to osobliwszą jakąś sensacyą, jakiéj dotychczas nigdy nie doznałem. — Wyciągam zaś z tego ten wniosek: że tajemniczy ów urok, jaki czujemy nieraz w samych słowach mowy ojczy-

stéj, pochodzić musi nie zkąd indąd, jak z owych, chociażby zapomnianych, ale zawsze gdzieś w duszy żyjących uczuć albo wrażeń, jakie na nas kiedyś w dzieciństwie słowa te po raz piérwszy sprawiły. Ztąd téż to tłómaczenia poezyj obcych, jeśli są dobre, (to jest, jeżeli tłómacz nie jest zdrajcą autora, jak mówią Włosi: *traduttore—traditore*), milsze są dla krajowców od oryginałów; bo czują oni w nich urok wyrazów, kiedy tymczasem czytając choćby najlepiéj rozumiane oryginały, mogą czuć tylko urok myśli, obrazów lub stylu.—Kommunikowałem te moje myśli Adamowi, który ich za bezzasadne całkiem nie uważa. Na próbę zaś wrażenia przekładu i oryginału, odczytywaliśmy wiele strof *Jerozolimy Wyzwolonéj*, porównywając je z tłómaczeniem Piotra Kochanowskiego, które ja, albo on, umiemy na pamięć; i niektóre z nich, chociaż nie wszystkie, wytrzymały rzeczywiście tę próbę na korzyść mojego twierdzenia.— Ale sprobujże czytać w oryginale *Amfitryona* Moliera, po tłómaczeniu Zabłockiego, albo *L'enfant prodigue* Woltera, po *Synu Marnotrawnym* Trembeckiego; a obaczysz, jak wiersz francuzki blednieje i mdleje przy polskim. Samo nawet *Pożegnanie Childe-Harolda* z Byrona, czyż nie miléj brzmi dla nas w przekładzie Adama?— On sam na to zgodzić się nie chce, ale ja obstaję przy swojém, i spodziewam się, że znajdę wkrótce poplecznickę w pannie Anastazyi, z którą właśnie wiersz ten czytamy; jeżeli nie z powodu języka, to *à conto* samego tłómacza. Bo dla niego to właściwie, nie dla polonizmu, miewam teraz parę razy w tydzień przyjemność

siedzieć obok po całych godzinach z piękną moją uczeniczką, nachyleni razem nad jego tomikiem—którego maleńki format najbardziéj wtedy oceniam i lubię.

Początkiem zaś tych lekcyj był bal u xięcia Gagaryna d. 6 t. m., to jest w dzień Trzech Króli tutejszych, a świąt Bożego Narodzenia u was. Był to bal pod tytułem *dziecinnego*, bo było z kopę *bambinów*, różnego wzrostu i wieku, a dla nich były drzewka z cackami i profuzya słodkich łakoci. Dzieci téż rozpoczęły tańce; ale gdy jedne z nich wkrótce wyniesiono, a drugie po kątach posnęły: zaczął się bal prawdziwy dla starszych, których było osób sto najmniéj. Ale co dla mnie, to był on rzeczywiście we trzech tylko osobach — tak przy nich nie zważałem na inne. Panienki nasze z *Via Mercède* i panna Anastazya składały owo *trio*. Znały się już one i lubiły nawzajem od czasu wspólnych kursów archeologii rzymskiéj u Viscontego; ale po naszym przyjeździe do Rzymu, na tym balu dopiéro spotkały się raz piérwszy. Przybyło zaś im nowe, (wcale nie martwe i nie zimne jak marmur), ogniwo stosunku — żywy *bard*, jak między sobą nazywają Adama. On sam także często był przy nich; i ja wtedy byłem sobie jak piąte koło u wozu. Ale za toż skoro on odszedł—ja występowałem w rozmowie jak xiężyc po zachodzie słońca: mając pole, przed trzema razem, mówić o nim obszerniéj i więcéj, niżby może było właściwém, mówiąc pojedyńczo przed każdą. Bo on to był wyłącznym przedmiotem rozmowy. A kiedy panna Henryetta, z wielkim prawdziwie wdziękiem i talentem, opowiadała treść *Dziadów;*

a panna Anastazya słuchając, ubolewała, że sama tego czytać, choćby bardzo chciała, nie może; ja chwytając w lot sposobność przysługi, oświadczyłem się — i zostałem przyjęty—jako instruktor czytania po polsku.— Co zaś do wzajemnego uczenia mię przez nią lepszéj nieco pronuncyacyi francuzkiéj, to się także odnosi niejako do drugiego balu u tegoż xięcia Gagaryna, który się odbył dnia 13 t. m, to jest w dzień Nowego Roku ruskiego. Był to już bal dyplomatyczny; bo byli wszyscy Posłowie, Sekretarz Stanu, Kardynał Albani, i cały wielki świat rzymski. Mówiono mi, że było zaproszonych 400 osób, i zapewne musiały przyjść wszystkie, bo tłok był jak na kiermaszu. Tańce poprzedził teatr amatorski. Urządzenie sali i dekoracye prześliczne. Dwie sztuczki francuzkie: „*Manie des proverbes*“ i „*Les deux cousins*“, udały się przewybornie. Truppę aktorów składała sama *grandezza*, rzymska i cudzoziemska. Między innemi występowała xiężna Iza, wraz z mężem, który grał rolę kochanka, i hr. Alfred Potocki, w roli opiekuna. Ściany drżały od grzmotu oklasków, ilekroć xiężna Iza ukazała się na scenie. Świat bowiem tutejszy, jak Parys, jéj przysądził jabłko i berło piękności podczas teraźniejszego karnawału. A podobieństwo do sądu Parysa tém większe, że współzawodniczkami jéj były dwie Angielki: Lady Seymour i Lady Gladstone, piękne, majestatyczne, jak Juno i Pallas, ale téż dumne i sztywne jak one.— A xiężna Iza!!! Jest i tu majestat godności; ale ten gaśnie przed urokiem wdzięku. Jest to owa królewskość, która daje swobodę. W osobistości

tchnie tu jeszcze zarazem jakby duch jéj rodowéj tradycyjnéj przeszłości!.—Dobrze, że mąż jéj nie dał nikomu innemu grać roli jéj kochanka na scenie: bo cóżby ten nieborak począł z sobą po zapuszczeniu kortyny?

Owóż to powodzenie amatorskiego teatru na tym balu, podało myśl xiężnie Zeneidzie: urządzić coś podobnego u siebie, choćby tylko na miniaturową skalę; a to tém bardziéj, że już przez trzy niedziele z rzędu, odegrywała się u niéj *de facto: Manie des charades en action*, w których zazwyczaj i ja figuruję. Pan Ricci powiada, że aby się taka szarada udała, potrzeba albo wiele osób, albo wiele dowcipu. Otóż cała nasza szaradowa truppa składa się najwięcéj z dziesięciu osób, a cały expens dowcipu w pomysłach, ponosi zwykle albo sama xiężna, albo panna Anastazya. Dla mnie najmilszą jest rola automata, zwłaszcza w garderobie, gdzie z nas—to jest z nas mężczyzn—jak z niezgrabnych kloców, piękne nasze współ-artystki, (odwrótną metodą Cyrcy), wytwarzają rycerzy lub bożków, (zły język mógłby powiedzieć: *bałwanów*), kostiumując nas same, i nadając nam posągowe pozy. A to wszystko nie obywa się bez śmiechów, żartów, sporów, lub karcenia nas za zbytnią wdzięczność. A jest komu ją okazywać! Bo oprócz panny Anastazyi, do grona szaradowéj truppy należą zwykle dwie ładne panny Siemionow, i młodziutka, śliczniutka, milutka Francuzeczka, panna Luiza Vernet, córka Horacego, o któréj bodaj, że ci kiedyś wspomniałem. Ale było to chyba wtedy, kiedy za piérwszém widzeniem jéj na obiedzie u xiężny, nie sprawiła na mnie

tego wrażenia, pod jakiém teraz zostaję.—Ale bo z panienkami, to jak z poezyą lub z muzyką! Niekiedy jakaś sztuczka nie podoba ci się od razu, a potém jak się wpatrzysz albo wsłuchasz lepiéj, ani spostrzeżesz jak wpadnie do serca. Przyczém i sama nieraz toaleta odegrywa rolę deklamacyi lub exekucyi muzycznéj.—Dość, że dziś pannę Luizę mógłbym porównać do najwdzięczniejszéj piosnki Beranżera, śpiewanéj z całą żywością i naiwną wesołością francuzką. Obok panny Anastazyi, jest ona jak Amorek przy Muzie: i jak gdzieś widziałem w obrazie, że Amorek u stóp Muzy rysuje, tak ona wykonywa na nas pomysły panny Anastazyi, układając i fastrygując draperye, albo komenderując jak kto ma stanąć, poruszyć się, czy klęknąć—co zresztą i bez komendy często przed nią wykonywamy sami: t. j. młody xiąże Wołkoński, Szewirew i ja.— Ale byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym ci przy tym opisie nie wspomniał nic o najlepszéj pani Własow. Jest ona westyarką naszą, to jest, wyciąga z szaf, szuflad i pudeł rozmaite mantylle, pióra, festony, a niekiedy i kapelusze, które nam służą za królewskie płaszcze lub za kryzy i hełmy rycerskie. Ale że jak zawsze i wszędzie, najogólniejszym objawem niewdzięczności ludzkiéj, jest lekceważenie dobroci, która się gniewać i mścić się nie umié: tak i tu, sama gorliwość, z jaką ona chce usłużyć każdemu, wystawia często na probę jéj niewyczerpaną łagodność; bo się wszyscy albo kapryszą, lub się jéj przekomarzają umyślnie. Ja jeden stanowię wyjątek. Ztąd téż po każdém prawie widowisku, szerzy skargi przed sio-

strą i przed publicznością na wszystkich, i mnie tylko jednemu oddaje pochwały; co znowu z drugiéj strony ściąga na nią nowe prześladowania i żarty, za które się także nie gniewa, i dobrodusznie śmieje się z nich sama.

Chciałbym, żebyś z tego opisu powziąść mógł mniéj więcéj wyobrażenie o tych prawdziwie poetycznych, niedzielnych naszych wieczorkach u xiężny, które, oprócz tych szarad, urozmaica jeszcze muzyka i śpiewy, wykonywane zwykle przez xiężnę i przez pana Ricci—nad którego nie ma śpiewaka!—Dla Adama jest to największy powab tych wieczorów; bo co nasze szarady, to mają w nim nie tylko ciągłego recenzenta, ale nawet prawdziwego zoila; przyczém ja zwykle służyć muszę za piérwszy cel pocisków, dla rykoszetu ich na panienki, które z nim o to się kłócą. To téż gdy powstał projekt przemiany szarad na teatr, a moje współ-artystki zmuszały mię przyjąć w nim udział: ja nie tylko przez niepewność talentu, a pewność pronuncyacyi litewskiéj, ale i przez obawę sarkazmów Adama, broniłem się dopóki mogłem. Ale gdy wreszcie panna Anastazya wybrała mię na swego *miłego* na scenie, i ofiarowała się sama pronuncyacyą jakoś podstroić, a instancyonowany przez nią Adam — chociaż umył ręce jak Piłat—lecz przecież wyraźnego *veto* nie położył: ujrzałem się zmuszonym zrobić ofiarę z mojéj miłości własnéj, dla uciechy towarzystwa, w którém sam tyle przyjemności znajduję. Tak więc tedy w dzień 3 tutejszego Lutego, (22 Stycznia u was), w Niedzielę, mam debiutować

w komedyjce p. t. „*J'ai fait mes farces*,“ i bodaj, że ten mój *debiut* będzie *une farce de plus*. Ale mniejsza o to! Tyle już sam pod tym względem nagadałem złego o sobie, że nikt drugi nic gorszego nie powié.— A tymczasem lekcye pronuncyacyi przechodzą mi bardzo przyjemnie. Adam zaś, przez wzgląd na siebie, (jak mówi), to jest, żeby się za mnie nie wstydzić—musztruje deklamacyą i pozy, gdy głośno przed źwierciadłem rolę moję powtarzam.

Ale teraz jeszcze o jednym balu—który zasługuje na wzmiankę, z powodu komicznych i tragicznego wypadku, które się na nim zdarzyły. Był to bal u sławnego tutejszego bankiera, xięcia Torlonia, który jest xięciem dla tego, że kupił od xiążąt Odescalchi, za 10 milionów franków, dobra i zamek *Bratiano*, do których tytuł xiążęcy jest przywiązany [1]). Jest to zatém najwyższy model, (nie profanuję wyrazu *ideał*), i zarazem niejako symbol wzrostu arystokracyi pieniężnéj, na ruinie i gruzach rodowéj. Bo sam Rotszyld jest tylko dotąd *baronem;* a zaś ta mitra xiążęca spadła na głowę bankiera dla tego, że już w rodzinie dawnych jéj posiadaczy nie było widać komu i na czém jéj nosić. Kłaniajże się więc teraz przed mitrą, którą można kupić za pieniądz! Chcesz w niéj uczcić pamiątkę dawnych zasług i chwały, a nie wiész, że się kłaniasz *cielcowi złotemu!* — I niechby u nas wolno było podobnież tytułami i ma-

---

[1]) X. Livio Odescalchi, ożeniony z Zofią z hr. Branickich, zamek i dobra *Bratiano* odkupił w r. 1840.

jątkami frymarczyć! to kto wié, czyby połowa dyplomatów hrabiowskich, na wagę złota niegdyś kupowanych od Niemców, nie przeszła może w końcu do naszych lichwiarzy, lub arendarzy gorzelni i karczem, aby tam figurować obok *dziesięciora!*—Bal wszakże był prawdziwie xiążęcy.

„Bo że nie tylko sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni“
Więc się na bale bankiera Torlonii,
Zbiera tłum Duków, Grafów, i bogaczy.

Mimo to jednak, są to bale demokratyczniejsze od innych: bo każdy cudzoziemiec, mający wexel, czy kredytywę do bankiera, jest już *de jure*, jeśli zechce, gościem na balu u xięcia, z czego najwięcéj korzystają Anglicy. Myśmy byli za biletami, które nam dał xiążę Gagaryn; a że przyjechaliśmy sami i nie mieliśmy nikogo, coby nas gospodarzowi przedstawił; więc się jakoś i bez tego obeszło. Błąkaliśmy się zatém jak w lesie wpośród tysiąca nieznajomych osób, krążąc ciągle około wejścia, aby spotkać zaraz na wstępie nasze panie z *Via Mercède*, o których wiedzieliśmy że będą. Jakoż zabłysły nam wkrótce, jak dwie gwiazdki we mgle błękitu, którym obie były owiane. Odtąd już nie odstąpiliśmy od nich. Panna Henryetta dla zdrowia, a panna Marcellina z pobożności, jak sądzę, nie mogą i nie lubią tańcować. Pląsaliśmy więc sobie we dwie pary myślami tylko i sercem: ja z panną Marcelliną taktem poloneza, a piérwsza para bodaj czy nie walca, który głowy tancerzom zawraca.

Otóż komicznym wypadkiem na tym balu było: że się Anglicy pobili formalnie, tłocząc się do sali wieczerzy, gdzie były stoły na kilkaset osób, i że niektóre Angielki, bez żadnéj ceremonii, całe talerzyki cukierków zgarniały do ogromnych worków, które widać umyślnie na ten cel przyniosły, i wydzierały sobie wzajem ów łup pożądany. To samo mówi już dosyć, z jakiego piętra hierarchii towarzyskiéj musiały być te damy; i powiadano, że sam gospodarz domu był tém wielce zgorszony i zawstydzony.— A ujrzeliśmy téż na tym balu naszego znajomego bohatéra z podróży, pana Izaaka *Mocatta*, który wszakże nie musiał być rad z tego spotkania; bo gdy poznawszy przywitałem go piérwszy: on mi zaledwo odpowiedział słów parę, i zaraz zniknął gdzieś w tłumie.—Tragiczny zaś wypadek był taki. Znany i szanowany powszechnie prałat, Monsig. *Testa*, przybywszy na bal w najlepszém zdrowiu i humorze, zasłabł nagle przed samą wieczerzą, i zaledwo wyprowadzony do sypialnych pokojów xięztwa, tamże zaraz żyć przestał. Tajono to, ma się rozumiéć, przed gośćmi; i kiedy przyjaciele i krewni zmarłego płakali lub modlili się nad nim: tuż obok muzyka brzmiała w najlepsze, i taniec szedł coraz raźniéj, ożywiony nadzieją wieczerzy. Powoli jednak wieść o tém zaczęła się rozbiegać po sali, a ten i ów, co ją posłyszał, wątpię, aby nie stracił nieco apetytu, albo ochoty do tańca. Bal jednak trwał aż do dnia; ale co nas, to zaraz po wieczerzy, państwo Ankwiczowie zabrali i łaskawie odwieźli do domu.

Aleś ty pewnie ciekawszy dalszych losów pary, o któréj możnaby powiedzieć z Walter-Skottem:

„A pary siebie godniejszéj wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie."

Otóż nic jeszcze nowego do powiedzenia nie mam; a co kiedy być może—nie wiém. Najbliżsi krewni nie mogliby być dla nas życzliwsi, jak się zdają być państwo Ankwiczowie. Humor panny Henryetty w tych czasach kwitnie i świeci różowo, jak jutrzenka dnia pogodnego. Czyżby więc było jakie porozumienie między nią a rodzicami, a przynajmniéj pewność tego z jéj strony?— Złote pasmo tych moich marzeń i nadziei, plącze mi tylko i miesza zimna — nie powiém obojętność — ale jakby pewna surowość panny Marcelliny, z jaką ona widocznie na to wszystko spogląda. Bo o jéj życzliwości dla ich obojga, nie wątpię; w rozum jéj wierzę; i dla tego téż właśnie boję się jéj przewidzeń czy przeczuć. Jestto bowiem pod każdym względem i ze wszech miar niepospolita osoba. Adam nazywa ją *świętą*, i rzeczywiście jest w niéj coś legendowego. Sam wyraz jéj twarzy i postać są tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a możnaby je żywcem przenieść na obrazek. Jest w tém jak gdyby odblask charakteru i stanu jéj duszy, który téż chyba tylko w ten sposób przez nią się samę objawia. Jak bowiem tysiące innych silą się okazać, tak ona właśnie usiłuje ukryć przed ludźmi, jak pobożność tak i uczoność swoję — którą rzeczywiście posiada. Bo modlitwa i nauka—to całe jéj życie. Wiém pod

sekretem od saméj pani Ankwiczowéj, że ostatecznym jéj celem jest zostać zakonnicą, siostrą miłosierdzia; ale że się chce piérwiéj uiścić z obowiązków względem społeczeństwa i kraju, przez wychowanie w nim za powrótem kilku młodych panienek, przeto ciągle się uczy i pracuje sama nad sobą.— Ale mój miły Boże! jak to ziarna cnót w duszach ludzkich, w różnych kształtach wychodzą na jaw! Czyż to nie istna rozmaitość kwiatów? Porównać ją np. z panną Anastazyą. Co za kontrast! A przecież ani jedna, ani druga, nic na tém porównaniu nie tracą. Są to jak gdyby równo-cenne: brylant i perła. Co za różnica blasku i migotania na zewnątrz! a przecież wartość wewnętrzna ta sama.— Co zaś do mojéj przyjaźni i stosunku z panną Marcelliną, ten jest taki. Mam dla niéj taki respekt, że kiedy mówię z nią samą, wstyd mi każdego pustego słowa; a tém mniéj śmiem ją częstować liczmanami, które bez skrupułu gdzie indziéj wydaję za dobre dukaty. Że zaś tych prawdziwych dukatów jest we mnie, niestety, zbyt mało: poczuwszy się więc przez nią do braku, nieraz biorę ztąd pochop do nauki i pracy. Ale za toż przy ludziach, pozwalam sobie często jak student przy rodzicach, gdy ośmielony ich obecnością, chce z lekka, tém lub owém, swemu panu guwernerowi dokuczyć. Przekomarzam się więc jéj umyślnie, i mam w tém zawsze pomoc saméj pani domu; zkąd wnoszę, że i ona, gdy jest z nią sam na sam, musi podobnego nieco jak ja wpływu doznawać.— Niedawno z niemi tylko dwiema jechałem do kościoła na nieszpór. Ja siedziałem,

ma się rozumieć, na przedzie, i zaczęliśmy z samą panią prześladować naszę towarzyszkę, z powodu jéj surowéj powagi, którą ja nazwałem *kardynalską*. Tu pani Ankwiczowa przesiadła się nagle obok mnie na przednie siedzenie, i panna Marcellina pozostała sama w głębi karety, tak, jak zwykle jeżdżą kardynałowie, mając naprzeciw siebie dwóch swoich assystentów. Odtąd wzięła początek nazwa *kardynała*, którą ja i pani hrabina tytułujemy zwykle pannę Marcellinę, ilekroć ją chcemy podrażnić.—Otóż przed kilku dniami ciotka ofiarowała jéj śliczny nowy sztambuch, do którego ja miałem wstępny wiersz napisać. Właścicielka, w przeczuciu mojéj przekory, prosiła bardzo poważnie i zastrzegła z góry, żeby w nim wzmianki o *kardynalstwie* nie było. Owocem tych zastrzeżeń jest właśnie wiersz, który ci chcę tutaj przepisać. To zaś co już napisałem, uważaj za przedmowę, abyś właściwy sens jego zrozumiał — bądź zdrów.

MÓJ KARDYNAŁ.

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otóż moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!—

Wiecież kto jest mój Kardynał?—
Ni Watykan, ni Kwirynał
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodział fioletem.

pasał paliuszem,
wieńczył kapeluszem.
Le Ten, który róży wdzięki,
Lec Ten, który twarz jutrzenki,
Lec Ten, który w głębi fali
Umalował piers korali:
Tego dłoń w szkarłat odziała
Lica

Choć ieszeń,
Błogosławieństw, grzeszeń
Nie rozdziela na rony:
Kto go zna—błogo ony!
Sam jego echy
Wypędzają z echy.
I choć na nożce, ony
Nie lśni trzewicze orwony,
W każdym wiernym żądza pała
Klęknąć u stóp Kardynała.

Mój Kardynał miejsc nie bierze
W Kapitule, ni w Kamerze,
Ni śród Watykańskich chorów
Nie śpiewa mszy, ni nieszporów.
Kapitułę jego składa
Jasnych Serafów gromada.
W ich on chórze nieustanne
Nucił hymny i hozannę..
Nim go Święty Ojciec świata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.

O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze—
W jakimkolwiekbądź honorze,

Byle niedaleko siebie—
Byłbym już jak gdyby w Niebie!

Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie;
Ja zaś wkrótce, jak snać muszę,
Kuryerem w podróż ruszę:
Ale nim się przez komorę
Z pakiem grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas czyscowéj kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiéj, w sam czas się spotkamy.

Wtenczas—choć tam tłok niezmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałém,
Tuż za moim Kardynałem.
Raj mię pewno nie ominie!—
O! widziałem ja w Syxtynie,
Nikt tym wejścia nie zagrodził,
Kto za Kardynałem wchodził.—

Ztąd więc moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!

IX.

Do tegoż.

Rzym, 8 lutego, 1830 r.

Jak aerolit z powietrza spadła na mnie wiadomość, żeś jest w Petersburgu. Wiedziałem, że siostra twoja zaraz po ślubie miała tam jechać z mężem, dla jakiegoś interessu czy sprawy: ale ani mi w myśli postało, abyś ty się mógł do nich wybrać w odwiedziny! Cieszy mię to jednakże, i to z wielu względów. *Primo:* że mąż twojéj siostry musiał widać zaskarbić względy twego ojca, kiedy taki drogi klejnot, jak ciebie, opiece jego powierza. Dotąd był to mój tylko wyłączny przywiléj. Bez zazdrości go wszakże ustępuję drugiemu, byleś ty tylko przez to więcéj świata obaczył. Bo jużciż ufam przecie, że *niezaradny Juliś* powróci tak bez szwanku z nad Newy, jak z pod skrzydeł mojéj opieki po dwakroć z nad Wisły powracał. *Secundo:* raduje mię wielce, że choć nie razem, to przecież jednocześnie wojażujemy oba: to jest, ty zbijasz bruki Petersburskie, jak ja tu po Rzymie gawronię; i że jesteś tam razem z Olesiem, jak ja tutaj z Adamem; a więc, że przeto tém częściéj musicie wspominać o nas, jak my nawzajem wspominamy o was. Obok atoli tych pociech, jest na *Tertio* i *ale*, a to *ale* ściąga się mianowicie do dalszéj mojéj korres-

pondencyi z tobą. — Chcesz czy nie chcesz, skoroś wziął pióro do ręki, nie możesz nie pomyśleć kto cię czytać będzie; i ta myśl warunkuje mniéj więcéj manierę, jeśli nawet nie samę treść listu. Inaczéj byłbyś chyba jak owo galicyjskie grafiątko, o którém ci w tym liście opowiem, a które rzeczywiście jest jak cielę w bajce: papla, jak gdyby zamrużywszy oczy, co mu ślina do ust przyniesie, bez względu przed kim i do kogo; do Polaków nieraz po włosku, a do cudzoziemców po polsku.

Otóż ja pisząc dotąd do ciebie, mogłem prawie policzyć na palcach, kto z tobą lub z Ignacym list mój czytać będzie, i często owszem do tych lub owych czytelników — a bardziéj jeszcze czytelniczek — stosowałem ton i przedmiot pisania: aby jednę z nich zaciekawić, drugą zabawić, z trzecią się troszkę podraźnić, a wszystkim, ma się rozumieć, podobać się wedle możności. Ale cóż ja wiém komu ty w Petersburgu list mój możesz pokazać, i czy ten ktoś, znajdując w nim ten sam ton i manierę, nie pomyśli, choć może nie powié: „A cóżto być musi za młokos, czy półgłówek! Jest w Rzymie! jest z Mickiewiczem! A tu ani opisów Romy! ani sądu o rzeczach! ani odblasku natchnień geniusza! Plecie tylko o sobie, o drobiazgach, o głupstwach! i t. d.“ I kto wié, czy ten jegomość, ze swego punktu widzenia, nie miałby nawet racyi tak mówić? Skoro bowiem jest czytelnikiem, ma prawo być sędzią; a nie znając osoby i stosunków autora, musi sądzić o rzeczy z niéj saméj.

Ale cóżbyście wy pomyśleli o mnie, znajdując raptem w listach, czegoście nigdy nie słyszeli z ust moich: patetyczne np. frazesy, albo uczone rozprawy? Czyżbyście nie mogli posądzić. że przyczepiłem sobie wojażerski kolczyk do ucha, i chcę wam imponować jak fanfaron lub pedant, albo że jak papuga cudze tylko słowa powtarzam? — Wybierając więc z dwojga złego, wolę, niech mię już obcy mają sobie za głupca; bo wy przecież nie możecie przypuszczać, ażebym widząc tyle rzeczy sławnych, słuchając tylu ludzi mądrych, i nakoniec będąc ciągle z Adamem, nie począł téż i nie pomyślał czasem czegoś na seryo o tém. co widzę lub słyszę; a jeżeli z tém zaraz nie popisuję się przed wami, to dla tego: że albo nie chcę zrywać niedojrzałych gruszek; albo nie chcę się zmieniać w wyobraźni waszéj — aż da Bóg może kiedyś, w nowéj na pozór postaci, zjawię się sam oczom waszym, i najprzód was o niezmienności serca ku wam przekonam. Zawsze jednak, dopóki będziesz w Petersburgu, nie mogę spuszczać całkiem z uwagi tych osób, o których wiém z pewnością, że list mój pokazany im będzie, i wzgląd ten nie zostanie pewnie bez wpływu, choćby tylko na wybór przedmiotu. I tak np. Wiész od czego mam zacząć właściwie ten list teraźniejszy? Oto od przepisania ci niektórych wyjątków z listu onegdaj odebranego z Uffy. Myśl dzika na pozór! nie prawdaż? Ale oto jéj wytłómaczenie. Jestto list od Czeczotta, mojego najukochańszego Mentora, z daty czerwcowéj, który pisząc go jeszcze nie wiedział o mojéj podróży z Adamem, a sądząc, że jak co rok, przez lato waka-

cyuję w domu, adressował go do mego ojca, który mi go teraz dopiéro wraz ze swoim odesłał. Jestto odpowiedź na ostatni mój list do niego z Warszawy, dziękujący mu za kolędę, którą mi przysłał na początku roku. A był to cały arkusz maxym, wybranych i wypisanych przezeń umyślnie dla mnie z Xiąg Mądrości, Przypowieści i Ekkleziasty, z Pisma Ś-go. Odtąd arkusz ten mam zawsze przy sobie i umiem go już prawie na pamięć. List zaś ten onegdajszy, tak nam obu żywo przypomniał i samę postać najmilszego naszego gderacza, i szczęśliwe nasze czasy wileńskie: że pod wpływem miłych tych wspomnień, tak nam przeszedł rozkosznie cały dzień wczorajszy, iż gwoli szanownego p. Franciszka, *kudrawego* Maryana, i kochanego Olesia, z którymi pewnie codzień nierozerwalnie obcujesz, przyszła mi myśl przesłania ci z tego listu wyjątków, aby przez to myśli i serca wasze choć chwilowo na wczorajszy ton naszych nastroić. Adam nie ma nic przeciw temu, i mówi: że jak sam Mentor, tak i listy jego, są może najwybitniejszym wyrazem naszych niegdyś koleżeńskich i przyjacielskich stosunków; i że samo przeczytanie jednego z takich listów, lepiéj może komuś obcemu da poznać nastrój ducha owéj naszéj epoki, niż długie historyczne wywody i określenia. Masz więc tedy owe wyjątki.

„Edwardzie! Nie mogę cię nazwać *kochanym*, bo nic jeszcze nie zrobiłeś *kochanego;* nawet nie pisałeś tak długo do mnie *kochanego;* a jak słuchy dochodzą, historyi, prawa, łaciny nie umiész, nie uczysz się, i cały romantycznością romantyczną odurzony, klassyków

[illegible] nie znasz, a przeciw klasyczności powstajesz; piszesz wierszyki nieprzemyślane, niewywiązane, i niemi kolumny dzienników zapełniasz. A zatem jeszcze Edward nie *kochany*, póki historyi, prawa i łaciny nie umié, póki czego *kochanego* nie zrobi, a skromniejszym się jeszcze nie stanie.

„Ach, Telemaku! [illegible] czy tylko piszesz, czy i sądzisz? Jeżeli ty[illegible] p[illegible], to jeszcze pół biedy; bo źle napiszesz, to cześć [illegible] czas darmo zabijesz, ale wolniejszy jesteś na s[illegible]du; ale jeżeli źle osądzisz, to choćbyś za swém [illegible]ciągnął zlaniem, nie jesteś wolny od grzechu. [illegible]iego ciężki jest urząd! Długo się trzeba spos[illegible]ele znać, wiele umieć; mieć zdanie zdrowe, czyste, wy[illegible]okie; mieć rozum wielki i siły olbrzymie. Wszyscy sądzą, to prawda; ale téż przeto prawda mało na tém wygrywa. Nie sądź więc bardzo drugiego; nie sądź więc bardzo ogółu; sądź najprzód siebie samego; a jak się siebie nauczysz, to będziesz może mógł coś prawdziwszégo wyrzec i o podobnym sobie. Jeżeli więc krzyczysz za romantycznością, to nie wiém czy masz pewne zasady, i czy ją dobrze pojąłeś? i czy wszystkie przeciwne strony zrozumiałeś? Nie eryguj się nigdy na sędziego! Bóg zda się ani ciebie, ani twego Mentora na to nie przeznaczył. Skromny im pracy jest wydział; może wątpliwa jéj wartość; ale o tém niech inni sądzą! Oni, chociaż jak drudzy sądzić mogą w kącie: publicznie powinni tylko występować z pracą, a nie z sądami.

„A i ciężka to bardzo dla *publicum* praca! Przyznam ci się, że ja dla niego pracować nie śmiem, czyli

raczéj, nie mogę; bo prawie chciałbym zawsze pracować nad siły, tak mię drażnią i gorszą hultaje. I dla tego wolałbym być zawsze skrybentem niż autorem. Dość mi nie być dla społeczności ciężarem; lecz żeby ją memi sądami i xięgami oświecać—to na moje siły za wiele! — Telemak śmieléj coś marzy; Telemak więcéj coś pisze; niechże więc będzie autorem, ale autorem bez braku. Jedna niech będzie xiążeczka, ale dobra; jędno zdanie, ale zdrowe! Lepsze jedno ziarnko pożywne, od korca plew nieużytecznych! Poczciwych ludzi zadaniem być powinno: uczyć się i myśleć co najwięcéj, a mówić i pisać jak najmniéj. Szczęśliwy geniusz, który co powié, to prawdziwe; co piórem potrząśnie, to myśli i zdania wysypią się złote! Ale takich ludzi nie wiele; a być pomiędzy pisarków motłochem, jestto być w jakiéjś szynkowni, gdzie pełno gwaru i swaru, a nic prócz dymu i czadu! Jestto haniebnie oszukiwać współziomków, którzy druk radzi kupują, a dosyć pono ubodzy, żeby tak drogo za pusty papiér płacili, albo, co gorsza, złą myślą lub złém słowem dusze swe zarażali! Ciężkie więc twoje, panie autorze! panie dziennikarzu! panie wydawco almanachów! rzemiosło! Pamiętaj, że ciężkie są nauczycielów narodu grzechy! a kto na się bierze za wiele, nie wiém jak wszystko wykona.

Pszczółka miód tylko robi, a kadzidło mrówka;
Nad jednêm więc a dobrém niech pracuje główka.

„Otóż masz i wiersze, których tak bardzo żądałeś. Powiedzieć ci jednak muszę, że wierszy teraz nie pi-

szę, bo nie mam żadnego natchnienia. Zbyt moja kochana Muza daleko, a może zapomniała o mnie zupełnie. Wierszy dziś nawet nie tak bardzo lubię; cóż one dla mnie za poziome—prawda, że poziome pojęcie. Czytałem „*Nowy Rok*" Adama, w *Bibliotece*, i trochę za serce uszczypnął: choć i ten ma coś zbyt w sobie dzikiego. Czytałem potém i wiele innych, ale ach! nie ma w nich tego, czego duch i serce pożąda! A i ty twojemi piosnkami nie wielką mi czynisz przysługę. Zmiłujcie się, wzmagajcie chwałę narodową! ale niechaj nic gwałtem nie kwitnie: a jeśli laury przekwitły, umiejmy przynajmniéj kosztować słodyczy, w tych, jakie z nich mamy, owocach. Bo pisać tylko wiersze dla tego, żeby je potém drukować, dalipan, czyby nie lepiéj pójść glinę wozić taczkami.

„A więc, Telemaku szanowny! nie kończ i nie sztukuj swych kusych do mnie listów wierszami: bo ja chcę listów, a nie żurnałów. A listów jeśli można chcę częstszych. Boję się, żeby się nie rozpuścił Telemak, a ja, nie stracił tytułu i władzy Mentora. Oddawnaśmy już na różnych kołatani morzach; a skały i Kalipsy są wszędzie! — Spodziewam się jednakże, że ten list zastanie cię w domu; musiałeś już, podług twéj obietnicy, przyjechać do ojca. Ciesz się więc za siebie i za mnie, a ja ci będę prawił choć cudze morały; bo nie chcę, żebyś się tylko jedynie z drogiemi dziewicami naszemi bawił, ale chcę byś téż pomyślił czasami, co czynić z sobą potrzeba, aby być lepszym na świecie.

„Un jeune homme qui aime à se parer vainement comme une femme, est indigne de la sagesse et de la gloire.“

„A wiele przywiozłeś z sobą krawatów i kamizelek z Warszawy? Proszę mi zdać o tém rapport, a obaczymy, czy ten *homme* jest godny *de la sagesse et de la gloire.*

„Quand tu seras le maître des autres hommes, souviens-toi que tu as été faible, pauvre et souffrant comme eux; prends plaisir à les soulager, aime ton peuple, et déteste la flatterie.“

„Czy byłeś przyjechawszy do domu w chacie choć jednego swojego wieśniaka? Czy masz dzieci i starców znajomych? (bo nie mówię o dziewczętach, z któremi owszem znajomość masz mieć daleką;) i czy przywiozłeś im lub kupiłeś w Oszmianie gościńca, albo obwarzanków w Smorgoniach? Donieś mi o tém wszystkiém, a zaraz poznamy, jak to ty lubisz ludzi, twoich bliźnich braci?

„Quiconque est capable de mentir, est indigne d'être compté au nombre des hommes; et quiconque ne sait pas se taire, est indigne de porter ce nom.“

„Trzeba więc zawsze i we wszystkiém prawdę mi mówić, a z dziewczętami twéj wioski nie wiele gadać. Nawet gościńce i obwarzaneczki lepiéj ich matkom lub babkom do podziału między nie oddawać.

„Quand est-ce, o! Telemaque! que vous serez assez sage, pour ne parler jamais par vanité?“

„Powiedz mi, kiedy? — to jest, kiedy przestaniesz pisać wiersze dla tego tylko, żeby pisać i drukować,

a nie dla tego, żeby prawdziwie cel jakiś pożyteczny miały? Bo że damom, a czasem i Mentorowi komplementa prawisz, w tém jest więcéj pochlebstwa raczéj niż próżności. Ale i tego nie trzeba.

„*Personne ne souhaitera plus que moi, que vous goutiez des plaisirs, mais des plaisirs qui ne vous passionnent, ni ne vous amolissent. La sagesse n'a rien d'austère ni d'affecté. La sagesse n'a point de honte de paraitre enjouée, quand il le faut.*“

„Baw się więc wesoło i przyzwoicie, czy to w Warszawie, czy w Wilnie; ale strzeż tego, co tu powyżéj powiedziano, *pilnie*. Otóż masz i wiersze tak żądane, proszone i oczekiwane.

„*Vous ne m'aurez pas toujours. Il faut que ce soit la sagesse et la vertu, plutôt que la présence de Mentor, qui vous inspirent ce que vous devez faire.*“

„Nie ma tam już i dzisiaj przy tobie pana Mentora! A co to będzie, jeśli Telemak rad jego i przestróg zapomni?

„Zmiłuj się więc, bądź skromny w odzieniu, mówieniu, czynieniu, pisaniu, dziennikowaniu, recenzowaniu, sądzeniu! Lepiéj słuchaj, a myśl; a potém będziesz sądził romantyczne i klassyczne narody. Bądź zdrów!“—

A co? czy list ten nie wart trudu przepisania? nie mówiąc już o obroku duchownym, który i ty i Oleś, możecie zeń wyciągnąć dla siebie.

A teraz zwracam się myślą do pani Szymanowskiéj, i do panien Heleny i Celiny, z któremi już być

musisz znajomy. Z kusych listów Adama, które pisze do nich niekiedy, ale zawsze jakby z napaści, nie wiele bardzo muszą wiedzieć o nim. Ty więc, który wiész wszystko, masz pole opowiadać przed niemi— pamiętaj tylko że nie wszystko. Damy w ogólności nie lubią, kiedy ten, kogo one lubią, lubi téż drugie, choćby do nich podobne; a zwłaszcza, gdy im o tém ktoś trzeci powiada. Mów więc lepiéj, co jest najświętszą prawdą, że Adam o nich zawsze jak najczuléj wspomina, i uważa samę panią za jednę z najlepszych swoich przyjaciółek, które jak opiekuńcze duchy stoją wzdłuż drogi jego życia, i na każdym jéj nowym zakręcie przekazują go jedna drugiéj. Dzieje się to zaprawdę z całym ludzkim rodzajem. Daj tylko Boże, żeby z naszym *Adamem* mogło stać się całkiem na opak! Ród ludzki zgubiła Ewa, a pocieszyła Marya. Jemu młodość goryczą zaprawiła Marylla, obyż pociechą stała się Ewunia! Ale ty o tém nie paplaj! Za toż możesz dodać najsumienniéj, że choć Adam i tutaj pływa jak delfin w potokach melodyi: cała gamma fortepianów tutejszych nie zastępuje mu jednego pani Szymanowskiéj, ma się rozumieć z akompaniamentem śpiewu dwóch stojących tuż obok, jak na obrazku św. Cecylii, aniołków. Bo muzyka dla niego, to już jest widać tajemniczy łańcuch, który go łączy zawsze z płcią piękną. Mówiłem mu nawet kiedyś, że i ta jego ochota pokręcania za ucho, kiedy mu kto coś o tém napomknie, nie zkąd indąd musi pochodzić, jak że jego samego Amor najczęściéj za ucho pociąga. Dla mnie ucho jest niczém; dla oczu tylko oczki i ustka, to grunt!

Tych mowę i bez ucha rozumiém: a harmonia głosu milej brzmi z za perłowych ząbków, niżli z pod kościanych klawiszów. Ale i to co mówię, możesz przed panienkami za swojemi zębami zatrzymać. Powiedz im owszem, że na operach często bywamy, i że ja, jako prawdziwy znawca, słucham tylko najlepszych aryj albo passażów — to jest, kiedy mię oklaski obudzą. Objaśnienie to jest *tibi soli*; a zaś exkuza moja w tém, że się tu teatr dopiéro o godzinie 10 zaczyna, a opery prawie zawsze te same. Nie tak téż bardzo ochoczo wybieramy się na nie sami, ale nas zwykle państwo Ankwiczowie zapraszają z sobą do loży, i tam się jakoś budzimy wzajemnie. Mówię *wzajemnie*, bo raz wyszedłszy na pół godziny do loży pani Klustin (gdzie Adam na dłużéj pozostał), za powrótem wśród aktu, ujrzałem główki obu panienek schylone jak kwiaty pod rosą, a widząc że i oczki zamknięte, szepnąłem z cicha między niemi: „budzę panie“! Obudziły się protestując, że nie śpią; ale gdyby tak było, toćby przecie mogły zapytać: „w jakim kolorze?“ Że zaś przytém na twarz ich obu kolor wstydu wystąpił: więc ja trwam przy mojém twierdzeniu, i bronię się tém jak puklerzem przeciw ustawnym ze mnie z tego względu żartom.—W istocie wszakże, za własny miły grosz wolę chodzić niekiedy na komedye do teatru „*Metastasio*“, bo je Włosi grają przedziwnie.

Teatrów publicznych jest tu cztery. Największy i najpiérwszy jest tak zwany „*Teatr Apollina*“ albo „*Tordenone*“, od ulicy przy któréj stoi. Ma 6 pięter lóż, w każdym po 29. Bilet do krzesła kosztuje 6

paolów, na parter połowę tego. Loża 2-go i 3-go piętra, na cały *sezon* skudów 120. Dają tu same tylko opery i balety: przez cały sezon dwie i dwa te same. Opery tegoroczne są: *Eroina del Messico*, Riccego, i *Romeo e Giulietta*, Vaccai, którąśmy już w Bolonii słyszeli. Prima-donną jest pani *Favelli*, w wielkich łaskach u publiczności. W istocie śpiewa prześlicznie, a i sama także jest śliczna. A mimo to, taż sama publiczność umié trzymać na wodzy, i nawet skarcić swoję faworytkę. Obok niéj, w roli Romea, występuje pani *Ek-Kerlin*, którą pani Favelli, przez zazdrość, chciała zaraz na wstępie jakoś skompromitować. Romeo uniknął zasadzki; uwiadomiona zaś o tém publiczność, która się z całym zapałem polityką sceny zajmuje, takiém sykaniem i gwizdaniem nazajutrz powitała zazdrośną Juliettę, że odtąd czuła para na scenie zdaje się kochać jak w libretto. Po piérwszym akcie opery występuje balet: *Gabriella di Vergy*, albo jakiś morlacki, ktorego tytułu nie pamiętam, ale piękniejszy od piérwszego. Na drugim większym teatrze, *Teatro Valle*, dają także opery, a zamiast baletu komedye. Prima-donną jest pani *Testa*. Na trzecim, *Metastasio*, same komedye klassyczne. Na czwartym zaś, *Aliberti*, operetki i komedyjki pomniejsze. Ale oprócz tych czterech teatrów stałych, funkcyonuje tu jeszcze w tym karnawale aż sześć teatrzyków amatorskich, ale także publicznych; a mianowicie w towarzystwach: Filo-dramatyczném, Filarmoniczném, z tytułem Akademii, i Anti-filarmoniczném, które wciąż emuluje i kłóci się

z piérwszém. Dyryguje niém *Marchese Rafaele Muti-Papazzuri*, który sam jest fortepianistą. Byliśmy po kolei we wszystkich. W dwóch ostatnich dają same tylko opery, a raczéj wyjątki z oper. Oprócz tego, co tydzień są w obydwóch wieczory muzykalne. Na jednym z nich, w Akademii, jakiś Niemiec grał cały koncert na flecie. Ale byłto prawdziwie „*flet czarnoxięzki*." Publiczność szalała z zapału. Frenetyczne oklaski i okrzyki, zdawało się, że mury rozsadzą. Tak chyba musiał grać kiedyś Marsyasz, gdy śmiał Feba do walki wyzywać. Ale co ten, to wcale nie ma buty Marsyasza, i owszem niczby nie stracił, gdyby go z téj jego skóry odarto, a w jaką pokaźniejszą obszyto. Od miesiąca jadam z nim zwykle przy jednym stole *al lepre*, ale nigdy mi ani na myśl nie przyszło, aby ten chudy, maleńki człowieczek mógł mieć w sobie takie cudowne tchnienie, a może i natchnienie.

Lecz to widać ogólne jest prawidło ducha,
Że im on w kim tchnie wyżéj, ten sam mniéj w nos dmucha.

Powiedz to wszystko pani Szymanowskiéj, bo dla niéj to ja zwłaszcza te *musicalia* piszę.—Tyś sam pewnie ciekawszy teatru u xiężny Zeneidy, i jak ja „*j'ai fait mes farces*?" Bo to jest, jeśli pamiętasz, tytuł sztuczki, w któréj miałem i w któréj występowałem rzeczywiście w przeszłą niedzielę. Otóż poszło to jakoś nie tak bardzo źle, jak się bałem; a tém samém już bardzo dobrze. Nie ręczę, czy ze zbytniéj gorliwości o pronuncyacyą, z *je* nie stałem się niekiedy *jeu*, albo czy *que* nie przerosło w *queu*. Ale to jakoś uszło. *Verba volant*. A zresztą część tych

usterków tłumiły téż czasem i oklaski, dawane mojéj *miléj*, kiedy była ze mną na scenie; chociaż, Bogiem a prawdą, oklaski te zaczynała zwykle sama gospodyni, któréj grzeczni goście wtórzyli. Bo i nasza *„dziesiąta Muza“* nie zdaje się być w tak ścisłych stosunkach z siostrzyczką *Talią*, jak z innemi. Ale co w drugiéj sztuczce *„Michel et Cristine*,“ to obie tytułowe osoby: młody xiążę Wołkoński i panna Luiza Vernet, warte były istotnie publiki; a zaś publika, *per suam qualitatem*, jeśli nie *quantitatem*, mogłaby zadowolnić choćby nawet samego Talmę czy Garrika. Cały środek salonu kwitł jak ogród kwiatowy różnobarwnemi strojami poważnych dam i ładnemi twarzyczkami panienek, a wkoło ścian, jak hebanowe ramy uroczego tego obrazu, czerniły się dwa rzędy spektatorów frakowych, między którymi: Thorwaldsen, Cammucini, dwaj Vernetowie, Craffonari, Bruni, daléj Visconti, Nibby, Bonstetten, Adam, i t. d. A co gwiazd i wielkości światowych! Moja największa korzyść z roli aktora była ta: że mnie xiężna, po skończeniu spektaklu, prezentowała po kolei wszystkim tym panom, których dotąd po większéj części z daleka tylko widziałem, i że mię przytém p. Horacy Vernet na herbatę we wtorek wieczorem do siebie zaprosił. Jest on tu dyrektorem francuzkiéj Akademii malarstwa, w któréj się kształcą wszyscy młodzi malarze francuzcy, przebywający w Rzymie. Mieszka w prześlicznéj *Villi Medicis*, na Monte Pincio, gdzie się téż mieści i Akademia. Villa ta jest własnością rządu francuzkiego od czasów Ludwi-

ka XIII, który ją odziedziczył po matce swojéj, Maryi z Medyceuszów. Wieczór wtorkowy był wprost dla xiężny Zeneidy, którą Vernet zaprosił dla obejrzenia najnowszego swojego i tylko co wykończonego obrazu. Jestto portret teraźniejszego papieża, w całéj postaci, niesionego na tronie w uroczystéj processyi w kościele Ś. Piotra. Obraz wielkich rozmiarów; dowodzący zapewne obfitéj i żywéj wyobraźni autora, ale mniéj wpływający na wyobraźnię widzów, niż jego obrazy bitew, z których jeden, wyobrażający bitwę bandytów z żandarmami papiezkimi, przedstawiał także gościom jako nowy swój utwór. W tamtych jest on prawdziwym i wielkim poetą. Łatwiéj mu widać poczuć i wyrazić rycerską odwagę i zapał, niźli cichą pobożność i skruchę. A i w nim samym, jak w postaci tak i w rozmowie, znać wyraźnie dwa te piérwsze przymioty, tylko że nastrój ich więcéj się zdaje być wesołym i żywym, niżeli patetycznym lub sentymentalnym. Słyszałem go mówiącego i śmiejącego się głośno, z powodu jakichś sztychów rozrzuconych na stole, przy którym około niego stali: Cammucini, Catel (pejzażysta), Craffonari, kochany nasz Allan, sędziwy ośmdziesięcioletni Norblin, i kilku młodych malarzy francuzkich. Rzecz musiała się toczyć o kolorycie, bo podszedłszy słyszałem Cammuciniego jak mówił: że ubiory rzymskie nie dopuszczają bogactwa kolorów, i że przeto rad jest, że ma przed sobą trzy obrazy, w których będzie mógł je rozwinąć. Obrazy te są: Papież Grzegorz w Anglii; Wejście Sforzów do Medyolanu, i scenę z Atalii Ra-

syna, dla pani hr. Ostrowskiéj.—Powiédz to wszystko panu Orłowskiemu, którego musiałeś już poznać, i którego to może interessować: tém bardziéj, że potém była mowa i o nim. Sam Vernet admirował „ogień i fantazyą w pozach jego koni;“ Adam mówił o trybie życia jego w Petersburgu, a stary Norblin chwalił się, że był piérwszym jego nauczycielem. Stało się zaś to w taki sposób. Xiężna Izabella Czartoryska zwiedzała dobra swoje w Galicyi, z licznym dworem, przy którym był natenczas i Norblin. Przy wjeździe do jednéj karczmy, w któréj przygotowany był obiad, wszystkich uwagę zwróciło mnóstwo figur końskich, węglem lub kredą rysowanych po ścianach, tak zewnątrz jak wewnątrz karczmy. Zapytany o to gospodarz, odpowiedział z ubolewaniem, że ma syna urwisa, który nic nie chce robić, co mu ojciec każe, a tylko albo hasa na koniach, gdzie którego dopadnie, albo je bazgra po ścianach lub na rejestrach ojcowskich. Norblin piérwszy w tych niekształtnych rysunkach dopatrzył zaród talentu, a zawołany chłopak stawił się wkrótce przed xiężną, czerwony, zapocony, z koszulą zawiązaną na bakier. Na zapytanie xiężny, czyby się chciał uczyć rysować, aż podskoczył z radości wołając: „Ach! chciałbym, chciałbym bardzo, mościa xiężno!“ Ta żywość i ta śmiałość podobały się xiężnie; wzięła więc na opiekę chłopca, i zabrawszy go wprost z popasu, poruczyła nauce Norblina. Tak opowiadał Norblin; o ile w tém jest prawdy, sam pan Orłowski najlepiéj opowié. Ale z tego opowiadania wywiązała się bardzo zajmująca

rozmowa, o objawach w dzieciństwie wrodzonych ludziom talentów i zdolności.—W ogólności cały ten wieczór był bardzo interessujący i miły. Osób było najmniéj 60, prawie sami artyści. Prócz dworu księżny Zeneidy był tylko poseł francuzki, hr. La Ferronay, z dwiema córkami, i jacyś dwaj panowie angielscy z rodzinami. Lokal obszerny, swoboda zupełna. Na stołach, obok rysunków leżało mnóstwo gazet i nowych xiążek francuzkich. Jedni je przeglądali, drudzy grali w szachy, inni nakoniec, do których i ja należałem, albo rozmawiali z damami i zcicha między sobą, albo przysłuchiwali się rozmowom starszych. Mnie stary Norblin posadził w kącie przy sobie i rozpytywał długo o Warszawie, o któréj żywą i wdzięczną zachowuje pamięć. Największa jednak dla mnie przyjemność tego wieczoru, wyniknęła z łakoci; nie żebym tak był łakomy, ale ci opowiém dla czego? Roznoszono obficie owoce, ciasta, wina, cukry i lody. Ze wszystkiemi temi tacami, jakiś zręczny, fertyczny, młody lokaj Francuzik, tak często przystępował do mnie, że to wreszcie zwróciło moję uwagę. Gdy więc mu dziękowałem za lody, a on z osobliwszą grzecznością jeszcze mi ananasowe zalecał: „*Vraiment, Monsieur*, rzekłem: *vous êtes bien bon de penser tellement à moi.*“—A on na to z figlarnym uśmiechem: „*Car on m'a recommandé, Monsieur, de penser à vous.*“—No, no! proszę cię tylko, panie Juljanie! nie wyciągać ztąd żadnych wniosków! Rekomendacya ta bowiem, niestety, nie ściągała się tylko do mnie wyłącznie, lecz do całego

dworu xiężny Zeneidy; bo i młody xiążę, i Szewirew, byli również przedmiotem szczególnéj uprzejmości *de Monsieur André*, (bo tak słyszałem że go nazywano), a tylko grzeczne moje słówko wywołało tę głośną konfidencyą z jego strony. Zawsze jednak tak byłem z niéj kontent, że gdy przy wyjściu podawał mi płaszcz i parasol, wcisnąłem mu do ręki całe pół skuda — z niezbyt czystych pobudek — wyznaję; bo częścią wprost przez próżność, a częścią przez rachubę, ażeby dobre słowo o mnie przed panną Luizą powiedział. Jéj téż saméj, w ciągu wieczoru, znalazłem stosowną sposobność podziękować zlekka, jako gospodyni, za doznaną uprzejmość pana Andrzeja; na co tak wdzięcznym spłonęła rumieńcem: że gdyby to było za kulisami naszego szaradowego teatru, podziękowałbym jéj „*niższy kolanem*,“ jak powiada Trembecki, to jest, przybrałbym przed nią tęż pozę, jaką tam nieraz przybrać się zdarzało.

Ale muszę ci jeszcze opowiedzieć o dwóch wieczorach, na których byliśmy w ciągu ostatniego tygodnia: o królewskim — to jest u królowéj Hortensyi, i o demokratycznym — u sąsiada naszego w tymże domu, pana adwokata Sella. Piérwszy, na który byliśmy zaproszeni za pośrednictwem xiężny Wołkońskiéj, zaczął się dla mnie pod fatalném godłem. Przyjechaliśmy zawcześnie, (choć już była 10), kiedy jeszcze nikogo nie było w salonie. Żeby więc samym nie świecić oczyma, nie było innéj rady, jak powrócić nazad do domu. Adam był w najgorszym humorze; a że ja to, niestety, doradzałem pośpiech: więc mu-

[illegible] zsód słuchać gderania w drodze, a potem w domu [illegible] godzić kapryski. Chciał już był całkiem nie jechać, i nawet się zaczął rozbierać. Ale wziąłem [illegible] gcznie na sztuki niewieście, i to karessami, to żartem, nadewszystko zaś przypomnieniem panny Celiny, kiedy nie chciała jechać z nami na teatr: dokazałem n[illegible] się udobruchał, i nawet stał się bardzo c[illegible] ię. Przyjechaliśmy tedy powtórnie u san[illegible] i tak jeszcze byliśmy jedni z piérwszych. [illegible] ak zawsze uprzejma: przy zapytaniu Adama o m[illegible], dołączyła grzeczną wymówkę, że się musiała [illegible] ięć dopominać przez xiężnę. W ogólności w k[illegible] jéj słowie znać żywość, dowcip, i chęć—jeśli [illegible] dobania się, to przynajmniéj zrobienia przyjemności gościom i zachęcenia ich do rozmowy. Ze mną mówiła chwilkę o pogodzie, o śniegu w Rzymie, i o różnicy klimatów i kalendarzów, starego i nowego stylu. Potém zaprezentowała nas starszemu swemu synowi, który stał blizko, i z którym Adam czas jakiś o zimie petersburskiéj rozmawiał. W dalszym ciągu wieczoru zagadnęła mnie raz jeszcze przechodząc, jak przepędzam karnawał? i obiecała wiele przyjemności, kiedy prawdziwy Rzymski karnawał zobaczę. Z Adamem zaś mówiła o Vernecie, o Akademii, i o obrazach szkoły francuzkiéj w porównaniu z włoskiemi. Wieczór był tańcujący; osób ze sto. Tańce rozpoczął xiążę Wirtemberski, bardzo przystojny mężczyzna, z bardzo piękną Angielką, Lady Seymour. Obaj młodzi xiążęta, synowie domu, brali w nich czynny udział, i ró-

wnie zręczni piechotą, jak codzień na ulicach popisują się konno. Ale najosobliwszą tancerką tego balu była pani generałowa *Ménou*, wdowa po generale, koledze Napoleona, który był z nim razem w Egipcie. Jest ona Egipcyanką z rodu, i mąż jéj był się dla niéj najprzód zmuzułmanił, nim ona sama potém chrześcijanką została. Jest to drugi tom pani Zajączkowéj, albo sławnéj niegdyś *Ninony de l'Enclos*, co do czerstwości, żywości i elegancyi na starość. Ma lat około 70; włosy białe jak śnieg, ale utrefione w pukle; a tak się nosi i zwija w kontredansie, jak przepiórka pomiędzy zbożem. Nie tak łatwo jéj wszakże, jak widać, o tancerza: bo najczęściéj, jak uważałem, tańcowali z nią synowie domu. Excentryczność ta zresztą, jak mi potém mówiono, nie razi tu już nikogo, tak do niéj wszyscy od lat tylu nawykli, i tak sama jest skutkiem upodobania raczéj, a nie śmiesznéj pretensyi staruszki. Upatrywałem wszędzie Króla Hieronima, aby uczcić jego majestat; ale go na tym balu nie było. Z Polaków byli: hr. Potoccy, Zamoyski, x. Radziwiłł, który dzisiaj do Neapolu wyjechał, i pan Dernałowicz. Wróciliśmy do domu po piérwszéj.

Drugi wieczór u p. Sella był dla nas niezmiernie ciekawy. Znaliśmy tego pana ze spotykania się tylko na wschodach. Ale przyszedł sam do nas rano, i tak szczerze, tak serdecznie zapraszał na wieczór, że Adam nawet nie drożył się długo. Wprzód jednak wstąpiliśmy na chwilę, we dnie, aby się saméj pani przedstawić. Powitała nas jak najlepszych znajomych, chociaśmy się po raz piérwszy widzieli, gwoli

[illegible] go sąsiedztwa; a tak nam dziękowała za przyjęcie zaprosin męża, jakbyśmy im największą łaskę zrobić mieli. Osobliwsza jest ta uprzejmość włoska w klassie średniéj! Obok niéj, nasza nawet jest mniéj uczuciowa. A i cały ten wieczór był nader charakterystycznym [illegible] Obszerny salon, przedpokój i pokój [illegible] liśmy już napełnione gośćmi. Ale za [illegible] uderzyło nas dziwne jakieś ugruppowanie t[illegible]twa. W przedpokoju i w trzech kątach salonu [illegible]iły się osobne gronka, w pośród których gosp[illegible] nie zważając na nie, przeprowadził nas do s[illegible]o pokoju, gdzie dopiéro nie nas, ale nam [illegible]rzedstawiać obecnych, nawet damy i młode[illegible]ki. Były to rodziny adwokatów, doktorów i urzędników sądowych. Ale pryncypalną figurą, dla któréj czy my, czy ona dla nas była zaproszoną, był obwieszony orderami, stary dawny półkownik wojsk francuzko-włoskich, pan *Emmanuele Sozzi*, który odbywał kampanią 1812 roku, i sześć tygodni przeleżał chory — gdzie? — w Smorgoniach! we dworze hr. Przezdzieckiego; a doznał tam, jak mówi, tak rodzicielskiéj opieki i tak braterskiéj życzliwości od rządzcy tych dóbr i okolicznych sąsiadów, iż poczytuje sobie za największą przyjemność, że może przed Polakami wdzięczność swoję dla nich oświadczyć. A cóż dopiéro gdy mu powiedziałem, że jestem także sąsiadem smorgońskim, i gdyśmy się rozgadali o niedźwiedziach i obwarzankach tamecznych! Rozumiałem, że mnie zadusi, jak zaczął całować i ściskać; a to jego wzruszenie oddzia-

łało i na nas, i uczyniło nas bohatérami fety. Tymczasem zauważyłem w salonie, że zaczęto po kątach nakrywać i zastawiać osobne stoliki; co się téż odbywało i w pokoju naszym, tylko, że tu był stół jeden, przy którym gospodarze czynili honory, ale tylko dla gości w tym pokoju będących. Widząc nasze zdziwienie, półkownik wytłómaczył nam co to znaczy. Mający obszerniejsze mieszkania, ludzie téj klassy co pan *Sella*, pozwalają niekiedy bliższym swoim przyjaciołom czy krewnym, zapraszać do nich każdy swoich gości, którzy nie są nawet obowiązani zaznajamiać się koniecznie z gospodarzami domu, ale téż i są ugaszczani nie przez nich, lecz tylko przez tych, co ich zaprosili. Tym sposobem dom prywatny zamienia się niejako w oberżę; ale téż razem tworzy punkt zjednoczenia i ułatwia towarzyskie stosunki mniéj zamożnych klass społeczeństwa. Trudniéj jednakże było poczciwemu półkownikowi usprawiedliwić przed nami, „rajską niewinnością,“ inny jeszcze miejscowy obyczaj, gdy jakaś młodziuteńka panieneczka z salonu wbiegła do naszego pokoju, gdzie stały łóżka obojga gospodarzy, i nie zważając na obecnych, zaczęła się w nim rozporządzać, jakby wcale nie było nikogo. Nie opisuję ci bliżéj téj sceny, którą kiedyś ustnie opowiém; ale to muszę dodać, że cały ten wieczór, jako rodzajowy obrazek towarzyskości tutejszych klass średnich, sprawił na nas jak najmilsze wrażenie, ze względu uprzejmości, naturalności, prostoty i serdeczności, tak w obejściu jak i w rozmowie. Adam nagadał się z półkownikiem do syta o Napo-

[illegible]

[illegible]

jakiéjś Markezyny włoskiéj, ten jakiéjś Grafini niemieckiéj, i t. p. Strzelecki zgadł od razu czyja w tém jest sprawka; a zapytany o to *Il Conte Rino*, dziwił się, że się temu dziwiono: „bo on przecież zostawiał *swoje własne* bilety, skoro mu je darowała matka.“ Ale szkoda słów i papieru mówić dłużéj o tym głuptasie. Lepiéj więc skończę słówkiem o poczciwym xiężulku, z Galicyi także, ktory się nazywa *Miesiączek*, a wygląda jak miesiąc w pełni. Przyjechał on na parę miesięcy do Rzymu; ale za piérwszém pójściem do watykańskiego muzeum, tak był zgorszony nagością posągów: że na widok Nimf, Gracyj i Bogiń, wołał tylko spluwając: „tfu! tfu! pokuśnice! djablice!“ a zaś tak go raziło, że to widział w pałacu papiezkim, że w dziesięć dni po przyjeździe, zabrał się nagle i pojechał do domu.—Papier się skończył.—Bądź zdrów!

X.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 13 lutego 1830 r.

Dziś po południu zaczyna się tu właściwy karnawał. Jak więc cały Rzym po ulicach, a może i po domach, krząta się i uprząta wszystkie codzienne wystawy i sprzęty, a wywiesza kobierce i chorągwie, szykując się i przygotowując do przyjęcia i używania doroczněj uroczystości narodowěj: tak i ja zamierzam w tym liście zbyć ryczałtowo z myśli wszystkie przeddzisiejsze wspomnienia i notaty, aby następny mógł być *kartą białą*, do przyjęcia samych karnawałowych obrazów i wrażeń.

W dzień N. P. Maryi Gromniczněj, słońce jak gdyby odwdzięczając ziemi za blask milionowych gromnic, które płoną ku chwale Bożěj, zabłysło nagle tak ciepłą, tak wiosenną pogodą, że jakby za dotknięciem laski czarodziejskiěj, cała natura od razu rozpromieniła się życiem nowém: jak może rozpromieni się dusza, kiedy po wyjściu z ciała przy świetle gromnicy, blask Łaski nad sobą zobaczy. A i duszyczki nasze—a przynajmniěj moja,—choć siedzi jak ślimak w skorupie, różki jednak do góry podniosła. I my sami jak ptaszki na wyraj—jak jaskółki na skrzydłach bocianich, dzień w dzień prawie wylatujemy za

miasto: to jest, albo xiężna Wołkońska, albo państwo Ankwiczowie, albo panna Anastazya z matką, zabierają nas do swoich powozów i obwożą po okolicznych *villach*, które, jak Hory wóz Feba, otaczają z różnych stron Romę. Ale oprócz téj opieki płci pięknéj, dał nam tu jeszcze Pan Bóg współ-pielgrzyma, który co do wożenia nas i fundowania obiadów, gotówby choćby codzień z największą ochotą być naszym Mecenasem i Amfitryonem. Jest to przybyły niedawno hr. Alexander Potocki, syn Szczęsnego, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, milionowy bogacz, ale który z pozoru i usposobienia wygląda raczéj na Kwakra, tak sam o tém swém państwie i bogactwie nie myśli, i tak jest pełen dobrodusznéj prostoty, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Ręczyćby można, że każdy z jego ekonomów, przez to samo że służy u niego, musi się więcéj czupurzyć na pana—i niezawodnie wyjdzie w końcu na niego. Bo ekonomom, u niego to być musi jak wołom w pszenicy! On sam powiada o sobie, że nic go tak nie męczy i nie nudzi jak to wielkie mienie; bo czuje obowiązek rozumu i sumienia, aby go marnie nie strwonić i używać dobrze, a to mu odejmuje osobistą swobodę. To téż gotówby, jak mówi, przedać je komu za połowę ceny, byle miał to sumienne przekonanie, że ten nabywca nie będzie tylko prostym spekulantem, i że potrafi lepiéj od niego utrzymać je i obracać na ogólny krajowy pożytek. Podróżuje zwłaszcza dla tego, aby się na czas jakiś od pańsko-gospodarskich kłopotów oderwać; a że go podróż sama przez się nie

bawi, więc rad jest z towarzyszów przepędzania czasu. Z Adamem zna się od czasów Odeskich, i znać po nim, że go miłuje serdecznie, *notabene*, nie bez wzajemności. Codzień więc prawie rano, około godziny 10-éj zajeżdża do nas powozem, na cały dzień najętym, proponując to spacer, to obiad, to jaki spektakl na wieczór.

Nie obraża się atoli,
Gdy Adam, płci pięknéj gwoli,
Z nią jeździć lub chodzić woli.

Bo i sam on, jak widzę, jest jéj wielkim admiratorem, większym nawet niźli kamiennych lub malowanych piękności. Ilekroć zaś zwiedzamy razem stare jakie pomniki i gruzy: ma zawsze w pudle powozu ogromny jakiś *Dictionnaire historique*, z którego ja zazwyczaj, jak bernardyński braciszek w refektarzu, czytam głośno objaśniający artykuł. Nic go wszakże tak nie wzruszyło, jak obraz zakopywania żywcem biédnych Westalek, na placu, gdzie się to odbywało, a który zowie się tu dziś *polem zbrodniczém*, (*Campo scelerato*). Czas, to dopiéro wielki sędzia i mściciel, jak mówi gdzieś Lord Byron, który wszystkiemu na świecie sprawiedliwość nakoniec wymierza, i nadaje właściwe znaczenie albo nazwisko!

Onegdaj z tymże Potockim, x. Parczewskim, Strzeleckim, i kilku innymi, zwiedzaliśmy sławne *katakumby*, za bramą i przy bazylice Św. Sebastyana za miastem. Niegdyś, w świątyniach i pałacach Romy, zwano je pewnie *jaskiniami złoczyńców*, za jakich uchodzili

pierwsi chrześcijanie, którzy w nich szukali schronienia, kopiąc je i rozszerzając sami coraz daléj. Dziś jest to przedmiot czci i pobożnych pielgrzymek, na podobieństwo z grobem Zbawiciela; bo z nich to, jak *On Sam* z grobu, zmartwychwstało i wyszło na świat chrześcijaństwo. Były to pierwiastkowo kopalnie piasku i kamieni, na budowę tych gmachów Romy, które przez wieki dziwiły świat ogromem, jak dziś zadziwiają ruiną: że mogły być tak wielkie i upaść. A oto na ich gruzach, nie tylko tu, ale i na całéj kuli ziemskiéj, wznoszą się pod niebiosa miliony świątyń, których prawdziwe kamienie węgielne z tych samych właśnie pochodzą kopalni. Bo przecież musisz wiedzieć, że w każdym ołtarzu, przy którym ma się odprawiać ofiara mszy świętéj, jest i musi być koniecznie kamień z relikwiami świętych Męczenników. Otóż dziewięć dziesiątych takich relikwij, które się po tych wszystkich kościołach znajdują, dostarczyły niewątpliwie tutejsze katakumby. Były one albowiem nie tylko schronieniem żywych, ale *téż* i ogólnym cmentarzem piérwiastkowych chrześcijan, przez ciąg wieków prześladowania. I owe kamienie z relikwiami w ołtarzach, są właśnie na pamiątkę tego, że się wtenczas na grobach męczenników w tych lochach odprawiały święte ofiary. Lochy te są niezmiernie obszerne; nie tylko opasują miasto i rozciągają się pod niém w rozmaitych kierunkach, ale sięgają nawet, jak mówią, aż do brzegów morza w Ostii. Długość ich wszystkich razem wzięta ma jakoby wynosić seciny mil, a liczbę w nich pogrzebionych obliczają na miliony. Są to

kurytarze, dość ciasne, wązkie, ciemne i wilgotne, oświecone gdzie-niegdzie przez otwory w górze (*lucernaria*); rozszerzające się niekiedy w rozmaitych kształtach, jako kaplice, a w ścianach po obu stronach mające właśnie owe grobowce, z których dzisiejsze nasze cmentarne katakumby wzięły swój wzór i nazwisko. Ta część pieczar, w któréjśmy byli, nosi nazwę *Katakumb Św. Sebastyana*, od zwłok tego świętego, które tu Ś. Lucyna przeniosła, i sama wkrótce obok nich spoczęła. Wejście do nich jest z cmentarza Ś. Kalixta. Inne wejścia do innych części katakumb, i same te ich gałęzie, zowią się téż *cmentarzami* i noszą również imiona różnych Świętych, którzy w nich pogrzebieni byli. Mówię *byli*— bo tak relikwie ich, jak i wszystkie ruchome pamiątki, jak *np.* sarkofagi, łzawnice, freski, a nawet same nagrobne kamienie z napisami lub rysunkami, przeniesiono już ztąd oddawna do kościołów albo muzeów. Czy zaś te wszystkie gałęzie katakumb łączą się pomiędzy sobą, z pewnością niewiadomo; bo w jednych miejscach przejścia zasypane są ziemią, w drugich zaś zamurowano je umyślnie; gdyż nieraz zdarzały się przypadki, że zbyt gorliwi pielgrzymi, lub nazbyt ciekawi podróżni, ginęli zabłąkani w labiryntach podziemia. Dziś nie wolno ich zwiedzać inaczéj, jak za poprzedniém pozwoleniem władzy kościelnéj, i to z przewodnikami opatrzonymi w pochodnie. Mybyśmy jednak i bez nich mogli tam spacerować bezpiecznie, mając pomiędzy sobą Strzeleckiego, który z niemniejszą (jeśli nawet może nie z większą) cieka-

wością i zapałem archeologa studyuje te podziemne pieczary, jak rozsypane nad niemi gruzy starożytnéj Romy; bo w gruzach widzi już tylko szczątki staréj, a tu szuka zaczątków nowéj ery świata. I rzeczywiście słuchaliśmy go jak złotoustego kaznodziei, gdy z drobnych na pozór szczegółów, jak np. z napisów, godeł, rysunków, wyprowadzał całe szeregi pojęć, uczuć i wyobrażeń, nieznanych wtedy jeszcze na powierzchni ziemi, a które tu pod ziemią kiełkowały, krzewiły się i rosły, jak ziarna nowéj cywilizacyi, polewane krwią męczenników, nim ich plon całą ziemię ogarnął i całą ludzkość nowém życiem ożywił. I było w tém bez porównania więcéj ciekawego, niż w szerokiéj a wielce uczonéj prelekcyi p. professora Nibby „O starożytnych grobowcach Rzymskich,“ którą miał przed tygodniem, za opłatą, dla cudzoziemców, a na którą nas xiężna Zeneida zawiozła. Professor odbywał ją pod gołém niebem, za tąż bramą Ś. Sebastyana, niegdyś *Porta Capena*, zkąd wychodziła owa sławna droga *Via Appia*, zwana *Królową dróg* (*Regina viarum*), któréj szczątki, wespół z gruzami wodociągów, stanowią dziś najwspanialszy, jeśli nie jedyny zabytek z czasów Rzeczypospolitéj Rzymskiéj.—Pamiętasz pewnie z archeologicznych lekcyj naszego szanownego Gottfryda Ernesta Grodka, że podług prawa Dwunastu Tablic, groby Rzymskie powinny były być zawsze za miastem; stawiano zaś je zwykle wzdłuż dróg publicznych dla tego, aby pamięć w nich pogrzebanych w umyśle przejeżdżających odświeżać.

Otóż do boku *Królowéj dróg* cisnęli się wyłącznie ze swojemi grobami ówcześni „*Królewięta* Rzymscy, (jak Chmielnicki naszych panów nazywał), i w pośród tych to grobów p. Nibby przedmiot swój *ex cathedra* wykładał. Szereg ich rozpoczyna grobowiec Scypionów, najstarożytniejsza ze wszystkich pamiątka Romy. Jest to właściwie już tylko *grób grobu:* loch podziemny, nad którym wznosiło się niegdyś olbrzymie mauzoleum. P. Nibby, jak Cuvier ze szczątków mammuta, odgadywał zeń i odtwarzał wyobraźni słuchaczów dawną jego całość; ja zaś powtarzałem sobie w myśli z Krasickim:

„I my znikniemy, i mogiły znikną."

Żadna nawet z kamiennych postaci Scypionów, które zwykle w grobowcach obok urn z popiołami stawiano, nie uszła przed kosą Saturna; kości zaś ich, jakiś senator Wenecki uwiózł ztąd do swojéj ojczyzny, i tam podobno wystawił im jakiś pomniczek, dla ozdoby ogrodu swojéj wiejskiéj *villi*. *Sic transit gloria mundi.* Jedyny biust z tego grobu, uwieńczony laurem, a znajdujący się dziś w Watykańskiém muzeum, ma być, jak mówią, wizerunkiem poety Enniusza, którego, jak byli patronami za życia, tak widać i po śmierci Scypionowie do grobowego swego towarzystwa przyjęli. I nie jestże to niejako symbol, jak w potomności sława poetów nad sławą bohatérów— pióro czy rylec nad mieczem, duch nad ciałem—góruje? — Ze wszystkich innych pomników, a raczéj mauzoleów, najlepiéj zachowany jest dotąd grób Cecylii Metelli, żony Triumwira Krassusa. A więc

i znowu jakby nowy symbol—tryumfu dzieła miłości nad śmiercią i czasem! — Podstawa kwadratowá, z ogromnych brył kamienia; nad nią rotunda z białego marmuru, wewnątrz którèj stał niegdyś sarkofag, zdobiący dziś dziedziniec pałacu Farnese. Nad tą rotundą czy wieżą, były jeszcze do około kolumny, nad któremi wznosiła się kopuła. Zrzucono je w wiekach średnich, gdy sam pomnik służył za twierdzę.— Przy tym i przy innych grobowcach i *columbariach*, ciągnących się szeregiem o kilka mil włoskich za miasto, p. Nibby rozwodził się szeroko nad ich architekturą, opowiadał ich rozkład wewnętrzny, obrzędy przy paleniu lub grzebaniu ciał, i t. d.—*Columbaria* (gołębniki), są to jakby pałacowe officyny przy grobach możniejszych rodzin, w których mieszczono popioły ich wiernych sług..lub klientów, stawiąc urny w otworach podobnych do okien gołębników, zkąd i ta ich nazwa pochodzi. W *katakumbach* już nie ma tèj różnicy stanów. Patrycyusz czy wyzwoleniec, (niewolników tam zgoła nie było), spoczywali tuż obok siebie jak rodzeni bracia w Chrystusie. Purpurę, czyli (jak u nas nazywano) karmazyn, stanowiła tam tylko jedna krew męczeńska. Przepych nie odznaczał grobów bogaczy, gdzie ubóstwo uważano i czczono jako jednę z cech Bóstwa na ziemi. Za toż nad niemi, na powierzchni świata, jak we wszystkiém, tak nawet i w grobowcach, w miarę jak *virtus* (cnota i siła) Romy chyliła się do upadku, przepych i zbytek szalony wzrastał jak cień od ciała przed zachodem słońca. Dzisiejszy zamek Ś. Anioła, prawdziwa

fortuna, jest niczém inném jak grobowym pomnikiem [illegible] Adryana i [illegible] na [illegible] Cecy[illegible] który był niczém więcéj jak [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], czyli nie przypomina pyramidy Faraonów Egipskich. — A pomimo [illegible] kiedy rzeczy zmieniły i w chrześcijaństwie [illegible]. Nazwa „*sztuki odrodzenia*," sprawiedliwie mogłaby się nazwać dwuznaczną przy stosowaniu jéj do pogaństwa i do chrześcijaństwa. Pogaństwo zaczyna się w nim *odradzać* z upadku, a chrześcijaństwo *odra-dzać się* od pierwotnéj swojéj czystości. Jedno i drugie dzieje się z razu bardzo niewinnie w niwie nauki i sztuki, które [illegible] żarliwy duch chrześcijański chciałby uświęcić i podnieść ku Niebu. Ale jak w sztuce ciało, olśniewając pięknością, zaczyna równa brać górę nad duchem: tak rozum ludzki, olśniony nagle skarbami wiedzy starożytnych, jak młody dziedzic ogromnéj fortuny, rośnie coraz w próżność i pychę, i widząc co już dokonał przed wschodem światła objawionéj wiary, myśli że się i nadal obejść może bez niego; aż coraz bardziéj zaufany w swych siłach, występuje do walki z wiarą, ażeby w końcu, jak to dziś widzimy, z pod doktorskiego biretu pana Hegla, sam się Bogiem jedynym ogłosił. — Ale wracam do grobowców Rzymskich — Same groby papieżów z owych czasów, o ile się oddalają od katakumbowych, o tyle się zbliżają do pomników z nad drogi Appijskiéj. Gdzie tu czas zmówić *Anioł Pański* za duszę, albo rozpamiętywać cnoty pogrzebionych, kiedy dokoła rzeźby i posągi całą myśl twoję zwracają ku

sztuce, ku podziwianiu lub krytyce jéj mistrzów?— Nieraz przychodził mi na myśl grób Paca, w Antokolskim naszym kościele Ś. Piotra, który jest wiernėm odbiciem ducha mogił katakumbowych. Wielki pan i dygnitarz, fundator kościoła, każe się grześć w jego progu, aby po nim wszyscy deptali, i zamiast wyliczania godności swych lub czynów, wyryć na grobowym kamieniu jeden tylko wyraz: *peccator* (grzesznik)!—W Rzymie, z pomiędzy wszystkich sławnych grobów, które widziałem, (a widziałem ich mnóstwo, i ex-królów, i bohatérów, i mędrców, i wielkich artystów), jeden tylko uczynił na mnie podobne, duchowe wrażenie. Jest to grób poety, grób Tassa, w kościele Ś. Onufrego, na wzgórzu *Janiculum* leżącym. Przyczyniło się jużciż do tego i wspomnienie całego ciągu życia tego ideału poety, w zapasach z losem, światem, z wiekiem swoim i z sobą samym. Ale dosyć byłoby i samego grobu. Prosty kamień w podłodze kościelnéj z napisem:

D. O. M.
Torquati Tassi
Ossa hic jacent.
Hoc ne nescius esset hospes
Fratres hujus ecclesiae
P. P. (posuerunt)
Anno MDXCV.

Tak więc ubodzy zakonnicy skromnego kościołka biorą na siebie zawiadamiać gościa, gdzie leżą prochy człowieka, który gdyby nie był umarł dniem przedtém, nazajutrz już miał stać się przedmiotem

ogólnéj czci całego chrześcijańskiego świata; w Rzymie, na Kapitolu, z rąk najwyższego kapłana i króla, rozdawcy koron i aureoli, miał otrzymać koronę laurową i razem aureolę chwały najpiérwszego poety swojego czasu! Czyżby więc śmierć zatarła zasługi? Czyż dla zwłok takiego człowieka nie było miejsca w Watykanie czy w Panteonie? albo czyżby grób jego nie był wart pomnika? Wprawdzie najświetniejszy pomnik nagrobny ująłby tylko może wrażenia dzisiejszemu grobowi. A ja rzuciłem pytanie, co lepiéj: czy że poeta umarł w przeddzień swego tryumfu, czy żeby był umarł nazajutrz? Panna Henryetta, rodzice jéj, Strzelecki, x. Parczewski, który był z nami, wszyscy żałowali wraz ze mną, że téj pociechy nie dożył. Jedna tylko panna Marcellina zrobiła uwagę, że pożyteczniéj może dla duszy opuszczać świat w poczuciu jego znikomości, niż w upojeniu próżności i chwały. Adam stał nachmurzony na uboczu i milczał, jakby naszych dyskussyj nie słyszał. Na zapytanie dopiéro saméj pani hrabiny, ocknął się z zamyślenia i rzekł: „że o témby najlepiéj mógł powiedzieć sam Tasso, gdyby mu dano przemówić z za grobu.“—Nie słowa te, ale ich ton i sama wibracya głosu miały coś tak przenikliwego, że wszyscy raptem zamilkli, a ja szczerze *in petto* zmówiłem wieczne odpocznienie za Tassa, jakby za zwyczajnego nowego nieboszczyka, i przytém z mimowolną trwogą westchnąłem o zdrowie Adama. Czy ta myśl przebiegła i drugich?—z pewnością nie wiém, ale mi się tak

zdało;—a wiész, że się niekiedy myśli magnetycznie zgadują.

Z kościoła, przewodniczący nam zakonnik zaprowadził nas do celi w klasztorze, w któréj Tasso chorował i umarł. Celka mała, sklepiona, ale jasna, a z okna cudny widok na miasto. W ogrodzie rośnie ogromny dąb, pod którym codzień siadywał, a zkąd widok jeszcze piękniejszy, ogarnia całe miasto, i okolice aż do morza. W celi zachowane są ubogie sprzęty, które mu służyły w chorobie: krzesło, pas, miska, zwierciadełko i kałamarz drewniany. Ale najciekawszym jest rękopism ostatniego niedokończonego listu do przyjaciela. Szkoda, że go nie mogłem całkiem zapamiętać; bo jest on niemniéj może wierném odbiciem wysokiéj, rzewnéj i wierzącéj duszy poety, jak maska z wosku, zdjęta z twarzy jego po śmierci, i podług niéj wykonane popiersie, dają poznać szlachetne, piękne rysy oblicza, na które śmierć może dopiéro spokojność i pogodę rozlała. W liście tym przepowiada już blizką śmierć swoję. Jest w nim i odcień żalu do losu i świata, i poczucie wartości własnéj, gdy mówi: że musi umierać w nędzy, on, który się przecież spodziewał, że chwała, którą pisma jego wiekowi przyniosły, przyniesie coś i dla niego samego. Pisze daléj, że się przeniósł do tego klasztoru nie tylko dla zdrowego powietrza, ale téż aby w rozmowach z pobożnymi zakonnikami przygotować się lepiéj do wieczności. Kończy prośbą o modlitwę za siebie i zapewnieniem przyjaźni w przyszłém, trwalszém życiu. W obec tych słów i myśli, któ-

rych śmierć skończyć nie dała, straciły urok laury, których wieniec zdobił popiersie. Przyszedł mi tylko na myśl, i powtórzyłem wiersz Naruszewicza:

„Wasz to obyczaj—cierniem w życia ciągu,
Laurem po śmierci wieńczyć na posągu."

Poprosiłem wszakże panienki, ażeby mi uszczknęły każda po trzy listki. Posyłam tu z nich dwa: jeden dla ciebie, drugi dla Olesia. Trzeci poszlę wprost Ignacemu, czwarty zachowam sobie. Dwa zaś ostatnie przeznaczam dla Czeczotta i dla Witwickiego. Bo nie wiém zkąd i dla czego, ale o ile zapamiętam, myśl o losie i śmierci Tassa łączyła się we mnie mimowolnie z wyobrażeniem doli i śmierci naszego Kniaźnina, którego znowu z rzewności i piosnek przypominał mi Czeczott. Tymczasem, jak widzę z fizyognomii, ze wszystkich naszych znajomych, najpodobniejszym do Tassa byłby może chyba Witwicki, tak z powagi i regularności rysów, jak z wysokiego czoła i podłużnego owalu twarzy. Po Adamie, Witwicki jest dla mnie najpiękniejszym ze wszystkich naszych poetów. Myślałem zaś po kolei o wszystkich, nie wyjmując nawet klassyków—a wiész z jakiego niedorzecznego powodu? Oto, gdzie który może umrzeć i być pochowanym? a to stosując do wszystkich wiersz Kochanowskiego:

„I obmyśli to pewnie syn pięknéj Latony,
Że popiół kości moich nie będzie wzgardzony."

Ale dość téj żałoby!
Laur rzuciwszy na groby,

Pójdź teraz z nami użyć życia i wiosny, którą w pełnym rozkwicie, blasku, bujności i krasie południowéj, obaczyliśmy i powitaliśmy raz piérwszy w villi *Doria-Pamphili*, (nieopodal od grobu Tassa, na témże wzgórzu Janiculo, za miastem). Jest to rozkoszna, cienista oaza na tle pustynnéj Kampanii Rzymskiéj, wartaby również zwać się królową villi, jak *Via Appia* królową dróg. Oprócz obszaru, położenia, widoków; prześlicznych łąk i trawników; przepysznych drzew i gajów: mirtowych, laurowych, migdałowych, pomarańczowych, a zwłaszcza sławnych tutejszych palm-sosen, których ciemno-zielone wachlarze, rozgałęzione dopiéro u szczytu, jak baldachin nad palankinem, rysują się i odbijają malowniczo na tle nieporównanego błękitu, a przeświecane same promieniami słońca, ścielą jakby gwiaździste kręgi cienia po kwiatach, których nieprzeliczone mnóstwo, i dziko i sztucznie rozsianych, mieni się i połyskuje wszystkiemi barwami tęczy, a wonność ich — zwłaszcza fijołków — rzeczywiście przesyca powietrze i upaja za każdym oddechem. Otóż oprócz tych wszystkich skarbów Fauny i Flory, o których my północnicy ani wyobrażenia nie mamy—villa ta odznacza się jeszcze nadzwyczajną obfitością wody: to rozlanéj w gładkie zwierciadła, to szemrzącéj w małych strumykach, to szumiącéj w spienionych kaskadach, to tęczami tryskającéj w powietrze, to nakoniec samym swym spadem na klawisze czy szkiełka, gra-

jącéj na tak zwanym *hydraulicznym organie*, jak wiatr gra na arfie Eolskiéj. Jest to sławna niegdyś *Aqua Traiana*, teraz *Aqva Paola* albo *Paulina*, od imienia papieża Pawła V, który ten starożytny wodociąg odnowił i powiększył; a która dziś obficiéj niż dwie inne: *Aqua Vergine* i *Aqua Feljce*, napawa, płócze i orzeźwia Rzym nowy, na wszystkich jego pagórkach i placach. Idzie ona z dwóch jezior: *Bracciano* i *Martignano*, i tu na wzgórzu Janiculo rozdziela się na dwie gałęzie, z których jedna, przez wspaniałą fontannę *Paulina*, rozlewa się na *Pozatybrze* (*Trastevere*), a druga płynie ku Watykanowi, i tworzy tam te dwie sławne olbrzymie fontanny, które biją na placu przed kościołem Ś. Piotra. Otóż w villi *Pamphili* po drodze, Najada ta, w całéj piękności, ukazuje się najprzód i popisuje przed Rzymem, i sama sobie gra marsz na organie, jak wojsko przed wejściem do miasta.—Milszéj wycieczki nie mieliśmy dotąd. Adam był rozpromieniony jak słońce; panienki ożywione jak kwiaty od słońca; a mianowicie panna Henryetta, która w wesołych podskokach jak dziecko goniła za motylami po łące. Nie mogąc jéj doścignąć — przypomniałem i powtórzyłem wiersz z *Maryi Sztuart* Szyllera, ze sławnéj sceny w parku *Fotheringhay*, którym Kennedy do Maryi przemawia:

„*Ihr eilet ja, als wenn Ihr Flügel hättet* [1].“

Aż tu, ku największemu podziwieniu mojemu, biegnąca zatrzymuje się nagle, zwraca się, i z figlarnym

[1] Spieszysz się, pani, jakbyś skrzydła miała.

uśmiechem i pozą, odpowiada mi słowo w słowo odpowiedzią Maryi w sztuce:

„Lass mich der neuen Freiheit geniessen,
Lass mich ein Kind seyn! Seyd es mit!
Und auf dem grünen Teppich der Wiesen
Prüfen den leichten, geflügelten Schritt!"

Adam zadziwił się także, i nuż w admiracyą pamięci i talentu deklamatorki! (W istocie deklamuje prześlicznie). Ja zaś, na rozkaz panny Marcelliny, parafrazuję jak mogę naprędce ten cudny oryginał.

O! daj mi, pozwól mym myślom i sercu
Użyć swobody, zdziecinieć na chwilę,
I po zielonym téj łąki kobiercu
Z wiatrem skrzydlate wyścigać motyle.

I gdy sama pani hrabina admiruje z kolei parafrazę moję, ja palę daléj *ex promtu* apostrofę do saméj panny Henryetty:

O! baw się, pani! korzystaj z téj chwili!
(Ja odpowiadam za Annę Kennedę),
Wiosna wam za nas odpłaca w *Pamphili*,
Uroki zimy na *Via Mercède*.

Tu już i Adam śmieje się i daje mi *brawo!* a ja, jako uznany laureat, dopominam się u panienek o wieniec. Zrywają i dają mi kwiatki. Adam także zbiera szybko fijołki, i uzbierawszy garść pełną, rzuca niemi na pannę Henryettę. Panna Marcellina podbiegła, i schwyciła kilka w przelocie. Adam woła o zdobycz nieprawną, bo one wszystkie należą

do swojéj *królowéj;* a jest i warta być *królową fijołków* ta, co gra tak *La Violette* Herza, (ulubioną sztuczkę Adama). Tu wszczyna się gwar i dysputa. Ja pytam: jakież więc kwiaty dla panny Marcelliny przeznacza? On zrywa i podaje jéj narcyz. Ja w nim, jako w godle próżności, widzę przytyk do wyniosłości i dumy; Adam tylko podobieństwo z lilią, któréj tutaj nie ma pod ręką. Heroina z obydwóch tych względów stanowczo nie przyjmuje narcyza. Ja więc zrywam i ofiaruję *purpurowy* anemon. Zgadła, jakby wyczytała myśl moję, do czego ja ten kolor stosuję; i „*Kardynał mój*“ z ofuknieniem odpycha przypomnienie szkarłatu:

„*What? not recieve my foolish flower?*
Nay, I am then indeed unblest! [1])“

wołam patetycznie z Zulejką, uderzając i załamując dłonie. Ale nim doszedłem do wiersza, który zwłaszcza chciałem powiedzieć:

„*And knowest thou not who loves thee best?* [2])“

przerwała mi jak na biédę panna Henryetta, która związawszy mały bukiecik z dwóch różyczek i kilku liści laurowych, przyniosła go i podaje Adamowi. On także wzbrania się przyjąć i usuwa się mówiąc: „Jedno zawcześnie, drugie za późno!“ — Tu panna Marcellina oddaje mu schwytane na powietrzu fijołki

[1]) Co? nie przyjmujesz mego drobnego kwiatu?
O! toż już jestem iście nieszczęśliwy!
[2]) Nie wiész-że, kto cię kocha najwięcéj?

i z wesołym przekąsem mówi: „Może te będą panu najmilsze?“ — „Ale co na to powié ich królowa?“ ja pytam. Królowa zarumieniła się tylko jak róża; — a w téjże chwili sama pani hrabina, godząc nas, dalsze spory przerwała.

Ale nie tylko ona i my wszyscy — sam téż pan Ankwicz, zwykle poważny i zimny, ożywił się tu i rozweselił. I gdy wnet z jakiegoś pagórka, zkąd widać całą Kampanią Rzymską, wytężamy wzrok w stronę morza, które jak pas jasnych obłoków błyszczy tylko zdaleka i zlewa się z niebem: on zamawia nas i zaprasza na przejażdżkę do *Fiumicino*, aby zblizka *Mediterraneum* oglądać. (Jest to najbliższy Rzymu punkt na brzegu morskim). Dziękujemy, ma się rozumieć; a on snuje dalsze projekta innych jeszcze wycieczek za miasto, nim skwary i *malaria* nastaną. I rzeczywiście temi projektami osłodził nam—a zdaje się, że i panienkom—szczery smutek z opuszczenia téj villi, gdy zachodzące słońce przypomniało powrót do miasta. Ale jeszcze i sam ten powrót, równie jak i przepyszny zachód słońca, przedłużały urok dnia tego. Adam, choć nie wierszami, ale wszystko co mówił było jak improwizacya poetyczna. Siedział naprzeciw panny Henryetty; udrappowany płaszczem, bez kapelusza, uśmiechniony, rozpromieniony, wyglądał rzeczywiście na Antinousa. Wszystko co się nawinęło na oczy, podawało treść do rozmowy, któréj tłem była żartobliwa wesołość. Z samą panią grał w *cetno* i *licho* na palcach; pannę Henryettę wyzwał na grę w *zielone*, a z panną Mar-

celliną kłócił się ząb za ząb. Gdy zaś wkrótce z samym panem Ankwiczem zaczął poważny dyskurs o polityce: nie dziwi mię, że jego interlokutor, za powrótem do domu, nie mógł wyjść z podziwienia nad jego głębokim rozumem. Dowiedziałem się o tém nazajutrz od saméj pani; i to właśnie dało mi assumpt do długiéj z nią i nader poufnéj rozmowy, która znowu posłużyła mi za najsilniejszy argument, do zwalczenia dziwacznego projektu Adama, który spadł na mnie jak piorun. Kiedy ja bowiem nazajutrz po téj naszéj wycieczce, rozpływam się w marzeniach o niéj i o przyszłych, i choć już nie śpiąc leżę z zamkniętemi oczyma: on wstał wcześniéj niż zwykle, i okrywszy się płaszczem, chodził w kółko po drugim pokoju. Byłem pewny że kuje wiersze, i żeby mu nie przeszkadzać, umyślnie przedłużałem półdrzemkę. Aż tu nagle przy kawie występuje z projektem, żeby jechać do Neapolu z Potockim, który się tam wkrótce wybiera. Struchlałem od stóp do głowy, bo zgadłem o co rzecz idzie. W Wejmarze straszył mię nieraz wyjazdem, jak Mentor Telemaka; tu sam sobie chce być Mentorem. Odradzałem, ale nie protestowałem stanowczo, żeby się przez przekorę nie uparł. Ale dopiéro wieczorem, po téj rozmowie z samą panią, rozmówiliśmy się téż z nim na otwarte, chociaż w sposób ogólnikowy, i stanęło nakoniec na dewizie Bayarda: „*Fais ce que tu dois, advienne ce que pourra.*“ — Dłużéj ci o tém nie piszę. — Ale co mam napisać o wycieczkach do innych villi i okolic, o których na początku tego listu wspomniałem? Opi-

sy ich nie wchodzą w mój program, a towarzystwo, lubo zawsze bardzo miłe, niekiedy nawet toż samo, nie miało już wszakże ani tego uroku, ani takiego wpływu, jak w *Doria - Pamphili*. Byliśmy jeszcze z państwem Ankwiczami w villach *Albani, Niels*, i *San Severino*. Piérwsza ma piękne widoki, ale ogród nie może się równać z Pamphili. Za toż pałac jest bez porównania piękniejszy, a nadewszystko jest on po Watykanie i Kapitolu najbogatszém muzeum rzeźb starożytnych, zapełniających portyki, galerye, sale, a uszykowanych podług planu i pod przewodnictwem samego Winkelmana. Jest tu sławny profil Antinousa; posąg jakoby Brutusa, (dla tego, że ze sztyletem w ręku), ale taki szkaradny co do wyrazu twarzy, że wartby wyobrażać najemnego zbira; i t. d. Najciekawszemi wszakże dla mnie były posągi i biusta rozmaitych cesarzów Rzymskich, których tu jest wielkie mnóstwo. Zresztą widzieliśmy już to wszystko parę razy przedtém, a teraz przebiegliśmy tylko przelotem, dla przypomnienia, napawając się głównie wiosną i wonią kwiatów; mianowicie w villi Niels, któréj szczególną zaletę i sławę stanowi niesłychana obfitość róż, zaściełających literalnie resztki gruzów pałacu Cezarów, na których i z których jest zbudowaną, a zowie się od imienia właściciela swojego, Anglika. Villa *San Severino*, niewielka, zaniedbana, opuszczona, podobała się jednak najlepiéj Adamowi przez to, że mu przypominała niektóre ogrody litewskie. To mi nastręczyło uwagę, że niektórzy wojażerowie nasi w cudzych krajach, podobni są do par-

weniuszów, którzy w towarzystwie bogaczów wstydzą się ubogiego pochodzenia swojego; kiedy przeciwnie drudzy, rozumni i zacni, tém bardziéj zaczynają kochać kraj własny, na zasadzie tego uczucia, o którém mówi Brodziński, że

„Rzewniéj się jakoś kocha matkę nieszczęśliwą.“

Panienki z tego powodu zapragnęły obaczyć ową drogę litewską, za *Porta Pia*, o któréj ci już kiedyś pisałem, że Adam brał ją nieraz za cel naszych przechadzek za miasto, i często o niéj przed panienkami wspominał. Pojechaliśmy więc za *Porta Pia*, i byliśmy radzi niezmiernie, nie tyle z saméj téj drogi, co z ogólnego widoku Kampanii Rzymskiéj, rozkwitającéj w pełni powabów wiosennych, których jeszcze skwar słońca nie zwarzył. Adam jednak i tu znalazł sposobność przenoszenia wiosny naszéj nad włoską, a mianowicie: że u nas całe powietrze rozlega się śpiewem skowronków, a tu ani jednego nie słychać.

W *Villi Borghese* odbyliśmy formalną majówkę, (Luty tutejszy wart naszego Maja), z całym dworem xiężny Zeneidy, licząc w to nas i p. Ricci, i z całém towarzystwem pani Klustin, licząc w to Bonstettena, pp. Duby i De Luc; a nadto z dodatkiem szaradowych naszych współartystek: panien Siemionow i panny Luizy Vernet z matką, oraz kilku panów, częścią z ambassady francuzkiéj, częścią z pomiędzy uczących się tu kosztem Akademii Petersburskiéj artystów, na czele których jest p. Bruni, bardzo światły i miły młodzieniec. Wyjechawszy po ranném śniadaniu od xiężny,

przebawiliśmy dzień cały, jak dawni Rzymianie, pod gołém niebem; przyczém cieniste szpalery villi służyły nam za portyk, a szum wody, *Aqua Vergine*, przepływającéj tędy ponad villą, (wodociągiem na wysokich arkadach), jeszcze to podobieństwo podwajał. Owoce, ciasta, cukry i wino, składały ballast każdego powozu. Mężczyzni tylko i pani Vernet z córką byli gośćmi. Za toż ona w powrócie zaprosiła nas do siebie na lody, które czekały na nas w ślicznym ogrodzie, w villi *Medicis*, pod którym, podziemnym kanałem, przepływa taż sama *Aqua Vergine*, któréj nam w villi *Borghese* dostarczały do picia szumiące fontanny. Towarzystwo nasze dzieliło się tam na dwie połowy. Starsza—do któréj należeli Adam i panna Anastazya — siedziała sobie pod cieniem, gwarząc jak polne koniki, (według porównania Homera); młodsza zaś, pod nominalnym nadzorem i opieką dobréj pani Własow, motylkowała swobodnie po parku. A zaglądaliśmy téż i do tak zwanego *Casino*, to jest pałacyku w ogrodzie, w którym, jak w villi *Albani*, można widzieć niemały zbiór rzeźb starożytnych; choć są to tylko resztki ogromnego niegdyś muzeum, które xiąże Borghese, szwagier Napoleona, przedał mu za ośm milionów franków.

Najpiękniejszą ozdobą tego zbioru jest najnowsza statua Wenery, zwanéj *zwycięzką* (*Victrix*), dłóta Kanowy, do któréj za model artyście pozowała sama xiężna Borghese, słynna z piękności Paulina Bonaparte. Oglądaliśmy ją sami mężczyzni, bo damy wejść razem nie chciały. Bez nadziei cudu Pigma-

liona, niebezpiecznie byłoby wpatrywać się w nią długo, ażeby potém głowy o ten marmur nie strzaskać. — I wiész jakie mi przyszło doskonałe wytłómaczenie mitu o Galatei? Pigmalion zakochał się nie w posągu, ale w modelu, a zapomniawszy o marmurze i glinie, zwolnił go z piedestału i z pozy posągu, i ztąd poszło, że posąg ożywił. Wszyscy uznali słuszność mego wniosku.—A ja od Galatei przechodząc do Egeryi, powiém ci jeszcze słówko o ostatniéj, bo onegdajszéj wycieczce naszéj za miasto, właśnie do groty i gaju téj bogini, czy kochanki Numy.

Egeryą w niéj naszą była panna Anastazya, a towarzyszami, trzej Genewscy jéj przyjaciele. Grota leży w prześlicznéj, długiéj, samotnéj dolinie. Zielone sploty bluszczu, zwieszając się z jéj wierzchu, tworzą jakby powiewną zasłonę u wnijścia. W głębi szeleszcze woda spadająca z góry. Nie dziw, że Numa przychodził tu marzyć; ale jeśli marząc nie usnął, to winien był chyba obecności Egeryi, jak my towarzystwu panny Anastazyi; bo inaczéj, ten szelest wody, a przytém miły chłodek i cień saméj groty, dziwnie jakoś równie do marzeń jak i do snu zachęca. Okrągły, mały gaik na wzgórzu, jest już nie wiém którym pra-prawnukiem owego, w którym ta czuła para spacerowała przed wieki.—Ale Egerya nasza w powrócie nie popisała się wcale z darem natchnienia. Chciała nam pokazać i objaśnić po drodze *Thermy Karakalli*, ktore sama studyowała kiedyś pod przewodnictwem Viscontego, i kazała tam jechać furmanom. Wysiadamy, wchodzimy — p. Duby czyta

z Nibbiego opisanie wspaniałych ruin — których nigdzie wkoło siebie nie widzim. Prosimy więc o objaśnienie uczonéj przewodniczki—a ta sama zakłopotana, zmieszana, dziwi się, jąka, i nie wié co mówić. Udajemy się zatém do przechodniów, ale i z tymi jakoś nie możemy się porozumieć. Jowialny staruszek Bonstetten i Adam wyścigają się w wesołych żartach z głębokiéj archeologicznéj wiedzy naszéj Ciceronki, która miała przed nami snuć nić Aryadny; aż nakoniec p. Duby, wertując daléj Nibbiego, domyśla się i przekonywa, że jesteśmy nie w *Thermach*, ale w *Cyrku* Karakalli—czego uczona przewodniczka nasza nie umiała sama odgadnąć. Ztąd nowe żarty i śmiechy, i nakoniec opowiadania rozmaitych w tym rodzaju anegdot, których żałuję że nie mam czasu powtórzyć, bo uszłyby na wety do uczt pana Kaspra. Zostawię to może na późniéj.—Teraz miałbym jeszcze do powiedzenia o kilku wieczorach: u pp. Potockich, Sanguszków, xiężny Dietrichstein, a mianowicie u xięcia Gagaryna, gdzie był powtórnie amatorski teatr, jak będzie jutro u xiężny Zeneidy, na którym znowu „*Mes Farces*,“ a więc i ja w nich wystąpię. U xięcia grano dwie nowe sztuczki: „*Le nouveau Pourceaugnac* i *L'Ours et le Pacha*, w któréj rolę niedźwiedzia grał jeden z naszych panów — czego mu drudzy nie mają za dobre. Ale dam temu pokój, a ograniczę się na świetnym kostiumowym balu u posła hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador. Wszystkie nasze znajome panie miały być na nim, a młodsze figurować w kostiumach. Udałem się więc do xięcia

Gagaryna, który tak był uprzejmy, że nie tylko dał nam bilety, ale sam był introduktorem naszym i przedstawił nas gospodarzowi.

Pałac ambassady hiszpańskiéj, na placu, który od niego bierze swe nazwanie (*Piazza di Spagna*), odznacza się prawdziwie królewskim przepychem. Gust i zbytek walczy tu o lepsze. Salony od marmurów, porfirów i złota. Freski najznakomitszych malarzy; płaskorzeźby Thorwaldsena, Kanowy, i t. d. Meble paryzkie, zwierciadła weneckie, kobierce perskie, naczynia etruskie, porcellany japońskie i chińskie. Złocone bronzy, alabastry, kryształy, błyszczą po wszystkich framugach i kątach. A to wszystko w zieleni i w kwiatach, morzem światła z góry oblane! A śród tego wszystkiego, wyobraź tylko sobie rój, tłum, fale panienek: Bogiń, Nimf, Sylfid, Wróżek, Bajader, Hurysek, w najrozmaitszych malowniczych strojach, różnych mód, czasów i krajów!—A jeśli ci to nie da pojęcia o świecie wschodnich baśni, albo raju Proroka, to, choćbyś był muzułmanem, nie wartbyś go nigdy oglądać. Nam wszakże nie godziło się myśleć o tém, bośmy właśnie należeli do Gwebrów; nie żeby za nich przebrani, lecz żeśmy giermkowali dwóm *Kapłankom Słońca*, którego obraz z pozłocistéj blachy, odbijając promienie światła, błyszczał im jak ono samo na piersiach; nie gasząc wszakże gwiazd srebrnych, na błękicie ich tunik rozsianych, co jakby przez chmurkę mgły letniéj, z pod przejrzystych zasłon migały. Zgadniesz łatwo, kto one były. Adam jeżeli odrywał się od nich, to chyba *pour faire sa*

cour damie dworu Ludwika XIV, którą z wielką powagą i wdziękiem reprezentowała nasza *Korynna;* ja zaś, jak zwykle przestając na mniejszém, *filonowałem* tylko czasem około *Berżerki Bretońskiéj*, któréj przedoskonały ideał przedstawiała panna Luiza Vernet. Ale co nas, i wszystkich w ogólności Polaków, radowało serdecznie i szczerze, to, że śród tylu bogiń i boginek, śród kostiumów całego świata, nie gasły, owszem świeciły: *Krakowianka*, i strój jéj góralski. Xiężna Iza tak go podniosła. Ale trzebaż, że ta pociecha serc naszych, a oczu wszystkich, że ta właśnie zamąciła wesołość balu. Wiodąc rej w piérwszéj parze mazurka, na srebrnéj podkóweczce czerwonego bócika, pośliznęła się — i choć nie upadła, tak strąciła stopę u zgięcia, że nie tylko już daléj tańczyć i pozostać na balu nie mogła, ale dziś nawet jeszcze śmiało stąpać nie może, i w powozie już tylko wybiera się na *Corso*.

Gdzie i ja, list ten zapieczętowawszy,
Ruszam—by potém napisać ciekawszy,
O tym Rzymskim karnawale.—
Tymczasem, na ten raz—*vale!*

XI.

Do tegoż.

Rzym, 24 lutego 1830 r. (Popielec).

„*Pulvis es et in pulverem reverteris.*"
Proch jesteś i w proch się obrócisz.

„A toż co?"—krzykniesz może na ten epigraf listu, mającego być opisaniem Karnawału Rzymskiego. Nie jest i to bez analogii z karnawałem. Bo jak niegdyś na *memento* dla ludu, ażeby się zbyt nie rozhukał, miano tu zwyczaj zaraz na początku tracić publicznie jakiegoś winowajcę: tak i ja dla tego posypuję cię najprzód obrzędowym dzisiejszym popiołem, abyś się wyobraźnią nazbyt nie rozbujał. Nie roszczę ja wprawdzie nadziei, aby mój opis miał sprawić ten skutek; ale i treść sama wystarczy. Opis ten zaś nie jest tylko dla ciebie lub dla was, jak bywały poprzednie, ale ułożyłem go dla szerszéj publiczności, i przeznaczam albo do przyszłéj *Melitelí*, albo do któréj z naszych gazet, jak o tém zadecyduje Witwicki. W tym celu pojedyńcze szczegóły, które widziałem, skupiłem i ująłem w ramy ogólnego obrazku, i ten ci tu najprzód przepiszę. Przy końcu zaś dopiéro, *tibi vobisque solis*, dodam jako *post-scriptum*, co przez ten czas moja własna *persona* w tym zgiełku i gwarze robiła. A więc masz:

Karnawał Rzymski.

Karnawał (*Carnevale. Mięsopust*), zabytek dawnych Saturnaliów, tak niegdyś w starożytnym Rzymie ulubionych, jest dotąd narodową uroczystością we Włoszech, wspólną wszystkim ich krajom i miastom. Stolicą jego przedtém była Wenecya. Dziwne to miasto, zarazem do kamiennéj floty i do labiryntu podobne; z tysiącem swych krętych uliczek, krzyżujących się mostków, kanałów i tajemniczych gondoli; z placem Św. Marka, do balowéj sali raczéj podobnym; zdaje się być przeznaczoném na miasto intryg, biesiad i maskarad, stanowiących główną zabawę i powab karnawałów włoskich. Lecz minęły dla Wenecyi czasy wesela i uroczystości. Do Rzymu dziś śpieszyć musi podróżny na piérwszy i ostatni tydzień Wielkiego Postu, jeśli chce widzieć najwspanialszy kościelny obrządek i najweselszy w świecie karnawał. Najweselszy, bo kto nie był świadkiem wesołości Włochów, ten, możnaby powiedzieć, nie wié co jest wesołość.

W całém chrześcijaństwie tydzień zapustny. przeznaczony jest zwykle na zabawę; lecz w innych krajach po miastach bawią się tylko niektórzy; w Rzymie lud cały —lud włoski. Gdzieindziéj teatrem zabaw są ciasne domy i natłoczone sale; tu całe miasto—Rzym! Podobnaż różnica i w ludziach. My np. bawimy się najczęściéj albo dla towarzyskich względów, albo dla przepędzenia czasu; Włosi dla użycia zabawy. Niemiec rad bawić się tylko drugimi—obserwa-

cyą; Francuz tylko dla drugich — popisywaniem się; Włoch bawi się w sobie i dla siebie—uczuciem. Ztąd to i upodobanie Włochów w maskaradach; bo maski zapewniają im najpotrzebniejszy warunek zabawy — swobodę. Niemcy mniéj w nich znajdują powabów; bo jużciż ciekawiéj jest obserwować cudze twarze, niż maski. Francuzi dla kostiumów chyba je lubią; bo sami woleliby raczéj okazywać się tylko, nie taić. Włochowi służą one do obudzenia jego wyobraźni, a ta mu za wszystko wystarcza.

Tegoroczny karnawał w Rzymie z większém niż kiedy oczekiwany był utęsknieniem; gdyż właśnie w poprzedzającym roku, śmierć Leona XII papieża pozbawiła była mieszkańców wszelkich zabaw publicznych. Od ostatniego dnia adwentu, był on już głównym przedmiotem, zajmującym myśl i wyobraźnię ludu. Ilekroć zdarzyło mi się przechodzić przez ludniejsze ulice lub rynki, gdzie się lud prosty z okolic codzień na targi zgromadza, nie było pewnie minuty, ażebym tu lub ówdzie, wpośród zgiełku i wrzawy, słowa: *Carnevale*, nie słyszał. Ilekroć, jako cudzoziemiec, wdałem się z Rzymianinem w rozmowę o jego mieście, żaden z nich nie zaniedbał zapewniać mię uroczyście, że wszystko, co mi się w niém dotąd podobało, jest niczém w porównaniu z ową rozkoszą, jakiéj bez wątpienia doświadczę, zobaczywszy Rzymski Karnawał. „Byle tylko Papież nie umarł!“ dodawał z westchnieniem każdy prawie mówiący, ściskając ramionami i wznosząc oczy ku niebu. Ta jednostajność obaw i jakaś tajemniczość przy ich wy-

rażaniu, zwróciły moję uwagę. Przy rozmowie więc o tém z jednym adwokatem, światłym i dojrzałym człowiekiem, zdziwiło mię niewypowiedzianie, kiedy na zapytanie moje: azali Ojciec Św. jest tak słaby czy chory? usłyszałem odpowiedź: że wprawdzie nie ma się tak źle bardzo w téj chwili, ale „że musi umrzeć w tym roku.“ (*Ma il deve morire quest'anno*). Dziwne to słowo *musi*, wymagało koniecznie objaśnienia. Jakoż dowiedziałem się naówczas po raz piérwszy, o czém później nie sto razy słyszałem, że już od czasów Piusa VII krąży i znajduje powszechną wiarę przepowiednia, oznaczająca rok śmierci trzech po sobie następujących papieżów, która się już na nim samym i na jego następcy ziściła [1]). Panujący obecnie Pius VIII wié sam jakoby o niéj, i gotuje się do blizkiéj śmierci. Nie wiém jak dalece to prawda; ale co w publiczności, to nie zdarzyło mi się spotkać nikogo, coby miał w tém najmniejszą wątpliwość, i śmiało możnaby dodać, że pewno żaden naród nie troszczył się i nie prosił gorliwiéj o przedłu-

---

[1]) Przepowiednia ta, oparta na liczbach, jest następująca: Pius VII nastąpił po Piusie VI: 6 + 7 = 13; dodać (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII nastąpił Leon XII; 7 + 12 = 19, a *plus* 10 = 29. Leon XII umarł w r. 1829. Po Leonie XII nastąpił Pius VIII: 12 + 8 = 20 a + 10 = 30. Pius VIII *musi* tedy umrzeć w r. 1830.

(*NB.* Przepowiednię tę przesłałem ci już kiedyś w jednym z poprzednich listów, a tu ją tylko dla ogółu czytelników powtarzam).

żenie życia swojego monarchy, choćby tylko do popielcowéj środy. Jakoż spełniły się życzenia, i w sobotę, przed mięsopustną niedzielą, o godzinie drugiéj z południa, huk dzwonów i wystrzał z działa na zamku Św. Anioła, ogłosił pożądane hasło karnawału.

Główna ulica *Corso*, przerzynająca wzdłuż całe prawie miasto, na któréj się maskarada odbywa, zaczerniła się w mgnieniu oka mnóstwem niezliczonego ludu; rzekłbyś, że wszyscy, w sieniach domów zamknięci, hasła tylko do wyjścia czekali. Po obu stronach ulicy, przy murze, wznosiły się już ustawione w amfiteatr proste drewniane ławki, lub plecione ze słomy krzesełka, na drewnianych podwyższeniach stojące, które spekulanci, lub sami właściciele domów, każdy przed swoim, do najęcia stawiają. Ze wszystkich okien wywieszone różnobarwne kobierce, albo adamaszkowe, galonami bramowane opony; wszystkie krużganki uwieńczone zielonemi wiankami i kwiatami; wszędzie wesołe twarze, ożywione giesta, wszędzie ruch, gwar, zgiełk, śmiechy i głośne rozmowy, zwiastowały powszechne wesele i prawdziwie narodową uroczystość. Uniesienie, prostego zwłaszcza ludu, tak się zdaje burzliwe, że niegdyś, by je powściągnąć i zagrozić zbytniéj swawoli, miano zwyczaj wraz z piérwszém hasłem karnawału tracić, dla zbawiennego przykładu, skazanego już na śmierć winowajcę, którego często lat kilka po wyroku na ten cel w więzieniu trzymano. Zwyczaj ten dziś już nie istnieje, i żadne smutne wrażenie nie mąci wesołości publicznéj; chyba że nad Sabińskiemi górami,

nad śnieżném czołem Sorakty, gromadzące się chmury niepogodą zagrożą. Naówczas po wszystkich kościołach nakazuje się nabożeństwo o pogodę, z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu. Rzymianie tak są przekonani, że Bóg ich zabawami opiekować się raczy: że choćby deszcz jak z wiadra lał rano, każdy się niemniéj przeto na popołudniową maskaradę gotuje, pełen ufności, że się niebo rozjaśni. Jakoż słyszałem od osób, bawiących przez lat wiele w Rzymie, że w rzeczy saméj najczęściéj tak bywa.

Za drugim wystrzałem z działa, całe wojsko załogi, jazda i piechota, przeciąga w całéj paradzie przez *Corso*, tam i nazad, gęste za sobą zostawiając straże. Trzeci wystrzał oznacza tryumfalny wyjazd najpiérwszego ze świeckich urzędników, noszącego dotąd wspaniały tytuł „Senatora Rzymskiego,“ który ubrany w złotogłowéj szacie, krojem XV wieku, w niemniéj staroświeckiéj, poszóstnéj, ze szklanemi ścianami karecie, poprzedzany przez laufrów, mając za sobą dwie podobneż karety, orszak jego wiozące, objeżdża wolnym krokiem główniejsze miasta ulice, udając się do Kapitolu, gdzie we wspaniałéj sali, na tronowém krześle zasiadłszy, odbiera ponawiającą się corocznie przysięgę wierności od Żydów, w Rzymie mieszkających. Obrządek ten niegdyś ważny w istocie, dziś jest już tylko czczą formą. Rabin, na czele deputacyi, ubrany czarno, we fraku i w materyalnym płaszczyku, do stroju xięży podobnym, zbliżywszy się pokornie do tronu, w krótkiéj lecz ozdobnéj mowie, upraszał o pozwolenie dalszego w Rzymie poby-

[redacted]

tu. Otrzymawszy je, przyklęknął u nóg Senatora, i składając na znak hołdu ogromny pęk kwiatów, wymówił głośno dawną rotę przysięgi: „*Giuro la fedeltà al Senato ed al popolo Romano*“ (Przysięgam na wierność Senatowi i ludowi rzymskiemu). Senator przyjął kwiaty, i rabina zlekka nogą potrącił. Jest to zabytek upokarzających obrządków, przez które niegdyś, chociaż dając opiekę, chciano przecież pogardę dla niewiernych okazać. Kiedyś także Żydzi musieli, dla zabawy ludu, biegać codzień do mety przez ciąg karnawału; dziś miejsce ich zastępują konie. Żydzi tylko muszą składać podatek na koszta tych wyścigów i na nagrodę zwycięzcy.

Gdy się to dzieje w Kapitolu, na ulicach tłok się coraz powiększa. Zaraz po przejeździe Senatora, powozy mają prawo wjeżdżania na *Corso*—i tu się rozpoczyna właściwy karnawał, od soboty przed mięsopustną niedzielą do ostatniego wtorku, to jest dni 11, jednostajnym sposobem codzień, oprócz niedzieli, od południa do wieczora trwający.

Czytelnik chcący ze słów niedokładnych powziąść o nim jakiekolwiek wyobrażenie, musi sobie wystawić długą na rzut oka ulicę, ciągnącą się jak ozdobny korytarz między dwiema przepysznemi salami, między placem *del Popolo* z jednéj, a placem *di Venezia* z drugiéj strony; zapchaną od końca do końca gwarliwém mnóstwem różnobarwnych ubiorów i masek; podobną do płynącéj rzeki głów ludzkich, nad któremi, jak statki na wodzie, wznoszą się we dwóch rzędach powozy, tam i nazad zwolna idące, których koni

w tłumie nie widać. Wszystkie okna od góry do dołu, nakształt żyjących obrazów, zapełnione rzędami, piętrami, piramidami twarzy, piór, kwiatów, czepków i kapeluszów kobiécych. Wszystkie krużganki, otwarte lub jaskrawemi namiotami przykryte, niemniéj liczuych zawierają widzów — jeśli ci widzami tylko chcą zostać; gdyż zwykle osoby, na krużgankach stojące, należą do najczynniejszych aktorów sceny, która się pod niemi odbywa. Oba wyżéj wspomniane place, pomimo swéj obszerności, nie różny od ulicy przedstawiają obraz i natłok. Lecz próżnoby kto w całym tym tłumie chciał szukać nadzwyczajnych, kosztownych strojów, dowcipnych karykatur i masek; próżnoby nadstawiał ucha, aby usłyszeć głośne dowcipne rozmowy lub tajemnicze przycinki, stanowiące główną zabawę naszych zwyczajnych maskarad. Nie widać tu prawie nic więcéj, prócz weneckiego *Arlekina* w kołpaku; rzymskiego *Pajazza* w pstrym stroju; neapolitańskiego *Poliszynella* z makaronem w ręku i w ustach; adwokata w dawnéj peruce; doktora z podkasaną togą i z pewném lekarskiém narzędziem w ręku, i t. p. Role te pospolicie są mówne; obierają je zwykle najżwawsi i najweselsi, ufni w swój dowcip i płuca. Trudno jednak słyszeć co więcéj, prócz głośnych wykrzyków i śmiechów; a jeśli gdzie kilka zebranych masek zacznie z sobą dłuższą rozmowę, ta się bynajmniéj do ich ukrytéj osobistości nie ściąga, lecz owszem, utrzymując każda swój przybrany charakter, odegrywają między sobą z natchnienia jakąś dramatyczną scenę, którą zebrany tłum widzów, podług zasługi akto-

rów, gwizdaniem lub oklaskami przyjmuje. Przedmiotem niemych, satyrycznych masek, są najczęściéj niedobrane małżeństwa: nizki staruszek, obok olbrzymiéj połowicy z wąsami; wychudły młokos, przy opasłéj matronie, i t. p. Daléj następują domina i różne narodowe ubiory. Na placach widać niekiedy całe grona masek, przedstawiające pantomiczne sceny. I tak np. na placu *del Popolo* widziałem bandę zbójców, napadniętych niby i broniących się od żołnierzy. Zołnierzami były słomiane bałwany, w czerwonych mundurach, które zbójcy nożami i kolbami kłóli i niby zabijali. Scena ta, obudzająca wstręt i odrazę w oświeceńszych widzach, znać było że się bardzo podobała ludowi, który śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując: *bravo!* coraz tłumniéj rozbojników otaczał i swojéj ku nim sympatyi nie taił.

W powozach częściéj dają się widzieć kosztowniejsze ubiory i maski, lecz i tu najpospolitszym konceptem jest furman przebrany za kobiétę z wąsami. Większy przepych lub dowcip, można być pewnym, że cudzoziemca oznacza. Widziałem jak dwaj Anglicy, sami niemaskowani, przebrawszy pudla za kawalera rzymskiego, posadzili go między sobą w karecie; lecz oburzywszy publiczność tym żartem, wszyscy trzej poszli do kozy. Z krajowców nikt tu bynajmniéj nie sadzi się na ubiory i maski, gdyż każdy sam ogólną zabawą zajęty, zdaje się zapominać o sobie; nie chce i nie usiłuje, aby na siebie tylko oczy drugich obrócił. Toż samo dzieje się z dowcipem. Ktoby chciał w tém powszechném zamieszaniu i gwa-

rze odznaczyć się i bawić drugich swoją rozmową, może być pewny że i sam się znudzi i nie znajdzie słuchaczów; a chociażby i znalazł, ci go nie dosłyszą za wrzawą.

Innego tu wcale rodzaju ogniwo łączy pospołu całe towarzystwo, bez różnicy stanu i wychowania. Ogniwem tém. są tak zwane *confetti*. Mają to być i powinny kminkowe białe cukierki; są zaś w istocie wapienne białe kamyki, na wzór cukrów robione, któremi wszyscy bez wyjątku, w maskach czy bez masek, znajomi czy nieznajomi, mają prawo i przywilej ciskać sobie nawzajem w oczy. Żart ten, prawie zawsze boleśny, jest najulubieńszą zabawą, pobudką najgłośniejszych okrzyków i śmiechów, główną cechą karnawałów włoskich. I w rzeczy samėj, jemu to przyznać należy ową poufałość, swobodę i pustotę dziecinną, która owoczesne zabawy Włochów, od zabaw wszystkich innych narodów odróżnia. Patrząc wzdłuż ulicy, rzekłbyś, że najgęstszy grad pada, tak bezprzestannie powietrze zaćmione jest białą chmurą w górę i z góry lecących *confettów*. Piechotni niosą je w ręku, w długich papierowych pakach, trzymając je wysoko, ażeby obca ręka, sięgnąwszy znienacka do nich, własnéj przeciw nieostróżnemu broni nie użyła. Jadący w powozach, mają je obok siebie w naczyniach lub w formalnych worach stojące, i sypią niemi na wszystkie strony, grzecznym piérwiéj ukłonem powitawszy znajomych, i sami parasolikami, w miejsce puklerzy, zasłaniając się od wzaje pocisków. Ostróżność ta jest mianowicie p

przy omijaniu niektórych balkonów, do zbrojnych bateryj podobnych. Biada powozom, które ciżba pod niemi zatrzyma! chyba że śmiały obrońca, wskoczywszy na siedzenie lub kozioł, trafnym od razu rzutem zasypie napastni[illegible] oczy [illegible]nąć się z placu przymusi; albo że [illegible] dam zmiękczą srogość zwy[illegible], jeżeli zwłaszcza damy są zna[illegible] lub [illegible]o dla osłodzenia poprzedniczéj [illegible]ki, osypu[illegible]kka powtórnym gradem nie już wapiennych, [illegible]wdziwych „pańskich konfettów,“ *(confetti da* [illegible]*)*, albo pęczkami fijołków. Jedne i drugie, [illegible]by chybiwszy powozu na ziemię upadły, stają się natychmiast łupem małych chłopców, co jak rekiny za okrętem, upędzają się za powozami *delle belle signorine*, w nadziei podobnéj zdobyczy. Szczególniejszy ten orszak, biegnący za wozem piękności, możnaby było przyrównać do amorków, gdyby brudna odzież i twarze, podkasane nogi i ręce, i nocna szlafmyca na głowie, zapędów imaginacyi nie psuły. Stare dziady w podobnymże stroju, uwijając się po ulicy, z ogromnemi koszami na plecach, każdemu, za lichą cenę, wapiennéj ammunicyi dodają. Próżnoby kto w powszechnym tym boju chciał neutralnym pozostać; najcierpliwszy ujrzy się wkrótce zmuszonym do użycia praw własnéj obrony. Widziałem kilkunastu młodych malarzy niemieckich, którzy na jednym wozie, mirtem i dębowemi liśćmi uwieńczonym, sami za Druidów przebrani, jechali nie mając konfettów, i spokojną kontemplacyą zajęci, znosili cierpliwie z założonemi rękami ciosy kamieni-

stego gradu. Tłum nieczynnością ich oburzony, sypał go na nich ze szczególną zawziętością, biegnąc za ich powozem i krzycząc: *„Difendetevi, Tedeschi! difendetevi!“* (brońcie się Niemcy! brońcie!). Upomnienia te ustne i ręczne, tak się widać sprzykrzyły nakoniec cichym kapłanom lasu, że zaopatrzywszy się w dwa ogromne wory wapienników, tak nawzajem dali się we znaki, że gdziekolwiek wóz ich się zazielenił, słychać było różne wcale od piérwszych okrzyki: *„Guardatevi, fuggite! ecco vengono i Tedeschi!“* (strzeżcie się, uciekajcie! oto zbliżają się Niemcy!).

Najstraszniejszymi przeciwnikami w téj wojnie, są zazwyczaj Anglicy. Krużganek ich ambassady, i drugi leżący naprzeciw, przez jakiegoś lorda najęty, były prawdziwą Scyllą i Charybdą, których nikt ani się ustrzedz, ani bez szkody ominąć nie mógł. Słyszałem opowiadających, że w Neapolu przed kilku laty, bawiący w tém mieście Anglicy, zbudowawszy z desek wspaniały okręt, na bardzo wysokim wozie, przez sześć wołów ciągnionym, którego pokład do wysokości okien piérwszego piętra dochodził, powybijali konfettami wszystkie prawie szyby na ulicy Toledo. Nikt jednak za tę szkodę do odpowiedzialności pociągnąć ich nie śmiał; gdyż bez dowodu, że to umyślnie zrobili, roszczenie pretensyi do zapłaty byłoby ubliżeniem swobód karnawałowych, które każdy Włoch w drugich, dla samego siebie szanuje. Jakoż dziwić się trzeba, że w tak różnorodnéj massie ludu, z natury do porywczości skłonnego, i przy tak dotkliwéj zabawie, nie widziałem i nie sł

wet o żadnéj kłótni, z tego powodu wynikłéj. A jednak wiém z doświadczenia, jak trudno się jest wstrzymać od piérwszego uczucia gniewu, gdy kto znienacka kamieniami w twarz sypnie, od których ból nawet i przez suknię dochodzi. Wolno oddać, jeśli się uda, ale się obrażać nie godzi. I wyznać trzeba, że na tym punkcie panuje tu najzupełniejsza równość. Najpospolitszy ulicznik może podbić, a choćby i wybić oczy najbogatszemu panu, nie lękając się wcale losu owego Ezopowego chłopca, którego, jak wiadomo, dowcipnie mszczący się mędrzec do podobnéj kiedyś psoty namówił. Ilość zużytych konfettów jest miarą wesołości dnia; im więcéj widzisz plam białych na sukniach, a sinych i czerwonych na twarzach, tém pewniéj możesz zaręczyć, że się bawiono wesoło. Dopiéro o godzinie szóstéj wieczorem, dzwonienie na Anioł Pański i wystrzał z moździerza, na placu *del Popolo*, daje hasło zawieszenia broni — do jutra. Natychmiast wszystkie powozy zjeżdżają w boczne ulice; stojące w nich wojsko występuje i wyciąga linie wzdłuż po obu stronach *Corso;* piesza zaś publiczność ciśnie się do okien, lub zasiada za opłatą ławki i krzesła, koło murów stojące. W kilka minut cała ulica staje się środkiem pusta, a bieleje, jak śniegiem, massą zdeptanych konfettów.

Zaczyna się akt drugi codziennéj zabawy: wyścigi koni, (*Corso dei cavalli*), samemu tylko Rzymowi właściwe, i różniące się całkiem od wyścigów zwyczajnych, jakie się w innych krajach odbywają. Tam się jeźdzcy na koniach ubiegają do mety; tu same

tylko konie, w zastępstwie Żydów, jak się rzekło wyżéj, bawią chciwą widowisk publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza, oddział konnych żandarmów trzykroć w największym pędzie przeleci ulicę i przekona się, że wszelkie zawady uprzątnione zostały: powrót jego na plac *del Popolo* jest hasłem do puszczenia koni (*mossa dei cavalli*).

Na samym środku rzeczonego placu wznosi się drewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwoném suknem okryty; miejsce najdroższe ze wszystkich. Przed nim w rząd ustawiają naprędce przeoryny, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. *Barbareski*, (tak się zwą masztalerze z turecka ubrani), prowadzą po dwóch i czterech rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdżone być powinny. Cała sierść popisana krédą, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, u każdego w innym kolorze; mają nadto poprzywiązywane do boków kawałki cienkiéj blachy lub złocistego papieru, którychby szelest straszył je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalerze, stojąc obok nich w przeorynach, biją je, kolą, smagają i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozżarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza, dźwięk trąb daje hasło puszczenia. Sznur wyciągnięty wpoprzek ulicy—upada, i konie, raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uniknąć hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt! trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko co żyje na ulicy, krzyczy,

gwiżdże, klaszcze i macha rękami, używając wszelkich sposobów, aby ich przestrach i zapał powiększyć; tak, że niekiedy, wbrew celowi, ogłupiałe i ogłuszone tym hałasem konie, zatrzymują się nagle wpół drogi, mniéj szybkiemu, lecz obojętniejszemu ustępując piérwszeństwa. Z drugiego końca *Corso*, przed placem Weneckim, rozwieszone są płótna wszerz całéj ulicy; koń, co się piérwszy o nie uderzy, ogłasza się zwycięzcą, i przynosi swemu właścicielowi nagrodę od 20 do 25 skudów, powiększającą się codzień, i tak zwane *pallio*, to jest kawał szkarłatnego sukna, trofej i drogą pamiątkę zwycięztwa. Przysądza je Senator, siedzący na wysokiéj galeryi, w towarzystwie kilku assesorów. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden z nich nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a *pallio* zawiesza się w kościele Ś. Antoniego Opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na processyi, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna, śpiesząc spocząć po domach, lub bawić się jeszcze w teatrach; gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

We Wtorek tylko zapustny, do dwóch poprzedzających przydaje się jeszcze akt trzeci i ostatni: *Moccoli* albo *Moccoletti*. Są to długie, cienkie, woskowe świéczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krużgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście i po kilkadziesiąt zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija: gwiaździe, krzyżu, lub kole. Cała zda się ulica gore jednym płomieniem. Wnet

po przebiegu koni, maski i powozy wracają. Ruch, zgiełk, krzyk, zamieszanie, większe jeszcze niż piérwiéj; o konfettach nikt już nie myśli; teraz rzecz idzie o to, kto komu świéczki pogasi. Na piechotnych dosyć dmuchnienia, do powozów trzeba szturmować, wskakiwać na stopnie lub z tyłu, albo chustką na kiju wiatr robić. Walka wesoła, lecz nierówna; łatwiéj wyższy niższemu dokuczy. Ztąd téż i tu, jak w wojnie konfettów, grozą piechotnych są powozy, grozą powozów krużganki. Ztamtąd to spuszczają się płócienne chorągwie, pęki piór, wachlarze ze strzyżonego papieru, po sto świéczek razem gaszące. Hasłem napastników jest okrzyk: „*È spento il carnevale!*“ (zgaszony karnawał!)—„*Vive ancora!*“ (żyje jeszcze!) odpowiada z tryumfem napastowany, jeżeli świéczki swoje od zgaszenia uchronił. Inaczéj musi prędko zapalać je nanowo, bo go zagłuszą okrzyki: „*Vergogna senza moccoli!*“ (wstyd bez świéczek!). Każdy w tém chętnie użycza drugiemu pomocy i ognia, jeśli tylko wziąwszy do zapalenia, sam wraz ze świéczką nie ucieczе. Niepodobna sobie wyobrazić tego blasku, zgiełku, hałasu, jaki w téj chwili na całéj ulicy panuje. Podróżny, który był świadkiem téj sceny, powtórzy wraz ze mną, pewny jestem, że nigdy ani weselszéj, ani oryginalniejszéj nie widział.

— — — —

No! cóż moja elukubracya? Dla ciebie cała jéj wartość, że obrazek zdjęty z natury; ale dla mnie ma ona swoję ważność zkądinąd. Piérwszy artykuł pro-

zą, który w życiu pisałem do druku, była to krótka wiadomość o życiu i pismach Bürgera, mająca poprzedzać mój przekład ballady jego *Myśliwiec*, drukujący się w dzienniku Wileńskim, w kwietniu 1822 r. Był to mój *Maiden-speech* [1]), jak mówią Anglicy; a ty wiész, że od przekładu téj ballady Walter-Skott także zawód swój rozpoczął. Wybiegliśmy więc z jednego punktu, jak konie z placu *del Popolo*, ale on zdobył *Pallio* i pieniądze, a mnie, kto wié, czy nie przypadnie w udziale los tego biedaka źrebca, co ogłupiały wrzawą zatrzymał się w pół drogi, i pewno pójdzie za karę orać albo bronować, jak „*Pegasus im Joche*." Myśliwiec wszakże, nie mogę powiedzieć, żeby nie upolował coś dla mnie. Przezeń to imię moje, jak imiennik mój z kniei, wymknęło się na świat literacki. Pan Franciszek Salezy Dmochowski przedrukował go w swojéj *Bibliotece Polskiéj*, w Warszawie, a pan Leon Borowski odczytał go z katedry, nie już jako ćwiczenie studenta. Ale ten nieszczęśliwy wstęp prozaiczny, co on mię pracy i boleści kosztował! Pozszywałem go ztąd i zowąd i przyniosłem na sąd Adama. „Żle"—Przerobiłem więc i przyniosłem raz drugi. „Nie lepiéj!"—Przerabiałem noc całą i przyniosłem raz trzeci. „Jeszcze gorzéj." — Tu już rozpacz mię ogarnęła, a łzy jakoś polały się same. On śmiał się do rozpuku, gładząc mię i całując, ale się ulitował nade mną i sam za mnie ów artykuł napisał. Otóż

[1]) *Maiden-speech* (dziewicza mowa), tak nazywają w Anglii każdą piérwszą mowę, którą nowy Lord ma w Parlamencie.

od owéj chwili, powyższy opis karnawału był piérwszém prozaiczném ćwiczeniem, które przed nim czytałem—ze strachem. Uzyskał wszakże *imprimatur*, i to mię tak po dziecinnemu cieszy, jak Bürger niegdyś po dziecinnemu zasmucił.

Ale trzebaż ci teraz powiedzieć, co myśmy w ciągu tego karnawału robili. Ja, niestety, przechorowałem połowę, i musiałem jak niedźwiedź w jamie siedzieć na *Via del Orso*, kiedy Rzym cały bawił się i biegał na *Corso*. A oto z jakiéj przyczyny.—Po oddaniu na pocztę ostatniego mojego listu, ze Strzeleckim, Parczewskim, Karczewskim, Wodzickim, i kilku jeszcze nowo-przybyłymi, o których niżéj napiszę, tłoczyliśmy się jak mogąc za senatorską karetą na Kapitolu i na *Corso*, aby widzieć, co się dało obaczyć. Przyczém nasz Macedończyk grał prawdziwie rolę bohatera, torując nam drogę w natłoku, i siejąc jak Akwilon gradem wapiennych *confettów*. Na wyścigi końskie dopiéro poszliśmy patrzeć z okien państwa Ankwiczów, które mieli najęte na *Corso*, za jedenaście skudów na cały ciąg karnawału. Nazajutrz, w niedzielę, byliśmy na wielkiém śniadaniu z blinami, u xiężny Dietrichstein, a wieczorem, jak ci pisałem, było powtórzenie teatru u xiężny Zeneidy, z dodaniem trzeciego aktu z opery *Otello*, w którym występowała xiężna i pan Ricci. „*Farsy*“ udały się lepiéj nawet niż piérwszą razą; ale gdy przyszło ubierać bohaterkę drugiéj sztuczki „Krystynę,“—szpilek, niestety, w garderobie naszéj zabrakło. W niedzielę kramy zamknięte—A więc?—A więc ja, przez głupią

na ten raz szarmanteryą dla panny Luizy, a głupszą jeszcze nieoględność, zgrzany, bez płaszcza, jak stałem, skoczyłem na *Via del Orso*, aby u naszéj gospodyni kilkadziesiąt szpilek pożyczyć. Wprawdzie panna Luiza przyjęła to wdzięcznie; ale cóż, kiedy nazajutrz obudziłem się z kłóciem w gardle, jakby te wszystkie szpilki w niém uwięzły. Trzeba było przystawiać pijawki—i aż do piątku nie wyszedłem z domu. Pozbawiło to mię widoku officyalnéj defilady ambassadorów w powozach, która, jak zwykle, odbyła się w tłusty czwartek. Nazajutrz dopiéro p. Alexander Potocki zajechał po mnie i zabrał mię do swego powozu, bo Adam jeździł z państwem Ankwiczami, do których i my także przyjechaliśmy na herbatę. Ale i ta przejażdżka źle mi się powiodła. Z jakiegoś okna tak mi sypnięto w twarz wapiennikami, że formalnie podbito oczy, i musiałem je cały wieczór leczyć wodą różaną. Dla mnie więc prawdziwie wesoły karnawał zaczął się dopiéro w poniedziałek zapustny, kiedy już mogłem znowu zwijać się po ulicy i drugim téż nawzajem zasypywać oczy. Na *Moccoletti* państwo Ankwiczowie wzięli nas obu do swego powozu, i nie chwaląc się, mogę powiedzieć, żeśmy dzielnie tak swoich, jak i panieńskich świéczek przed zgaszaniem bronili. Na zakończenie pojechaliśmy téż razem z nimi na tak zwane *Festino*, w teatrze *Aliberti*, gdzie między dwiema farsami na scenie, połączonéj z parterem, odbywała się, podobnie jak w Warszawie, tłumna i gwarna maskarada, któréj byliśmy tylko spektatorami z loży, i nie czekając koń-

ca, który jest punkt o dwunastéj, zostaliśmy odwiezieni do domu.

Takie są dzieje karnawału mojego, bo Adam ma swoje osobne, lubo wiém że i w nich także nic osobliwszego nie zaszło. Ale i moja rekluza nie była dla mnie bez pociech. Oprócz bowiem łaskawych odwiedzin, Adam tak był troskliwy i czuły, że w dniu stawiania pijawek zgoła z domu nie wyszedł, następnych zaś musiałem go prawie gwałtem wyprawiać, a i tak zawsze na dziesiątą powracał. Towarzyszem zaś chwil samotnych był mi zwłaszcza poczciwy Parczewski, który zaspokoiwszy jako wojażer piérwszą ciekawość karnawału, nie chciał się jako xiądz poniewierać w tłumie, i właśnie gdy się wszyscy kwapili na *Corso*, on przychodził do mnie, i czytał mi swoję powieść „*Władysław Biały*,“ z któréj wprzód znaliśmy tylko wyjątki. Ma ona być we trzech tomach, a piérwszy jest już skończony. Z wyjątków tych Adam rokuje mu najświetniejsze nadzieje w zawodzie powieściopisarza. W formie i manierze jest on naśladowcą Walter-Skotta, ale w psychiczném kreśleniu charakterów, w pojedyńczych obrazach i scenach, nie znać w nim bynajmniéj kopiisty, a owszem czuje się wyraźnie, że wszystko czerpie z siebie i z przedmiotu, w który się głęboko wpatruje. A przytém styl i język piękny, akcya żywa, dyalogi naturalne i zręczne, a dowcip i humor prawdziwie polski.—*A propos* powieściopisarstwa: W końcu miesiąca spodziewają się tu Fenimora Coopera, i panna Anastazya jest już uprzedzona, że będzie miał do niéj listy z Paryża.

Być więc bardzo może, że będziem jedli *bifsztyk* albo *rostbif* z Cooperem, co, podług sposobu widzenia pana Osińskiego, powinnoby go pozbawić uroku wielkiego człowieka. Ale za toż o Walter Skocie smutne bardzo wieści. Allan, zamiast oczekiwanéj odpowiedzi od niego, otrzymał list z Edymburga, od wspólnego ich przyjaciela, w którym ten mu donosi, że zdrowie Waltera Skotta jest coraz gorsze; że doktorowie każą mu koniecznie jechać do cieplejszego klimatu na ląd stały; że rząd chce mu dać na to fundusz i przeznaczyć osobny okręt, jak ekwipaż na jego usługi; ale że on opiera się temu, i chce, jak mówi, umierać na swojéj ziemi i wśród swoich starych przyjaciół. Biedny Allan ze łzami mówi o tém. Sam on zaś w przyszłym tygodniu wyjeżdża ztąd do Neapolu, z dwiema rodzinami swoich przyjaciół; ale sam jeszcze nie wié, z którą ztamtąd i dokąd—to jest, czy do Konstantynopola, czy do Kadyxu popłynie. Kochany,. poczciwy człowiek! Zawsze dla nas równie przyjazny. Nie ma tygodnia, żebyśmy nie byli, albo on u nas, albo my u niego; a spotykamy się téż tu i ówdzie. Smutno nam będzie z nim się rozstać. Za toż mamy miłą nadzieję doczekać tu wkrótce z Wenecyi kochanego Adolfa (Januszkiewicza), którego zdrowie, jak sam pisze, nie jest wcale w najlepszym stanie. Nie może np. spać inaczéj, jak w teatrze, albo w kościele, gdzie sobie miejsce na noc na ten cel najmuje. Dziwimy się, że się nie boi. Była o tém niedawno szeroka mowa u państwa Ankwiczów. Ja i panienki wyznaliśmy otwarcie, że się boi-

my strachów. Strzelecki i pan Ankwicz śmieli się z nas jak z dzieci. Macedończyk fanfaronował, że gotów jest nocować choćby w sklepie między trumnami. Ale Adam wziął rzecz na seryo, i oświadczył, że za żadne skarby na świecie nie nocowałby umyślnie sam jeden na cmentarzu albo w kościele; nie dla obawy strachów, lecz dla obawy własnéj wyobraźni, za którą nikt ręczyć nie może; i że niegodne jest natury i rozumu człowieka, płoche wyzywanie sił wyższych. Przyczém tak uroczyście, tak cudnie rozwinął teoryą stosunku duszy ludzkiéj ze światem tajemniczym i wpływu jego na duszę, że wszyscy bez wyjątku wpływ ten w téj chwili poczuli, a mnie aż zimne mrowie przebiegało. Powiédz to proszę czcigodnemu p. Oleszkiewiczowi, i dodaj, że Adam o nikim nie wspomina tak często i z tak różnych powodów jak o nim, z czego widać jak pamięć jego zawsze mu jest obecną i drogą. Że zaś przy końcu téj rozmowy o strachach, opowiadanie moje o mnie samym wywołało ogólną wesołość i zabawiło towarzystwo, więc bierze mnie ochota powtórzyć tu je czarno na białém. Dla czego? Sam dobrze nie wiém. Ale zadałem sobie w téj chwili to psychiczne pytanie. Czyżby przez próżność? Na pozór, nie; a w gruncie, bodaj że tak. Chwalić się z głupstwa lub z przebiegłości dziecinnéj, zdaje się nie ma powodu. Ale być bohaterem anegdoty, która tak może zabawi pannę Celinę i pannę Helenę, jak zabawiła pannę Henryettę i pannę Marcellinę—jest powód, że ci tę anegdotkę przepis

Otóż, jeżeli teraz jeszcze boję się nieco strac
był czas, że się bałem okropnie. Przed

cyi naszéj w Borunach, była na rynku kapliczka, gdzie umarłych przed pogrzebem stawiano. Każdy nowy jéj gość był dla mnie nowém udręczeniem w nocy, gdy ze strachu zasnąć nie mogłem. Środek budzenia starszych kolegów nie zawsze okazał się skutecznym, i co gorsza, mógł nie ujść bezkarnie. Ale tuż przez ścianę w kuchni były zazwyczaj kury i koguty. Zacząwszy więc sam najprzód śpiewać *kukuryku*, starałem się je pobudzić do wtóru; i gdy który rzeczywiście zaśpiewał, usypiałem wtedy spokojnie, pewny że już upior nie przyjdzie. Dziś wiém już lepszy sposób na podobnego rodzaju bezsenność, który i tobie zalecam. A ten jest —myśleć o aniołkach.

Ale obiecałem ci wspomnieć o nowych znajomościach. Towarzystwo tu nasze powiększyło się znacznie przybyciem pani Węsierskiéj, obywatelki z Poznańskiego, z prześliczną pięcioletnią córeczką, (z którą się bardzo kochamy), i z dwudziesto-letnimi: synem Albinem, i siostrzeńcem, Felicyanem Niegolewskim, który ma cerę i głosik piętnastoletniéj panienki, a jest wcale dorzeczny i miły młodzieńczyk. Razem téż z nimi, nie wiém czy jako ich Mentor, czy tylko jako przyjaciel domu, podróżuje p. Antoni Jaźwiński, nasz Litwin, autor czy wynalazca *mnemoniczno-chronologicznéj tabliczki*, mającéj na celu ułatwiać spamiętanie dat historycznych, za pomocą widomych znaków, narysowanych w kwadracikach, na które się dzieli owa tabliczka, a które oznaczają stulecia i dziesiątki lat. Opisywać ci jéj dłużéj nie myślę, bo chociaż Adam i Strzelecki mówią, że rze-

czywiście może być bardzo pożyteczną, i chociaż ja, więcéj może niżeli kto inny, potrzebowałbym właśnie téj pomocy: ale tak mi już ona kością w gardle stoi, że myśleć o niéj nie mogę bez wstrętu. Bo wyobraź tylko sobie poważnego, światłego i nader wymównego człowieka, który gdziekolwiek jest, z kimkolwiek kiedykolwiek się spotka, o czémkolwiek ten ktoś chciałby mówić, on zawsze akkaparuje rozmowę, i nigdy o czém innéin nie mówi, jak o téj swojéj tabliczce, czyli raczéj o téj swojéj metodzie, którą nie do saméj już tylko chronologii historycznéj, ale do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj stosuje, i do każdéj podobneż układa tabliczki. Z początku słuchało się ciekawie, ale potém!... Nie masz wyobrażenia, jak tego rodzaju monomania nieznośną jest dla otaczających. — A jednak kiedy sobie przypomnę dzieło Irwinga o Kolumbie: to bodaj, czy i ten wielki Krzysztof, który, jak niegdyś jego patron samego Pana Jezusa przez wodę, tak on przeniósł przez ocean krzyż i światło prawdziwéj wiary; czy i ten wielki odnalazca zatraconéj części świata, nie był za życia podobnym monomanem jak Jaźwiński. A więc, czy podobna czyjaś monomania nie jest koniecznym warunkiem rodzenia się na świat każdéj nowéj idei, odkrycia, lub wynalazku? A więc, czy nuda i niecierpliwość, jaką we mnie obudza Jaźwiński, nie jest tylko skutkiem mojéj głupoty, a ogólnéj niewdzięczności ludzkiéj? Być to może. Ale niemniéj prawdą jest wszakże, że ile razy wchodzę do państwa Ankwic
a obaczę że już tam siedzi Jaźwiński: zaraz kr

wana tabliczka staje mi przed oczyma jak krata więzienna, a ja sam czuję się w sobie jakby myśl moję i słowa kto pętał. Jedynym antydotem na tę zmorę, jest drugi nudziarz i oryginał w swoim rodzaju, częsty gość także w domu państwa Ankwiczów, o którym że ci dotąd nie wspomniałem, to jedynie dla tego, że dosyć już mam nudy z widywania go i słuchania. Jestto pan Piotr *Aigner*, pomimo francuzkiego nazwiska, rodowity i nieodrodny Warszawianin; mający już lat ośmdziesiąt z górą; z professyi architekt, który budował świątynię Sybilli w Puławach i kościół Św. Alexandra w Warszawie; który był protegowanym xięcia Jenerała Ziem Podolskich, służył wojskowo pod Kościuszką, i znał wiele ówczesnych znakomitości naszych. Wszystko to nie kwalifikuje go wcale na nudziarza, i owszem niektóre opowiadania o przeszłości byłyby nawet bardzo zajmujące, gdyby nie mówił ciągle o architekturze i o sobie, a blagą i popisywaniem się z oklepanemi wolteryańskiemi sentencyami nie rościł pretensyi do wielkiego rozumu, którym rad bardzo imponować drugim. Zwykłą więc moją taktyką, w której mi dopomagają panienki, jest, aby obu tych panów usadowić wieczorem obok siebie. Bo ponieważ się wzajemnie nie lubią, (gdyż każdy chce mówić swoje, a jeden drugiemu przeszkadza), więc obydwa milczą jak mruki, i dają czas odetchnąć drugim, albo rozmawiać o czém inném, niż o chronologicznéj tabliczce lub o stylach architektury. — Kiedy zaś jest już mowa o oryginałach, muszę ci jeszcze powiedzieć o jednym tutejszym,

dla rykoszetu na drugiego, którego między sobą macie w Petersburgu.

Nie ma pewno jednego cudzoziemca w Rzymie, któryby nie znał *Monsignora Abbate Brutti*. Jest on dworzaninem papiezkim, niższego chóru, ale bynajmniéj nie xiędzem, chociaż nosi ubiór labusia, który tu jest uniformem dworskim. Żywy, zwinny, gładki, układny, nadskakujący panom, zasługujący się paniom, zalecający się do panienek, jest on wszędzie przyjmowany uprzejmie, tem bardziéj, że nie tylko w nadziei wynagrodzenia lub prezentu, (któremi wcale nie gardzi), ale wprost nawet z natury i nawyknienia, gotów jest zawsze do uczynnéj przysługi, w wyjednywaniu zwłaszcza różnych pomniejszych dyspens, odpustów, biletów wejścia, i niekiedy nawet prywatnych audyencyj u Ojca Św. Posądzają go nawet niektórzy, że jest ajentem niektórych ambassad; ale to rzecz niedowiedziona, i wcale ogólnéj jego opinii nie szkodzi. Otóż ten pan *Abbate Brutti* dowiedziawszy się żeśmy z Wilna, zaraz przy piérwszém poznaniu zapytał nas, czy znamy „*un celebre poeta*, *signor conte Kika Dżerski*? Ledwośmy się domyślili że rzecz idzie o Kiszkę Zgierskiego; a zaś zaciekawieni niezmiernie zkąd on mógł wiedzieć o nim, dowiedzieliśmy się nawzajem, zkąd się wzięła ta *Złota Ostroga*, z którą *wieszcz* niegdyś tak pompatycznie po Wilnie, a dziś może i po Petersburgu na swoim pegazie harcuje. Orderek ten wyjednał dla niego pan *Brutti*, złożywszy wprzód Ojc- temu wszystkie dzieła *wielkiego wieszcza*, w

oprawie, a między temi i jego *„Prawo Kanoniczne,“* które mu on w tym celu przez pana Straszewicza był przysłał, z dodaniem 25 dukatów *à conto*, i z obietnicą stu jeszcze, jeżeli go wyprowadzi na *rycerza* i przypnie mu *złotą ostrogę*. Złota ostroga została przypięta, ale bynajmniéj nie stała się bodźcem rycerzowi do odesłania obiecanych dukatów. Adam śmiał się serdecznie z długiéj i przestraszonéj miny dyplomaty-włocha, kiedy usłyszał radę, aby ten spodziewany przychód całkiem ze swego budżetu wykréślił. Ty, jeśli spotkasz gdzie *hrabiego-wieszcza*, powiédz, że *l' Abbé Brutti* kłania mu się przeze mnie, i patrz, czy się choć zarumieni. Wątpię.

Lecz jest to symbol czasu smutny i złowrogi,
Jak się to dziś dochodzi do *Złotéj Ostrogi*.

Bądź zdrów.

XII.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 9 marca 1830 r.

Przecież, wreszcie, nakoniec, widzieliśmy Papieża—i tobie, jak obiecałem, piérwszemu o tém donoszę. Moglibyśmy więc tedy opuścić już Rzym z pokojem Symeona; albowiem oczy nasze oglądały, bez oglądania czego być w Rzymie, jest, podług przysłowia, jak nie być. Szczęściem, że jeszcze nie myślimy o tém. Życie owszem tu nasze, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, wzbiera zda się jak strumień na wiosnę. Opowiém ci po kolei o wszystkiém, ale zaczynam najprzód od Papieża. Widzieliśmy go wczoraj — szkoda tylko, że nie jak najwyższego kapłana, ale jak króla z tego świata; na tronie, nie przy ołtarzu. Wkładał czerwone kapelusze nowo mianowanym Kardynałom, jak poprzednicy jego rozdawali i wkładali korony. Odbywało się to w jednéj z sal Watykanu, gdzie nas uprzejmy *Mgr. Brutti* wprowadził, i tuż po za ławkami Kardynałów umieścił. O naznaczonéj godzinie purpuraci zaczęli wchodzić i zajmować każdy swe miejsce. Gdy już wszyscy byli zebrani, otwarły się drzwi w głębi sali, i ukazał się Ojciec Św. niesiony w krześle, nakształt otwartéj lektyki, przez czterech dworzan, galowo ubranych. Dwaj starsi

Kardynałowie, z wielkiém uszanowaniem dopomogli mu powstać z krzesła i wejść na stopnie tronu, co mu widać z trudnością przychodzi samemu; zresztą zdaje się być zdrowym i czerstwym. Twarz dziwnie łagodna i miła, ma raczéj wyraz ojcowskiéj dobroci, niżli monarchicznéj powagi. Na głowie miał tyarę (nakształt infuły), ze złotogłowiu, a na ramionach kapę nakształt ornatu. Skoro zasiadł na tronie, Kardynałowie po kolei przystępowali do ucałowania ręki, którą im, z wdzięcznym uśmiechem, obwiniętą w suknię podawał. Poczém jakiś *Monsignor* zaczął długą oracyą po łacinie; podczas któréj sześciu Kardynałów wyszło z sali, i powróciło wkrótce prowadząc między sobą trzech nowo mianowanych, z których każdy szedł między dwóma, jeden za drugim, wszyscy w czerwonych już pończochach i kalotkach na głowie. Piérwszym był Anglik *Weld* [1]), bardzo wspaniałéj postaci, lat zapewne najmniéj 60. Przez długi czas był świeckim i żonatym; i boleść to po śmierci żony skłoniła go, jak mówią, do stanu duchownego. Ma żyjącą córkę i z niéj wnuków. Dwaj drudzy, Włosi: *Domenico di Simone*, i *Cesare Nembrini-Pizoni*, nie odznaczają się niczém. Owszem, gdy się piérwsza wiadomość o ich mianowaniu roze-

---

[1]) Od czasów Henryka VIII piérwszy to był Kardynał Anglik. Po nim był Wisemann, a teraz jest Manning, Arcybiskup Anglii.—Wnuk Kardynała Weld, p. *Labarre de Bodenham*, ożenił się z Polką, panną Ireną Morawską. Mieszkają w Rzymie i dom ich słynie z gościnności i ducha chrześcijańskiego.

szła, na posągu *Pasquina* przylepiono zaraz epigrammę: że mianowanych jest trzech nowych Kardynałów, z których jeden „*non sa parlare*;“ (nie umié mówić; — zapewne jako Anglik po włosku); drugi „*non può parlare*,“ (nie może mówić;—bo jest zająkliwy); trzeci zaś „*farebbe bene di non parlare*,“ (zrobiłby dobrze, gdyby nic nie mówił). Na wczorajszym wszakże obrzędzie wymowa żadnemu z nich potrzebną nie była. Mówił tylko Monsignor-orator. Oni przykląkłszy przed tronem Papieża zaczęli najprzód od ucałowania nogi; potém dopiéro całowali rękę, którą im Ojciec Św. podał bez okrycia, i wszystkich trzech z kolei po ojcowsku uścisnął. Przez ten czas Monsignor zamilkł; ale znów mówił daléj, gdy oni odszedłszy od tronu, zawsze w pośród dwóch przewodników, zaczęli obchodzić ławki kardynałów, całując się każdy ze wszystkimi. Następnie zbliżyli się znowu do tronu, i Monsignor znowu zamilkł. Trzej dworzanie stojący za tronem trzymali trzy kapelusze czerwone i płaskie jak talerz. Papież wkładał je po kolei na skronie klękających przed nim, przemawiając do każdego z osobna, po łacinie, czystym i przyjemnym głosem: „Na chwałę Boga w Trójcy Jedynego, i na ozdobę Stolicy Apostolskiéj, przyjm ten czerwony kapelusz, i bądź gotów w każdéj potrzebie przelać krew swą za Jezusa Chrystusa!“. — Podczas obrzędu tego i przemowy, stojący po bokach tronu dworzanie, czerwoną jakąś zasłonę przed twarzą Ojca Św. trzymali, zakrywając go przed okiem publiczności.— Na tém się skończył obrządek, po którym nowi Kar-

dynałowie wskazane sobie miejsca zajęli, słuchając końca mowy oratora. Papież pobłogosławił z tronu zgromadzonych, i sprowadzony z niego przez tych samych dwóch Kardynałów, którzy go nań wprowadzili, oddalił się, jak przybył, niesiony na krześle.— Wczoraj i dzisiaj w mieście, wielka feta z tego powodu. Na *Corso* i na placu *Colonna* paliły się wczoraj i mają się palić dziś i jutro smolne beczki i godowe pochodnie; wiele domów było uilluminowanych.

A teraz, jeśli może chcesz wiedzieć, jakie to wszystko na mnie zrobiło wrażenie? Niestety! muszę ci odpowiedzieć prawdę, że nie takie, jakem się spodziewał i życzył. Ach! czemużem to Ojca Św. nie obaczył najprzód przy ołtarzu! Wprawdzie on sam i tutaj przejął mię czcią i uszanowaniem. Ale trzebaż właśnie nieszczęścia, że mi wypadło siedzieć tuż za plecami tego samego kardynała *Vigoni*, który już raz na balu u xięcia Gagaryna tak niefortunne wywarł na mnie wrażenie. Ale tam raziły mię tylko jego ruchy i maniery; tu musiałem słuchać rozmowy. Do niegoby to właściwie dały się zastosować słowa epigrammatu: „*farebbe bene di non parlare.*“ Bo jego to mianowicie rozmowa była dla mnie kamieniem zgorszenia. Mówił z jakimiś dwóma Anglikami, którzy siedzieli tuż przy mnie, i ze swoim sąsiadem kolegą. Ci piérwsi żartowali z niego widocznie, wyciągając go na rozmowę o damach i o koniach, i śmieli się spoglądając na siebie, kiedy im opowiadał o jakimś swoim ogierze, o czémby w stajni chyba mówić było warto; i to jeszcze tak szkaradną francuzczyzną,

że i ztąd nawet byłby powód do śmiechu. Koledze zaś swojemu, podczas gdy Papież wkładał kapelusze, szeptał dość głośno do ucha, jak mu każe przyrządzić łososia, na którego musiał go prosić. Mojaż wina, że słysząc to wszystko niechcący, jak cudze grzechy przy konfessyonale, nie mogłem się obronić od myśli, za które może także do konfessyonału iść trzeba? Żeby je więc w sobie pokonać, spoglądałem umyślnie po innych Kardynałach, których fizyognomie rozumne, poważne, świątobliwe, kontrastowały najwybitniéj z Vigonim.

I karcąc w sobie grzeszne myśli jak penitent,
Szeptałem wciąż jak pacierz: „*ubi plura nitent*,“ i t. d.

Z kolei mam ci mówić o nowéj znajomości, któréj wiém, że mi będziesz zazdrościł. Poznałem Fenimora-Coopera! Przyjechał tu z Paryża; a że miał ztamtąd listy do panny Anastazyi Klustin, matka jéj wyprawiła dlań świetny wieczór, na którym wszystkie znakomitości tutejsze, literackie i artystyczne, mogły widzieć, powitać i uczcić tę gwiazdę drugiéj półkuli, która wprost przez ciekawość zajrzała na naszę, i przebiega ją lotem komety, z całą konstellacyą swojéj rodziny, to jest z żoną i czterma córkami. To téż gdy go spytałem, słysząc że ma być w Dreźnie, czyby nie miał zamiaru i chęci zwiedzić ztamtąd zarazem i Polski, która go zna i ceni na równi z całą Europą? — odpowiedział mi bardzo uprzejmie, że w istocie pragnąłby szczerze widzieć i poznać ojczyznę Kościuszki: „*Mais*, *Monsieur*, (dodał z dobro-

dusznym uśmiechem), *qui voyage avec cinq jupons, n'est pas maître de sa volonté.*"—Sama już ta odpowiedź, a cóż dopiéro ton głosu, gdybyś go był słyszał, mogłyby ci od razu dać wyobrażenie o dziwnie jakoś poczciwéj prostocie i bezpretensyjności, która jak w sposobie mówienia, tak i w całém obejściu jego przebija. Pan Kriwcow, urzędnik ambassady, wielki elegant i światowiec, (chociaż bez ręki), przedstawiony mu przez gospodynię domu, powitał go dobornemi słowy, mówiąc między innemi: „*Je m'estime heureux, Monsieur, de faire la connaissance d'un homme, dont la gloire remplit les deux mondes.*"—Cooper, który właśnie swobodnie z otaczającymi siebie rozmawiał, zmieszał się na ten komplement, i widocznie zakłopotany, kłaniając się bardzo grzecznie nawzajem, nie znalazł widać zprędka innéj odpowiedzi, nad dziwne w rzeczy saméj: „*Oui, Monsieur!*"—Obecni przygryźli wargi, żeby nie dopuścić uśmiechu, widząc zwłaszcza wzajemne zmieszanie się pana Kriwcowa, który na tę niespodzianą odpowiedź, języka w ustach, jak to mówią, zapomniał.—„*C'est un rustre!*" mówił wprawdzie o nim potém do swoich; ale co dla mnie, to właśnie ta prostota i nieśmiałość w takim człowieku, zdaje mi się być szczytem wielkości, bo znać z nich, że jest wyższy nad próżność i pychę. Pod tym względem przypomniał mi on naszego Karola Lipińskiego, najskromniejszego pewnie ze wszystkich *sławnych* artystów, którym ciągłe pochwały i oklaski, nie dziw, że często zawracają głowę. Z fizyognomii téż i postaci, Cooper wyglądać zda się ra-

czéj na poczciwego gospodarza-*fermera*, niż na takiego, jakim jest, autora. Ale i o Walter-Skocie powiadają toż samo. Musi już mieć lat przeszło 50. Wzrost wysoki, ruchy poważne; wyraz twarzy spokojny i łagodny; głos powolny, oczy błękitne. W rozmowie więcéj słucha niż mówi. Z Adamem rozmawiał dość długo i rozpytywał go zwłaszcza o duchu i charakterze Słowian, i o plemionach koczujących na stepach. Panna Anastazya nie zaniedbała pewnie uprzedzić go, kto był Adam. Jakoż traktował go z wyraźnym szacunkiem, ale żadnych komplementów nie prawił. W ogólności zdawał się nie czuć, że on to był bohaterem fety; albo jeżeli czuł wewnątrz, to widać, że umyślnie ten charakter w sobie zacierał, uważając się tylko za jednego z gości. Póki stał w gronie mężczyzn, na środku salonu, starałem się być jak można najbliżéj, aby dosłyszeć co mówi. Ale były to zwykłe potoczne rozmowy: o podróżach, o Włoszech, o Rzymie, i t. p. Nadewszystko byłbym ciekawy co i jak rozmawiał z damami, które go wkrótce między siebie zabrały; ale tam już nie można się było przybliżyć. Widziałem tylko zdaleka jak się kłaniał na wszystkie strony, pewnie za komplementa dziękując. Żony i córek jego na tym wieczorze nie było, chociaż były także proszone. Wymówił je niezdrowiem i znużeniem podróży.

Oprócz tego fenixa z antypodów, najciekawszym epizodem tego wieczoru była długa i żywa dysputa pomiędzy koryfeuszami artystycznéj sławy Europejskiéj, do któréj ja, lichy robaczek, mimowolnie sta-

łem się powodem. Wspominałem już wam nieraz o Thorwaldsenie, którego tu i ówdzie widywałem, i któremu xiężna Wołkońska przedstawiła mię osobiście po amatorskim teatrze u siebie. Ale znajomość ta skończyła się wtedy na zwykłej grzecznéj formułce z jego strony: „*Charmé, Monsieur!*“ i t. d. i na moich czołobitnych pokłonach. Tu dopiéro, widząc że siedzi sam jeden na stronie, ośmieliłem się zbliżyć ku niemu i przypomnieć się jego znajomości, aby mu złożyć hołd czci i uwielbienia, ułożywszy wprzód w myśli frazes *à la Kriwcow*. Przyjął go bardzo uprzejmie; pytał z jakich stron Polski przybywam, a dowiedziawszy się że z Warszawy, spytał, czy już tam doszedł model jego posągu xięcia Józefa, i jak się publiczności podoba? Odpowiedziałem jak było w istocie, że wszyscy admirując doskonałość sztuki, żałują że nie dość przypomina osobę, którą ma wyobrażać. To wyraźnie ubodło staruszka. (Bo jest to nizki i chudy staruszek, z ubielonym już całkiem włosem, ale tak żywy, ruchawy i gestykulujący w rozmowie, że wziąć go możnaby raczéj za syna najgorętszéj strefy Włoch, a nie lodowatéj Skandynawii). Otóż staruszek się poruszył i zawołał jak z oburzeniem: „Cóż to? (*c che?*) tożbyście może panowie chcieli, żeby był w uniformie ułańskim?“ (i tu wykrawał na powietrzu palcami jakby wązkie poły munduru); „w kaszkiecie i z kitą na głowie?“ (i tu podniósł rękę nad głowę, z palcem nastawionym jak kita). Odpowiedziałem pokornie, że Xiążę na portretach u nas wyobrażany jest pospolicie w burce.

Ale że nie wiedziałem jak *burka* po włosku i po francuzku, więc dopomogłem téż sobie gestem, dodając tylko po francuzku: *„dans un manteau comme ça.“* Musiał widywać rysunek, bo zrozumiał o co rzecz idzie. *„A, a, a!“*—zaśmiał się ironicznie—*„come un Cosacco“* (jak kozak).—I nim zdołałem odpowiedzieć na to, zerwał się z krzesła i z formalnym już gniewem zawołał: *„Siete i barbàri, miei signori! i barbari!“* (jesteście barbarzyńcy, moi panowie! barbàrzyńcy!). I dla tego nie lubię posyłać dzieł moich do krajów, gdzie nie ma poczucia sztuki.“—Tu już zamilkłem na dobre, chociaż pomyślałem *in petto*, że staruszek jest nieco za śmieszny; i że *sculptorum genus* gorszy jest niż *poetarum*. Ale ten jego wykrzyknik i zerwanie się z krzesła, ściągnęły nań uwagę innych. Piérwsza xiężna Zeneida zbliżyła się ku nam, i dowiedziawszy się o co idzie, z wielką delikatnością wzięła moję stronę, napomykając zlekka o posągu Blüchera w Berlinie. „Blücher, Blücher!“—zawołał rozirrytowany staruszek.—„Wolno Niemcom jak się podoba, Niemcy dla mnie nie są modelem.“—Tu zbliżył się Vernet, ojciec, (Horacy), i xiężna Zeneida wytoczyła przed nim tę sprawę. W ślad za nim przystąpili drudzy; i gdy ja, jak flankier w bitwie, zrejterowałem się sobie na stronę, widząc zchodzące się kolumny: zawiązała się długa i ożywiona rozmowa, w któréj wzięli udział z kolei: Vernet syn, Cammucini, Craffonari, Catel (malarz pejzażów), który sam jeden tylko zdanie Thorwaldsena podzielał. Rzecz głównie szła o przewagę: czy ideału, czy praw-

dy historycznéj w sztuce, kiedy ta o historyą potrąca. Vernet ojciec, ma się rozumieć, musiał bronić ostatniéj, (*oratio pro domo sua*), i bronił bardzo rozumnie, ze względu zwłaszcza uczuć i wspomnień narodowych, które każdy historyczny pomnik czy obraz ma na celu obudzać w narodzie. Vernet syn, mówił: że mając właśnie do robienia obraz wystawiający Rafaela malującego *Loże Watykańskie*, będzie się starał o jak najpodobniejsze portrety uczniów jego i przyjaciół, których chce u stóp rusztowania pomieścić. Cammucini opowiadał o sobie, że karton do obrazu „Śmierć Wirginii" robił na témże *Forum*, gdzie ona śmierć tę poniosła; a mając malować czyn Horacyusza Koklesa, po razy kilka w nocy przepływał łódką Tyber w tém miejscu, gdzie stał ów most, którego on bronił. Craffonari, najsławniejszy dziś portrecista tutejszy, nie sądził, aby największa doskonałość pędzla w portrecie, mogła brak podobieństwa zastąpić. Jedném słowem wszyscy, oprócz Catela, jak wspomniałem wyżéj, byli stanowczo przeciw Thorwaldsenowi. On jednak niczém nie dał się przekonać i twierdził: że w dziełach sztuki, wzgląd na sztukę powinien być piérwszym; że co wreszcie ujdzie w malarstwie, w rzeźbie nigdy mieć miejsca nie może i nie powinno: bo insza rzecz pędzel i płótno, a insza dłóto i marmur; i nakoniec, że posąg, jest to pomnik; a jak celem pomnika nie jest nigdy wyobrażenie samego faktu, ale tylko pamiątka jego i przypomnienie: tak i posąg, bez podobieństwa osoby, celu tego dopełniać może. Dysputa ta kubek w kubek przypomniała

mi spory z klassykami w Warszawie; tém bardziéj, że sam Thorwaldsen, jak z białych włosów, tak i z zapału i zapędu w dyspucie, bardzo jest do Koźmiana podobny.—Podczas téj rozmowy ogólnéj, Adam z Vernetem ojcem rozmawiał kilka minut na stronie, i widać było po obu, że się w zdaniach zgadzali. Cooper słuchał zdaleka, ale sam się do rozmowy nie mieszał. Gdy się zaś ta przeciągała za długo, panna Anastazya chcąc jéj koniec położyć, a możę i wyprowadzić Thorwaldsena z kłopotu, wzięła sama w niéj udział, i ogólną zasadę kwestyi zręcznie od sztuk plastycznych do muzyki zwróciła. Poczém jakby na dowód tego, co mówiła, usiadła do fortepianu i zagrała kilka rzewnych melodyj ukraińskich. Wszyscy zbliżyli się ku niéj i otoczyli instrument. Cooper stał tuż obok jéj krzesła i unosił się nad rzewnością melodyi. Gdy zaś wkrótce zagrała jakiś *Morceau brillant*, Thorwaldsen, stojący niedaleko odemnie, odezwał się do jéj matki: „Je ne savais pas, Madame, que mademoiselle votre fille est si *vertueuse*." Miało to znaczyć *virtuosa*; albowiem arcy-mistrz dłóta mniéj biegle włada językiem francuzkim, i wiele o nim z tego względu krąży tu pocieszných anegdot. Mówiłem téż z nim po włosku, jak umiałem, wiedząc, że to lubi najlepiéj.

No a co? czy masz już dosyć o *gloryach* światowych, których wiém żeś tak zawsze łakomy? Kiedy tak, to ci powiém o nowéj znajomości serdecznéj, jakiéj podobnéj dotąd z nikim nie zabrałem od Wilna.

W przeszłą sobotę, dnia 3 tutejszego marca, siedzieliśmy sobie, jak zwykle po kawie, zatopieni każdy w swo-

jéj lekturze. A wtém otwierają się drzwi i wchodzi jakiś młodzieńczyk, blondyn, ładny, rumiany, i z wesołym uśmiechem, jakby pewny serdecznego przyjęcia, idzie wprost ku Adamowi. Ten podniósł oczy, spójrzał, ale ani się ruszył z kanapy. Młodzieńczyk zachwiał się nieco, ale nie tracąc fantazyi, zbliża się i zapytuje: „Pan mnie nie poznaje?“ — „Przepraszam“ — odpowiada mu zimno nierozbudzony jeszcze z zaczytania Adam.—„Jestem Stefan Garczyński.“— Adam się przecież poruszył; ale widać było wyraźnie, że nie lepiéj nazwisko gościa, jak i rysy jego przypomniał. Młodzieńczyk zmieszał się strasznie; pobladł raptem i poczerwieniał, że aż mi się żal go zrobiło: tém bardziéj, że mi przyszła na pamięć własna moja niegdyś scena z Chodanim. Dopiéro gdy mu wydeklamował wyraźnie i dobitnie, że się poznali w Berlinie, i że on go to piérwszy zaprowadził i zapoznał z Gansem; dopiéro wreście Adam przyszedł do roztropu, i zaczął spełniać obowiązek gościnnego i uprzejmego gospodarza. Ja zaś, aby zatrzeć do reszty to niemiłe wrażenie, odezwałem się żartobliwie do gościa, że jeśli liczył na pamięć „pana Mickiewicza“ co do fizyognomii i nazwisk, to się fatalnie omylił; bo ja myślę, że on sam siebie kiedyś we zwierciadle nie pozna, jak już raz swego nazwiska zapomniał. (W istocie tak było w Kownie, i to przy podpisaniu najpilniejszego listu). Adam zaczął się śmiać, a młodzieńczyk, nie pytając nawet kto jestem, zwrócił się do mnie z tak miłym uśmiechem, i tak czule podał mi rękę, że mi się jak

panienka od razu podobał. Sympatya być musi wzajemną, bo choć jeszcześmy z sobą *pod zającem* ani solniczki soli nie zjedli, jesteśmy już jak po pół beczce. O jedno tylko się boję, czy nie jest on bardzo uczony; bo skończył uniwersytet w Berlinie i jest podobno zwolennikiem Hegla, którego ja instynktowo niecierpię, a z tego co wiém o nim, bez skrupułu stosuję do niego te słowa Pisma Św., „że mądrość tego świata głupstwem jest.“—Nie powiedziałem mu jeszcze tego i nie wiém czy kiedy powiém; ale co do uczoności, to będę się musiał rozmówić. Szanowni uczeni warszawscy przyzwyczaili mię do tego, że się ich jak koń wielbłąda obawiam. Jak spójrzę na te juki mądrości książkowéj, z których jak szydło z worka wyłażą cytaty, to tak się czuję jakoś żakiem i nieukiem, że już nie śmiem mówić co myślę, i muszę chyba szukać głosu i oczek panieńskich, jak zaczarowany zdroju żywéj wody, aby zły ten urok rozproszyć. Wprawdzie dotąd z Garczyńskim tak nie jest. Bo chociaż lubi mówić o rzeczach poważnych, i wszystko zwłaszcza bierze na seryo; ale mówi co sam myśli i czuje, a nie co gdzieś w książce wyczytał. To zaś branie rzeczy na seryo, bardzo mi jest owszem korzystne. Naprzykład, co do zwiedzania Rzymu. Dotąd widziałem jużciż prawie to wszystko, co *Guide* wojażerom zaleca; ale cóż, kiedy w głowie jak na Pociejowie: wszystko, jak przybywało, tak leży bezładnie. On zaś systematycznie chce zacząć *ab ovo*, i porządkiem iść *usque ad finem*. Z nim więc powtórzę wszystkie moje kursa; tém bardziej, że poczciwy Strzelecki,

z którym go wnet zapoznałem. ofiarował się nam za *Cicerona*. Jakoż pierwsza zaraz wycieczka była na szczyt wieży Kapitolińskiéj: na któréj ja sam kiedyś byłem wiele razy. ale admirowałem tylko piękne widoki. mianowicie na góry Alby i nad-Tybrowe równiny. Teraz zaś po raz pierwszy Strzelecki. z mapą w ręku, wyłożył nam formalny kurs topografii starożytnego i nowego Rzymu. Wprost ztamtąd zwiedziliśmy najdokładniéj *Forum* i *Colosseum*, gdzie ja dotąd tylko dumałem: teraz zaś od dołu do szczytu obejrzeliśmy wszystko, i byliśmy gdzie tylko wejść można. Przewodnikiem, który nam wszystkie przejścia otwierał, był mieszkający w tych ruinach pustelnik. Pustelnik w Colosseum!... Poetycznie! nie prawdaż? — Po moim ojcu chrzestnym, pustelniku Bernardskim, był to piérwszy pustelnik, którego widziałem: a może już gdzieindziéj nie ma ich na świecie. Przypomniał mi on rzewnie i Boruny, i dom, i matkę—i ciebie. Boś pewnie i ty kiedyś studentem z czcią i obawą na niego spoglądał. I co dziwna, że i tu ubiór ten sam. Habit, kaptur, ogórki, sandały! — Garczyński był też zachwycony: bo choć sam wierszy nie pisze, ale widać zna doskonale, rozumié i czuje poezyą. Umié na pamięć całego Adama: czytał wszystkich poetów niemieckich: a co największa, że we wszystkiém co widzi, umié dopatrzyć poetycznéj strony. Dziwię się więc, że wierszy nie pisze. Ale kiedy mu to powiedziałem, on tak postawił wysoko ideał prawdziwego poety, że aż rozpacz mię ogarnęła, i musiałem biedz co tchu na *Via Mercede*, żeby z tego wrażenia ochłonąć. Ma

racyą mówić Brodziński, że dla panienek tylko warto pisać wiersze. Taki górny ideał poety przed oczyma, byłby ciągle jak jastrząb nad skowronkiem; skowronekby ani pisnął. Ale i pod względem panienek, nowy nasz przyjaciel coś bardzo na Katona zakrawa. Ledwieśmy go namówili, że poszedł z nami do państwa Ankwiczów; ale nigdzie więcéj bywać nie chce, żeby czasu napróżno nie tracić. Strata czasu w towarzystwie panienek! To mi sensat! Cytuję mu piosnkę Mentora:

Co to starzy za warjaci,
Mówią bez przyczyny,
Że czas młody źle się traci,
Bawiąc u dziewczyny.

I pędzą mię do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego. i t. d.

I przeto z tego tematu ciągłe z nim staczamy walki; to jest właściwie ja jeden, bo Adam tylko się śmieje. Ale ta sprzeczność w zdaniach bynajmniéj naszéj harmonii nie szkodzi. I owszem, widzę wyraźnie, że jak ja jego systematyczność, tak on moję teoryą życia bierze téż na uwagę, i po trochu nawet do serca. Z tego wszystkiego zaś widzisz, jak on mię mocno zajmuje. Dowiedziałem się téż od pani Węgierskiéj, z Poznańskiego, o czém pewno sambym nie pytał; bo mam wstręt rozpytywać się o familijnych stosunkach przyjaciół, jakby mi nie dość było na ich saméj osobie. Dziad jego był jednym z bogatszych

obywateli Wielkopolskich; lecz w skutek staropolskiéj hojności i gościnności, cały ten swój majątek przehulał. Ojciec był półkownikiem wojsk polskich, z czasów W. X. Warszawskiego; matka z możnéj rodziny Skórzewskich. Osierocony w dziecińeach wraz z siostrą, wychował się u wuja swego w Lubostroniu; siostra zaś u ciotki po ojcu. Mgła jakby jakiéjś tęsknoty, zdająca się być tłem jego charakteru, nie zkąd inąd może pochodzi. Jest to jak cień sieroctwa rzucony na myśl i serce. Tu przybył z krewnym swoim, p. Apolinarym Gajewskim, który jest zaręczonym jego siostry i uniwersyteckim kolegą. Jest i to bardzo światły i miły młodzian, ale się nie równa ze Stefanem. Adam także bardzo go lubi, i nie zarzuca mi nawet tą razą gorącości piérwszych affektów. Owszem cieszy go, widzę, blizki nasz stosunek. Powiada, że ma w nas obraz „*Allegro* i *Penseroso*“ Miltona, i bawią go nasze dysputy z tego tonu.— A w sam czas przybył nam właśnie, dla osłodzenia smutku i niepokoju z powodu choroby Parczewskiego. Poczciwiec, tak mię pocieszał w ostatniéj mojéj chorobie! i to nas jeszcze bardziéj zbliżyło. Korzystając z ciepłych wieczorów, włóczyliśmy się z nim potém po Rzymie. Ostatnia nasza wycieczka była do Piramidy Cestyusza, i ostatnia przy niéj rozmowa budzi we mnie złe jakieś przeczucia. Naprzeciw leży cmentarz protestancki, na którym między innemi widzieliśmy grób angielskiego poety Shelleya, który utonął w zatoce morskiéj w Spezzia, a Lord Byron, przyjaciel jego, spalił go tamże na stosie, starożytnym ob-

rządkiem pogańskim, (za co straszne nań były okrzyki), a potém prochy jego przywiózł z sobą do Rzymu, i tu na tym cmentarzu pogrzebał. Otóż z powodu tego zwłaszcza grobu, rozmowa nasza przybrała téż kolor grobowy, i Parczewski opowiedział mi swój sen przeszłéj nocy, który na nim zrobił wrażenie, a które, z powodu różnych antecedensów, i ja téż na nieszczęście podzielam. Śnił mu się wspólny blizki nasz przyjaciel, Ludwik Spitznagel, który, wiész, że się zastrzelił, a obiecywał niepospolitego człowieka. Spotkał go jakby na ulicy w Rzymie i podjął się zaprowadzić, gdzie już, jak mówił, czekają na niego. Szli więc przez jakieś ciasne i kręte uliczki, aż weszli do przedsionku ciemnego jakiegoś gmachu. Tu ukazała się nagle matka Parczewskiego, która z wielkim żalem i płaczem chciała go wstrzymać, aby nie szedł do środka. Ale przyjaciel pociągnął go gwałtem za sobą, a trzask drzwi zamykających się za nimi obudził marzącego ze snu. Żartowałem, ma się rozumieć, cytując nasze przysłowie: „Sen mara, Pan Bóg wiara,“ ale w sercu aż mi się zimno zrobiło. Przypomniałem sen własny w dzień śmierci Ludwika. Wiész, że jechał już do Egiptu, jako dragoman przy tamecznym konsulacie; na wyjezdném zaś z Wilna, pisał do mnie do Warszawy błagając, abym go przeprowadził ztamtąd do Krakowa; bo on umyślnie dla tego przez Warszawę drogę obraca. Przygotowałem się więc do téj podróży i czekałem go lada chwilę. Tymczasem jednéj nocy śni mi się, że go widzę wraz z ojcem, który już nie żył, stojącego na jakiéjś mappie,

rozłożonéj na podłodze pokoju, ale na któréj nic nie ma prócz jakichś pasów światłych i ciemnych, jakby to była mappa jakiéjś bezmiernéj, bezludnéj pustyni; on zaś dziwnie smutny i blady, mówi zdaje się do mnie: „Dziękuję! ale nie masz potrzeby tu mnie przeprowadzać.“ — Obudziłem się ze smutném wrażeniem i zapisałem sobie datę tego widzenia. W tydzień potém otrzymałem wiadomość, że w tym dniu właśnie, bez żadnéj rzeczywistéj przyczyny, w Snowiu, u marszałka Rdułtowskiego, życie sobie odebrał. Ale to nic jeszcze w porównaniu z wypadkiem, który się zdarzył w Wilnie z jego matką. Rozstał się z nią w najweselszém usposobieniu, i wiedziała, że ma wstąpić po drodze do Snowia. Tymczasem, w ten sam dzień i godzinę jego śmierci, matka najzupełniéj spokojna, siedziała sobie w swoim pokoju, którego okna wychodzą na ogród. Nagle w ogrodzie zrobił się straszny szum wiatru, chociaż dzień był pogodny i cichy, a razem głośny świegot rozmaitych ptasząt, których mnóstwo jest w tym ogrodzie. Zakręt wichru pędził je wprost ku oknu, wraz z tumanem kurzawy i liści, i przez okno, które było otwarte, wleciał do pokoju kanarek, przestraszony i ledwo dyszący, który dał się złowić bez trudu. Wiatr i ptastwo ucichło nagle. Ale co najdziwniejsza, że w téjże saméj chwili taki niewymówny niepokój ogarnął matkę o Ludwika, że natychmiast wysłała sztafetę do Snowia, ażeby się o nim dowiedzieć.—Lord Byron w przypisku do Zulejki wspomina o jakiéjś pani, która najmocniéj była przekonaną, że duch siostry wrócił do niéj w postaci

ptaka, i on sam na tém podaniu oparł inwencyą ptaszka, śpiewającego nad mogiłą Zulejki. Bóg to wié, ile w tém prawdy! Ale matka, choć o tém nie mówi, zdaje się, że ma coś nakształt téj myśli. A i ja sam, wyznaję, nie mogłem jakoś całkiem obronić się od niéj, kiedy tego kanarka widziałem. Jest zawsze bardzo smutny, siedzi w kąciku klatki, i ani skacze po niéj, ani się odezwie. To pewna, że pomimo najściślejszych poszukiwań, nikt się do jego właścicielstwa nie przyznał. — Otóż ten mój sen i kanarek przyszły mi na myśl przy opowiadaniu snu Parczewskiego, i dotąd mię niepokoją; tém bardziéj, że zachorował zaraz nazajutrz, nagle, i boję się czy nie w skutku przeziębienia na téj naszéj przechadzce, przed którą czytał mi jeszcze u siebie bardzo ciekawą swoję rozprawkę o kazaniach we Włoszech, Niemczech i u nas, w wieku XVII. Było to zapalenie płuc, do którego oddawna jest skłonny; a choć piérwsze niebezpieczeństwo minęło, Bóg wié jakie być mogą następstwa. Odwiedzamy go najczęściéj jak można, i Garczyński zwykle nam towarzyszy. Bo on tylko bawić się nie lubi, a raczéj na zabawę tylko żałuje czasu; ale gdzie idzie o powinność albo ofiarę, tam go nie potrzeba namawiać. Ciągła owszem ofiara z siebie, ku celom ogólnego dobra i ku służbie swojego społeczeństwa i kraju, jest to główny ideał jego życia i marzeń. Podobałby się z tego surowéj pannie Anieli, nie wątpię. Niechże więc moja Królowa, dobrém swojém życzeniem, a może czasem i pa-

brzeg morza,
i dalsze. Jak
szych, onegda
Wołkońskim i
do *Grotta Fe*
gdzie są piękne
w tamecznym p
jakiś rodzaj ki
wspólnych wszys
liśmy i nie słys
więcéj miejski ni
stiumu, a co twa
wdziwie ładnéj, a
je *per gelosia* zam
tłoku w kościele,
A więc rzuciwszy o
wesoło w powozie ś
ponieważ dzień był
do drugiego blizkieg
równie brudne i pos
górami i wśród nie

mieszkania Papieżów. Miejsce miłe, pałacyk ładny, aleśmy we środku nie byli. Żal nam było błękitu nieba i rozkosznego powietrza. A że ztąd już równa odległość do *Albano* i do *Grotta Ferrata*, więc posłaliśmy tam umyślnego po powóz, aby po nas do Albano przyjechał, a sami peregrynowaliśmy daléj, mając do widzenia po drodze grób Horacyuszów i Kuracyuszów i sławny kanał Albańskiego jeziora, dla odpływu wód jego wykuty w skale pod ogromną górą, na przestrzeni półtory mili włoskiéj. Prawdziwe dzieło olbrzymów! Adam mówił: że wszystkie tytaniczne dzieła potęgi ludzkiéj, dokonywane na ziemi, mają zawsze charakter wielkości, bo celem ich i skutkiem był zawsze jakiś pożytek, który cześć i wdzięczność obudza. Ale od czasu wieży Babilońskiéj, albo szturmu Tytanów, wszelka rywalizacya z Niebem, albo wdzieranie się ludzi do tajemnic Nieba, kończy się zawsze tylko karą ich zuchwałości i upokorzeniem ich pychy, i to równie w świecie fizycznym, jak duchowym i umysłowym. Dałby Bóg żeby jeszcze za życia Hegel tego kiedy doczekał! Bo nie masz wyobrażenia, jak mnie zawsze złość bierze, kiedy o tym Niemcu pomyślę, teraz zwłaszcza, gdy widzę, że takie serce i umysł jak Stefana, jak pająk pszczołę oplątał. Dla mnie jestto jak talmudzista-rabin, zaszczepiony na odszczepieńcu-krzyżaku. I niech sobie jego adepci tomy pochwał o nim napiszą; professor, który po latach trzydziestu wykładu z katedry, może sam powiedzieć o sobie, że go nikt z uczniów jego nie zrozumiał, oprócz jednego, a i ten tylko zrozumiał opacznie:

professor taki i mędrzec, koniec końców, podpaść musi pod definicyą Pisma Św., co jest taka mądrość i taki mędrzec.

Ale nie myśl, iż zapomniałem, że idziemy do Albano. Owszem jest i w tém jakby charakterystyka téj naszéj przechadzki. Idziemy drogą wysadzaną drzewami, jak w Pritaneum uczniowie Platona, rozmawiając nie o błahościach ziemskich, ale o różnych rzeczach z jego świata idei; aż nakoniec, jakby na przekór jemu, który poetów chciał wypędzić ze świata, Szewirew deklamuje nam z pamięci wyjątki ze swego tłómaczenia: „Obozu Wallensteina“ Szyllera. Doskonałe! — Już to nie ma do tłómaczeń jak język nasz i rossyjski, a może i w ogólności słowiańskie. Jest to może i w naturze słowiańskiéj, ta łatwość i ta skłonność do naśladownictwa. Przekłady Żukowskiego, to są arcydzieła. Nadewszystko zaś korci mię ciągle jego przekład ballady Walter-Skotta, „Wieczór przed Ś. Janem,“ który mam za lepszy od mego, i nie będę miał spokojności, aż mój kiedyś do tegoż kamertonu dostroję. — Otóż prawiąc tak o różnych rzeczach, aniśmy się spostrzegli, jakeśmy stanęli w Albano. Miasteczko wcale porządne, a położenie arcy-romantyczne, w dolinie, między wzgórzami, porosłemi zielonym i wesołym lasem. Tuż na górze i skale leży *Ariccia;* aleśmy tam już nie byli, uszedłszy i tak pieszo ze trzy mile nasze. Wcale jednak nie byliśmy znużeni, i w najlepszym humorze, a i z nie gorszym téż apetytem, wróciliśmy

o siódméj do Rzymu, gdzie nas Xiężna czekała z obiadem.—

No! a teraz, na dzisiaj, więcéj już nie pamiętam, cobym tu jeszcze mógł dodać. A i tak zawsze się boję, czy zbytnią rozwlekłością i szczegółowością nie grzeszę. Jeśli tak, to proszę o przebaczenie. A nie, to oddajcie wet za wet. Odpiszcie za pokutę choćby dwa razy dłużéj, a już ja was z góry *absolvo*. Bądź zdrów!

XIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 11 marca 1830 r.

Znasz ty ten stan, nazajutrz po majówce.
Pewnie ten sam w Szczuczynie, co w Borunach,
Gdy przeszły dzień w studenckiéj jeszcze główce
Szumi i gra—jak wiatr w Eolskich strónach,
A tu już znów szkolny dzwonek *dzen, dzen!*
Ach! jaki żal, że już przeszedł dzień ten!

Tak mi żal dziś dnia wczorajszego, dnia wycieczki do *Fiumicino!* Adam piérwszy przyrównał go do majówki, gdyśmy się już o szóstéj rano ubierali na łeb na szyję, aby punkt o pół do siódméj, jak było umówiono, stawić się na *Via Mercède*. Panienki już były ubrane, (po podróżnemu: w szarych, zgrabnych płaszczykach, z pelerynkami pod szyję, i w pasterskich kapelusikach ryżowych); stół do kawy był już nakryty; dwa powozy stały przed bramą: czterokonne otwarte *lando* na sześć osób, i kocz parokonny na cztery. Ale rzecz dziwna, jak to lada okoliczność, wychodząca z rutyny codziennéj, ożywia nowém życiem grono tych samych osób, które się codziennie widują. Adam idąc zboczył umyślnie na *Monte Citorio* ażeby kupić jakiś pęczek zieleniny, i zaraz przy

powitaniu pokazał go pannie Henryecie, zapytując o wzajemną zieloność. Z uśmiechem uchyliła rąbek pelerynki, i bukiecik zielony tkwił za paskiem płaszczyka. Widząc to, zaimprowizowałem wpół głośno do panny Marcelliny:

Patrz, pani! przedziwny sposób,
Dla niewielomównych osób,
Nic nie mówiąc, mówić sobie:
„Myślę, myślałem o tobie.“

I zaproponowałem czybyśmy także od dzisiaj nie mogli zagrać z sobą w *zielone?* Ale Adam, który dosłyszał, odwrócił się prędko z przestrogą, ażeby się na to nie zgadzała, bo ja mam zawsze zielone— w głowie. Rozmowa z tego tonu zaczęta, poszła daléj jak ogień liniowy; a śmiech, żarty i kłótnie zagłuszały brzęk filiżanek, które jeden przed drugim wydzieraliśmy z rąk nalewających panienek; aż nakoniec zniecierpliwiony tém sam pan Ankwicz zawołał tonem Katona: że już dosyć tych figlów i czas jechać. A więc i pojechaliśmy przed ósmą. Damy do swego powozu zabrały dwóch najmłodszych: xięcia Olesia i Felisia Niegolewskiego. Nie trudno było zrozumieć dyplomacyą panieńską, i że na powrót inny komplet będzie. Ale tymczasem musieliśmy się pocieszać doskonałemi cygarami, które pan Ankwicz wczoraj z Livorno otrzymał, i archeologiczną erudycyą Strzeleckiego, który nam wszystko po drodze objaśniał.

Fiumicino, mała mieścina, o cztery nasze mile od Rzymu, leży nad samém morzem, przy ujściu prawéj

odnogi Tybru, jak Ostia przy ujściu lewéj. Odnoga ta tak jest wązką, że nie zasługując na miano rzeki, otrzymała nazwę rzeczułki (*fiumicino*), która przeszła i do miasteczka. Droga z Rzymu przez *Porta Portese*, dawna *Via Aurelia*, wysadzana pięknemi drzewami, idzie wzdłuż Tybru, przez kraj nieuprawny, ale wesoły i kwitnący życiem. Ranek prześliczny, powietrze rozkoszne. Humor mój w podniesieniu, ale takiém, że trzeba albo rozmawiać z panienkami, albo samemu sobie deklamować wiersze; inaczéj gaśnie, jak węgle w samowarze, gdy się komin kapturkiem przykryje. Szczęściem omijając *willę Crestaldi*, gdzie są jakieś zabytki starożytności, Strzelecki zapragnął je widzieć, a raczéj pokazać drugim. Krzyknął więc na furmanów, żeby się zatrzymali; z czego ja korzystając wyskoczyłem na parlamentarza do powozu panienek. Propozycya nieprzyjęta; a panna Henryetta kazała odpowiedzieć, że dziś jest dzień poświęcony wiośnie i życiu, a nie starożytnym grobowcom. Strzelecki był zły, ale ja kontent; bo obaj młodzieńczyki zaprosili mię do swego towarzystwa. A że damy nie kładły *veto*, więc umieściliśmy się we trzech na przedzie. Ale i tu trafiłem na kurs archeologii; tylko że ta z ust panny Henryetty nie sypie jakoś kamieniami i gruzem. A mówiła o dawnym Rzymskim porcie w tém miejscu, zwanym *Portem Trajana*, nim go Tyber całkiem zamulił, i o ogromnych magazynach, zbudowanych przez Klaudyusza, Nerona i Trajana, których olbrzymie ruiny widzieliśmy zdaleka w przejeździe. Dzisiaj port w Fiumi-

cino służy tylko za przystań dla łodzi rybackich, a wszystkie większe statki i okręty handlowe zawijają do portu w Ostia. Samo miasteczko składa się zaledwo z kilkunastu domków, ale porządnych, i co dziwna, czystych. Nad samym brzegiem morza wznosi się nowożytny kościołek pod wezwaniem „N. Panny, *Gwiazdy Morza;*“ niewielki, ale gustowny i ładny. We środku w okrąg kopuły napis: „*Tu es portus salutis et stella maris;*“ ztąd i nazwa kościołka. W ołtarzu fresk, dosyć brzydki, przedstawia wylądowanie barki. Nie opodal sterczy tak zwana wieża strażnicza, któréj podobne, w pewnéj od siebie odległości, znajdują się na całym tym brzegu, broniąc go niby od napaści Barbaresków. Przed laty kilkunastu, lękano się rzeczywiście ich wylądowania. Załoga w Fiumicino składa się z 800 żołnierzy, których w lecie dziesiątkuje *Malaria.* Wszystko to widzimy i słyszymy wysiadłszy już z powozu i zbliżając się ku morzu. Brzeg płaski, piaszczysty, zarosły krzakami jałowcu i innych poziomych krzewów. Ale morze! Morze Śródziemne! Morze, nad którego brzegami przeszło tyle ludów, tyle dziejów, tyle wielkości! Morze, które oblewa Grecyą i Ziemię Świętą! na które patrzał Homer—nim oślepł—a my teraz patrzymy mówiąc o tém wszystkiém, a nadewszystko admirując samo to morze —tak ciche, tak łagodne, tak błyszczące złotem od słońca, tak błękitne odbiciem nieba, tak z siebie szmaragdowo-zielone—że przypomniałem i powtórzyłem głośno wiersze Moora z *Lalla Rookh:*

„Wind, lull'd to languor, scarcely curl
The Green Sea wave, whose waters gleam
Limpid, as if her mines of pearl
Were melted all to form the stream.“

(Wietrzyk wpółsenny ledwie muśnie fale,
Co się tak błyszczą w różanéj pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie).

Sam nawet Tyber, zwykle płowy i mętny, tu przy ujściu nabiera zda się od morza nowego koloru i blasku, a dzieląc się na kilka gałęzi tworzy wyspę, tak zwaną *Świętą* (*Isola Sacra*), gdzie niegdyś stała świątynia Jowisza i Wenery, i gdzie zwłaszcza na jakąś uroczystość wito dla bóstw tych wieńce i wieńczono się mirtem. Do dziś dnia ogromne drzewa i zarośle mirtowe okrywają całą tę wyspę, i pod białém drobném swém kwieciem, wyglądają jak gdyby przyprószone śniegiem. Tam mamy się przeprawić na promie, odpoczywać, jeść obiad i resztę dnia przepędzić. Ale wprzód jeszcze przypatrujemy się łowieniu ryb w Tybrze i w morzu. Mnóstwo malutkich łódek uwija się wzdłuż brzegu. W każdéj po dwóch rybaków. Stoją po obu końcach, trzymając każdy sznur od skrzydła sieci, którą zarzucają daleko od łodzi, a potém ciągną do niéj, albo do brzegu. Wdajemy się z jednymi w rozmowę, którzy nic nie ułowiwszy od rana, zabierają się już wracać do domu. Adam daje im *paola*, aby raz jeszcze zarzucili siatkę, i obracając się do panny Henryetty dodaje: „Na szczęście

Pani!"—Odpłynęli na jakie staj parę, i zakreśliwszy duże półkole płyną nakoniec ku nam, którzy ich z ciekawością czekamy na brzegu. Panna Henryetta uprzedza z góry, że pewno nic nie ułowią, bo jéj się w niczém nie szczęści. W twarzy Adama znać wyraźny niepokój; przysiągłbym, że musiał coś sobie jak w kabale zamyślić. Wtém — o! radości! — słychać i widać pluskanie się w matni, a nawet i w okach skrzydeł trzepocą się uwięzłe rybki. „*Presto! presto!*"—wołają na siebie rybacy, *zszywając* co najściślej niższe brzegi skrzydeł. I oto wysuwa się matnia prawie pełna; pewno z pół kopy ryb większych i mniejszych; jakieś prawie całkiem okrągłe, z ostrym grzbietem jak u okónia, a smaczniejsze od wszystkich ryb rzecznych. Ale nie myśl, zmiłuj się, że ugryzłem je na surowo, jak Eskimos albo Wenecyanin. Nie postąpiłem jeszcze tak dalece w cywilizacyi gastronomicznéj: ostryg nawet przełknąć nie mogę. Ale Strzelecki zakupił cały połów, i odrzuciwszy mniejsze rybki do morza, większe kazał nieść do oberży, aby je tam na obiad usmażono — w oliwie. Obiad wszakże i bez tego był dobry, a przedewszystkiém wesoły. Jedliśmy go w altanie z mirtu, wieńcząc siebie nawzajem i obwijając kieliszki jego liśćmi, jak dawni Rzymianie przy uczcie. Wino przyjechało wraz z nami. Przy kawie i Liworneńskich cygarach, napastowano zewsząd Adama aby co zaimprowizował; ale zbywał żartami i nie chciał. Chyba że się podoba nazwać improwizacyą jakie z dziesiątek konceptowych dystychów, najwięcéj stosowanych do mnie,

a z których może kilka uszłoby na dewizę karmelków. Za toż ja deklamowałem, aż mi w gardle zaschło, co chciano: *Świteziankę*, *Budrysów*, *Twardowską*, i nakoniec moje *Wesele*. To ostatnie wybrał Strzelecki, co mi wcale nie było po myśli. Deklamowałem więc arcy-tendencyjnie: to jest nie tylko nie uwydatniając, ale owszem jak można zacierając to wszystko, w czém mógłby być choć cień alluzyi, i przeto tylko wprost nie odmówiłem, aby się téj przyczyny odmowy nie domyślano. A jednak byli tacy, co delikatny ten odcień w deklamacyi mojéj zrozumieli, i podziękowali mi zań, nic nie mówiąc. Magnetyzm—nie zwierzęcy, ale myślno-duchowy, jest to coś nakształt gry w *zielone-niewidome*. I kto wié czy nie na tém największy, jeżeli nie jedyny, urok rozmowy z płcią piękną zależy. Doznawaliśmy go wczoraj w pełni; aż dziwny, niespodziany wypadek, wesołe to usposobienie zamącił. — Słońce już miało się ku zachodowi, i trzeba było myśleć o powrócie. Panienki pobiegły jeszcze zebrać nieco mirtów dla p. Aignera i dla pani Moszyńskiéj, których spodziewały się zastać wieczorem u siebie. Wtém z za ruin świątyni Jowisza, występuje nagle jakaś kobiéta, widocznie cyganka, istna *Meg-Merillis*, z *Astrologa* Waltera-Skotta: wysoka, czarna, z włosami w nieładzie, w jakimś czerwoniawym łachmanie, i wrzaskliwie dopomina się o jałmużnę, ofiarując się przytém przyszłość wróżyć z ręki. Panna Marcellina ani chce słuchać; ale panna Henryetta porywa gwałtem jéj rękę i zarazem podaje swoję. Co im ta wróżka powie-

działa, nie wiemy. Bo nimeśmy się do nich zbliżyli, wróżba już była skończona; ale obie panienki były tak zmieszane, żeśmy się słowa u nich dopytać nie mogli. Musiało być coś albo bardzo smutnego, albo zdradzającego tajemnicę serca [1]). Daliśmy więc pokój pytaniom, a sami ofiarując wieszczce jałmużnę, nikt z nas nie miał ochoty narażać się na podobneż wrażenie. Ja zresztą boję się strasznie wszelkich wróżb, kabał i przepowiedni; Adam zaś z wielkiém seryo gromił tego rodzaju ciekawość; co jeszcze bardziéj skonfundowało panienki. Powarzeni więc nieco i smutni wsiedliśmy do powozów — ja i Adam z damami. On widocznie chciał je rozerwać; dobył pugilares z kieszeni, i najprzód z samą panią hrabiną, a potém z panienkami zaczął grać w *szubieniczkę*, przeplatając grę żarcikami. Środek okazał się skutecznym, i rozmowa stała się znowu wesołą. Tymczasem słońce zaszło, i xiężyc jasny, pogodny, opromienił srebrzystym blaskiem Kampanią i wody Tybru. Rozmowa z żartobliwéj przeszła w nastrój uczuciowy, poważny, a ja z niéj, zwłaszcza ze słów saméj pani hrabiny, wiele dobréj powziąłem otuchy. Niedaleko już przed Rzymem powozy się zatrzymały przed jakąś oberżą. Adam wysiadł zapalić cygaro, a tymczasem przystą-

[1]) Z korrespondencyi pani Seweryny Duchińskiéj, „O wspomnieniach Ewuni,“ umieszczonéj w *Bibliotece Warszawskiéj* z Marca 1871 r., dowiedziałem się dopiéro po raz piérwszy, co to była za przepowiednia. Pannie Marcellinie wróżyła, że wstąpi do zakonu, a pannie Henryecie, że dwakroć ponowi śluby. (P. A.)

pił Strzelecki. Sama pani zaprosiła go aby usiadł trzeci na przedzie. Nie musiało to być po myśli Adamowi; bo chociaż niby swobodnie, ale jednak stanowczo oświadczył, że chce téż użyć towarzystwa pana hrabiego, i wsiadł z nim do drugiego powozu. Posmutniało zatém i w naszym, a o ósméj byliśmy już z powrótem na *Via Mercède*. Oprócz kilku spodziewanych osób, przyszli Garczyński i Gajewski. Piérwszy nie dał mi się namówić do uczestnictwa w dzisiejszéj wycieczce, ale w skutek czynionych mu za to wyrzutów, obiecał, że będzie towarzyszył w następnych. Kiedy one nastąpią, nie wiém; ale pewnie przed Wielkanocą. Tymczasem mamy przed sobą mnóstwo projektów w mieście. Jutro np. idziemy wszyscy na kopułę Św. Piotra; zaraz potém mamy oglądać przy pochodniach Muzeum Watykańskie i Kolosseum. Żeby więc te nowe wrażenia nie ścisły wczorajszego, spisałem je tu za świeżéj pamięci, a dokończenie listu odkładam na późniéj.

---

13 marca, wieczorem.

Ledwie żyję, tak dziś jestem znużony—ale tylko fizycznie. Dla tego wprost z obiadu na *Via Mercède* powróciłem na cały wieczór do domu, i po krótkiéj *siescie*, zasiadam *ad epistolam meam*. Deszcz wczoraj pomieszał nasze plany pójścia na kopułę. Za to też dziś byliśmy i na samym jéj szczycie, i na samym jéj spodzie, to jest w podziemnéj części kościoła Św.

Piotra; i w Watykańskim ogrodzie, i w bibliotece Watykańskiéj. Ta ostatnia najwięcéj mię zmordowała. Już to ja zawsze w każdéj prawie bibliotece przypominam sobie mniéj więcéj samego siebie, gdy mię kiedyś pan hr. Karol Przezdziecki, dziedzic Smorgoń, a wielki mój *benefaktor*, (bo mi dawał pocztowe konie do Dziewietni), obwoził najprzód po swoich folwarkach i pokazywał w nich barany i cielęta, na które ja nie z większym pewnie interesem, jak one na mnie, patrzałem. W bibliotekach ja to jestem jak baran lub cielę; nastawiam uszy na to, czegom nie ciekawy; wytrzeszczam oczy na to, co mię nie obchodzi; a przez grzeczność udając zajęcie, nudzę się i morduję sam w sobie. W Watykanie dobrze przynajmniéj że białe kruki zamknięte są w klatkach, to jest wszystkie bibliograficzne rzadkości w szafach; i przeto sprawujący obowiązek *Ciceronów* nie zmuszają koniecznie spektatorów do zbyt szczegółowego oglądania wszystkich. Są jednak pomiędzy niemi, co mnie nawet istotnie zajęły. Np. rękopism Cicerona *De Republica*, z którego bibliotekarz tutejszy, kardynał Mai, po raz piérwszy to dzieło zatracone wyczytał. A było to prawdziwe odgrzebanie Pompei. Na piérwotnym albowiem rękopiśmie z czasów Rzymskich, ktoś w wiekach średnich, przez oszczędność pargaminu, zawernixowawszy dawne litery, napisał był na nich wykład psalmów, który następnie xiądz Mai zeskrobywać musiał.—Adam, Strzelecki i panna Henryetta toczyli długie archeologiczno-bibliograficzne rozprawy, do których należał i Garczyński, podczas

kiedy ja sobie z drugiemi damami poprzestawałem na obchodzeniu i na admiracyi samego gmachu, który już zresztą nie piérwszy raz dzisiaj widziałem. Wielka sala ma 216 stóp długości a 48 szerokości, i przedzielona jest na dwie części sześciu ogromnemi kolumnami. Wokrąg ich i przy ścianach, szafy, a w nich zamknięte same rękopisma. Obliczają je na dwadzieścia kilka tysięcy. Xiążek stosunkowo jest mało, bo zaledwo o kilka tysięcy więcéj. Na ścianach dość brzydkie freski, wyobrażają budowanie starożytnych bibliotek, koncylia generalne, etc. Daléj kalendarz stary malowany na drzewie, i za szkłem kilka rękopismów na papyrusie, z piérwszych wieków chrześcijaństwa. Po za tą salą, na prawo i na lewo rozciągają się dwie przeciwległe galerye, mające razem 400 kroków długości, i podzielone także na sale. Wszystkie xiążki zamknięte w szafach. Po ścianach freski. Przy końcu galeryi na lewo, *Muzeum*, tak zwane: *święte*: to jest zbiór sprzętów, obrazów i rozmaitych przedmiotów, znalezionych w grobach dawnych chrześcijan. Między temi, najdawniejszy, jaki znają, obraz Chrystusa Pana, z mozaiki. Przy końcu galeryi na prawo, *Muzeum świeckie*, to jest zbiór starożytnych, różnometalowych sprzętów, narzędzi, ozdób, i t. d. Najciekawszym był dla mnie warkocz jakiéjś Rzymianki, znaleziony w sarkofagu, a tak doskonale zachowany, jakby dziś wyszedł z ręki fryzyera. Czy ta pani mogła pomyśleć, trefiąc kiedyś te włosy przed stalowém zwierciadłem, że za dwa tysiące lat świat cały podziwiać je będzie. Szkoda, że to nie jest

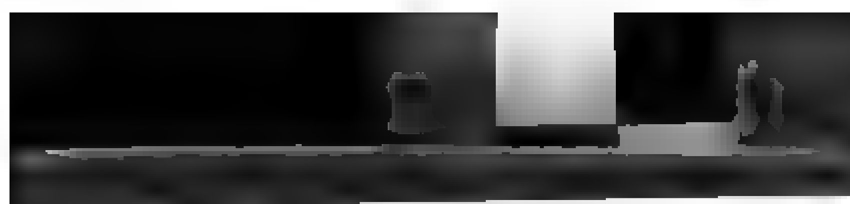
ten sam warkocz Bereniki, od którego konstellacyą gwiazd nazwano. Jest tu także, w osobnym gabinecie, sławne starożytne malowidło na tynku, (rodzaj fresku), które, do odkrycia Pompei, uważane było za najdroższy, jeżeli nie za jedyny zabytek starożytnego malarstwa. Zwie się ono *Weselem Aldobrandińskiém* dla tego, że wyobraża jakoby wesele Bachusa z jakąś Nimfą, i że Papież Pius VI kupił je od kardynała Aldobrandini i zapłacił 10,000 skudów, t. j. sto tysięcy złotych naszych. Kardynał musiał być z tego wielce rozradowany, więcéj niż pan młody w obrazie, kiedy obraz nie *weselem* Bachusa, ale weselem Aldobrandińskiém nazwano.

Prosto z biblioteki poszliśmy do podziemnego kościoła Św. Piotra. A wiész-że co to jest ten podziemny kościół? Oto gdy na miejsce dawnéj bazyliki nad grobem Św. Piotra, zbudowanéj przez Konstantyna W. w r. 326, zaczynano budować teraźniejszą, (w r. 1450, za Papieża Mikołaja V.), zalecono architektom ażeby nie poruszali podłogi dawnéj, pod którą miały być pochowane zwłoki Św. Apostoła. Zostawiono więc przestrzeń 11 stóp wysokości między dawną i nową podłogą, i tę ostatnią w tém miejscu na arkadach i kolumnach oparto. Ta przestrzeń stanowi kościół podziemny. Prowadzą doń marmurowe wschody z pośrodka balustrady, przed środkowym wielkim ołtarzem w górnym kościele. Nad tym to ołtarzem wznosi się w górze owa sławna kopuła, oparta na czterech słupach, z których każdy ma 206 stóp obwodu; i pod tym to ołtarzem w podziemnym

kościele jest środkowa kaplica, w kształcie krzyża, stanowiąca właściwy grobowiec Św. Piotra.. Po rogach cztery inne kaplice, pod słupami dźwigającemi kopułę, składają całość tego podziemnego przybytku. Łączą je korytarze malowane *al fresco*, równie jak i sklepienie, ale [illegible] dla ciemności nie widać. W ś[illegible]ący pali się jedna, ciągle gorejąca [illegible]nach znajdują się grobowce: kilku kap[illegible]za Ottona II, i trzech Sztuartów.

„O! marne szcz[illegible]ści światowéj,
Blask tylko [illegible]mur grobowy!"—

A teraz z dołu do góry! W jednym ze słupów wspierających kopułę, kręte wschody prowadzą do niéj. Idziem, idziem, i wychodzimy na platformę dachu, gdzie jak pieczarki wkoło borowika, dziesięć kopuł, ni mniéj ni więcéj, wyrasta wkrąg kopuły wielkiéj, która ma jeszcze odtąd 285 stóp wysokości. O widoku z tak nizka mówić, szkoda słów! Ale za toż widok na kościół, z galeryi wewnętrznych, okrążających kopułę, z których niższa ma 380 stóp obwodu, jest tak zachwycający, ale zarazem i tak przerażający, że jeszcze myśląc o nim czuję zawrót głowy. Nieraz mnie patrzącemu z dołu, ludzie na téj galeryi stojący, wydawali się jak kawki. Teraz zaś patrzącemu z góry, ludzie po kościele chodzący, zdawali się istotnie podobni do żółwiów: bo wzrostu i nóg nie widać, a same tylko głowy pełzają zda się po podłodze. Ale co tam patrzeć na ludzi, kiedy otchłań i ogrom

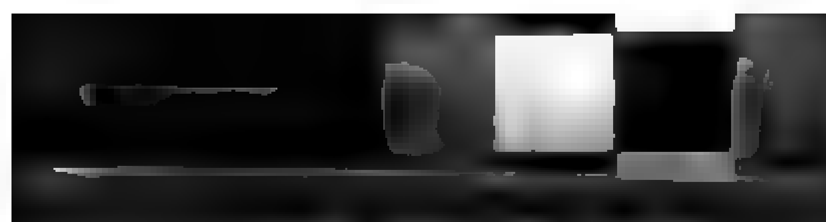


świątyni całą myśl i uwagę pochłania!—Cała kopuła wewnątrz wyłożona jest mozaiką złotą. Na niéj wyobrażona *Gloria* niebieska; czteréj ŚŚ Ewangelistowie olbrzymich rozmiarów, (pióro, które jeden trzyma w ręku, ma 17 stóp długości), i sławny napis: „Tu es Petrus et super hanc petram edificabo ecclesiam meam, et tibi dabo claves regni coelorum.“ Patrząc więc na tę kopułę w górze, na ten kościół u spodu, a stojąc właśnie między panną Henryettą i panną Marcelliną, zaimprowizowałem do nich na prędce:

Gdyby kiedy czyj duch,
Tak wśród Aniołów dwóch,
    Leciał pod Nieba strop:
A pod nim ziemia cała
Tak mu się piękną zdała,
    Jak ten kościół u stóp:
To kto wié, czy ten człek,
Przez jeden, drugi wiek,
    Nim spocznie w chwale Boskiéj:
Nie byłby jeszcze rad,
Popatrzeć na ten świat,
    Choć wisząc jak Twardowski.

My jednak poszliśmy wyżéj, pomiędzy dwiema ścianami kopuły, i dopiéro z galeryi zewnętrznéj, okrążającéj spód tak zwanéj *latarni*, spójrzeliśmy na świat Boży. Ach! co za panorama! Watykan u stóp naszych; cały Rzym, cała Kampania przed nami! Na zachód morze, kończące horyzont, zdaje się jakby powstająca chmura, jakby błękitniejące w oddaleniu pasmo gór.

Na wschód miasto, objęte zakrętem Tybru, najeżone tysiącem wież, kopuł, kościołów, krzyżów, błyszczących i gorejących od słońca. Między miastem a morzem równina. Gdzie niegdzie tylko nagie i piaszczyste wzgórki, poziomemi krzakami zarosłe. Na południe villa *Pamphili*, [illegible] swemi baldachinowemi sosnami. Bliżéj cały ogrom pałacu, którego zniskąd indąd nie widać, i oba watykańskie ogrody. Na północ *Monte Mario*, i u stóp jéj najpiękniejsza z okolic Rzymu, pełna drzew i w pośród ich zieleni bielejących domków. Środkiem niéj płynie Tyber, który gdzie niegdzie przebłyska. Nakoniec w oddaleniu, w sinéj mgle śnieżna *Sorakte*, i w prawo jéj góry Sabińskie, a w lewo góry Tolfa, Cornelano, Viterbo, i t. d., i t. d. A dodajże jeszcze do tego przeczysty szafir nieba, i słońce, i powietrze wiosenne! Sama *latarnia* ma jeszcze 75 stóp wysokości, to jest wysokość najmniéj trzypiętrowego domu, a na jéj wierzchu jest jeszcze druga mniejsza galeryjka, w okrąg podstawy bani czy kuli, ze złoconego bronzu, w któréj 16 osób może się pomieścić, (ma siedem i pół stóp średnicy). Do téj bani z latarni trzeba się piąć po stroméj drabinie, a ztamtąd można się jeszcze dostać aż do krzyża, który jest szczytem kopuły i całego kościoła, a oprócz piramid egipskich, najwyższym punktem na świecie, do jakiego dzieło ludzkie dosięga. Nie mieliśmy wszakże ochoty ani nawet probować mieszczenia się w bani, tém bardziéj, że Cicerone opowiadał nam o jakimś xiędzu hiszpańskim, który tam umarł ze strachu, spójrzawszy w przepaść pod



sobą. My wszyscy Bogu dzięki wróciliśmy cało i odpoczęliśmy sobie w ogrodach watykańskich. Mówię ogrodach, bo jest ich dwa: jeden zowie się *Giardino della Pigna*, z powodu olbrzymiéj szyszki sosnowéj z bronzu, z dawnego Panteonu; drugi: *Giardino Pontificio*, w którym jest sławna w architekturze *Villa Pia*, albo *Casino del Papa*, rzeczywiście śliczna budowa. Ale zabawiła nas najwięcéj fontanna, w kształcie okrętu z kamienia, z którego, za odkręceniem rury wodociągu, ze wszystkich wystających punktów wyskakują raptem wytryski, i armaty strzelają—wodą. Przypomniało mi to owe nasze niegdyś hydrauliczno-studenckie figle w rzece z kochanym Józikiem Massalskim, na które ty z brzegu tylko śmiejąc się patrzałeś; kiedy my, w roli dwóch nieprzyjacielskich okrętów, pryskaliśmy w twarz wodą nawzajem, póki ten lub ów drugiemu ust albo oczu nie zalał. Gdzież te czasy? A gdzie te wody *rodzinnéj* Wilii,

Cośmy wtedy czerpali w *zdziecinniałe* dłonie?...—

Słyszę pukanie do drzwi, ktoś przychodzi—i dobrze! bo już dość na dzisiaj.

---

14 marca rano.

Dziwny to czasem zbieg okoliczności! Wiész, kto wczoraj pukał i przyszedł? Oto Adam z Garczyńskim. Mówią, że wyglądałem strasznie przy obiedzie; a że piérwszy od panienek odszedłem, więc się zlękli

[redacted]

o moje zdrowie, i przyszli obaczyć czy żyję. Ale trzebaż, że właśnie kiedy ja o dawnych czasach myślałem, dawne czasy niejako powracały ku mnie; jak nieraz na ulicy, ledwoś pomyślał o kim, już go rzeczywiście spotykasz. A powróciły w kształcie głośnéj, żarliwéj, zapalonéj dysputy, jakiéj od czasów Wileńskich, ani stoczyłem sam, ani słyszałem, a która przecież, jak za owych czasów, skończyła się nierozerwaniem, ale owszem tém większém zbliżeniem serc, jeśli nie wyobrażeń: jak mówią, że burza przez tarcie skleja w morzu cząstki bursztynu. W poprzednim liście do Ignacego pisałem o poznaniu się i stosunku naszym z Garczyńskim. Poznasz go więc mniéj więcéj nim ten list odbierzesz. W uczuciach, w zasadach, w uczynkach, jest on czystym chrześcijaninem; ale w teoryach, w myślach, a zwłaszcza w rozumowaniach, kręci się, jak derwisz w meczecie, w formułkach filozofii niemieckiéj, a już jak przed trumną Proroka bije czołem przed systematem Hegla—który z nią rzeczywiście możnaby porównać: bo wisi na powietrzu, a w środku—zgnilizna. O nim wczoraj zaczęła się rozmowa, ale wnet wzniosła się w sfery najoderwańszych wyobrażeń i pojęć. Ja więc sobie zostałem na dole, i tylko przysłuchiwałem się ciekawie, jak kiedyś amerykański ornitolog Audobon przypatrywał się napowietrznéj walce dzikiego łabędzia z sokołem. Ale żebymże to ja mógł tę dysputę, jak on tamtą walkę opisać! Słuchając pomądrzałem przynajmniéj o jeden procent, ale wątpię czy ci się z tego choć dziesiątny ułamek dostanie. Bo słyszałem właśnie między in-

nemi: „że nie dość jest posłyszeć i uznać, a więc niby już wiedzieć jaką prawdę, ażeby módz ją podać i przelać w drugiego. Trzeba się najprzód tak nią przejąć samemu, aby żyć w sobie jéj światłem i ciepłem, które wtenczas same przez się dadzą się z nas poczuć drugiemu. Tym sposobem słońce oświeca i ożywia naturę; zwierciadło odbijając blask słońca, może tylko puszczać *zajączki*. Mądrość tylko prawdziwa i świętość, (bo obie znaczą jedno i to samo), może być tém słońcem dla ludzi; filozofia, jako nauka, będzie zawsze tylko zwierciadłem.“— Są to własne mniéj więcéj słowa Adama; a już ja sobie w myśli wyobraziłem daléj, jak te *zajączki* przez oczy wskakują do głowy szkolarzy. Treścią albowiem dysputy były prawa i granice rozumu; mądrość i filozofia (niemiecka). Adam juściż był dla mnie tym Audobońskim łabędziem, który w końcu drapieżnego napastnika zwyciężył. Tylko że i poczciwy Garczyński nie był wcale drapieżnym, i tylko się na obronę swojéj tezy wysilał. A i sama teza na pozór była jedna i ta sama z obu stron; tylko że w rozumieniu jéj w gruncie, obie strony różniły się z sobą, jak Wiara i Filozofia (niemiecka). Wprawdzie jedna i druga wskazuje człowiekowi cel jeden—doskonałość. Ale wiara powiada przez usta Zbawiciela: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz w Niebiesiech!“—a więc czcijcie, kochajcie i słuchajcie Ojca! Filozofia zaś, jak szatan w raju, woła wprost na swoich adeptów: „Bądźcie jako Bóg!“ Hegel nawet podobno idzie daléj niż szatan, bo nie powiada: *bądźcie!* ale *jesteście;* nie *jako Bóg* (*sicut Deus*),

ale wprost *samym Bogiem!* gdyż Boga nie ma nigdzie, tylko w myśli ludzkiéj. Wprawdzie tego śmiesznego absurdum Garczyński ani powtarza, ani broni; obstaje tylko przy prawie jednostki ludzkiéj dociekania wszelkiéj prawdy przez siebie, i przy potędze rozumu ludzkiego, że sam o własnych siłach dociec jéj jest mocen. Adam zgadza się z nim najzupełniéj w uznaniu godności jednostki ludzkiéj, jako stworzonéj na obraz i podobieństwo Boskie; ale na mocy praw fizycznych i moralnych natury ludzkiéj, na mocy doświadczenia dziejów i wieków, zaprzecza stanowczo téj pretensyi i pysze rozumu. Bóg sam tylko jak źródłem życia, tak jest źródłem mądrości i prawdy, i On sam tylko objawia je światu. Ale jak Siebie tylko objawił przez Siebie, tak wszystko resztę objawia przez ludzi, do których sam przemawia—natchnieniem. W natchnieniu jest piérwsze ziarno, piérwsza iskra, piérwsze słowo wszelkiéj mądrości i prawdy, którą już potém rozum i ogół ludzki uprawia, rozpromienia, pojmuje i wykonywa. Wszystkie wielkie rzeczy na świecie: narody, prawodawstwa, instytucye wiekowe; wszystkie wiary przed przyjściem Chrystusa; wszystkie nauki, wynalazki, odkrycia; wszystkie arcydzieła poezyi i sztuki; wszystkie wzięły początek w natchnieniu: proroków, mędrców, bohaterów, poetów. Ale Prorok musi być świętym; mędrzec a człowiek cnotliwy nazywany był jednakowo u Greków. Doskonałość ludzka zależy na tém, aby stać się godną natchnienia. Tymczasem pycha rozumu, odrzucając powagę praw i natchnień Boskich, a sądząc, że

je może własną siłą zastąpić: tworzy tylko mądrość fałszywą, to jest owe przeróżne doktryny, szkoły, systemata filozoficzne, które na rzece wieków i dziejów ludzkich, powstają i znikają jak bańki na wodzie. Przypomina to naszą bajkę ludową o djable, który widząc jak Pan Bóg stwarzał człowieka, ulepił téż postać ludzką, ale gdy ją tchem swoim ożywił, powstała ztąd tylko—małpa.—„A więc filozofia jest małpą mądrości!“ wykrzyknąłem jak Archimedes, gdy przez natchnienie rozwiązawszy zadanie, z radości aż z wanny wyskoczył. Wykrzyknik mój przerwał dysputę; a poczciwy Garczyński, widząc tę moję radość, nie tylko się tém nie obraził, ale sam owszem zaczął śmiać się ze mną, czy ze mnie, a potém mię serdecznie uścisnął i ucałował. I to mi przypomniało owe nasze czasy i koleżeńskie dysputy Wileńskie. Adam zaś dowiódł mu w końcu faktycznie, że dla tego tylko tak wierzy w formuły filozofii Heglowskiéj, że wciela w nie sam swoje uczucia, które wziął ze krwi przodków i z tradycyi chrześcijańskiéj. Bo juściż nie ma pewnie Pruss za taki ideał ludzkości, za jaki Kant i Hegel chcieliby je wystawić.—Ta zgodność zdań o Prusakach zagodziła spory poprzednie; i obaj dziś Garczyńskiego więcéj jeszcze niż przed tém kochamy.—Za dni kilka czekamy przybycia Adolfa, od którego miałem list wczoraj. Ale cóż, kiedy te wszystkie pociechy zatruwa nam stan zdrowia Parczewskiego. Cały wieczór aż do północy przepędziliśmy onegdaj u niego. Na obiedzie zaś byliśmy u xiężny Zeneidy, razem ze sławnym chemikiem *Morichinim*, i młodym poetą *Sterbinim*. Ten

ostatni, po wyjściu chemika, czytał swoję tragedyę: „*Westalka*", w rodzaju Alfierego, za którą kiedyś wygnany był z Rzymu za czasów Leona XII. Autor czytał ją z wielkim zapałem. Ja nie mogłem dobrze rozumieć, ale Adam powiada, że nic warta. To też nie prawił żadnych komplementów autorowi, których mu nie szczędzili dr[illegible] I smutna to rola autora, czytać swój utwo[illegible] obcych ludzi! chyba, że już jest drukowany, [illegible]tor tak jest pewny siebie, że się chce nim [illegible]walić, jak np. pan Józef-Dyonizy w Warszaw[illegible] chcieć tym sposobem zasięgnąć prawdziwego z[illegible] o dziele, jest to prawie to samo, jak gdyby jak[illegible]ienka, ubierając się na bal, pytała kawalerów, ja[illegible]gląda?

Wierzącéj ich pochwałom nierazby przypadło,
Że zaniedbawszy sama spójrzeć we zwierciadło;
Mogłaby, wszedłszy na bal, wyjść na czupiradło.

Bądź zdrów!

XIV.

Do tegoż.

Rzym, 24 marca 1830 r.

Jutro dzień Zwiastowania N. M. P., i jeżeli Ojciec Św. zdrów będzie, wielka, jak co rok, celebra Papiezka (*Capella Papale*), w kościele Dominikańskim *S-ta Maria sopra Minerwa*, to jest zbudowanym na gruzach dawnéj świątyni Minerwy, dokąd się mamy wybrać od samego rana. Potém czeka nas wielki obiad u xiężny Zeneidy dla całéj piérwszéj arystokracyi Rzymskiéj; a zaś pojutrze raniutko ruszamy znowu z pp. Ankwiczami na zamiejską dwudniową wycieczkę do Frascati i do Albano. W obec więc takiéj perspektywy przyszłości, przeraża mię, jak memnoniczna tabelka Jaźwińskiego, cały arkusz zabazgrany notatkami do listu, z których muszę ci przecież choć strzępek dziś jaki nadszarpnąć, bo mi już wstyd, że nie pisałem tak dawno. Żeby ci jednak opowiadać dzień po dniu cośmy w tym czasie robili: byłoby to chyba chcieć pozować samemu a la *niby* Nibby, a ciebie kamienować niby męczennika, gruzami wszystkich cyrków, thermów, portyków, świątyń, łuków i akweduktów, cośmy już wszystkie prawie po kolei zwiedzili. Czy, i o ile przez to zmądrzałem? Sam nie wiém. Ale

cała historya staréj, wielkiéj Romy, przesunęła mi się niejako przez głowę, wiążąc się w myśli z nowszą, którą wyczytałem w Gibbonie, a przez te właśnie ruiny prowadząc do filozoficznych medytacyj nad *Fatum* i *Vanitatem vanitatum* rzeczy tego świata. Dotąd czytając o tém nieraz tu i ówdzie, ty wiész, że człek nie bardzo brał to jakoś do serca; i częściéj owszem nad xiążką tego rodzaju, jak niegdyś na rekollekcyach w szkołach, ani spostrzegł jak zdrzemnął się słodko, albo marzył na jawie o czémś wręcz przeciwném. Jest to coś nakształt tego, jak gdy broniąc się od jakiéjś pokusy, wyobrażasz sobie np. żeś umarł, że leżysz już na katafalku, a nad tobą *de profundis* śpiewają. Sam je nawet pomagasz nócić, a mimo to nieustraszona pokusa, jakby śmiejąc się z urąganiem, tém żywiéj zda się w blasku gromnic przed oczyma twemi tańcuje. Ale miéjże istotnie przed sobą nieboszczyka na marach; ani spostrzeżesz znowu, jak kir całunu padnie na myśl twoję, a chłód od niego jakby wiał na serce. Otóż tak samo prawie rzecz się ma z ruinami. Stoisz np. w środku *Thermów* Tytusa, zbudowanych na gruzach *Złotego Pałacu* Nerona, który sam znowu zbudowany był na miejscu dawnego domu i ogrodów Mecenasa, a bodaj nawet że i na jego grobie, obok którego, jak wiadomo, pogrzebiony był i Horacyusz. A więc trzy piętra ruin — i to jakich! Nad środkowém ogniskiem światła dawnéj Romy, które samo było wynikiem jéj wiekowéj pracy i chwały, szaleje w najwyuzdańszéj rozpuście symbol najnikczemniejszego tyraństwa, który to jéj światło i chwa-

lę krwią najcnotliwszych synów jéj zalewa, a ją samą w popiół obraca. A nad tém znowu Tytus, zwany *łaskawym*, (jedyny z Rzymskich Cezarów, który na ten przydomek zasłużył), buduje, jakby dla zmycia plamy tego miejsca, najwspanialsze naówczas *Thermy*, to jest łaźnie, których mania budowania za Cezarów w Rzymie i na całéj przestrzeni państw jego, była jakby symbolem ogólnego poczucia ludzkości, że się świat ma oczyścić i odrodzić przez wodę: choć pędzono do cyrków, na pożarcie zwierzętom, tych właśnie, co światu o wodzie chrztu świętego mówili. Otóż gdy stoisz śród Thermów Tytusa a o tém wszystkiém po kolei rozmyślasz: chcąc nie chcąc, ani spostrzeżesz, jak wychodzisz na hystoryozofa i mędrca, o czém ci się wprzód ani śniło. A pamiętajże, że do każdéj prawie ruiny wiążą się mniéj więcéj podobne szeregi wspomnień; tylko że każdy na nie patrzy po swojemu i ze swego punktu-widzenia. Szanowny nasz *Cicerone* Strzelecki, chciałby np. wyryć jak selwasserem w myśli każdego z nas, cały topograficzny plan każdéj ruiny, a odbudować ją w wyobraźni naszéj czém była, nim się stała ruiną. Ale w jednym tylko Jaźwińskim ma on w tém cierpliwego słuchacza. Garczyński duma głęboko, ja marzę; głośno zaś, albo poetyzujem albo filozofujem nad tém, co widzimy. I rzecz dziwna, że gdy filozofia jego raczy zstąpić z wysokości katedry, a moja wysunie się z zapiecka, zawsze się jakoś z sobą zejdą i zgadzają. W rozmowach tylko o niéj saméj, nie ma pomiędzy nami zgody i pokoju. Adam

jeśli absolutnie nie milczy, to z jedynym tylko Strzeleckim mówi czasem albo rozprawia na seryo, a ze mną do naszych górnych bujań i rozpraw z Garczyńskim, z żartem chyba lub z konceptem się wtrąca. Ale to się tylko tak dzieje, gdy sami z Nibbym w ręku a ze Strzeleckim przy boku, depcemy „te gmachy potłuczone w zwaliska bez ładu;“ ale skoro mamy „nad głową jasne niebo, obok piękne lice,“ to jest, kiedy korzystając z pogody, damy nasze z *Via Mercède* towarzyszą nam w tych wycieczkach: wtedy uczona archeologia na bok, (choć o niéj rada prawić panna Henryetta), a i pan Adam zabiera głos chętnie jak augur albo orator. Serce znać „nie ucieka, (jak z ran krymskich) w dalekie okolice i czasy,“ ale owszem umié używać i korzystać z chwili obecnéj. Poezya się nawet ocknęła. Napisał wiersz na ten temat, który ci tu zaraz przepiszę, a o następstwach jego powiém niżéj. Jest to piérwszy, a może i ostatni wiersz, który napisał w Rzymie. Bo mówi: że kiedy człowiek żyje poezyą, szkoda czasu żeby ją pisać. Sonety, jak sam powiada, pisał z ostatniéj nudy czy tęsknoty, w któréj czém inném rozerwać się nie mógł. Wiersz zaś dzisiejszy ma taką genezę. Oddawna już panna Henryetta dała nam swój sztambuch, z prośbą o napisanie w nim czego. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale mię zbywał zawsze zwykłém swojém: „Nie nudź mię! daj mi pokój!“ Aż wreszcie przed tygodniem, po całodziennéj włóczędze po gruzach, które nam objaśniała panna Henryetta, kiedy ja ledwo żywy spałem jak w letargu, on, (miarkując po świécy),

musiał przynajmniéj siedzieć godzin parę, i napisawszy najprzód swoje imię na początku sztambuchowéj kartki, podpisał pod niém co tu następuje.

DO MEGO CICERONE.

Mój Cicerone! oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię,
Wędrownik skreślił na znak że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.
Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala, może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.
Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w xiędze twojéj, śród włoskiéj krainy,
Za cały napis to imię wykréślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.
Czy drżącą ręką, po długiém dumaniu,
Ryl go powoli, jak nagrobek w skale;
Czy go odchodząc uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu.
Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem.
Przez Rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiész przejrzeć nawet serca z głazu,
Gły błękitnemi raz rzucisz oczyma;
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiész może i przyszłość pielgrzyma?

Nieprawdaż, że wiersz zgrabny, i koniec znaczący? Ale dla mnie był on powodem najprzód wielkie-

go zmartwienia, a potém wielkiéj radości. Sam autor zaraz nazajutrz zaniósł go właścicielce sztambucha. Co się tam stało, ja nie wiém; ale wróciwszy wieczorem do domu, zastałem już Adama, i to w najgorszym humorze; a co najgorsza, że jak gdyby na mnie. Za odpowiedź na zapytanie moje, czy nie chory? wlepił we mnie wzrok nachmurzony i oświadczył krótko i sucho, że chce i musi jechać na święta do Neapolu. Poczułem, że oppozycya byłaby nie w porę, powiedziałem więc tylko, że pojedziemy razem. Powolność go ta zmiękczyła. Dodał wszakże, że mocno żałuje, że tego piérwéj nie zrobił—co znaczy, że ja mu odradziłem. Połknąłem więc i tę pigułkę, i zacząłem nie żartem myśleć o pakunku. Najprzód jednak nazajutrz rano poszedłem na *Via Mercède*, aby zrozumieć zkąd ten zły wiatr zawiał. I tam jakoś znalazłem wszystkich powarzonych, i dowiedziałem się wnet od saméj pani, że pan sam miewa często paroxyzmy *spleenu;* że wczoraj właśnie był ten dzień feralny, i że pan Adam zdał się być niekontent. O wierszu nikt nic nie mówił, i ja téż nie pytałem nikogo. Nie wiém więc jaką rolę odegrał on w tém wszystkiém, ale przeczuwam jakoś, że w nim źródło złego. Pan sam jużciż musiał go czytać; a nuż po przeczytaniu pokwaśniał!... Jest to wszakże tylko mój domysł, nic więcéj.

Teraz pana samego nie było już w domu; ale mi powiedziano, że wyszedł, mając być i u nas, i to w celu, aby nas prosić na dzisiejszy wieczór. Nie wspomniałem więc wcale o projekcie podróży, a przy dalszéj rozmo-

wie z samą panią, podzieliłem najkompletniéj jéj zdanie, że trzeba być wyrozumiałym dla starszych, i na chwilowy humor ich nie zważać. Wyszedłem więc pocieszony, i tylko medytowałem nad tém, jakby z tą mądrą radą trafić do przekonania Adama. A był to dzień 18 Marca (6 podług kalendarza waszego), rocznica właśnie téj pamiętnéj mi wiecznie chwili, w któréj przed ośmiu laty, raz piérwszy, jak nieśmiały kochanek, posłyszałem z ust jego słowo wzajemności. Byłem na tę intencyą w kościele; ale jemu samemu nie wspomniałem nic o tém, pamiętając na usposobienie wczorajsze: Dopiéro wróciwszy przed wieczorem do domu, zastałem go już pogodniejszym; ale że był istotnie cierpiący, więceśmy już na ten wieczór proszony nie poszli. Koniec zaś tego wieczoru należy odtąd dla mnie do najmilszych pamiątek życia. Rozmówiliśmy się do dna o wszystkiém, o przeszłości i o przyszłości—którą on całkiem woli Boskiéj porucza, a ja w zbytecznéj tylko własnéj jego wyniosłości i delikatności uczucia, upatruję jedyną przeszkodę aby ta przyszłość mogła być na pewno szczęśliwą. Przed ośmiu laty, rozgarniając mi po swojemu włosy, powiedział ze łzami w oczach: „Nie prawdaż? smutno będzie tobie bezemnie?“ — i musiał mię sam potém uspakajać jak dziecko. Teraz powtórzył prawie toż samo, tylko że nieco odmiennie, objąwszy mię za szyję i mówiąc: „Smutniéj będzie temu na świecie, kto z nas kogo przeżyje!“ — i następnie wpół seryo, wpół żartem, tłómaczył się i przepraszał za wszystko, czém kiedybądź mógł mi dokuczyć; choć rzeczywiście nie

dokuczył nigdy.—Brak świécy i oleju w lampie zmusił wreszcie skończyć rozmowę; ale ja aż do rana oka zmrużyć nie mogłem—z radości. Jest to dla mnie najważniejszy wypadek, nie tylko tych dni dziesięciu, przez które nie pisałem do ciebie, ale może całego stosunku z Adamem. Bo nigdy on tak do dna nie otwórzył serca, a moja miłość i uwielbienie dla niego, nigdy już chyba nie wzniosą się wyżéj.—Ach! nie ma szczęścia na świecie, jak kochać! I dla tego ja tak jestem szczęśliwy. A w tém samém, że mówię ci o tém, miéj dowód, jak ty wiele przyczyniasz się ku temu. Tymczasem na dzisiaj *vale!* bo mi już trudno wrócić do szczegółów prozy, a i Garczyński czeka na mnie u siebie, aby pójść razem na wieczór do Parczewskiego, gdzie się także zejdziemy z Adamem. List ten, jeśli nie jutro, to już chyba za powrótem z Frascati dokończę.

---

25 marca, godz. 11 wieczorem.

Nie kończę, ale tylko kontynuuję dzisiaj. Ojciec Św. nie celebrował, i próżnośmy ze trzy godziny w najstraszniejszym tłoku czekali. Obiad u xiężny był arcy-wspaniały, i prócz nas dwóch i Szewirewa, jako już domowych, nikt z obcych nie był bez mitry, a przynajmniéj bez korony z gałkami. Ten jednak blask heraldyczny nie miał nic bardzo olśniewającego. Prócz historycznych nazwisk i tytułów, nikt sam żadném wspomnieniem historyczném nie błyszczał. A siedziało u stołu par 27, t. j. osób 54; bo mężczyzni siedzieli każdy obok swéj damy, któréj rękę do stołu po-

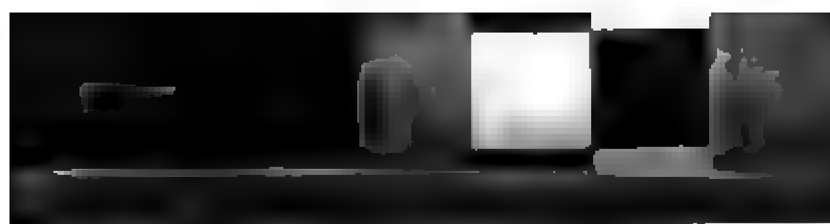
dawał. Sama xiężna wybrała Adama i szła z nim na samym ostatku; syna zaś swego, Szewirewa i mnie, przeznaczyła na *Cavalieri serventi* trzem jakimś młodziuteńkim, ale już mężatkom. A działo się to tak prędko przed samym obiadem, że nawet niedosłyszałem nazwiska mojéj damy, któréj miałem zaszczyt być przedstawionym jako Polak i jako przyjaciel domu. Doleciał mię tylko jéj tytuł *Signora Marchesa*, a że był wymówiony po włosku, wziąłem to za wskazówkę, że mam z nią tym językiem rozmawiać. Czekałem jednak na piérwsze jéj słowo, sam nie wiedząc od czego zacząć. Ale wyprowadziła mnie wnet z ambarasu, mówiąc swobodnie i śmiało, że oddawna była ciekawa poznać jakiego Polaka (*un Polacco)*, o których wiele słyszała. Przeprosiwszy więc ją najpiérwéj za moję włoszczyznę, prosiłem aby ze mnie nie sądziła o wszystkich i nie powzięła w ogólności złego o nich wyobrażenia. Spójrzała na mnie bystro, i z uśmiechem szczerego dziecka, bez najmniejszego odcienia komplementu albo kokieteryi, odpowiedziała wręcz, kręcąc głową: „*Non c'é paura!*“ (nie ma strachu). Osłupiałem z podziwu nad taką naturalnością, a zrozumiawszy z kim mam do czynienia, pozwoliłem téż sobie swobodniejszéj myśli; i gdyśmy już zasiedli do stołu, łamiąc się jak mogłem z językiem i sztukując się czasem francuzczyzną, zacząłem się zdobywać na koncepta i komplementa, jakieby u nas zaledwie pensyonarkę jaką bawić chyba mogły. Ona wszakże przyjmowała je tak wesoło, z tak dziecinną jakąś prostotą i naiwnością, a odpowiadała nieraz tak zręcznie,

że w końcu przejął mię respekt i admiracya dla niéj: dla téj szczeréj, poczciwéj, dobrodusznéj natury, a przytém dla téj swobody w myślach i rozmowie, która przecież nigdy i w niczém z granic ścisłéj przyzwoitości nie wyszła. Czyż to nie lepiéj, niż ten ciągły turlecikowy nastrój na ten sam ton i nutę, jaką kiedyś na jakimś pańskim dworze nucono; który wszelką indywidualność zaciera, a w rozmowie, zamiast rozwijać myśli, zmusza tylko sadzić się na frazesa, i to mianowicie francuzkie, aby się ich gładkością i dobrą pronuncyacyą popisać? I moja Signora umié po francuzku; ale wymawia z włoska, i odpowiedziawszy mi tylko na frazes mój w tym języku, znowu sama do włoszczyzny wracała. Bawiliśmy się więc wzajem wesoło, a oprócz gwaru ogólnéj rozmowy u stołu, dodawało nam jeszcze natchnienia i wino. Przed każdą parą gości stały dwie karafki, jedna z przeczystą Rzymską wodą (jakiéj równą ma tylko Wilno), druga z krajowém smacznem winem *Montefiascone*, które przytém nie jest wcale bez mocy. Gdy więc moja sąsiadka po piérwszéj potrawie wzniosła rękę ku stronie karafek: ja sądząc, że zgaduję jéj chęci, porwałem najprzód za karafkę z wodą. Ale zaledwie nalałem troszeczkę, ona dawszy znak szklanką że dosyć, prosi mię o „*un poco di vino*“. Nalewam więc — nalewam — nie tylko już *un poco*, ale jak mi się zdaje, *assai* i *molto*, a ona szklankę jak trzyma tak trzyma. Nakoniec, gdy już prawie przeszło za połowę, (co dla mnie nawet byłoby za *troppo*), podziękowała mi i wypiła duszkiem. Wkrótce znowu przyszło

pragnienie; ale już ja zacząłem od wina. Woda służyła mu tylko jakby dla ceremonii pokropienia. A że się to ponowiło z pięć razy podczas obiadu, i przytém, jak uważałem, zagraniczne téż wina, które nalewano, nie były wstrętne dla różanych ustek: zacząłem się na seryo obawiać, co będzie z naszym powrótem od stołu. Tymczasem oprócz weselszego humoru, żadnych innych oznak nie było; p. Ricci zaś, z którym o tém mówiłem, zrobił mi sprawiedliwą uwagę: że piwo nasze, gdyby go tyle wypiła, sprawiłoby niewątpliwie ten skutek, jakiego ja się spodziewałem po winie, nie wiedząc, że damy tutejsze przywykają do niego od dzieciństwa, pijąc je za codzienny napój, zwłaszcza podczas upałów letnich, kiedy zwykle *malaria* grassuje. Odprowadziwszy więc damę moję do salonu, nie miałem już sposobności zbliżyć się więcéj do niéj, gdyż siedziała między paniami we środku, a my staliśmy sobie na uboczu, słuchając śpiewu pana Ricci *solo*, a potém psalmów Marcella, które z nim sama xiężna Zeneida śpiewała. Na tém skończyła się feta, którą ci tu chciałem opisać. Nazwiska damy mojéj i kto ona, dowiém się chyba za powrótem z Frascati, dokąd jutro raniuteńko jedziemy.

Ale, ale—zmartwiłem się dziś i zgniewałem okropnie na Garczyńskiego. Miał z nami jechać jutro, i nie jedzie. Dla czego? Zabij mię, jeśli wiém lub się domyślam. — Kochany, miły, ale dziwny człowiek! Gdybyż był przynajmniéj poetą! powiedziałbym, że pół waryat, i kwita. Ale filozof!... (Prawda, że takaż to i filozofia niemiecka). Kocham go coraz więcéj, im

bliżéj poznaję; a to mię w nim nie tylko razi, ale nawet jakby przeraża. Zdałoby się, że straszny jakiś ślub czy tajemnica ciężý mu na sercu i myśli. Rozweseli się ze mną, śmieje, goni się po ruinach jak student; a potém raptem, ni z tego ni z owego, wygląda jak zrozpaczony kochanek. Wczoraj wieczorem u Parczewskiego był ożywiony i wesoł; chociaż wielce poważnie o trudnych obowiązkach człowieka i obywatela rozprawiał. Dziś zachodzę do niego z kościoła. Pisał coś, ale schował gdy wszedłem; potém zaś, jakimś desperackim tonem, oświadcza mi, że jutro jechać nie może. Co? dla czego? Pytam go, reflektuję, i nakoniec wściekam się ze złości. Nic nie pomaga. Chciałby, ale nie może — jedyna odpowiedź. A niech go wszystkie bogi! W téj chwili nawet jeszcze i żal mi go serdecznie, i złość bierze, gdy o tém pomyślę. Adam ma także swoje chwilowe humory, ale nigdy ani takich fantazyj, ani uporu. Niech cię to jednak nie zraża ku niemu; bo wierz mi, szlachetniejszego serca i piękniejszéj duszy niepodobna znaleść na świecie. Wszystko to u niego wypływa z téj zasady, że człowiek, żeby być godnie człowiekiem, powinien się co chwila wyrzekać przyjemności dla obowiązku.—Ale za cóż ja cierpię za niego?... Adam przyjmuje to obojętnie i mówi: „Kiedy nie chce, to niechaj nie jedzie!“ A i on jednak szczerze i serdecznie go lubi.—Dobranoc!



28 marca, rano.

Wróciliśmy z Frascati.—
Obraz w treści bogaty,

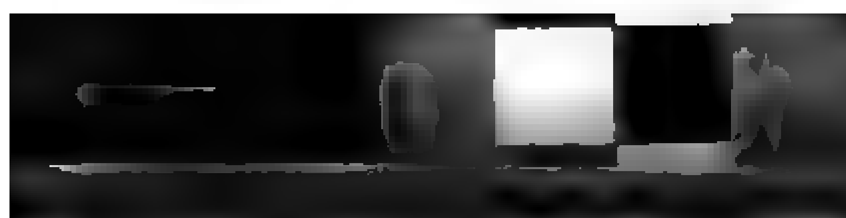
Szkic wszakże będzie krótki—obyż węzłowaty! bo list ten dziś koniecznie chcę oddać na pocztę.—Wyjechaliśmy onegdaj o 7-méj; temi samemi powozami, w tém samém towarzystwie, i w tym samym porządku co do Fiumicino. Dzień téż był równie piękny, *Kampania* jeszcze bardziéj kwitnąca, i wiosna byłaby w całéj okazałości, gdyby nam przecież choć jeden skowronek, choć jakikolwiek ptaszek w całéj drodze zaśpiewał. Prawda, że i drzew nigdzie aż do samego Frascati nie było. Za toż po obu stronach gdzie niegdzie ruiny, i pyszne dwa wodociągi, stary i nowy, na wysokich arkadach, wyglądają jak szereg wspaniałych przysionków. Widok zakończony górami. Z przodu góry *Latyńskie* i *Sabińskie*, z boku we mgle błękitne pasmo Apenninów.—Frascati, małe ale schludne miasteczko, słynie zwłaszcza zdrowém powietrzem, i przeto liczy wiele pięknych *villi*, z pałacami i ogrodami. Najpiękniejsze należą do xięcia Borghese, a w jednéj z nich są sławne hydrauliczne figle, zwane „*Giuocchi d'acqua*“. Między innemi np. Parnas, na którym wszystkie figurki grają na różnych instrumentach za pomocą wody, która gdzieś jakiś organ ukryty porusza. A są téż zdradzieckie fontanny, które za naciśnięciem nogą niewidoméj sprężyny, wytryskają nagle z pod ziemi i oblewają jak deszczem nieostróżnego przechodnia, ku wielkiéj uciesze miejscowych

ogrodników, a także i naszéj, gdyśmy się jedni z drugich *szmigusa* cieszyli. Tu na wzgórzu leży *Villa Rufinella*, zbudowana na miejscu dawnéj villi Cicerona, w któréj on zwykle lato przepędzał, i tu swoje *Tusculania* pisał. Frascati bowiem jest odroślą dawnego *Tusculum*, którego znaczne ruiny leżą o parę wiorst ztamtąd. Ruszyliśmy tam zaraz po śniadaniu, damy i sam pan Ankwicz na osiołkach, które są tu jak miejscowa remiza, my zaś, jako paziowie przy średniowiecznych *donzellach*, trzymaliśmy za cugle te dzielne rumaki, lub same damy podtrzymywaliśmy na siodłach, z poręczami nakształt krzesełek. W *Tusculum* nic ciekawego, prócz kilku bardzo starożytnych ruin i kilku pięknych widoków, zwłaszcza z ogrodu Kamedułów. *A propos* cnotliwego Katona, który się tutaj urodził, Adam ubawił całe towarzystwo długiém i wielce dramatyczném opowiadaniem o sejmikowéj przygodzie Reytana w Nowogródku, gdzie ubiegający się z nim o Podkomorstwo Wojniłowicz, odwiódł od niego dowcipnym podstępem całą szlachtę, i sam przed nim urząd ten otrzymał. Szkoda, że nie mam czasu powtórzyć tobie tutaj téj ciekawéj historyi. Ja zaś zgubiwszy przypadkiem srebrną śrubkę od ołówka panny Henryetty, w gruzach jakiéjś pelasgijskiéj budowy napisałem w jéj pugilaresiku piosenkę, na ton i miarę naszéj ludowéj o pastuszce gęsi, która włócząc się dzień cały po wsi z bębenkiem:

„Bębenek zbiła,
„Gąski zgubiła,

a potém łamiąc ręce lamentowała:

„Ach! ja nieszczęsna, cóż ja zrobiła!“



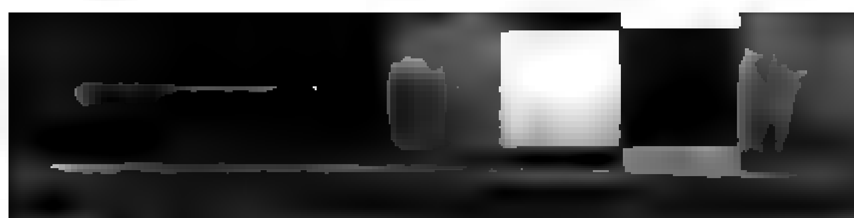
Wspominam ci o tém dla tego, abyś miał próbkę kamertonu rozmów, które nam na ruinach *Tusculum* tak mile dzień cały zajęły, żeśmy zaledwie po zachodzie słońca, z żalem na obiad i na noc do Frascati wrócili.

Nazajutrz (to jest wczoraj), zaraz po kawie, nie bardzo dobréj, ale bardzo wesołéj, puściliśmy się na całodzienną wycieczkę do Albano, dokąd powozy poszły prostą drogą i miały czekać tam na nas; my zaś sami, na osiołkach i pieszo, jak wczoraj, ruszyliśmy najprzód przez cudny las kasztanowy do *Grotta Ferrata*, téj saméj wsi czy miasteczka, gdzieśmy byli już raz na kiermaszu z Szewirewem i młodym Wołkońskim. A że i droga ztamtąd do Albano taż sama, więc powtarzać tu o niéj nie będę; tém bardziéj że, Bogu dzięki, celem naszym nie było zwiedzanie żadnych pamiątek lub osobliwości, ale wprost użycie wiosny, powietrza i towarzystwa. To ostatnie harmonizowało z piérwszemi—jak wesołość z pogodą. Przygód nie było żadnych, oprócz mojéj z osłem. Panienki chciały przejść się i pozsiadały z siodeł, sama zaś pani hrabina chciała koniecznie nas wsadzić na osły. Adam oparł się stanowczo; ja—jak zawsze damom—uległem. Alić zaledwo wsiadłem i ujechałem kilkadziesiąt kroków, osiół... (Mówią, że to bestya głupia, ale gdzie tam! Żaden zwierz przecież oprócz oślicy Balaama nie przemówił nigdy po ludzku. Ma on widać swój rozum; natura tylko krnąbrna i uparta). Otóż osiół poczuwszy innego jeźdzca, zaciął się najprzód i zaczął wierzgać, a następnie, zmuszony kijem do

ruchu, przewrócił się raptem na bok, i gdyby nie poręcz u siodła, z którego ja wyleciałem, byłby się tarzał w piasku do góry nogami. Ztąd mnie wstyd, wszystkim śmiech, a osła jego właściciel zaczął grzmocić kijem co siły. Ja wszakże wspaniałomyślnie wstawiłem się za nim, a na exkuzę jego i swoję zaimprowizowałem czterowiersz:

„Biédny osiołku! bez słusznéj przyczyny
Pan twój okrutny skarał cię tak srogo.
Kto raz był sługą panny Marcelliny,
Prócz niéj, za pana mieć nie chce nikogo. —

I tak śmiejąc się, rozmawiając, kłócąc się lub dysputując— przed południem doszliśmy do Albano, (dawniéj Alby, rywalki Romy), gdzie nasyciwszy się niezłym obiadem, a przecudnym widokiem na całą Kampanią Rzymską, zieloną, jak axamitny kobierzec; na morze, *Mare Tirreno*, bielące się tysiącem żaglów drobnych łodzi; na błękitne szczyty gór Latium i Sabiny, śród których po nad wszystkiemi wznosi się *Monte Cavo;*—tam, o godzinie piątéj po południu, zwróciliśmy ostatnią naszą pielgrzymkę. Góra ta sławną jest z tego, że u stóp jéj obozował Annibal, gotując się do szturmu Romy, i że na samym jéj szczycie, o 2000 stóp nad powierzchnią morza, stała świątynia Jowisza *Latialisa*, zbudowana przez Tarkwiniusza Pysznego, a w któréj tryumfatorowie Rzymscy, nazajutrz po odbytym wjeździe na Kapitol, obowiązani byli składać hołd i ofiary. Dotąd w stroméj, skalistéj drodze, która na wierzchołek prowadzi, widać ślady kół ich rydwanów, i prawdziwie dziwić się trzeba, jak



konie mogły wejść na nią. Osiołki wszakże drapały się dzielnie, i żaden się już więcéj nie przewrócił; ale my mieliśmy przytém sposobność okazać naszą troskliwość, podtrzymując damy nasze na siodłach. Miły ten obowiązek rywalizował z przyjemnością saméj prześlicznéj drogi i widoków. Droga szła ciągle pod górę, najprzód brzegiem jeziora i pyszną aleją do *Castel Gandolfo;* potém daléj do *Palazzuola*, (gdzie była niegdyś stara Alba, ojczyzna Kuracyuszów), a ztamtąd wreszcie do kresu podróży. Ale co zachód słońca z *Monte Cavo*, to już był chyba uwieńczeniem wszystkiego. *Finis coronat opus.* Adam był w zachwyceniu, i prozą improwizował dytyramby. To téż nie piérwéj, aż już wszystko na niebie zagasło, zabraliśmy się do powrótu, i za ciemna już wsiadłszy do powozów w Albano, przy xiężycu o północy dopiéro wróciliśmy do Rzymu; my z Adamem w powozie z damami. Nie drzemaliśmy ani chwili, chociaż na marzeniach nie brakło.—Bądź zdrów!

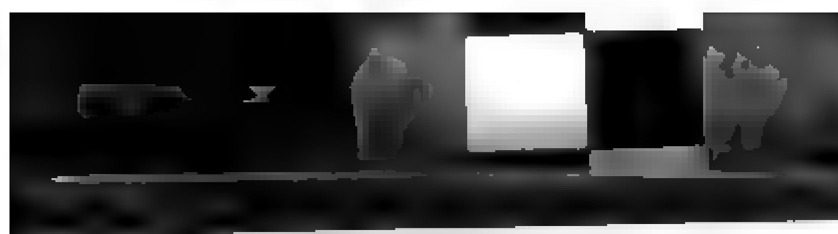
XV.

Do tegoż.

Rzym, 4 kwietnia 1830 r.

Wypij dwie szklanki maślanki,
Zjedz talerz cukrowéj pianki,
Przeczytaj wciąż trzy sielanki,

A poznasz — jeśli nie wiész — co ckliwość. Ale czyż tego samego effektu nie sprawi trzecie z rzędu opisanie naszych zamiejskich *wiosnówek*, (*majówkami* ich nie nazwać przed Majem), z których każda z natury swojéj jest rodzajem *sielanki*, z treści ma podobieństwo do *pianki*, a z opowiadań moich — ha! kto wié, czy nie do *maślanki*? Sądź jak chcesz, ale darmo! pić musisz. Listy moje nie są bynajmniéj kompozycyą oryginalną, ale wprost tylko kopią *żywych obrazów*, w których my tu sami po kolei figurujemy. Chcesz je widzieć? to patrzaj! Nie chcesz? to wola twoja! Najgadatliwszy list tém jest lepszy od żywego gaduły, że łatwiéj zamknąć oczy niż uszy; łatwiéj go nie czytając wrzucić do komina, niż gościa za drzwi wyprosić. Ja wszakże dla urozmaicenia przedmiotu, zacznę nie wprost od trzeciéj wycieczki, (którą wszakże uważam za główną treść tego listu), ale od powrótu z Albano, t. j. od daty ostatniego,



ażeby ci powiedzieć, cośmy też w mieście przez ten czas robili.

W przewidywaniu bowiem blizkiego już wyjazdu, wyszliśmy całkiem z biernéj roli i rutyny stałych mieszkańców, w jakiéj gościliśmy tutaj przez zimę, jak bociany u nas przez lato; to jest, spacerując sobie swobodnie, jak one po naszych łąkach, i polując na miłe chwilki, jak one na skaczące tam żabki. A chociaż nieraz nam przyszło zębami z zimna *klekotać* jak one, dobrze nam jednak było w tém czasowém gniazdku, które nam, jak im u nas, polsko-słowiańska zwłaszcza gościnność tu usłała, i ciągle w różny sposób starała się uprzyjemnić. Gotując się więc do odlotu, uważamy za obowiązek, aby wszem w obec i każdemu z osobna, którzy na nas byli łaskawi, wdzięczność naszę nawzajem okazać, i jak wszystkie ciekawsze miejsca i pomniki, tak i wszystkie znajome domy, po raz ostatni zwiedzić i odwizytować. Szereg tych pożegnalnych wizyt zaczęliśmy już od kulminacyjnego punktu naszych tu stosunków, to jest od królowéj Hortensyi, która nas bardzo uprzejmie, jak zawsze, przyjęła, i w ożywionéj rozmowie z Adamem, uwielbienie dla jéj rodziny odpłaciła wyrazem wysokiego szacunku i sympatyi serdecznéj dla całego naszego narodu. Pani Letycya, po złamaniu nogi, lubo wyszła z niebezpieczeństwa, dotąd wszakże nie przyjmuje nikogo; i przeto dawna obietnica królowéj, że nas jéj osobiście przedstawi, nie mogła przyjść, niestety, do skutku. Na prośbę wszakże Adama przy-

rzekła: „że złoży matce Cesarza hołd czci piérwszego polskiego poety,“ jakim wié, że jest Adam.

Na dwa następne wieczory, po powrócie z Frascati, znaleźliśmy już inwitacye w domu. Piérwszy liczny i muzykalny u państwa Siemionowych, gdzieśmy raz tylko byli przedtém z wizytą; drugi u xiężny Dietrichstein, w szczuplejszém kółku tego samego prawie towarzystwa, które się zbiera zwykle u xiężny Zeneidy. Na piérwszym byłbym się znudził, gdyby nie obecność panny Luizy Vernet, któréj już od dawnego czasu nie widziałem. A że i ona nie miała tam wielu znajomych, więc czułem, że téż wzajem rada była ze mnie; i to mię nastrajało na ton poetycki, więcéj niż wszystkie symfonie i trele, które z kolei następowały po sobie, nie zostawując miejsca i czasu innego rodzaju zabawie. Adam owszem był z tego kontent, że nie miał potrzeby rozmawiać; ale za toż u xiężny Dietrichstein musiał nieborak przejść przez najprzykrzejszą dla siebie próbę; to jest, czytać sam głośno swojego *Farysa*, w tłómaczeniu francuzkiém, które xiężna Zeneida, na prośbę gospodyni, umyślnie z sobą na ten cel przywiozła. Adam był zły formalnie, ale się nie mógł wywinąć. A wszakże, gdyby w nim była choć żyłka próżności autorskiéj, miałby tu pole do jéj nasycenia; i to nie tylko w ogólnych komplementach, ale w istotném współczuciu słuchaczy. Jak więc niegdyś przysłane mu konfitury, tak i tu całą słodycz téj przyjemności ja właściwie spożyłem za niego. On zaś, pomimo wszelkich usiłowań panny Anastazyi, która się do niego wdzię-

czyła, nie wprzód ochłonął ze złego humoru, aż gdy Szewirew zaczął czytać cały swój przekład *„Obozu Wallensteina“* Szyllera, który jest rzeczywiście doskonały. Adam tak był nim zachwycony, i tak się nakoniec ożywił, że był prawdziwie bohaterem wieczoru w rozmowie, którą zwłaszcza z panną Anastazyą, Bonstettenem i z panem Douby, o cało-europejskiéj poezyi dramatycznéj prowadził; zestawiając i porównywając nawzajem: południową z północną, Romańską z Germańską, katolicką z protestancką; to jest, hiszpańską z XVI wieku, ze współczesną jéj angielską, i z późniejszą niemiecką. Francuzi bowiem, podług niego, właściwéj sobie formy dramatu nie stworzyli dotąd u siebie; chociaż po nich się on to właśnie spodziewa, że kiedyś stworzą prawdziwie nowożytny. historyczny dramat, którego już piérwsze zarody upatruje w znajomych tobie „*Les soirées de Neuilly*“ a mianowicie w „*Sprzysiężeniu Malleta.*“ Tylko, że miejscem przedstawienia takich dramatów, nie będą już teatralne sale, ale chyba cyrki lub place publiczne; tak jak i same dramata nie będą tylko dla zabawy możnych próżniaków, ale raczéj dla nauki ogółu obywateli, który z nich będzie się uczył historyi przeszłości, jak Grecy uczyli się poetyckich tradycyj swoich. Cały zaś ten przyszły stan rzeczy, łączy on w przepowiedniach swoich z powrótem kiedyś Napoleonidów, którzy mają rozwijać w rzeczywistości na świecie, co Opatrzność, jako zaród idei, geniuszowi ich protoplasty natchnęła.—Te jego historyozoficzne poglądy wywołały żwawą dysputę z p. Douby, w któ-

réj Adam przy końcu był prawdziwie jakby natchniony, tak, że wszyscy z uszanowaniem zamilkli, a panna Anastazya, ze złożonemi rękami, wpatrywała się w niego jak w cudowny obraz. Postrzegł on to wrażenie, i sam zmienił je raptem, przechodząc w ton żartobliwy, a najprzód z samego siebie. To téż cała reszta wieczoru przeszła na wesołém opowiadaniu różnych anegdot, politycznych zwłaszcza i literackich. Muszę przytoczyć ci jedną, którą opowiadał Bonstetten, na dowód, że i gdzieindziéj na świecie są tacy literaci i redaktorowie, których lekkość i płytkość z jednéj, a z drugiéj strony junakierska zuchwałość w pisaniu i sądzeniu *ex cathedra* o wszystkiém, w podziw nieraz wprawiały nas prostych Litwinów. Jakiś *facetus* z Genewy przesłał do gazety *Quotidienne* w Paryżu wiadomość o wybuchłéj jakoby wojnie pomiędzy kantonami, Berneńskim i Waadtlandskim *(pays de Vaud)*; a gdy temu redaktor uwierzył, zaczął mu przesyłać co poczta biuletyny o strategicznych działaniach wojsk obu, umieszczając plac bitew na niedostępnych szczytach gór, dokąd nigdy żaden człowiek nie doszedł. Nieświadomy geografii redaktor (politycznéj gazety w Paryżu!) umieszczał je przez kilka numerów, aż wreszcie ostrzeżony widać przez kogoś, przysłał swemu korrespondentowi wyzwanie na pojedynek. Ale że ten pisał pod pseudonimem: więc wystawiony na śmieszność literat, nie miał nawet i téj satysfakcyi, aby choć siłą pięści słabość głowy swojéj osłonić. — Ale i jeszcze jedna anegdota. Wiém, jak ojcowie nasi, (twój i mój), nie-

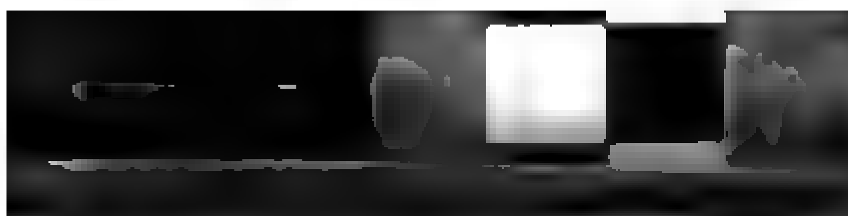
nawidzą austryackiego *Beobachtera*, z którego wyciągami zazwyczaj częstuje ich *Kuryer Litewski*. Sądzę więc, że im to zrobi przyjemność. — Otóż redaktor téj gazety, jako organu Metternicha, piorunował ciągle na Greków za ich powstanie przeciw Padyszacha. Aż dnia jednego odbiera ze Stambułu *firman* i pakiet z pieczęcią sułtańską, mianujący go Baszą o trzech buńczukach; ale że *pies niewierny* nie wart jest ogonów końskich, więc mu Sułtan przysyła buńczuk o trzech oślich, który właśnie zawierał ów pakiet. Redaktor tak był niemądry, że w piérwszym zapale gniewu, ogłosił znaczną nagrodę za wykrycie sprawcy tego żartu, i tym sposobem sam go podał do wiadomości powszechnéj. — Ale co ja tu piszę cudze anegdoty, mając tyle do pisania o sobie, że nie wiém, czy to wszystko w tym liście pomieszczę. Miéj więc je sobie dla opowiadania drugim, a sam słuchaj, co następuje.

Na tym samym wieczorze u xiężny Dietrichstein, panna Anastazya zawiadomiła nas, że już ma pozwolenie, (o które trzeba prosić osobno), na oglądanie Muzeum Watykańskiego — przy pochodniach; a że już zaprosiła na ten spektakl państwo Ankwiczów, ja więc tylko dodałem prośbę, aby mi wolno było przyprowadzić z sobą Garczyńskiego, Gajewskiego i Niegolewskiego, którego ja bardzo téż lubię. Sam *Visconti*, najsławniejszy z żyjących dziś archeologów włoskich, miał być — i był istotnie *Ciceronem* naszym, a to *gwoli* starego Bonstettena, dla którego téż

to właśnie panna Anastazya urządziła całą tę artystyczno-estetyczną fetę.

O! gdyby było w méj mocy,
Pokazać ci to Muzeum;
Ten jakby z Tysiąca Nocy
Zaklęty gmach — *Elyseum*
Postaci, kształtów, lic, które,
Przez sztuki cudowną dzielność,
Ludzką już w sobie naturę
Przyoblokły w nieśmiertelność:
Tak, że stojąc między niemi,
Czujesz się jak ich towarzysz,
A zapomniawszy o ziemi,
Nie wiész sam: żyjesz, czy marzysz?

Ale to jest wrażenie, nie obraz; a ja dałbym nie wiém co za to, gdybyś ty z opisu mojego, mógł choć raz, choć jak przez dziurkę od klucza, zajrzeć sam w głąb choć jednego z tych najpyszniejszych w świecie, tak zwanych *korytarzy*, a rzeczywiście sal, czy galeryj, niezmiernéj długości, (z jakich się składa całe to muzeum), wspartych na rzędach kolumn z najdroższego marmuru, porfiru, alabastru; brukowanych mozaiką; sklepionych arcy-dziełami malarstwa, w złotych ramach; a zapełnionych po obu stronach nieprzeliczoną mnogością posągów, biustów, pomników, i wszelkiego rodzaju arcydzieł rzeźby. Wtenczas dopiéro mógłbyś chyba pojąć, jakie to czarnoxiężkie wrażenie sprawić mogło wejście i przejście po tych zda się nieziemskich gmachach, pogrążonych w ciemnościach i ciszy nocnéj, a oświecanych tylko koleją czerwoniawą łuną pochodni, w któréj białe postacie i twarze



posągów ukazywały się i znikały jak widma — podobne téż do zjawienia się duchów, obudzając w patrzących wzruszenie. Ale że ci, niestety, opisać tego nie umiem, więc musimy poprzestać oba na prozaicznych szczegółach: że było nas osób dwadzieścia kilka; żeśmy się zgromadzali w dziedzińcu tak zwanym *Belwederskim*, ze wspaniałym portykiem do około, (który już sam od razu jak w nowy świat nas przenosił), a po czterech rogach którego są właśnie cztery osobne przybytki, (tak zwane *gabinety*), gdzie się mieszczą najsławniejsze, nie tylko w tém muzeum, ale i w całym świecie „cuda dłóta": *Apollo* (Belwederski), *Laokoon*, *Antinous* albo *Merkury*, a z nowszych *Perseusz* i *Gladiatorowie* Kanowy. Od nich więc najprzód zaczęliśmy przegląd — i dobrze! Bo na „głodny ząb i łakome ucho" ciekawości naszéj, piérwsze obfite danie erudycyi Viscontego, tak artystycznéj, jak archeologicznéj, nie tylko nie sprawiło przesytu, ale tycząc się owszem tych kulminacyjnych arcydzieł, poszło nam na istotny pożytek. Ale inaczéj się rzecz miała, gdyśmy się zapuścili w nieskończony labirynt korytarzy, a przez trzy przeszło godziny będąc ciągle na nogach, tak wreszcie czuliśmy się znużeni, że nawet same panienki, które mię przedtém gromiły surowo za moje ciche apostrofy do nich, podczas uczonych wykładów professora: teraz same, wymównym uśmiechem i westchnieniem, wtórowały parafrazie mojéj sławnego wykrzyknika Ryszarda III-go, kiedy woła o konia śród bitwy: „*A horse! a horse! my kingdom for a horse!* (konia! konia! królestwo moje za konia!)."

Ja zaś wzdychałem nad uchem panienek: „*Une chaise! une chaise! tout ce Musée pour une chaise!*" — A tymczasem niezmordowany Visconti zatrzymywał nas co chwila przed lada amorkiem, który mu się więcéj podoba, (a zna je wszystkie, jak astronom gwiazdy), i wyczerpując do dna wszystkie jego zalety, sam się ich admiracyą zapalał. Wspominałem sobie Byrona, który się uskarżał, że znienawidził Horacyusza dla tego, iż mu go nadto w szkołach admirować kazano; i gdyby nie spotkanie się czasem z ciepłą rączką w cieniu, albo nie słówko ożywcze do ucha: zmartwiałbym i skamieniał od chłodu martwych marmurów. — Ale i wszyscy inni mieli już ich zadość; i nie z mniejszą radością, jak Orfeusz z Pól Elizejskich, (nie mówię z piekła), spójrzawszy u drzwi czule jak on po za siebie, wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze. Panna Anastazya podała projekt, aby korzystać jeszcze ze wschodu xiężyca i przejść się po Watykańskim ogrodzie. Noc była przecudna: szmer fontann, śpiew słowików, cienie drzew, światło xiężyca, i wonność balsamiczna w powietrzu, orzeźwiły nas i zachwyciły, a różnica wrażeń dzieł natury i sztuki, była przedmiotem długiéj, zajmującéj rozmowy, która się przeciągała jeszcze i przy wieczerzy u pani Klustin. Owoc jéj w myśli mojéj jest taki: Wszelkie, jakiebądź dzieło sztuki, ma, i mieć musi koniecznie, swoję miarę porównania w naturze—bądź fizycznéj, bądź duchowéj człowieka, i najprzód podług téj miary jest, i być musi sądzone, nim na sławę i chwałę zasłuży. Dla dzieł natury, téj miary poró-

wnania nie ma ani w umyśle, ani w uczuciu, ani nawet w imaginacyi ludzkiéj; przeto nie ulegają one żadnym poprzednim sądom, aby przez nie dopiéro podziw albo uwielbienie obudzić. — W sztuce mistrzem jest człowiek, w naturze, Bóg-Stwórca. — Wrażenie najwyższych dzieł sztuki jest zawsze tylko pośrednie, umysłowe—ludzkie; wrażenie dzieł natury, bezpośrednio duchowe — Boskie. — Była więc, jak widzisz, mowa i o Bogu; bo nikt z biorących udział w téj rozmowie, (nie tak jak niegdyś Göthe z Queteletem w Wejmarze), natury nie brał za Boga, ani Boga za jedno z naturą.

Jeszcześmy siedzieli u stołu, kiedy zegar wybił dwunastą; i w téjże chwili wniesiono na blacie ogromną jakąś, szczególniejszą rybę, z rozdziawioną szeroko paszczą i nastrzępionemi skrzelami, w któréj piérwsza xiężna Zeneida odgadła, śmiejąc się głośno: *le poisson d'Avril*. Gdyż była to ryba cukrowa, nadziana wewnątrz lodami, a z uderzeniem dwunastéj godziny nastał właśnie *Prima Aprilis*. Zaczęliśmy go więc bardzo wesoło, opowiadaniem różnych konceptów zwodzenia; i dopiéro około drugiéj, państwo Ankwiczowie odwieźli nas łaskawie do domu. Nie zasnęliśmy jednak zaraz, planując, w jakiby sposób zwieść zgrabnie nasze panienki. Plany się te nie udały. Ja zapłaciwszy dwa *paole* publicznemu *skrybie*, który zasiada codzień na *Monte Citorio*, przynosząc z sobą składane krzesełko i stolik, a pisząc wszystko, czego kto zażąda: kazałem mu napisać *una lettera molto affetuosa* do nieznajoméj jakoby osoby, którą

widuję tylko w kościele, ale dowiedziawszy się gdzie mieszka, uprzedzam ją, że za piérwszą jéj po tym liście bytnością w tymże kościele, zbliżę się do jéj ławki i powtórzę ustnie, co już tu sam pan *Scriba* powinien czule i pięknie wyrazić. Jakoż wywiązał się z tego dość zręcznie; ja tylko wcale niezręcznie kazałem zaadressować list bezimiennie „*alla bella Signora Polacca*, *Via Mercède N.* 9.“ Adress ten zdradził cel listu; a że przytém panienki domyśliły się źródła, więc go nam za przyjściem naszém nierozpieczętowany oddano, i to jeszcze z nadpisem na kopercie: *Prima Aprilis*. Adam zaś chciał był pójść, ale zalenił się i nie poszedł, do Stattlera, aby tenże w imieniu Craffonarego, który maluje portret panny Henryetty, wezwał ją, aby dziś o południu stawiła się na posiedzenie, koniecznie w sukni balowéj, o co właśnie między nimi spór idzie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że *Craffonari*, (najsławniejszy tu dziś portrecista), od kilku już tygodni pracuje nad tym portretem, i że Adam na każde prawie posiedzenie towarzyszy wraz z matką pannie Henryecie. Portret zaś jego samego wymalował już bardzo pięknie i podobnie kochany nasz i poczciwy *Stański*, (bo tak z polska przezwaliśmy Stattlera), którego piękną narzeczoną już znamy, a z nim samym w najprzyjaźniejszych zawsze jesteśmy stosunkach.

A teraz, „czas do méj treści! „*Now to my theme!*“ jak mówi Byron. Treścią albowiem główną tego listu, w myśli mojéj przy jego zaczęciu, miała być właśnie trzecia nasza *Sielanka*, którą umyślnie tak długo

przedzieliłem od drugiéj czém inném — choćby jak maślankę rumiankiem. „A znasz ty rumianek Rzymski?“—Ja dopiéro piérwszy raz w życiu dowiedziałem się o nim podczas téj podróży. I będziesz miał poniżéj relacyą o tém.

Dwaj dobrzy przyjaciele domu państwa Ańkwiczów, x. *Proja* i x. Biskup *Castellani, Monsignor Sacrista deSacri Pallazzi*, to jest mający dozór nad katakumbami i rozdawca relikwii śś., obaj z zakonu xięży Augustyanów, oddawna już namawiali samą panią hrabinę, aby odbyła pielgrzymkę do *Genezzano*, gdzie jest najpiérwszy klasztor tego zakonu, położony w górach *Abruzzo*, a słynący cudownym obrazem *Pocieszenia N. Panny*, który tam także cudownym sposobem, przed wieki z Negrepontu się dostał. A że droga do Genezzano prowadzi przez *Palestrinę*, a Palestrina jest to dawna *Preneste*, stolica Etrusków, to jest najdawniejsze z miast włoskich, przed przyjściem jeszcze Eneasza z Troi, przez Cyklopów dla syna bożka Wulkana stawiane: a zatém i sam pan hrabia, jako archeolog, oddawna pragnął je zwiedzić. A zatém, dnia 2 Kwietnia, to jest przedwczoraj, wyruszyliśmy tamże w tym podwójnym celu; raniéj niż kiedykolwiek, bo zaraz po szóstéj, i w trzech lekkich parokonnych powozach; bo zwykłe towarzystwo nasze powiększyło się o $1/_4$, a to *plus* składali: Stattler i Garczyński z Gajewskim. Widzisz więc, że się Garczyński nawrócił. A jak? — Masz tu o tém jeszcze jeden epizod.

Prócz ciebie, w którym wszystko, co mi nie do gustu, gromię wręcz, jak z pistoletu: (bo wiém, że mi na wspak nie weźmiesz, a wszystko wspaniałomyślnie przebaczysz); względem innych przyjaciół mam wżdy ten obyczaj, że gdy mi się w nich co nie podoba, upatruję chwili stosownéj, aby im to gładko powiedzieć. Otóż nie podobało mi się w Garczyńskim, że nie pojechał z nami do Frascati. Ale nie mówiłem już nic o tém wróciwszy; a że i Adam także nic nie mówił: widziałem, że go to już trochę korciło. Tymczasem poszliśmy z nim we dwóch do Kolosseum, tegoż dnia, cośmy mieli być w wieczór w Muzeum Watykańskiém. On był mi wdzięczen za to, że pamiętałem o nim i wyjednałem dlań pozwolenie uczestnictwa. Z tego przyszła rozmowa serdeczna, a z téj rozmowy assumpt do wypowiedzenia mu tego, co mi ciężyło na sercu: to jest zdania o jego dziwactwach, i o przesadzie, choć w dobrém. Pokora, z jaką słuchał, wzmagała elokwencyą moję, tém bardziéj, że była w niéj w gruncie i *oratio pro domo sua*. Jak bowiem kiedyś czcigodny mój Mentor łajał mię i gromił straszliwie: że się wolę włóczyć, niż uczyć; wpatrywać się we wstążki, niż w xiążki; ja przeciwnie, w roli Mentora, zarzucałem memu Telemakowi, że poniewiera kwiatami życia; a że tego nie czyni dla zbawienia swéj duszy, więc musi chyba czynić dla pychy, choć ją ubiera w pozór cnoty obowiązku. Nie wyliczam ci wszystkich dalszych argumentów, któremi szermowałem jak szablą, kiedy się już ręka rozmacha; ani wiém, który trafił do jego przekonania. Ale dość, że

się musiał przekonać; bo rzucił mi się w końcu na szyję, i zowiąc mię szczęśliwym, sam, omal nie ze łzami, wyznawał że cierpi, i że sam sobie rady dać nie umie. Ja więc ofiarowałem się mu za lekarza, a piérwszy recept, który przepisałem, był ten, aby od panienek nie stronił, a z nami na *Sielankę* pojechał. Adam aż się trzymał za boki, kiedy mu opowiadałem tę scenę; to jest (mówiąc jego słowami), kiedy taki latawiec i próżniak, jak ja, *admonitował* takiego sensata i filozofa, jak on, a filozof słuchał jak student. Ty miéj w tém rys charakteru, czy raczéj może tylko excentryczności Stefana; a z tego możesz wnosić, jak go można kochać. — Zgodził się więc jechać z nami; ale pod tym wszakże warunkiem, ażeby państwo Ankwiczowie zaprosili razem i Gajewskiego. Co kiedy nastąpiło — jedziemy. Adam i Strzelecki z damami; ja z Garczyńskim i Niegolewskim; sam pan Ankwicz z resztą towarzystwa.

Z Rzymu do Palestriny, jest około 5 mil naszych. Droga przez Kampanią nic już dla nas nie ma nowego; ale *ciceronuję* w niéj za to Garczyńskiemu, który się wszystkiém zachwyca, i cieszy się, że mię posłuchał. Dzień prześliczny, ale zbyt już gorący. Biédne konie prawie ustają. O południu jesteśmy już na miejscu. Miasteczko brzydkie, (liczy 6,000 mieszkańców), a co gorsza, *locanda*, to jest oberża, szkaradna; a co najgorsza, to że nic w niéj innego nie ma na śniadanie, prócz sałaty i fig suszonych. Ja upatruję w tém przymusową *wigilię* do jutrzejszéj naszéj pielgrzymki; ale wtém mądry Strzelecki wzbudza podziw ogólny

przezornością swoją. Wydobywa z powozu doskonałe *salami*, t. j. wędlinę, pieczeń, ciastka i pomarańcze, w które się zaopatrzył, nic nie mówiąc nikomu, i promienieje radością uprzejmego Amfitryona, widząc jak jego goście krzepią ochoczo siły przed archeologiczną wycieczką, w któréj on ma być *Ciceronem*.

Piérwszym jéj celem jest *Monte di S. Pietro*, ogromna skalista góra, panująca po nad miasteczkiem, z ruiną średniowiecznego zamku, a raczéj formalnéj twierdzy, która się téż *cytadellą* nazywa. Najpiękniejszą ozdobą tych ruin, są prześliczne festony bluszczu, rozwieszone wszędzie po ścianach i tworzące prawdziwe „zielone arabeski“. Dla nich samych jednakże nie warto byłoby piąć się w górę, a gorzéj jeszcze schodzić, po usuwających się pod nogami kamieniach; gdyby trudu nie wynagradzał czarodziejski widok na całą Kampanią Rzymską i na otaczające ją góry i morze. Nasyciwszy się nim dowoli, i odpocząwszy, po zejściu, na ziemi w prześlicznym lasku sosnowym: idziemy widzieć owe sławne mury Cyklopów, budowane z ogromnych brył granitowych, które może nadzieją obrony ozuchwalając mieszkańców dawnéj *Prenesty*, ściągały tylko na nich i na nią coraz nowe klęski i zniszczenie, i to w najodmienniejszych epokach i okolicznościach. Piérwszym, który miasto zburzył do szczętu, a mieszkańców w pień wyciął, był Sylla, podczas wojen z Maryuszem. Późniéj wszakże on sam, na témże miejscu, zbudował tak olbrzymią świątynię Fortuny, że całe miasto dzisiejsze mieści się w obrębie jéj ruin. Ale i ono samo jest już tylko

odroślą dwóch poprzednich *Palestryn*, większych daleko i bogatszych od teraźniejszéj, ale także po dwakroć, raz w XIII, drugi raz w XV wieku, zdobytych szturmem i z ziemią zrównanych. O tém wszystkiém nauczał nas Strzelecki podczas obiadu, którego najsmakowitszą przyprawą był głód; a zaś największém uweseleniem wieczoru — rumianek. Pan Ankwicz czuł się niezdrów, i chciał się nim leczyć. Panienki same nawarzyły go tyle, że potém chciały gwałtem wszystkich nim uraczyć. Ztąd opór, spory, żarty, i wesołość ogólna. Adam z wielką wymową bronił siebie i drugich, i nakoniec zmuszony uledz, przyjął to jako pokutę na intencyą jutrzejszych penitentek. Ja wychyliłem duszkiem moję filiżankę, zaimprowizowawszy piérwéj czterowiersz:

Ha! gdy to ma być pokuta,
Muszę wypić, choć nie chce się.
Toć rumianek nie cykuta! —
Na cześć twoję, Sokratesie!

Rumianek rzymski wszakże nie jest tak zły, jak sobie wyobrażałem. Ma daleko więcéj goryczy, ale za to mniéj ckliwego zapachu, niżeli nasz zwyczajny. NB. trzeba go pić bez cukru.

Przed rozejściem się do snu, Strzelecki wystąpił z projektem, ażeby panie same jechały do Genezzano, a mężczyzni tymczasem zwiedzili starożytną *Gabią;* ale to tak starożytną, że jakiś średniowieczny pisarz włoski powiada o niéj: „że Romulus i Romus chodzili tam na akademią, na którą ich dziad Numitor wyprawił.“—Sam pan Ankwicz nie był od tego; ale

damy tak się tém obraziły, że nawet nie protestując zdały to nam całkiem na wolę. Ja więc piérwszy podniosłem *veto;* ale to może nie miałoby skutku, gdyby zapytany z kolei Adam nie odpowiedział stanowczo, że jedzie do Genezzano, i „że woli katolicką pielgrzymkę, niż deptanie pogańskich ruin, których i tu już mieliśmy do syta.“ Projekt więc Strzeleckiego upadł; ale panienki, za sam jego pomysł, nie podały mu nawet ręki na dobranoc.

Ale noc ta i dla nas wszystkich nie mogła nazwać się dobrą. Mieściliśmy się jak śledzie w beczce; dla młodszych, łóżek i pościeli nie stało. Ja z Garczyńskim spaliśmy na wąziutkiéj kanapce, z przystawionym szeregiem krzeseł, twardych—ale gdybyż choć równych, jak deska! Mimo to:

Usnąwszy wesoło gwarząc,
Spaliśmy rozkosznie marząc,

z wielkiém niezadowoleniem musieliśmy wstawać i ubrać się o piątéj, bo obudzili nas *wetturyni*, czyli raczéj właściciele mułów, które zaprzężone już zamiast koni, brzękadłami uprzęży pod oknami *lokandy* dzwoniły. Konie nasze zostały w Palestrinie; gdyż droga do Genezzano jest tego rodzaju, że tylko albo na osiołkach konno, albo mułami w zaprzęgu może być bezpiecznie przebytą. Kręta, stroma, urwista, wije sie między dzikiemi, skalistemi górami, niekiedy tuż nad brzegiem przepaści, w które koń łatwoby się uśliznął. My jednak ani pomyśleliśmy o niebezpieczeństwie, upajając się wonią górskiego powie-

trza i świéżością wiosennego poranku. Brak tylko śpiewu ptasząt i tu raził ucho.

Po dwugodzinnéj podróży w pustyni, ujrzeliśmy nakoniec przed sobą domki, rozrzucone na pochyłości góry i przyczepione do niéj jak jaskółcze gniazda — (to *Genezzano!*)—i stanęliśmy wkrótce przed wspaniałym, jak na pustynię, kościołem, który wespół z poważnym, średniowiecznym klasztorem, cały spłaszczony wierzch góry zajmuje. Jakby na nasz przyjazd czekano—zaledwieśmy weszli do środka, ozwał się dzwonek, i tuż za nim organy, i solenna wotywa wyszła z zakrystyi, udając się do pięknéj i bogatéj kaplicy, gdzie się cudowny obraz Matki Boskiéj znajduje. Wysłuchaliśmy więc najprzód mszy świętéj, którą Adam całą przeklęczał; jak niegdyś w Ostréj Bramie ze mną, w dzień swego wyjazdu z Wilna. Po mszy, damy się spowiadały, my zaś tymczasem oglądaliśmy kościół. Ja wolałbym był raczéj pójść za ich przykładem; ale nie czułem się dość przygotowanym, a *ex promtu* jakoś nie śmiałem; a wreszcie mam przed sobą cały wielki tydzień. Sam pan Ankwicz udał się do Przeora, z listem od x. Biskupa *Castellani*, który sam w skutek tego przyszedł do kościoła, i po udzieleniu Kommunii świętéj, damy i całe towarzystwo do klasztoru na śniadanie zaprosił. Klasztor jest bardzo czysto i porządnie utrzymany; sądząc zaś z wychodzących bez przerwy mszy w kaplicy i przy innych ołtarzach, wnieśćby można, że liczba zakonników musi być bardzo znaczna. Zresztą potwierdzał to także i długi stół w refektarzu, na którym nam do śniada-

nia nakryto. Braciszek wniósł na tacy 12 białych kubków z uchami; w każdym na dnie były dwa żółtka, posypane miałko tłuczonym cukrem, które każdy z nas miał sobie rozbijać. Nie wiedzieliśmy co to znaczy, a Adam odezwał się głośno: „Muszą nas mieć za suchotników, kiedy każą nam pić *hogel-mogel*.“— Ale wnet tenże braciszek wszedł powtórnie z ogromnym imbrykiem, czy raczéj dzbanem gorącéj kawy, i nalewał ją nam upominając, abyśmy ciągle żółtka rozbijali. Smakuje to wcale nie źle; lepiéj daleko niż z tutejszą śmietanką, która nawet nie ma pretensyi do tego tytułu, i po prostu nazywa się mlekiem. O mleko to nawet tak trudno w ogólności we Włoszech, że np. w żadnéj kawiarni w Rzymie nie znajdziesz już po południu *café con latte*. Bydło zazwyczaj pasie się przez całe lato w górach, i tam zaraz na miejscu robią z mleka séry na zimę. Miejsce masła zastępuje zwykle oliwa. Nam za ciasto do kawy służyły suszone grzanki i chleb świéży, źle wypieczony. Przy śniadaniu x. Przeor, rozmawiając z panem Ankwiczem, opowiadał ciekawe szczegóły o klasztorze, którego piérwszym fundatorem miał być sam Św. Augustyn, i o sposobie życia zakonników, którzy się sami trudnią gospodarstwem, i własnemi rękami uprawiają w ogrodzie owoce i warzywo. Zwiedzając po śniadaniu ten ogród, podziwialiśmy czystość, porządek i gust artystyczny w urządzeniu i utrzymaniu szpalerów, altan i kwiatowych klombów; nadewszystko zaś samo położenie miejsca i uroczystą jego spokojność i ciszę. Ztąd wywiązała się długa rozmowa

o życiu zakonnéin, w któréj Adam z takiém przejęciem się i zapałem wykazywał jego konieczność w społeczeństwie ludzkiém, i tak poetyckiemi farbami kréślił jego duchowe rozkosze: że taki nawet przeciwnik, jak Strzelecki, musiał się w końcu uznać pokonanym; a zaś panna Marcellina, która jedna z pomiędzy nas wszystkich ma pociąg do tego życia, tak była poruszoną słuchając, że aż łzy mimowolnie popłynęły z jéj oczu. Zawstydziła się ich sama nieboga; ale łzy te nie spadły napróżno. Adam, ujrzawszy je, spoważniał raptem, i pod ich to niewątpliwie wpływem, zakwitnął w myśli jego jeden z najpiękniejszych kwiatków poezyi naszéj, który ci tu wnet przepiszę. Bo o samym powrócie do Rzymu, nie mam nic ciekawego do opowiadania. W Palestrinie przemieniliśmy tylko znowu muły na konie, i po najnędzniéjszém śniadaniu, o 8 w wieczór zajechaliśmy wprost na *Via Mercède*, gdzie na nas z obiadem czekano.

Adam wiersz swój musiał ułożyć w drodze, bo go za powrótem do domu od razu na czysto napisał. Ty zaś miéj go w tym liście za zielony liść palmy—w pustyni; bo dziś tu u nas palmowa Niedziela, która u was będzie dopiéro za tydzień. Przyszły więc, da-li Bóg, mój list zacznę już chyba od *Alleluja;* a tymczasem na dzisiaj, *Vale!*

DO MARCELLINY ŁEMPICKIÉJ.

W GENEZZANO.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś tobie Anioł nie jeden zazdrościł.

Ty spuszczasz oczy, które Bóztwem gorą:
Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!
Święta a skromna!—Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącéj przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtedy zlatuje Anioł twój obrońca,
Jasny i cichy, jak światło miesiąca:
Zasłonę marzeń powoli rozdzieła,
A troskliwości pełen i wesela.
Z takiem nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swém sennem niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnéj łaski
Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo roześmieje:
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia,
I odlatuje biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę.—
Tak się piastunka jego codzień budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi.—
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną, tak jak ty, przemarzył.

XVI.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 11 kwietnia 1830 r.—Wielkanoc.

Alleluja! Słyszę huk dział na zamku Ś-go Anioła i weselny odgłos dzwonów po mieście, i zerwałem się ze snu równemi nogami, aby wam piérwszym w téj chwili powiedzieć *Alleluja*. Co do opisu Wielkiego Tygodnia, który pamiętam że ci obiecałem, będziesz miał o tém osobny artykuł, i notabene w stylu literackim, bo mam go już zaczęty, i nie tylko dla ciebie i dla was, lecz i do przyszłorocznéj *Meliteli* przeznaczam. W liście tym dodam tylko szczegóły o sobie, które prócz was nikogo obchodzić nie mogą, i nad któremi téż pisząc głowy sobie nie łamię. Że zaś nie jest to praca, a więc i żadne naruszenie święta: nie będzie zdaje się grzechem, że mając już pióro w ręku, dziś najprzód powiém ci o tém, cośmy robili między Palmową Niedzielą a Wielkim Czwartkiem, od którego się tu właściwie *Wielki Tydzień* zaczyna.

Otóż owéj Niedzieli byliśmy razem z Garczyńskim na uroczystéj processyi kardynałów z palmami, które najprzód kardynał Pacca, w zastępstwie Ojca św., poświęcił i każdemu z nich po kolei rozdawał. Widok rzeczywiście wspaniały; chociaż wspanialszym byłby

niewątpliwie w kościele Ś-go Piotra. Ale i ten i wszystkie inne wielko-tygodniowe obrządki, odbywają się tutaj nie w nim, lecz w pałacowéj Watykańskiéj kaplicy, zwanéj Syxtyńską, która światową swą sławę zawdzięcza wszakże nie temu, ale znajdującym się w niéj freskom Michała Anioła, między któremi, jak wiész, piérwsze miejsce trzyma „Sąd Ostateczny.“ Tłok w nim lecących w piekło potępieńców, nie był większy od tłoku w kaplicy; a więc i my w niéj piekliśmy się jak w piekle, a przynajmniéj jak w łaźni. Za toż rajskiéj prawdziwie rozkoszy doznaliśmy tamże we Środę, słysząc sławne *Miserere*, wykonywane przez samych śpiewaków, ale których głosy naśladują niekiedy różne instrumenta, a raczéj są same jakby ideałem ich harmonii i wdzięku. Adam był w zachwyceniu, i mówi: że w Niebie chyba mogą śpiewać piękniéj. Przy końcu zwłaszcza, cała massa głosów zlanych w jedno, jakby jakaś łuna świetlana, jakby jakaś ściana z kryształu, wznosi się, szérzy się, rośnie... i tak jakoś istotnie porywa za sobą, że gdy w końcu nagle zamilknie, czujesz się jakbyś został na powietrzu, zkąd musisz znów wracać na ziemię. Po błogosławieństwie Papiezkiém, jest to największe i najmilsze wrażenie z całego tu Wielkiego Tygodnia, które się jeszcze i w Piątek ponawia. Ale o tém niżéj.

W Poniedziałek, po obiedzie u państwa Ankwiczów, korzystając z prześlicznéj pogody, przyprowadziliśmy nakoniec do skutku oddawna już ułożony projekt zwiedzenia przy pochodniach Forum i Kolosseum. Obraz tego wieczoru stoi mi dotąd w oczach

jakby jakaś *Fata Morgana*. Kolosseum znasz pewnie z rysunku. Wyobrażaj więc sobie, co mówię. Blask ośmiu płomienistych pochodni, wkoło krzyża środkowego stojących, rozlewa się po całéj arenie i krwawą łuną pełga i faluje po ścianach. Co w tych falach mogło się komu odbijać z przeszłości (ma się rozumiéć „przed oczyma duszy“), to już nie do mojego obrazu należy. Ja tylko opowiadam com widział widomie.—Pochodnie rozbiegają się nagle, i na chwilę nikną w ruinie. Ale wnet zaczynają błyskać przez otwory, a niosący je, jak tancerze w kontredansie, wiedzą już widać z góry gdzie się zwrócić, gdzie stanąć, zkąd je wytknąć i jak niemi wywijać, aby tworzyły zawsze jakby jednę umówioną figurę; jakby jakąś ciągłą konstellacyą, nie gwiazd, ale iskrzystych, ogoniastych komet, od których smugi czerwonego światła, coraz zkąd inąd padając z wysoka, co chwila nowe kształty zdają się nadawać arenie i coraz nową część ruin odsłaniają przed okiem. Ostatnią część tego spektaklu stanowi ukazanie się prawie razem na najwyższych dostępnych punktach, wszystkich tych ośmiu promienistych świateł, w których blasku, niosący je ludzie, wyglądają jak czarne djabełki; bo jużciż niepodobna równać ich do posągów, (które tam może niegdyś stały rzeczywiście), kiedy patrzącym z dołu nie zdają się większymi od kawek albo puszczyków: co właśnie w owéj chwili, wystraszone ich światłem ze swoich kryjówek, migały z krzykiem nad naszemi głowami, częścią powiększając wrażenie, częścią tylko pobudzając do śmiechu.

że najwi
rozkoszn
i o której
do domów
nas upragn
dało się z
stin z córk
pp. Bonstet
dwaj nazajut
odbyć, i od
czą wycieczkę
Ostia sła
lewego ramien
z powodu *mało*
siebie być cele
Bonstetten chci
zwiedzał i opis
zamiejskiéj *wios*
od Rzymu; droga
scu, oprócz gruzów
tysięczna

towarzystwa, należy wyłącznie—morzu. A rozkoszowaliśmy się jego widokiem nie w Ostii, ale o parę wiorst ztamtąd, w *Castel Fusano*, prześlicznym zamku księcia *Chigi*, zbudowanym na miejscu sławnéj niegdyś villi Pliniusza młodszego, *Laurentium*, którą on sam podobno bardzo pięknie opisał. Pałac leży śród lasu, nie parku, sosnowego i dębowego, który się aż do morza i wzdłuż brzegów jego rozciąga. Dzień był jasny, słoneczny, ale wiatr silny i ciągły. Fale jak pasma gór śnieżnych, wznosiły się jedne nad drugie i literalnie piętrzyły się w obłoki. Ja raz piérwszy widziałem rozhukane morze. Widok na pozór jednostajny i nudny, a jednak tak wciąż nowy i pociągający, jak życie — nawet gdy los niém nieraz jak wiatr morzem miota. My pod zasłoną rozłożystych dębów, sami prawie nie czuliśmy wiatru; ale szum jego i świst po gałęziach, zlewał się, jak napowietrzny akkord, z szumem i rykiem bałwanów, rozbijających się o brzegi i konających prawie u stóp naszych. Wrażenie było nie do opisania. Żal nam było odejść nawet na obiad. Przyniesiono go więc nam nad morze, i zastawiono pod drzewami na ziemi. Ucztowaliśmy prawdziwie po rzymsku, wpół leżąc; a rozmowa była tém żywsza, że musiała, by się dać słyszeć, przezwyciężać szum lasu i morza. Adam właściwie nie improwizował, ale widocznie był w nastroju ku temu, i w tém niekiedy co mówił, było tyle i takiéj poezyi, że zachwycona panna Anastazya, wpół żartem zrobiła uwagę, że duch Wirgiliusza tak może stoi przy nim w téj chwili, jak niegdyś z Dantem spacerował po piekle.

Wirgiliusz albowiem i jego *Eneida* były głównym przedmiotem rozmowy; gdyż byliśmy właśnie w okolicach, gdzie się część jéj akcyi odbyła, a które kiedyś Bonstetten opisał. Mieliśmy nawet ochotę zwiedzić stolicę Turnusa, *Ardeę*, ale czasu na to nie stało. Mnie zaś z owego *dictum* panny Anastazyi, wiész jakie przyszło do głowy wytłómaczenie naszego przysłowia: „Tłucze się jak Marek (czy jak mara) po piekle?“— Oto, że pierwiastkowo nie był to ani *Marek*, ani *Mara*, ale *Maro*. Ktoś może z naszych kiedyś panów czy uczonych, którzy sami uczyli się w Padwie, użył go dla popisu ze swojéj znajomości *Komedyi* Danta; a dworzanie albo uczniowie, powtórzyli je szlachcie; w ustach któréj, nieznany jéj łaciński *Virgilius Maro*, przemienił się w polskiego *Marka* albo *Marę*. Adam śmiał się z mego domysłu, chociaż przyznał, że nie jest całkiem, albo mniéj bez sensu, jak tyle innych etymologicznych wywodów.

Ale dość już tego bazgrania! Adam śpi jeszcze, a trzeba go budzić; bo niezadługo czas iść do kościoła, gdzie mamy widzieć celebrę i wielką benedykcyą Papiezką. A więc raz jeszcze *Alleluja!* i na dziś *Vale!*

12 kwietnia, w nocy.

Otóż już i po świętach! a nim ci powiém, jak nam one przeszły, masz najprzód obiecany:

Wielki Tydzień w Rzymie.

Być we Włoszech, a nie być w Rzymie podczas Wielkiego Tygodnia, jest to podług przysłowia: być

w Rzymie a nie widzieć Papieża; grzech równie nieodpuszczony w oczach ciekawych podróżników, jak sędziów, którzy ich kiedyś za powrótem do kraju mają badać i sądzić, jak użyli czasu podróży. To téż będąc już w Rzymie, dosyć jest wyjść przed Niedzielą Kwietną na gościńce ku miastu wiodące, ażeby się przekonać o natłoku ciekawych pielgrzymów. Mówię *ciekawych* tylko, gdyż pomimo usiłowań najżywszéj wyobraźni, trudno jest w modnych koczykach, pozłocistych landarach, opakowanych wetturach, przy odgłosie trąbek pocztarskich, lub aryj z nowych oper, przez wetturynów śpiewanych, dopatrzyć owych dawnych pobożnych pątników, co z brzemieniem tylko swych grzechów, w kapturze i włosiennicy, z kosturem w ręku i torbą na plecach, szli piechotą z najdalszych krain na miejsce powszechnego odpustu, pokutne psalmy śpiewając. Wprawdzie i to powiedzieć trzeba, że ktoby dziś z takiém uczuciem przybył do stolicy chrześcijaństwa, dla obchodzenia najświętszéj w chrześcijaństwie pamiątki; dla zbudowania się widokiem obrzędów, w najwspanialszéj na świecie świątyni, przez najwyższego naczelnika wiary odprawiać się mających; jakżeby się zadziwił, zgorszył, albo zasmucił, widząc, iż oprócz jednego tylko błogosławieństwa Papieża, wielkiego rzeczywiście i uroczystego obrzędu, wszystkie inne zdają się być zamienione na jakieś sceniczne widowisko, pokazywane za biletami, dobrze jeszcze że niepłatnemi, i przeznaczone jedynie dla zwabienia i zabawy cudzoziemców, po większéj części różnowierców (Anglików), a to tak dalece, że żaden rodowity

Rzymianin, a cóż dopiéro ubogi pielgrzym, biletów tych nawet dostać nie może. Pielgrzym taki, gdyby był z naszego kraju, pożałowałby może nieraz owych prostych, ale pełnych wrażenia obrządków swego parafialnego kościoła, gdzie wszystko w dniach męki Pańskiéj nosi cechę opustoszałego domu, którego Pan leży na marach; owego grobu w ciemnicy, otoczonego ludem pełnym wiary, modlącym się i płaczącym, jakby nad rzeczywistym grobem Zbawiciela; owéj nakoniec rezurrekcyi nocnéj, gdy z łona grobowego milczenia, przy zmieszanym odgłosie trąb, dzwonów, moździerzy i organów, zabrzmi nagle wesołe „*Alleluja*," rozjaśnią się ołtarze i ściany, a promienne monstrancyum, z grobu wyjęte, zabłyśnie nad ukorzonym ludem, jak widomy symbol zbawienia, wschodzącego dla nas z bram śmierci!...

Nic z tego nie znaleźć w Rzymie. Wszystkie obrzędy odbywają się tu nie w kościele Ś-go Piotra, jakby się spodziewać należało, lecz w prywatnéj kaplicy Papiezkiéj, Syxtyńską zwanéj, i w ciaśniejszych jeszcze pokojach Watykańskiego pałacu, zdolnych ledwo pomieścić dziesiątą część widzów, tłoczących się jakby na teatr. Nic nie pomogą bilety, przez kardynałów lub posłów zagranicznych dawane. Trzymający straż Szwajcarowie, w ubiorze z XIV wieku, w pancerzach, pstrych kubrakach, czerwonych pończochach i okrągłych kapeluszach z piórami, odpychają halabardami, bez różnicy płci i wieku, tych wszystkich, co albo się już zmieścić nie mogą, lub się im nie podobają z pozoru. Wynikające z tego zgiełk, zamieszanie i często

formalne bitwy, mącą na samym wstępie wszelkie religijne uczucie. Szczęśliwy, kto się wedrze przebojem, lub czyhając na wejście którego z kardynałów, uczepi się kraju szat jego, i pchając go bez ceremonii przed sobą, ustrzeże się ręki Szwajcara, co go zwykle chce schwytać za kołnierz. Myśmy w tém byli szczęśliwsi od drugich, i to dość osobliwszym sposobem, bo za pomocą znajomego nam kalwińskiego pastora z Genewy. Krewny jego, naczelny dowódzca Szwajcarów, dał nam niemniéj osobliwe bilety: imię swoje napisane na dwójce i trójce żołędnéj, z wycisnioną na laku pieczęcią. Na widok tego talizmanu, halabardy schylały się przed nami, lub same rozpędzały tłumy, niechcące ustąpić nam z drogi. Tym sposobem, we Czwartek, o godzinie szóstéj rano, dostaliśmy się do kaplicy Syxtyńskiéj. Nabożeństwo zacząć się miało o siódméj; ale nikt na świecie nie potrafiłby zgadnąć nie widząc, na czém schodził czas oczekiwania Anglikom i Angielkom, składającym przynajmniéj połowę zgromadzenia. Oto na jedzeniu i wzajemném częstowaniu się śniadaniem, którego nie pospieszyli zjeść w domu. Z worków, z koszyków, z papierków, wychodziły koleją ciasta, bułki, a nawet grzanki chleba z masłem, nakładane wędliną, i znikały pod białemi, jak wilcze, zębami wyspiarzów, którzy nawet ust chustką zakrywać nie raczyli.

Oburzający ten widok, więcéj niż tłok i gorąco, wygnał nas z kaplicy na korytarz, gdzie jak łódź na uwięzi, pochylani ustawicznie w tę i ową stronę ruchem skupionego tłumu, równo z końcem nabożeń-

[illegible] się [illegible] biskupstwa [illegible]

[illegible] w Niemczech [illegible]

[illegible]

[illegible] dwunastu [illegible] z pierwszych papieży

względem nich tego obrzędu dopełniał. Ojciec Św. po odmówieniu obrzędowéj modlitwy, przepasuje się białém płótnem, i mając po za sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się po kolei do każdego z pielgrzymów, i powitawszy go niskim ukłonem, leje wodę na obnażone nogi, i otarłszy je potém ręcznikiem, całuje. Tak mię przynajmniéj zapewniali stojący bliżéj, gdyż sam za tłumem pocałowania dójrzeć nie mogłem. Pielgrzymi w czasie umywania nóg zdejmują czapki, i zaraz po umyciu otrzymują z rąk kardynała ogromny pęk kwiatów, przez Papieża wprzód poświęconych. Po skończonym obrządku, udają się rzędem do przyległéj sali, gdzie na nich czeka stół zastawiony obficie i uwieńczony kwiatami, a którego nakrycie i osobne przed każdym zastawione potrawy i wina, może każdy z nich zabrać z sobą do domu, lub komu się podoba odesłać. Na ten koniec, za każdym stoi ogromny kosz, do którego słudzy półmiski i butelki pakują. Jeden tylko z pomiędzy trzynastu, Polak, xiądz Zamojski z Galicyi, (gdyż sami tylko xięża kapłani na pielgrzymów wybierani bywają), przypadający na siebie udział, darował usługującym do stołu sługom papiezkim.

Aby wyjść z obiadowéj sali pielgrzymów, chcąc nie chcąc trzeba przechodzić przez drugą, gdzie wszyscy kardynałowie u jednegoż stołu jedzą Wieczerzę Pańską. Posągi dwunastu Apostołów z lanego srebra, służą za wspólną ozdobę stołu. Zresztą każdy kardynał jé osobne potrawy, z własnéj kuchni, na srebrze i porcelanie z własnego swego kredensu, mając

za krzesłem dwóch lub trzech służących w liberyi i częstując niekiedy przysmakami znajomych sobie widzów. Wszystko to ma pozór *pańskiego* obiadu, ale nikomu pewno z chrześcijan nie przypomniałoby *Wieczerzy Pańskiéj.*

Jestto ostatnie Wielko-Czwartkowe widowisko w Watykanie, na które wygłodniali od rana widzowie cisną się z niezmordowaną ciekawością, jakby się chcieli nasycić zapachem kardynalskich przysmaków. Wyszedłszy ztamtąd, odetchnęliśmy świéżém powietrzem dopiéro o godzinie 4-téj po południu.

Z większém bez porównania uczuciem, widzieliśmy nazajutrz wieczorem, w klasztorze *Trinità dei Pellegrini*, umywanie nóg siedmdziesięciu prawdziwym pielgrzymom, przez jednego z kardynałów, (xięcia Odescalchi), i kilku piérwszych panów świeckich, którzy im sami potém usługiwali do stołu. Klasztor ten z przeznaczenia swojego obowiązany jest, ze składkowych dochodów, dawać pomieszkanie i żywność przez trzy dni wszystkim przybywającym do Rzymu pielgrzymom. Wzruszający był widok ludzi z różnych stron i krajów, po większéj części starców, w ubiorze pielgrzymskim, siedzących u jednego stołu, połączonych braterstwem wiary, ugaszczanych w imię Chrystusa! Wieczerzę ich składały: makaron, ryby, suszone winogrona, jabłka, chleb, woda i wino. W oddzielnych izbach, gdzie mężczyznom wchodzić nie wolno, piérwsze damy rzymskie oddają równąż posługę pielgrzymkom.

W Wielki Piątek, groby ani tak pięknie przybrane, ani tak tłumnie odwiedzane, jak po naszych miastach. W Watykanie Grób Pański urządzony jest w kaplicy Paulińskiéj i odznacza się tylko piękném oświetleniem. Nad wieczorem w kaplicy Syxtyńskiéj ponawia się sławne *Miserere*, wykonywane przez śpiewaków papiezkich, które już tamże odbywa się najprzód we Środę. Trudno jest oddać słowami urok téj muzyki wokalnéj; to tylko można powiedzieć, że żadna muzyka na świecie nie zdołałaby sprawić równie wzruszającego wrażenia. Głosy naśladują doskonale różne narzędzia muzyczne: flet, harmonikę, a niekiedy brzmienie organu. Samo *Miserere* nie trwa dłużéj nad 20 minut, ale poprzedzone jest śpiewaniem psalmów, podczas których gaszą koleją wszystkie światła, palące się w świeczniku obok ołtarza, tak, że śpiewanie samego *Miserere* odbywa się w zupełnéj ciemności, co téż niemało wrażenie jego powiększa. Po ukończeniu, kardynałowie, wraz z ludem, udają się processyą do kościoła Ś-go Piotra, gdzie następuje ukazywanie z krużganku relikwii św. Krzyża i chustki św. Weroniki, z wizerunkiem oblicza Zbawiciela. Kardynałowie i lud cały na kolanach cześć im oddają.

W Wielką Sobotę, bazylika św. Jana Laterańskiego jest przedmiotem ciekawości ogólnéj. Tam bowiem rano przede mszą odbywa się uroczysty obrzęd chrztu nowo-nawróconych: Żydów, Turków, lub heretyków, a to z chrzcielnicy Konstantyna W., z któréj on sam był niegdyś ochrzczony. Podczas mszy następuje

konsekracya xięży, a nakoniec święcenie wody. Właściwéj Rezurrekcyi nocnéj ani wieczornéj tu nie ma; zastępuje już ją msza ranna, podczas któréj *Alleluja* śpiewają.

W piérwszy dzień Święta, równo ze wschodem słońca, huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów (*en carillon*) po mieście, jest piérwszém odpowiedniém uroczystości hasłem. Na wałach zamku Św. Anioła zatknięte białe chorągwie, z herbami miasta Rzymu i panującego Papieża, powiewają nad drogą do Ś-go Piotra wiodącą i same ją zdają się wskazywać. Mszę św. przy środkowym ołtarzu odprawia zwykle sam Papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i biskupi, w pontyfikalnych ubiorach, a sześciu z nich w ornatach służy do mszy Ojcu Św. Wspanialszy jeszcze widok z drugiéj strony ołtarza! Cały kościół Ś-go Piotra napełniony ludem! który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytemi głowami cały plac i krużganki zapełnia. Po skończoném nabożeństwie, obie massy łączą się z sobą na placu, oczekując na błogosławieństwo Papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszéj cząstce pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu; ale jeśliby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac Św. Piotra, z facyatą kościoła jego w głębi, z olbrzymiemi krużgankami po bokach, z dwówa najpiękniejszemi w świecie wodotryskami i obeliskiem w pośrodku,

zamknięty z czwartéj strony od miasta kilkudziesięciu rzędami powozów, napełniony kilkunastu albo i więcéj tysiącami ludu, oczekującego z religijném wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego; a nad tém wszystkiém błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe! Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtém w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego — i błysnął jak błyskawica. W jednéj chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa, i jednym razem, za pomocą urządzonéj ku temu machiny, ukazuje się nad przysionkiem Papież siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony kardynałami w purpurze, w półkole stojącymi za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos trąb, bębnów i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem jak piorun, i również nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku Niebu, i mödli się za lud, nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania. W téj chwili nikt zapewne z obecnych nie myśli o różnicy wyznania.

Papież opuszcza ręce, i zwracając się na trzy strony, błogosławi „miastu i światu“ (*urbi et orbi*). Znów działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtém—zmieszane niespodzianie tą razą z ogolném rżeniem koni, przerażonych widać tém nagłém przejściem z milczenia do wrzawy, ale które dziwnym sposobem we wrażeniu się ludzkiém odbiło!... Cały lud upadł na kolana w pokorze i w milczeniu, jak gdyby po przyjęciu

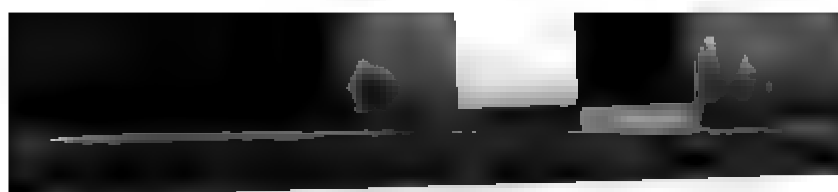
Sakramentn ołtarza. Papież usiadł znowu na tronie; chwilę jeszcze pozostaje na miejscu; powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna, i znika.

Kto raz był świadkiem téj chwili, na pewno nie zapomni jéj nigdy!

Wieczorem urocze oświetlenie kopuły i kościoła Ś-go Piotra, a nazajutrz wspaniały fajerwerk, tak zwana *Girandola*, na zamku Św. Anioła, kończą uroczystości świąt Wielkanocnych w Rzymie.

. . . .

Tyle jest słów artykułu dla mającéj go czytać w druku publiczności; ale dla was muszę jeszcze dodać słóweczko o illuminacyi i fajerwerku, o których w nim dla tego tak tylko krótko wspomniałem, że się nie czułem na siłach powiedzieć tego, co chciałbym, i jak warto. Jest w tém coś tak cudnego, tak czarodziejskiego, że nie mogę przewieść na sobie, abym choć jak zwierciadło *zajączka*, choć jak iskierki ich blasku, na myśl waszą nie rzucił. Zamknij więc najprzód oczy i wyobraź sobie plac i kościół Ś-go Piotra, które wiém że znasz pewnie z rysunku. Kopuła wielka i obie poboczne; cały fronton kościoła, i oba plac otaczające krużganki; wszystkie spojenia dachu, wszystkie gzemsy, podstawy i kapitele kolumn; słowem wszystkie punkta wydatne, gdzie się lampy utrzymać mogą; wszystko to gore, płonie, pała — i to nie migotnemi, osobnemi lampami, jak u nas, ale osłonionemi papierem, napuszczonym oliwą, przez który płomienia nie widać, ale tylko nieruchomy blask jego zlewa się



w nieprzerwane linie światła, które, jak hafty ogniste, znaczą wszystkie kontury rysunku téj najwspanialszéj na świecie budowy. Najwyższa część kopuły z oknami, tak zwana *latarnia*, (tą razą prawdziwie czarnoxiężka), zdaje się być całkiem przejrzystą, a krzyż górujący nad banią, na tle czarném nocnego błękitu, świeci zda się między gwiazdami, jak jakaś nowa konstellacya niebieska, przy któréj wszystkie dawne blednieją. Wszystko to zapala się za dnia; tak, że gdy zmierzch padać zaczyna, cały ten ogrom ognisty zjawia się jakby sam przez się, i tylko coraz widomiéj występuje, zadziwia, zachwyca!... Ale myślisz że na tém koniec? Gdzie tam! To tylko podmalówka obrazu. Punkt o godzinie dziesiątéj, słyszysz trzykrotne uderzenie we dzwonek. I oto z wierzchu i z dwóch ramion krzyża wybuchły razem trzy ogniste pochodnie; i w téjże chwili, w témże okamgnieniu, dachy kopuł, kościół, krużganki, oblały się podobnemiż ogniami, jakby grad meteorów osypał je z góry. Potop nowéj światłości lunął jakby falą po ziemi, i błyskawicą odbił się na niebie. „*Fiat lux*“ w całém znaczeniu, przy zasiewie firmamentu gwiazdami! — Ale jakże się to dzieje? zapytasz. Muszę ci dać zaraz odpowiedź, abyś mię nie posądził, że przesadzam czy kłamię.

Do obsługi kościoła Ś-go Piotra, do utrzymania w porządku i czystości wszystkich jego szczegółów i części, od podziemia do szczytu krzyża, jest cała osobna klassa ludzi, (zwanych téż *Sanpietrini*), którzy się gnieżdżą, rosną, wychowują i żyją tylko w cieniach jego dachu, a jak strzelcy alpejscy po skałach,

tak pną się, skaczą i biegają po gzemsach, szczytach i stromych wyżynach, gdzieby żaden inny śmiertelnik ani się wdrapać, ani ostać nie mógł. Otóż ci *Sanpietrini* stanowią właśnie ową maszyneryą, za pomocą której ta się cudowna zmiana dekoracyi odbywa. Rozstawieni po dachach i gzemsach, każdy ma do zapalenia nie więcéj nad trzy pochodnie, połączone pomiędzy sobą siarkowanym sznurkiem, tak, że za przytknięciem doń lontu, wszystkie się zapalają od razu. Operacya ta wszakże tak jest niekiedy niebezpieczną, że wszyscy biorący w niéj udział spowiadają się zwykle rano, jak żołnierze przed bitwą, i rzadko się podobno bez przypadku obywa. My nic przedtém nie wiedzieliśmy o tém, i dobrze! bo nam żadna myśl smutna uroku wrażenia nie psuła. Oglądaliśmy zaś to wszystko najprzód z daleka, z *Monte Pincio* i innych punktów miasta, a potém z placu przed kościołem S-go Piotra, stojąc we trzech, (t. j. my dwaj i Garczyński, za otwartą landarą państwa Ankwiczów, jak zwyczajne *trio* lokajskie za każdą kardynalską karetą. Damy wprawdzie chciały koniecznie zaprosić Adama do środka, ale on miejsce tam swoje ustąpił pani Węsierskiéj z córeczką, która wraz z nami była na *Święconém*.

Święcone to na *Via Mercède* odbyło się całkiem po polsku: licząc w to hojność, świetność i uprzejmość przyjęcia. Było osób przeszło czterdzieści, prawie wszyscy bawiący w Rzymie Polacy, a nadto dwóch Biskupów i kilku *Monsignorów* Włochów. W środku stołu figurował baranek z chorągiewką czerwoną

z białém, a obok najrozmaitszych ciast, wędlin i zwierzyny, były téż polskie baby i mazurki, fabrykacyi domowéj, tudzież indyk z nadzianiem i dwoje prosiąt, z chrzanem w zębach. Ten ostatni specyał sprowadzony był umyślnie zdaleka, i to zwłaszcza *gwoli* Adama, który kiedyś mówił o sobie, że go to za dzieciństwa najwięcéj na *święconém* bawiło. A przypomnieliśmy téż wszyscy nasze czasy dziecinne, assystując w Sobotę poświęceniu stołu. Obrzędu tego dopełnił młody xiądz Polak, z Galicyi, którego wtedy widzieliśmy raz piérwszy, i tyle tylko wiedzieliśmy o nim, że się nazywa Zamojski. Ale nazajutrz przy święconém wszczęła się mowa o wieczerzy pielgrzymów w sali watykańskiéj, i ja między innemi opowiadałem mój podziw i pokusę pożądliwości na widok nadzwyczajnéj wielkości pomarańczy, smażonéj w cukrze, a wieńczącéj, jako korona, piramidę z ciast i cukrów przed jednym z pielgrzymów; o czém zaraz tamże na miejscu Adamowi mówiłem. Ledwom skończył, pani Ankwiczowa z uśmiechem szepnęła coś do ucha pannie Marcellinie, a ta wyszedłszy na chwilę, wraca wnet niosąc pompatycznie na tacy, i ofiaruje mi tę samą pomarańczę—o! dziwy! Wtedy to dowiedzieliśmy się dopiéro, że x. Zamojski, za rekomendacyą pani Ankwiczowéj, był także jednym z pielgrzymów; że przed nim to właśnie stała owa pomarańcza, i że on, korzystając z przywileju, lubo całą resztę potraw i nakrycie służbie papiezkiéj darował, ten jeden wszakże półmisek z cukrami excypował dla siebie, i takowy, w hołdzie wdzięczności, protektorce swojéj odesłał.

Słysząc to Adam, oświadczył głośno i uroczyście, że od dziś dnia rozstaje się ze mną, a to biorąc za przykład mądrego Solona, który uciekł od Polykratesa, widząc, że mu się wszystko nazbyt wiedzie i składa po myśli. Ztąd długa, gwarna i wesoła rozmowa o szczęściu, która całe młodsze towarzystwo przy święconém zajęła, a skończyła się wniesieniem toastu za zdrowie i za spełnienie *wszystkich* życzeń Adama. Był to żart, niby dla ubłagania go dla mnie; ale w tonie wielu życzących nie trudno było odgadnąć myśl głębszą, którą, sądzę, że i sami gospodarze pojęli, a biédna panna Henryetta płoniła się ciągle jak róża. Obyż się te życzenia ziściły!

Ale miałem ci jeszcze powiedzieć o fajerwerku, czyli tak zwanéj *Girandoli*, która się w drugi dzień święta na wałach zamku Ś-go Anioła odbywa i z któréj właśnie przed godziną wróciłem. Jestto to samo dziwowisko ognia, tylko że na „*inszy manier:*“ w illuminacyi, z góry na dół; w *Girandoli*, z dołu do góry. Sam okrągły kształt wałów i położenie ich nad samym Tybrem, dziwnie się już na scenę fajerwerku nadaje. Za danêm hasłem z działa, trzy najprzód ogniste balony wzniosły się jednocześnie w powietrze; i tuż zaraz kilkaset rac razem śmignęło w górę z całéj okrągłości wałów, i cały zamek osypało gwiazdami; i tuż zaraz ściany tych wałów zapłonęły w ogniste festony, z herbem papiezkim i z tyarą w pośrodku. A cóż dopiéro mówić o różnobarwnych młynkach, kołach, fontannach, kaskadach, które wciąż, siejąc iskry i gwiazdy, kręciły się, tryskały i spadały do Tybru,

dwojąc się w jego falach i gasnąc w nich z trzaskiem i sykiem; aż nakoniec wybuch wulkanu, zionąc tysiącami szmermelów i tęczowym ogniem bengalskim, zamknął to dwugodzinne cudne widowisko. Gdyby za czasów Nerona znano proch i pirotechnikę dzisiejszą, nie potrzebowałby palić Rzymu, aby się dziwom ognia przypatrzyć, i pewnoby na takim fajerwerku poprzestał.

Widzisz więc z tego wszystkiego, że jest mi czego powinszować świąt w Rzymie; a że list ten jest już dowodem, że mimo tylu i tak nowych wrażeń, ciągle jednak myślałem o was: toć mam, zdaje się, wszelkie prawo myśleć, i że wy téż dzieląc się jajkiem, cząsteczkę jego, przeznaczoną dla mnie, rozdzielicie pomiędzy siebie.

My jutro raniuteńko z pp. Ankwiczami jedziemy na cały dzień do Tivoli, a potém mamy jeszcze w projekcie dalsze peregrynacye za miasto. A więc tymczasem *Dobranoc*, i na dziś, *Finis!*

XVII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 14 kwietnia 1830 r.

Tłómaczu Horacego! wiem, że tobie gwoli
Powinienbym szeroko pisać o Tivoli,
Gdzieśmy wczoraj dzień cały, jak on co rok latem,
Poili się téj saméj aury aromatem,
Zachwycali wzrok temiż wdziękami natury,
Patrząc na Rzymskie pola i Sabińskie góry,
I nastawiali ucha na szum téjże wody,
Przy którym on tam może skandował swe ody,
Lub słodkim, jak my wczoraj, lubując się wczasem,
Spacerował z Wirgilim, albo z Mecenasem.

Ale cóż, kiedy ja sam w téj chwili jestem tak niewywczasowany, zmordowany i roztrzepany, że ani sposób myśleć o skupieniu myśli; i przez gwałt tylko biorę pióro do ręki, aby choć tylko dla ciągu, naszkicować jako tako to *wczoraj*; bo na *dziś* i na *jutro* mamy już tak szczelne programy, że innéj chwili na to mieć nie będę; a zaś pojutrze znowu wyjeżdżamy w góry, i to na całe trzy dni, do *Subiaco*. Szczęściem, że droga idzie przez Tivoli, gdzie znów pewno popasywać będziemy, a więc będę mógł jeszcze dodać co, albo sprostować. I w tym celu list ten myślę wziąć z sobą i kontynuować w podróży, gdzie i jak

wypadnie. A kto wié nawet, czy téj saméj metody nie zastosuję i do następnych listów przed wyjazdem z Rzymu. Bo wyjazd ten ma nastąpić z początkiem maja; a tyle jeszcze mamy do widzenia, tyle rzeczy do załatwienia, tyle wizyt do oddania, że na długie pisanie czasu pewno nie będzie. A zresztą każdy dług łatwiéj spłacać ratami, niżeli ryczałtem.

Ale jedźmy już do *Tivoli!* — Towarzystwo to samo, co do *Genezzano*. Garczyńskiego nie trzeba już było namawiać. Recept mój poskutkował widocznie. Panienki mówią już o nim: że miły; a on mi sam powiada, że ani wiém, ani domyślić się nie mogę, co dlań i ile dobrego zrobiłem. Intryguje mię to moje niewiadome dobrodziejstwo, ale dałem już pokój próżnym zapytaniom, i tylko jako dobrodziej śmieléj hołdu posłuszeństwa wymagam i drappuję się w togę Mentora. On się temu bez oporu poddaje, i kochamy się wzajem coraz bardziéj. Otóż tedy jedziemy do Tivoli. Ja dla miłości jego, żeby jechać z nim razem, zrzekłem się nawet miejsca w powozie z damami, które na mnie przypadało z kolei, i odstąpiłem je znowu Strzeleckiemu. Chociaż była w tém i druga przyczyna.—„*Vivre et laisser vivre*,“ jest to moja ulubiona dewiza. A że lubię sam lgnąć do ludzi; więc téż nie czuję większéj przyjemności nad tę, jak kiedy mogę kleić i wiązać między sobą tych, których sam lubię. Na Strzeleckim przekonałem się niedawno, że i egida Minerwy nie zasłania śmiertelnych od strzał Kupidyna. Poznawszy go, byłem pewny, że on kamiennym tylko boginiom hołduje; aż tu

raptem niespodziewanie błysło mi nowe światło, jak *zajączek* w oczy. Widzę, że w obec panny Marcelliny, uczony nasz archeolog podziela los Pigmaliona; biéda tylko, że bardzo wątpię, czy mu ta nowa Galatea da się wywieść ze stanu zimnego marmuru. Témbardziéj wszakże chciałbym mu dopomódz, że się także dowiedziałem przypadkiem, iż mię z początku miał i brał za rywala, i szlachetnością tylko swego charakteru musiał zapewne w sobie przezwyciężać uczucie, jakie w nim to przypuszczenie względem mnie mogło obudzać. Teraz to już całkiem minęło; i choć nie jestem jego konfidentem, on wié jednak, że go odgadłem, i odtąd w całém postępowaniu mojém widzi we mnie szczerego swego sprzymierzeńca, który mu choć w ten sposób chciałby odwdzięczyć przymierze w interessach Adama. Interessa te, od świąt zwłaszcza, zdają się stać lepiéj, niż kiedy; i przeto wszyscy w różowych humorach, jedziemy i dojeżdżamy nakoniec do Tivoli—ominąwszy po drodze, jak i ja tu omijam, siarczane jezioro *Solfatara* i sławny grobowiec rodziny *Plautia*, do pomnika *Cecylii Metelli* podobny; oraz sławniejszą jeszcze *Villa Adriana*, którą dopiéro mamy zwiedzić wracając.

Tivoli, dawne *Tibur*, ulubiona niegdyś rezydencya letnia wielkich panów i poetów Rzymskich, jest dziś bardzo ładném miasteczkiem, na pochyłości skalistego wzgórza, porosłego lasem oliwnym. Oprócz historycznych pamiątek i malowniczych widoków, zaleca się i słynie zwłaszcza swemi wodospadami, jak Szaffuza kataraktą Reńską. Rzeka *Anio* albo *Anie-*

ne, zwana dzisiaj powszechnie wielkim, a raczéj grubym Tybrem, *Teverone*, (gdyż jest to zgrubiałe nazwanie Tybru (*Tevere*), odpowiadające naszemu *Tybrzysko*), roztrąca się tu i przedziera przez skały, znać trzęsieniem ziemi rozpadłe, i z szumem, rykiem, łoskotem, hałasem, wali się z wysokości w przepaście, tworząc większe i mniejsze kaskady, tak zwane *Cascatelle*, które w piękności nie ustępują Alpejskim. Po nad główną, nad samém urwiskiem góry, wznosi się owa sławna świątynia Sybilli, która za wzór służyła Puławskiéj. Niewielka, ale prześliczna i dobrze zachowana. Kształt ma okrągły, i otoczona kolumnami. Druga obok czworograniasta, miała być świątynią Westy, a dzisiaj jest kościołem Ś-go Jerzego.

Napatrzywszy się z góry skoków katarakty, poszliśmy widzieć ją z dołu, na samo dno przepaści, do tak zwanéj *Groty Neptuna*. Jest to pieczara, albo jama w skale, nie wykuta, lecz naturalna, gdzie zapieniona woda lecąc z góry, wpada, „wre, szumi, i huczy, i pryska;“ kłębi się i paruje jak w kotle na ogniu; aż jak z kamiennéj wanny, za wyjęciem szpuntu, leci gdzieś daléj w otchłań niedojrzaną. Jeśli może pamiętasz w *Fire-Worshippers* (Czcicielach Ognia) Moora, opisanie podziemnéj jaskini, przez którą Gwebry płyną ze swą branką:

„*Gloomy, as that eternal porch,*
„*Through whid departed spirits go.*“

(Czarnéj jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie potępieńcy idą);

to masz wyobrażenie i téj, i drugiéj jeszcze podobnéjże pieczary, zwanéj *Grotą Syren*, po drugiéj stronie téjże katarakty, gdzieśmy omal nie pokręcili karków, schodząc po stroméj, wązkiéj, a śliskiéj od błota ścieżynie. Nie szliśmy jednak wcale z miną potępieńców, podając rękę aniołkom; a co we środku, to ubawiliśmy się owszem po studencku, oblewając się nawzajem wodą, co nas już sama przez się oblewała rosą. Było to na pamiątkę wczorajszego *Szmigusu*. Adam tak mi chlusnął za kołnierz obiedwiema rękami, że literalnie na plecach byłem zmokły do nitki, i bałem się żeby febry nie dostać. Śpieszyliśmy więc wyjść co prędzéj na słońce, nie uważając wcale na uczony wykład Strzeleckiego, który damom początek i znaczenie *szmigusowego* zwyczaju tłómaczył. Za czasów pogańskich było to ku czci bogiń rzek i jeziór, w chrześcijańskich zaś zostało jako pamiątka chrztu ludu za Mieczysława. Panienki téż nie bardzo słuchały, i więcéj je zajmowały wyścigi nas młodszych, cośmy się chcieli przez to rozgrzać i rozruszać.

Od Zachodu góra, na któréj leży dzisiejsze Tivoli, dzieli się od przeciwnéj głębokim wąwozem, który stanowi główną piękność miejsca. Do niego to spadają sławne *Kaskatelle*, tworząc rzekę płynącą w głębi. Piérwszy spad ma dwa piętra i pięć głównych gałęzi; drugi i trzeci liczą ich także po kilka. Pochyłość przeciwnéj góry porosła starym lasem oliwnym; owoc z drzew dotąd niezebrany. Przeszedłszy most nad częścią rzeki zwanéj *Wodą Złotą*, wchodzi się do *Villi Mecenasa*, nad samym spadkiem kaskatel, pa-

nującéj nad całym wąwozem, z widokami na Kampanią Rzymską i na góry Sabińskie. Obwód jéj rozciągał się niegdyś szeroko; pod nią zaś podziemnym tunelem przechodziła jedna z wielkich dróg Rzymskich, *Tiburtina*. Dotąd widać ślady portyków otaczających niegdyś wewnętrzny dziedziniec, gdzie było pewnie miejsce biesiad i rozmów uczonych, a także i ślady piwnic, zkąd téż pewnie przynoszono ów *Falern*, z którego biesiadnicy czerpali natchnienie. My także naśladowaliśmy ich pod tym względem, tylko że pijąc *Bordeaux* a nie *Falern*, i to nie w téj klassycznéj villi Mecenasa, ale w sąsiedniéj romantycznéj *Villi d'Est*, gdzie Ariosto, jak mówią, bawiąc na dworze właściciela jéj, Kardynała, większą część swego *Orlanda* napisał. Widocznie Muzy lubiły to miejsce, choć w innéj zapewne toalecie wdzięczyły się do Ariosta, niż do Horacyusza albo Katulla, którego villa jest także w pobliżu. Horacyusz miał swoję daléj w górach, gdzie dopiéro w Piątek będziemy. Tymczasem z rozkazu pana Ankwicza przyniesiono nam do villi d'Est nasze zapasy podróżne i parę potraw z oberży, i chociaż pod cieniem cyprysów, biesiadowaliśmy bardzo wesoło. Nadewszystko radbym ci powtórzyć *in extenso* długą i nader ożywioną rozmowę, *à propos* Horacyusza, w któréj Adam, jak najżarliwszy klassyk, z zapałem godnym Koźmiana, stawał w obronie piękności formy i języka w poezyi, w któréj Garczyński, Strzelecki i panienki samych tylko wysokich myśli i uczuć szukali. Cała różnica między nim a warszawskimi naszymi klassykami jest w tém, że ci panowie

w formie i języku widzą tylko architektoniczny porządek i retorykę stylu, on zaś pod temiż samemi wyrazami rozumie harmonią, ton i koloryt słowa, bez których żadna sama myśl i uczucie poezyi nie stworzy; kiedy przeciwnie sama piękna forma i język, niezależnie nawet od treści, mogą obudzać poetyckie wrażenie, jak melodya piosnki, nócona bez wyrazów. Są nawet poeci, którym sama forma i język imię to zapewnia, chociaż pod względem treści, do retorów właściwiéj należą. Takim jest u nas Trembecki. Wiész, jak go Adam uważa za mistrza, i jak wszystkim nam kazał studyować go i uczyć się na pamięć; kiedy tymczasem Krasicki, prawdziwy i wielki poeta, pomimo całéj doskonałości formy i języka, która słuszną admiracyą obudza, za wzór w tym względzie drugim służyć nie może; bo jest to jego przyrodzona własność, która stanowi wprawdzie cechę każdego istotnego poety, ale sztuką drugiemu naśladować się nie da. O to szła właśnie gorąca dysputa, w któréj ja byłem tylko jak zakrystyańczyk, dosypujący do trybularza kadzidła, to jest, zdobywałem się na cytaty przykładów ku poparciu twierdzeń Adama. Między innemi przytoczyłem téż i twóję strofkę:

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niéj pływa cień gondoli.

Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę barkaroli.“—

Adam zaś, *à propos* otaczających nas cyprysów, deklamował z niemniejszém upodobaniem, i to po razy kilka, wiersz Olesia:

„Cyprys wzrostem swym dumny,
W Maju nawet ponury,
Smutnie wznosi do góry
Kształt grobowéj kolumny;“—

mówiąc przytém, że za każdém spójrzeniem na cyprys, wiersze te przychodzą mu na pamięć. Ale nie widziałem go nigdy tak rozpływającego się nad pięknością wiersza i tak deklamującego z rozkoszą i zapałem, jak gdy cytował strofkę Trembeckiego:

„Czy to Lapońskie zaprzężesz renny,
Które cię w szybkiéj przyślizną sani,
Czy to z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiedź nas bani.“

Powtarzał to razy z dziesięć, zmuszając wszystkich słyszeć i widzieć w tych wierszach: i brzęk dzwonków zimowéj uprzęży, i połysk gładkiéj drogi po śniegu, i szybkość koni i jazdy, i nakoniec poważne wzdymanie się balonu!...

Pomimo wszakże wszystkich tych cytat i przekonywań, pokazało się nakoniec, że my tylko, uczniowie Borowskiego, mamy widać wszczepione nam przezeń to jakieś muzykalne poczucie i upodobanie w saméj harmonii słów i rytmu wiersza, bez względu na myśl jego i znaczenie. Adam zaś za powrótem do domu, szeroko o tém rozmawiając ze mną, uważał owszem za dobry symptom w ogóle czytelników, że

się nie dają uwieść saméj formie; chociaż to wcale nie powinno zwalniać piszących od jak najtroskliwszego baczenia na formę. Bo jakkolwiek może profani doskonałości jéj nie potrafią ocenić szczegółowo; usterk każdy niezawodnie poczują; a przez to i ogólne wrażenie się spaczy.

Ale masz tobie! Miałem pisać króciutko, a widzę że znów wpadłem w zwykłą moję wadę—gadulstwo. Wybacz! nałóg druga natura. Zatoż nie wrócę już do Tivoli, chyba znowu pojutrze, i o *Villi Adriana*, którą przelotem tylko przebiegliśmy o zmroku, przelotem téż powiem tylko, co ona jest: bo jak jest, to sam chyba pojutrze lepiéj za dnia obaczę.

Wiész, że kiedyś Rzymianie, podbijając kraje, nie tylko królów ich, ale i bogów zabierali w niewolę, i przewiózłszy w tryumfie za wozem zwycięzcy przez Romę, stawiali ich potém w Panteonie. Otóż coś na wzór tego, Cesarz Adryan, objechawszy swe państwo, cokolwiek widział w niém gdzie pięknego, pod względem architektury, chciał to zawsze mieć przed oczyma, i w tym celu wybrawszy sam stosowne miejsce, kazał na niém budować wierne kopie wszystkich tych gmachów, które mu przed innemi utkwiły w pamięci. Tym sposobem powstał prawdziwy „Panteon gmachów,“ jak go trafnie nazwał Garczyński, to jest, na przestrzeni mającéj obwodu dwie mile nasze, stanęły obok siebie najpiękniejsze: świątynie, teatra, cyrki, thermy, łuki, portyki, egipskie i greckie, otaczające pałac cesarski. W ogrodzie zaś urządzono

podobieństwo najsławniejszych okolic, jak np. dolinę *Tempe*, *Pola Elizejskie*, *Tartar*, i t. d. Niepraw-daż, że rezydencya wspaniała? Ale dzisiaj z tego wszystkiego to tylko *ruina ruin*, emblemat do dewizy: „*Sic transit gloria mundi!*“

Dla rozrywki więc téj smutnéj myśli, masz tu jeszcze anegdotkę o Adamie, która nam śmiechem wczoraj zakończyła dzień. Powróciwszy o 11 do domu, długośmy jeszcze gadali. Lampa paliła się na stole. Adam tak był zajęty przedmiotem rozmowy, że wypaliwszy jednę fajkę, z pośpiechem nałożył drugą, i trzymając ją w ustach wspartą na stoliku, zaczął krzesać ogień krzesiwkiem. Rozumiałem że go to bawi, i nic nie mówiłem. Ale gdy wnet uderzywszy się w palce, rzucił z gniewem krzesiwko o stolik i zrobił gest jak do wyjścia—co się często zdarzało— po ogień do kuchni; parsknąłem śmiechem wskazując na lampę. Rozśmiał się także szczerze, i *diapazon* rozmowy z poważnego przeszedł w wesoły. Adam obiecuje mi wydać świadectwo na piśmie, z przyłożeniem herbowéj pieczęci, dla przesłania go Czeczotowi, że jestem dlań nie tylko dogodnym, ale potrzebnym i pożytecznym towarzyszem podróży. *Vale!*

---

15 kwietnia, rano.

Macedończyk Wodzicki dawał nam wczoraj obiad pożegnalny *al Lepre*, bo za dni kilka wraca do Kra-

kowa. Od czasu marsowéj jego względem mnie intencyi, żyliśmy z nim w ściślejszéj unii niż przedtém. Czystéj krwi z Lechitów Lechita! Serce złote, ale głowa jak balon. Kierować się nie daje, ale buja zawsze wysoko.—Obiad był bardzo wesoły. Było osób jak raz dwanaście, i to z różnych okolic kraju. Adam z przedziwnym dowcipem charakteryzował odcienia każdéj. Dostało się przytém każdemu; ale się nikt za prawdę nie gniewał. Gdy zaś przyszło do *kochajmy się*, Judasza pewno między nami nie było.—Przed obiadem Adam zaprowadził do państwa Potockich i zaprezentował im Karczewskiego, o którym przedtém już mówił. Skutkiem tego zamówili u niego kilka obrazów z widokami Rzymu, a uprzejmą grzecznością ujęli samego artystę. Obie panie szczególniéj, (pani Arturowa i pani Alfredowa), są dla mnie ideałem powagi i wspaniałości królewskiéj; co w nich wcale nie zmniejsza uprzejmości, ani słodyczy niewieściego wdzięku.—Następnie oddaliśmy kilka wizyt *pour prendre congé*, między innemi u Verneta. Z miłą panną Luizą rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Obiecała że nie zapomni o nas, i wyznała: *qu'elle aime beaucoup les Polonois.*" — Z obiadu wprost, z połową gości, poszliśmy do Parczewskiego, i przebyliśmy tam cały wieczór. Ma się niby to lepiéj. Doktor wysyła go w góry.

Tak więc za dni niewiele rozpierzchniemy się wszyscy w różne strony świata. Bo i xiężna Zeneida, z całym domem, wyjeżdża téż na czas jakiś w góry. Państwo Ankwiczowie wracają do Galicyi, ale

znów na rok przyszły mają przybyć do Rzymu. Strzelecki z młodym xięciem jedzie z nimi razem. Jedna tylko pani Klustin, z panną Anastazyą, wybierają się w jednę drogę z nami, do Neapolu, a potém ztamtąd do Genewy, gdzie i my także w końcu lata być mamy. Zapraszają nas bardzo uprzejmie szanowni ziomkowie Tella, którzy sami także w tych dniach uciekają ztąd od skwarów i *malaryi* na brzegi błękitnego *Lemanu;* a najukochańszy mój staruszek Bonstetten obiecuje zaprezentować mię wszystkim najpiękniejszym jego Ondynom, od których on sam, jak stary fenix na stosie od słońca, czerpie siłę na przyszłe odrodzenie. Od poczciwego także Allana miałem list z Neapolu, przed samém wsiadaniem na okręt, na którym do Kadyxu popłynął. A mieliśmy téż listy z Wejmaru. Pani Ottilia bardzo czule pisała do Adama, oświadczając mu uprzejmą pamięć *Papy* i wszystkich innych mieszkańców Wejmaru, w których wspomnieniach on, (jak się wyraża), „jasny ślad swego przejścia zostawił.“ Pan August wybiera się do Włoch; i sam w przypisku do listu żony dodaje: że w każdém mieście będzie się dopytywał o nas w ambassadach, żeby się z nami mógł spotkać. My tymczasem w tych dniach już niewątpliwie czekamy tu przybycia Adolfa (Januszkiewicza), którego dotąd stan zdrowia zatrzymywał po drodze. Tak to ludzie, jak paciórki w kalejdoskopie, zbiegają się i rozbiegają w tém życiu, tworząc coraz to nowe gruppy i figury! W ilu to już takich figurach i ja także figurowałem, a składające je niegdyś pació-

reczki, gdzie się to już do dziś dnia nie rozsypały po świecie, i pewno się już na nim w tę samę figurę nie zbiegną! Bogu dzięki przynajmniéj — i daj Boże w dobrą chwilę powiedzieć! — że żadna z tych, które były najbliżéj, (oprócz jednego Ludwika Spitznagla), nie stoczyła się dotąd w otchłań wiecznego rozstania. I gdyby mi dziś umrzeć przyszło, to kto wié, czy nie najlepszym może moim *ciceronem* w świecie duchów, byłby właśnie ten sam Emmanuel Lachnicki, który mi tu najwięcéj mówił o duchach; i takby może uprzejmie oryentował mię na tamtym świecie, jak raczył oryentować w Warszawie. Bo nie wiém czy ty wiész lub pamiętasz, że jadąc piérwszy raz do Warszawy z moim krewnym w r. 1825, zjechaliśmy się na popasie za Grodnem z Lachnickim, który jechał téż swemi końmi, i odtąd ja całą dalszą podróż z nim razem w jego powozie odbyłem. To zaś musisz wiedzieć na pewno, że był to swego czasu najgorliwszy *Magnetyzer* w Wilnie; redaktor i główny autor „Pamiętnika Magnetycznego,“ który własnym kosztem wydawał. Otóż główna nasza rozmowa w podróży była ciągle o świecie duchów, których ja się naówczas po studencku tylko lękałem, a on przeciwnie z niemi po bratersku w myśli obcował. I, Panie świeć nad duszą jego! nauczyłem się wtedy od niego wiele dobrych rzeczy, które tém głębiéj utkwiły mi w pamięci i w sercu, że będąc wkrótce świadkiem jego chwil ostatnich, i patrząc potém na wyraz pięknéj jego twarzy na marach, poczułem po raz piérwszy sam w sobie, że śmierć nie jest tak straszną jak ją malują,

kiedy się ją z krzyżem w sercu spotyka, a idzie się za nią w świat duchów. Mimo to, nikt pewno rzewniéj nademnie nie płakał po nim w Warszawie; tém bardziéj, że cała wtedy Warszawa była głównie zajęta pogrzebem Staszica.

Ale nie myśl, że piszę to dla tego tylko, aby ćwiartkę czémkolwiek zapełnić; gdyż jest to owszem w związku z programem naszym na dzisiaj, i w ogólności z zamiarem moim, ażeby ci w tym liście coś o wszystkich tu bliższych naszych znajomych powiedzieć.—Otóż obiadujemy dzisiaj u państwa Dernałowiczów, to jest, właściwiéj mówiąc, u niéj saméj; bo on sam możeby nas nie prosił, a mybyśmy téż może nie poszli do niego. Ale co u niéj, to ja zwłaszcza bywam najczęściéj jak mogę, i niestety, widzę coraz wyraźniéj, że dni jéj są policzone, chociaż sama wcale tego nie czuje. Biédna kobiéta! nie dla tego, że ma umrzeć tak młodo, ale że musi umierać, kiedy tak jeszcze żyć pragnie. Nieraz słysząc ją projektującą na przyszłość, czuję jak mi się łzy cisną do oka, i prawie zawsze wtedy myślę o Lachnickim, o którym téż i bez tego codzień przy pacierzu wspominam. — Zatoż wieczór dzisiejszy obiecuje nam być bardzo wesołym, bo razem z całém polskiém towarzystwem jesteśmy zaproszeni do xięztwa Sanguszków. Xiężna Iza codzień piękniejsza!

Dnia 16 kwietnia, godzina 5 rano.

Wychodzimy na *Via Mercède*, zkąd mamy jechać zaraz do *Subiaco*. Półarkusz ten biorę z sobą,

wraz z kałamarzykiem podróżnym, aby nań tuż *in loco standi* jak mak świéże wrażenia otrząsać.

Godzina 10, Villa Adriana.

Ach! co za ranek! ach! co za wonność!
Ach! co za drzewa! co za zieloność!
Istny tron Fauny, Flory i Wiosny!
Mirt, laury, dęby, cyprysy, sosny,
A takie stare, olbrzymie, dziwne!
I pełne jagód lasy oliwne,
I pełne kwiatów łąk ich kobierce,
Tak rozrywają oczy i serce,
Że choć chcesz myśleć o miejsc tych losie,
Jak o umarłych w Wilnie na Rossie [1]:
Darmo! bo urok życia natury
Tak bije na cię z dołu i z góry,
Że ani sposób czuć, choć pamiętasz,
Że ten gaj, ogród, Eden—to cmentarz!

I oto masz summę wrażeń, jakie wynoszę z Villi Adriana, gdzieśmy przez całe dwie godziny nie chodzili, ale biegali, uciekając od Strzeleckiego, który chciał nam wszystko tłómaczyć, podczas kiedy my tylko z wszystkiego chcieliśmy zbierać samę śmietankę wrażeń. Teraz trzeba już jechać, bo pan Ankwicz pędza, a Strzelecki tuż przy mnie kłóci się z panienkami, zarzucając im i całéj płci niewieściéj, że dla sensacyj po drodze, gotowe zawsze zapomnieć

[1]) Nazwanie jednego z cmentarzów Wileńskich.

o głównym celu podróży.—Piszę to na zwaliskach tak zwanych *Cento Camarelle*, to jest koszar gwardyi Pretoryańskiéj, które były tuż obok pałacu Cesarza.

Godzina 1 po południu, Vicovaro.

A co to jest Vicovaro?
Młyn, w wąwozie, nad pieczarą,
Albo raczéj nad otchłanią,
Gdzie się wody rzeki *Anio*
Walą, pienią, wrą, bałwanią.
A nad niemi, w kształcie łuku,
Most aż zda się drży od huku,
Jak my na nim, patrząc w przepaść,
Drżym ze strachu, by w nią nie paść.
Teraz panowie i panie
We młynie jedzą śniadanie,
Ja to piszę na kolanie,
A wnet mamy wsiąść na osły,
By nas daléj w góry niosły.

Bo wśród tych to gór (Sabińskich) leżała sławna owa villa Horacyusza *Ustica*, któréj ślady mamy oglądać; i najpiękniejsza droga tędy do Subiaco jest tylko dostępną dla osłów, albo dla tych, co sami jak osły wolą iść raczéj, tak jak ja, piechotą. Do Tivoli aniśmy zajrzeli. Zostawiamy to sobie na powrót.

Godzina 3, Colle del Poetello.

Tak się nazywa dziś miejsce, gdzie miała stać jakoby villa Horacyusza; gdyż prócz sztucznego znać

nasypu ziemi, tworzącego spłaszczony pagórek, żadnych ruin nawet nie widać, a wkrąg na nim zasiane proso, odejmuje mu nawet poważny pozór mogiły. Tuż po za nim wznosi się góra *Monte del Corgnaletto*, o któréj poeta w swych wierszach pod imieniem *Lucretilis* wspomina; nazwisko zaś bliskiéj wioski *Rustica*, widocznie od dawnego *Ustica* pochodzi.— Nie było więc tu po co drapać się po górach. Ale droga piękna i miła. Strzelecki deklamuje wyjątki z *Ód* i *Listów;* Adam idzie tuż przy osiołku panny Henryetty, który zląkł się był czegoś i omal jéj nie zrzucił. Ja także deklamuję czasem to i owo, i assystuję zwłaszcza saméj pani Hrabini, która mię za to z osiołka parasolką swoją osłania. W ogólności wesoło i gwarno; wszyscyśmy w różowym humorze; a choć upał nieco dokucza, cień drzew i wonny powiew górskiego zefiru odświéża powietrze i myśli. Odpoczęliśmy, i ruszamy daléj.

Godzina 7, Subiaco.

Uf!!! Po sześciu godzinach wędrówki, można w siódméj, i warto odpocząć. *Locanda* wcale nie zła; mamy pokój osobny o dwóch łóżkach. Adam wylega się na swojém, a jest bardzo kontent z podróży. Ja téż, jak ów Dafnis w sielance, przypędziwszy „ucieszne kozy:“

„Przylegnę, i strudzenia, lubo snem swobodnym,
Lubo będę zabywał“—(on co nie był głodnym,
Łatwo sobie mógł mówić), „śpiewaniem łagodném;“

ale co ja, to chyba dymem cygara będę oszukiwał podniebienie, nim nas zawołają na obiad. Ale u was dziś Wielki Piątek; więc nawet poczuciem głodu miło mi jest łączyć się z wami.

Godzina 11 w nocy.

A co to jest Subiaco? Jest to dość spore miasteczko (6,000 mieszkańców), jak wszystkie średniowieczne włoskie, ciasne, ciemne i niezalecające się czystością. Ale położenie malownicze: na pochyłości skalistéj góry *Cavo*, ślicznym gajem porosłéj; nad głębokim wąwozem, między nagiemi, wysokiemi skałami, w który rzeka spada kaskadą. Sława atoli miejsca, która nas tu ściągnęła, polega mianowicie na tém, że tu powstał najpiérwszy klasztor Benedyktynów, a przedtém jeszcze sam Św. Benedykt, założyciel zakonu, w końcu V wieku, trzydzieści lat na pustyni przemieszkał. Siostra tylko jego, Św. Scholastyka, nie chcąc rozdzielać się z bratem, którego całą duszą kochała, wybłagała téż sobie pozwolenie, aby mogła w pobliżu jego, także jako pustelnica zamieszkać. Dziś obok grot w rozłomach skały, w których żyli samotnie oboje, raz na rok się tylko widując, wznoszą się piękne kościoły i klasztory Benedyktynów i Benedyktynek, sławne jako pomniki architektury gotyckiéj z XI i XIII wieku. Wszystko to mamy zwiedzać i oglądać jutro, pod przewodnictwem zapewne samego Opata, do którego pan Ankwicz ma list polecający z Rzymu. Dziś tylko po obiedzie, prawdziwie Wiel-

ko-piątkowym, odbyliśmy po ziętycn pielgrzymkę do obu tych grot pustelniczych, a wspominając wpływ i zasługi zakonu Benedyktynów w chrześcijaństwie i cywilizacyi nowożytnéj, Adam zestawiał te groty z widzianą dzisiaj rano Villą Adriana. Tam pan świata, nazwany i mieniący się Bogiem, buduje sam sobie, jak Bogu, najwspanialszy na świecie przybytek, bo ze wszystkich najwspanialszych gmachów świata złożony: a jakaż zeń korzyść dla świata? jakiż po nim ślad dzisiaj na świecie? Tu człowiek przez miłość dla Boga wyrzekający się świata i ludzi, aby tylko swą duszę, na obraz Boski stworzoną, za śladem Syna Bożego, ku doskonałości Ojca przybliżyć: staje się, nie myśląc sam o tém, jednym z największych dobroczyńców świata i ludzkości, cywilizatorem barbarzyństwa, krzewicielem rolnictwa i oświaty. I oto po upływie czternastu wieków, kiedy na całéj kuli ziemskiéj, tysiące w imię jego wzniesionych przybytków, chwałę jego niejako z chwałą Bożą jednoczą: sama ta dzika jaskinia, w któréj krył się przed światem, jest dziś przedmiotem czci pobożnéj dla tych, którzy z obojętnością, jeżeli nie ze wzgardą, przed godzinami kilku gruzy villi Cezara deptali. A tenże sam Totilla, król Gotów, który właśnie villę tę zburzył, czyż on sam, jak powiada legenda, nie upadł na kolana przed tym pustelnikiem, ślubując zaprzestanie okrucieństw, o które go mąż święty, bez względu na swe własne bezpieczeństwo, strofował? Trzebaż wymówniejszego dowodu, kto rzeczywiście rządzi i panuje nad światem: Cezar, czy Bóg? ciało czy duch? albo wyrazistszego

symbolu, gdzie duch taki, który Bóg bierze za narzędzie swoje, woli i może raczéj rezydować na ziemi: czy w Villi Adriana, czy w jaskini Subiaco? to jest, czy w potędze i pysze światowéj, czy w świętości i w pokorze chrześcijańskiéj? Adam mówił to wszystko tak prosto, ale zarazem z takiém namaszczeniem, że go wszyscy jak kaznodziei słuchali, i nikt nie śmiał wziąć tego za temat do potocznéj dalszéj rozmowy. Ja tylko nieco późniéj, pozwoliłem sobie téj przyjemnostki z Garczyńskim, że przedłużałem daléj tęż miarę porównania pomiędzy Św. Benedyktem a Heglem *et Compagnie*. Dobranoc!

Subiaco, 17 kwietnia, godz. 6 rano.

Dzień dobry! Nie śpię już od godziny. Obudził mię szczególniejszy jakiś gwar pod oknami. Spójrzę, aż tuż na placu fontanna kamienna, otoczona żelaznym poręczem, a wkoło niéj tłum dziewcząt większych i mniejszych. (*Notabene*, kobiéty w tych okolicach słynne są z piękności, i ubiór mają bardzo malowniczy, tak, jak np. u nas w Biłgoraju). Otóż mnóstwo tych miłych żyjątek, z kształtnemi miedzianemi naczyniami na główkach, przychodzi wciąż i odchodzi, i kupi się, i śmieje się, i gwarzy, i swawoli, czerpiąc wodę z fontanny. Bawił mię niezmiernie ten widok, ale póki spał Adam, okna otworzyć nie śmiałem. Ubrałem się tylko co prędzéj, i gdy się nakoniec obudził, otworzyłem, i zacząłem się kłaniać bardzo grzecz-

nie przez okno. Postrzegły to i raptem zamilkły; ale wszystkie patrzały ku mnie, a niektóre i główką kiwały nawzajem. Adam zburczał mię po mentorsku, grożąc, że jeszcze Włoch jaki gotów przyczepić się i sprawić mi za to *bastonadę*. Nie dla tego jednakże nie mogłem zejść na dół, ale że wszyscy zaraz idziemy do kościoła.

Godzina 3 po południu.

Upał taki straszny na dworze, że choć smaż naleśniki na słońcu. To téż odbywamy *siestę*, siedząc każdy w swym kącie, z żaluzyami zamkniętemi u okien, a po klasztornym obiedzie u OO. Benedyktynów. Jesteśmy więc jak prawdziwi pielgrzymi, których zwykle podejmują klasztory. Ojciec *Tommaso*, Opat, poważny i uczony jak widać człowiek, robił nam sam honory domu, pokazując po nabożeństwie kościół, klasztor i ogrody klasztorne, gdzie sami xięża, stosownie do reguły zakonu, uprawiają jarzyny, zboże i wino. Opisywać ci tego nie będę, równie jak i kościoła Św. Scholastyki, dokąd z polecenia Opata przewodniczył nam także bardzo poważny kapłan, *Padre Benedetto*. Wspomniałem już zdaje się wyżéj, że to są sławne zabytki najdawniejszéj gotyckiéj architektury we Włoszech. Wprost ztamtąd, mimo grot świętych, powróciliśmy na godzinę piérwszą, na zaproszony obiad w refektarzu, gdzie już xięża swój byli skończyli. Obiad był postny, rybny, i wcale niewymyślny;

ale oprócz uprzejmości i światłéj rozmowy gospodarza, zaprawiał go nam szczerą wesołością jowialny humor Brata Kanaparza (*Fra Angelico*), który nam sam posługiwał do stołu, i z każdego półmiska, który przynosił, sam w bardzo dowcipny sposób, zachwalając go niby, żartował. Na jarzynę, obok cienkich i całkiem zielonych szparagów, były jakieś gorzkie korzonki, które się zowią nawet *Cardi Benedicti*, na pamiątkę, że sam Św. Benedykt karmił się niemi żyjąc tu w pustyni, a potém ich uprawę braciom zakonnym zalecił. Ale oprócz tych *kardów*, są tu jeszcze i specyalne *róże Św. Benedykta*, rosnące dziko wkrąg jego kapliczki, szczególnego istotnie i jakby krwistego koloru. Legenda o nich jest taka. Kiedyś były to róże zwyczajne. Ale raz Święty, dręczony jakąś pokusą, nie mogąc jéj pokonać inaczéj, rzucił się między ich ciernie, i tarzał się w nich dopóty, aż się całkiem krwią jego oblały. Odtąd kwiaty przybrały ten kolor. Zaopatrzyłem się w nie jako w talizman, i tobie kilka listków oskubię z nich i poszlę. Zjedz je, lub zaléj jak tyzannę, i wypij. Djabeł nie śpi i czyha na każdego z nas, jak ryczący lew na baranków. A komu nie stać na heroizm Świętych, niech przynajmniéj choć pamięć o nich wesprze go czasem w chwili niebezpiecznéj!

Godzina 11 w nocy.

Czy mi się śniło, pisząc to o trzeciéj, że dziś jeszcze, i to sam na sobie, doświadczę jakby skutku mego ta-

lizmanu, to jest, że doznam wrażenia, któreby samo przez się mogło łatwo stać się pokusą, a które przecież było tego rodzaju, że gdybym śmiał je przypisać sam sobie, mogłoby to mieć minę przechwałki. Przypisuję więc je wyłącznie cudownym różom Św. Benedykta, które mam w pugilaresie na sercu, i powiém ci o tém wyraźniéj, ale tylko poczekaj, z kolei. Najprzód muszę rzecz skończyć z martwemi pięknościami natury; bo domyślasz się już pewno, że tu będzie mowa o żywéj.

Otóż skoro nieco schłodniało, wybraliśmy się w góry za miasto, ażeby się okolicom przypatrzyć. Panorama rzeczywiście prześliczna. Oprócz malowniczego położenia miasta, nad wąwozem z kaskadą i rzeką, widok na okoliczne góry ma jakby coś nadziemskiego. Z jednéj strony góry *Abruzzo*, piętrzące się, zielone, oblane ogniem zachodniego słońca, ciągną się aż do granic Neapolitańskich; z drugiéj, pasma gór Apennińskich, w zasłonie mgły różowo-błękitnéj, gubią się w niedojrzanéj przestrzeni i zdają się gdzieś rozpływać w powietrzu. Śpieszyliśmy jednak z powrótem, mając zapowiedzianą na wieczór rewizytę Ojca *Tommaso*. Fontanna przed oknami naszemi była znów otoczona gronem kobiét czerpiących wodę Mogłem tedy przypatrzyć się im zblizka, i z piękniejszemi nawet próbowałem zawiązać rozmowę. Wtém, patrzę, zbliża się jedna, z małém dzieckiem na ręku, z błyszczącém naczyniem na głowie, w malowniczym stroju Albanek, to jest w bieli i w gorseciku błękitnym. Wpatruję się, i szczerze ci mówię, że skamieniałem

z podziwu. Istna żywa Madonna Syxtyńska! Nie pamiętam, ażeby kiedy jakakolwiek piękność tak nagłe i tak silne zrobiła na mnie wrażenie; a przytém taka jakaś cześć mię ogarnęła, jak gdybym anioła zobaczył. Uczucie to dotąd tkwi we mnie. Garczyński i Feliś Niegolewski, którzy szczęściem stali tuż przy mnie, oddali mi świadectwo, że nie przesadzam w pochwałach, którym wprost na słowa moje, niestety, nikt, a szczególniéj Adam, wierzyć nie chciał. Dowiedziałem się potém o niéj, że jest żoną ubogiego krawca; że słynie w mieście równie z zalet moralnych jak z wdzięków, i że ma godne siebie imię *Angelika.*

Po odejściu więc Ojca *Tommaso*, rozmowa o piękności zajęła nam cały wieczór, i naturalną koleją przeszła do miłości. Strzelecki, decyfrując rano stare nagrobki, wyczytał na jednym, że spoczywająca w nim niejaka *Affra*, z miłości w kwiecie wieku umarła. Ten napis i ta moja żywa Angelika, tak rozmarzyły wyobraźnię nas wszystkich, że sam Strzelecki nakoniec obiecał solennie damom, że napisze z tych tematów powieść, i że w nią wplecie całe nasze grono dzisiejsze. Podziękowaliśmy mu wszyscy za tę łaskę, jeżeliby los Affry miał być treścią dzieła, i zaczęliśmy poddawać każdy swoje pomysły. Adam, ze zwykłą swoją konceptowością, radził na zakończenie bastonadę i spławienie w fontannie admiratora cudzéj żony przy niéj; ja zaś na seryo, oprócz stosownéj treści, proponowałem nawet tytuł: „Róże Ś-go Benedykta,“ i Strzelecki przychylił się ku temu. Wątpię, czy z tego co będzie; ale to planowanie ubawiło nas wszyst-

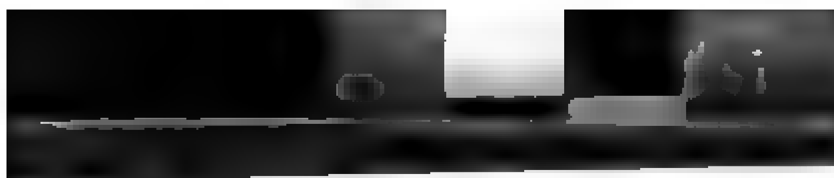
kich.—Teraz już po 12-éj, i właśnie w téj chwili u was muszą się odbywać po kościołach rezurrekcye nocne. A więc i ja ci na *dobranoc* mówię: *Alleluja!*

Dnia 18, Niedziela, godz. 7 rano. Subiaco.

Alleluja i dzień dobry! Wróciliśmy z kościoła i wyjeżdżamy w téj chwili. *NB.* Subiaco nazywało się dawniéj *Sub lacum*, od sztucznych jezior za czasów Nerona, który miał tu swą villę na lato. A więc villa Nerona stała się za czasem pustynią, w któréj mieszkał Św. Benedykt!!! Mój Boże! co się to dzieje na tym globie ziemskim! Słyszałem o tém wczoraj od Ojca *Tommaso* i cały czas dziś myślałem w kościele.

O południu, w Tivoli.

Popasujemy tu i odbywamy *siestę* pod cieniem tychże samych cyprysów w villi d'Est, co piérwiéj. O Tivoli nic więcéj do dodania nie mam. Przy śniadaniu w oberży, Adam kazał gotujące się jaja ugotować na twardo i na czerwono, w łusce od cebuli, i częstował niemi towarzystwo, na pamiątkę święconego dziś u was. Strzelecki gniewał się o to, i po żywéj z tego względu dyspucie, poszedł zły w inną stronę z Gajewskim. My tymczasem „idziemy w bitki," i taczamy czerwone jaja. Mądra zabawa literatów, na ruinach klassycznéj villi Mecenasa!



Godzina 11 w nocy, Rzym.

Otóż i koniec naszych miłych majówek! Ale trzebaż, że jak piérwsza do Fiumicino, tak i ta dziś ostatnia w Villi Adriana, zakończyła się jakby znakiem złéj wróżby. Tam cyganka, tu żmija. Z Tivoli, na resztę popołudnia, zajechaliśmy raz jeszcze do Villi Adryana. Panienki chciały zajrzeć do jakiéjś pieczary, gęstym bluszczem zarosłéj u wnijścia. Adam podając rękę pannie Henryecie, cofnął się nagle i ją wstecz pociągnął. Ujrzał tam bowiem okropną, jak się wyraził, żmiję, całą białą a w centki czarne, z błyszczącemi oczyma, która na szelest wchodzących wspięła się i syczeć zaczęła. Adam tak ją malowniczo opisał, że nieustraszony Strzelecki chciał koniecznie obaczyć ją zblizka. Nie pomogły przekładania Adama i samego p. Ankwicza. Ale gdy w końcu panna Marcellina powiedziała bardzo łagodnie: „Ja pana proszę,“ dał się odprowadzić jak baranek.—Ukazanie się wszakże téj żmii przykre jakoś na wszystkich zrobiło wrażenie, choć je chcieliśmy potém załagodzić żartami.—Ja w powrócie do Rzymu zacząłem w myśli pożegnanie jego, które, zdaje się,że prędko dokończę, a więc przyszlę ci może w przyszłym liście. Ten pieczętuję dziś jeszcze, aby mi już w głowie nie mącił. Bądź zdrów!

— — —

XVIII.

Do tegoż.

Rzym, 20 kwietnia 1830 r., rano

Wiersz gotów i Adolf (Januszkiewicz) przyjechał. Dwa poetyczne fakta dnia wczorajszego. Dobrze, że piérwszy poprzedził drugi, bo po spotkaniu się z Adolfem, nie miałbym czasu myśleć już o wierszach. Ale i samo to spotkanie miało w sobie coś poetycznego. Odniósłszy list do ciebie na pocztę, wstąpiłem do kościoła *San Luigi de Francesi* na mszę, jako w drugi dzień waszego święta. Wyszedłszy z myślą o was, lub deklamując zcicha wiersz świéżo napisany w nocy, nie widzę co się dzieje koło mnie, i wchodzę machinalnie na *Via del Orso*. Aż tu chwyta mię ktoś za rękę i wykrzykuje głośno moje imię. Spójrzę—Adolf! który wczoraj w wieczór przyjechał i szedł najprzód na *Via del Orso* szukać numeru naszego mieszkania. Zaprowadziłem go więc do Adama, gdzie zastaliśmy właśnie Garczyńskiego. Z prawdziwą rozkoszą zaznajomiłem ich między sobą. Obaj mili mi równie, obaj piękni, jak *Dzień* i *Noc* Michała-Anioła; to jest, Garczyński jasny blondyn, Adolf ciemny brunet. Gdybyś był ty i Ignacy, a cóż dopiéro Czeczot, Żegota i Witwicki, miałbym wszystkich najmilszych płci męzkiéj.

Adam ucieszył się niemniéj z przyjazdu Adolfa. Ale biédak cierpiący jest dzisiaj. Boję się, czy się nie zaziębił onegdaj; bo po dniu skwarnym wieczór był chłodnawy, a on cały czas jechał bez płaszcza, i jeszcze mnie ofuknął, niewdzięcznik, gdy go po kilka razy ostrzegałem. Wczoraj zaś, pomimo znużenia, musieliśmy być jeszcze na obiedzie u xięcia Gagaryna, gdyż za powrótem z Subiaco, znaleźliśmy w domu inwitacyą jego na Niedzielę; a gdy wczoraj, na żądanie Adolfa, poszedłem z nim do ambassady, aby go zaprezentować i wyexkuzować się, żeśmy nie byli: xiąże znowu i nas i jego na obiad wczorajszy zaprosił. Między wielu innymi gośćmi, była cudnie pięknie Greczynka, piérwsza z rodu Hellenów, którą w życiu widziałem, i przy któréj siedziałem u stołu. Jéj także imię Helena. Dość niechby taką była żona Menelausa, a nie dziw, że nawet staruszkowie Trojańscy, patrząc na nią, jak mówi Homer, nie śmieli całkiem potępiać Parysa, lub, że ją Grecy tak odebrać chcieli! Wczorajsza moja sąsiadka jest także „cudzym przykuta pierścieniem,“ to jest, żona greckiego konsula w Livorno, przybyła tu w gościnę do krewnych. A jaka przytém grzeczna i rozmówna! Szkoda, że nie ma już czasu korzystać z téj miłéj znajomości. Bo oprócz mnóstwa zajęć przed wyjazdem, muszę być *ciceronem* Adolfa po Rzymie, ku czemu nabyłem już wprawy, spełniając też funkcyą przy Garczyńskim. Czekam właśnie ich obu, aby iść razem na kopułę Ś-go Piotra. Adolf czuje dość siły, aby tę wyprawę przedsięwziąć, a Rzym najprzód chce z góry obaczyć.

O północy.

Licz-że tutaj człowieku na jaką przyjemność! Przyjazd Adolfa miał mi być jakby kopułą pobytu w Rzymie. *Finis coronat opus.* A oto powróciwszy z nim z kopuły Ś-go Piotra, znalazłem Adama tak słabym, że już nie mógł iść nawet na pożegnalny obiad do xiężny Wołkońskiéj, która miała wyjechać jutro, ale dowiedziawszy się o słabości Adama, wstrzymuje się aż ozdrowieje. Nie chciałem téż iść sam jeden, ale Adam mię zmusił koniecznie. Adolf z Garczyńskim pozostali przy nim i przed chwilą dopiéro odeszli. Adam śpi niby, ale ma gorączkę. Nie mam nawet humoru przepisywać ci wierszy. Dobranoc!

---

24 kwietnia.

Przez trzy dni ani tknąłem pióra, bo chybabym ci pisał same biuletyny, a ja tego się właśnie bałem. Doktor wprawdzie nie straszył, mówiąc, że to jest zwykła Rzymska wiosenna gorączka; ale gorączka w ciele, to jak burza w powietrzu. Co wiész, kiedy może błysnąć i zagrzmieć? Najbezpieczniéj siedzieć cicho i Panu Bogu się polecać. To téż dziś, Bogu dzięki, Adam jest już stanowczo lepiéj. Przez te wszystkie dni ja z Garczyńskim luzowaliśmy się na przemian; kiedy jeden zostawał przy chorym, drugi Adolfa oprowadzał po mieście. W wieczór dopiéro schodziliśmy się wszyscy, i gdy się Adam czuł lepiéj, bywało niekiedy wesoło. Poczciwy Feliś, Stattler, Strzelecki i Gajewski dotrzymywali nam wiernie kompanii. Je-

dnego wieczora był téż pan Ankwicz, drugiego Szewirew, nie mówiąc już o odwiedzających we dnie, których ja zwykle przyjmowałem w przedpokoju, będącym razem i *dormitorium* naszém. Adam leżał na kanapie w salonie. Chciały także odwiedzać i damy, ale je Adam odprosił, i tylko ja codziennie posyłałem im lub zanosiłem biuletyny. Dziś jest ostatni *wielki wieczór* u nas, bo już jutro chory zacznie wychodzić; skoro zaś wyzdrowieje zupełnie, gotujemy siurpryzę dla naszych pań z *Via Mercède*, to jest piknik w *Villi Pamphili*. Strzelecki ma już pozwolenie właściciela jéj, xięcia Chigi, który nie tylko pałac, ale nawet cały swój kredens oddaje nam na ten dzień do użycia.— Adolf z Garczyńskim przypadli od razu do siebie, jak zwykle Litwin z Wielkopolaninem. Dziś prowadzę go do państwa Ankwiczów.

Godzina 12 w nocy.

Grande soirée udał się przewybornie. Przypomniały się nam czasy Wileńskie. Oprócz zwyczajnych gości, był Jaźwiński, Albin Węsierski, Karczewski i Wodzicki, który jutro dopiéro wyjeżdża. „*Viel gescherzt und viel gelacht*,“ jak mówi Gellert w piosence. Między innemi Adolf ciągnął kabałę dla obecnych z Horacyusza, który leżał na stole. Dla mnie wypadło: „*Funus atque imagines ducant triumphales tuum.*“ (Pogrzeb twój i obrazy tryumfalne niech wiodą). Nie było w tém istotnie żadnego znaczenia; ale Adam, w przystępie dobrego humoru, wziął się do parafrazy i komentarzów, twierdząc, że

dość jest zmienić parę liter w tym wierszu, a będzie i sens i znaczenie, i nie dwuznaczna nawet prawda wyroczni; to jest, dość w piérwszym wyrazie zamiast *n* położyć *m*, w czwartym zamiast *a*, *u*, a w ostatnim zamiast *tu*, *e*, a wypadnie: *Fumus atque imagines ducunt triumphales eum*. (Dym i obrazy tryumfalnie wiodą go).

Otóż dym (*fumus*), podług niego, miał znaczyć *fiu fiu* w głowie, a zaś *imagines* piękne twarzyczki; tylko że w tym razie *triumphales* powinno się tłómaczyć przez *tryumfujące*. Śmiałem się szczerze razem ze wszystkimi, ale uderzywszy się w piersi, czuję sam rzeczywiście, że jest w tém sens i, niestety, kęs prawdy. Wprawdzie dotąd tryumf *obrazków* trwa tylko póty, póki ja sam zechcę; ale cóż, kiedy jedne zastępują drugie, a wola moja nigdy na tym punkcie nie słabnie. Ach! a gdy idzie o pracę, o naukę, poprawę — wzdycha się tylko i szepce: *Fiat voluntas tua!* Cała nadzieja w miłosierdziu Sędziego, że odpuści, jako i ja odpuszczam; a cała pociecha w tém chyba, że się sam poczuwam do winy; bo przecież ludzie i piszą i mówią, że kto już z gruntu i bez nadziei głupi, ten się ma sam zazwyczaj za świętego albo za mędrca. A jednak musi to być miła sensacya, myśleć tak samemu o sobie! Mnie najbardziéj strach byłoby umrzeć, nie zostawiwszy po sobie nic nad to, co się dotychczas napisało i, niestety, wydrukowało. Nie wiém czy to jest postęp, że mi się tak wszystko złém zdaje, parę rzeczy ledwo wyjąwszy. Ale jest to cierń moich myśli, który mię i w téj chwili bodzie i pikuje. Spowia-

dam się dla ulgi serca; bo te trzy dni choroby Adama były dla mnie prawdziwie jakby czasem rekollekcyj, podczas których sam w sobie rachunek sumienia robiłem, i dla tego to może ten żarcik kabalistyczny wzbudził we mnie jakby rodzaj zgryzoty. A jednak— gdybym się nie wstydził sam siebie, gotów byłbym, jak penitent po wyjściu z kościoła, zabrać się wnet do przepisania ci tego wiersza, o którym na początku listu wspomniałem, a który Adam, Stefan i Adolf—nie chwaląc się—chwalili. Przeznaczony on jest do sztambucha panny Henryetty, a poświęcony wspólnie jéj i pannie Marcellinie. Jeśli go nie odbierzesz w tym liście, znak to będzie, że go stosownie do tytułu na sam odjazd z Rzymu zostawiam. Bo co na dzisiaj, to *Buona notte!*

---

26 kwietnia, rano.

Rozpoczęśliśmy tedy smutny szereg pożegnań, przeprowadziwszy dziś aż do bramy miasta xiężnę Wołkońską z całym jéj orszakiem. Wyjechała na kilka tygodni w góry. Piérwsze wyjście Adama wczoraj było na obiad pożegnalny do niéj, gdzie on i na cały wieczór pozostał. Ja zaś z Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, rano najprzod byliśmy na nabożeństwie w kościele Ś-go Piotra, a wieczorem na teatrze maryonetek. Wychodząc z kościoła spotkaliśmy sławną doroczną, jako w dzień Ś-go Marka, processyą, która z kościoła pod jego wezwaniem, szła do grobu xięcia Apostołów. Składały ją wszystkie zakony i wszystkie kapituły Rzymskie. Tych ostatnich jest siedem,

tyle co bazylik. Zakonnicy w habitach tylko, kanonicy w komżach, ale wszyscy bez świéc, bez śpiewów, defilowali po parze. Defilada trwała najmniéj godzinę. Słyszałem, że liczono do dwóch tysięcy xięży. Przed każdą kapitułą niesiono *un padiglione*, to jest baldachin w szerokie pasy żółte i czerwone, i dzwonek, który się jedném uderzeniem co kilka kroków odzywał, i sam tylko przerywał ogólne milczenie. W kościele dopiéro miały się odprawiać uroczyste nieszpory, aleśmy już na nich nie byli.

Teatr maryonetek, *Teatro Fiano*, jest wielce ulubioną zabawką Rzymian; a że sala nie może pomieścić więcéj na 300 osób, każda więc reprezentacya co wieczór po cztery razy się powtarza. Bilet wejścia kosztuje 3 bajoki (9 groszy naszych). Wszystkie miejsca na parterze są równe. Zamiast lóż jest tylko mały balkonik w głębi, naprzeciw sceny, na który bilet podobno całe dwa paole kosztuje. Skoro jedna publiczność po skończoném widowisku przez boczne drzwi wychodzić zacznie, otwierają drzwi główne dla nowéj, która już tam czeka skupiona i tłoczy się na łeb na szyję. My przyszliśmy na przedstawienie już trzecie, a i tak ledwo mogliśmy się docisnąć. W gruncie rzeczy są to nasze jasełka, tylko że na większą skalę, i dla starszych znać dzieci przeznaczone. Humorystyka satyryczna, stosowana do okoliczności miejscowych, stanowi zwykły przedmiot grywanych tu sztuczek. My trafiliśmy na parodyą opery Rossiniego: „*Conradino, Cuor di Ferro*“, którą tu w ciągu karnawału dawano. Figurki kształtne i zręczne, po-

ruszają się i gestykulują bardzo zgrabnie jak żywe, w takt śpiewu lub stosownie do słów, mówionych za nie z za kulis. Publiczność strasznie mieszana. Od uliczników, tragarzy, weturynów, subretek, aż do bardzo porządnie ubranych dam i poważnych mężczyzn; wszystko to łączy się razem, siedzi obok, śmieje się i klaszcze wspólnie. Bo śmiechy i oklaski były prawie nieustające. Nie mogliśmy dobrze zrozumieć co je zwłaszcza wywoływało, ale musiały to być jakieś bardzo wesołe i dowcipne koncepta, bo sąsiedzi nasi po obu stronach, staruszek xiądz i młoda dziewczyna, nie tylko śmieli się do rozpuku, ale niekiedy nawet zwracali się ku nam z wykrzyknikami: „*Ah! ah! bellissime! bellissime!*“— Żywość wrażeń ludu włoskiego nigdzie się nie wyraża jaśniéj jak w teatrze. A jest tu i drugi teatr ludowy, *della Pace*, gdzieśmy także zajrzeli na kwadrans z Adolfem, podczas choroby Adama. Bilet wejścia kosztuje 8 bajoków. Teatrzyk wcale porządny, wązki, długi; z czterma rzędami lóż. Dekoracye i ubiory nie gorsze od Wileńskich, gdzie, pamiętam, jak raz Rogowski knotem od lampy spłowiałe oczy w obrazie Kupidyna malował. Publiczność tegoż gatunku, co na maryonetkach. Nie patrzyliśmy nawet na sztukę, któréj główną osobą był *Pulcinello*. Ja go nigdy rozumieć nie mogę, ale wiém że dla publiki Rzymskiéj jest on rodzajem żywego *Pasquina*, to jest owego kamiennego posągu, na którym tu odwiecznym zwyczajem przylepiają się różne koncepta i epigramata, tyczące się wypadków lub osób współczesnych. I nie zawadzi dodać, (czego mo-

że nie wiész), że od tego to zwyczaju i od nazwy tego posągu pochodzi wyraz *paszkwil* (pasquillo). Samo zaś imię *Pasquino*, było kiedyś rzeczywistém nazwiskiem jakiegoś złośliwego dowcipnisia, który tak się dał wszystkim we znaki za życia, że potém na pamiątkę po śmierci, posąg ten jego imieniem przezwano.

Godzina 12 w nocy.

Jeżeli słusznie życie przyrównywają do podróży, to koniec tu naszego pobytu byłby bardzo podobny do starości. Same pożegnania, rozstania, tęsknota — a cała perspektywa pociechy, że i sami zaraz wyjedziem. I trzebaż jeszcze, że całe popołudnie dzisiejsze zeszło nam na oglądaniu samych grobów, to jest mnie, Adolfowi i Garczyńskiemu, bo Adam wprost z obiadu *al Lepre*, poszedł na *Via Mercède* i tam na nas czekał wieczorem. My zaś byliśmy na grobach: Tassa, Rafaela, Hozyusza, Sobieskich i św. Stanisława Kostki. Wszystkie, prócz ostatniego, widziałem już pierwiéj; ten ostatni więc dzisiaj zrobił na mnie największe wrażenie. Ale jest w tém i inna przyczyna. Czytając kiedyś gorliwie Żywoty Świętych, miałem sam wielką ochotę zostać świętym, i za ideał do naśladowania brałem zwłaszcza św. Stanisława Kostkę. Nie męczono go jak męczennika; nie męczył się sam jak pokutnik; nie trudził się jak Apostoł lub missyonarz; kochał i chwalił tylko Pana Boga, w spokojnéj celi marzył o aniołach, i poszedł prosto do Nieba. Nie wiedziałem jeszcze naówczas, że łatwiéj może czło-

wiekowi pokutować, niżeli nie zgrzeszyć; passować się z szatanem na ziemi, niżeli, jak Anioł w powietrzu, utrzymać się w niewinności. Zawsze jednak i dzisiaj powiadam, że gdyby św. Stanisław Kostka pisał wiersze, byłby to najwłaściwszy patron poezyi i poetów. Kwitnął jak kwiat w Winnicy Pańskiéj — i chwała szlachcie naszéj, że wykwitł z jéj ducha, jak św. Kazimierz z tronu Jagiellonów. A jest téż pomiędzy nimi i pewne powinowactwo duchowe; i ztąd to może ich obu malują z lilijami w ręku. Tutaj w celi, gdzie umarł, przy kościele Ś-go Andrzeja, na *Monte Cavallo*, jest posąg jego naturalnéj wielkości, wyobrażający go w chwili skonania. Twarz i ręce z marmuru białego, suknia z czarnego, łoże i pościel z żółtego. Wyraz twarzy prześliczny, słodycz i pokój anielskie. Tak umrzeć, jest to prawdziwie zasnąć, jak mówią, w Bogu; ale jakże to piérwiéj trzeba żyć w Nim i dla Niego! Posąg ten jest dłóta rzeźbiarza Le Gros.

Jutro jest wielki pożegnalny obiad u państwa Ankwiczów, a przed obiadem mamy zwiedzić razem zamek Ś-go Anioła. Adam zapowiedział już dzisiaj, że w *Villi Pamphili* odkryto jakieś nowe bardzo ciekawe *Columbarium*, które p. Ankwicz i damy chcą jeszcze razem z nami przed wyjązdem oglądać. Ma to być nasza ostatnia wycieczka. Ani im w myśli, że ich czeka siurpryza; a ja się na to cieszę, jak student na figla. Dobranoc!

Dnia 27 kwietnia, godzina 2 po południu.

Wracamy z zamku Ś-go Anioła, ale ja z głową całkiem nabitą czém innném, a to jest, losem i obrazem Beatrici Cenci. Historyą jéj wiész. Portret jéj, arcydzieło Guido-Reniego, znajduje się tu w galeryi pałacu Barberini, a kopje są po całym świecie. Widzieliśmy go razy z dziesięć. Guido-Reni malował go po wydaniu już na nią wyroku śmierci, i nawet podobno, jak mówią, w sam dzień jéj exekucyi. Obwinięta jest w białe prześcieradło, jakby w całun, mający w tym dniu jeszcze pokryć martwe jéj zwłoki i tę główkę przecudną, dziecinną, anielską, która spaść miała pod katowskim mieczem. Malarz myślał to pewno, kiedy ją malował; i ten żal, który sam wtedy czuć musiał, wsięknął widać w płótno i w farby, że tak dziś jeszcze z obrazu na serca widzów odbija. Nieraz patrząc na łzy się zbiera. I tożby być miała zbrodniarka? ojcobójczyni? Sam ten obraz Guido-Reniego jest już jakby obroną jéj i uniewinnieniem. Ale gdyby jéj obrońca przed sądem mówił o niéj tak, jak dziś Adam, sąd przysięgłych byłby ją niewątpliwie uwolnił. Nie zaprzeczał on winy, ale uniewinniał z powodów. Jest w tém straszna, jak mówił, tajemnica natury i dziejów ludzkich. Wielka zbrodnia, w rodzinie, w narodzie, w ludzkości, ma w sobie jakąś dziwną, demoniczną siłę, jakby wybuch potęgi i tryumfu szatana, która najczystszych nawet mrokiem swoim oćmiewa i w przepaść porywa za sobą. Gdyby słońce zboczyło z swéj drogi, cały jego świat planetarny poleciałby gdzieś w chaos i w otchłań. Ojciec jest jak słońce

w rodzinie. Bezbożność jego zbrodni obłąkała niewinną; jak polityczne zbrodnie mocarzy obłąkują narody i wieki. Zbrodnie takie nie uchodzą bezkarnie; ale skutki ich i wpływy w ludzkości, obmywają się dopiéro łzami, a odkupują się tylko krwią tych właśnie w gruncie niewinnych, którzy przez nie obłąkać się dali. Taką nieszczęśliwą ofiarą była, podług Adama, Beatrice Cenci. Zawsze go mocno zajmował jéj portret. Za każdym razem cośmy go widzieli, stał przed nim długo, wpatrywał się i milczał. Pan Ankwicz dostał był kiedyś w zimie, z jakiéjś klasztornéj biblioteki tutejszéj, i dawał mu do czytania rękopism łaciński, zawierający opis jéj processu. Nieraz o tém była rozmowa, ale zawsze tak sobie, zwyczajna. Dziś dopiéro w podziemiach zamku Ś-go Anioła pokazywano nam loch ciasny i ciemny, gdzie nieszczęsna była więziona i zkąd poszła na rusztowanie. Panna Henryetta zaczęła zachęcać Adama, ażeby o niéj dramat czy poemat napisał. To wywołało wybuch jego myśli, w rodzaju improwizacyi, ale bez żadnéj pretensyi do tego. Treść główną stanowiło to, co tu wspomniałem; ale ton głosu i wyraz twarzy mówiły więcéj niż słowa. Przy wrażeniu tego wspomnienia wszystkie inne pobladły, choć mnóstwo ich wiąże się z tém miejscem. Wszystkie dziejowe średniowieczne wypadki w Rzymie, ocierały się o mury tego zamku, który się jeszcze wtenczas nie nazywał *Anielskim.* Nazwę tę bierze dzisiaj od olbrzymiéj bronzowéj statui Archanioła Michała, który się wznosi nad nim z mieczem w ręku i depce go jak smoka—bo nie ma się czém opie-

kować. Było to kiedyś najprzód grobowe mauzoleum Cezarów, które Adryan, jak swoję villę za życia, na po śmierci dla siebie zbudować kazał. W wiekach średnich zamieniono je na fortecę, którą Alexander VI, papież, połączył z Watykanem, a późniejsi jego następcy wzmocnili i rozszerzyli. Archanioła dopiéro Benedykt XIV postawił. Dziś jestto cytadella, koszary, arsenał i turma. Widok kilkudziesięciu więźniów politycznych, wybladłych i wynędznionych, przechadzających się pod strażą po jednym z placów broni, (a jest ich aż trzy wewnątrz zamku), zrobił na nas arcy przykre wrażenie. Czyż i tu jak na Spielbergu? Zatoż widok z wałów zewnętrznych na Rzym i na okolice prześliczny. Opisywać ci tego nie myślę, a kształt zamku znasz pewno z rysunku. — Adam wzywa mię ku pomocy, żeby mu chustkę zawiązać w kokardkę, bo się jemu samemu nie udaje. A i ja muszę przebrać się na obiad.—Więc, Adieu!

Po północy.

Teraz ledwo wracamy z obiadu, to jest z *Via Mercède*. Mój Boże, jak ten czas leci! Dawno to było poznanie i piérwszy obiad witalny, a oto już i *Agape!* Życie nasze, to jak gra w szachy. Poruszamy się ciągle jak pionki, a co krok, to stosunek jednych względem drugich odmienny! Tu jeszcze, Bogu dzięki, nic się nie zmieniło na gorsze; ale dwie *partye* się grają, i w obiedwóch do końca daleko. Rok przyszły już je chyba rozstrzygnie. Dałby Bóg zamatować *królowe!* Ale jedna z nich bodaj że się

nie da sama, a przed drugą jest twarda *wicża*, któréj szturmem nie zdobyć, a *rycerz* oblegać nie umie. Ja sobie w roli *konika* tu i tam wyskakuję swobodnie; ale tęskność rycerza, jak w piosnce, „po połowie cięży i we mnie." Nie ma co! trzeba zostawić resztę czasowi i Opatrzności.

Obiad był i wesoły i smutny; to jest, każdy nadrabiał rezonem, a w duszy pewnie myślał o rozstaniu. Zresztą *vinum laetificat cor*, czyli jak u nas: *trunek na frasunek;* a że trunku dolewano obficie, więc i frasunku w końcu stosunkowo ubyło. Gospodarz pił zdrowie gości, goście gospodarzy, potém dam, potém poetów—w ogólności, a więc tuż i *kochajmy się*. Na strzemienne popłynęły *Lachrymae*, ale nie nasze. Osób było 22, sami Polacy. Po obiedzie panna Henryetta grała. Adam słuchał, jak „nasępiony sokół" u Bohdana, słuchający „kwileń kukułki." Mnie kazano wydeklamować mój wiersz, który już do sztambuchów panienek wpisałem i zacząłem przepisywać dla ciebie. Mniéj się dziś mnie samemu podobał niż dotąd. Za zimny. Dzisiaj rzewniéj czułem rozstanie. Powiedziałem to pannie Marcellinie, i w téj, pewno ostatniéj z nią rozmowie *à parte*, było więcéj poezyi niż w wierszu. A zresztą i być tak powinno. Poezya, to uczucie w nas samych; to źródło, co bije w duszy. Wiersze, to tylko bąble albo bryzgi, co czasem na powierzchnię i nad brzeg wyskoczą.—Na wieczór przyjechali xięztwo Sanguszkowie. Piękność, to dopiéro poezya na zewnątrz! Od sielanki do ody, każda i każdego poruszy. Xiężna Iza, to *oda!* Od

stuletniego komandora Dunina, do sześcioletniéj Wincusi, córki pani Węsierskiéj, cały nasz towarzyski łańcuch zadrgał jakby od iskry elektrycznéj, gdy weszła. Ostatnia, patrząc na nią i kręcąc główką, odezwała się jakby sama do siebie: „Jaka piękna pani!“ A w téjże prawie chwili, xiężna wcale tego nie słysząc, mówiła do kogoś obok: „Ach! jakie śliczne dzieciątko!“ Ja to jeden z obu stron słyszałem, a przynajmniéj ja jeden zwróciłem uwagę na to wzajemne oddziaływanie piękności, i zakommunikowałem to zaraz Garczyńskiemu i Adolfowi. Posłużyło to nam za temat do porównywania różnych rodzajów piękności, z różnemi gatunkami poezyi. Panna Henryetta—*sielanka*; ale tylko wdzięczna, nie ckliwa. Panna Marcellina —*elegia*, ale tylko poważna, nie nudna. Starsze panie — to już jakby dydaktyka albo epos. Z Adolfem przebiegliśmy pamięcią nasze miłe kasyna Wileńskie, szukając podobieństwa do ballad, legend, i t. d. Najtrudniéj było znaleźć podobieństwo z satyrą. Trzebaby na to chyba tak zwanéj „*beauté du diable*.“ Garczyński opowiadał nam o jakiéjś pani w Berlinie, że z rysów tak była piękną, iżby się w niéj rzeźbiarz rozkochał, ale razem tak sztywną i zimną, że sam przy niéj mógłby skamienieć. Grecy widać na ten rodzaj piękności wymyślili swoję Meduzę. A i nasza Królowa Bona musiała być w tym rodzaju. Z Polkami, Bogu dzięki, rodzaj ten jakoś nie licuje. Najprostsza nasza, byle czystéj rassy dzieweczka, to zawsze jak *mazurek*, *krakowiaczek*, lub *dumka*. I pokręcić się, i pośpiewać, i pomarzyć z nią miło. Lafiryndy

tylko, Boże odpuść, to już czysta poezya Delilowska, choćby gładka, jak przekład Felińskiego! A mieliśmy téż dziś taką przed sobą; tę samę, co to kiedyś Adama, jako poetę, po francuzku najprzód witała. Jest to może jedyna osoba, z którą spotykając się tu i ówdzie, niceśmy od piérwszego spotkania w znajomości nie postąpili, kiedy z najoryginalniejszą np. excentryczką, jaką jest pani hrabina Moszyńska, zaszliśmy w bardzo dobrą komitywę. Ja zwłaszcza skaptowałem jéj względy, zaimprowizowawszy raz przy grze w szarady, szaradę do jéj faworyta, tego najobrzydliwszego kudłatego szpica, który mię kiedyś przy piérwszéj wizycie u pp. Ankwiczów tak okropnie podobieństwem sowy przestraszył. Nazywa się *Telasko*, a szarada moja brzmi tak:

Piérwsze, prosta litera; zaś dwóma *drugiemi*
Jak machnie czarnoxiężnik, różne dziwy płata.
Wszystko jest ideałem wierności na ziemi,
I dowodem, jak cnota ta w skutki bogata:
Rozum zniewala, szpetność wdziękiem opromienia—
A bez niéj—piękność nawet źródłem udręczenia.

Dzisiaj pani Moszyńska tak raczyła być czułą dla mnie, i tak trafnych mi parę rzeczy powiedziała o Adamie, admirując jego geniusz, a przytém prostotę i dobroć: że niemniéj może przez to ujęła mię za serce, jak ja ją przez moję szaradę. Ależ bo wszelka najśmieszniejsza nawet oryginalność, ma w sobie (dla mnie przynajmniéj) jakiś pewny pociąg, choćby tylko dla tego, żeby się jéj zblizka przypatrzyć; kiedy przeciwnie lafiryndyzm wstręt tylko i nudę obudza. Tam

przynajmniéj jest ruch i życie; ta prosta malowana lalka—tylko że nie dla zabawy dziewcząteк.

Z obecnych na dzisiejszym wieczorze, muszę jeszcze wspomnieć o jednym, o którym nie pamiętam żebym kiedy wspominał. Bo niepodobnaż wyliczyć wszystkich po imieniu, których się w towarzystwie spotyka, póki się chyba z nimi w bliższy jakiś lub szczególniejszy stosunek nie zajdzie. Ależ my z xiędzem Scypionem, o którym właśnie chcę mówić, oddawna już jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach, spotykając się często w domu państwa Ankwiczów; tylko że w chwilach pisania do ciebie, myśl jakoś nigdy nie doszła do niego—w dłuższe zwykle po drodze plątając się sukienki. Otóż jestto młody kapłan z Krakowa, światły, uczony, gładki w obcowaniu, a także i na obliczu, który w zwyczajném kółku naszém na *Via Mercède* reprezentował stan duchowny, po wyjeździe x. Zajączkowskiego, zupełny z nim stanowiąc kontrast. Tamten, choć także uczony i przystojny, ale samą już swoją postawą, (wysoki, silny, barczysty), przypominał raczéj bernardyńskiego kwestarza, niż missyonarza-apostoła, a rubasznością tonu w rozmowach i manierach zdradzał nieraz nawyknienia żołnierskie: gdyż istotnie żołnierkę najprzód, przed wejściem do stanu duchownego, traktował. Pamiętasz może piérwszą jego dysputę z Adamem, o któréj ci kiedyś pisałem. Przełożony Missyonarzy w Rzymie upominał go nawet, jak mówiono, o te wybuchy porywczości w dysputach, i to podobno przyśpieszyło wyjazd jego z Rzymu. W xiędzu Scypionie przeciw-

nie, jak w obejściu tak i w rozmowie znać od razu człowieka z wyższém towarzyskiém wykształceniem i spokojną łagodną naturą, co go czyni nader miłym kompanem i sympatyą ku niemu obudza. W rozmowie z nim ostatnim przed wyjściem, pożegnałem dziś niejako miły ten salon, przypomnieniem różnych chwil miłych, któreśmy w nim wspólnie spędzili.

Ale potrąciwszy o stan duchowny, chcę tu jeszcze choć zanotować przynajmniéj imiona kilku innych naszych kapłanów, którycheśmy tu w Rzymie poznali, a o których gdzieindziéj wspomnieć mi już nie przyjdzie. Piérwszym jest xiądz Brzozowski (Rajmund), ostatni rektor akademii Jezuickiéj w Połocku, i jeden z głównych wydawców tamecznego „*Miesięcznika*". Jest to siedmdziesięcioletni staruszek, miły, słodki, łagodny, a przytém niepospolicie rozumny. Przywiązany serdecznie i tęskniący do kraju, prowadzi tu życie samotne, osładzając je sobie, jak mówi, głośném codzień czytaniem wyborowych dzieł polskiéj literatury i pisaniem „*Słownika Pisarzy Polskich.*" Dawałem mu do czytania poezye Adama, które mu bardzo przypadły do serca i ojcowską przychylność dla autora zjednały. Adam go téż bardzo poważa. Byliśmy u niego razy kilka, a ja z długich nieraz ich rozmów o Jezuitach, tę zwłaszcza odniosłem korzyść, że z przekonania w sobie sprostowałem zdanie, które dotąd jak *za panią matką pacierz* powtarzałem wprost za drugimi, to jest, że Jezuici umyślnie ociemnili Polskę. Zakon ich, jak wszędzie tak i u nas, przy piérwszém zaprowadzeniu swojém, był owszem najczynniejszym

krzewicielem oświaty, czego mu i najwięksi przeciwnicy nie przeczą; a jeśli z czasem pod tym względem zleniwiał: pochodziło to nie z ducha i zasad zakonu, ale raczéj z charakteru i usposobienia naszéj szlachty, która u nas wyłącznie zakon ten składała. W innych albowiem krajach, w tymże czasie, Jezuici gorliwie pracowali w naukach, a nawet i u nas większa część pojedynczych pisarzy, od końca XVI do połowy XVIII wieku, wyszła z ich szkół lub z ich zakonu. Wadliwość systematu nauczania w szkołach, wynikała téż nie wprost z winy zakonu, ale raczéj z ogólnych pojęć i okoliczności ówczesnych; bo przecież i Akademia Krakowska, wieczna przeciwniczka Jezuitów, do czasu reformy Konarskiego, na nic lepszego zdobyć się nie mogła. Myśli te zwłaszcza wypowiadał Adam, a xiądz Brzozowski, lubo zawsze obrońca zakonu w ogólności, nie odpychał jednakże sprawiedliwych zarzutów, tém bardziéj, że i sam Adam tuż przy nich chętnie łagodzące je okoliczności przytaczał. I rzecz to prawdziwie rozkoszna być świadkiem takich rozpraw pomiędzy mądrymi, kiedy w nich obie strony prawdy tylko szukają. Ale niechże kto popróbuje w ten sposób dysputować naprzykład z xiędzem Zajączkowskim z Warszawy! To téż ja podobne dysputy między Litwinami tylko słyszałem.

Z drugim znajomym tu naszym xiędzem Wilczyńskim, Bazylianem, także Litwinem, dysput nawet nigdy nie było, a tylko szczera miła pogadanka—jak wiejski podwieczorek u naszego proboszcza, od mleka, jajecznicy i ogórków z miodem. X. Wilczyński jest

tu także *quasi* proboszczem przy kościele *Santa Maria del Pascolo ai Monti*, jedynym tego obrządku w Rzymie, gdzie jest obraz N. P. Maryi Żyrowickiéj w ołtarzu. Ja jako dawny uczeń Bazylianów w Borunach, chodziłem tam niekiedy na mszę, dla przypomnienia sobie czasów szkolnych. Adam zaś lubi zwłaszcza x. Wilczyńskiego za jego śpiewającą wymowę litewską.

Mieszka téż jeszcze w Rzymie znakomity bardzo, jak mówią, z nauki i pobożności, xiądz Stanisław Chołoniewski, z Wołynia. Zaznajomił nas z nim pan Alexander Potocki, ale że się on rzadko towarzystwu udziela, nie mieliśmy sposobności wejść z nim w bliższą zażyłość. Adam wszakże ma o nim wysokie wyobrażenie, i jutro właśnie wybieramy się do niego z pożegnaniem.

Ale najgłówniejszym programem na jutro jest urządzenie na pojutrze pikniku w *Villi Pamphili*. Będzie to nasze babie-lato w Rzymie. A ten list, to jak ostatni listek prawdziwego lata. Dobranoc!

28 kwietnia, godz. 2 po południu.

Nie pamiętam rozkoszniejszego zajęcia, jak miałem dziś całe rano, dopomagając Strzeleckiemu w urządzeniu jutrzejszego festynu; chociaż kto wié, czy to właśnie nie pamięć czegoś podobnego przyczyniała się może najwięcéj do téj serdecznéj, poetycznéj rozkoszy. Wciąż mi bowiem stały na myśli przygotowania do podwieczorku w Dziewiętni, którzyśmy tam

kiedyś przed laty urządzali razem z Ignacym, na przyjęcie pięknych jego sąsiadek z Ruskiego Sioła; a samo to przypomnienie faktu obudzało téż zda się w duszy i cały szereg ówczesnych marzeń i wrażeń, tém bardziéj, że się z niemi dzisiejsze jak jedwab w jeden sznurek splatały. A jednak co za różnica sceny! Tam skromny szlachecki dworek, w zakątku parafii Wojstomskiéj; tu wspaniała xiążęca *Villa Pamphili*, w Rzymie! Tam współrajcą co do układu podwieczorku, był stary łysy kucharz Michał, w szaréj kapocie; tu wymuskany elegancki *Credenziere* xięcia Chigi, który nie tylko nam sali, ale nawet kredensu i sreber stołowych do użycia na jutro pozwolił. Strażnik tego wszystkiego *Signor Credenziere* ma być także zarazem i liwerantem biesiady. Całe podobieństwo jest w tém, że mamy ufetować ładne, miłe panienki, i że serce widać jeszcze nie schłodło. Program obiadowego śniadania (*dejeuner dinatoire)* jest taki: Najprzód wstępna przekąska, śledzie, ostrygi i t. d. Potém rosół w filiżankach, i do tego jakieś *crocchetti*, po naszemu, paszteciki. Potém kotlety *à la Milanese* (z dyspozycyi mojéj), ze stosowném ugarnirowaniem. Potém jakieś „morskie pławaczki.“ Potém szparagi, karczochy, i t. d. na jednych półmiskach obok. Potém na pieczyste—bażanty! Słyszysz? Nie kurczęta, nie bekasy nawet — ale bażanty! i to z zachowaniem na rożnie złocistych i srebrzystych czubków swych i ogonów, jak niegdyś pawie na ucztach rycerskich. Jutro zaś ma to być uczta czysto poetycko-panieńska. Adam radził wyprawić czysto polsko-litewską, i to podług

starożytnych przepisów „*Doskonałego Kucharza*,“ to jest staréj obdartéj xiążki, którą, jak co dobrego, ma w podróżnéj bibliotece swojéj i odczytuje nieraz z wielką przyjemnością. Ma się rozumieć, że ten projekt upadł, i Strzelecki otrzymał zupełne pełnomocnictwo co do urządzeń kulinarnych fety. Ale i część jéj estetyczna zaniedbaną nie będzie. Prócz pysznéj zastawy stołu, od sreber, kryształów, wazonów, cały stół będzie obwiedziony girlandami z kwiatów. Przy wetach: od cukrów, lodów, galaret, i t. d. ma się odezwać muzyka, wtórująca toastom „przezdrowia“, a zaś przy podwieczorku, o zachodzie słońca w ogrodzie, *Signor Credenziere* obiecuje nam ukazać w oddaleniu balet, to jest taniec ludowy *saltarellę*, wykonany przez ogrodniczków i ogrodniczki miejscowe. Przytém wszystkie fontanny mają być puszczone, a barometr zapowiada pogodę. Słowem, ptasiego mleka braknąć chyba będzie; a zaś śpiew ptasi, którego tu nie ma, ha! może poezya zastąpi. Od opisu zatém téj fety zacznę list następny; a tymczasem ten kończę i odniosę na pocztę, idąc na pożegnalny obiad do pani Klustin, gdzie téż mamy widzieć wieczorem całe bliższe ich towarzystwo, które i dla nas było tak uprzejme.

Wracając z Villi Pamphili, wpadłem na chwilkę jeszcze do muzeum i do galeryi Watykańskiéj, dla spójrzenia po raz ostatni, ale tylko na dwa przedmioty: na *Apollina Belwederskiego* i na *Przemienienie Pańskie* Rafaela. Tu i tam w ludzkiéj postaci uosobienie, wcielenie idei bóstwa: pogańskiéj i chrzescijańskiéj. Bożek zstąpił z Olimpu i stoi na ziemi. Bóg-Człowiek

duchem Bożym wznosi się po nad ziemię i ulatuje ku Niebu. Rzeźba tu nie podołałaby malarstwu, tak jak tam malarstwo rzeźbie. Żeby tak glinę i marmur ożywić, trzeba iskry Prometeusza. Żeby tak płótno przemienić w widzenie, trzeba żeby je chyba Anioł Rafael objawił. To też symbolem natchnienia w pogaństwie jest, podług mnie, Prometeusz, który ogień z Nieba wykrada; w chrześcijaństwie, Anioł Zwiastunnik, którego sam Bóg Ojciec przysyła.—Bądź zdrów!

XIX.

Do tegoż.

Rzym, 30 kwietnia 1830 r.

„*O! quam vana, quam fallax spes hominum est!* [1].“ Rozumiałem, że tęczowemi farbami zacznę list dzisiejszy, opisując wczorajszą fetę; a oto zamiast tęczy, straszna czarna chmura, z któréj piorun niezawodnie wypadnie. Xiądz Parczewski jest umierający. Onegdaj, idąc na obiad, zachodziłem jeszcze do niego i znalazłem go owszem lepiéj, niżeli kiedy. Dziś albo jutro rano wybierał się do Albano na lato. Ja z Adolfem mieliśmy go tam przeprowadzić, a potém, jadąc do Neapolu, zajechać do niego z Adamem. Opowiadałem mu cały program przygotowującéj się fety. Dzielił szczerze moje zajęcie i żałował, że nie może być z nami. Nadewszystko chciałby był podziękować pani Ankwiczowéj za tyle dowodów dobroci i troskliwości prawdziwie macierzyńskiéj. Przez cały bowiem ciąg choroby przysyłała mu codzień rosół polski, a często i delikatniejsze przysmaki ze swojéj kuchni. Na przyszłą zimę obiecywał sobie, że będzie u nich częstszym gościem niż przedtém. W Albano miał pi-

[1]) „O! jak próżna, jak zwodna jest nadzieja ludzi!“.

sać dalej swego „Władysława Białego," który ciągle myśl jego zajmował. Słowem, chorobę swoję uważał za skończoną, i ani cień złego przeczucia nie przeleciał nam obu przez głowę. Ja wczoraj przy obiedzie, w imieniu i z polecenia jego, wniosłem toast wdzięczności dla państwa Ankwiczów; przyczém szeroko mówiliśmy o nim, i ja głupi tryumfowałem, że się sen jego złowieszczy nie sprawdził. Teraz nie śmiem i wstydzę się prawie wspomnieć nawet o tym obiedzie, dla tego właśnie, że był taki wesoły i miły, a tu już złe wisiało nad nami.—Po zachodzie już słońca wracaliśmy wszyscy piechotą; a ja, idąc przez *Via del Orso*, wbiegłem na chwilę do domu, żeby wziąść płaszcze dla siebie i dla Adama. Aż tu mi gospodyni, z jakąś dziwną miną, podaje kartkę—na którą ledwo spójrzałem, przeszyło mię jak sztyletem. Na oddartym świstku papieru napisano było tylko ołówkiem: „Źle ze mną, mój Edwardzie! przyjdź zaraz jeżeli możesz." Pismo tak było zmienione, że ledwo rękę Parczewskiego poznałem; służąca zaś, co tę kartkę przyniosła, powiedziała naszéj gospodyni, że ten pan, co ją przysłał, umiera. W pięć minut byliśmy już przy nim. W progu spotkaliśmy się z xiędzem, który na własne wezwanie chorego, wyspowiadał go już był przed przyjściem naszém i ŚŚ. Sakramentami opatrzył. Powiedział nam, że nie ma nadziei. O piątéj po południu, bez żadnéj widocznéj przyczyny, prócz chyba, że wprzód nieco pakował swój tłómok do drogi, krew nagle rzuciła mu się ustami, a doktor Pasqualini powiada, że mu znać pękło w piersiach jakieś krwiste

naczynie, i że krew płuca zalewa. Leżał blady jak ściana, chustkę trzymając na ustach. Skoro nas ujrzał wchodzących, poruszył zlekka głową i rękę ku nam wyciągnął. Doktor zabronił mu słowa przemówić; ale samo jego spójrzenie było wymówniejsze niż słowa. Śmierć zda się zajrzała mi w duszę—i wszyscy byliśmy jak rażeni piorunem, który z pogodnego nieba uderzył. Po takim dniu, taki wieczór! Adolf, ja i Niegolewski zostaliśmy na noc przy chorym. Adama wyprawiliśmy gwałtem. Garczyński poszedł za mnie nocować z nim razem. Zluzowali nas dziś rano o szóstéj; a teraz my z Adolfem przyszliśmy tutaj przespać się z godzinkę. Bo i Adolf biédny tak słaby, że choć sam zapomina o sobie, mnie, patrząc na niego, strach bierze. Ach! strach o wszystkich, co żyją i których się kocha! Ledwo widzę co piszę; ale chciałem napisać koniecznie.

———

Dnia 1 maja—wieczorem.

Skończył już swoje cierpienia. Skonał dzisiaj o piérwszéj w nocy. Cały dzień wczoraj przebyliśmy przy nim. Dnia tego nie zapomnę nigdy. Piérwszy był taki w życiu mojém; Boże daj, żeby i ostatni! Od rana, w skutek lekarstwa, krwotok ustał, ale pozostało duszenie i brak oddechu. Mógł przecież i chciał mówić, chociaśmy mu wzbraniali. Ale powiedział: „Pozwólcie! mnie już nic nie zaszkodzi; a toż moje ostatnie słowa!“—Nie mówił wszakże ciągle, ale znać było, że myśl pracowała, i rezultat jéj chciał wypowiedzieć. Najzupełniejszą bowiem przytomność do

ostatniéj chwili zachował. Dyktował nam co mieliśmy napisać do matki, odsyłając jéj za pośrednictwem ambasady, pozostałe rzeczy, książki i rękopisma. Łzy nieraz przytém przerwały mu mowę. A była to jedyna chwila rozrzewnienia. Obraz boleści matki był widać najboleśniejszym dla niego. O sobie mówił poważnie i spokojnie. „Żal mi umierać, wyznaję, ale się nie boję. Ten sam Bóg jest tam, co i tutaj. Jak mię prowadził tutaj, ufam że i tam będzie. Bez woli Jego, wiém, że się nic nie dzieje, a miłosierdzie Jego bez granic."—Po razy kilka powracał do tego, że najbardziéj sobie wyrzuca, iż więcéj myślał o sławie u świata, niż o udoskonaleniu i zbawieniu duszy. „A teraz widzę jasno jak na dłoni, rzekł, że to jest jedyny prawdziwy cel naszego życia, a wszystko reszta *vanitas vanitatum*."—Nie taił wszakże, że i w téj nawet chwili smutno mu jest pomyśleć: „że śladu nawet po nim nie zostanie."—„Ale Bóg widział—dodał z uczuciem — że chciałem, wedle sił moich, służyć szczerze Jemu i ojczyznie. Bóg nie dopuścił — wola Jego święta! Wy przynajmniéj zmówcie za mnie pacierz po polsku!"—I w słowach tych czuć było jakby odcień goryczy. Gdy zaś nas płaczących obaczył, wyciągnął ku nam rękę, i bardzo uroczystym, poważnym tonem rzekł: „Nie płaczcie! Życie dla mnie nie było rozkoszą. Proście tylko, żebym już prędzéj skończył te męczarnie. Prędzéj czy późniéj, przyjdziecie tam wszyscy."—To były ostatnie słowa, które do wszystkich w ogólności przemówił. Ale przedtém rozmawiał po kolei z każdym, i dziękował za dowody przy-

jaźni. Mówiąc ze mną, przypomniał swój sen o Ludwiku, i zacytował epigraf z Dziadów: „Są rzeczy na ziemi i na Niebie, o których ani śniło się naszym filozofom."—W ogólności we wszystkiém, co w tym dniu powiedział, było tyle uczucia, prawdy, namaszczenia, że daj Boże tylko pamiętać i umieć z tego korzystać, żeby zasłużyć na takie skonanie!—Skonał tak lekko, że aniśmy spostrzegli. Pożegnawszy się niejako z nami, zamknął oczy i odwrócił się jakby chciał zasnąć. Nie spał jednak, i z ruchu ust widać było, że musiał modlić się w myśli. Kapłan, który go spowiadał, odwiedził go zrana i powrócił raz jeszcze wieczorem. Z nim ostatnim rozmawiał może jaki kwadrans po cichu; poczém tak się uspokoił, iż pewni będąc że zasnął, odeszliśmy wszyscy od łóżka i siedzieli koło stolika, zbliżając się wtedy tylko gdy się poruszył lub jęknął, dla podania mu lekarstwa albo napoju. Stan taki trwał cały wieczór. Duszenie i brak oddechu przychodziły paroxyzmami, ale bolów przytém nie było. Dopiéro około północy paroxyzm był dłuższy i cięższy, ale się znów uspokoił. Nakoniec około piérwszéj, słyszymy jakby długie, głębokie westchnienie. Przybiegamy—już go nie było.—Pomódlcież się i wy za niego po polsku! Bo nie jest to tylko strata dla przyjaciół, ale istotna dla kraju i dla literatury naszéj.

Dnia 3 maja, godz. 2 po południu.

Powracam wprost z pogrzebu, a tak mi jakoś smutno, ciężko, okropnie, że sam sobie wytłómaczyć tego

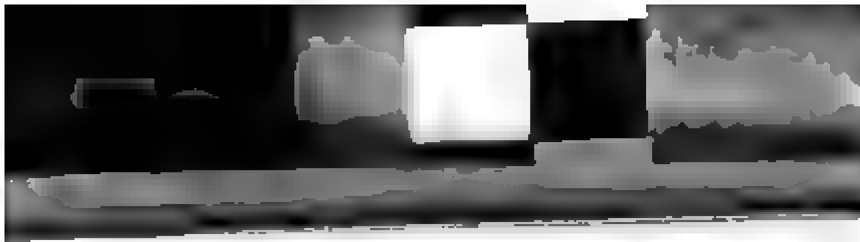
nie umiem. Nie jest to bowiem prosty żal czy smutek; ale jakby grobowy kamień jakiś spadł na mnie i tłoczy mię swoim ciężarem. Lubiłem go juźciż szczerze i serdecznie; ale jak wielu innych. Nie był on przecież dla mnie żadną taką podporą w życiu, bez któréjbym obejść się nie mógł. Śmierci tak spokojnéj, tak pięknéj, tak pełnéj wiary i nadziei, zazdrościćby raczéj, niż płakać. Wszystko to mówię sam sobie, i czułem nawet w piérwszych chwilach wrażenia. Potém zajęcia się około pogrzebu i spełnienia ostatniéj woli zmarłego, trzymały mię w ciągłém roztargnieniu, tak, że czasu na smutek nie było. Wczoraj dopiéro, gdy go już złożono do trumny, ja zostawszy sam jeden w pokoju, przykląkłem przy niéj żeby zmówić pacierz, i wpatrując się w tę twarz tak pełną łagodności i pokoju, i prawie uśmiechniętą, doznałem owszem najprzód jakby jakiéjś duchownéj pociechy, i z tém uczuciem powstając, pocałowałem go w czoło. W téj chwili dziwna zmiana zrobiła się we mnie. Chłód tego czoła przeszył mię na wskróś jak zimném żelazem, a wszystkie zda się uczucia i myśli zwarzyły się jak kwiaty od mrozu. Rzekłbym, że powiew śmierci powionął na duszę i życie jednym razem zakrzepło. Stan ten osobliwszy trwa dotąd, i rady z nim dać sobie nie mogę. Ufam przecież, że to tak długo nie będzie. Ale w téj chwili wybacz, że ci o tém piszę; bo mówić żywym głosem wstydzę się i nie śmiem nikomu, a może lżéj mi będzie, gdy powiém. Od chwili nawet tego pocałunku, nie śmiem pocałować Adama, ani nikogo z tych, których kocham; i choć byłem dziś

rano w kościele, i w obec katafalku sam jakby wijatyk przyjąłem, boję się jakoś, żeby tego poczucia śmierci, które wyraźnie tchnie we mnie, w kogo drugiego nie przelać. Gdyby był umarł w ciągu swojéj choroby — byłem na to przygotowany, i wrażenie zapewne nie byłoby takie. Ale tak niespodziewanie, tak nagle! i to w dniu tak wesołym, tak miłym! i to jakby na zakończenie pobytu w Rzymie, który był dla mnie najważniejszą może epoką w życiu pod względem odmian wewnętrznych! Nie jestże to znak jaki, przepowiednia, symbol, że i samo to życie przed końcem będzie musiało przez coś podobnego przechodzić? Wiém ja i mówię sam sobie, że to jest głupstwo, fantazya, marzenie, i że najlepiéj przyszłość Panu Bogu zostawić. Ale cóżem ja winien, że mi to gwałtem ciśnie się do głowy? A ty przecież nie weźmiesz mi za złe, że dzieląc zawsze z tobą tyle miłych wrażeń, tą razą i smutne podzielam. Obecni mają dosyć na swojém, abym im jeszcze moje urojenia narzucał. Adam zwłaszcza tak jest smutny i przywalony, że samby raczéj potrzebował pociechy, któréj ja mu, niestety, udzielić nie mogę. Państwo Ankwiczowie wyjeżdżają jutro rano, a wyjechaliby już onegdaj, gdyby nie ta śmierć Parczewskiego i chęć oddania mu ostatniéj posługi. Wczoraj o piątéj po południu przenieśliśmy go z jego mieszkania do polskiego kościołka Ś-go Stanisława (*ai Polacchi*), który dla tego nazywa się polskim, że go kardynał Hozyusz umyślnie dla pielgrzymów polskich, wraz z należącém doń *hospitium*, fundował. Kościo-

łek ten zostaje tu dzisiaj pod rozporządzeniem ambasady, i xiążę Gagaryn tak był dobry, że pozwolił na złożenie w nim w sklepie zwłok Parczewskiego, jako kapłana. Prócz kilkunastu xięży z parafii, w któréj mieszkał, i kilku nieznajomych kapników, z twarzą zakrytą kapturem, my tylko sami Polacy postępowaliśmy za trumną, którą nieśli słudzy kościelni. Mnie ciągle stała w myśli ostatnia nasza przechadzka i rozmowa przy kolumnie Cestyusza o smutnym losie umierających na cudzéj ziemi. Dzisiaj, po odśpiewaniu exekwii i po mszy, którą celebrował sędziwy x. Brzozowski, spuszczono go w oczach naszych do grobu przed wielkim ołtarzem, gdzie się już wiele trumien polskich znajduje. Złożyliśmy się wszyscy na marmurową tablicę, któréj napis ułożyć ma Adam. Oby mu była lżejszą, niż mnie moje obecne wrażenie!

Dnia 5 maja.

Zadziwisz się może — i słusznie — gdy ci powiém, że wrażenie to, o którém tylko co tu wyżéj czytałeś, zmieniło się we mnie równie prawie nagle, jak przyszło; i to wcale nie w skutek własnéj woli czy siły rozumu, który się próżno chciał z niego otrząsnąć; ale téż, wierz mi, że nie w skutek saméj tylko wrażliwéj lekkomyślności, o którąbyś mię może posądził. Ja sam, wyznaję ci szczerze, uważam jedno i drugie za opatrzne dla mnie zrządzenie, które mię najprzód poskromiło w bujaniu, a potém samo z upadku podniosło.— Śmierć i pogrzeb przyjaciela, ani téż rozstanie się z przyjaciółmi, jakimi byli dla nas państwo Ankwi-

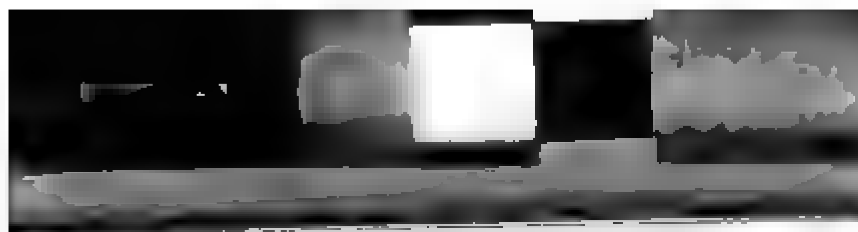


czowie, nie są już, Bogu dzięki, tém ostatniém wrażeniem, które wynieść lękałem się z Rzymu, jako symbol proroczy na przyszłość. Wrażeniem tém w téj chwili jest posłuchanie u Ojca Świętego, i prawdziwie ojcowskie jego błogosławieństwo. Przyszło mi ono równie niespodzianie jak smutek, i ożywiło, jak tamten odrętwił. Posłuchaj, jak się rzecz miała.

Państwo Ankwiczowie wyjechali wczoraj rano, jak mieli. Strzelecki z młodym xięciem Czartoryskim udali się razem z nimi w tęż drogę. Siedmiu nas, w dwóch powozach, przeprowadzało ich za miasto. Na *Ponte Mole* wysiedliśmy wszyscy, mając się tam ostatecznie pożegnać. Adam jeden jechał z damami. Ale tu pani Ankwiczowa zrobiła projekt, aby przeprowadzić ich jeszcze daléj, do piérwszego popasu w Storta. Adam wzbraniał się, ale tylko dla tego, że chciał koniecznie wyjechać także nazajutrz, a jużciż trzeba było przygotować się do podróży. Ja więc czując, że mu to zrobi przyjemność, wziąłem te wszystkie przygotowania na siebie, i wyprawiwszy go daléj z damami, wraz z Garczyńskim i Gajewskim, sam z Adolfem, Stattlerem i Niegolewskim, powróciłem do miasta. Było to z mojéj strony—nie chwaląc się—poświęcenie, na które w inném usposobieniu wewnętrzném, kto wié nawet czybym się był zdobył, albo czyby mi ono przyszło było na myśl. I trzebaż, że temu to właśnie winien jestem to jedyne może w téj chwili, a przynajmniéj najskuteczniejsze lekarstwo, t. j. nowe żywe wrażenie, które mię z poprzedniego złego uleczyło. I to jest właśnie, co ja nazywam pro-

widencyonalnością w życiu; czego już wielė razy sam na sobie doznałem, a może i każdy doznaje. Przenieś to od szczegółu do ogółu, od atomu do ogromu, a dójdziesz aż do Opatrzności dziejowéj.

Odwiózłszy Niegolewskiego do domu, wstąpiłem do pani Węsierskiéj, ciotki jego, aby się z nią przed wyjazdem pożegnać. Aż tu widzę jakiś ruch niezwyczajny. Przygotowują suknie, zawijają papiloty Wincusi, widocznie wybierają się dokądś. Monsignor Brutti oznajmił przed godziną, że Ojciec Święty dzisiaj o południu będzie w pałacu Kwirynalskim, gdzie na prośbę xiężny Stolnikowéj Czartoryskiéj, ma dawać posłuchanie prywatne jéj saméj i wnukom jéj, xięztwu Sanguszkom, i że on, (Monsignor Brutti), korzystając z okoliczności, wyjednał téż podobne dla pani Węsierskiéj z familią, które ma być zaraz po piérwszém. Pani Węsierska tak była dobra, że mię do grona familii przyjęła. Skoczyłem więc co prędzéj do domu, żeby się przebrać stosownie, i o kwadrans na piérwszą byliśmy już w anti-kamerze przed miejscem posłuchania, gdzie na nas czekał uczynny nasz *cicerone*, umierając, jak się wyraził, ze strachu, ażebyśmy się nie spóźnili. Jakoż nie upłynęło może minut dziesięć, gdy xięztwo Sanguszkowie wyszli ze swą babką, i na nas kolej wejścia przypadła. Oboje oni byli do łez poruszeni doznaną uprzejmością i dobrocią przyjęcia. Ale choć o tém ciągle i od wszystkich słyszałem, nigdybym nie mógł nawet wyobrazić, nie widząc, ażeby ta uprzejmość i dobroć mogły dochodzić do takiego stopnia, w jakim je Pius VIII posiada.



W prostym proboszczu, a nie to w Papieżu, jeszczeby mogły uchodzić za typ chrześcijańskiéj pokory. Wierzaj mi, że nie przesadzam, i słuchaj!

W środku obszernéj sali, która jest zarazem kaplicą, przy stoliku, pod jedną z kolumn, Ojciec Święty siedział na krześle wysokiém, z poręczami, w kształcie tronu, jak go zwykle malują, karmazynowym axamitem powleczoném. Sam był ubrany biało, w sukni krojem zakonnym, przepasanéj pasem tegoż koloru. Na głowie miał purpurową *kalotkę*, a na nogach, opartych na miękkim podnóżku, téjże barwy axamitne trzewiki, bogato złotem haftowane, z krzyżem wyszytym i relikwiami za szkłem w pośrodku, któreśmy najprzód, podług zwyczajnego obrządku, jako katolicy, przykląkłszy ucałowali. Ale trzebaż było widzieć ten uśmiech niewymównéj słodyczy, ten wyraźnie jakby ambarass, który się na poważnéj i łagodnéj twarzy starca malował, kiedy przy dopełnieniu téj ceremonii, każdego z nas z kolei oburącz z ziemi podnosił, i ściskając po ojcowsku za rękę, pierścień na swojéj do pocałowania podawał. „*Bien obligé, Madame la Princesse! bien obligé, Monsieur!* przemawiał przytém do każdego z kolei. Biédna pani Węsierska nie wiedziała co począć z tym swoim xiążęcym tytułem: czy go przyjąć, czy protestować? gdyż widocznie staruszek nawykł był do niego podczas audyencyi poprzedniéj, i używał go pewno nie myśląc, w pośpiechu uprzedzającéj grzeczności. Ale nie sposób było sprostować omyłki, gdyż wnet obracając się ku niéj i ku wszystkim, zaczął się exkuzować i przepraszać, że nie



[illegible] *la lan-*
[illegible] *usage.*"
[illegible] wszyscy rozumie-
[illegible] skła-
[illegible] dzię-
[illegible] coś
[illegible]

łem jak mogłem, ale z niekłamaném uczuciem, a on wziąwszy dłoń moję między obie swoje i gładząc ją, po kilkakroć powtórzył: *„Bravo, bravo, giovine! mi fa molto piacere!“*—To wyrażenie *bravo* musi być jego przysłowiem, bo go prawie co chwila mówiąc do każdego używał, i zaraz obok przytém jakieś miłe słówko powiedział. To téż byliśmy wszyscy poruszeni głęboko; a jednak była chwila, żeśmy omal nie parsknęli od śmiechu. Przepraszam za tę dygressyą, ale muszę opowiedzieć: dla czego? Pisałem ci kiedyś o Jaźwińskim, że swoję chronologiczną tabelkę tak zda się narysował sobie na języku, że o niczém innéin nie mówi. Otóż stojąc w antikamerze, zapytywaliśmy się żartem z Felisiem i Albinem Węsierskim, czy téż Jaźwiński i do Ojca Św. będzie mówił o swojéj tabelce? Rzecz tak się być zdawała niepodobną do prawdy, że samo to przypuszczenie pobudziło nas tylko do śmiechu. No, a więc wystaw sobie co się z nami działo, gdy Jaźwiński, odpowiedziawszy na piérwsze zapytanie Papieża, sam w ślad zatém odezwał się do niego, bardzo dobrą i płynną włoszczyzną, zapytując nawzajem, czy Jego Świętobliwość otrzymał, i co sądzi o mnemoniczno-chronologicznéj tabelce, którą miał zaszczyt Mu przesłać? Papież zmieszał się niemniéj jak my wszyscy—ale tylko z innego powodu. Zamiast bowiem obrazy, któréjśmy się bali, zaczął owszem bardzo pokornie usprawiedliwiać się i przepraszać, że nic o tém nie wié. „Musieli to zatrzymać w mojéj kancellaryi. Oni tak często robią ze mną;“—dodał obracając się ku nam wszystkim, jak gdyby się chciał

na to mówienie przed nami. Jarosiński już zaczynał wykład teoryi swojéj i wynalazku, kiedy na szczęście Papież przerwał mu zapewnieniem, że się o dar ten jego u kancelaryi swojéj upomni, i dziękując mu za pamięć o sobie. Nakoniec zwracając się ku wszystkim oświadczył, że jest rad bardzo z widzenia dziś tylu Polaków (rzekł: *Signori Polacchi*). Zrozumieliśmy, że to jest znak pożegnania. Przyklękliśmy więc znowu, a pani Węgierska, w imieniu wszystkich, poprosiła o błogosławieństwo. Ojciec Św. wzniósł nieco ręce, i odmówiwszy wpół głośno krótką modlitewkę łacińską, zaznaczył nas wymawiając poważnie i uroczyście: że błogosławi nas samych, i rodziny nasze, i tych wszystkich, których my sami w téj chwili Miłosierdziu Boskiemu polecamy. Dla jednéj tylko Wincusi była formułka i apostolska szczególna: żeby ją Bóg szczęśliwie na chwałę swoję, a na pociechę matki i rodziny hodował. Chcieliśmy ucałować mu nogę, ale nam nie dopuścił, i tylko pierścień na ręku w koléj do pocałowania znów podał. Gdyśmy zaś już odchodzili, wsparł się oburącz o poręcze krzesła, a nie mogąc się podnieść, odezwał się prawie błagalnie: „*Scusate, Signori, scusate! Sono povero vecchio; i piedi tutti infiati!*“ [1]) i wskazując na nogi dodał po francuzku: „*J'ai la goutte, Messieurs, j'ai la goutte.*“ — Odchodziliśmy, a raczéj cofaliśmy się, twarzą obróceni ku niemu, jak każe przyjęty obyczaj, i gdyśmy już do-

[1]) „Darujcie, panowie, darujcie! Jestem biedny staruszek: nogi całkiem pobrzękłe!“

chodzili do drzwi, skinął ku nam ręką od ust, i odezwał się raz jeszcze: „*Adieu, Messieurs! Adieu, Madame!*“

Wyszedłem jak odrodzony; i chociaż zaraz na progu Parczewski wrócił mi na myśl, wrażenie było już inne. Zamiast żalu i apatyi poprzedniéj, przyszła mi raptem ochota oddać hołd jego pamięci, rzucić kwiat na świéżą mogiłę, to jest, mówiąc po prostu, napisać wiersz na śmierć jego. I ta myśl tak mną owładła, że nim doszedłem do domu, piérwsza część była prawie ułożona *in brutto*, a gdy Adam wrócił ze Storty, druga już była gotówa na *netto*. Przepiszę ci je tu obie, bo na trzecią, jak mi się zdaje, czasu już przed wyjazdem nie będzie. Zresztą ma być w niéj tylko wierny obraz chwili ostatniéj, (bo teraz prawda w obrazach i myślach jest dla mnie kardynalném prawem w poezyi), a to właśnie masz już w tym liście.

Adam wrócił tak słodki i miękki, że choć go przyłóż do rany. Ani zmarszczył się nawet, że nic przygotowanego do podróży nie zastał. Audyencyi u Papieża zazdrości, a wiersze, które mu przeczytałem, pochwalił. O zmroku już dopiéro obiadowaliśmy *al Lepre*, a potém z Niegolewskim, Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, przepędziliśmy cały wieczór w Kolosseum, aby mu się po raz ostatni przy świetle xiężyca przypatrzyć.—Gdyby nie audyencya u Ojca Św., to kto wié, czy i ta przechadzka w Kolosseum nie sprawiłaby na mnie tego samego ożywczego skutku. Adam go téż zda się doświadczył. Wyszedł weselszy, niż przyszedł. Romę pożegnaliśmy na Forum. Za

powrótem do Rzymu, do północyśmy jeszcze przesiedzieli w cukierni.—Teraz idę najmować konie, bo już rzeczy upakowane. A oto masz wiersz:

Na śmierć X. Stanisława Parczewskiego.

I.

Dawnoż to było, o! mój przyjacielu!
Gdym twój rówiennik w młodości i zdrowiu,
Gdym twój towarzysz przechadzek bez celu,
Gdy ten sam jeszcze xiężyc był na nowiu,
Błądziłem z tobą nad Tybru brzegami?—
Noc była jasna, cicha i wesoła,
Niebo, jak zajrzeć, błyszczało gwiazdami,
Prócz kroków naszych—milczenie dokoła.

Pełni tajemnéj, uroczéj radości,
Przy Cestyusza staliśmy kolumnie.
Wspomnienia kraju i wspólnéj przeszłości
Do ust i myśli cisnęły się tłumnie.
Wtenczas ty, pomnę, patrząc na mogiły,
Wkrąg przed oczyma leżące naszemi,
Które w swém łonie na wieki pokryły
Pielgrzymów obcéj, oddalonéj ziemi: [1])
„O! biedni oni!—rzekłeś—każdy pewnie,
„Jak my, do kraju tęsknił lub się śpieszył;
„Każdy miał kogoś, co go kochał rzewnie,
„Nadzieją jego powrótu się cieszył!—
„Ciężko musiało być im przed skonaniem,
„Bez pożegnania, bez błogosławieństwa;
„Nikt słodkiém słowem, nikt czułém star aniem
„Nie ulżył bólów, nie pokrzepił męztwa;

---

[1]) Cmentarz Angielski.

„Nikt nie wyleje łzy nad ich mogiłą.
„My obcy tylko—nie po nich się smucim.
„Kto wié, co komu Niebo przeznaczyło:
„Litwa daleko—kto zgadnie, czy wrócim?—
„Śnił mi się wczoraj przyjaciel umarły,
„Wiódł mię za sobą do ciemnego gmachu:
„Widziałem matkę, we łzach i przestrachu,
„Chciała mię wstrzymać—wtém się drzwi zawarły.“ —

Śmiejąc się, pomnę, jam twój sen tłómaczył,
Bo ach! czyż mogłem przewidzieć w tę chwilę,
By ten sam jeszcze xiężyc mnie obaczył,
Mnie—klęczącego na twojéj mogile?

II.

Boże! któż celów woli Twéj docieczе,
Kto pojmie drogi Twego przeznaczenia:
Gdy wielkie, piękne zamiary człowiecze,
Gdy geniuszu wyższego natchnienia,
Jak kwiaty wyższych światów, na tym świecie
Tak często w płonnym opadają kwiecie?

Ach! jam znał tajnie duszy jego!—cała
Była miłością Boga, kraju, cnoty!
Jam widział cele, do których myśl śmiała
Swe nieugięte kierowała loty.
Jam wiedział skarby jego wyobraźni,
I nauk, pracą zebranych wytrwałą.
Niestety! czemuż głos tylko przyjaźni
Ma być ich całą rękojmią i chwałą?

Kilka lat jeszcze—a jużby twe chęci,
Stawszy się czynem, służyły ojczyznie;
Kilka lat jeszcze—a ziomków pamięci
Imieby twoje zostało w spuściźnie!—

U stóp ołtarzy stałeś już gotowy,
W albie Pokory, w stule Poświęcenia,
By śladem Skargi, mówca złoto-słowy,
Lud swój z miłością wołać do zbawienia.

I wyobraźni pochodnię iskrzystą
Wstrząsłszy nad dziejów przeszłością ojczystą,
Jużeś był poczuł ową ducha dzielność,
Co przeszłość słowem wskrzesza w nieśmiertelność.

O! wieleś wróżył krajowi i sobie!
Ale inaczéj rozrządziły Nieba.—
I cóż nam dzisiaj zostało po tobie?
Ach! przykład chyba jak umierać trzeba.

(Caetera desunt).

Dnia 6 maja, o południu.

Za godzin parę wyjeżdżamy z Rzymu, ale nie wprost jeszcze do Neapolu. Weturyna dostać nie mogłem. Zapisałem się więc na dyliżans, nie publiczny, bo go tu nie ma, ale utrzymywany prywatnie przez niejakiego *Angresani*, który że jutro ztąd dopiéro wychodzi, a nam już nieznośnie jest tutaj, więc o godzinie trzeciéj jedziemy weturynem na noc do Albano, z Adolfem i Stefanem, którzy nas tam przeprowadzają, i czekać będziemy na dyliżans, którym jutro przyjedzie Feliś, mający razem z nami jechać do Neapolu. Prosił nas o to, a że go oba lubimy, więc owszem radzi z tego jesteśmy. Ostatnim aktem moim w Rzymie będzie oddanie tego listu na pocztę; przedostatnim zaś jest składanie i wkładanie do koperty w téj chwili przepisanego już oddawna wiersza na „Odjazd z Rzy-

mu." Ja zaś sam w tym ostatnim liście z Rzymu, błogosławię cię i żegnam po łacinie: *Deus te benedicat! Vale, et me ama!*

ODJAZD Z RZYMU,

wiersz poświęcony

Henryecie-Ewie Ankwiczównie i Marcellinie Łempickiéj.

Jedźmy! cóż nada rozstanie przewlóczyć?
Jedźmy! pierś w Rzymską uzbroiwszy stałość.
Gdzież, gdy nie w Rzymie, potrzeba się uczyć
Jak zrzec się szczęścia, i pokonać żałość?

Jedźmy! lecz jeszcze zwróćmy raz oczyma!
Widzę cię, Rzymie, i żegnam na wieki!
Żegnam ostatnią modlitwą pielgrzyma,
Gdy z twoich świątyń wraca w kraj daleki.

Żegnam ostatniém spójrzeniem malarza,
Gdy płonąc żądzą twoich mistrzów chwały,
Po raz ostatni w pamięć duszy wraża
Wcielone w płótno i w głaz ideały.

Żegnam ostatniém wieszcza zadumaniem,
Kiedy ku przyszłéj pieśni swych ozdobie,
Troskliwą myślą zbiera przed rozstaniem
Wszystko co widział, czuł, i myślał w tobie!

Miasto! dość wspomnieć twoje święte imię,
Czyjeż wnet serce żywiéj nie uderzy?
Jako świat niegdyś do ciebie, o! Rzymie!
Chwała twych wspomnień do świata należy.

Z nią najprzód serce zaręcza młodzieniec,
Kraj i swobodę gdy kochać zaczyna;
Tu myśl poety ulata po wieniec,
Po palmę Niebios duch Chrześcijanina.

Któż nie zapragnął, dawnych świadom czynów,
Nad twoją o nich podumać ruiną?
Lub cię z nadludzkich cnót i dzieł twych synów
Nadziemską jakąś nie mniemał krainą?

Nie inny urok na współczesnych ludzi
Władzca lub bohater zwykł rzucać zdaleka.
W kimże szlachetnéj zawiści nie wzbudzi,
Kto zblizka poznał wielkiego człowieka?

I o natrętnéj zapomniawszy chwale,
Przyjazne serce ku niemu ośmielił,
Na łonie jego myślał poufale,
Czuł jego czuciem, i swoje z nim dzielił?

Szczęsny! kto błądząc po twych, Rzymie, szczątkach,
Z grobu olbrzyma dawny wzrost ocenia,
I po twych polach, i po twych pamiątkach,
Jak bluszcz, swe skromne rozciągnął wspomnienia!

Ileż miejsc, których świat imiona święci
W poważnéj chwale czynów uroczystych,
Na wieki w sercu mojém i pamięci
Podzielać będzie urok pól ojczystych?

Tu syn Północy, z dziecka zachwyceniem,
Nowéj natury obaczyłem dzieła;
Tu, upojona innych niebios tchnieniem,
Nowy świat uczuć moja pierś objęła.

Śród nowych wspomnień, śród obrazów nowych,
Nowością wrażeń dusza odmłodniała,
Jak gdyby w wieniec kwiatów południowych,
W nowe się myśli z uśmiechem ubrała!...

Wspomnienia! po cóż stawacie przedemną?
Wdzięk wasz smutkowi rozstania urąga.—
Żegnam cię, Rzymie!—Już zasłoną ciemną
Mgła błękitnawa twój obraz zaciąga.

Nic już w niéj oko rozeznać nie zdoła.
Krzyż Watykański lśni tylko na niebie,
Jak przeżegnanie ostatnie Kościoła,
Dla tych, co z żalem patrzą po za siebie.

Znikłeś!—a przestrzeń, co chwila rosnąca,
Że dzieli wiecznie—wiém ja to, i czuję.
Lecz nieraz jeszcze, nieraz myśl tęskniąca
Ojczyste tobą pola zabuduje!...

Wy! co mię wiodąc po Rzymu ruinach,
Ziomki urocze, jak kraju wspomnienia!
O Rzymskiéj chwale, i o Rzymskich czynach,
Jak z ziąg Sybilli, uczyły z kamienia!

Znacie te róże rozwisłe wieńcami,
Po Cezarskiego niegdyś gmachu szczątkach?
Jako te róże, chwile, com żył z wami,
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach.

KONIEC.

SPIS RZECZY

w tomie trzecim zawartych.

ERRATA.

W tomie piérwszym na str. 160, wiersze 15 i 16, przełożone są niewłaściwie: *szesnasty* należy czytać *przed piętnastym*.



